L

1883 – 1933

PRZEGLĄD POWSZECHNY

ZESZYT JUBILEUSZOWY

GRUDZIEŃ 1933

TREŚĆ ZESZYTU:

J. Rostworowski: U progu nowego półwiecza 317

Półwiekowa praca „Przeglądu Powszechnego"

J. Pastuszka: I. Filozofja i Teologja 334

F. Koneczny: II. Historja 351

Ign. Czuma: III. Problemy społeczno-gospodarcze . . . 376

St. Pigoń: IV. Dział historyczno-literacki 394

Wł. Arcimowicz: V. Literatura piękna 408

M. St. Gillet: Prądy umysłowe wśród dzisiejszej młodzieży 432

K. Górski: Materjalizm dziejowy według Bucharina . . . 450

St. Łempicki: Biskupi polskiego Renesansu jako opiekunowie kultury 474

T. Parnicki: Akmeizm 499

St. Siemieński: Po dziewięcioletnim pobycie w Północnej Rodezji 520

St. Bednarski: Chiński list króla Jana III. 531

Przegląd piśmiennictwa: Wiktor, Dołęga-Mostowicz, Kowalscy, Napierski, Szczepański, Popiel, Gruszecka, Ważyk, Wierzbiński, Reut-Witkowska, Wolska, Zdziechowski, Małachowski-Łempicki, Mikulski, Bartmann, Wiskowatyj, Roja, Encyklopedja Nowodworskiego, Sobolew, Umiński, Lęga, Pinard de la Boullaye, Barycz, Syski i inni 535

E. Kosibowicz: Sprawy Kościoła: Wzrost wpływów wolnomyślicielstwa w Polsce. — Antyklerykalizm czy raczej antykatolicyzm? — Antykatolicka ideologja „Legjonu Młodych" 576

St. Podoleński: „Liga obrony praw człowieka" 593

W. Tworkowski: Katolicka współpraca w dziele rozbrojenia 599

PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO" *Ps. 143.*

ROK L. Tom 200.

PAŹDZIERNIK — LISTOPAD — GRUDZIEŃ

1933

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Szkolne czasy ks. Jakóba Wujka T. J.

jako przygotowanie do jego działalności kaznodziejskiej.

Ks. Jakób Wujek podpisywał się nieraz nazwiskiem od miejsca pochodzenia: *Vangrovicius*, *Vangrovecz* i t. p. Tak też zwykle znajduje się je w dokumentach archiwalnych.

Urodził się więc w Wągrowcu w r. 1540 w parafji starej, która powstała po oddzieleniu się w r. 1381 od parafji Łęgowo.[1]) Właśnie miejsce, gdzie dziś znajduje się stare miasto, kościół parafjalny, gimnazjum i zabudowania pocysterskie, należało do parafji Łęgowo. W piętnaście lat później do Wągrowca przeniosło się i samo opactwo cysterskie z Łekna, z powodu rozruchów okolicznej ludności w r. 1383 i zrabowania klasztoru.

Łekno jako pierwsze opactwo w Polsce, było niezmiernie bogato uposażone, a dla okolicy było wielkiem dobrodziejstwem. Miejsce, gdzie pierwotnie istniało, zowią do dziś „klasztorek", a kościół utrzymał się aż do XVI wieku.

W nowej parafji zbudowano, jak zwykle w owych czasach, kościółek drewniany i w tym drewnianym kościółku został Wujek ochrzczony. Plebanem był wówczas ks. Grzegorz Burdin.[2])

Dopiero, gdy z biegiem lat miasto wzrosło w liczbę mieszkańców, a także dzięki Cystersom i w dobrobyt, postanowiono wybudować w Wągrowcu kościół z kamienia o trzech nawach, któryby lepiej odpowiadał pobożności

[1]) Zeitschrift für Geschichte und Landeskunde der Provinz Posen, von *Christian Meyer*, Posen 1882, I. Bd. Historisch-Statistische Nachrichten über die kath. Pfarre zu Wongrowitz, von *Dr. Hockenbeck*, S. 252/3.

[2]) l. c. S. 392.

mieszkańców. Budowa nowego kościoła przypada już na drugą połowę XVI stulecia.[1]) Dopiero w r. 1560 kościół został na surowo wykończony, zaledwie przykryty, jeszcze bez sklepienia, a w r. 1575, 6 marca poświęcony przez sufragana gnieźnieńskiego Stanisława Fałęckiego, po latach 19-tu od rozpoczęcia budowy. Sklepienie z kamienia wykończono w gotyckim stylu, dopiero po dalszych 19-tu latach. Wujek chodził jeszcze do szkoły klasztornej, gdy rozpoczynano budowę kościoła i te wrażenia musiały w duszy jego głębsze zostawić ślady, zwłaszcza, że całe miasto ogarnął wówczas zapał religijny i duch ofiarny. Sześciu mieszczan zapisało na budowę kościoła cały swój majątek, inni darowywali na ten cel wozy, krowy, konie, a nawet sprzęty domowe, ofiarowywali pasy srebrne i kosztowności dla nabycia kielichów, inni znaczne sumy pieniężne na ołtarze, na kupno obrazów, ornatów, organów, trzej oddali na kościół swoje domy, inni czterej ogrody. Najwięcej zapisów tego rodzaju przypada na czas od 1552—1572. Zaraza, która straszliwie nawiedziła miasto w r. 1572, spowodowała też liczniejsze ofiary.

Dzieło wreszcie zostało skończone; za staraniem ks. plebana Grzegorza Burdina, opata ks. Jana i rady miejskiej sprawiono jeszcze nowe dzwony. Wujek nie pozostał obojętnym na wysiłki swych współrodaków, ale już jako Jezuita ustanowił fundusz 100 złp. przy ołtarzu św. Krzyża, zapisany na posiadłości Jana Blendowskiego z Wągrowca, a potwierdzony przez arcybiskupa Karnkowskiego 30 sierpnia 1583 r. Każdego piątku miała się odprawiać przy tym ołtarzu Msza św. za spokój duszy ś. p. O. Jakóba Wujka T. J. i jego przodków. Jak wskazuje sprawozdanie z wizytacji z r. 1607, inne ołtarze nie miały żadnego funduszu.

Równocześnie prawie z budową kościoła, dzięki rozporządzeniom ostatniej woli niektórych mieszczan wągrowieckich, wybudowano i dom dla ubogich.[2]) Była tam kaplica, w której przydzielony ksiądz odprawiał nabożeństwo i spełniał posługi duchowne. W r. 1553 do 1562 wymienionym jest jako przełożony domu ubogich ks. notarjusz Jan Bzdy-

[1]) Die Kirche... nachdem sie etwa 170 Jahre gestanden hatte, machte sich das Bedürfnis eines Neubaues geltend (*Hockenbeck* l. c. S. 253/6)

[2]) *Hockenbeck* l. c. S. 268/370.

czek. Gdy Wujek został przełożonym w Poznaniu, umiał wyzyskać dla chwały Bożej i to wspomnienie.

Dobrodziejstwem dla miasta i okolicy byli OO. Cystersi. Zamożne ich opactwo miało najlepszą w okolicy szkołę klasztorną, w której oprócz umiejętności z zakresu religji, uczono także wiadomości świeckich. Liczba uczniów tej szkoły dochodziła czasem do zgórą 100, a wielu z nich doszło do większego znaczenia. Wujek właśnie w tej szkole [1]) otrzymał pierwsze wykształcenie, które otwierało już wstęp do uniwersytetu. Kończąc ten zakład, miał już lat mniej więcej 16. Należało więc pomyśleć, co czynić dalej. Rodzice Wujka byli ludźmi zamożnymi i poważanymi, którzy majątkiem górowali nad ogółem mieszczan. Widocznem to z testamentu, jaki Maciej i Elżbieta Wujkowie, rodzice Jakóba, uczynili w r. 1570 na wypadek śmierci. Stronie pozostającej przy życiu miał przypaść na własność cały majątek: wszystkie łąki, role, ogrody, domy, folwark i pieniądze w gotowiźnie, nadto browar, który znajdował się w pobliżu dzisiejszego domu ubogich. [2])

Ojciec Jakóba był ławnikiem sądu miejskiego w r. 1547 i 1548, a potem w r. 1570 i 1571, bo jest wymieniony wśród tamtejszych rajców prawa magdeburskiego. Młody Jakób po ukończeniu szkoły klasztornej w Wągrowcu, mógł już mieć widoki na ładne stanowisko w gronie mieszczan wągrowieckich.

Nie potrzebował zaś, jak wielu, iść w dalekie strony dla zdobycia informacyj o drogach wiodących do naukowej karjery. Był przecież w r. 1552 na wydziale filozoficznym w Krakowie Jan z Wągrowca, „człowiek dobry i pobożny“,[3]) który mógł młodemu Jakóbowi udzielić wskazówek co do studjów na uniwersytecie krakowskim, zwłaszcza na wydziale filozoficznym, zwanym podówczas *facultas artium*.

---

[1]) Scriptores Rer. Pol. t. 7. Cracoviae 1881, pg. 237.

[2]) Zeitschrift für Geschichte und Landeskunde der Provinz Posen 1882, t. 1. S. 258, uwaga.

[3]) *Adam Chmiel,* Album Studiosorum Univ. Crac.. 1904, ph. 5.; „Joannes Adae Zajączek Kakawsky, dioec. gnesnensis S. gr. 5. ([Praeposi?] tus Vągroviensis, vir bonus et pius); tudzież *Boniecki,* Herbarz Polski, t. IX, Warsz. 1906, str. 144.

Był i Andrzej, syn Grzegorza z Wągrowca, który w r. 1554 bawił na studjach na Jagiellońskiej Wszechnicy, prócz innych z Poznania, którzy w Krakowie swe studja odbywali.[1])

Nie wiemy jednak, czy z tymi ludźmi młody Wujek miał jakieś stosunki. Wiadomo nam natomiast, że głębszy wpływ na jego duszę wywarł opat Andrzej Gozdawa Dzierżanowski, który w r. 1566[2]) jako drugi zrzędu Polak objął rządy opactwa. Był on bardzo wykształconym człowiekiem. Paprocki,[3]) który znał osobiście opata, ponieważ przebywał czas jakiś w jego klasztorze, podaje, że przedtem przełożonymi bywali Niemcy z Kolonji, którzy bardzo zaniedbali klasztor. Dopiero Andrzej Dzierżanowski za swych rządów „kościoła oprawił, klasztoru, folwarków i wszystkich prowentów stołowi opaciemu przyczynił, bez szkody i płaczu ludzkiego". Przedewszystkiem dbał bardzo o uroczyste nabożeństwa, o „porządek wielki w odprawowaniu chwały miłego Boga"; wychował za swego opactwa zakonników Polaków, wielu z nich „ludźmi godnymi za jego pomocą zostało"; słowem był to opat pobożny, poważny i uczony; umiał też czasu potrzeby służyć innym swą radą.

W późniejszych latach mamy dowody serdecznej przyjaźni między O. Wujkiem, rektorem wówczas kolegjum poznańskiego, a opatem wągrowieckiego klasztoru.

Łatwo zrozumieć, że tak wybitny opat mógł zaimponować młodemu chłopcu i wrodzone mu zamiłowania do nauki podtrzymać i utrwalić. Może więc pod jego wpływem Wujek zdecydował się na dalsze studja.

Rodzice majętni nie sprzeciwiali się ze względu na trudności materjalnej natury. Stać ich było na to, by syna w szkołach utrzymać. Ale dokąd miał Jakób wyjechać: do Krakowa, czy gdzieindziej? Jeśli bowiem udawał się do szkół wyższych, to przecież prócz zaspokojenia umysłu i serca, musiał liczyć na inne korzyści, jakie człowiekowi daje należyte wykształcenie.

---

[1]) Słownik geogr. Królestwa Pol., Warsz. 1893, t. XIII, str. 164.

[2]) *Boniecki*, Herbarz, t. 5, str. 181.

[3]) *Bartosz Paprocki*, Herby Rycerstwa Polskiego, 1584, wyd. Kraków 1858, str. 293.

Dziwna rzecz, że Wujek wybrał drogę nie do Krakowa, lecz do Wrocławia. W Wrocławiu nie było nawet jeszcze uniwersytetu, a próby założenia choćby niezupełnej wszechnicy w Nissie,[1]) nie zostały uwieńczone powodzeniem. Widocznie do Wrocławia skierowały Wujka jakieś zewnętrzne przyczyny. Wągrowiec już w wiekach średnich łączyły silne węzły z Zachodem. Do Wągrowca i okolicy przybywali sprowadzani przez Cystersów koloniści niemieccy. W wieku zaś XVI bogate już miasto, dobrze było świadome prądów umysłowych i religijnych, płynących z Niemiec. Niedaleki Poznań łączyły z Wrocławiem i naukowe interesy;[2]) na rynku poznańskim dość wcześnie pojawiły się pisma heretyckie, w szczególności Melanchtona;[3]) rozpoczęte o rektorat w Poznaniu układy rozchwiały się z powodu opieszałości głośnego później konwertyty, Fryderyka Stafilusa.[4]) Wrocław leżał na drodze handlowej z Niemiec do Polski,[5]) zaledwie trzy dni drogi od Poznania; bardzo być może, że rodzice Wujka mieli w Wrocławiu swych krewnych. W każdym razie znaną była nietylko w Krakowie, ale i w Poznaniu rodzina Wattów[6]) z St. Gallen. Jeden z członków tej rodziny, zwany *Vadianus Joachim,* wszechstronny profesor uniwersytetu wiedeńskiego, wybitną odegrał rolę w rozwoju humanizmu na terenie Wiednia. — Domy handlowe Wattów w Krakowie i w Poznaniu były nietylko składem towarów, lecz i rozsadnikiem idei przynoszonych na Wschód daleki.[7])

Trudno więc przypuścić, żeby do zamożnej rodziny mieszczańskiej Wujków, nie dotarły z Zachodu jakieś no-

---

[1]) *Bernhard Duhr S. J.,* Geschichte der Jesuiten in den Ländern deutscher Zunge im XVI. Jahrh., Freiburg 1906, I. Bd., S, 169.

[2]) Cod. dipl. Silesiae, Bd. 26, S. 162/3.

[3]) *Theodor Wotschke,* Geschichte der Reformation in Polen, Leipzig 1911, S. 61.

[4]) Cod. dipl. Silesiae, Bd. 26, S. 200.; Wetzer-Weltes Kirchenlexikon Bd. XI. Freiburg im Br. 1899. Art.: *Fr. Staphylus* col. 731/53.

[5]) *Kaz. Morawski,* Hist. U. Jag., Kraków, t. II, str. 229.

[6]) *Wotschke* l. c. S. 42/62; *Morawski* l. c. str. 230.

[7]) *Theodor Wotschke* l. c. S. 60.: „Als Konrad von Watt Sommer 1519 nach der Schweiz reiste, bat Andreas Grodziecki durch ihn, (Posen, den 13 Juni), Vadian um eingehende Nachrichten über den Augustinermönch und die eben stattfindende Leipziger Disputation".

winki religijne, zwłaszcza do zdolnego i chętnego do nauki Jakóba, któremu łatwo było czytać nowe książki religijne, bo znajomość języka niemieckiego wyniósł z miasta rodzinnego, a łacińskiego ze szkoły klasztornej. Grunt jednak pobożności serca, wyniesiony z klasztoru Cystersów, pozostał nietknięty, bo skoro tylko dowiedział się Wujek z książki kardynała Hozjusza p. t. *Confessio,* że dotychczas zatruwał się błędami heretyckiemi, w sercu jego nastąpił przełom, który zadecydował o całej przyszłości.[1]) Widocznie serce młodego Jakóba pozostało formalnie katolickiem, skoro tak silną reakcję wywołała jedna książka.

Przypuszczam, że to już dokonało się w Wrocławiu. Przybywszy tam Wujek, odrazu spostrzegł zgubne skutki reformacji. Wrocław bowiem należy do miast, które najwcześniej przyjęły luteranizm. — Oddziałać też mogło na przemianę wewnętrzną Wujka i środowisko, w którem zamieszkał. Mógł bowiem zamieszkać, korzystając ze znajomości z Cystersami w Wągrowcu, we dworze, jaki mieli Cystersi libuscy w Wrocławiu przy ulicy staropokutniczej,[2]) albo co prawdopodobniejsze, u kogoś ze znajomych.

Uczelnią we Wrocławiu i na cały Śląsk,[3]) najwybitniejszą była do XVI w. szkoła katedralna, ale w czasie, kiedy Wujek tam przybył, naczelne stanowisko w szkolnictwie wrocławskiem[4]) zajmował już rektor szkoły św. Elżbiety, opartej na podstawie humanistyczno-reformacyjnej, mistrz wittemberski, Andrzej Winkler. Tu zapewne zaszła w duszy jego dalsza przemiana.

Prawdopodobnie zgłosił się Wujek do szkoły Andrzeja Winklera.[5]) Tutaj w Wrocławiu spotkać się mógł z ludźmi, którzy mu opowiedzieli dokładniej o nawróceniu Stafilusa, tu mógł się spotkać wśród duchowieństwa wrocław-

[1]) *Joannes Drews S. J.* Fasti Societatis Jesu, Braunsbergae 1723, pg. 243: „P. Jacobus Wuiecus Vangrovicius... adolescens e libris haereticorum hauserat haeresim. Dei beneficio factum est, ut in eius manus veniret Cardinalis Hosii liber, „Confessio" inscriptus. Hoc antidoto venenum expulit".

[2]) Cod. d. Silesiae, Breslau 1909, 25 Bd. S. 274.

[3]) *Jos. Reinkens:* Die Univ. zu Breslau, Breslau 1861, S. 5.

[4]) Cod. d. Silesiae, Bd. 26, S. 101.

[5]) Polonia sacra, Kraków 1919. Nr. 3, str. 182.

skiego z byłymi scholarami uniwersytetu krakowskiego. Nie ulega zaś wątpliwości, że przyzwyczajony do obcowania z Cystersami w Wągrowcu, nie stronił Wujek i w Wrocławiu od duchowieństwa, ale u księży katolickich zasięgał rady tak w swej pracy szkolnej, jak w swych religijnych wątpliwościach.

Właśnie świeżo byli na studjach w Krakowie: Jerzy Falkenhain de Rohin, kanonik wrocławski, zapisany w roku 1556 w album uniwersytecki, Eustachy z Knobelhdorf, kustosz warmiński i dwóch kościołów wrocławskich kanonik, bakałarz frankfurcki; w r. 1557 kanonik wrocławski Adam Landeky, kanonik wrocławski Marcin Rebiger, byli i inni z Wrocławia, jak Krzysztof Hertel, Sygfryd Ribis, a wcześniej Mikołaj Habicht, mistrz i kustosz wrocławski. [1])

Mógł więc Wujek u nich zasięgnąć dokładnych informacji o krakowskim uniwersytecie, a bardzo być może, że właśnie od któregoś z kanoników wrocławskich otrzymał ową książkę Hozjusza *Confessio,* która taki przewrót wywołała w jego umyśle. Dziwniejszem jeszcze wydawać się musiało Wujkowi, gdy dowiedział się, że nawet rodzony syn Winklera, Apollo, również był w roku 1552/3 na studjach w Krakowie. [2])

Niewiadomo, jak długo pozostawał Wujek w Wrocławiu, ale obecność tam tylu wybitnych ludzi, byłych scholarów wszechnicy krakowskiej, widocznie rychło ułatwiła mu orjentację, bo już w r. 1558 przyjeżdża do Krakowa i zapisuje się na wydział artystów. W tym czasie przybywa do Krakowa powtórnie i młody Winkler, by objąć tu w r. 1558 i 1559 wykłady języka greckiego. Zastanawiającym jest fakt powtórnego przybycia Winklera do uniwersytetu jagiellońskiego z jednoczesnem prawie zapisaniem się Wujka w album studiosorum krakowskiej *Almae Matris.* Czy nie było tu jakiegoś wzajemnego wpływu, czy może obaj dali się przekonać któremuś z księży wrocławskich — trudno dociec, w każdym razie fakt, że Winkler występuje

---

[1]) *Adam Chmiel,* Album studiosorum Univ. Cracoviensis, Cracoviae, 1904, tom III, pg. 3/27.

[2]) Album studiosorum, pg. 5.

jako *Collega Minor* na uniwersytecie, świadczy o przekonaniach jego naówczas katolickich.[1])

Przybywszy do Krakowa, znalazł się Wujek w innem zupełnie środowisku, niż w Wrocławiu. Tu już sam uniwersytet brał w opiekę młodego scholara i zaraz przy wpisie nakazywał mu wybrać sobie magistra, któryby kierował jego nauką i troszczył się o jego osobę. Magister w tym celu przez scholara wybrany, miał obowiązek wprowadzić swego pupila na lekcje; wskazać, które z nich należy wybrać, wogóle kierować pierwszemi krokami młodego studenta. Akt ten zwał się „limitacją", albo *se magistris limitare.*[2]) Czy tym magistrem nie był może Apollo Winkler, niewiadomo.

Uniwersytet troszczył się również i o mieszkanie scholarów. Obowiązkiem scholara było zamieszkać w bursie. Bardzo być może, że Wujek zamieszkał po zapisaniu się na wydziale filozoficznym, w najliczniejszej bursie filozofów, czyli t. zw. bursie Noskowskiego.[3]) Bursa ta przez czas jakiś była oddana studentom, którzy z Niemiec przybywali na studja do Krakowa i dlatego ją nawet nazywano bursą niemiecką.[4])

Półrocze letnie rozpoczynało się w uniwersytecie krakowskim 26 kwietnia.[5]) W roku 1558 był rektorem jeszcze ks. Mikołaj z Szadka, dr. św. teologji i kanonik katedry krakowskiej; dziekanem wydziału artystycznego był wówczas Marcin Glicki[6]) z Pilzna. W albumie uczniów uniwer-

---

[1]) Polonia sacra t. 3, str. 142.

[2]) *Kaz. Morawski,* l. c. t. 2, str. 329.

[3]) *Karbowiak A. Dr.:* Mieszkania żaków krakowskich z XV—XVI w. Lwów 1887, str. 19: „Biskup płocki Andrzej Noskowski uposażył i powiększył w r. 1558 bursę filozofów tak, że w niej miało znaleźć pomieszczenie przeszło 40 osób".

[4]) *Dr. Klem. Bąkowski,* Dzieje Wszechnicy Krakowskiej, Kraków, 1900, str. 63; *X. Arcyb. A. J. Nowowiejski:* Płock Monografja historyczna, Płock, 1930, str. 59: „w tej bursie „Noskowskiego" odtąd zwanej, miało być utrzymanych 20 alumnów dla kształcenia się na wydziale filozoficznym i przygotowania na nauczycieli szkół w Płocku i w Pułtusku".

[5]) *Kaz. Morawski,* l. c. t. 2, str. 399.

[6]) *Wł. Wisłocki,* Liber diligentiarum, Cracoviae 1886, pg. 327.

sytetu krakowskiego znajdujemy w tym czasie zapis: „Jakób Wujek, syn Macieja z Wągrowca".[1]) Jako taksę immatrykulacyjną zapłacił groszy 6, a więc dość wiele.

Rozpocząwszy życie scholara krakowskiego, Wujek zaraz się spostrzegł, że jest członkiem odrębnej korporacji, jakby o kościelnem ustroju. Przypominała mu to i zewnętrzna szata duchowna scholarów i to, że wielu studentów było naprawdę klerykami, chociaż nie wszyscy przyjmowali nawet niższe święcenia.[2]) Jakób wnet wszedł w życie studenta wydziału artystycznego, a pogłębiwszy swoje zamiłowanie do studjów, postanowił usilnie dążyć do uzyskania pierwszego stopnia naukowego, jakim był bakalaureat. W Krakowie mógł scholar zgłosić się do tego egzaminu dopiero po dwu latach od zapisania się w grono uczniów uniwersytetu. A miał w tym czasie pracy dużo.

Dziekani doglądali i notowali z obowiązku te tylko wykłady w *Collegium maius,* które są zapisane w *Liber diligentiarum.* Ale oprócz tych, odbywały się wykłady w *Collegium minus,* w bursach, w mieszkaniach magistrów, lub w szkołach podległych uniwersytetowi, a autorowie, których tam wykładano, nie bardzo się różnili od autorów na wydziale *artium.*[3]) W bursie senjor, udzielający resumpcyj, miał obowiązek urządzania dysput.[4]) W dniach upalnych miesiąca lipca i połowy sierpnia wykłady mistrzów ustawały z powodu wakacyj, ale nawet w dniach wakacyjnych i w dniach t. zw. *non legibiles* wolno było bakałarzom i tym, którzy uczyli przedmiotów mniej ważnych, nadobowiązkowych, odbywać swe wykłady,[5]) nawet w niedzielę poza nabożeństwem miewali bakałarze dysputy.

Prace rozpoczynano wcześnie, bo o 6-tej rano w zimie, a o 5-tej w lecie.[6]) Wykłady ranne były przeznaczone dla przedmiotów najgłówniejszych. Nie brakło więc pilnemu studentowi pracy i pokarmu duchowego przez cały rok, a miał

---

[1]) *Chmiel,* Album studiosorum U. Crac., Cracoviae 1904, pg. 29.
[2]) *Kaz. Morawski,* l. c. t. 2, str. 374.
[3]) *Wisłocki,* Liber diligentiarum, wstęp XIII.
[4]) *K. Morawski,* Hist. U. J. t. 2, str. 354.
[5]) l. c. str. 400.
[6]) l. c. str. 402.

go nawet więcej, niż jego młody organizm psychiczny mógł sobie przyswoić.

Określonym był ściśle całokształt nauk, które posiąść musiał scholar, aby zdobyć po dwuletnich studjach filozoficznych pierwszy stopień naukowy bakalaureatu. Statuta bowiem wydziału filozoficznego wyznaczały kandydatom do tego stopnia odpowiednie księgi, z których miał się odbyć egzamin.[1]) Ponieważ kandydat miał umieć władać bronią Arystotelesa, przeto powinien był w dziekanacie wykazać, że nietylko trzy razy na tydzień pojawiał się na lekcjach i ćwiczeniach, ale w ostatniem nawet półroczu przed bakalaureatem uczęszczał na zwyczajną sobotnią dysputę mistrzów i bakałarzy i w trzech z kolei dysputach odpowiadał.[2])

Mała tylko liczba z zapisujących się na uniwersytet studentów dobiegała do tego pierwszego stopnia naukowego. Przeciętnie zaledwie $^1/_4$, a najwyżej $^1/_3$ część scholarów osiągała bakalaureat, inni pozostawali bez tego tytułu i ginęli w zapomnieniu.[3]) Świadczy więc dobrze o pilności Wujka fakt, że bakalaureat osiąga nawet wcześniej, bo przed upływem biennium,[4]) od chwili zapisania się do księgi immatrykulacyjnej. Wprawdzie niema na to dowodu z archiwum uniwersyteckiego, bo w księdze promocyjnej, uszkodzonej przez pożar, właśnie brak jest lat 1542—1560.[5]) Jest natomiast wzmianka u Wielewickiego,[6]) że Wujek oddawał się

---

[1]) *Józef Muczkowski,* Statuta nec non liber promotionum... Cracoviae 1849, pg. LXIV.: „Lectiones vero pro gradu baccalariatus sunt istae: Grammatica Peroti vel Lynacri vel Alberti Szczebresiensis, Syntaxis Despauterii vel Eleganciae Lau. Valen. (Laurentii Valensis), Dialectica Caesarii (vel Jacobi Gorscii, Poloni Y. U. D. serius additum), Vetus ars, Priorum, Posteriorum, Elenchorum, Physicorum, de anima, Rhetorica ad Herennium, Philosophia Magni Alberti".

[2]) *Kaz. Morawski,* Hist. U. J. t. 2. str. 377.

[3]) l. c. str. 379.

[4]) *Józef Muczkowski,* Statuta... pg. XXXVIII: „...statuimus, ut nullus ad quemenuque gradum in artibus promoveatur, nisi quatuor integris commutationibus lectiones talem gradum cencernentes cum diligentia audiat.

[5]) *J. Muczkowski,* Statuta... pg. 199/200 oraz 327/8.

[6]) *Ks. Jan Wielewicki, S. J.,* Dziennik spraw domu zakonnego OO. Jezuitów u św. Barbary w Krakowie od r. 1579 do r. 1599, Kraków 1881, str. 237.: „cum... P. Vuiecus extra Societatem, prius in patria litteris tri-

studjom w akademji krakowskiej i tam został odznaczony stopniem bakalaureatu. Bliżej określa tę wiadomość Starowolski,[1]) dodając, że Wujek osiągnął stopień naukowy w akademji krakowskiej na wydziale filozoficznym za dziekaństwa Alberta Leopolity w r. 1559. Mogło się to stać tylko w półroczu letniem, bo już w półroczu zimowem roku szkolnego 1559/60 był dziekanem Jan „Nicz" Leopolita.[2])

Termin egzaminów bakałarskich przypadał dwa razy do roku w czasie suchych dni jesiennych i suchych dni wielkiego postu.[3]) W praktyce jednak, starym zwyczajem, w razie potrzeby, udzielano również tego stopnia w tygodniu Zielonych Świątek i w miesiącu grudniu.[4]) Półrocze letnie r. 1559 trwało tylko do 15 czerwca, bo morowe powietrze, które nawiedziło w tym czasie miasto i bursę ubogich, zmusiło wielu scholarów do szybkiego wyjazdu.[5]) Była tedy słuszna przyczyna, by urządzić egzamin bakałarski przed Zielonemi Świątkami, zwłaszcza, że Biskup krakowski Andrzej Zebrzydowski i rektor uniwersytetu Marcin Krokier,[6]) dla ograniczenia niebezpieczeństwa zarazy, wydali polecenie zamknięcia wykładów.

Wujkowi prawdopodobnie policzył dziekan wydziału artystycznego czas spędzony w Wrocławiu za jedno półrocze. Od chwili bowiem zapisania się jego na uniwersytet, aż do bakalaureatu, upłynęły zaledwie trzy półrocza, podczas gdy z zasady wymagano ich cztery.[7]) Liczył wtedy

---

vialibus, postea tum in Silesia, tum Cracoviae in Academia altioribus studiis operam dedisset, ibidemque primo auctoramento eruditione ornatus, Baccalaureus... creatus fuisset".

[1]) *Simonis Starowolscii*, Scriptorum polonicorum Ἑκατοντὰς Venetiis 1627, pg. 163: Vuiecus puer Crac. in Academia Philosophicis studiis operam posuit, laureamque assecutus in Decanatu Alberti Leopoliensis Anno 1559.

[2]) *Wisłocki*, Liber diligentiarum, pg. 334.

[3]) *Muczkowski*, Statuta, pg. XXXVIII.

[4]) *Morawski*, l. c. t. 2, str. 376.

[5]) Liber diligentiarum, str. 334; Encyklopedja wychow., Warszawa, t. V, 1901, str. 15.

[6]) Liber diligentiarum, str. 334: inaczej Marcin Garbarz z Krakowa (Metrica studiosorum Univ. de Cracov. ms. bibl. Jag. 260, III. 25).

[7]) *Morawski*, l. c. str. 376.

Wujek zaledwie rok 19-ty życia, a miał już za sobą pracy naukowej niemało.

Ale wśród tej pracy nie brakło i tej pomocy do wyrobienia duchowego, jaką dają dobrze wybrane stosunki z ludźmi. W przedmowie do Postylli Większej, wspomina Wujek, że dał się „zwyciężyć" do napisania postylli Janowi Leopolicie.[1]) Taka serdeczna zażyłość dobrze świadczy o wpływie uczonego mistrza na duszę młodego scholara. A był ten mistrz Jan człowiekiem gorącej wiary, tudzież świątobliwego życia. W rok po bakalaureacie Wujka został sam kapłanem, a umarł w czasie przygotowywania do druku postylli, trwając do ostatniej chwili na posterunku kaznodziejskim. Podczas kazania na pogrzebie wojewody krakowskiego, rażony od świec, zaniemógł, a gdy się czuł bliskim śmierci, jeszcze gasnącym głosem zachęcał lud zgromadzony na dziedzińcu kollegjum jagiellońskiego do cnoty i stałości w wierze, poczem z powszechnem zbudowaniem wobec ludzi na dziedzińcu zgromadzonych, przyjął Wiatyk i w 5 dni później 7 kwietnia 1572, przeniósł się do wieczności.[2])

Wśród profesorów Wujka, wykładających obowiązkowe do bakalaureatu przedmioty, było wielu wybitnych humanistów. Oprócz Jakóba Górskiego, Andrzeja Tropera, wspomnianego wyżej Jana Nicza ze Lwowa, był i Benedykt Herbest, rektor szkoły N. M. P., późniejszy kanonik poznański, następnie Jezuita i gorliwy, a świątobliwy misjonarz; byli i inni mistrzowie, których wykłady nie należały do obowiązkowych, jak np. Albert z Sieciechowa, zwany *Sylvius,* który swego Teokryta wykładał *graece,* a w szczególności Apollo Winkler, którego jeden wykład jest wyjątkowo zanotowany w *Liber diligentiarum* literami helleńskiemi: „*Βατραχομυομαχία*",[3]) a który na mocy postanowienia samego rektora, miał przewodniczyć w dyspucie zwyczajnej przed

---

[1]) *X. Jakób Wujek,* Postilla Catholica, Kraków 1573, Przedmowa do X. Biskupa Ad. Konarskiego, t. 5, str. 2.

[2]) *X. Mich. Nowodworski,* Encyklopedja kościelna, Warszawa 1879, t. XII, str. 140; Podręczna Encyklopedja Kościelna, Warszawa 1911. t. XXIII—XXIV, str. 287.

[3]) Liber dilig. pg. 330.

zakończeniem półrocza letniego 1559 r. Ale prócz wymienionych, przedmioty do bakalaureatu potrzebne wykładało jeszcze wielu innych.

Jeśli więc scholar przeszedł wszystkie drogi, prowadzące wówczas obowiązkowo do pierwszego akademickiego stopnia bakałarza, to zn. jeżeli słuchał obowiązujących wykładów, na ćwiczenia szkolne uczęszczał, w pewnej liczbie dysput brał czynny udział,[1]) to bakalaureat był dlań naprawdę odznaczeniem i zaleceniem na przyszłość. Wynosił z tych pierwszych kursów znaczną biegłość w łacinie,[2]) a przytem i pewną znajomość języka greckiego. Miał nadto możność zapoznania się i z językiem hebrajskim, bo już w pierwszej połowie XVI w. odbywały się na uniwersytecie wykłady tegoż języka.[3])

Oprócz samych studjów, które wprowadzały Wujka w atmosferę naukową, zawiązywały się podczas pobytu na uniwersytecie różne węzły serdeczne, których ślady dopiero w późniejszem życiu występują. Samo zresztą życie towarzyskie studentów krakowskich mogło wzbogacić duszę i serce przyszłego Jezuity. Było dawnym zwyczajem, że studenci urządzali wycieczki poza miasto. Zapewne i podczas pobytu Wujka w Krakowie, nie poszły w niepamięć, te tradycje, tak bardzo odpowiadające usposobieniu młodzieży szkolnej. Musiał Wujek uczęszczać do Mogiły, czyto na odpust w uroczystość podwyższenia św. Krzyża, czyto żeby znanych sobie jeszcze z Wągrowca Cystersów, odwiedzić.[4]) Trudno też wątpić, żeby przynajmniej nie zobaczył Wieliczki i jej kopalni soli, skoro sława jej głośną była i w ówczesnym świecie naukowym,[5]) lub żeby nie poznał okolicznych, uroczych wzgórz sierczańskich, wówczas jeszcze

---

[1]) *Morawski* l. c. str. 398 (t. zw. lectio, exercitium, disputatio).

[2]) *Karbowiak*, Mieszkania żaków krak., Lwów, 1887, str. 35, uwaga: „Mowa łacińska była w pewnych godzinach obowiązkową nawet w bursach".

[3]) *Morawski* t. II. str. 257.

[4]) *Morawski* Hist. U. J., t. II, str. 221: „Cystersi mieli w jerozolimskiej bursie, część budowli przeznaczoną dla siebie (l. c. str. 333). Może być, że tam się Wujek zapoznał z Cystersami z Mogiły i tem łatwiej mu było wybrać się z wycieczką lub na pielgrzymkę do Mogiły.

[5]) *Mich. Wiszniewski*, Historya Lit. Pol., Kraków 1884, t. 7, str. 544/7.

zalesionych i nie słyszał tamtejszej mowy, charakterystycznie odmiennej od innych okolic kraju.

Opuszczał więc Kraków młody dziewiętnastoletni bakałarz sztuk wyzwolonych z niemałym dorobkiem umysłowym; do zmiany zaś miejsca pobytu zmuszało go poczęści zamknięcie wykładów, poczęści to, że po bakalaureacie otwierała mu się nowa droga życia, która znów miała zadecydować o dalszej jego przyszłości.

W czasie, gdy Wujek uczył się w Krakowie,[1]) kanonikiem krakowskim *fundi Krzeszowice* był synowiec prymasa ks. Andrzej Przerębski, installowany dnia 5 grudnia 1554 r. Dzięki poparciu stryja został sekretarzem króla Zygmunta Augusta, a potem sekretarzem koronnym i jako taki kanonikiem gnieźnieńskim, installowany 7 lutego 1560 r.[2]) Niewiele wcześniej, bo na rok przedtem 20 lutego dokonał i sam prymas, Jan Przerębski, uroczystego wjazdu na stolicę arcybiskupią.[3]) Brat prymasa, Piotr Przerębski, odbywał studja na uniwersytecie krakowskim, a później na dalsze nauki wyjechał zagranicę. W czasie swych studjów zagranicą otrzymał kanonję gnieźnieńską, na którą się dnia 22 kwietnia 1559 r. installował, ale przysięgę składał kapitule dopiero w r. 1579. Również dnia 13 kwietnia 1561 r. installował się przez prokuratora na probostwo krakowskie.[4])

Zdaje się, że do tego właśnie Piotra Przerębskiego, odnosi się notatka rękopisu ks. Rafała Skrzyneckiego T. J. tej treści, że Jakób Wujek, dobrze wykształcony w naukach humanistycznych, przeznaczony został do nauczania krewnych arcybiskupa gnieźnieńskiego i z nimi wyruszył do Wiednia, gdzie przez dwa lata poświęcał się filozofji i mate-

---

[1]) *Ks. Bp. Lud. Łętowski*, Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich, Kraków 1852, t. III. str. 505: „Przerębski Andrzej, kanonik krakowski, synowiec prymasów... roku 1558.

[2]) *Ks. Jan Korytkowski*, Prałaci i kanonicy katedry metropolitalnej gnieźnieńskiej. Gniezno 1882, t. III, str. 300.

[3]) *Ks. J. Korytkowski*, Katalog arcybisk. gnieźn., Poznań 1881, str. 59.

[4]) *Ks. J. Korytkowski*, Prałaci i kanonicy gnieźn., t. III, str. 299/300.

matyce pod przewodnictwem Widmanstada i otrzymał tam tytuł mistrza.[1])

Było dwóch Widmannstetter'ów. Nazwisko ich krótsze, humanistyczne, było Widmanstadius, a czasem jeszcze krócej, Widmanstad. Starszy, Jan Albert, zwyczajem ówczesnym, nazwał się Lucretius.[2]) Był prawnikiem wykształconym w Ingolstadzie; jego pomocy używał Ferdynand I. przy reorganizacji uniwersytetu w r. 1554, która na dwa wieki[3]) zabezpieczyła rozwój wiedeńskiej wszechnicy. Ten Jan Albert Widmannstetter, kanclerz austrjacki, a zarazem protektor, czy raczej superintendent uniwersytetu,[4]) jest około połowy XVI wieku najwybitniejszym orjentalistą. Jego znaczenie jest epokowe[5]) w historji kultury tego wieku. On pierwszy wprowadził do Europy naukę języka syryjskiego; sam wydał w r. 1556[6]) Nowy Testament w języku syryjskim, z dołączeniem tekstu łacińskiego do Ewangelji i Listów apostolskich, tudzież małą gramatykę tego języka.[7]) W tym czasie wydał też obronę zakonu Jezuitów, jako odpowiedź na napaści, jakich celem było wówczas w Niemczech Towarzystwo Jezusowe.[8]) W tymże roku 1556 wstąpił w Wiedniu do zakonu Jezuitów brat kanclerza, Filip Widmanstad w 17 roku życia. Przed wstąpieniem uczył się częścią prywatnie u swego brata Jana Alberta, częścią w szkołach publicznych. Śluby zakonne złożył w r. 1557.

---

[1]) MS Ossol. 628, pg. 420:... „P. Jacobus Wuiecus... adolescens... probe perpolitus humanioribus litteris, instituendis Nepotibus Archiepiscopi Gnesnensis adlectus, cum illis Viennam profectus est, ubi biennio vacavit Philosophiae et Mathesi Praeceptore P. Widmanstadio ac magistralem lauream promeruit".

[2]) *H. Hurter S. I.*, Nomenclator Litterarius Theologiae Cath., Oeniponte 1906, t. II, col. 1520.

[3]) *R. Kink*, Geschichte der kais. Universität zu Wien, Wien 1854, Bd. I, s. 257.

[4]) *Jos. Ritter Aschbach*, Geschichte der Wiener Universität, Wien 1888., III Bd. S. 299/300.

[5]) *Aschbach*, l. c. S. 301.

[6]) *Kink*, l. c. Bd. I., S. 271.: wyd. Widmannstetter'a N. I. już 22/IX 1555.

[7]) Wykłady języka greckiego i arabskiego objął już w r. 1554. Wilhelm Postell, orjentalista francuski (Aschbach, l. c. S. 246 i 299).

[8]) *Bernhard Duhr S. I.*, Geschichte der Jesuiten in den Ländern deutscher Zunge im XVI. J. Freiburg im Br. Bd. 1. S. 853, uw. 2.

Po wstąpieniu do nowicjatu uczył się jeszcze trzy lata nauk humanistycznych, retoryki, dialektyki i języka greckiego, potem został profesorem,[1]) a wreszcie w r. 1563 mistrzem sztuk wyzwolonych i filozofji. Promocji dokonał O. Natalis S. J., rektorem zaś kolegjum wiedeńskiego był wówczas O. Hoffaeus.[2])

Niestety, brak danych do oznaczenia dokładnej daty przybycia Wujka do Wiednia, jako wychowawcy krewnych arcybiskupa gnieźnieńskiego.[3]) Ale w każdym razie już w 1563 r. musiał być w Wiedniu, skoro w r. 1564 został mistrzem „sztuk wyzwolonych".[4]) W czasie, kiedy Wujek wyjeżdżał do Wiednia, słynne było już i u nas tameczne kolegjum, założone przez św. Piotra Kanizjusza T. J., profesora wówczas uniwersytetu wiedeńskiego, a później do r. 1569 prowincjała górnoniemieckiej prowincji.[5]) W r. 1560 istniały już trzy kolegja, z których jedno przeznaczone było dla stanu rycerskiego, t. zw. *collegium nobilium.* Cesarz Ferdynand I. złożył fundusz dla utrzymania w niem 32 uczniów wraz z obsługą.[6]) Tam w czasie studjów mieszkali późniejsi biskupi Jan Tarnowski i Bernard Maciejowski, oraz kanonik krakowski Mikołaj Lasocki.[7]) W kolegjum *nobilium* mieszkał też i św. Stanisław Kostka.[8])

---

[1]) *Duhr*, l. c. S. 561.

[2]) Bibl. Pal. Vind. Cod. 8367, Historia Collegii Viennensis S. J. a prima eius origine fol. 10: „Annus 1563... P. Hoffaeus fuit Rector... Pater Magius emissis quatuor Sollemnibus Votis, Doctor Theologiae, et P. Gabriel Morales cum P. Joanne Nicolao Wolffgango Pyringero, P. Philippo Widmanstadio Magistri artium et Philosophiae a. P. Natali renuntiati sunt".

[3]) Catalogi Coll. Vien.; Cod. Anst. Fund.

[4]) *Sim. Starovolscii*, Scriptorum Polonicorum Ἑκατοντὰς, Venetiis 1627, pg. 163.

[5]) *Dr. Mich. Buchberger*, Lexikon für Theol. und Kirche, Freiburg im Br. 1931, II. Bd. col. 729.; Wetzer u. Weltes Kirchenlexikon, Freiburg im Br. 1883. II Bd. col. 1796.

[6]) *Otto Braunsberger S. I.*, Beati Petri Canissi S. J., Epistulae et Acta, Friburgi Brisgoviae 1898, Bd. II. S. 641.

[7]) *Ks. Mich. Nowodworski*, Encyklopedja kościelna, Warszawa 1903, t. XXVI, str. 368.

[8]) Analecta Bollandiana, Bruxelles 1892, t. XI, pg. 430.

Nie gdzieindziej chyba, jak w kolegjum *nobilium*, zamieszkali i krewni arcybiskupa gnieźnieńskiego ze swym nauczycielem Wujkiem. Tu więc miał Wujek sposobność widzieć św. młodzieniaszka Stanisława Kostkę i przypatrzeć się jego świętemu życiu; tu mógł też uczyć się z przykładu wielu wybitnych jezuitów pobożności [1]) i doświadczać pierwszych pociągów do życia zakonnego. — Właśnie w r. 1563 nadał cesarz Ferdynand kolegjum jezuickiemu prawo promowania wszystkich, nawet zagranicznych studentów, z temi samemi przywilejami, jakie dawała promocja na uniwersytetach niemieckich, hiszpańskich, włoskich i francuskich. W tym samym jednak roku w grudniu musiał cesarz ograniczyć prawo promowania doktorów i magistrów, aby nie spowodować całkowitej ruiny uniwersytetu. [2])

Jezuici uczyli lepiej i w krótszym czasie. Profesorowie zaś uniwersytetu, mimo reformy, trzymali się dawnego zwyczaju, kiedy wykłady odbywały się tylko 4 razy tygodniowo, uzupełniane potem przez bakałarzy i magistrów, względnie licencjatów, Jezuici zaś wykładali codziennie dwie godziny przed południem, a popołudniu wykład powtarzali. Zyskiwali więc na czasie i w jednym kursie uczyli tyle, ile uniwersytet uczył w dwóch kursach i to nawet lepiej. [3])

Nic więc dziwnego, że nawet ci, którzy słuchali wykładów na uniwersytecie, chętnie przechodzili do kolegjum jezuickiego, gdzie również na podstawie przywilejów papieży Juljusza III z r. 1550 i Piusa IV z 19 sierpnia 1561 mogli Jezuici konstytuować wydziały filozoficzne i teologiczne oraz udzielać stopni naukowych. To wywołało niemałe spory. [4]) Uniwersytet zagrożony zwłaszcza gwałtownem zmniejszaniem się liczby słuchaczów, wydał w swej obronie rozporządzenie, że studenci mieszkający w bursach, mają chodzić

[1]) *Ks. Wojciech Tylkowski S. I.*, O żywocie y cudach B. Stanisława Kostki, Wilno 1674, str. 18.

[2]) *Duhr* l. c. S. 50.

[3]) *Duhr* l. c. S. 278.

[4]) *Duhr* l. c. I Bd. S. 246: „Auch ein anderer Grund verhindert nicht wenige an dem Besuche unseres Gymnasiums. Niemand wird nähmlich zum Bakkalaureat und Magisterium zugelassen, der nicht eine Reihe bestimmter Vorlesungen an der Universität gehört hat". cf. Aschbach III Bd. l. c. S. 101, uwaga 3.

na wykłady do uniwersytetu i, że ci, którzy chcą osiągnąć stopień bakałarza lub mistrza, muszą również słuchać na uniwersytecie przepisanych wykładów. Nadto ogłosił uniwersytet, że tylko takie stopnie naukowe będzie uznawał, które zostały nadane przez uniwersytet, zatwierdzony zarówno przez papieża jak i cesarza. Narazie Jezuici ustąpili, ale już w r. 1570 wyrobili sobie u arcyksięcia Karola pozwolenie otwarcia wykładów na wydziale filozoficznym i teologicznym. [1]).

Wujek zatem dwojaką w Wiedniu miał drogę do dalszych studjów filozoficznych. Albo mógł je kończyć w kolegjum jezuickiem i tam otrzymać tytuł mistrza, albo też mieszkać w konwikcie jezuickim, a na wykłady uczęszczać na uniwersytet. Którą z tych dróg obrał, na to rzuca nam światło pewne zestawienie dat. Ponieważ Jan Albert Widmannstetter już w r. 1556, złożywszy na rok przedtem godność kanclerza i superintendenta uniwersytetu, osiadł w Regensburgu jako prałat katedralny, [2]) wyrażenie *Praeceptore P. Widmanstadio* [3]) należy odnieść do O. Filipa Widmannstettera, który już w r. 1563 był mistrzem w kolegjum wiedeńskiem. Stąd wniosek, że i Wujek w kolegjum Jezuitów został mistrzem sztuk wyzwolonych.

Gdy przed kilku laty zajmowałem się w rozprawie doktorskiej formami egzegetycznemi ks. Jakóba Wujka w Nowym Testamencie z r. 1593, zaciekawiały mnie już jego studja, w szczególności w Wiedniu i Rzymie. Niestety wówczas drogą korespondencji dostałem bardzo mało danych, a gdym chciał w Wiedniu w r. 1925 osobiście zbadać odnośne archiwum w uniwersytecie, natrafiłem w końcu maja na jakieś zamieszki studenckie, z powodu których nie mogłem swego zamiaru wypełnić.

Otrzymałem natomiast za pośrednictwem ówczesnego profesora egzegezy, obecnie J. E. dr. Innitzera, od archiwarjusza uniwersyteckiego dra Artura Goldmanna wiado-

---

[1]) *Duhr* l. c. S. 278.
[2]) *Kink*, I Bd. S. 271.
[3]) MS. Ossol. 628, pg. 420.

mość, którą podaję niżej w odnośniku.[1]) Byłaby ta wiadomość wystarczająca, gdyby nie wątpliwość, czy nazwisko Wujka nie znajduje się w metryce uniwersyteckiej jeszcze w innej jakiej odmianie, w jakich się je niekiedy spotyka. Nie byłoby to niemożliwem. A ponieważ nikt nie mógł być dopuszczonym do bakalaureatu i do magisterium, jeśli nie wysłuchał przepisanych przez uniwersytet wykładów,[2]) przeto dla uzupełnienia dodać należy, że według nowej organizacji studjów z 1 stycznia 1554 r. obowiązywały w Wiedniu do magisterjum dwa lata wykładów filozofji Arystotelesa, matematyki według przepisanych autorów, nadto matematyki wyższej, klasyków łacińskich i greckich, wreszcie gramatyki języka hebrajskiego i ksiąg Starego Testamentu.[3])

Wzmiankę w MS. Ossolineum,[4]) że Wujek w Wiedniu prócz filozofji studjował matematykę, można rozumieć również o studjach jego na uniwersytecie.

O studjach Wujka wzmiankują przygodnie różni autorowie; jedni i to przeważnie, opierają się na Wielewickim[5]) i Starowolskim,[6]) inni podają bałamutne i sprzeczne wiadomości. Najniedokładniej pisze o studjach Wujka Mich. Wiszniewski:[7]) „Wujek... młodym chłopcem przybył na na-

---

[1]) List z 26/I 1924,... „Ich bedaure Ihnen mitteilen zu müssen, dass Iacobus Vuiecus Polonus (Vangrovicius) nicht an der Wiener Universität studiert hat. Wenigstens kommt sein Name in der Universitäts-Matrikel nicht vor und die Dekanatsakten der philosophischen Fakultät erwähnen ihn ebenfalls nicht. Was die theologische Fakultät betrifft, so fehlen leider die Eintragungen im Dekanatsbuche aus den Jahren 1549—1567, es ist aber nicht wahrscheinlich, dass er an dieser Fakultät studiert hat, da er, wie gesagt, gar nicht immatrikuliert war"...

[2]) *Duhr*, I Bd. l. c. S. 246.

[3]) Dokładnie o tem pisze: *R. Kink*, Geschichte der Kais. Univers. zu Wien, II. Bd. Wien 1854, S. 381/3.

[4]) MS. Oss. 628, pg. 420.

[5]) *Ks. Jan Wielewicki T. J.*, Dziennik spraw domu zakonnego OO. Jezuitów u św. Barbary w Krakowie, Kraków 1881, str. 238.

[6]) *Sim. Starovolscii*, Ἑκατοντὰς, Venetiis, pg. 163.

[7]) *Mich. Wiszniewski*: Hist. Lit. Pol., Kraków 1884, t. VI, str. 598. uwaga a). Wprawdzie w odnośniku (788) przytacza autor: „Phil. Allegambe in Bibl. Script. S. J. p. 214 różni się w tem od Starowolskiego, powiadając, że Wujek w Wiedniu dopiero został magistrem", ale właśnie Szym. Starowolski w „Script. Polon." Ἑκατοντὰς, Venetiis 1627, pg. 163,

uki do Krakowa. W r. 1559 mając lat dziewiętnaście, został tu magistrem filozofji za dziekaństwa Alberta Leopolity... w Krakowie najwięcej Teologii pilnując, udał się stamtąd do Rzymu, w chęci wydoskonalenia się w naukach wyzwolonych, tudzież w językach greckim i hebrajskim. Już w Krakowie pragnął wstąpić do krzewiącego się naówczas w Polsce zakonu Jezuitów. Po dość długiem bawieniu w Wiedniu, gdzie został doktorem filozofji, pojechał do Rzymu, gdzie wstąpiwszy do Jezuitów w r. 1565 uczył matematyki, której się był wyuczył w Krakowie...". O Załęski T. J. pisze: „O. Jakób Wujek... słuchał filozoficznych nauk na akademji krakowskiej i zyskał 1559 r. stopień magistra", a dalej pisze znów inaczej: „Uczył się w Wiedniu, gdzie stopień magistra wyzwolonych nauk *(magister artium)* otrzymał". [1]) Ignacy Hołowiński [2]) zaś: „Jakób Wujek... odbył całe swe w Krakowie nauki, po których ukończeniu udał się do Wiednia i tam słuchając filozofji, wkrótce otrzymał stopień magistra. W r. 1565 wstąpił do Jezuitów i został wysłany do Rzymu, gdzie odbywał duchowne nauki". Karol Mecherzyński: „Jakób Wujek... uczył się początkowo w akademji krakowskiej pod Szym. Maryckim filologiem, w którego szkole smak lepszy i naukę krasomowską czerpał — potem w Wiedniu, skąd po otrzymaniu stopnia mistrza udał się do Rzymu". [3]) A Szlagowski: [4]) „Ks. Jakób Wujek... w krakowskiej Akademji od Szymona Maryckiego, filologa, uczył się wymowy. W dziewiętnastym roku życia zostaje magistrem filozofji. Potem pracował nad teologją w Krakowie i w Wiedniu, w Rzymie zaś ćwiczył się w starożytnych językach: greckim i hebrajskim. Wstępuje tu do zakonu Jezuitów r. 1565". — Kolbuszewski [5]) pisze: „Ks. Jakób

pisze: „Vuiecus... puer Crac. in Academia Philosophicis studiis operam posuit, laureamque assecutus in Decanatu Alberti Leopoliensis Anno 1559, na marginesie zaś dodaje uwagę: „Magisterii gradum postea obtinuit Anno 1564".

[1]) *Ks. Załęski Stan. T. J.,* Jezuici w Polsce, Lwów 1900, t. I, część I. str. 205, uw. i część II, t. I, str. 710.

[2]) Homiletyka, Kraków 1859, str. 402.

[3]) Historya wymowy w Polsce, Kraków 1858, t. II. str. 134.

[4]) Wstęp ogólny do Pisma św., Warsz. 1907, t. II, str. 233.

[5]) Postyllografja polska XVI i XVII w., Kraków 1921, str. 108.

Wujek z Wągrowca... w Krakowie... w r. 1559 otrzymuje stopień bakałarza; w Wiedniu uczęszcza na wykłady filozofji i teologji i tu w r. 1564 zostaje magistrem filozofji i nauk wyzwolonych. Idąc za wewnętrznym głosem, wstępuje w czasie swego pobytu w Rzymie do zakonu Jezuitów (1565) i po dwóch latach nauki i osiągnięciu stopnia doktora, wraca do kraju". Zwolski: „Jacobus Wuyek... litteris Cracoviae incubuit, ubi anno 1559 ad gradum magistri philosophiae est promotus". [1]) Pelczar: „Jakób Wujek... kształcił się w akademji krakowskiej pod Szymonem Maryckim, a otrzymawszy w r. 1559 stopień bakałarza udał się na dalsze nauki wydziału filozoficznego do Wiednia, gdzie uzyskał stopień magistra in artibus i zapoznał się z Jezuitami. W r. 1563 wstąpił w Rzymie do ich nowicjatu, a po dwu latach oddał się nauce teologii w Collegium Romanum i już jako kapłan wykładał tamże matematykę". [2]) Również niedokładną wzmiankę o studjach Wujka z czasów jego pobytu w Rzymie podaje Sygański: [3]) „Jakób Wujek... przez dwa lata w kollegjum rzymskiem studya teologiczne uzupełniał i pogłębiał", podobnie i artykuł w encyklopedji kościel.: [4]) „Wujek Jakób... po dwóchleciu nowicjatu (1565—67) słuchał teologji w kolegjum Rzymskiem".

Jakkolwiek jednak miała się rzecz ze studjami, których przypuszczalny kierunek spróbowaliśmy odtworzyć, niewątpliwie cenniejsze były skarby duchowe, jakie wzbogaciły duszę Wujka w Wiednia. Tu przypatrzył on się życiu Jezuitów, tu zetknął się z pracą takiego Hoffeusza, który potężnie bronił wiary katolickiej w Austrji, Czechach i Bawarji, tu dowiedział się, jak ciężką walkę toczyli wszędzie Jezuici z herezją, tu również musiał poznać drogę, jaką przebyć musieli ci, którzy chcieli wstąpić do ich nowicjatu. [5])

[1]) *X. Zwolski Steph.*, De bibliis polonicis, Poznań 1994, str. 72.

[2]) *X. Józ. Pelczar*, Zarys dziejow kaznodziejstwa w Polsce, Kraków 1917, str. 146, inaczej w cz. II, str. 146, wyd. Kraków 1896.

[3]) *Ks. Jan Sygański T. J.*: „Ks. Jakób Wujek z Wągrowca" Kraków 1914, str. 1/2, tudzież uw. 2, str. 2.

[4]) Encykl. kościel. Płock 1913, t. 32, str. 340.

[5]) *Braunsberger*, B. P. Canisii S. J. Epistulae et Acta, Frib. Br. 1901. vol. III. pg. 368:... „Ex Hoffaei certe relatione... facile est conicere, a regimine constitutum esse, ut, qui in tirocinio essent, vel id ingredi vel-

Zapewne i w wiedeńskim kolegjum znane było przepiękne kazanie wypowiedziane o powołaniu zakonnem przez św. Piotra Kanizjusza w r. 1562 lub z początkiem r. 1563 w Augsburgu. [1])

Nie mógł też nie wywrzeć wpływu na duszę młodego magistra wspaniały rozwój, w jakim było podówczas kolegjum wiedeńskie. Jeżeli już w r. 1562 znajdowało pomieszczenie w murach zakładu około 80 osób, to pod rokiem 1564 notuje kronikarz, że do kolegjum *nobilium* przybyła w tym czasie nad podziw duża liczba studentów, zwłaszcza Polaków ze stanu rycerskiego, tak że trzeba było dom powiększyć, bo dotychczasowe pomieszczenie nie wystarczało. Tak szybko zaś postępowali w pobożności, cnotach i nauce, że kolegjum zajaśniało jakby królewskim majestatem i było uważane za przybytek cnót. [2]) Przepiękne świadectwo dla uczącej się w tym czasie w kolegjum wiedeńskiem Polonji, która i wśród magnatów polskich wielką zjednała zakonowi przychylność.

Wujek w tym właśnie roku 1564 skończył był studja filozoficzne, ale do nowicjatu Tow. Jezusowego jeszcze nie wstąpił. Być może, że zaczął studja teologiczne w Wiedniu, lub że zajęły go zadania wychowawcze, a może wstrzymało wstąpienie jego przeniesienie w styczniu 1564 r. nowicjatu do Pragi. [3])

Tymczasem u Jezuitów w Wiedniu zaszły niespodziewane zmiany. Już w marcu 1565 r. odebrał cesarz Maksy-

---

lent, extra collegium a viris ad id delectis „examinarentur", utrum sponte an Sociorum blanditiis minisve inducti, utrum probantibus parentibus an iisdem insciis vel invitis Societati se iungerent etc".

[1]) Beati Petri Canisii, Epistolae et Acta, t. III, pg. 369.

[2]) MS. Cod. Vind. 8367. fol. 10. „Annus 1564... Interim Convictorum domus mirandum in modum numero Studiorum augebatur, praesertim vero nobilium Polonorum, quorum, successu brevis temporis, tanta frequentia confluxit, ut adiunctae aedes... et alteri domicilio addi opportuerit. Tantus vero in illis splendor vigebat, ut aliquid regium illa domus redoleret; tantus etiam in pietate, moribus et litteris fructus fiebat, ut virtutum domicilium esse censeretur. Quae fama cum per regnum Poloniae esset pervulgata, magnam Societati apud illos proceres existimationem excitavit"...

[3]) Hist. Coll. Vienn. S. J. Cod. Vind. 8367, fol. 10.

miljan dom, oddany poprzednio Jezuitom na konwikt.[1]) Młodzież, która tam przebywała, zmuszoną została zamieszkać na mieście. Przedtem jeszcze umarł generał zakonu O. Laynez. Na drugą kongregację generalną, która miała się odbyć w lecie r. 1565 miał wyjechać, jako prokurator prowincji austrjackiej, O. Franciszek Sunjer.[2]) Był to prawnik wykształcony w prawie kościelnem i świeckiem. Po wstąpieniu do Towarzystwa wysłany z Rzymu do Wiednia wykładał filozofję i miał pieczę nad konwiktorami w *collegium nobilium.* — Był człowiekiem bardzo miłym i wyjątkowo kochanym nietylko przez wychowanków ale i innych, zwłaszcza Polaków.[3]) Zapewne przyjaźń serdeczna z Ojcem Sunjerem, która przejawia się w późniejszem życiu Wujka rozpoczęła się już w Wiedniu. — Może i pod tym wpływem skrystalizowało się w duszy Wujka postanowienie wstąpienia w szeregi synów św. Ignacego. Wybrał się więc w tym celu do Rzymu.

---

[1]) Analecta Bollandiana, t. XI, pg. 434.
[2]) A. S. J. Pol. 7 I fol. 4.
[3]) MS. Ossol. 628, pg. 231.

(Dokończenie nastąpi).

Ks. Jan Terlaga.

Religja katolicka w Hiszpanji wczoraj, dziś i jutro.[1])

I.

Kościół katolicki uznany był za panujące wyznanie zarówno w Konstytucji (art. II) jak przez konkordat, zawarty w r. 1851 między Piusem IX, a królową Izabellą.

Inne wyznania prawie nie istniały podówczas w naszym kraju, ale korzystały zasadniczo z prawa tolerancji. Próbowano po kilka razy, zwłaszcza w latach poprzedzających dyktaturę wojskową, zmienić ten system tolerancyjny na zupełną wolność wyznań, ale sprzeciwił się temu Episkopat i ogromna większość narodu tak, że art. II Konstytucji nie uległ zmianie.

Zresztą w Hiszpanji albo się było katolikiem albo nie było się niczem. Protestantyzm posiadał i posiada bardzo nielicznych wyznawców, na których lud spogląda ze wstrętem i zgrozą. Poza wielkiemi miastami, gdzie małe gromadki ich zwolenników, pozyskane zazwyczaj za pieniądze, chodziły pocichu do swych zborzyszcz i poza kilku miejscowościami wybrzeża, bardziej wystawionemi na wpływ zagranicy, w całym kraju zaledwie coś wiedziano o protestantach, jakkolwiek nigdy nie brakło prób propagandy, głównie

[1]) Niniejszy artykuł, wychodzący z pod pióra wybitnego publicysty hiszpańskiego poucza jak sami katolicy tego kraju zapatrują się na sytuację religijną, która wytworzyła się w ich ojczyźnie. Sądzimy, że rzecz nie będzie bez interesu i dla Czytelników polskich. Z łatwych do zrozumienia powodów autor artykułu wolał ukryć się pod pseudonimem. (Przyp. Red.).

przez kolportaż Pisma św. wydawanego przez Towarzystwo Biblijne.

Siły masonerji hiszpańskiej, znacznie osłabione przed dyktaturą generała Primo de Rivera (45 lóż, z tych 33 zależne od Wielkiego Wschodu, 10 od Wielkiej Loży, dwie niezawisłe) dzięki wyraźnej życzliwości Dyktatora i zapomocą żydowskich kapitałów, niepomiernie wzrosły. W r. 1931 lóż należących do Wielkiego Wschodu było już niemniej niż 105; zależnych od Wielkiej Loży 52. Specjalista w tej sprawie Dr. Tusquets zamyka jedno z swoich dzieł w tym przedmiocie następującym rezultatem: „W Hiszpanji prowincjach jej podległych istnieje 160 kuźni masońskich, liczących około 5.000 członków.

Prawa Kościoła były naogół szanowane, zgodnie z artykułami konkordatu. I tak miał Kościół prawo nadzoru nad publicznem nauczaniem w szkołach państwowych i prawo nauczania katechizmu we wszystkich szkołach powszechnych; obowiązkowy był egzamin z religji we wszystkich seminarjach nauczycielskich i z bardzo nieznacznemi odchyleniami podobnie rzecz się miała we wszystkich zakładach szkoły średniej. Niestety organa kościelne niezawsze korzystały z tych swoich praw. Za czasów monarchji powoli wyszło ze zwyczaju wizytowania szkół publicznych i nauczanie w nich katechizmu przez kapłanów. Zasadniczo jednak należał ksiądz do miejscowej Rady Szkolnej i do Komisji egzaminującej nauczycieli, starających się o posadę w szkole.

Podobnież wywierał Kościół wielki wpływ na inne dziedziny państwowego życia. W armji miał swoje osobne duszpasterstwo wojskowe, które rozciągało się i na marynarkę. Dla wszystkich instytucyj dobroczynności publicznej, dla szpitali, a także dla więzień i cmentarzy, wyznaczano z urzędu własnych kapelanów.

Dzięki ścisłemu porozumieniu władzy kościelnej i państwowej, przedstawiciele władzy cywilnej zajmowali pierwsze miejsca przy obchodach religijnych, w których brali udział gremjalnie z odznakami swego urzędu. Było też powszechnie przyjęte, że wojsko w dnie nakazane bywało wspólnie na Mszy świętej, a nieraz brało udział i w publicznych procesjach.

W zakresie życia rodzinnego, jakkolwiek art. 42 Kodeksu Cywilnego uznawał dwojaką formę zawierania małżeństwa, kościelną i cywilną (pierwsza była dla katolików obowiązująca), wypadki ślubów cywilnych były w rzeczywistości wielką rzadkością. Ślub kościelny pociągał za sobą wszystkie cywilne skutki małżeństwu właściwe, pod tym jednym warunkiem, że przy obrzędzie ślubnym był obecny urzędnik państwowy, którego jedyną funkcją było wpisać zawarty związek do ksiąg stanu cywilnego. Rozwody zupełnie nie istniały, tak dalece, że nawet dla małżonków połączonych cywilnie nie uznawał kodeks rozwodu, tylko separację.

Dzięki sakramentalnemu charakterowi małżeństwa i jego nierozerwalności życie rodzinne w Hiszpanji było wogóle zdrowe i silne; w domach rodzinnych panował naogół chrześcijański obyczaj i pracowitość, skromność a płodność. Kwitnęła też pobożność. Pierwszą Komunję św. dzieci obchodzono uroczyście; w niejednym domu odmawiano wspólnie różaniec z udziałem domowników; odprawiano modlitwy przed posiłkami; uczęszczano licznie do kościoła na Mszę niedzielną.

Niesłychaną rzadkością był Hiszpan nieochrzczony, wszyscy też, nie wyłączając ludzi skądinąd niepobożnych, dbali o kościelny pogrzeb. Z tego też powodu wszystkie cmentarze były katolickie, nietylko parafjalne, urządzone za fundusze kościelne, ale i miejskie, pozostające pod zarządem władz municypalnych. Wszystkie były poświęcone, z wielkim krzyżem liturgicznym w pośrodku. Przy tych katolickich cmentarzach było osobne odgrodzenie dla ludzi, którym odmówiono kościelnego pogrzebu, ale były to wypadki niezmiernie rzadkie.

Pogrzeb kościelny odbywał się procesjonalnie, w asystencji duchowieństwa i z krzyżem na czele, bez żadnych specjalnych pozwoleń ze strony władzy cywilnej. Tych pozwoleń również nie było potrzeba do uroczystego udzielania św. Wiatyku, jakoteż do innych publicznych religijnych obchodów, jak procesyj w dni krzyżowe itp.

Na polu sądownictwa uznawano prawo Kościoła do rozpatrywania i rozstrzygania spraw, związanych z sakra-

mentami; decyzja trybunałów kościelnych w kwestjach małżeńskich pociągała za sobą odnośne skutki cywilne.

Co do hierarchji kościelnej, t. zw. prawo patronatu królewskiego (t. j. nadany królowi przez konkordat przywilej przedstawiania kandydatów na godności kościelne) rozciągało się na wszystkie stolice biskupie, na większą część kapituł katedralnych, oraz na wszystkie probostwa nie podlegające prezencie prywatnej.

Cały budżet religijny na potrzeby kultu i utrzymanie duchowieństwa wynosił około 57 miljonów pesetów. Był to skąpy odsetek od zaciągniętego przez Państwo długu za skonfiskowane dobra kościelne. Zapominając, że wchodzi tu w grę prosta sprawiedliwość, posłowie i agitatorzy ludowi podnosili nieraz sprawę „utrzymania kleru", mimo, że oddawano Kościołowi małą tylko cząstkę tego, co mu się z prawa należało. Duchowieństwo wogóle było w wielkiem ubóstwie, zwłaszcza, że wierni, spuszczając się na państwo, odzwyczaili się od praktyki przychodzenia mu w pomoc przez jałmużny mszalne.

Biskupi byli i są otoczeni wielką czcią i uszanowaniem wiernego ludu. Chociaż wogóle u dobrych katolików cieszą się podobną życzliwością i kapłani, nie mógł nie wywrzeć swoich opłakanych skutków propagowany bezkarnie przez mnóstwo gazet, pism ulotnych, przedstawień scenicznych i t. p. jad antyklerykalizmu, zarzucającego duchowieństwu katolickiemu niemoralność, nieokrzesanie, nieuctwo, lenistwo i chciwość. Otóż wypada tu stwierdzić, że te zarzuty były w ogromnej mierze niesprawiedliwe i przesadne. Bo jakkolwiek trafiały się tu i ówdzie smutne upadki przeciw moralności i inne zaniedbania kapłańskich obowiązków, naogół powiedzieć trzeba, że duchowieństwo hiszpańskie było i jest cnotliwe, cierpliwe, pełne apostolskiego ducha, że mimo wielkich trudności, jakie ciągnie za sobą ubóstwo i osamotnienie, stara się nie zaniedbywać pracy naukowej, że wreszcie pracuje z zapałem nad zwyciężeniem tych licznych przeszkód, jakie w obecnych warunkach wytwarza nieprzychylna Kościołowi atmosfera.

Stan seminarjów był kwitnący, a liczba alumnów wystarczała na zaopatrzenie wszystkich stanowisk duchownych

w diecezjach. Były nawet diecezje (Vitoria, Salamanca, Palencia etc.) w których liczba seminarzystów i kapłanów przewyższała zapotrzebowanie.

Seminarja utrzymywały się dotychczas ze skromnych funduszów udzielanych przez państwo i z burs, które ostatniemi czasy ufundowała ofiarność prywatna, oraz z dochodów związku „Pomocy powołaniom duchownym", który założono we wielu diecezjach.

Wielu jest kapłanów posiadających gruntowne wykształcenie w naukach ściśle kościelnych, ale mało takich, którzy przeszliby studja na fakultetach świeckich. Pewna ich liczba jednak zajmuje katedry po uniwersytetach i innych instytutach naukowych.

Bardzo bujne było w Hiszpanji życie zakonów i kongregacyj zakonnych. Liczono nie mniej niż 4958 zakonnych domów, z których większa część poświęcała się nauczaniu.

Ogólny obraz pracy wychowawczej zakonów przedstawiał się jak następuje:

W szkołach	powszechnych	liczono wychowanków	601.950
„	„ wieczornych	„ „	24.041
„	„ zawodowych	„ „	17.103
„	przytułkach	„	25.000
„	domach poprawczych	„ „	4.943
„	szkołach średnich	„ „	27.000
			700.037

Nauczanie w szkołach zakonnych tak dalece wyżej stawiano niż nauczanie w szkołach państwowych, (nawet wtedy gdy szkoły te jeszcze nie były „świeckie"), że wielu z obecnych posłów, którzy głosowali za szkołą antykongregacyjną, wysyła swe dzieci zagranicę, by tam mogły nadal korzystać z zakonnego wychowania.

Co się tyczy wyrobienia religijnego wiernych, ponieważ do niedawna żyło się w Hiszpanji w atmosferze pokoju religijnego i w bezpiecznem posiadaniu odziedziczonej po przodkach wiary, nie dosyć starali się rodzice, nauczyciele i kapłani o należyte umocnienie w duszach podstaw wiary i nie wyzyskiwali w tym celu nauki religji w szkołach czy to powszechnych czy średnich. Reli-

gja polegała bardziej na praktykach pobożnych niż na uświadomionych przekonaniach, stąd gdy powiał huragan rewolucji, wiele tych słabych roślinek wiary wyrwał z korzeniem.

Brakło wykładów apologetyki i panowała szeroko niemała nieświadomość religijna. Rodzice i kapłani zdali sobie dziś sprawę z tego niedostatku i usiłują energicznie walczyć z niewiarą, która szerzy się nietylko przez szkoły, oficjalnie „świeckie", w praktyce nieraz ateistyczne, ale i przez podręczniki, przez wpływ profesorów kształconych w „Niezależnym Instytucie Nauczania Publicznego", przez bezbożną prasę, która obecnie przebiera miarę w zuchwalstwie, a wreszcie przez książki antyreligijne (przeważnie tłumaczone z obcych języków) i przez anonimowe broszury, wyśmiewające wszystkie wierzenia w sposób niesłychanie cyniczny a zupełnie bezkarny.

Jako środki obronne przeciw tym napaściom na naszą wiarę rozwija się przedewszystkiem szkoły katolickie prywatne, wzmacnia się wszędzie katechizację po parafjach, urządza się kursy apologetyczne i koła studjów religijnych, zwłaszcza wśród katolickiej młodzieży.

Co do stanu moralności chrześcijańskiej, to pomimo dość powszechnej wierności praktykom religijnym, o których mówiliśmy powyżej, trzeba powiedzieć, że moralność publiczna nie dotrzymywała kroku żywości wyznawanej wiary. Do tego stanu rzeczy przyczyniał się z jednej strony gorący temperament, właściwy krajom południowym, z drugiej strony wyuzdanie literatury zmysłowej i wprost pornograficznej, która zawsze cieszyła się u nas szeroką wolnością tak w dziennikach, jak w rozmaitych ulotkach i perjodycznych pismach, bardzo szeroko rozrzucanych, jakoteż w kinach i teatrach, które były podobnie wysoce demoralizującym czynnikiem.

Wydaje się nam jednak, że głównym powodem rozpanoszenia się złego był brak silnych przekonań religijnych, tak potrzebnych do skutecznej walki z namiętnościami.

Z tem wszystkiem jednak aż do upadku monarchji, a nawet i teraz (jeśli się uwzględnia ustawiczne napaści, na jakie jest narażona) moralność rodzinna pozostała na-

ogół dość czysta, jużto dlatego, że rozwody jeszcze w szerszą praktykę nie weszły, jużto, że nie przeniknęły jeszcze w ogniska domowe zgubne doktryny eugenezji, świadomego macierzyństwa, praw dziecka i t. p.

Wierność obowiązkom religijnym czyli praktyka katolicka jest bardzo różna w różnych prowincjach kraju. W stronach Biskajskich np. w Santander, Asturjach, Galicji, Starej Kastylji, i w królestwie Leonu olbrzymia większość katolików bywa na Mszy św. w dnie świąteczne i przystępuje do Komunji św. wielkanocnej. W południowych prowincjach natomiast te obowiązki są w dużo większem zaniedbaniu.

Skreśliwszy w ogólnych zarysach religijny obraz kraju przed nastaniem nowego porządku, przypatrzmy się teraz zmianom dokonanym tak w prawnem położeniu, jak w faktycznym stanie życia religijnego w naszym narodzie.

II.

Żeby zdać sobie sprawę z praw regulujących obecnie położenie Kościoła, trzeba rzucić okiem na główniejsze artykuły Konstytucji hiszpańskiej i na Ustawę o stowarzyszeniach religijnych.

„Art. I .... zaprowadza się rządy, oparte na wolności i sprawiedliwości".

Oczywiście dla wszystkich, prócz dla Kościoła, który jest bardziej skrępowany niż jakiekolwiek stowarzyszenia wywrotowe.

„.... władza we wszystkich swoich organach pochodzi od narodu" i to nietylko bezpośrednio, ale wyłącznie, z wyraźnem odrzuceniem teorji, jakoby władza w jakikolwiek sposób pochodziła od Boga, co pokazało się z wszelką oczywistością w odnośnej dyskusji.

Art. II. „Wszyscy Hiszpanie są równi w obliczu prawa". To postanowienie jednak idzie w niepamięć, gdzie chodzi o kapłanów i zakonników.

Art. III. „Republika hiszpańska nie ma żadnego oficjalnego wyznania". Artykuł ten godzi w najistotniejsze postanowienia konkordatu i odbiera Hiszpanji religję, którą wyznawała od dwudziestu wieków.

Art. XIV. „Do wyłącznej kompetencji państwa hiszpańskiego należy ustawodawstwo i moc wykonawcza . . . odnośnie do . . . .

2) stosunków między kościołami a państwem i zarządu spraw wyznaniowych". Chodzi tu o zapobieżenie tej ewentualności, żeby jakaś skądinąd autonomiczna prowincja hiszpańska np. Biskaja, mogła swobodnie układać się z Rzymem co do swych spraw wyznaniowych. Mocą tego artykułu musi ona koniecznie trzymać się ustaw świeckich całego państwa.

Art. XXV. „Wierzenia religijne nie mogą być podstawą żadnego prawnego uprzywilejowania" . . . ale oczywiście nie powinnyby też być powodem do utraty jakichkolwiek bądź praw. W rzeczywistości jednak widzimy, że wierzenia religijne są powodem do wyjątkowego traktowania obywateli, bo wielu urzędników usunięto z posady jedynie dlatego, że byli wierzącymi katolikami, a wielu innych czeka ten sam los.

Art. XXVI wymierzony jest wprost przeciw religji katolickiej i ma wyraźnie prześladowczą tendencję:

1) „Wszystkie wyznania religijne będą uważane za stowarzyszenia poddane osobnemu prawu". Przez to zaprzecza się Kościołowi katolickiemu charakteru doskonałej, suwerennej w duchowym porządku i niezależnej społeczności, owszem, spycha się Go poniżej stowarzyszeń, rządzących się ogólnem prawem.

To już nie jest rozdział Kościoła i Państwa (art. 3), ale zupełne poddanie Kościoła Państwu z większą zależnością niż mają inne rodzaje związków.

2) „Państwo, prowincje, okręgi i gminy nie będą ani utrzymywać, ani brać w opiekę, ani wspomagać materjalnie czy to kościołów, czy stowarzyszeń lub instytucyj religijnych". Cel jest jasny: pozbawienie Kościoła materjalnych środków i zamknięcie drogi do wsparć, jakich udzielały instytucjom religijnym (szpitalom, przytułkom i t. p.) prowincjonalne władze rządowe czy autonomiczne.

3) „Osobna ustawa ureguluje zupełne wygaśnięcie budżetu kultu, najdalej w przeciągu dwóch lat". To wygaśnięcie dokonało się przed upływem dwóch lat

i bez żadnej osobnej ustawy, z wielką krzywdą Kościoła, który miał w tej mierze prawa najsłuszniej nabyte i z prawdziwem okrucieństwem, zwłaszcza względem tych duchownych, którzy z powodu wieku lub choroby nie mogą zdobyć sobie środków do życia.

4) „Rozwiązuje się te zakony, które prócz zwykłych trzech ślubów kanonicznych z ustaw swoich nakładają na członków osobny ślub posłuszeństwa zwierzchności, odrębnej od prawowitej władzy państwowej. Dobra tych zakonów będą skonfiskowane na rzecz państwa i przeznaczone na cele dobroczynne i oświatowe".

Artykuł ten, wymierzony wprost przeciw Towarzystwu Jezusowemu, został wykonany mocą osobnego dekretu 23 stycznia ub. roku. Zakon św. Ignacego Loyoli został „rozwiązany" na ziemi, która go wydała i to wyraźnie z powodu osobliwego posłuszeństwa, jakie ślubuje dla Stolicy świętej.

N. B. już w roku 1927 Wielka Loża hiszpańska wciągnęła w program swych dążeń wygnanie jezuitów *(expulsion de los jesuitas)*, a w r. 1928 na ogólnem zebraniu uchwaliła intensywną walkę z jezuityzmem *(activa campana contra el jesuitismo)*. Walka ta nie chybiła celu.

Na rozwiązanie domów zakonnych przeznaczał dekret nie więcej niż 10 dni. Zupełna konfiskata dóbr dokonana została bardzo szybko, by zapobiec jakiemukolwiek ich ukryciu. W tym celu stworzony został osobny komitet, bardzo wysoko opłacany, który z wyłączeniem jurysdykcji zwykłych sądów, sam roztrząsał wszelkie dotyczące sprawy, a roztrząsał tak, że wszystkie reklamacje pozostały bezowocne. Przy całej krzywdzącej operacji powstało tyle różnych praw na korzyść osób trzecich, że będzie bardzo trudne odrobienie tej rzeczy, o ileby do niego kiedyś przyjść miało.

5) „Inne zakony będą poddane osobnemu prawu ułożonemu dla nich przez ciała prawodawcze, a opierającemu się na następujących podstawach:

a. Rozwiązane będą zakony, których działalność okazałaby się zgubną dla państwa.

b. Zakony, które mają pozostać przy życiu będą wpisane w specjalny rejestr, zależny od Ministerstwa Sprawiedliwości.
c. Nie będą mogły nabywać ani posiadać czy to same przez się czy przez podstawioną osobę większej ilości dóbr materjalnych nad tę, która wedle dokonanego sprawdzenia, potrzebna jest do ich utrzymania, albo do wypełnienia właściwych im zadań.
d. Zabrania się im uprawiać przemysłu i handlu, albo oddawać się nauczaniu.
e. Będą one podlegać wszystkim ustawom podatkowym państwa.
f. Będą miały obowiązek przedkładania Rządowi corocznie rachunków ze sposobu użycia swych funduszów dla właściwych sobie celów".

Nietrudno zrozumieć, że te przepisy są dla dotkniętych niemi zgromadzeń dekretem powolnej zagłady.

Art. XXVII. . . . 1) „Cmentarze będą poddane wyłącznie jurysdykcji urzędów cywilnych i nie będzie w nich żadnych osobnych miejsc, odgrodzonych z religijnych względów".

W imię ustawy, wydanej niedawno w myśl tego artykułu gdzieniegdzie już zasekwestrowano cmentarze parafjalne, gdzieindziej znów uroczyście i przy odpowiednich przemówieniach obalono mury, dzielące cmentarze kościelne od niepoświęconych, wyrzucono krzyże liturgiczne, a kaplice zamieniono na kostnice. Wydano również zakaz grzebania po katolicku tych, którzy za życia czy to ustnie przy świadkach, czy pisemnie przez formalny testament nie zażądali dla siebie kościelnego pogrzebu. Zastosowanie tej ustawy posunięto tak daleko, że nie zezwolono na pogrzeb kościelny kilku już kapłanów i zakonników pod pozorem, że za życia nie objawili co do tego swej woli. Dopiero świeżo wydano deklarację, że co do kapłanów i zakonników tę wolę suponować można.

2) „Wszystkim wyznaniom wolno nabożeństwa swoje odprawiać prywatnie. Natomiast na wszystkie publiczne manifestacje religijne potrzeba za każdym

razem osobnego pozwolenia rządu". Artykuł ten ściągnął ciężkie przykrości i kary pieniężne na kapłanów i na lud wielu miejscowości, w których po odmówieniu pozwolenia na procesje, próbowano po dawnemu odprawiać tradycyjne obchody.

3) „Wyznanie religijne nie będzie w niczem wpływać na ograniczenie osobowości cywilnej czy politycznej". Niestety jest ten paragraf w krzyczącej opozycji do ustawy o stowarzyszeniach religijnych i do wielu artykułów samej Konstytucji.

Art. XXXIII. „Każdemu obywatelowi przysługuje zupełna wolność wyboru zawodu. Uznaje się prawo do swobodnego uprawiania przemysłu i handlu". I ten artykuł stoi w sprzeczności do ustawy o stowarzyszeniach religijnych.

Art. XXXIV. „Każdy ma prawo objawiać swobodnie swe myśli i zapatrywania, posługując się w tym celu jakimkolwiek sposobem propagandy". Owocem tego artykułu jest formalny zalew całego kraju powodzią niegodziwych, bezbożnych i niemoralnych publikacyj, cieszących się zupełną swobodą, podczas gdy naodwrót prasa prawicowa gnębiona jest dotkliwemi karami. Zawieszonych zostało na dłuższy czas niemniej niż 112 czasopism pod pozorem spisku wojskowego przeciw obecnemu rządowi.

Art. XXXIX. „Wszystkim Hiszpanom wolno swobodnie się zrzeszać i zakładać syndykaty dla różnych celów życia ludzkiego". Znowu artykuł, któremu wyraźnie sprzeciwia się ustawa o stowarzyszeniach religijnych, pozwalająca na mieszanie się w rządy wewnętrzne nawet tych związków, które w niczem nie wykraczają przeciw publicznemu dobru.

Art. XLIII. . . . . „Małżeństwo może być rozwiązane za obustronną zgodą, lub na życzenie któregokolwiek z małżonków, przy podaniu w tym ostatnim wypadku słusznej przyczyny". Jest to niesłychanie gwałtowny atak na rodzinę chrześcijańską i na całą w tej mierze tradycję Hiszpanji. Jednym krokiem dościga się tu najzuchwalej postępowych narodów. Nietrudno bowiem zrozumieć, że dopuszczenie rozwodu za obopólną zgodą i na życzenie jednego z małżonków (odnośna ustawa, już uchwalona, wymienia tu 13 „słusznych" powodów) musi zupełnie rozchwiać

stałość węzła małżeńskiego, dotąd w Hiszpanji bardzo szanowanego.

Prawo o rozwodach odbiera trybunałom kościelnym wszelką jurysdykcję w sprawach małżeńskich i pozbawia skuteczności ewentualne ich wyroki, skutkiem czego nawet katolicy, by zabezpieczyć prawne skutki rozstrzygnięciom spraw małżeńskich, będą zmuszeni udawać się z niemi do trybunałów świeckich.

Następne paragrafy tego samego artykułu podkreślają jeszcze materjalistyczne pojęcia małżeństwa i rodziny. „Ojcowie mają jednakowe obowiązki względem ślubnych i nieślubnych dzieci". „Dochodzenie ojcostwa odbywać się będzie wedle ustaw cywilnych". „Nie wolno będzie wpisywać w aktach stanu cywilnego żadnych uwag dotyczących prawego czy nieprawego pochodzenia dzieci". „Państwo przyjmuje t. zw. „deklarację genewską" czyli wykaz praw dziecka".

Art. XLIV. „W żadnym wypadku nie będzie nakładana kara konfiskaty dóbr". Dlatego odbierając Kościołowi wszystko, co posiadał, mówi się eufemistycznie o „nacjonalizacji" dóbr.

Art. XLV. „Państwo może przeszkodzić wywożeniu i zastawianiu narodowych skarbów sztuki". W stosunku do Kościoła zabezpieczono się radykalnie przed wywozem przedmiotów o wartości artystycznej, przez zupełne ich zabranie, czego nie zrobiono z żadnem innem stowarzyszeniem ani żadną prywatną osobą.

Art. XLVIII. „Prawo nauczania jest istotną atrybucją państwa". Tę atrybucję „istotną" zamienia Ustawa o stowarzyszeniach religijnych w stosunku do Kościoła na „wyłączną", zabraniając zupełnie Kościołowi otwierania jakichkolwiek szkół. Pozwala się mu tylko, jak i innym wyznaniom religijnym, „zakładać i prowadzić uczelnie przeznaczone do nauczania własnych doktryn i wychowywania własnych duchownych (Szkoły katechetyczne i seminarja). Inspektorat rządowy czuwać jednak będzie nad tem, by w tych zakładach nie uczono doktryn przeciwnych bezpieczeństwu Rzeczypospolitej". (Ustawa o stowarz. relig. art. 21.)

Minister sprawiedliwości w czasie dyskusji nad tym artykułem twierdził, że nawet prywatnym osobom nie bę-

dzie wolno otwierać szkół katolickich, opierając się na tem, że w myśl 48-go artykułu Konstytucji całe nauczanie ma być świeckie. Jednakowoż katolicy hiszpańscy powołując się na wolność nauczania, przygotowują na wielką skalę organizację wolnych, katolickich szkół, twierdząc, że obowiązkowa „świeckość" może odnosić się tylko do szkół prowadzonych przez państwo, nie do tych, które otwierają ludzie prywatni.

Nie będziemy się tu rozwodzić nad ogromną szkodą jaką wyrządza narodowi „świecki" (właściwie ateistyczny) kierunek wychowania, zwłaszcza gdzie idzie o nauczanie elementarne. Wielu nauczycieli, chcąc przypodobać się panującym nastrojom afiszuje zaciekły fanatyzm antyreligijny, mimo, że ciągle mówi się o „neutralności" i o poszanowaniu sumienia dziecka.

Powstało stowarzyszenie ludzi „pracujących w szkolnictwie", złożone z samych nauczycieli socjalistów, które z wydatnem poparciem rządu usiłuje wciągnąć w swe kadry całe nauczycielstwo kraju. Rozciąga ono bardzo ścisłą kontrolę nad wszystkimi, którzy nie „czują po republikańsku" i nie są zwolennikami zupełnego laicyzmu. Z kalendarzy szkolnych usunięto wszystkie święta, z wyjątkiem niedziel. Jednakowoż udzielanie nauki w dnie takie jak święta Niepokalanego Poczęcia lub Bożego Ciała jakoteż usunięcie wizerunku Ukrzyżowanego ze sal szkolnych wywołało w wielu miejscach rozgoryczenie przywiązanego do tradycji ludu, a nawet zaburzenia.

Ustawa o stowarzyszeniach religijnych jest dokumentem pierwszorzędnej wagi, a dla naszego przedmiotu niezmiernie interesującym.

Art. 1. „Niniejsza ustawa będzie normą w tej materji na całem terytorjum hiszpańskiem", w czem mieści się oczywiste pogwałcenie konkordatu, bo ustawodawstwo jednostronne w materji konkordatem objętej.

Art. 3. „... Dla sprawowania obrzędów religijnych poza obrębem świątyń potrzeba za każdym razem osobnego pozwolenia władz państwowych". W projekcie tego artykułu wyjątek stanowiły pogrzeby i uroczyste noszenie św. Wiatyku do chorych, ale po dyskusji oba te wyjątki skreślono,

tak, że oba wspomniane obrzędy wymagają już specjalnego pozwolenia władz.

„Zebrania i manifestacje religijne, w jakiemkolwiek miejscu by się odbywały, nie będą mogły mieć politycznego charakteru". Ten paragraf daje władzom możność rozwiązywania zebrań czysto religijnych, pod pozorem, że wkraczają na teren polityczny (np. zebrań Akcji Katolickiej) co istotnie już niejednokrotnie miało miejsce.

„Napisy, znaki (sygnały), ogłoszenia i godła budynków przeznaczonych dla kultu, będą podlegać ogólnym formom nadzoru policyjnego". Na podstawie tego paragrafu obłożono w wielu miejscach osobnemi podatkami dzwony kościelne, a gdzieniegdzie jużto zakazano wogóle ich używać, jużto pozwolono dzwonić tylko w pewnych godzinach „by nie zakłócać spokoju mieszkańców".

Art. 7. „Wyznaniom religijnym będzie wolno swobodnie mianować swoich duchownych, admistratorów i innych kandydatów na godności i urzędy kościelne, byleby byli Hiszpanami". Swoboda ta byłaby bardzo pożyteczna dla Kościoła, gdyby jej zupełnie nie burzył bezpośrednio następujący paragraf.

„Pomimo to państwo zastrzega sobie prawo nie uznania osób zamianowanych na mocy powyższego rozporządzenia, jeśliby mianowanie padło na osobę niebezpieczną dla porządku lub bezpieczeństwa państwa". Jakie osoby mogą być uważane za niebezpieczne dla państwa o tem dostatecznie poucza sposób, w jaki postąpiono z tą chlubą hiszpańskiego Episkopatu, jaką był Kard. Segura.

Art. 8. „Wyznania religijne mogą swobodnie układać swe rządy wewnętrzne, ale tylko w granicach takich konsekwencyj prawnych, które są zgodne z prawami krajowemi". Znaczy to, że zaprzecza się Kościołowi prawa samorządu, ograniczając doniosłość ustaw i aktów jego wewnętrznego życia wymaganą zgodą z prawami państwowemi. Wypływa zaś to wszystko z uwagi zamieszczonej w przedmowie do ustawy, że „Kościół uważa się za proste stowarzyszenie, a nie za korporację, istniejącą na prawie publicznem". Próbkę zastosowania tego artykułu zawiera artykuł następny.

Art. 9. „Każda zmiana terytorjalnych rozgraniczeń w łonie Kościoła katolickiego, musi być najpierw notyfikowaną rządowi, zanim wejdzie w życie".

Cały dalszy rozdział, obejmujący artykuły od 11—20 to niesłychany zamach na prawo własności Kościoła katolickiego i krzyczący dowód partyjnej niesprawiedliwości, wszystkie bowiem inne wyznania pozostawia się w spokoju, tylko Kościół odziera się ze wszystkiego.

a) Zabrania się jakimkolwiek organom publicznego życia przychodzić Kościołowi z materjalną pomocą. — A to już po skasowaniu budżetu religijnego, który, jak mówiliśmy wyżej, był tylko częściowem odszkodowaniem za zabrane Kościołowi dobra!

b) „Przechodzą na własność narodową (źle zamaskowana konfiskata) wszystkie, jakiejkolwiek kategorji kościoły i należące do nich budynki, pałace biskupie i plebanje z przyległemi lub nieprzyległemi ogrodami, seminarja, klasztory i inne gmachy przeznaczone dla potrzeb kultu katolickiego lub jego duchowieństwa. To samo odnosi się do sprzętów, szat kościelnych, obrazów, rzeźb, naczyń kościelnych, kosztowności i tkanin, jakoteż do wszystkich przedmiotów, znajdujących się po kościołach". Jako interesujący argument na usprawiedliwienie tej grabieży powiada się, że te dobra przeznaczone były niegdyś dla służby publicznej, skoro więc teraz, po oddzieleniu Kościoła od państwa, kult katolicki przestał być publiczną sprawą, dobra te muszą wrócić do narodu, do którego należały. W ten sposób „likwiduje się przeszłość dziejową" jak to przedmowa do Ustawy wyraźnie zapowiada.

c) Art. 12. „Dobra te będą dalej służyć do religijnego użytku kultu katolickiego — Kościół jednak nie będzie mógł niemi rozporządzać i ograniczy się do używania ich wedle ich przeznaczenia". Znaczy to, że Kościół z właściciela staje się użytkowcem i to bardzo niepewnym, bo tylko tak długo, dopóki nowa ustawa czegoś innego nie zarządzi. Z drugiej strony

wszakże obowiązany jest do płacenia podatków, jakby był właścicielem (Ten sam art. 12).

d) „Kościół ma utrzymywać i konserwować rzeczy, które państwo uzna za stosowne mu pozostawić, jeśli chodzi o przedmioty cenne lub posiadające wartość artystyczną lub historyczną".

e) „Dobra ruchome należące do jednostek i korporacyj religijnych, choćby nawet nie służyły do kościelnego użytku, będą jednak nieprzenośne, przechowywać się będą w miejscach, dla publiczności dostępnych i będą mogły być umieszczone w muzeach, w razie zaś ich ukrycia, osoby kościelne będą za to odpowiadać".

f) „Prawo nabywania i posiadania będzie ograniczone na przyszłość w następujący sposób: Dobra nieruchome wolno będzie posiadać tylko w takiej ilości, w jakiej są konieczne do potrzeb kultu. Nadwyżka ma być zamieniona na obligacje pożyczki państwowej. Dobra nieruchome jakiekolwiek, będzie mógł Kościół nabywać i posiadać, jeżeli jednak polegają na papierach procentowych lub akcjach przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, to te muszą być konwertowane i ulokowane w obligacjach pożyczki państwowej".

Łatwo zrozumieć, iż i to prawo, lubo tak bardzo ograniczone, jest jeszcze bardzo chwiejne, bo może je zupełnie znieść nowa ustawa.

Następny rozdział IV w jedynym artykule (21-ym lub 20-ym wedle innej rachuby) jest oczywistem pogwałceniem praw nauczycielskich Kościoła, któremu tylko pozwala nauczać swoich zasad i kształcić swoich duchownych, a zabrania otwierania szkół katolickich, w których obok religji wykładanoby inne przedmioty pomocnicze.

Rozdział V godzi w dzieła dobroczynności kościelnej.

Przełożeni dzieł i zakładów dobroczynności publicznej choćby byli zwolnieni z tego obowiązku aktem fundacyjnym, muszą przedstawiać państwu rachunki ze swej administracji.

Będą oni mogli być usunięci przez państwo z powodu zaniedbania swych obowiązków.

Rząd przedsięweźmie odpowiednie środki, by zastosować te instytucje do nowych potrzeb społecznych... uwzględniając, o ile to możliwe, wolę fundatorów.

Rozdział VI traktuje o zakonach i kongregacjach religijnych. [1])

a) Przedewszystkiem zakony i kongregacje będą poddane i tej ustawie i ogólnemu prawu — co znaczy, że będą w gorszem położeniu niż jakiekolwiek inne związki (art. 25).

b) Rząd będzie mógł zamykać domy, a Kortezy i rozwiązywać instytuty zakonne, jeśliby się wdawały w działalność polityczną.

c) Dla uzyskania legalnego istnienia muszą wszystkie kongregacje wpisać się w rejestr publiczny, przyczem przedłożą dwa egzemplarze swych ustaw, wyjaśnienie swego celu, opis zajmowanych przez nie budynków, które nie mogą być własnością osób trzecich, sprawozdanie o wszystkich swych dobrach nieruchomych oraz ruchomych kosztownościach i kapitałach, czy posiadają je bezpośrednio czy przez pośrednictwo innej osoby, imiona i nazwiska przełożonych prowincjonalnych i lokalnych, którzy muszą być narodowości hiszpańskiej, imiona i nazwiska członków, z których najwyżej jedną trzecią mogą tworzyć obcokrajowcy, wykaz posagu wniesionego przez każdego członka (art. 20).

d) Nie będą mogły posiadać więcej dóbr nad te, których potrzebują do życia i spełniania swego właściwego celu.

e) Nie będą mogły mieć większych dochodów nad podwójne pokrycie wydatków (art. 28).

f) Nie będą mogły zachować dóbr nieruchomych, dobra zaś już nabyte muszą konwertować na obligacje pożyczki państwowej (art. 29).

---

[1]) Cała niniejsza ustawa nosi tytuł: *La ley de congregaciones religiosas*, a mimo to w pięciu rozdziałach traktuje o Kościele jako takim, i dopiero szóstemu rozdziałowi daje tytuł: *Ordenes y Congregaciones religiosas*. By uniknąć tej niedokładności terminologji, przełożyliśmy pierwsze *Congregaciones* wyrazem „stowarzyszenia", drugie wyrazem „kongregacje".

g) Zarząd gospodarczy każdego domu czy rezydencji będzie podlegał kontroli państwa i dlatego będzie przedkładał odpowiednim władzom ścisłe rachunki.

h) Zakonnikom nie wolno prowadzić przemysłu, handlu ani uprawy roli (art. 30).

„Zakonom i kongregacjom nie będzie wolno oddawać się nauczaniu ani bezpośrednio ani przez podstawione osoby (art. 31).

„Zakonnicy zaprzestaną prowadzenia szkół średnich z najbliższym dniem 1 października, szkół powszechnych z dniem 1 stycznia (art. 32).

Nie został natomiast wprowadzony w niniejszą ustawę wniosek jednego z posłów, by zakonnikom nawet jako osobom prywatnym zabroniono nauczać, chociażby posiadali stopnie akademickie.

Możemy tu dodać uwagę, że w sprawie zastąpienia szkolnictwa zakonnego będzie miało państwo bardzo wielkie trudności. Niestety jednak jeszcze większy jest fanatyzm sekciarski i chciwość wielu nauczycieli, którzy spodziewają się zrobić dobry interes na zamknięciu szkół zakonnych. Można więc przypuścić, że kosztem wielu miljonów spełnią się plany masonerji odchrześcijanienia kraju przez zupełne zlaicyzowanie nauczania.

Zasługuje z drugiej strony na wszelką pochwałę działalność katolików, którzy ze swymi posłami na czele, gotują się do podjęcia walki, składając ogromne sumy dla stworzenia całej organizacji szkół wolnych i wyznaniowych, które wszędzie mają się przeciwstawić świeckim szkołom państwowym. W dziele tem pokładamy wielkie nadzieje ochrony dusz dzieci przed ateizmem i bezbożnością.

III.

Jeżeli teraz chodzi o to, czego w tym stanie rzeczy możemy spodziewać się dla religji na przyszłość — przedewszystkiem musimy zauważyć, że w wielkiej dezorjentacji, jaką wywołała gwałtowna i tak radykalna zmiana ustroju, niełatwo jest coś stanowczo przewidzieć. Jedni, oddając się wygodnemu pesymizmowi, poprzestają na skargach, że „za-

padamy się w chaos"; inni, niezachwiani w optymizmie, twierdzą, że ten stan rzeczy trwać nie może, że niebawem trzeba oczekiwać nowego przewrotu i że owszem dobrze się stało, że zblamowali się ludzie będący obecnie u steru i że zdyskredytowała się sprawa, której służą.

Co do nas — pozostawiając już na boku względy nadprzyrodzone t. j. ufność, że Bóg nie opuści tej Hiszpanji, w której żyło i żyje tylu jego wiernych sług, powiemy kilka słów o sytuacji obecnej i o prawdopodobnej przyszłości, tak w politycznej, jak w społecznej dziedzinie.

A więc w dziedzinie politycznej jest zupełnie niewątpliwe, że codziennie wyraźniej zaznaczają się dwa obozy: prawicowy i skrajnie lewicowy.

Zdecydowana orjentacja prawicowa przeważa w klasach wyższych i średnich (kupcy, przemysłowcy, rolnicy, inteligencja bez specjalnych zawodów) oraz w zdrowej części ludu, która mocno reaguje na prawne i społeczne zamachy.

Należy jednak zauważyć, że nie cały ten obóz prawicowy, zdaniem niektórych tak potężny, że stanowi dla rządu poważną groźbę, można zaliczyć do katolickiej reakcji, o którą jedynie nam tu chodzi. U jednych t. j. u monarchistów na pierwszy plan wybija się nie kościelny ale polityczny interes. Coprawda mają oni rację twierdząc, że republikańskie stronnictwa były w Hiszpanji zawsze wrogo dla Kościoła usposobione. U innych znowu — są to t. zw. konserwatyści (zwani u nas *conservaduros*...) główną preokupacją jest położenie ekonomiczne i sądzą, że taki Maura byłby na te nasze czasy zbawieniem.

Pozatem jednak istnieje i blok szczerze katolicki, reprezentowany przez dwa wielkie dzienniki *Siglo Futuro* i *El Debate*, które lubo w sposób nieco odmienny, przedewszystkiem mają na oku sprawy Kościoła.

O rozmiarach tego bloku katolickiego może dać pewne pojęcie sfera wpływu obu tych pism. *El Debate* którego redakcja świeżo nabyła 4 wielkie maszyny rotacyjne za cenę około 4 miljonów pesetów, daje swym czytelnikom, a jest ich zgórą 200.000, codziennie 12 wielkich stron (w niedzielę 20) pełnych wybornych i gruntownych tak artykułów jak informacyj. Oczywiście jest solą w oku obozowi rządowemu

i dlatego przedmiotem ciągłych napaści. Również *Siglo Futuro* który pięciokrotnie zwiększył swój nakład od czasu połączenia się partyj tradycjonalistów i integralistów, stale a energicznie działa w katolickiej sprawie.

W teorji wszyscy pragną zgody wśród katolików, która umożliwiłaby zwycięstwo nad wrogiem, w praktyce jednak to zjednoczenie umysłów rozbija się o różne trudności i osobiste względy tak, że co najwięcej można się spodziewać przygodnego przymierza na czas wyborów. Nie brak jednak pesymistów, którzy sądzą, że ani w czasie wyborów nie uda się tej pożądanej unji zrealizować.

Co się tyczy obozów lewicowych i tam niema pełnej zgody. Właściwi republikanie z partji ministerjalnej nie mają oparcia w masach. Stronnictwo radykalne *Lerroux*, do niedawna bardzo liczne, podobno straciło wielu zwolenników, nie ma swego organu w prasie i przy najbliższych wyborach niezawodnie poniesie wielkie straty. Inne partje: Akcja republikańska *Orga, Ezguerra, Federal,* radykalno-socjalistyczna również nie liczą wielu członków i zdyskredytowały się wobec Rządu.

Pozostaje partja socjalistyczna, która choć jako taka nie jest zbyt liczna, ma silne oparcie w „Powszechnem Zjednoczeniu robotniczem".

Jednakże z drugiej strony wielu robotników, widząc z rozczarowaniem, że położenie ich nie polepsza się ale pogarsza, skutkiem zamknięcia licznych fabryk oraz zastoju w przemyśle i rolnictwie, przerzuciło się do gwałtownej opozycji przeciw rządowi. Na zebraniach i w swych pismach, które, nawiasem mówiąc, liczą coraz mniej abonentów, wyzywają rządowców od burżujów, reakcjonistów, faszystów, amatorów tłustych posad i t. p. nawołując przytem wszystkich robotników i wieśniaków, by wpisywali się w ich kadry, noszące wyraźny anarchistyczny lub komunistyczny charakter. (*C. N. T.* — syndykaliści i anarchiści; *Mundo Obrero* — komuniści). Sam „Związek Młodzieży Komunistycznej" liczy podobno do 5000 członków, a po kongresie, który niebawem ma się odbyć, spodziewają się dojść do 15000.

Co zaś najdziwniejsze to to, że gdy chodzi o kierunek jaki należy nadać rządom kraju, cały obóz ministerjalny

woła, by lewica więcej działała. To znaczy, że w obawie monarchicznej reakcji wolą oddać kraj w ręce syndykalistów, anarchistów i komunistów. I ci sami „burżuje ministerjalni" nie przestają rozwijać w swej prasie propagandy idei, które niedaleko odbiegają od rosyjskich.

Jednem słowem rząd obecny żyje życiem fikcyjnem i sztucznem, bez oparcia w narodzie i bez prawdziwej pomocy nawet ze strony tej prasy, która dotąd uchodzi za „ministerjalną", bo pisma ich (*Sol, Luz, Ahora, Voz* i t. p.) zmieniły obecnie kierunek i otwarcie krytykują „ojców" republiki.

Co dotyczy społecznego porządku, niema nic dziwnego, że po przewrotach, jakich byliśmy świadkami, przyszedł i społeczny rozstrój. Objawił się on w dziedzinie religijnej niesłychanem zuchwalstwem w podpalaniu świątyń, które uchodziło prawie zawsze bezkarnie, w obkładaniu karami duchowieństwa, pod zupełnie błahemi pozorami, przez bezgraniczne wyuzdanie, z jakiem w dziennikach, czasopismach i ulotkach rzucano się na Kościół, kapłanów i wogóle na katolików. Czynne napaści na osoby były dotąd nieliczne, ale prasa lewicowa grozi, że i na nie przyjdzie kolej.

W życiu gospodarczem objawił się ogólny upadek przemysłu, handlu, rolnictwa i chowu bydła. Właściciele jużto nie mogą podołać rosnącym wymaganiom pracowników, jużto w obawie o bezpieczeństwo swych fabryk, firm i innych przedsiębiorstw, wolą je zamknąć i zadawalniać się zyskiem, mniejszym wprawdzie, ale mniej wystawionym na napaści, podpalania i kradzieże. Te zaburzenia społecznego porządku i przez to także bardzo zaciążyły na ludności, że pociągnęły za sobą konieczność znacznego wzmocnienia straży publicznego bezpieczeństwa. I nie może być inaczej, skoro potężna propaganda idei komunistycznych i wywrotowych dokonywa się nieraz pod zachętą samych kół rządowych.

W dziedzinie oświatowej, z której przedewszystkiem pyszni się republika, jak konstatuje *El Sol*, podówczas jeden z organów ministerjalnej partji, choć wchodzimy w trzeci rok istnienia rzeczypospolitej, nie widać jeszcze żadnego postępu. Zamknięto niezliczone szkoły zakonne i otwarto

w ich miejsce kilka świeckich. To się nazywa, wedle pewnych gazet, że „Hiszpanja weszła już na drogę kulturalnego współzawodnictwa z innemi narodami".

Wobec tego wszystkiego, czegóż spodziewać się można na przyszłość?

W dziedzinie politycznej ludzie najlepiej zorjentowani spodziewają się przy następnych wyborach, pomimo ogromnego nacisku sfer rządowych, znacznego wzmocnienia prawicowych stronnictw. Panuje bowiem ogólne zniechęcenie do metod rządzenia obecnie używanych i zaczynają bardzo dotkliwie dawać się we znaki religijne, ekonomiczne, społeczne ich owoce.

Na polu religijnem spodziewać się można tej wielkiej korzyści, że religja będzie dużo lepiej poznana, uświadomiona, więc i zdolniejsza do tego, by bronić się przeciw zaczepkom opozycji. Powstające dziś szkoły będą naprawdę katolickie, a nietylko z nazwy, jak dawniej często bywało. Młodzież obojej płci z zapałem garnie się do organizacyj kościelnych. Młodzi związkowcy wyrabiają się na dzielnych propagandystów i uczą się naprawdę sztuki poświęcenia za wiarę; dziewczęta kształcą się gorliwie w kursach katechetycznych, by służyć Kościołowi nauczaniem zasad wiary. Wszystko to będzie potrzebne dla zatamowania spustoszeń, jakich dokonywa szkoła bezwyznaniowa, dopóki nowa sprawiedliwsza ustawa nie przyzna katolikom odpowiedniej części funduszów przeznaczonych na oświatę publiczną.

Niestety jednak przyznać trzeba, że niemało jeszcze jest t. zw. katolików, którzy z karygodną obojętnością patrzą na to, co się dzieje i nie mają ochoty poświęcić dla sprawy katolickiej ani swych wygód, ani osób, ani grosza.

Z tem co stało się i dzieje się na polu społecznem, łączy zapewne Opatrzność swoje miłosierne zamiary. Ten ogromny przewrót i postęp komunizmu powinien otworzyć oczy klasom bogatym i średnim, że trzeba żyć szczerzej po katolicku a mniej po światowemu, że trzeba bardziej zajmować się uboższemi warstwami ludności i nie cofać się przed temi ofiarami na rzecz społecznego dobra, jakich domagają się encykliki ostatnich papieży.

Joachim Hurtado.

Polskie Towarzystwo Eugeniczne.

Ruch eugeniczny, czyli wprowadzanie w życie zasad eugeniki, jest jeszcze młodym, bo nawet w ojczyźnie swej — w krajach anglosaskich i w Niemczech (pod nazwą Higjeny rasy) — liczy zaledwie ćwierć wieku istnienia. Pierwsze Towarzystwa eugeniczne powstały w Stanach Zjednoczonych Am. Pn. w r. 1903 r., w Niemczech 1905 r., w Anglji 1908 r., w wielu innych krajach dopiero znacznie później. Wszystkie zaś łączą się dziś w Międzynarodowym Związku T-rzystw Eugenicznych z siedzibą w Londynie.[1])

W Polsce ruch eugeniczny rozpoczął się niemal równocześnie z odzyskaniem niepodległości. Inicjatorem i po dziś dzień główną jego sprężyną jest dr. med. Leon Wernic, a osią, koło której skupia się właściwa naukowa i praktyczna działalność na tem polu, jest Polskie Towarzystwo Eugeniczne, z centralą w Warszawie.

Rozwój jego był stopniowy i powolny, a poprzedziło go parę lat, które możnaby określić jako stadjum przygotowawcze. Mianowicie już w grudniu 1915 r. w łonie warszawskiego T-stwa Higjeny im. Bolesława Prusa wyodrębnił się, pod kierownictwem dra L. Wernica, osobny wydział walki z nierządem i zarazą weneryczną, który w rok później stał się samodzielnem Polskiem T-stwem walki z chorobami wenerycznemi i nierządem. T-stwo to stanowiło zawiązek właściwego ruchu eugenicznego, jaki rozwinął się dopiero po wojnie. Na zorganizowanym w listopadzie 1918 r., pod protektoratem ministerstwa Zdrowia Publicznego, I-ym Wszech-

[1]) Bliższe szczegóły p. Przegląd Powszechny, marzec 1932 r. str. 319.

krajowym Zjeździe w sprawie wyludnienia kraju (radzono nad wyżywieniem ludności, opieką nad macierzyństwem i dziećmi, walką z chorobami wenerycznemi i nierządem) uchwalono zmienić dotychczasową nazwę na Polskie T-stwo walki ze zwyrodnieniem rasy. W tymże roku zaczęto wydawać, istniejący dotąd, organ *Zagadnienia rasy,* którego zadaniem miało być „pogłębianie w sferach inteligentnych świadomości, jak doniosłą jest sprawa zdrowia narodowego, oraz dążenie do zorganizowania w tym kierunku pracy społecznej, naukowej i publicystycznej".

Nowa instytucja spotkała się z przychylnem przyjęciem i dzięki rosnącej liczbie członków mogła przystąpić do zróżniczkowania pracy. W r. 1919 utworzono dwie sekcje: sekcję zapobiegania i lecznictwa, która miała „popularyzować zasady etyki seksualnej i znaczenie chorób zwyradniających dla jednostki i ogółu"; sekcję społeczno-prawną, której zadaniem było „ujęcie w normy prawne walki z chorobami wenerycznemi" (opracowano projekt ustawy). W 1920 powstała sekcja eugeniczna; należało do niej „badanie warunków doboru płciowego, prawidłowego rozwoju człowieka oraz spraw, związanych z jego przyjściem na świat i wychowaniem". W r. 1921 przybyła jeszcze sekcja „wychowania płciowego i etycznego".

Równocześnie rozpoczyna się rozrost T-stwa w innych częściach kraju. Powstają nowe jego filje, t. zw. Oddziały: w r. 1919 w Częstochowie, Białymstoku i Kielcach; w r. 1920 w Radomiu, Piotrkowie, Płocku, Łomży, Tomaszowie Rawskim i Łodzi; w r. 1921 w Poznaniu, Krakowie i Lwowie; w r. 1922 w Grudziądzu i Wilnie. Jak zobaczymy później, nie wszystkie jednak z tych filij zdołały się utrzymać, niektóre zlikwidowano zczasem, inne wykazują słabą żywotność.

Z końcem października 1921 r. T-stwo zorganizowało w Warszawie II-i Wszechkrajowy Zjazd Eugeniczny (I-y odbył się w r. 1918), który trwał dwa dni i zgromadził sporą liczbę uczestników. W tymże roku rozpoczęto również wydawnictwo „Bibljoteki eugenicznej", która dziś obejmuje kilka cyklów (biologiczny, eugeniczny, o poradniach przedślubnych, weneryczny, małżeństwo i macierzyństwo, wybór zawodu i wychowanie, wykłady dla lekarzy, podręczniki),

a w nich kilkadziesiąt zeszytów i jedną większą pracę. Poza tem T-stwo wydaje okazyjnie różne ulotki i plakaty propagandowe lub związane z pewnemi działami jego akcji.

Rosnące potrzeby w zakresie walki z nierządem i handlem żywym towarem skłoniły T-stwo do przekazania podjętej na tem polu pracy osobnej organizacji. W tym celu, łącznie z delegatem do Ligi Nar., min. drem Chodźko, przystąpiono w r. 1922 do utworzenia „Polskiego Komitetu do walki z handlem kobietami i dziećmi", który ukonstytuował się ostatecznie w marcu 1923 r. i przejął w swe ręce cały ten dział pracy.

R. 1923 stanowił ważniejszą datę w historji T-stwa, które przekształca się teraz na Polskie Towarzystwo Eugeniczne. Celem jego — podług statutu, zatwierdzonego przez ministerstwo Spraw Wewn. w maju 1923 r. — jest „wzmożenie tężyzny fizycznej, umysłowej i moralnej narodu polskiego, spotęgowanie jego odporności i sił twórczych" (cz. I § 1). W roku tym przystąpiło T-stwo do Międzynarodowego Związku dla walki z niebezpieczeństwem wenerycznem, z siedzibą w Paryżu, a w r. 1926 do Związku Międzynarodowego T-stw Eugenicznych, z centralą w Londynie.

Fundamenty Polskiego T-stwa Eugenicznego były więc założone i zdawało się, że dotychczasowy jego rozrost posuwać się będzie szybkim krokiem naprzód. Stało się jednak inaczej. Warunki okazały się niesprzyjające, a wśród nich, o ile można wnioskować ze sprawozdań, główną rolę odegrały trudności natury finansowej. Mimo przychylnego ustosunkowania się władz rządowych do T-stwa pomoc materjalna ze strony państwa była nikła. Raz tylko, w r. 1928, wstawiono w budżecie Departamentu Służby Zdrowia sumę 30.000 zł. „na cele walki ze zwyrodnieniem rasy"; był to jednak wypadek odosobniony i przeciętna roczna pomoc dla wszystkich Oddziałów Towarzystwa ograniczała się do niecałych 20.000 zł. W tych warunkach i wobec malejącej liczby członków utrzymanie niektórych instytucyj T-stwa okazało się niemożliwem. Wprawdzie dla ratowania ich uchwalono na ogólnym Zjeździe delegatów w Białymstoku, dn. 17 maja 1931 r., by wejść w porozumienie z Zarządami Kas Chorych i instytucjami samorządowemi, lecz widocznie

niewiele to pomogło, skoro na Zjeździe delegatów w Wilnie dn. 29 maja 1932 r., dr. Wernic przedstawił materjalne położenie T-stwa Eug. jako „dość opłakane".

Ten brak funduszów odbił się dotkliwie na organizacji. Poszczególne Oddziały zmuszone były szukać własnych źródeł dochodu i, o ile nie zdołały zapewnić sobie samowystarczalności, musiały ograniczyć swą działalność, zawieszać niektóre placówki, a nawet ulegać w całości likwidacji. I rzeczywiście liczba Oddziałów z pierwotnej cyfry 15-u spadła w roku bieżącym do 9 (w której to liczbie mieści się nowopowstały Oddział w Brześciu nad Bugiem), a i z tych, jeśli przeglądamy sprawozdania z lat 1930/32, tylko kilka poza Warszawą wykazuje względnie większą żywotność (Białystok, Katowice, Łódź, Poznań, Wilno). Właściwą i reprezentacyjną działalność T-stwa podtrzymuje dziś, można powiedzieć, jedynie centralny Oddział warszawski, który mimo nieuniknionych ograniczeń prowadzi pracę w kilku sekcjach: naukowej,[1]) wychowania, prawno-społecznej, walki ze zwyrodnieniem rasy i chorobami wenerycznemi, propagandy, dochodów niestałych; do niego należy również Poradnia eugeniczna, kino propagandowo - oświatowe „Uranja", wyświetlające filmy naukowe i rozrywkowe, głównie dla dzieci i młodzieży, oraz wydawnictwo Bibljoteki eugenicznej i czasop. *Zagadnienia rasy*.

Z ważniejszych wydarzeń organizacyjno - wewnętrznych P. T-stwa Eugenicznego wspomnieć jeszcze należy utworzenie w r. 1928 Rady Głównej, która skupia w sobie przedstawicieli wszystkich Oddziałów T-stwa i powinna się zbierać co kwartał; prezesem jej był ostatnio dr. L. Wernic. W tymże roku podjęto również opracowanie nowego statutu T-stwa, który uchwalono ostatecznie na Zjeździe delegatów dn. 9 marca 1929 r.

Tak przedstawia się w zarysie historja i dzisiejszy stan Polsk. T-stwa Eugenicznego. Przypatrzmy się teraz jego działalności. Idzie ona w dwóch kierunkach: naukowym, który

[1]) Sekcja naukowa — urządzająca zebrania dyskusyjne w ścisłem kole, a niekiedy odczyty publiczne — dąży do stworzenia w przyszłości Instytutu Eugenicznego, który prowadziłby badania i prace doświadczalne w zakresie eugeniki i nauk pomocniczych.

z konieczności ogranicza się głównie do dyskusyj w gronie członków i do pewnej liczby odczytów publicznych — oraz praktycznym, obejmującym czynną akcję nazewnątrz. Ten ostatni kierunek wysunął się siłą rzeczy na pierwszy plan, jako główny środek utrzymania i propagandy T-stwa. Obejmuje on przedewszystkiem: 1) systematyczne serje wykładów dla inteligencji; 2) odczyty dla szerszych sfer, mas pracowniczych, matek; 3) poradnictwo przedślubne i małżeńskie; 4) walkę z chorobami wenerycznemi i łącznie z nią specjalne poradnictwo dla matek ciężarnych i dzieci, zwłaszcza kiłowych; 5) porady w sprawach wyboru zawodu i 6) sportowe.[1]) Osobno wspomnieć należy dwa kursy dla lekarzy w zakresie eugeniki i poradnictwa przedślubnego (ostatni w Warszawie od 25 kwietnia do 9 maja 1932 r.). Poza tem T-stwo wzięło udział w zorganizowanym przez Związek Przeciwweneryczny kursie dla lekarzy w dziale chorób wenerycznych, w Warszawie w dn. od 7—19 listopada 1932 r.

Pragnąc ocenić należycie charakter P. T-stwa Eug., nie możemy poprzestać tylko na wyliczeniu poszczególnych działów jego pracy, ale musimy podkreślić również ideę, jaka całej tej działalności przyświeca — a jest nią dobro Polski. Eugenika bowiem, jak zaznacza dr. L. Wernic, ma być „pracą nawskroś państwowo-twórczą", a Polskie T-stwo Eugeniczne wypisało na swym sztandarze: „odrodzenie fizyczne i umysłowe narodu, oraz walkę ze zwyradniającemi pozostałościami niewoli... z czynnikami zwyradniającemi rasę, na pierwszem miejscu z zarazą weneryczną i zatruciami". Celem „eugenisty polskiego (jest) poznać cechy dziedziczne, wyzyskać je umiejętnie, zapobiec ich spaczaniu, i sprzyjać rozwojowi w celu umiejętnego wyzyskania dla społeczności polskiej" (*Zagadnienia rasy* marzec 1924 r. str. 4; marzec 1929 art. wstępny).

Realizacja powyższego programu wymaga wielostronnej pracy zwłaszcza na terenie małżeństwa i rodziny. Toteż organizacja Poradni przedślubnych i małżeńskich staje

[1]) Obszernego tego programu nie wyczerpuje jednak w całości nawet Oddział warszawski, a tem mniej Oddziały pozostałe, których działalność jest naogół bardzo skromna i ogranicza się do jednego lub najwyżej paru z wymienionych punktów.

się „najważniejszym problematem eugeniki praktycznej" i w ostatnich latach wysuwano ją jako naczelne zadanie P. T-stwa Eug. Poradnie takie, mówi dr. Wernic, powinny uwzględniać trzy działy pracy: 1) porady przedślubne; a zatem zbadanie stanu zdrowia kandydatów do stanu małżeńskiego i, w razie stwierdzenia ważniejszych niedomagań, któreby mogły wpłynąć ujemnie na potomstwo, skierowanie do odpowiedniego leczenia. 2) Porady z dziedziny „higjeny małżeńskiej". 3) Porady dotyczące „zagadnień seksualnych".[1])

Że cel, jaki sobie stawia Polskie T-stwo Eug. — służba narodowi i państwu, przez troskę o zdrowie i tężyznę jego przyszłych pokoleń — jest piękny i że w szczególności zamiary jego prezesa, dra L. Wernica, którego prace czytaliśmy nietylko w organie T-stwa, lecz i w innych czasopismach lekarskich, są jak najlepsze, przyznajemy chętnie. Kwestja jednak: czy i w jakim stopniu solidaryzować się możemy z działalnością T-stwa, zawisła od tego, czy metody i środki, jakiemi posługuje się w wykonywaniu swego planu są zgodne z zasadami etyki chrześcijańskiej.

Podkreślamy: etyki chrześcijańskiej, dodajmy nawet jeszcze jaśniej: katolickiej, bo trudno odwoływać się do samej „etyki" w czasach, kiedy wyraz ten staje się równoznacznym z aprobatą każdego, nawet niemoralnego postępowania, jeśli ono tylko odpowiada zapatrywaniom czy upodobaniom danego osobnika. I nie tyle chodzi nam tu o poglądy, wypowiadane na zamkniętych zebraniach dyskusyjnych, ile o publiczną działalność T-stwa, zwłaszcza we wspomnianych Poradniach przedślubnych i małżeńskich. Zakładaniem takich Poradni zajmują się dziś bowiem także Kasy Chorych i inne instytucje czy organizacje społeczne, a z doświadcze-

---

[1]) Jak wygląda w praktyce działalność takich Poradni, pokazuje np. sprawozdanie Poradni Eugenicznej warszawskiego Oddziału P. T-stwa Eug., która w ciągu 292 dni, w roku sprawozdawczym 1931/32, udzieliła ogółem 9.442 porad, mianowicie; „w sprawach zapobiegania i lecznictwa 2.027, porad przedślubnych i małżeńskich 2.624, wyboru zawodu 124, pozostałych 175, przeciwkiłowych dla matek i dzieci 4.492. Analiz wykonano bezpłatnie 872. Porad bezpłatnych udzielono bezrobotnym i niezamożnym 82%, ulgowych 7% (*Zagadnienia rasy* czerwiec — wrzesień 1932 r. str. 212).

nia, u nas i zagranicą, wiadomo dobrze, że pod tą etykietą kryć się może zarówno akcja zbawcza i zgodna z wymaganiami porządku moralnego, jak różnego rodzaju nadużycia.

Chodzi więc o to, czy Poradniom, prowadzonym lub mogącym być prowadzonemi przez P. T-stwo Eug., nie można w tej mierze uczynić poważniejszego zarzutu? — Otóż w zakresie sztucznych poronień nie posiadamy do niego żadnych podstaw, a w każdym razie dr. L. Wernic zdaje się wykluczać je bezwzględnie. Inaczej przedstawia się jednak rzecz ze sprawą sztucznego zapobiegania poczęciu.[1]) Wyraźnego polecenia tej praktyki nie zastajemy wprawdzie w ogłoszonych w organie T-stwa programach, ani w enuncjacjach prezesa, dra Wernica. Pośrednich dowodów na to, że Poradnie T-stwa udzielają lub mogą udzielać takich porad, znajdujemy wszakże niemało.[2])

Nie robi się wprawdzie tego w celach „ograniczania" urodzeń, lecz w „eugenicznych". Dr. L. Wernic stanowczo przeciwstawia eugenikę neomaltuzjanizmowi (*Zagadnienia rasy* marzec 1929 r., art. wstępny; czerwiec — wrzesień 1931 r., str. 54—55), a choć przyznaje, że w niektórych krajach ruch eugeniczny dąży celowo do zmniejszenia liczby urodzeń, dodaje zaraz, że w Polsce działalność taka nie jest wskazana. Polska polityka ludnościowa musi zabezpieczyć niepodległość kraju i dlatego polski ruch eugeniczny powinien zmierzać w kierunku tworzenia „jak najliczniejszego i najlepszego materjału ludzkiego dla umiejętnego kierowania losami państwa" (*Zag. rasy* marzec 1929 r., str. 16—17).

Z powyższych słów wypływa jednak tylko tyle, że Poradnie P. T-stwa Eug. nie szerzą, drogą pouczania i czynnie, idei ograniczania urodzeń — ale nie wynika bynajmniej, że w pewnych wypadkach nie udzielają porad i środków zapobiegających poczęciu. Owszem, że tak się dzieje, przyznaje sam dr. L. Wernic. Mówiąc o organizacji poradni przed-

---

[1]) Podkreślamy „sztucznego" — żeby odróżnić je od dozwolonego w razie potrzeby ograniczenia liczby dzieci przez wstrzemięźliwość płciową, względnie t. zw. fizjologiczną niepłodność (w pewnych okresach cyklu mies.).

[2]) Tylko przy sprawozdaniu jednej z pośród Poradni P. T-stwa Eug. znaleźliśmy wzmiankę, że porady antykoncepcyjne „nie wchodzą w zakres działania Poradni".

ślubnych i małżeńskich, oświadcza, że jest przeciwnikiem poglądu, jakoby poradnie małżeńskie miały być „głównie skierowane w kierunku antykoncepcji" — dodaje jednak, że „w przypadkach poszczególnych ze względów lekarskich, eugenicznych i społecznych może zajść potrzeba udzielenia porady antykoncepcyjnej" (*Zag. rasy* marzec 1931 r., str. 30). Oczywiście wyrażenie „porada antykoncepcyjna" nie mówi jeszcze nic o jej charakterze, lecz ogłoszone w temże czasopiśmie artykuły innych członków P. T-stwa Eug. nie pozostawiają w tej mierze najmniejszych wątpliwości.

Już przedtem pisał dr. Jerzy Babecki, że „P. T-stwo Eug. powinno uznać i zalecać w swych poradniach przedślubnych właściwe środki antykoncepcyjne (sztuczne, jak wynika z poprzednich wyjaśnień) w tych wypadkach, kiedy potomstwo ze względów eugenicznych jest niepożądane", przyczem każe uwzględniać nietylko racje zdrowotne, ale i społeczne (*Zag. rasy* r. 1929 str. 321—22). Na I-ym Kursie eugeniki i poradnictwa przedślubnego dla lekarzy, w kwietniu 1931 r., dr. L. Lorentowicz wygłosił referat „o sposobach zapobiegania ciąży" i zakończył go słowami, że w obecnych warunkach „polecanie środków zapobiegających zajściu w ciążę uznać musimy za celowe, słuszne i pożądane" (*Zag. rasy* czerwiec — wrzesień 1931 r., str. 37). Polecająca te same metody broszura p. t. *Regulacja urodzeń* (Warszawa 1932) wyszła również z pod pióra członka T-stwa, dra H. Kłuszyńskiego. Jako o rzeczy zupełnie zrozumiałej pisze o zapobieganiu sędzia Kaz. Fleszyński, członek sekcji prawno-społecznej Oddziału warszawskiego (*Zag. rasy* czerwiec — wrzesień 1932 r., str. 190). We wszystkich zaś powyższych wypadkach Redakcja *Zagdanień rasy* ani Zarząd P. T-stwa Eug. nie zamieścił najmniejszej uwagi lub zastrzeżenia — mamy więc pełne prawo do twierdzenia, że wyrażają swą zgodę.

Jeśli zatem chodzi o nasze ustosunkowanie się do Polskiego T-stwa Eugenicznego, możemy odnieść się z uznaniem do niego i zwłaszcza do jego prezesa za podjęcie pracy, która i ze względów naukowych i praktycznych jest cenna i pożądana. Możemy i winniśmy mu być wdzięczni za prawdziwie dodatnią i pełną poświęcenia działalność na polu

walki z czynnikami zwyradniającemi, zwłaszcza z chorobami wenerycznemi, za troskę o dobro rodziny i młodzieży. Musimy wyrazić uznanie za ideowość i bezinteresowność tej pracy, którą T-stwo w granicach możliwości stara się wykonywać bezpłatnie lub za minimalną opłatą. Ale uznając to wszystko, musimy zachować się z wielką rezerwą, owszem negatywnie wobec prowadzonych przez T-stwo poradni, a to z powodów wyżej wymienionych.

Sprawę poradni przedślubnych i małżeńskich uważamy, co najmniej tak samo jak P. T-stwo Eug., za problem jeden z najważniejszych i pragnęlibyśmy, by siecią takich poradni pokrył się cały kraj, ale nie możemy zgodzić się na polecanie w nich metod i środków, przeciwnych etyce naturalnej i katolickiej. Rozumiemy, że to stanowisko nasze będzie dla wielu niemiłem, lecz nikt nie może nam uczynić zarzutu, że stoimy na niem dla innych racyj, jak tylko dla poszanowania prawa natury i prawa Bożego.

O ile mamy opierać się na publikacjach, nasuwają się nam również obawy co do stanowiska P. T-stwa Eug. w sprawie nowego prawa małżeńskiego w Polsce. Skąpe uwagi zamieszczone w *Zagadnieniach rasy*, budzą podejrzenie, że niektórzy członkowie T-stwa skłonni są do zbyt daleko idących reform na tem polu. Dokładniejszych sprawozdań z obrad sekcji prawno-społecznej Oddziału warszawskiego wprawdzie nie posiadamy, gdyby jednak wyniki ich a tem bardziej czynna propaganda, szły w kierunku ignorowania zasad katolickich i całkowitej aprobaty projektu prof. Lutostańskiego, jak to gdzieindziej uczynił członek T-stwa, prof. dr. T. Janiszewski, pogłębiłoby to jeszcze rozdźwięk pomiędzy katolickiem społeczeństwem a P. T-stwem Eugenicznem, którego działalność powinna iść po linji utrwalania węzłów rodziny, a nie ułatwiania jej rozbicia, zwłaszcza w kraju naogół katolickim.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Stanisław Brzozowski jako krytyk literacki.

Krytyka literacka w epoce modernizmu nie doczekała się jeszcze w żadnej literaturze naukowego opracowania. Jedynie książka Bélisa dotknęła jej spraw, uwzględniając takich sztandarowych krytyków, jak Lemaître i France. Z niej dowiedzieliśmy się, że zwrócili się oni zwłaszcza przeciw tainizmowi, wszczepiając współczesnym świadomość, że krytyka przedmiotowa nie jest możliwą. Żaden genjusz nie da się bowiem ująć w formule a każda książka ma tyle egzemplarzy, ilu jest czytelników.

Niemniej wpływ Ribota i Guyau, dalej Groosa i Lippsa dał się odczuć wszędzie tak, że i krytyka polska uznała wtedy w krytyku pośrednika między twórcą i odbiorcą, przyjęła w literaturze możliwość istnienia wartości dalekich od rzeczywistości, szukała w dziełach nie przedmiotowego odtworzenia faktów ale podmiotowego odbicia gry uczuć, i wrażeń, wreszcie wśród twórców typów, jako wyniku szczegółowego rozbioru ich twórczych właściwości. Wprowadziło to do krytyki pewną przedmiotowość, której najwybitniejszym reprezentantem był Ignacy Matuszewski.

On to wyróżnił się od krytyków nastrojowców, co dążyli jedynie do emocjonalnego oddania wzruszeń. Nie było wtedy granicy między twórcami i krytykami, a wszelki opór przeciw pewnym dążnościom modernizmu spotykał się z najostrzejszą reakcją. I Matuszewski należał do jego bojowników. Ale jego działalność wynikła z przełomu w estetyce zachodniej, co każde zjawisko analizowała ze stanowiska psychologicznego, interesowała się wszystkiem, żądała od

krytyka instynktu artystycznego, co w każdym twórcy szuka jego twórczych sposobów. Traktował on swe zadanie z powagą i nie krył się z racjami swych sądów estety, komparatysty, myśliciela. Na tej wyżynie krytyka jego stawała się sztuką, w której intelekt szedł przecież przed uczuciem.

Jego portrety były też mistrzowskiemi rekonstrukcjami, które przypominały niezapomniane wypowiedzi Fagueta. Autorytet Matuszewskiego wynikał z jego smaku i wznosił się wysoko ponad zwalczające się dążności odchodzących realistów i atakujących modernistów, u których rozstrzygała sympatja lub antypatja. Matuszewski miał coś z realisty nawet wtedy, gdy wskazywał w Słowackim przodka modernizmu i trzymając się zdaleka od impresjonistów typu Stena, Jellenty, Feldmana, Potockiego, stosował dużo objektywizmu do Żeromskiego. Posiadał ogromną kulturę estetyczną, unikał nastrojowych frazesów, kierował się kryterjami mało dostępnemi współczesnym, którzy oskarżali go o chłód i bezprogramowość. Dlatego docierał do zasadniczego sensu dzieła każdej wielkości, wydobywając przez drobiazgową analizę istotne elementy umysłowości i artyzmu dawniejszych i nowszych pisarzy obcych i swoich.

Bliższym impresjonizmu a zatem bardziej wpływowym był Stanisław Brzozowski, który, w uprawianej przez siebie filozofji, począł głosić wiarę w człowieka jako źródło wartości i czynnik rozwojowy bytu. Nie mogła ta postawa, zajęta pod wpływem humanistyki zachodniej a też stanowiska cenionego przez niego krytyka rosyjskiego Michajłowskiego, nie odbić się i poglądach krytyka. Szermierz przemiany społecznej, wyobrażał Brzozowski także obrońcę nowego ideału sztuki, która odbiegła niewątpliwie od dróg obozu, w którym znajdował się estetа epoki, Matuszewski. Brzozowski zastosował bezwzględność romantyków w walce z przeszłością, przypominając swemi wystąpieniami wiążącemi filozofję z krytyką, zainteresowaniem dla nowej twórczości, nadewszystko idealizmem badającym, jak romantyzm, naturą objawiającą się a nieobjawioną, Mochnackiego.

Te wystąpienia wzmacniała jeszcze idąca z rosyjskiej publicystyki krańcowość poglądów współpracownika warszawskiego *Głosu* a potem krakowskiej *Krytyki*. Występował

on przeciw ciasnocie horyzontów realistów, piętnował i estetyzm modernistów, którzy, jak Przesmycki, nie pojmują zawiłej problematyki epoki i jej społecznego zabarwienia. Żądał opuszczenia wieży z kości słoniowej i wejścia w życie, którego wodzem nie jest bynajmniej gloryfikator przeszłości i farbowanych perkalików Połanieckiego, Sienkiewicz. Pragnął, by sztuka była wyrazem niekrępowanego rozwoju jednostki, sławiąc wolę do potęgi i wolny czyn, co nie stroni od życia, jak to ma miejsce w Krakowie, gdzie Wyspiański walczy z samym sobą.

Chciał mieć zatem krytykę organizatorką nietylko literatury ale i życia duchowego czasu. Jednostka jest zaś wtedy pełną, gdy jest społecznie czynną i twórczą. Widział taką jednostkę w Żeromskim, widział ją i w Kasprowiczu, chciał widzieć ją w krytyku epoki, za którego uważał siebie. Mniemał zatem, że hasłem epoki musi być, jak niegdyś dla Michajłowskiego wszechstronny rozwój jednostki. Ten postulat liberalizmu, wiązał z myślą o ogóle, wśród którego jednostka stanowi jakby czynnik rozwoju.

Nie wierzył Brzozowski w możliwość krytyki przedmiotowej. Za miarę sztuki poczytywał to, co ona wyzwoliła. Jest ona bowiem dziedziną czynu duchowego i miara wartości jest w niej samej. Związany ze współczesnością ściślej od Matuszewskiego, był tedy Brzozowski wyrazem dążności przeciwnych tym, które wyobrażali esteci, jak Przesmycki, Berent, Porębowicz i inni. Dzielił wprawdzie wraz z nimi pogląd, że zadaniem krytyki jest rozumienie i odczucie artysty w jego indywidualnej, nieodjemnej, jemu tylko właściwej odrębności, co nie jest tylko okiem ale i duszą widzącą świat pełen swoistej logiki i prawidłowości. Ale i pragnął rozbudować krytykę na nowych podstawach. Dowodem tych zamierzeń są jego szkice o Dostojewskim, Nietzschem, Wyspiańskim oraz o krytykach i romanso-pisarzach współczesnych. Znając, jak nikt wtedy, literaturę rosyjską, uchwycił Dostojewskiego w jego ideologicznej tragedji w formie jakby hymnu Kasprowicza o niemałej dynamice (1906). Interesował go Dostojewski jako myśliciel, którego idee żyją w nim jakby życiem organicznem. Odczuwał między nim a sobą pewne pokrewieństwo, gdyż i on chciał wniknąć

w istotę świata nie artystycznie tylko ale intelektualnie i filozoficznie. Rozumiał, jak dziś Bierdiajew, że dzieło Dostojewskiego jest rosyjską interpretacją świata a zrozumienie go stanowi zrozumienie duszy rosyjskiej w jej sprzecznościach i strukturze. Okazał tedy metafizyczną histerję duszy pisarza, co przewidział drogi i owoce rewolucji a był symbolistą, skoro każdy wielki artysta jest nim zawsze i wszędzie.

Nietzsche, będący dla jego epoki piewcą silnego, samoistnego, indywidualnego, został potępiony za bezładną walkę o potęgę i brak miłości dla tego, co jest ludzką wartością (1907). Przemówił tu u Brzozowskiego instynkt człowieka życia, co nie mógł godzić się z pesymizmem, który Nietzsche odziedziczył po Schopenhauerze jako źródle dekadentów. Uznanie dla Nietzschego byłoby uznaniem dla estetów, którzy, jak Berent, popularyzowali u nas nietzscheanizm. A jednak i w nim było coś z woli do potęgi i psychologji intelektualisty a więc nowej rasy ludzi, co stwarzali wizję nowej epoki. I jego doktryna była trudną do ujęcia w formie systematycznej, bo chciała przewartościować wszystkie wartości i zmienić orjentację polskiego życia.

Niemniej cennem jest, że Brzozowski nie stał się apostołem nietzscheanizmu, jak na Zachodzie Brandes. Wyspiański wydał mu się natomiast odwróconym od życia (1903). W miarę jednak lat, ten sąd o poecie wydał mu się za krańcowy (1908). Rozmyślając nad podstawami krytyki i rolą romantyzmu w literaturze, uświadamiał sobie, że życie jednostki jest jednak wplecione w życie zbiorowości. Uznając estetykę za cząstkę nauki o człowieku, widział w zagadnieniu stylu zagadnienie społeczne. Stojąc na takiem stanowisku, poczytał dotychczasową filozofję i krytykę polską za rodzaj mitologji, co kazało mu podjąć na nowo zagadnienie Wyspiańskiego.

Bliski pragmatyzmu, poczytywał życie stale za najwyższą miarę i mierzył miarą życia literackie zjawiska, by domagać się od polskiej sztuki dążeń ogólno-ludzkich i wyzwolenia siebie w dziele. Żałował, jak niegdyś, gdy był współpracownikiem warszawskiego organu społecznego, że stoi ona poza obrębem procesu życia i odrzucał bezwzględnie modny wtedy subjektywizm w twórczości i nastrojowej

krytyce. Coraz więcej, idąc za humanistami zachodu, jak Dilthey, Rickert, Simmel i inni, uświadamiał sobie odrębność człowieka od natury i konieczność tworzenia sztuki na podstawie opanowania tego, co nazywał życiem. Nie chciał, jak dawniej, by była ona odwracaniem się od życia, choć uznawał, że jednostkowa psychika twórcy rządzi się swem własnem prawem, któremu odpowiadają kierunek, tematyka, styl dzieła.

Wyzwalając się w ten sposób z tainizmu, który był mu jeszcze podstawą w pierwszej pracy o Wyspiańskim, oskarżał teraz, wraz z modernistami, tainizm o małoduszność i martwość. Swego poetę czynił zaś pogromcą bezdziejowości i dekadentyzmu. Rozumiał teraz, że Wyspiański dopracowywał się nowej duszy narodu. A to stanowiło właśnie walkę o nowe życie i przekroczenie granic wskazywanych przez racjonalistów i estetów. Kształtem czynu Wyspiańskiego był teatr, bo wola twórcy nie zdołała wyjść poza ten zakres. Podstawy takiego rozumowania tkwiły poniekąd w socjologizmie Guyau, w nauce Jamesa, w negatywnem ustosunkowywaniu się do romantyzmu, który dyktował polskiemu krytykowi jego przeciwnik na Zachodzie Lasserre.

Rozprawiając o krytykach (1906), widział znów Brzozowski w marksizmie uniezależnienie od wszelkiego marzycielstwa i umożliwienie wyjaśnienia wszystkiego jako dzieła ludzkości. Ale pragnął związać marksowski determinizm z idealistycznym humanizmem współczesności. Uznając w poznaniu wytwór pracy a w nauce kuźnicę nowych form czynu, mniemał, że praca wiedzie nas poza granice jaźni i pozwala zetknąć się z pozaludzką rzeczywistością. Wierzył bowiem, że ludzkość jest poza przyrodą i stanowi twórczy czynnik rozwoju. Gardząc tedy, za Bergsonem, znieruchomiałym statyzmem, doszukiwał się w życiu pędu twórczego, którego nie zdoła ująć intelekt ludzki.

Żądał zatem socjologistycznego ujmowania zjawisk, skoro wszystko, jak mówił już Guyau, stanowi proces biologiczny i społeczny życia. Krytyka uświadamia nam to właśnie. Że zaś wartość opiera się o moralnego człowieka, zatem krytyk jest najgłębszą moralną świadomością swej epoki. Jego zadanie polega na rozwiązaniu zagad-

nienia, czem jest dany twórca w obliczu ideału ludzkości. Subjektywizm w krytyce, któremu hołdują impresjoniści na Zachodzie i u nas, jest więc błędem, gdyż właśnie objektywizm — kierujący się wyżej wymienionem kryterjum — stanowi wszystko.

Powraca zatem Brzozowski, jakby do znanego stanowiska Tyszyńskiego, który głosił taką tezę w latach bliskich jeszcze romantyzmowi. Nie było w tej tezie nic z estetyzmu modernistów, którzy kupili się koło Przesmyckiego lub Przybyszewskiego. Krytyk wstępował zaś na stanowisko, z którego nie zeszedł już właściwie do końca. Wpatrzony był zaś nietylko w społeczną przyszłość nowego człowieka ale i w literaturę rosyjskich narodników z Michajłowskim, Czernowem i Plechanowem, na czele. W niej zaś socjologowie ścierali się z socjalistami a w starszem pokoleniu nie brakło idealistów, jak Mereżkowskij i Bierdiajew.

Udzielała się Brzozowskiemu ich wschodnia krańcowość, co widać w jego sądach o reakcji, o liberalizmie, o impresjonizmie w krytyce polskiej. Krytykom zarzucał on brak podstawy filozoficznej, co było prawdą, nieobecność poczucia sztuki, w czem była przesada, nadmiar moralizowania i słabość woli, o czem też da się wiele powiedzieć. Subjektywizm, którego pozornym wyznawcą był Matuszewski, mianował ignorantem w obliczu procesu życia, by wymagać od krytyków rozumienia twórcy i dzieła na tle i w związku z życiem.

Znaczyło to, że uznawał jedynie rolę Witkiewicza jako bojownika indywidualizmu a nie miał uznania dla Feldmana jako nie rozumiejącego życia i obcego szerzej pojętej uczuciowości. „Sztuka i twórczość — mówił — jest zjawiskiem społecznem, jest zawsze czynnikiem społecznego wartościowania przeżywanych wzruszeń". Że zaś, jako szermierz socjalizmu, za podstawę losów narodu uważał warstwę pracującą, możnaby jego postawę krytyka uznać za neomarksowską, skoro bliski mu teraz Sorel nie odłączał estetyka od socjologa. Kierunek socjologiczny wprowadził do estetyki w Rosji Plechanow.

Dziś uprawiają go marksista i przeciwnik formalistów Miedwiediow i Sakulin, jako teoretyk i historyk literatury.

Usiłują oni, połączyć pojęcie indywidualności twórczej i idei sił z historycznym materjalizmem. Znać też w krytyce rosyjskiej dążność do metodologicznego monizmu, którego tłem ma być świat socjalno-ekonomiczny. Naukę o literaturze ujmuje się tam jako naukę o ideologicznem środowisku epoki i socjalnej całości a świat ideologiczny rozumie konkretnie, materjalnie, historycznie, uwzględniając rolę odbiorców stanowiących rolę kolektywu.

Pogląd Brzozowskiego o społecznem wartościowaniu przeżywanych wzruszeń wyprzedza tedy rosyjskich marksistów, co wprowadzili właśnie do krytyki socjalną ocenę jako łącznik między materjalną formą słowa a jego treścią, by odrzucać to, co nazywają płytkim empiryzmem lub oderwanym idealizmem. Formaliści, którzy zajmują się analizą formy, wywodzą się zaś niewątpliwie od symbolistów i tracą grunt mimo niezaprzeczonych zasług, jakie w dziedzinie teorji położył teoretyk poezji Tomaszewskij, badacz Puszkina Żyrmunskij i inni.

Entuzjasta Dostojewskiego, zajął Brzozowski negatywne stanowisko także wobec romansu polskiego (1906). Znalazł zatem, jak dawniej, w Sienkiewiczu uwstecznienie polskiego życia i brak poczucia jego tragizmu. Jedynie w Prusie dostrzegł znajomość społecznych procesów i kult czynu. Reymonta szacował niżej od Uspienskiego, który był właśnie socjalistycznym narodnikiem, nie lubił inteligencji, zmierzał do podniesienia oświaty chłopa. Potępiał wogóle literackość polskiego romansu, któremu brak zrozumienia wartości życiowych. Odnosił to szczególnie do Berenta, by sławić niezmiernie Żeromskiego, choć podkreślał u niego brak swobody duchowej i chwiejność emocjonalną.

Rozstrzygnęło tu oczywiście kryterjum partyjne, o którem nie było mowy u Matuszewskiego. Brzozowski zarzuca wprost romansopisarzom, że zobojętnili społeczeństwo dla rewolucji, choć nie myli się zapewne, gdy twierdzi, że zagadnienie kształtu jest zagadnieniem psychologji zbiorowej. Nie wyklucza oczywiście z estetyki i krytyki etykę, by podkreślać zróżniczkowanie dzisiejszego życia, co wytwarza dystans między odbiorcami jednej warstwy a zagadnieniami obchodzącemi drugą warstwę społeczną.

Stwierdza zatem, że dziś walczy o naród tylko jedna warstwa, której literatura odbiega ogromnie od klasycyzmu warstwy upadającej.

„Zrozumieć znaczenie pisarza — mówi Brzozowski — znaczy to zrozumieć, a następnie zbadać, jakie znaczenie posiadają te wartości dla życia". Mając uznanie za kult pracy dla Orzeszkowej, gani pesymizm Dygasińskiego, płytkość Sewera, niepokój Zapolskiej. Ubolewa nad bezsiłą i aspołecznością Przybyszewskiego, podnosi brak wiary u Irzykowskiego. Mniema, że tradycja polska stanowi niedołęstwo, głupota, obojętność, że krytykę zachwaszczają przesądy i uprzedzenia, choć potrzebujemy tak bardzo prawdy i poznania. Świadomość ludzka jest jednak zawsze uboższą od ludzkiej rzeczywistości. I tu wrażenia subjektywne mogą przyjść w pomoc objektywizmowi w nauce filozofji i krytyce, by dać zrozumieć, że twórczość artystyczna jest procesem rdzennie społecznym.

Doniosłem jest podkreślenie przez krytyka wartości etyki, czego ani Haeckel ani Spencer nie pojęli. Twórczość jest właśnie próbą ustalenia stosunku między sobą a światem wartości. Te wartości wydobywa Brzozowski z etyki. I tu okazuje, że jeżeli marksizm był mu wytyczną, choćby wytyczną w tem, że utożsamiał filozofowanie z życiem, to już poglądem na człowieka i na jego cele odbiega od marksistów. Bliski był mu już Sorel, który w pracy szukał podstaw nowej kultury a socjalizm pragnął zmienić w filozofję etyki, gdyż to dałoby mu charakter wzniosły. Nie negował Sorel ani klasycyzmu ani chrystjanizmu, co było odwrotem od marksizmu, zetknięciem się z życiem, zerwaniem ze złudzeniami.

Jako myśliciel, estetyk i krytyk wznosił się też ponad dawne stanowisko marksisty. Znać to i w tem, co mówił osobno o Żeromskim, gdy odmawiał tainizmowi możności wyjaśnienia indywidualności, radził wnikać w pisarza od wewnątrz, podkreślał jedyność struktury psychologicznej, której odpowiada dzieło. Protestował przeciw opanowaniu krytyki przez filologów, którzy nie zrozumieli, że Żeromski odniósł zwycięstwo nad racjonalizmem języka, że świat duszy jest u niego tak realnym, jak świat zewnętrzny, że bywa

on okrutny w obnażaniu ale i jedyny w przywracaniu bytu temu, co było momentem. Towarzyszy mu stale ból nad bezpowrotnie ginącemi chwilami czyli jakby bolesne zapatrzenie się w to wszystko, co staje się popiołem.

Przy tej sposobności ustanawiał Brzozowski związek między polskim modernistą a Dostojewskim, w którym było też mocowanie się z sobą i z którego tytanicznej twórczości wyrosły niby kwiaty bolesne, krwią serdeczną sycone wszystkie dzieła Żeromskiego... Myśl ta musi być rozważoną przez współczesną polską naukę o literaturze, której krytyk wskazał nierozwiązane dotąd zagadnienia. Powracał on zresztą i później do Żeromskiego, jakby chcąc współzawodniczyć z Matuszewskim, skoro uwzględniał wady romansopisarza w nieprzemyśleniu wątka i bierności a szczególnie w braku w nim świadomości pracy i twórczej walki. Więc zmieniał swe zdanie o nim od czasu, gdy odczuwał w nim dążność do odgadywania sensu istnienia, system psychicznych kryptogramów, spojrzenie na naturę jako na siedlisko cierpienia i walki, zmaganie się dwu zasad kompozycyjnych objawienia i opowiadania, bogactwo ekspresji, za którą kryją się stany przez nikogo dotąd niezbadane.

Tu przekroczył Brzozowski daleko granice impresjonizmu, w których zamykały się uwagi nastrojowców. Przewyższył ich bowiem o całą głowę. Pod znakiem walki wypadła i postawa krytyka wobec romantyzmu (1905). Uznawał on wprawdzie jego wiarę w prawo ducha, nie zapoznawał jego antyintelektualizmu, nie ignorował marzeń o wcieleniu słowa w dziejach, wreszcie pokrewieństwa z coraz bliższym mu pragmatyzmem Jamesa i Sorela. Niemniej zarzucał mu bunt przeciw społeczeństwu i pasożytowanie na cudzym dorobku. Znajdował w tem właśnie tragizm, że romantyzm usiłował przeskoczyć duchem ekonomję, historję, prawo, przyrodę. Ale zwolna uświadomił sobie jego dążenia indeterministyczne i wymawiał mu tylko niezdolność do tworzenia życia. Chciał go zatem, na wzór Wyspiańskiego, teoretycznie przezwyciężyć, co zbliżyło go do entuzjasty pracy i czynu Norwida.

W romantyźmie uznał zatem zwyrodnienie niezdolnej do celowego budowania życia szlacheckiej psychiki, negację

życiowej konkretności, uwielbienie dla gotowego świata fikcyj, w którym słowo zrywa z życiem, jednostkowość pretenduje do mocy, niepewna wartość utwierdza swe prawo istnienia. A przecież świat rozwija się przez zbiorowy trud ogółu i miarą wartości jednostki jest jej udział w życiu konkretnem. Kryterjum form życia duchowego, to dziejowa rola narodu i twórcy.

Taka krytyka romantyzmu była niewątpliwą zasługą Brzozowskiego i wyniosła go ostatecznie ponad innych (1909). Nie było w niej estetyzmu, gdyż Brzozowski nie zamykał się nigdy w ramach literatury. Jeżeli zaś Lutosławski wiązał indywidualizm ze spirytualistyczną metafizyką a Abramowski ograniczał go przez instynkt braterstwa, nie mógł i on, jako umysł raczej filozoficzny, nie chcieć stworzenia własnej filozofji.

Znać to od początku jego wystąpień w tej roli, w kulcie człowieka jako najwyższego celu społecznej organizacji, w nawiązywaniu do idealizmu zachodniego, co odziedziczył nietylko po Świętochowskim ale i po odgradzających świat przyrody od humanistyki, jak Dilthey, Rickert, Simmel. Wcześnie już zajął jakby stanowisko pragmatystyczne podkreślając wpływ uczuć i dążeń na kierunek myślenia, niezbędność wyzwolenia z pod nacisku przyrodoznawstwa, konieczność twórczości filozoficznej, co tworzy, jak artystyczna, swój własny świat i ma związek z czynem (1903).

Już wtedy nie potępiał metafizyki, tem bardziej, że ulubiony mu filozof Avenarius uznawał możliwość istnienia rzeczy wymykających się z pod kontroli doświadczenia, przyznawał, że świadomość pracuje ciągle nad tem, co nazywał czystem doświadczeniem, nie widział w prawdach filozofji czegoś zamkniętego. Guyau, Nietzsche, James pociągali go wcześnie, co ostatecznie skłoniło go tylko do pogłębienia tezy, że filozofja musi odpowiadać życiowym potrzebom człowieka, skoro niema rozdziału między myśleniem filozoficznem a codziennemi drogami myśli. W dialogu, który nazwał wstępem do filozofji (1906), Emanuel wynosi chrześcijańskich teologów nad Marxa jako panegirystę proletarjatu. Zarzuca marksistom brak ideologji i uzależnienie wszystkiego od ekonomji, co czyni postęp pozbawionym

wartości etycznych. Historję filozofji mianuje walką o prawdę, określając jaźń ludzką jako nieustający czyn, a monizm jako negację jaźni. I tu uzasadnia szeroko różnicę między światem przyrody i ducha.

Panuje wedle Emanuela nad przyrodą tylko ten, kto jest wolny. To wyzwolenie daje nam właśnie filozofja, co jest u nas instynktem najwyższych potwierdzeń. Jest nią więc filozofja polska nawiązująca do Mickiewicza, do Cieszkowskiego i innych, jako objawicieli prawdy. Z tą chwilą Brzozowski nawiązywał łączność z romantyzmem. Rozumiał, że determinizm nie może być podstawą twórczych dążeń ludzkich, że fakty są tylko wyrazem twórczej działalności umysłu, że mogą istnieć różne postawy wobec życia i różne źródła sądów, prawd i wartości. Odrzucając eudajmonizm i psychologizm historyczny, jako wątpiące w bezwzględne wartości, przechodził na stanowisko idealisty w stylu zachodnim.

Uznawał, za pragmatystami, tylko to, co wiedzie do działania, określał jako rzeczywiste to, co powstaje dzięki pewnej postawie, źródło rzeczywistości odkrywał w czynnem stanowisku wobec świata. Ta stara teorja idealizmu stała się własnością idealisty, co podzielał ją ze współczesną polską socjologją. To pozwalało mu zaś na pomysły na temat tworzenia kultury przez ludzi wolnych czyli nieobciążonych dziedzictwem szlacheckiem lub mieszczańskiem. Ta ostatnia koncepcja przypominała też pomysły o potrzebie religijnej elity na czele społeczeństwa rosyjskich narodników.

„Świat — mówi Brzozowski — nie jest mozajką złudzeń. Jest głęboko nawskróś prawdziwy, jest dziełem Boga, który zaiste nigdy w błąd nie wprowadza". Z tą chwilą był Brzozowski już bliskim wiary. Idealista nie mógł nie odnieść się krytycznie do marksizmu. Przezwyciężył go, jak romantyzm (1910). Subjektywizm musiał doznać ograniczenia ze względu na ideę pracy jako środka przebudowy społecznej i jednostkowej. Zwyciężyły tradycje humanizmu nad determinizmem i socjologizmem, wzięła górę wolność nad koniecznością.

Z tą chwilą uznał też Brzozowski za prawdę tylko to, co wiedzie do działania, a filozofję za formę stającego się

czynu. Filozofję historji oparł na gruncie pracy, skoro świat jest współmierny z pracą. A Polska nie jest czemś przypadkowem, skoro stanowi rzeczywistość duchową. Przekreślał zatem Brzozowski swój stary kult dla myśli rosyjskiej, odtrącał determinizm socjologów typu Durkheima, w człowieku uznawał walczącą wolę, co było echem nie znoszącego próżni duchowej Sorela. Teraz stał się on komentatorem Newmana.

I głosił, że jest on dostępny tylko w Kościele i przez Kościół, gdyż myśl katolicka stanowi szczyt nowoczesnego poznania a irracjonalizm Bergsona jest niczem wobec głębi teologa angielskiego. Newman nie mówi bowiem tylko o sobie. Mówi to, co mówi Kościół jako czynnik wiecznej prawdy. Człowiek reakcji, stał się Newman człowiekiem postępu, ruchu, życia.

A w przedśmiertnych zapiskach pamiętnika zaznaczał Brzozowski, że Newman uważał Kościół za sumę życia ludzkości, że chrześcijaństwo jest światem o własnej budowie i organem wychowawczym, że Taine i Nietzsche wystarczyć nie mogą a z dawnego stanu wyzwolili marksistę Carlyle, Bergson, Sorel (1911). W ten sposób wskazywał drogi swego rozwoju ideolog czasu.

Inspiracją Brzozowskiego byli od początku Guyau, James, Bergson, Sorel. Inaczej byłby nie pojęty jego końcowy punkt zbliżenia do Newmana. Czy Guyau nie głosił bowiem, że jaźń ludzka jest środkiem, co świat otacza sympatją i społeczna solidarność musi być zasadą wzruszenia estetycznego? Celem sztuki jest właśnie wytwarzanie wzruszenia estetycznego o charakterze społecznym. Guyau zwalczał pojmowanie sztuki jako gry, głosząc, że genjusz kieruje się swem wewnętrznem prawem, że nie może być rewolucji formy bez rewolucji myśli, że sztuka wiąże się z religją, metafizyką, etyką. Tępił zaś aspołeczną sztukę dekadentów, co za nim czyni Brzozowski.

Co się tyczy Bergsona, to jego idea trwania, idea autarkji, idea duchowej preegzystencji w ewolucji życia, dalej immanentna koncepcja wolności, degradacja mózgu ze stanowiska wyrazu duszy, podkreślenie pluralności rzeczywistości i prawa życiowej ekspansji, w której instynkt

stoi bliżej życia od rozumu, stały się Brzozowskiemu nader bliskie szczególnie w ostatnich latach jego rozwoju.

Ta sama postawa istniała i w pluralizmie Jamesa. I on odsuwał racjonalizm, nie pozostawiając materjalnemu doświadczeniu monopolu prawdy i głosząc, że dusza jest wolnością, co stanowi korzeń bytu i chwyta to, co jest stworzone dla wieczności. Nie redukcja do monizmu ale pluralizm wszystkiego musi być zasadą, dzięki której jednostka wyobraża poniekąd współpracownika boskiego. Ten wniosek amerykańskiego filozofa odżywa poniekąd w koncepcji polskiego krytyka o tych, co pracują w męce oczekiwania na objawienie się pokolenia boskiego.

Pragmatyzm uzupełnił zaś Sorel swą ideą pracy, oparcia życia o społeczność, wiary w etykę jako ośrodek życia i najwyższą wartość. Ale przy Sorelu Brzozowski pozostać nie mógł, gdyż odbiegł od rewolucyjnego socjalizmu i nie mógł dzielić teorji, jakoby religja, prawo, filozofja były tylko mitami. Daleki od pesymizmu Sorela, podzielił on stanowisko Newmana jako obrońcy ludzkiej jednostki w ramach katolicyzmu. Uznał nadprzyrodzoność, która kazała mu zmierzać do tego, co mianował najwyższym romantyzmem.

W krytyce Brzozowskiego wyraża się, jak niegdyś u Mochnackiego i Tyszyńskiego za dni romantyzmu, odwrót od racjonalizmu, determinizmu, objektywizmu. Nie chce on tylko estetyzować, przypominając swą postawą żywo romantyków. Niesprawiedliwy dla wielu pisarzy, ceni on tylko tych, w których dostrzegł obecność pokrewnej mu ideologji. To zbliża go do impresjonistów i bojowców modernizmu, jak Feldman i inni.

Krytyka była u niego raczej sztuką. Jako natura artystyczna dawał Brzozowski raczej osobiste impresje, wnikając w zagadnienia i ludzi w sposób niepospolity. Jego kryterjum podyktowane było raczej przynależnością partyjną. Społeczno-życiowe traktowanie literackich zjawisk nie mogło też nie znaleźć uznania u ostatniego z realistów w krytyce Chlebowskiego.

Jego teorja pracy, jako apel do przeorywania własnej duszy w trwodze o jutro literatury może być i dziś aktualne tem więcej, że nie brak dziś dążności podobnych. Przyszłość

dałaby Brzozowskiemu niewątpliwie wiele sposobności do rewizji poprzednich poglądów. Niepospolity ale nierówny i czasem o stylu profetycznym stylista, ma on wiele wspólnego z pisarzami angielskimi na przełomie wieków XIX i XX, skoro dzieli z nimi kult czynu jako reakcję na dekadentyzm. I czyta ich do końca.

Z literatury angielskiej płynie do niego prąd uzdrawiający i odruszczający. Niestety przychodzi on zbyt późno. Przyszłość uczyniłaby z Brzozowskiego może pisarza katolickiego, może pisarza związanego raczej z prawicą narodową. Może i dlatego zwróciła się przeciw niemu niechęć partji, by rzucić na znakomitego pisarza straszliwy cień oskarżenia i zachowywać milczenie nawet dziś, gdy sprawa rehabilitacji zbliża się do zwycięskiego, co daj Boże, końca.

Tadeusz Grabowski.

Polska a Francja po roku 1683.

Stosunki polsko-francuskie w dobie panowania Jana III podzielić można na kilka okresów. Pierwszy, od r. 1675 (traktat jaworowski) do r. 1678/9 (traktaty w Nimwegen i St. Germain), to okres ścisłej współpracy dyplomacji francuskiej z dworem polskim; chodziło wtedy o pozyskanie Jana III do czynnej interwencji po stronie Francji w pierwszej wojnie koalicyjnej, w porozumieniu ze Szwecją, przeciw Austrji lub Brandenburgji, na terenie Śląska, Węgier, a zwłaszcza Prus Wschodnich. Wzamian za to, obok stałych subsydjów francuskich, gwarantowała Francja poparcie polityki dynastycznej Jana III, nabytki terytorjalne w Prusiech Książęcych, a zarazem przeprowadzenie przy pomocy wpływów francuskich w Konstantynopolu zupełnej pacyfikacji między Turcją a Polską. Kilkakrotnie już wyjaśniano dlaczego te wszystkie plany współpracy polsko-francuskiej nie doczekały się pełnej realizacji.[1]) Traktaty w Nimwegen i St. Germain zamknęły ten pierwszy rozdział stosunków Sobieskiego z Ludwikiem XIV.

W drugim okresie, w latach 1679 do 1683, polityka Francji w sprawach niemieckich i polskich opiera się na współpracy z nowym sojusznikiem, Brandenburgją, w myśl traktatu w St. Germain 1679 i jeszcze ściślej łączącego Ludwika XIV z Fryderykiem Wilhelmem, traktatu w Poczdamie z r. 1681.[2]) W rachubach politycznych Wersalu Polska zajmuje wtedy stanowisko podrzędne, a polityka francuska

[1]) M. i. Konopczyński Wł.: *Polska a Szwecja* (Kraków 1924). Piwarski K.: *Polityka bałtycka Jana III w latach 1675—1679* (Cieszyn 1932).

[2]) Pagès G.: *Le grand électeur et la France* (Paris 1905).

w Polsce ma charakter wybitnie negatywny, dąży do zniweczenia planów przymierza polsko-austrjackiego, skierowanego przeciw Turcji. Jan III zajęty był w tym czasie wyłącznie myślą zażegnania niebezpieczeństwa tureckiego, którego Francja od Rzplitej odwrócić nie umiała i gorliwe czynił zabiegi nad stworzeniem ligi państw chrześcijańskich do walki z półksiężycem — racja tedy stanu nakazywała mu zbliżenie do Austrji. W odpowiedzi na to posłowie francuscy w Polsce, Forbin-Janson, a zwłaszcza łatwowierny i słabo się orjentujący w sytuacji politycznej Polski, Vitry, prowadzą akcję wyraźnie opozycyjną, tworzą partję francuską antydworską z „malkontentów" polskich, Jabłonowskiego, Morstina, Grzymułtowskiego i Sapiehów. Wyniki tej polityki były dla Francji bardzo niepomyślne: nie udało się zapobiec zawarciu przymierza Polski z Austrją, a współpraca dworu wersalskiego na terenie Rzplitej z Brandenburgją i opozycją polską skończyła się kompromitacją partji francuskiej na sejmie w 1683 roku i zerwaniem stosunków dyplomatycznych między Francją a Polską. [1])

Okres trzeci, lata 1684 i 1685, to obustronne próby odnowienia zerwanych stosunków, a więc nieoficjalna misja Béthune'a do Polski w r. 1684 i „wielka ambasada" Jana Wielopolskiego do Francji w r. 1685. Czasy te, podobnie zresztą jak cały okres powiedeński rządów Jana III, wymagają jeszcze bliższego zbadania i oświetlenia. W pracy naszej „Między Francją a Austrją" zajęliśmy się bliżej czwartym okresem stosunków polsko-francuskich, w latach 1687—1690. [2]) Dwór wersalski okazuje w tym czasie wzrastające zainteresowanie dla spraw polskich, pomnażając liczbę swych przedstawicieli w Polsce do trzech (zresztą nieoficjalnych). Jest to okres wielkiego kryzysu Ligi świętej w związku z wybuchem drugiej wojny koalicyjnej. Polityka Wersalu w Polsce idzie wtedy po linji zupełnego poparcia polityki dynastycznej Jana III, a dążąc do oderwania Polski od Ligi,

[1]) Konarski K.: *Polska przed odsieczą wiedeńską r. 1683* (Warszawa 1914). — Rubinstein S.: *Les relations entre la France et la Pologne de 1680 a 1683* (Paris 1913).

[2]) Piwarski K.: *Między Francją a Austrją.* Z dziejów polityki Jana III w latach 1687—1690 (Kraków 1833).

pragnie raz jeszcze wciągnąć Sobieskiego w wir polityki europejskiej po stronie Francji. Ogólna jednak sytuacja w Europie, dla Francji niepomyślna, jak i niepowodzenie rokowań o pokój odrębny z Turcją, skłoniły Jana III do ponownego zbliżenia do Austrji w roku 1690. Wynikiem tego było powtórne, choć tym razem niezupełne, zerwanie stosunków dworu polskiego z Wersalem.

W okresie ostatnim wreszcie, 1692—1696, akcja francuska na terenie Rzplitej wykazuje pewne ożywienie, nie zdołała jednak silniej zainteresować Jana III i obracała się głównie w kręgu dyplomacji „Marysieńki".[1]) Nie mogąc wykrzesać z Polski poważniejszych korzyści dla swej polityki, starał się Ludwik XIV skłonić dwór i stany polskie do zawarcia pokoju osobnego z Turcją i nie dopuścić do utrwalenia w Rzplitej wpływów austrjackich. Ambasada Polignaca (1693—1696),[2]) bądź w kontakcie z dworem, bądźto z opozycją, miała na celu głównie przygotowanie gruntu pod zwycięstwo francuskie na przyszłej elekcji.

Jeśli zajmujemy się stosunkami polsko-francuskiemi w latach 1683—1685, to ze względu na szczególną wagę tego okresu dla wyjaśnienia polityki Jana III w latach powiedeńskich. Śledzić możemy tutaj pierwsze próby Jana III, niemal nazajutrz po bitwie wiedeńskiej, a następnie po traktacie w Linzu (5 III 1684), odchylenia polityki polskiej od przymierza z Austrją i sprowadzenia jej na tory samodzielne. Zarazem zaś w tym czasie ujawnia się po raz pierwszy polityka dynastyczna jako naczelny motyw w akcjach politycznych Jana III.

I.

Pomimo zerwania oficjalnych stosunków dyplomatycznych z Francją z wiosną roku 1683 dwór polski starał się i nadal o utrzymanie kontaktu z dworem wersalskim. Tuż po bitwie wiedeńskiej wysłał Jan III list do Ludwika XIV,[3])

[1]) Por. Konopczyński: Dwaj królowie rodacy, w *Historji polit.* (wyd. Akad. Umiej.) t. II, s. 409.

[2]) Paul P.: *Le cardinal Melchior de Polignac* (Paris 1922).

[3]) Jan III do żony, 13 IX 1683, Kluczycki Fr.: *Acta anni 1683*, s. 381.

jako króla arcychrześcijańskiego, z wieścią o zwycięstwie — zadrażniony jednak w swej ambicji sprawą Vitry'ego i Morstina Ludwik XIV listu tego nie przyjął.[1]) Mimo to dwór polski starał się o utrzymanie nieoficjalnego kontaktu z Francją, co ułatwiały Sobieskim liczne węzły pokrewieństwa i znajomości na dworze Ludwika XIV. „Marysieńka" pozostawała w stałej korespondencji ze swym szwagrem Béthunem oraz z biskupem Beauvais, Forbin-Jansonem, przesyłając na ich ręce w pierwszym rzędzie informacje o postępach oręża polskiego na Węgrzech.[2]) Co więcej, Jan III, który tuż po bitwie wiedeńskiej nawiązał znów kontakt z Tökölym, ułatwiał korespondencję między agentem francuskim przy boku „króla Węgier północnych", Forvalem, a dworem wersalskim, wysyłając wraz ze swoją pocztą listy tegoż drogą na Kraków do Francji.[3])

Szczególną zaś wagę przywiązywał Sobieski do informowania opinji francuskiej o sytuacji politycznej i wojennej Polski. Listy króla do „Marysieńki" stanowiły materjał do licznych gazet, sporządzanych i drukowanych w języku francuskim w Krakowie, a przesyłanych skwapliwie do Francji.[4]) Sam król nawet własnoręcznie spisał odpowiednią relację w formie listu anonimowego Francuza do dawnego agenta francuskiego przy boku Tököly'ego, Vernay'a (znanego dobrze i skompromitowanego w Polsce), w którym napiętnował intrygi agentów francuskich na dworze polskim; wszak starali się przedstawić Jana III w Wersalu jako ociężałego samoluba i skąpca, niezdolnego do żadnego poważniejszego wysiłku militarnego, czy przeprowadzenia jakiejś udałej akcji politycznej, również z lekceważeniem mówiono o sile oręża polskiego — a tu tymczasem kampanja wiedeńska zadała kłam w tak jaskrawy sposób całej tej akcji intryganckiej i oszczerczej! Francja nie dbała (źle przez swych agentów informowana) o utrzymanie dobrych z królem polskim stosunków, a przecież Jan III wiele okazał skłonności

[1]) Béthune, 15 VII 1684, odpisy z *Archive des affaires étrangères* w Arch. Kom. Histor. Akad. Umiej., Teki Waliszewskiego IV, s. 2906.

[2]) Kluczycki j. w., passim.

[3]) Jan III do żony, 10 X. 1683, Kluczycki, s. 458.

[4]) Kluczycki j. w., passim.

do polityki francuskiej w pierwszych latach swych rządów i narażał się przez to wielu państwom Europy. Ten to król, rzekomo znienawidzony w kraju i bliski detronizacji, potrafił przecież porwać swój naród do wielkiego wysiłku, ku podziwowi Europy. Czyż nie warto dbać o utrzymanie dobrych stosunków z takim władcą? — to pytanie nietrudno było wyczuć między wierszami uwag królewskich. [1])

Zarazem zaś podjął Jan III starania o nawiązanie oficjalnych stosunków z Wersalem. Pierwsze próby w tym kierunku śledzić możemy w czasie misji Tomasza Talentiego do Rzymu, wysłanego do papieża tuż po bitwie wiedeńskiej z chorągwią wezyra i oficjalną relacją króla o zwycięstwie. Pierwsze te kroki na drodze porozumienia polsko-francuskiego dokonują się pod patronatem dyplomacji papieskiej. Pod wpływem pogromu Turków podjął Inocenty XI swą ulubioną dawną myśl ogólnej krucjaty państw chrześcijańskich celem wypędzenia Turków z Europy i przystąpił z wielką energją do jej wykonania. Trudności zaś nastręczały się niemałe. Tuż po bitwie wiedeńskiej odezwały się pierwsze rozdźwięki między Janem III a Leopoldem I, głównie na tle różnicy poglądów na sprawę węgierską, gdy król polski podjął próby medjacji między Tökölym a dworem wiedeńskim, okazując Węgrom wiele sympatji i próbując osłonić ich swą protekcją przed bezwzględną polityką represyj dworu habsburskiego. Rozdźwięki te starał się uciszyć i różnice wyrównać pracujący niezmordowanie nad zmontowaniem ligi antytureckiej, wierny wykonawca planów Inocentego XI, nuncjusz papieski w Wiedniu, kardynał Buonvisi. [2]) O wiele jednak cięższe chmury zbierały się od Zachodu i groziły zniweczeniem planów papieskich w zarodku. Właśnie w r. 1683 podjął Ludwik XIV wojnę w Niderlandach z Hiszpanją, a i na pograniczu Niemiec kontynuował swe „reuniony" (zajęcie Luksemburga, czerwiec 1684), pragnąc wymusić na Rzeszy sankcję swych ostatnich zdobyczy w formie nowego traktatu, dopóki jeszcze Habsburgowie

[1]) Helcel A. Z.: *Listy Jana Sobieskiego* (1860), s. 395 i 435.

[2]) Pastor L.: *Geschichte der Päpste* (1930), t. XIV, s. 803—4. O stosunkach Jana III z Tökölym por. Klopp O.: *Das Jahr 1683*, (1882), s. 383 i nast.

austrjaccy zajęci są wojną z Turkami. Właśnie jednak nowe zabory francuskie i wybuch wojny z Hiszpanją dały chwilową przewagę w Wiedniu partji antyfrancuskiej i silne były tendencje na dworze cesarskim do zaniechania dalszej wojny z Turcją, a pospieszenia z pomocą Habsburgom hiszpańskim. W tej sytuacji wystąpiła dyplomacja papieska z całą energją; Buonvisi zagroził w Wiedniu wstrzymaniem zupełnem dalszych sybsydjów na wojnę turecką, gdyby cesarz chciał dzielić swe siły na dwa fronty i osłabiać w ten sposób akcję wojenną na froncie węgierskim.[1]) Nuncjusz papieski w Wersalu, Ranuzzi, starał się usilnie skłonić Ludwika XIV do pokoju; Inocenty XI w rozmowach z posłem francuskim w Rzymie, kardynałem d'Estrées, w płomiennych słowach starał się rozpalić zapał Francuza do walki z półksiężycem, a przeznaczając Francji wielką rolę w lidze antytureckiej, kierował już w myślach flotę francuską pod mury Konstantynopola, dla odnowienia cesarstwa łacińskiego.[2]) W swych dążeniach do stworzenia wielkiej ligi państw chrześcijańskich starał się Inocenty XI doprowadzić do porozumienia, przynajmniej czasowego, między Ludwikiem XIV a dworami habsburskiemi. Nie mógł tedy papież w tych warunkach odmówić prośbie Jana III, która szła wszak po myśli pogodzenia i zbratania wszystkich władców i państw chrześcijańskich i zgodził się ofiarować usługi swej dyplomacji dla wyrównania różnic między dworem polskim a Wersalem, mimo, że już wtedy pod wpływem relacyj nuncjusza w Polsce, Pallaviciniego, żywiono w Rzymie obawy, by zbliżenie Polski do Francji nie przyniosło szkody interesom Ligi świętej.[3])

Pierwsze rozmowy na ten temat podjął Talenti w czasie swego krótkiego pobytu w Rzymie, w domu kardynała Barberiniego, z posłem francuskim d'Estrées.[4]) Po wyjeździe Talentiego zaznaczał w rozmowie z posłem francuskim rezydent Polski w Rzymie, opat Jan Kazimierz Denhoff, że

[1]) Pastor: *Geschichte der Päpste*, j. w.

[2]) Michaud E.: *Louis XIV et Innocent XI* (Paris 1883), t. II, s. 90.

[3]) Sauer A.: *Rom u. Wien im Jahre 1683* (Wien 1883), s. 179 i 189.

[4]) J. K. Denhoff do Marji Kazimiery, z Rzymu, 23 X 1683, Kluczycki, s. 498.

Jan III gotów jest w każdej chwili do nawiązania przyjaznych stosunków z Francją.[1]) Na prośbę króla polskiego zlecił Inocenty XI nuncjuszowi przy dworze Ludwika XIV, Ranuzziemu, zapośredniczenie w tej sprawie w Wersalu. Jednocześnie wysłał Jan III list do Ranuzziego, wyrażając ze swej strony życzenie odnowienia stosunków z Ludwikiem XIV za pośrednictwem dyplomacji papieskiej, oraz gotowość dania królowi francuskiemu pewnej, w formie zdaje się listownej, satysfakcji za niezbyt względne potraktowanie Vitry'ego w Polsce. Po powrocie do kraju z kampanji węgierskiej zlecił Jan III dalszą korespondencję z Barberinim, Ranuzzim i grającym w tej akcji pewną rolę, biskupem Beauvais, Forbin-Jansonem — biskupowi kijowskiemu, Andrzejowi Chryzostomowi Załuskiemu.[2])

Ponadto chcąc podkreślić swe sympatje francuskie, polecił Jan III w liście do Barberiniego (styczeń 1684)[3]) gorąco do kapelusza kardynalskiego biskupa Beauvais, zgodnie z dawno już wyrażonem życzeniem Ludwika XIV a własną obietnicą. Właśnie jednak w tej sprawie napotkał Jan III na stanowczy sprzeciw Stolicy Apostolskiej, gdzie Forbin-Janson, „prałat turecki", oskarżony o podsycanie buntu węgierskiego i zerwanie sejmu w r. 1681 (w celu zniweczenia planów ligi antytureckiej), cieszył się bardzo złą opinją. Odmowne stanowisko Rzymu, zaznaczone w liście Barberiniego do Jana III (czerwiec 1684),[4]) zraziło dwór polski. Dalsze rozmowy króla w tej sprawie z nuncjuszem Pallavicinim, stronnikiem Austrji, odebrały niemal zupełnie nadzieję Janowi III na skuteczność dalszych zabiegów o purpurę kardynalską dla biskupa Beauvais. Pallavicini radził tedy królowi, wobec stanowczego sprzeciwu co do osoby Forbin-Jansona, polecić do godności kardynalskiej jakiegoś Polaka, wymieniając rezydenta polskiego w Rzymie, opata Denhoffa.[5]) Tymczasem zaś tenże Denhoff zamiast popierać gorliwie kandydata polsko-fran-

---

[1]) Michaud j. w.. s. 93.

[2]) Teki Waliszewskiego IV, passim (pod r. 1684).

[3]) Pallavicini, 23 I 1684, Teki rzymskie w Arch. Kom. Hist. Akad. Umiej., 95, s. 12.

[4]) Pallavicini, 19 VII 1684, j. w., s. 68.

[5]) Tamże.

cuskiego, biskupa Beauvais, pracował nad Tybrem dla własnego wyniesienia i pozyskał sobie względy papieża, gorliwie zwalczając artykuły gallikańskie. Rozdrażniony d'Estrées zwrócił się wkońcu do Wersalu z prośbą o wywarcie nacisku na dwór polski, by odwołano z Rzymu tego „opata-intryganta", nieprzyjaznego Francji.[1])

Dwór francuski nie okazywał w tym czasie żywszego zainteresowania dla spraw polskich. Po doświadczeniach z lat ostatnich podzielano pewnie w Wersalu zdanie Pomponne'a, że problem turecki jest w tej chwili dla polityki polskiej zagadnieniem pierwszorzędnem, wobec którego inne sprawy, jak np. kwestja stosunku do Brandenburgji czy Szwecji, muszą zejść na plan dalszy.[2]) Walka zaś z wspólnym wrogiem zmusza Rzplitę do sojuszu z Austrją. Przyjazne w latach 1679—1684 stosunki Francji z Brandenburgją dawały polityce francuskiej, zdawało się, dość silne oparcie nad Bałtykiem i pozwalały nie oglądać się zbytnio na Polskę. Niemniej i w tych, tak mało sprzyjających warunkach, utrzymanie kontaktu z dworem polskim nie było dla Francji bez znaczenia, choćby dlatego, że mogło ułatwić Ludwikowi XIV wspieranie ruchu powstańczego na Węgrzech. Gdy zaś nadchodzić zaczęły coraz częstsze wieści z Polski o wzrastających rozdźwiękach między dworem polskim a wiedeńskim, zaczęto w Wersalu wierzyć w możliwość oderwania Rzplitej od przymierza z Austrją i osamotnienia tejże w dalszej wojnie z Turcją. Należało tylko te rozdźwięki pogłębić i nastroje antyaustrjackie na dworze polskim podsycić. Na początku tedy 1684[3]) roku zapadła w Wersalu decyzja wysłania do Polski w charakterze prywatnym, pod pozorem załatwienia spraw rodzinnych, naprawdę jednak w ważnej misji politycznej, margrabiego de Béthune. Trudno było doprawdy o lepszy wybór. Krewny królowej, dobrze zapisany na dworze polskim z czasów swej ambasady, miał wszędzie w Polsce drzwi otwarte i mógł oddać nader cenne

[1]) Michaud j. w., s. 94.

[2]) *Mémoires de marquis de Pomponne* (Paris 1868), t. II, s. 473—4.

[3]) Lub pod koniec r. 1683. Wtedy to Béthune w liście do Wielopolskiego dawał do zrozumienia, że Ludwik XIV gotów jest odnowić stosunki z Polską. Sauer j. w., s. 179.

usługi, choć nie posiadał rangi oficjalnej. Wbrew zaś licznym krytykom zwyciężyło na dworze francuskim przekonanie, że Béthune w czasie swej misji urzędowej w Polsce (1676 do 1680) spełnił dobrze swe zadanie, a jedynie tylko jego gospodarka finansowa nie była bez zarzutu.[1]) W pierwszych dniach lipca 1684 roku stanął Béthune w Polsce, a jego przyjazd, jako następstwo pierwszych kroków porozumiewawczych, poczynionych na terenie Rzymu pod egidą papieską, miał posunąć silnie naprzód sprawę zbliżenia polsko-francuskiego.

Jednocześnie z wiosną roku 1684, w myśl instrukcyj z Rzymu, wszczął nuncjusz Ranuzzi w Valenciennes rozmowy z Colbertem Croissym na temat zbliżenia polsko-francuskiego. Wspomniał on nietylko o gotowości Sobieskich do dania satysfakcji pisemnej Ludwikowi XIV za wypadki z r. 1683, lecz ponadto zaznaczył, że Jan III pragnie wysłać specjalne poselstwo do Wersalu z przeprosinami.[2]) Gotowość Sobieskiego nie była jeszcze zdaje się tak daleko posunięta, a o wysłaniu osobnego posła do Francji wspomniał z własnej inicjatywy prowadzący w tych sprawach korespodencję z Ranuzzim i Barberinim, Załuski, który przeznaczał w myślach dla siebie rolę wielkiego ambasadora do Wersalu.[3]) Croissy przyjął bardzo życzliwie propozycje Ranuzziego i zapewnił go, że poselstwo polskie uzna Ludwik XIV za dostateczną podstawę do odnowienia przyjaznych stosunków między obu dworami.[4])

Nie mając jeszcze informacyj o rozmowach w Valenciennes rozpoczął Béthune zaraz po przybyciu do Polski negocjacje z Janem III na temat porozumienia polsko-francuskiego. Rzecz znamienna, że zaraz we wstępnych rozmowach wysunął król na pierwszy plan sprawy dynastyczne, wspominając o korzystnych propozycjach domu habsburskiego i zaznaczył, że pragnie wreszcie powziąć w tych sprawach ostateczną decyzję. Mając do wyboru oparcie się

[1]) *Mémoires* j. w., s. 467. Por. P i c a v e t C. G.: *La diplomatie française au temps de Louis XIV* (Paris 1930), s. 209.

[2]) Croissy, 6 VIII 1684, Teki Walisz. IV, s. 2946.

[3]) Béthune, 25 X 1684, j. w., s. 2948—9.

[4]) Croissy, j. w.

o Austrję czy Francję, gotów jest zawsze wybrać tę ostatnią; dwór wersalski winien jednak zmienić swą taktykę i stanowisko, dotąd przeważnie lekceważące, wobec dworu polskiego. Pozytywnym wynikiem pierwszych rokowań były listy Jana III do Wersalu z przeprosinami, wysłane przez Béthune'a na ręce żony, z tem, że wręczyć je miał Ludwikowi XIV Ranuzzi, lub ktoś z rodziny królowej polskiej.[1])

Dwór jednak francuski nie uznał tej formy satysfakcji za wystarczającą. W sierpniu zawiadomił Croissy Béthune'a, że w Wersalu oczekuje się specjalnego poselstwa polskiego w tej sprawie, zgodnie z układem w Valenciennes, przeto forma listowna satysfakcji nie wystarczy i lepiej, by narazie listów królewskich Ludwikowi XIV wogóle nie pokazywać.[2]) Béthune, nieco zaskoczony, tłumaczył się, że na dworze polskim o wynikach rozmów w Valenciennes nic nie wiedziano, widocznie tedy listy Ranuzziego ugrzęzły w rękach niechętnych Francji, Barberiniego lub Pallaviciniego.[3]) Naprawdę w ciągu roku 1684 poglądy Rzymu na sprawę zbliżenia polsko-francuskiego uległy pewnej modyfikacji. Z gęstych mgieł, otulających wielkie plany krucjaty Inocentego XI, wyłoniły się na początku roku 1684 wyraźnie kontury Ligi świętej, obejmującej Polskę, Austrję i Wenecję. O udziale Francji w Lidze przy boku Austrji nie było już mowy, a Ludwik XIV wyzyskał jedynie dogodną sytuację, by zmusić Rzeszę do traktatu w Ratyzbonie (1684). Zarazem zaś spory kościelne między Rzymem a Francją wchodziły w fazę coraz ostrzejszą, nadając polityce papieskiej wyraźniejszy kurs antyfrancuski. Praca nad zbliżeniem Polski do Francji nie mogła już tedy przynieść pożytku sprawie wojny z Turcją, a wzrost wpływów Wersalu w Polsce mógł jedynie przyczynić się do pogłębienia sporów polsko-austrjackich i rozbicia Ligi.[4]) Dyplomacja papieska pracuje teraz już tylko nad wyrównaniem różnic między dworem polskim a wie-

[1]) Béthune, lipiec 1684, j. w., s. 2932.

[2]) Croissy, j. w.

[3]) Béthune, 25 V 1684, j. w., s. 2948—9.

[4]) Pogląd ten wyrażał stale w depeszach do Rzymu nuncjusz pap. w Polsce, Pallavicini.

deńskim, by wspólny wysiłek militarny w ramach Ligi przyniósł upragnione sukcesy nad orężem tureckim.

Nawiązaną jednak za pośrednictwem Ranuzziego nić porozumienia polsko-francuskiego snuł dalej niestrudzenie Béthune. Już w październiku mógł on donieść Croissy'emu, że na dworze polskim zapadło postanowienie wysłania do Wersalu osobnego poselstwa, a do roli tej przeznaczono wielkiego kanclerza, spowinowaconego z rodziną Sobieskich, Jana Wielopolskiego, którego stanowisko i przeszłość (jako czołowego stronnika Francji w Polsce) musiały stanowić w Wersalu jaknajlepszą rekomendację.[1]) Sobiescy postarali się zawczasu o zgodę rady senatu na wyjazd kanclerza do Francji, pod pozorem leczenia się w uzdrowiskach francuskich. Następnie jednak odroczono wyjazd Wielopolskiego do sejmu, w nadziei, że uda się uzyskać zgodę na wysłanie kanclerza w charakterze oficjalnym, by zgodnie z życzeniem Ludwika XIV nadać jego poselstwu tem większą powagę i znaczenie.[2])

II.

Zastanowić się teraz wypada nad powodami, które skłoniły Jana III do nawiązania stosunków z Francją w latach omawianych. Pewną rolę grały tutaj niechybnie obawy zemsty ze strony Francji za wypadki z roku 1683. W związku z grożącym nad Bałtykiem konfliktem między sojusznikami Francji, Danją i Brandenburgją, a Szwecją, która zbliżyła się właśnie do Holandji i Austrji, rozeszły się w Polsce pod koniec roku 1683 pogłoski o pojawieniu się floty francuskiej na wodach bałtyckich i możliwości ataku francusko-duńskiego na Gdańsk.[3]) To znowu, na wieść o podjęciu rokowań między Francją a Szwecją, wysuwano obawy ataku szwedzkiego na północne granice Polski z chwilą, gdy dwór sztokholmski przejdzie napowrót na żołd Wersalu.[4]) Zdaje

[1]) Béthune, październik 1684, Teki Walisz. IV, s. 2956.

[2]) Béthune, 29 XI 1684, j. w., s. 2966.

[3]) M. Ogiński do Benedykta Sapiehy, z Kadzynia, 28 I 1684, Malinowski-Przeździecki: *Źródła do dziejów Polski*, t. II, s. 375.

[4]) Gniński do Marji Kazimiery, 22 XI 1683, Kluczycki, s. 554.

się jednak, że pogłosek tych nie brano w Polsce zbyt poważnie. O wiele ważniejszym czynnikiem, który wpłynął na zwrot ku Francji, była polityka dynastyczna dworu polskiego. Jeżeli wiążąc się w roku 1683 z Austrją obiecywał sobie z tego sojuszu Jan III również korzyści dynastyczne, rękę arcyksiężniczki dla swego syna Jakóba, to nadzieje te po ukończeniu kampanji wiedeńskiej ogromnie zmalały. Poza mglistemi obietnicami dyplomacji papieskiej, Jan III nie doczekał się żadnej propozycji w tym kierunku od dworu wiedeńskiego, a wyniosłe i odpychające odniesienie się Leopolda I do Sobieskich po bitwie wiedeńskiej nie pozwalało i w przyszłości na żywienie wielkich nadziei. Zrażony do dworu cesarskiego, szukał Jan III zbliżenia do Francji w przekonaniu, że dwór wersalski, ceniąc po zwycięstwie pod Wiedniem wyżej dom Sobieskich, nie poskąpi ręki którejś z księżniczek krwi królewskiej dla Jakóba. Opinja w kraju, a też i poza Polską, łączyła powszechnie przyjazd Béthune'a z konkretnemi już jakoby propozycjami małżeńskiemi Wersalu dla Jakóba.[1]) Naprawdę tak nie było i stąd pewne rozczarowanie na dworze polskim po pierwszych rozmowach z Béthunem. Sprytny margrabia jednak, doceniając rolę, jaką odgrywał wtedy w rachubach politycznych Sobieskich moment dynastyczny, przedstawiał w rozmowach z Janem III sprawę w ten sposób, jakoby dwór francuski miał już w pogotowiu pewne propozycje dla Jakóba, a czekał jedynie z ich ujawnieniem na przybycie posła nadzwyczajnego, Wielopolskiego i oficjalne pogodzenie obu dworów.[2])

Nawiązanie stosunków z Francją miało wreszcie niezmiernie doniosłą wagę dla spraw wewnętrznych Rzplitej. Opozycja polsko-litewska, która na sejmie 1683 roku, w dobie zwrotu dworu polskiego ku Austrji, skupiła się pod protekcją Francji i Brandenburgji, została dzięki energji Jana III rozbita. Niektórzy z „malkontentów", jak Sapiehowie, Jabłonowski, Stanisław Lubomirski, okazywali (nastraszeni przykładem Morstina) pozornie swą lojalność wobec dworu i wypierali się związków z podskarbim koronnym, czy też

[1]) Por. m. i. druk współcz. „Pohlen, wie so kaltsinnig?" (1685), s. 32—3.

[2]) Relacje Béthune'a po r. 1684, Teki Walisz. IV, passim.

posłem francuskim. Ugodowość jednak „malkontentów" była tylko maskowana. Po odwołaniu Vitry'ego stracili wprawdzie oparcie o Francję; tem skwapliwiej zato chronili się pod opiekuńcze skrzydła Fryderyka Wilhelma, uzyskując od elektora zapewnienie, że nigdy nie dopuści do pogwałcenia polskich wolności. A wolnościom tym, w przekonaniu opozycji, zagrażało właśnie przymierze polsko-austrjackie.[1]) Po kampanji wiedeńskiej miała przyjść kolej na decydujące posunięcie dworu w sprawach wewnętrznych, torujące Jakóbowi, który otrzyma rękę arcyksiężniczki, drogę do tronu *vivente rege* z pomocą Austrji. Po chwilowej tedy konsternacji, „malkontenci" podnoszą wkrótce głowę; tuż po bitwie wiedeńskiej poddają krytyce dalsze działania militarne Jana III na Węgrzech, agitują w armji za powrotem do kraju, grożąc nawet zawiązaniem konfederacji w wojsku.[2]) Nici tej akcji rozkładowej w armji królewskiej skupiały się w rękach Jabłonowskiego i autora pamfletowej relacji o tej kampanji, Jana Bonawentury Krasińskiego.[3]) Inni znowuż w Krakowie wpłynąć pragnęli tymczasem na „Marysieńkę", by skłonić króla do przyspieszenia powrotu do kraju.[4]) Odrębną wreszcie taktykę zastosowali Sapiehowie. Podskarbi Benedykt tak nieczysto gospodarował skarbem litewskim, a hetman Kazimierz tak leniwie gromadził wojsko, że armja litewska zbyt późno wyruszyła z kraju, nie wzięła istotnego udziału w kampanji, dała się jedynie we znaki ludności w czasie przemarszu przez ziemie polskie i Morawy, a wreszcie swemi zdzierstwami i okrucieństwem bardzo sobie smutną sławę zyskała na Węgrzech północnych i udaremniła w głównej mierze porozumienie polsko-węgierskie.[5])

---

[1]) Relacja agentów brand., Wicherta, Sculteta i inne materjały w Urkunden u. Actenstücke zur Geschichte des Kurf. Friedrich Wilhelm, t. XXII (1926), passim, pod r. 1683—4.

[2]) Por. m. i. list Jana III do żony, 27 X 1683, Kluczycki, s. 511.

[3]) Relacja wyprawy wiedeńskiej z 1683 r., wyd. Laskowski O., Przegląd Histor. — Wojskowy 1930, s. 156. Po łacinie Załuski A. Chr.: *Tolae historico-familiares*, t. I_2, s. 828.

[4]) Por. listy Jana III z r. 1683, Kluczycki j. w., passim.

[5]) Uwagi Jana III w listach do żony o wojsku lit., 20 i 21 X, 11 XI 1683, Kluczycki, s. 482, 491 i 532. Por. Kaczanowski do Ben. Sapiehy, 28 III 1684; Skrzydlka Wł.: *Listy z czasów Jana III* (1870), s. 53.

Odsiecz Wiednia podniosła ogromnie urok imienia królewskiego w oczach mas szlacheckich, nawet na terenie tak przez opozycję opanowanym, jak w Wielkopolsce.[1]) Wyzyskując te nastroje pragnął Jan III po powrocie do kraju, zawiedziony w nadziejach na poparcie swych planów dynastycznych przez dwór wiedeński, zaskoczyć opozycję odnowieniem swych stosunków z Francją. Łącząc się z cesarzem i Wenecją węzłem Ligi świętej mógł jednocześnie Jan III utrzymywać stosunki z Francją, w czasie gdy rozejm ratyzboński regulował chwilowo na drodze pokojowej spory między Ludwikiem XIV a Habsburgami, a Inocenty XI myślał poważnie o wciągnięciu Francji do ligi antytureckiej. Zbliżenie do Francji miało teraz opozycję, poróżnioną przedtem z dworem wiedeńskim, pozbawić zupełnie oparcia i postawić w trudnej sytuacji, zmusić może do starań o względy dworu i pogodzenia się z jego planami dynastycznemi. Zarazem zaś zręczną taktyką przy rozdawnictwie wakansów pragnął król osłabić opozycję, a pomnożyć zastępy partji dworskiej. Główny atak przypuszczono teraz ze strony dworu na Sapiehów. Oskarżając ich (głównie zaś podskarbiego litewskiego) o świadome i karygodne zaniedbania w kampanji roku 1683 podburzał król przeciw Sapiehom posłów żmudzkich, a nawet czynił pewne kroki wstępne w celu wywołania w wojsku litewskiem konfederacji, gdyby hetman litewski nie chciał się w zupełności podporządkować dyrektywom królewskim w najbliższej kampanji. Wakansami litewskiemi pragnął Sobieski w ten sposób rozporządzić, „byle kontr postanowić Sapiehom".[2]) Pieczęć wielką po wielu namysłach oddał Jan III Ogińskiemu i uczynił, jak się wkrótce okazało, krok fałszywy. Nowy kanclerz bowiem tak silnie był związany na Litwie z Sapiehami, że nie poświęcił tych związków dla faworów królewskich i nie dał się nakłonić do walki z faktycznymi panami Litwy; natomiast zraził sobie dwór podkanclerza Radziwiłła, który spodziewał się zgodnie z pa-

[1]) Scultetus, 9 X 1683, U. u. A. XXII, s. 118.

[2]) Listy Kaczanowskiego do Ben. Sapiehy, z 1684 r., Skrzydlka j. w., passim.

nującym zwyczajem posunięcia na urząd kanclerski.[1]) Przed oddaniem buławy polnej długo rozglądano się wśród magnaterji litewskiej. Zabiegał o nią Białozor zapewniając, „że jego fortuna niemal równa sapieżyńskiej, a przyjaciół po województwach ma bezliku" — ale wydał się królowej zbyt słabym, by mógł się przeciwstawić Sapiehom.[2]) Pominięto innego petenta, Jana Karola Dolskiego i oddano wkońcu buławę Bogusławowi Słuszce. Nowemu nominatowi wileńskiemu, Kotowiczowi, takie dawał Jan III przed wyjazdem na Litwę wskazówki: „należy żebyś Waszeć był ruchawy; cokolwiek obaczysz errorów (jako ich teraz w Litwie pełno), abyś się *autoritate officii sui*, jako tam najwyższy pasterz, *castiges et corriges*".[3]) Kotowicz nie miał już wiele czasu na karcenie błędów sapieżyńskich, gdyż po dwu latach zamknął powieki: rolę tę spełnił natomiast zupełnie w myśl życzeń królewskich jego następca, Konstanty Brzostowski.[4])

Zaskoczenie opozycji zwrotem ku Francji nie sprowadziło jednak, jak to planował Jan III, jej pognębienia. Niektórzy „malkontenci", jak np. Jabłonowski, wyzyskali pobyt w Wiedniu i na Węgrzech, by nawiązać kontakt z dworem cesarskim. W rozmowach z ministrami Leopolda I zdołał się Jabłonowski upewnić, że dwór cesarski nie ma zamiaru wywdzięczać się Sobieskiemu za odsiecz Wiednia poparciem jego planów dynastycznych, a patrząc nieufnie na politykę króla wobec Tököly'ego i podejrzywając go już wtedy o tajne związki z Francją, pragnie utrzymania stosunków z polskimi „malkontentami". Najsilniejszą jednak podporę dla polskiej opozycji stanowił Fryderyk Wilhelm. Jeśli Jan III spodziewał się, że dwór brandenburski ustosunkuje się życzliwie do odnowienia przyjaźni polsko-francuskiej, sam przecież oficjalnie ścisłym z Francją związany sojuszem, to wielkiego

---

[1]) Kaczanowski do Ben. Sapiehy, j w., s. 69. Por. „kopję listu podkancl. Dominika Radziwiłła do pewnego przyjaciela *ratione* danej pieczęci wielkiej W. Ks. Lit. wojewodzie trockiemu, umknąwszy jego w gradancjej", rkp. Biblj. Narod. w Warszawie, R. F. IV 50, s. 1.

[2]) Kaczanowski do Ben. Sapiehy, 22 IV 1684; Skrzydlka, s. 59.

[3]) Tamże, s. 74.

[4]) Por. Piwarski K.: *Opozycja litewska pod koniec XVII w.* Pamiętnik V Zjazdu Histor. Pol. w Warszawie (1930), t. I, s. 259.

doznał zawodu. Napozór, rzecz jasna, musiał Fryderyk Wilhelm okazywać sympatję dla prób dworu polskiego nawiązania stosunków z Wersalem, naprawdę jednak przyjmował tę zmianę kursu polityki Jana III z wielkim niepokojem.[1]) Właśnie był elektor w przededniu wycofania się z sojuszu francuskiego, który nie przyniósł mu spodziewanych zdobyczy kosztem Francji na Pomorzu i w latach następnych zawiąże nowe aljanse, z wrogami Francji, Holandją, Szwecją i cesarzem. Poinformowany przez swych agentów w Polsce, że zwrot ku Francji łączy się z zamysłami dynastycznemi króla, przynieść ma wyniesienie Jakóba *vivente rege*, a więc nastąpi *mutatio status* Rzplitej, zapewnił elektor, oczywiście w tajemnicy przed dworem, z całą stanowczością polskich „malkontentów", że mogą być pewni poparcia brandenburskiego w walce z dworem, w myśl istotnych interesów dworu berlińskiego.[2])

„Malkontenci" tak ufni byli w poparcie elektora, że zwierzali się przed jego agentami ze wszystkich swych tajnych kroków. W maju 1684 mógł tedy donieść Scultetus do Berlina o tajnem sprzysiężeniu magnackiem w Warszawie, przy udziale Grzymułtowskiego, Stanisława Lubomirskiego, Benedykta Sapiehy i powiernika hetmana Jabłonowskiego, który, nie chcąc palić za sobą mostów do porozumienia z dworem, stosował taktykę bardzo ostrożną i bał się zabrnąć zbyt głęboko w trzęsawisko spiskowe. Sprzysiężenie warszawskie „dla obrony Rzplitej" przed zamachami dworu na polskie wolności powstało w chwili, gdy zapowiadany od jesieni 1683 roku przyjazd Béthune'a stawał się faktem dokonanym. W przekonaniu, że Francja użyczy teraz poparcia polityce dynastycznej Jana III i że dwór w najbliższym czasie przystąpi do realizacji swych planów, zwracali się teraz „spiskowi" przez Grzymułtowskiego do agenta brandenburskiego Sculteta z prośbą, by elektor zapewnił im opiekę, a przedewszystkiem nie przykładał ręki do zbli-

[1]) Starania Fryderyka Wilhelma o pogodzenie dworu polskiego z Wersalem było tylko zupełnie pozorne; zbyt tedy poważnie traktuje je Urbański T.: *Spotkanie Jana III Sobieskiego z Leopoldem pod Szwechatem* (Lwów 1908), s. 32.

[2]) Wichert, 17 IV 1684, U. u. A. XXII, s. 127 i passim.

żenia dworu polskiego do Francji, bo byłoby to równoznaczne z poparciem planów dynastycznych Sobieskiego.[1])

Nie zaniedbali „malkontenci" innej jeszcze drogi, by zamysły dworu pokrzyżować. Ktoś z kół opozycji, z grona dawnych przyjaciół Morstina, przesłał do Wersalu memorjał o sytuacji wewnętrznej w Polsce. Wmyśl uwag memorjału zwrot dworu polskiego ku Francji jest nieszczery, a przyjazd Béthune'a do Polski i zamierzona podróż Wielopolskiego do Wersalu mają jedynie na celu pozbawienie opozycji poparcia francuskiego i tem łatwiejsze jej pognębienie. Gdy dwór to przeprowadzi, wtedy tem silniej zwiąże się z Austrją, mając już zapewnione dla Jakóba małżeństwo z córką cesarza, czy też księżniczką neuburską. Zdaniem tedy autora anonimowego memorjału Ludwik XIV nie powinien podawać ręki do zgody Sobieskiemu, a raczej przez Rebenaca i Schulenberga zapewnić dawnych swych stronników w Polsce, jak Jabłonowskiego i Kazimierza Sapiehę, że i nadal nie poskąpi im swego poparcia.[2]) Nie można odmówić częściowo słuszności tym uwagom: zwrot ku Francji miał istotnie zaskoczyć opozycję i odciąć jej ważne źródło subsydjów pieniężnych. Jeśli jednak anonimowy „malkontent" zalecał ściślejszą współpracę Francji i Brandenburgji na terenie polskim, to słabą wykazywał orjentację w sytuacji zagranicznej, bo właśnie psuć się zaczynały stosunki między Wersalem a Berlinem. Pozatem dwór polski właśnie od Francji oczekiwał poparcia swej polityki dynastycznej, tracąc coraz bardziej wiarę w jakieś koncesje w tym względzie ze strony dworu wiedeńskiego.

Największą jednak wagę przywiązywali „malkontenci" do wzburzenia opinji szlacheckiej, zaniepokojonej przyjazdem Béthune'a. Ledwie w czerwcu doszły do Jaworowa wieści

[1]) O spisku warszawskim relacja Sculteta, 17 V 1684, U. u. A. XXII, s. 128/9. Kaczanowski do Ben. Sapiehy 15 VI 1684, Skrzydlka, s. 72. Niema naturalnie mowy o udziale Béthune'a w spisku warszawskim, jak przypuszczał Urbański, j. w., s. 40. Właśnie zmowy warszawskich magnatów miały na celu obmyślenie środków obrony przeciw planom dynastycznym Jana III w związku z jego zwrotem ku Francji i przyjazdem Béthune'a.

[2]) Memorjał w sprawie Morstina, styczeń 1684, Teki Walisz. IV, s. 3003 i nast.

o zmowach magnackich w Warszawie, a już w lipcu przysłano do dworu rozrzuconą w licznych odpisach na Litwie „kopję pewnego listu pod tytułem od jmci pana krakowskiego do księdza jmci arcybiskupa gnieźnieńskiego". Paszkwil ten wywarł na królu wrażenie przygnębiające. „Coś tam wielce sobie *contrarium* król jmć znalazł. Niepodobna, jako *efferbuit prima facie* na księdza Dzika (oddawcę pisma), *supponendo,* że to *ex invento* albo *errore* jego, a potem *adscriptum* to *magno* wmpaństwa *nomini*" — donosił rezydent sapieżyński podskarbiemu litewskiemu.[1]) Równocześnie niemal zaczęto rozszerzać, również niewątpliwie z kół sapieżyńskich, drugi paszkwil w formie odpowiedzi arcybiskupa na list poprzedni.[2]) Ukryty pod znanemi i poważanemi nazwiskami autor poddawał zjadliwej krytyce politykę dworu, wskazując, jak to dla widoków dynastycznych dwór z lekkiem sercem gotów jest porzucić przymierze z cesarzem i łączy się z Francją. Sekret całej polityki dworskiej leży w tem, ze Béthune obiecuje 12.000 wojska, wielkie sumy pieniężne, wreszcie rękę księżniczki francuskiej dla Jakóba *„cum assecuratione promotionis stante vita* króla jmci". Nie zdoła król zmylić czujności opinji polskiej, gdy nam każą wierzyć, że przyjaźń francuska zmieścić się może z koligacją" (Ligą świętą).[3])

Nie po raz to pierwszy już nadużywano w akcji paszkwilowej nazwiska arcybiskupa Wydżgi. W ostatnich latach swego życia (po wstąpieniu na stolicę arcybiskupią) odsunął się dawny wielbiciel polityki Ludwiki Marji i stronnik francuski od spraw publicznych, wykazując dziwną apatję i bierność.[4]) „Malkontenci" rozgłosili rychło, że zobojętnienie to jest wynikiem niechęci do króla i pod firmą arcybiskupa

[1]) Kaczanowski do Ben. Sapiehy, 15 VII 1684, Skrzydylka, s. 80.

[2]) Oba paszkwile dość były rozpowszechnione ówcześnie i przepisywane w wielu kopjach (sporo się dochowało w rękop., m. i. w rkp. Czart. 425, 1664, rkp. Biblj. w Kórniku 90 i innych). Por. list Kaczanowskiego z Jaworowa, j. w.: „przysłał go (paszkwil) p. kanclerz (Ogiński), pisząc, że w Litwie tego pełno".

[3]) Cytuje ten paszkwil Urbański j. w., s. 34/5, błędnie jednak uważa za autentyczny list Andrzeja Potockiego.

[4]) Korytkowski J.: *Arcybiskupi gnieźnieńscy,* t. IV (Poznań 1891), s. 266.

ogłosili przed sejmem roku 1683 wielki paszkwil na Jana III, jako rzekome *votum* arcybiskupa „*in scripto* na sejm przesłane". [1]) Przedstawiono tam politykę Jana III w sposób jaskrawo tendencyjny i kłamliwy. Nie może być mowy, by to *votum* wyszło istotnie z pod pióra Wydżgi. Na tem stanowisku stanął Kazimierz Konarski, poszedł jednakże za daleko, przypuszczając na podstawie wzmianki o ucieczce Jakóba Stuarta z Anglji, że pismo to powstało w kilka lat później, w każdym razie po roku 1688. [2]) Nie ulega przecież kwestji, że rzekome *votum* Wydżgi ukazało się istotnie na początku roku 1683, a świadczą o tem tak wzmianki w wspomnianych wyżej ulotkach paszkwilowych z roku 1684 z powołaniem się na tamto pismo, [3]) jak również „*Votum apologeticum*" Wydżgi, wydane drukiem współcześnie, w czasie sejmu roku 1683. [4]) Wzmianka o Jakóbie Stuarcie wynikła bądź z pomięszania przez autora paszkwilu Karola I z Jakóbem II, bądź też jest wtrętem w kopji z lat późniejszych. Wspomniane wreszcie drukowane „*Votum apologeticum*" prymasa, spisane jak wynika z treści w czasie sejmu 1683 roku i starań o ligę, przesądza ostatecznie w sposób negatywny autorstwo Wydżgi odnośnie do rzekomego *votum* sejmowego. Prawdziwe to drukowane „*Votum*" Wydżgi jest wielką apologją polityki królewskiej, zwłaszcza z czasów współpracy z Francją w latach 1675—1679; ostro atakuje prymas Brandenburgję, oskarżając wprost Hoverbecka o zerwanie sejmu w 1681 roku, broni wreszcie Jana III przed zarzutem starań o elekcję *vivente rege* dla Jakóba i piętnuje autora

---

[1]) „Votum" Wydżgi w rkp. Czart. 425, s. 97 pozatem w rkp. Czart. 178, s. 727 błędnie pod r. 1681, a w rkp. 180, s. 497, również mylnie pod r. 1684.

[2]) Konarski K.: *Polska przed odsieczą wiedeńską r. 1683* (1914), s. 141, przypisy.

[3]) W paszkwilu p. t. „Respons panu kasztelanowi krakowskiemu z Łowicza, 26 VI 1684", pisze rzekomo Wydżga: „zabiegałem złu i przeszłego sejmu przez *votum* moje, *in scripto* na sejm posłane".

[4]) „Votum apologeticum jm. ks. arcybiskupa na paszkwil pod imieniem jego wydany". D. S. Z treści wynika niezbicie, że pismo to wydane zostało w czasie sejmu 1683 roku, w odpowiedzi na rzekome „Votum" Wydżgi, „*in scripto* na sejm (1683) posłane".

paszkwilu, który oczernia króla, wysługując się obcemu dworowi.

Widocznie jednak pierwszy paszkwil pod nazwiskiem Wydżgi nie minął bez efektu i niejednego z braci szlachty wrogo w stosunku do króla usposobił, skoro w rok potem (1684) ponownie użyto firmy prymasa w akcji paszkwilowej. Nie jest zupełnie jasnem, dlaczego w tej akcji posłużono się również nazwiskiem hetmana polnego, Andrzeja Potockiego. Obdarzony świeżo buławą po Mikołaju Sieniawskim, uchodził Potocki raczej za stronnika dworu,[1]) choć naogół w walkach partyjnych słaby brał udział i cieszył się opinją „niezależnego". [2]) Pewnie właśnie dlatego użyli „malkontenci" nazwiska hetmana do walki partyjnej na pióra, by ich argumenty antydworskie pod firmą bezpartyjności tem łatwiej trafiły do uszu szlachty.

W otoczeniu królewskiem przypisywano autorstwo tych paszkwilów podskarbiemu Sapiesze lub jego zausznikom. [3]) Madaliński znowuż (lub jak inni podejrzewali, Witwicki) był autorem innego paszkwilu, wydanego tuż przed sejmem 1685 roku.[4]) „Cokolwiek wielkich ludzi było, zawsze przez białogłowy tracili" — stwierdza autor na wstępie i godzi nie tyle w króla, ile w „Marysieńkę", która „kabały z Béthunem robi". Króla gani jednak autor za uległość żonie w sprawach polityki i przestrzega przed pokładaniem ufności we Francji: „bo to darmo Francja, lubo się łasi, nie odpuści nam tego w czym jest urażona, dokąd się nie pomści". Omawia-

[1]) W r. 1684 Jan III oddał właśnie dla zrównoważenia wpływów w wojsku „malkontenta" hetmana w. kor. Stan. Jabłonowskiego buławę polną (po Sieniawskim Mikołaju) Andrzejowi Potockiemu, „lequel par sa condition, son credit et ses amis partage l'autorité avec le palatin de Russie, auquel il a toujours esté fort opposé". Béthune, lipiec 1684, Teki Walisz. IV, s. 2931.

[2]) Por. Piwarski j. w., s. 16.

[3]) Kaczanowski do Ben. Sapiehy, 15 VII 1684, Skrzydylka, s. 80.

[4]) Pod datą 15 V 1685, rkp. Czart. 181, s. 153. Pismo to w czasie sejmu przesłano pod adresem Jana III na ręce sekretarza, ks. Sarnowskiego. Paszkwil ten, z odpowiednim dopiskiem ręką Sarnowskiego, przesłał Sobieski do biskupa płockiego Madalińskiego, podejrzywając jego o autorstwo. Por. materjały z archiwum berlińskiego w odpisach w rkp. Ossol. 3001 (Teki Lukasa), s. 28. Por. relacje Béthune'a w Tekach Walisz. IV, s. 3038.

jąc dalej kandydatury na podkanclerstwo koronne zaleca autor dyskretnie Załuskiego, a sąd niepochlebny wydaje o kandydacie królowej Radziejowskim: pismo to tedy jest wyrazem walki o pieczęć koronną między pretendującymi do niej biskupami.

Na dworze polskim śledzono wzmożoną akcję opozycji z wielkim niepokojem. Odczuł ją też Jan III dotkliwie w czasie wyprawy żwanieckiej w r. 1684. „Malkontenci" w wojsku sprzeciwili się marszowi w głąb Mołdawji (a nastawali na działanie pod Kamieńcem),[1]) bojąc się może, by król nie wyprowadził żołnierza „za granice na przesiew synów ojczyzny", a więcej jeszcze węsząc w planach mołdawskich Jana III intrygę dynastyczną. Zaniepokojenie Sobieskiego było tem większe, że we wrześniu 1684 r. brak było jeszcze wiadomości z Wersalu o wynikach akcji pośredniczącej papieża i wstępnych kroków Ranuzziego.[2]) Tymczasem zaś dwór wiedeński nie uwzględniał postulatów królewskich w sprawie wspólnej akcji wojennej, zostawiając króla swemu losowi. Sprawy przytem węgierskie mnożyły rozdźwięki między Sobieskim a Leopoldem I. Systemowi represyj, stosowanych bezwzględnie przez wojska cesarskie wobec powstańców węgierskich, przeciwstawił Jan III program amnestji; choć tedy narażał się na zarzuty ze strony Wiednia i Rzymu, próbował utrzymać się w roli medjatora w sprawach węgierskich, by w ten sposób odciągnąć Tököly'ego od Turcji. Zimą 1683/4, na życzenie zresztą cesarza (misja Scherffenberga grudz. 1684), pozostawił król załogę polską w Sybinie, oddział Litwinów osadził w Bardjowie, a 3.000 jazdy i piechoty polskiej (wraz z Kozakami) pod Koźmińskiem, Dobczycem i Bukją, wysłał do Ungwaru. Mały ten korpus polski, utraciwszy po drodze w walkach z Kurucami swe tabory, przybył w styczniu do Ungwaru i starał się osłonić magnata węgierskiego, katolika i stronnika cesarza, Homonay'a przed atakami wojsk Tököly'ego. Wskutek niedostatku żywności i niewypłacania żołdu mnożyły się dezercje, wojsko topniało, ze strony cesarskiej

[1]) Chowaniec Cz.: *Wyprawa Sobieskiego do Mołdawji* (Warszawa 1932), s. 6.

[2]) Wyraz swego niepokoju daje Sobieski w liście do żony, z pod Żwańca, 4 IX 1684, Helcel j. w., s. 428.

nie doczekało się żadnych posiłków; tylko pod presją wyraźnych rozkazów królewskich niedobitki utrzymały się pod komendą Dobczyca do czerwca, aż doczekały się odwołania przez Jana III. Równocześnie odnowił Sobieski rokowania z Tökölym, chcąc go powstrzymać od wyłącznego oddania się pod protekcję turecką, co mogłoby sprowadzić atak na ziemie polskie od strony Karpat.[1]) Na dworze wiedeńskim powiązano te kroki króla z przyjazdem Béthune'a do Polski i uznano je za następstwo intryg francuskich. Podobnie też osądzili politykę węgierską króla polscy „malkontenci". Rozeszły się na początku roku 1685 pogłoski, że dyplomacja francuska zapośredniczy między dworem polskim a Portą, by doprowadzić do zawarcia pokoju osobnego. Niewątpliwie Jan III daleki był jeszcze od tej myśli; zbliżenie do Francji miało mu dać narazie jedynie tak upragnioną możność prowadzenia samodzielnej wobec Wiednia polityki i oparcie dla planów dynastycznych — nie musiało przecież, w myśl przekonań Sobieskiego, być równoznaczne z zaniechaniem dalszej wojny z Turcją. Czyż jednak mógł Jan III myśl pokoju osobnego z Portą zupełnie wykluczać w chwili, gdy Tököly donosił mu poufnie o nawiązaniu rokowań pokojowych między Turcją a Austrją na początku roku 1685?[2]) Choć wieści te okazały się nieścisłe, niemniej musiał się Jan III z podobną ewentualnością liczyć i odpowiednio swą polityką pokierować. Jeszcze to jeden moment, który skłaniał króla do trwałego nawiązania przyjaznych z Ludwikiem XIV stosunków.

[1]) Materjały do stosunku Jana III do spraw węgierskich wcale obfite u Załuskiego I_2, s. 850—934.

[2]) Béthune, z Żółkwi, 26 I 1685, Hurmuzaki L.: *Documente*, t. XVI, s. 83.

(Dokończenie nastąpi)

Kazimierz Piwarski.

Ze wspomnień o Ojcu Janie Beyzymie Apostole trędowatych.

Jak u nas w Polsce, tak i na Madagaskarze, gdzie złożył życie Bogu w ofierze, pamięć *W. Ojca Jana Beyzyma* nietylko nie ginie, ale coraz bardziej pogłębia się i utrwala, łącząc się w sercach z niepłonną nadzieją, że dane nam kiedyś będzie świątobliwego Apostoła Trędowatych oglądać na ołtarzach, w chwale Błogosławionych. W tej myśli, ażeby nic nie zaginęło, co Jego dotyczy, obecny przełożony misji wśród Malgaszów, O. Leon Derville T. J., zadał sobie pracę, by z drobnych rysów przechowanych w miejscowej tradycji, odtworzyć sylwetkę bohaterskiego, a tak głęboko oryginalnego misjonarza. Czytelnikom „Przeglądu" miło pewnie będzie odnaleźć w tych zapiskach, zebranych zwłaszcza z opowiadań Ojca Decès, dawnego kierownika przytułku w Maranie i Matki Marji Anny, przełożonej Sióstr św. Józefa z Cluny, pierwszej pomocnicy Ojca Beyzyma, duchową fizjognomję jednego z najwybitniejszych kapłanów polskich ostatnich lat dziesiątków, znaną u nas z żywotu O. Marcina Czermińskiego T. J. i z prześlicznych listów.[1])

Twarz poważna, nieco surowa, rzadko rozjaśniona uśmiechem, wyraz na pierwszy rzut oka szorstki, mowa zwięzła, którą trudność wyrażania się po francusku czyni urywaną i jakby „rąbiącą", nieustępliwość w poglądach, trącąca uporem, — oto „Tatar", jak sam się nazywa. Ale ten „Tatar", wart by się do niego zbliżyć i usiłować zgłębić jego duszę.

To człowiek o głębokiej wierze. Poznać to można po skupionym i godnym sposobie czynienia znaku Krzyża św., nigdy

[1]) Zapiski O. Derville przełożyła z francuskiego Hr. Róża Szeptycka.

połowicznie, ale szerokim i pięknym ruchem. Przykro mu, gdy widzi znak Krzyża nakreślony jakby od niechcenia, i żąda, by jego „dzieci" — trędowaci — nauczyli się czynić go porządnie. Później, gdy choroba przykuje go do łoża, w niemożności przeżegnania się samemu, prosić będzie Siostrę, która go pielęgnuje, by uczyniła na nim wodą święconą wielki znak Krzyża świętego.

W kaplicy zachowanie jego jest pełne uszanowania: siedzi lub klęczy zawsze bez oparcia. Przyklękając, pochyla się nisko, aż do ziemi, pomimo bólu w kolanach. Sposób odprawiania Mszy św., spokojne i stateczne ruchy są same przez się nauką. Modli się naprawdę, a ponieważ zwraca się do Boga „obecnego" chce mieć nietylko przyzwoite zachowanie, ale i wygląd godny Tego, do którego przemawia. Wtedy „robi się piękny", przywdziewa porządną sutannę i pozwala sobie nawet na odrobinę elegancji. Nic nie jest za piękne dla Boga, ani bielizna, która ma służyć do Przenajśw. Ofiary, ani kwiaty, które stroją kaplicę, ani też ołtarz, który sam buduje. Przez długi czas zamiata sam zakrystję, rad i dumny, że spełniać może ten urząd.

Wiara ożywia wszystkie jego czyny, nawet najskromniejsze: „Nie mówmy: Dzień dobry, jak się masz? ale: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Przynajmniej to coś znaczy". Jeśli czegokolwiek potrzebuje dla swego dzieła: „Módlmy się, mówi, Bóg da". Albo też zwracając się do jednej z zakonnic: „Czy Siostra dobrze zamknęła wszystkie drzwi? — Ależ tak, Ojcze. — Mówię „dobrze zamknęła?" — Bezwątpienia. — Siostra nie zamknęła dobrze, jeśli przy każdych nie odmówiła Zdrowaś Marjo".

Bo też w rzadko spotykany sposób kocha Najśw. Pannę. Nazywa Ją nieinaczej jak Przenajśw. Panna, lub też Dobra Matka. Poruczył siebie i swoje dzieło Matce Boskiej Częstochowskiej. Przed rozpoczęciem czegokolwiek nie omieszka mówić: „Zacznijmy od wezwania Dobrej Matki". Jeśli jest smutny, do Niej się ucieka. „Utopimy to wszystko w dobrym różańcu", i uśmiecha się pomimo odczuwanej przykrości. I jeszcze: „Widzicie: zawsze Zdrowaś Marjo! pióro upada... nie złamane: Zdrowaś Marjo". Za każdym razem, gdy odmawia stojąco Anioł Pański, przyklęka przy słowach: „A Słowo stało się Ciałem", i uczy chorych, by czynili to samo. Nie wątpi w opiekę Dobrej Matki z Nieba. „To pójdzie, jeśli tak zechce Najśw. Panna". Niewyczerpany jest na ten temat, który mu tak bardzo leży na sercu:

„Kiedy mówię o Dobrej Matce wszystko się układa, nie potrzebuję męczyć sobie głowy".

Jeśli O. Beyzym z taką ufnością powierza się Bogu i Matce Najśw., nie zapomina też, że ze swej strony musi pracować i spełnić w zupełności swój obowiązek. A czyż pierwszy obowiązek nie polega na staraniu, by być dobrym zakonnikiem? Żyjąc duchem wiary, O. Beyzym nie mógł nim nie być. Widzieliśmy już jego miłość modlitwy, niemniej budujący jest w swej regularności i wierności wszystkim przepisom zakonnego życia. Dla niego nic nie jest małem ni lichem, jeśli reguła do tego zobowiązuje — zamiatać pokój, czyścić buty... wszystko spełnia dla miłości Bożej. Gdy dzwonią na Anioł Pański, idzie udzielić trędowatym swego błogosławieństwa, poczem stosując się do wskazówek udzielonych misjonarzom przez biskupa Cazet, usuwa się do swojej celi mówiąc: „teraz oddalmy się dla ogólnego zbudowania".

Nawet gdy chory, nie zapomina o Regule. Siostrze, która go pielęgnuje mówi: „Dobrze. Teraz wszystko w porządku. Dziękuję. Już koniec. Zaprowadźmy znowu klauzurę".

Obdarzony wielką delikatnością sumienia, brzydzi się najmniejszym grzechem, spowiada się z pokorą, „jakiej nie spotkałem nigdy".

Wiadomo, jak bardzo dbał o cnotę czystości, jak cierpiał na myśl o pokusach, które czekały trędowatych we wsiach, gdzie wśród internowanych nie wymagano oddzielnych mieszkań dla obojga płci. Nie zdziwią nas zakazy, które ustanawiał, by jego „dzieci" nie zostały na grzech narażone. P... pytającemu go, czy chorzy nie mogliby wyjść na przechadzkę na drogę wiodącą do Fianarantsoa, odpowiada: „I ty mnie o to pytasz? Trzeba się trzymać przepisów i nie wychodzić. Uważajcie, by nie narażać waszej cnoty. P..., jeśli będzie coś złego na tym punkcie, przyjdę z Nieba, by was pokarać". To jego ostatnie zlecenie, dane trędowatym w przeddzień śmierci, przez usta tego, który mu stawiał to pytanie.

Prowadzi życie surowe. Wstaje codziennie o pół do czwartej i do ostatniej choroby zwyczaju tego nie zmieni. Z potraw wykreśli wszystkie, których może się pozbawić. Trzy razy na tydzień odmawia sobie mięsa; chleba i wina zawsze. Pożywienie jego składa się z suchego ryżu, który urozmaica gotowanemi z dzikiem zielem, ziemniakami, oraz herbatą, którą przez oszczęd-

ność zagrzewa na lampie, przy której pracuje i czyta. Rano zadowala się pozostałym z dnia poprzedniego ryżem. Sypia na gołej desce pomimo dokuczliwych reumatycznych bólów i podagry, za poduszkę służy mu pokryta matą ławeczka. Sprzęty jego są nader skromne. W jego sypialni paka jako umywalnia i krzesło, w jadalni, to co niezbędne. Gdy ktoś z odwiedzających pytał: „Ale gdzież jest łóżko Ojca? — Gdzie łóżko?... ależ siedzimy na niem". Zmęczenie nie jest dla niego żadnym powodem złagodzenia surowego życia. Siostrze, która mu radzi oprzeć się nieco: „Niech Siostra tego nie mówi, to trąci światem". Jego lekarstwo na zbyt wielkie zmęczenie proste, jeśli nie skuteczne — pije szklankę wody.

Trzeba będzie choroby, która go z nóg obali i zakonnego posłuszeństwa, aby zmusić go wreszcie do poszanowania swego biednego ciała. Wtenczas okaże się posłusznym jak dziecko, przyjmując wszystko z prostotą, jednak o nic nigdy nie prosząc. Proponują mu zastrzyki morfiny, które ulgę przyniosą jego cierpieniom, odmawia, — ale dowiedziawszy się, że to rozkaz przełożonego, przyjmuje natychmiast: „Ojciec Przełożony każe, sługa słucha". Jeśli musi posilić się czemś pożywniejszem: „Zróbcie mi więc omlet ubogich", a widząc, że Siostra przyzwyczajona do sposobu życia swego chorego waha się: „Siostra nie wie jak? Proszę wziąć dwa jaja. Dobrze je rozbić i wylać na patelnię". — „A do jaj co też dodać?" — „Ależ nic, czy ubodzy mają co do dodania?"

Z tem niezwykle umartwionem życiem łączyło się życie usilnej pracy. Nikt bardziej od O. Beyzyma nie obawiał się straty czasu.

Ukończywszy ćwiczenia duchowne, przywdziewa fartuch, gdyż starannie chodzi około swej odzieży, jak ubogi powinien. Nasamprzód instalacja schroniska cały czas mu pochłania, poczem poświęca się całkowicie upiększeniu kaplicy. Jest stolarzem, rzeźbiarzem i malarzem. Ołtarz i jego rzeźby, ramy obrazów, są dziełem jego rąk. Patrząc na nie, nikt nigdy nie domyśliłby się nawet, że do takich arcydzieł O. Beyzym posługiwał się lichem drewnem z pak. Wieczorem pisze do swych dobroczyńców do Polski, lub układa artykuły do czasopism. Wtenczas — nadewszystko — nie trzeba mu pracy przerywać, lub przeszkadzać bezcelową rozmową. Natychmiast bierze w nim górę „Tatar" i odpowiada — uprzejmie zapewne, ale półsłówkami.

W dzień jego imienin „dzieci" chcą mu złożyć powinszowanie. Wychyla głowę przez okno: „Dobrze, dobrze", poczem okno zamyka. Kiedy nadchodzą imieniny Przełożonej, mówi jej tylko: „Matka spodziewa się powinszowania. Niema powinszowania. Jutro będzie Msza św. za Matkę".

Gdy się go zatrzyma na drodze, udziela odpowiedzi, poczem oddala się nagle, szerokim ruchem uchylając kapelusza przed osłupiałym rozmawiającym. O. Beyzym powiedział, co było do powiedzenia, pocóż przedłużać rozmowę?

Jeśli obawia się odwiedzin, to dlatego, że uważa je za stratę czasu i marny dla dzieła pożytek. „Widzicie, mówi Siostrom, zbudowałem mój domek u wejścia do schroniska, by dozorować wchodzących. Jeśli mają do tego dostateczne powody, wpuszczam ich, jeśli nie..."

Z zakonnicami, które mu w jego dziele pomagają, nie jest bardziej rozmowny. Gdy przychodzi poczta: „Dzisiaj nic. Podziękujmy Dobrej Matce", i powraca do swoich zajęć.

Sławną jest następująca anegdotka. Pewien misjonarz przybyły odwiedzić O. Beyzyma zastał go w stolarni, zajętego rzeźbą. Na odgłos otwieranych drzwi O. Beyzym podniósł nieznacznie oczy: „Kim Ojciec jest?" — Na co zapytany trochę uroczyście: „Jestem kapłanem Towarzystwa Jezusowego", — „Ja także", odpowiada O. Beyzym, powracając do przerwanej pracy. Rozmowa na tem się skończyła, potwierdzając przekonanie tych, wśród których O. Beyzym uchodził za „dzikiego".

Dzikim istotnie był, choć nie tak bardzo jak przypuszczano. Umiał, gdy nadarzyła się sposobność, okazać niezwykłą dobroć i delikatność uczuć. Wiedzą o tem Siostry, które z nim żyły, dzieląc jego codzienne radości i smutki.

Zrazu wyobrażał sobie, że zakonnice przybyłe z Francji muszą być niezaradne i zdziwienie jego objawiało się w wykrzyknikach: „Proszę... umiecie prać i prasować kościelną bieliznę..." i z prostotą i dobrodusznością dodawał: „Wystarczy. Będzie dobrze. Nie wiedziałem że Siostry francuskie umieją do wszystkiego przyłożyć rękę".

Odtąd lody były przełamane.

Dostaje co w podarunku: ser, owoce? Czemprędzej niesie na stół zakonnic pod ich nieobecność, a wieczorem, kiedy go za to łają: „Ojciec znowu wszedł do nas?" — odpowiada: „Zapew-

niam was, że nic nie ukradłem". Daje im wszystko, co posiada: a kiedy się wzbraniają brać: „O ja, to nic..." Kiedy chorują, troszczy się o nie, a ponieważ nic im nie może ofiarować: „Czy Siostry chcą, żebym pisał do Fianarantsoa? Ojcowie zaraz przyślą".

Dla jego „dzieci" — trędowatych — miłość jego jest niemniej uprzedzająca. Psuć ich? — nie. Na myśl mu to nawet nie przychodzi. A pomimo to Bóg jeden wie, jak bardzo je kocha. Chce jednak, by miały wszystko, czego im trzeba. W drzwiach swej sypialni przebija maleńki otwór i przykładając do niego ucho, za najlżejszym hałasem zdaje sobie niezwłocznie sprawę, czy jego interwencja potrzebna. Później dzwonek pozwoli chorym wzywać go w razie potrzeby we dnie i w nocy. Pewnego dnia, gdy wydają się smutni: „Siostro, dzieci nie wyglądają wesołe, pójdźmy pożartować z niemi". I pierwszy z tych żartów się śmieje.

Niekiedy umie dociąć i zręcznie a nieznacznie czynić wymówki i uwagi. „Moje Siostry, powiedziałyście sobie: O Beyzym nie zamyka drzwi, róbmy jak on".

Komuś, kto w niedzielę rano przyszedł zwiedzać Przytułek, podaje spokojnie cygara, jednocześnie zauważając, że czas na Mszę św. w mieście.

Bo też jest przedewszystkiem apostołem i dbać musi o zbawienie i udoskonalenie dusz.

Co niedzielę wygłasza konferencje Siostrom z Przytułku, we środę uczy służbę katechizmu. Myśli nawet o kursie katechizmu dla zakonnic. „Rozumiecie, mówi im żartobliwie, nie chciałbym, abyście z braku wiedzy uczyły chorych herezyj".

Trędowaci regularnie pobierają od niego nauki religji. Jeśli czynnie zajął się stroną materjalną w czasie stawiania Przytułku, to dlatego, że uważał za rzecz niezbędną, aby wszystko było na czas gotowe i zorganizowane. Misjonarze wiedzą z własnego doświadczenia, że trzeba umieć, i często też rzeczywiście samemu przykładać rękę do dzieła, a nie zadowalniać się jedynie wydawaniem rozkazów i dozorowaniem roboty. Gdy tylko ukończona została instalacja, O. Beyzym wolny od tej troski, która mu pochłaniała najlepszą cząstkę czasu, oddał się wyłącznie chorym, a wiemy jakie miejsce przeznaczał życiu nadprzyrodzonemu, zarówno dla siebie, jak i dla innych.

Po Siostrach i chorych serce jego zwracało się do dobroczyńców Marany. Wie, że Przytułek utrzymany jest przeważnie z jałmużn ubogich i nie pozwala by cokolwiek się zmarnowało. Dla niego niema zbyt małych oszczędności; zna on wartość ofiar czynionych przez dobroczyńców, jak ofiara tej poczciwej staruszki, przynoszącej O. Czermińskiemu, z którym w Polsce korespondował, słoik konfitur ze słowami: „Proszę je wziąć. Ojciec je sprzeda dla Marany. Nie skosztowałam nigdy takich słodyczy, ale chętnie ofiaruję je dla trędowatych". W oczach mu też stoi ten czyn robotnika, oddającego połowę swego dziennego zarobku na przytułek dla trędowatych. To też starać się trzeba „by nie zmarnować bezużytecznie jednego ziarnka ryżu", lub opatrunku. Aż do przesady posuwał troskę o dobre użycie jałmużn otrzymanych dla jego trędowatych, aż do odmówienia lekarstwa chorym nie należącym do jego szpitala. „Nie wolno nic dawać nazewnątrz, ale Ojciec Przełożony każe, więc dobrze". Co roku przypomina trędowatym, że wszystko dostają od ubogich, że więc nie wolno przyczyniać niepotrzebnych wydatków. „Niema takiej rzeczy, którąby się nie przydała", mówił, wspominając zdarzenie sławnego Laffite'a, który przechodząc przez podwórze bankiera, u którego bezskutecznie starał się o posadę, pochylił się, by podnieść szpilkę, i tą drobną oszczędnością zasłużył sobie na miejsce, którego dopiero co mu odmówiono.

Zdaje się zresztą jakoby Pan Bóg chciał nagrodzić ducha ubóstwa i oszczędności, któremi O. Bezym chciał, by dzieło jego żyło. Kiedy wprowadza się wreszcie do ukończonego Przytułku i Siostry biorą się do otwarcia pak, wysłanych z Polski, a zawierających najrozmaitsze i najcenniejsze przedmioty, wszyscy sądzą, że chyba nawet otwierać nie warto, bo przecież piętnaście lat mija, jak paki stoją zamknięte. „Zgniło tam wszystko, napewno", mówiono Siostrom. Ku ogólnemu zdziwieniu znaleziono zawartość pak w jak najlepszym stanie, nawet aparaty kościelne z wiotkiego białego atłasu, bez pleśni.

Dobroczyńcy nie są bynajmniej w zapomnieniu. O. Beyzym modli się i każe się za nich modlić. Pisze do nich, posyła im fotografje z Przytułku i różne wyrabiane przez siebie przedmioty. Kiedy zbiornik na wodę, próżny przez trzy lata, napełnia się naraz na skutek modlitw polskich Karmelitanek, Ojciec posyła im na znak wdzięczności, tabernakulum, które sam wy-

rzeźbił. I tak nawiązuje się pomiędzy Maraną, a zamorskimi dobroczyńcami nić przyjaźni i wzajemnej pomocy.

Jednakże, jak to jest losem wszystkich założycieli, zwłaszcza jeśli chodzi o dzieła bardzo śmiałe, nie mogło braknąć przeszkód i przeciwności. Były one i O. Beyzymowi dobrze znane. Niejeden, uważając, że oddzielne umieszczanie mężczyzn i kobiet było sprzeczne z usposobieniem i zwyczajami krajowców, nie omieszkał dać wyraz swemu zapatrywaniu i zawczasu wróżyć dziełu niepowodzenie. „Niema ani kamienia w podwórzu, któryby mnie nie kosztował jakiegoś cierpienia", mawiał O. Beyzym. W przeciwnościach ucieka się do modlitwy, do różańca. Czyta i odczytuje „Fundacje" św. Teresy z Avili. Jeśli mu zarzucano, że w tych trudnych chwilach wyszły mu niekiedy z ust słowa prędkie, prawie ostre, nie trzeba zapominać, że O. Beyzym miał wielkie trudności w wyrażaniu się po francusku i nie posiadał, jak Francuzi, sztuki łagodzenia odpowiedniemi wyrazami surowości myśli. Były z niejednej strony nieporozumienia, błędy, braki wyrozumiałości. Ale cokolwiek zaszło, O. Beyzym nie wątpił nigdy w szczerość zamiarów. Wyrażał zdziwienie i dodawał: „Pan Bóg postawi na swojem", albo też: „Pójdzie to, jeśli tak zechce Dobra Matka".

„Dzieło się rozwinie, gdy ja odejdę", mawiał O. Beyzym, kiedy dotkliwiej odczuwał gorycz krytyk i licznych trudności. Minęły lata. Przytułek jest obecnie w pełnym rozkwicie. Zwłoki jego Założyciela spoczywają w Maranie, imię jego z niem na wieki związane. Na grobie „Ojca trędowatych" kwitną róże, które nie chciały się przyjąć na grobie sąsiednim. To symbol zawsze żywej obecności O. Beyzyma, który z Nieba czuwa troskliwie nad swemi dziećmi i nad tymi, którzy je pielęgnują, wiernie wśród siebie zachowując jego pamięć.

O. Leon Derville T. J.

Przegląd piśmiennictwa.

Nowe powieści.

Marja Kuncewiczowa: Dwa księżyce (Rój). — Adolf Rudnicki: Żołnierze (Rój). — Stanisław Szpotański: Bez miejsca na świecie (Hoesick). — Jan Wiktor: Wierzby nad Sekwaną (Rój). — Pola Gojawiczyńska: Dzień powszedni (Rój). — Witold Gombrowicz: Pamiętnik z okresu dojrzewania (Rój). — Paweł Gart: Zachorowałem... (Hoesick). — W. M. Dęboróg: Czeki bez pokrycia (Rój).

Rzadko trafia się tytuł tak znakomicie wyrażający wewnętrzną treść książki, jak tytuł ostatniej książki Marji Kuncewiczowej „Dwa księżyce". Gdyby książka ta ukazała się w średniowieczu i była recenzowana przez krytyka ze szkoły scholastycznej, miałby taki finezyjny myśliciel wdzięczne pole do komentowania tego tytułu wedle wszelkich kluczy najsubtelniejszego symbolizmu. Prawdopodobnie rozumowałby tak: Dwa jest tu liczbą symboliczną, oznaczającą kilkakrotną dwoistość rzeczywistości, oddaną w tym cyklu obrazków, czy nowel. (Oczywiście nasz scholastyk musiałby także znać Chwistka.) Z jednej strony mamy rzeczywistość życia tubylców małego miasteczka (zdaje się Kazimierza nad Wisłą), z drugiej rzeczywistość życia napływającej do tego miasteczka kolonji malarzy, letników i artystów. Nie są to dwa środowiska żyjące obok siebie, to dwa księżyce (księżyc jest tu symbolem poznania) oświecające, każdy po swojemu, prawdę wyszczerbionych murów, prawdę lśniących brudem i słońcem rynsztoków, prawdę ludzi i rzeczy. Dwa jest symboliczne dla rzeczywistości życia i sztuki, księżyc dla tej iście księżycowej zony, w której życie zamienia się w tworzywo sztuki, dla tej astralnej krainy, w której życie załamuje się w arabeskę sztuki, a sztuka przebudowuje ból w piękno, brzydotę w błyszczące tęcze. Dwie są też rzeczywistości ludzkie, rzeczywistość zakłamana i rzeczywistość istotna. Dwa sposoby poznania, dwa na świat spojrzenia: jeden jest księżyc, który oświetla świat zewnętrzny i drugi, który sieje światło wewnętrzne. Na wzejście pełne tego księżyca czeka cała ludzkość w tęsknocie ostatecznego poznania,

na niego czekają ludzie widomi i ślepi, porównani w mrokach najważniejszej niewiedzy... Tak zapewne bez końca snułby, na Chwistku kształcony scholastyk, wyliczenie dwoistych księżycowości ludzkich prawd, żyć, tęsknot i poznań. I choć irytowałby nas tą pedanterją, tem rachowaniem rzeczy niezliczalnych, tem racjonalnem tłumaczeniem irracjonalnych pierwiastków wysokiej sztuki Kuncewiczowej, musielibyśmy przyznać mu trochę racji. Bo książka Kuncewiczowej jest jak szereg naprzeciw siebie stojących zwierciadeł, w których obrazy odbijają się bez końca, dając ułudę jakichś nie kończących się perspektyw. Obraz chwycony jest prawdziwy, ale wielokrotnie załamany i odbity, nie jest już sobą, będąc zarazem swojem wiernem odbiciem. Jest to książka doskonale realistyczna w plastycznem malowaniu życia i książka zarazem symboliczna, bo każda jej Malwina czy Walentyna, będąc Malwiną i Walentyną z Kazimierza, jest zarazem wszystkiemi Malwinami i Walentynami świata całego, tęskniącemi za miłością, żałującemi zmarnowanego życia, dążącemi do rzeczy ich pragnieniom przeciwnych, bo brudne miasteczko jest prawdziwym Kazimierzem o cuchnących rynsztokach, małych sklepikach i leniwych majstrach, ale jest zarazem i jakiemś księżycowem osiedlem ludzkości, jest czarą słońca i zabawką księżyca, jest prawdziwe i nierealne, jak wszystko w tej fascynującej książce, której domy tańczą i chwieją się, jak doskonałe w swym realizmie, a od ziemi oderwane, rysunki Noakowskiego, której ludzie balansują na krawędzi prawdy i bajki, rozumu i nonsensu. A co najdziwniejsze, że ta książka, która wydaje się śniona a nie pisana, jest zbudowana rygorystycznie, że jej astralne ciało osadzone jest na kośćcu z żelazo-betonu, że jest nietylko nieubłaganie konsekwentna w swej treści ideowej i uczuciowej, ale także i w jednolitości swej „technicznej roboty". Bo choć autorka daje jej formę nowel, jest to właściwie zwarta i jednolita powieść, zbudowana, prawie że z Dickensowską pedanterją. Postęp, jaki w tej książce ukazuje młoda autorka jest wprost zdumiewający. Niema już w niej śladu z dawnej nużącej maniery i sztuczności. Sztuka zastąpiła sztuczki, a oryginalność manierę. Żadnej już szminki i pozy tylko urok nawskroś kobiecego talentu.

Ponieważ z obowiązku recenzenta *Przeglądu Powszechnego* muszę się zająć nietylko stroną artystyczną, ale także i ideową i etyczną każdej książki, zastosuję w tym wypadku ten sam klucz dwoistości co do oceny artystycznej. Wśród różnych krążących pod skórą tej książki prądów zdaje mi się, że dostrzegam także i prąd jakiejś rozumnej religijności, przejawiający się choćby w nowelach „Równość" i Ślepiec", w opisie nabożeństwa w synagodze i kościele (zestawienie żydowskiej religji oczekiwania i chrześcijańskiej spełnienia) i w scenie śmierci żebraczki Agaty. Natomiast czy zupełna swoboda, z jaką autorka mówi o sprawach miłości wyda się wszystkim budująca — nie wiem. Mnie

ta książka wydaje się przedewszystkiem piękna i nie razi mnie w niczem, ale boję się, że surowsi moraliści będą odmiennego zdania.

„Żołnierze" Adolfa Rudnickiego świadczą raz więcej, że powieść przeżywa epokę, którą nazwaćby można „zmierzch bohatera". Powieść była dotąd historją jednego, lub kilku ludzi, a choć zamiarem autora było przedstawić nam pewne środowisko, czy pewną epokę, czynił to zawsze, wcielając charakterystyczne wedle siebie cechy tegoż środowiska czy epoki w tych kilku wybranych ludzi, z którymi niejako czytelnika zapoznawał osobiście. Człowiek ten był szkieletem, dokoła którego grupował swoje spostrzeżenia, a jego perypecje były tym haczykiem, na który autor łowił uwagę czytelnika; fabuła była pokarmem fantazji i uczuciowości dla czytającego, ozdobną arabeską, mającą urozmaicić i ożywić poważniejsze opisy środowisk i czasów. Ta centralna postać i jej dzieje były także środkiem konstrukcyjnym powieści, poręką jej jednolitości i zwartości. Dziś coraz więcej pisarzy odrzuca ten, jak dotąd, uważany za istotę powieści, element: bohatera i fabułę. Bohater utrzymuje się na swojem stanowisku jedynie w powieści psychologicznej, gdzie zawsze był istotą, a nigdy pretekstem. Ale w powieściach mających malować środowiska, oddawać „ducha czasu", niknie on i roztapia się w tłumie. Może oddziaływuje tu duch epoki, coraz mniej zwracającej uwagi na jednostkę indywidualną, a coraz więcej na jednostkę zbiorową, może przy coraz głębszych i coraz bardziej zróżniczkowanych studjach psychologicznych, powstają trudności, aby jednego człowieka wyposażyć we wszystkie charakterystyczne cechy grupy czy epoki, którą ma przedstawiać. Jules Romains w przedmowie do swej olbrzymiej epopei „Les hommes de bonne volonté" wydaje niejako manifest tego rodzaju powieści, wykazując teoretycznie, dlaczego bohater musi być zdetronizowany. U nas choć nie w teorji, ale w praktyce, rodzaj ten ma już bardzo ciekawe i wartościowe przedstawicielstwo: „Wygnańcy Ewy" Kudlińskiego, książki Boguszewskiej a teraz przybywa mu świetny reprezentant w postaci nowej książki Rudnickiego. Autor wprowadza do modlińskich koszar wraz z partją świeżo zaciągniętych rekrutów. W tych koszarach nie dzieje się właściwie nic: dzień za dniem płynie pełen pracy, ćwiczeń, drobnych intryg, drobnych przykrości, drobych ambicyj. Nie mamy w tym pułku artylerji żadnych specjalnych znajomych, a znamy wszystkich: oficerów, podoficerów, rekrutów starszych i młodszych. I może właśnie dlatego, że nie zajmujemy się specjalnie żadnym z tych, tak licznych ludzi, a obcujemy z wszystkimi, poznajemy z dziwną plastyką, dziwnie zbliska i głęboko „żołnierza". W zupełnie mistrzowski sposób pokazał nam autor, jak w skomplikowany mechanizm armji wchodzi zwykły, normalny człowiek, kelner,

robotnik, chłop, student, i jak w jej miażdżących trybach staje się głównie tą istotą tak odrębną, żołnierzem. Nie wiem czy jakakolwiek z tak licznych książek wojennych pokazała i wytłumaczyła do tego stopnia czem jest ta rzecz dziwna, spoista, tak zupełnie od wszelkich innych ludzkich organizacyj różna: wojsko. W jaki sposób ukazał nam autor tego prawie że mistycznego ducha armji, opisując z najrealistyczniejszą wiernością drobne sprawy życia koszar, opisując okrutną złośliwość podoficerów, tępotę rekrutów, te wszystkie często wstrętne, często odrażające, nieraz śmieszne szczegóły życia żołnierza — to już tajemnica jego silnego i sugestywnego talentu. Bo sugestywność tej szarej, monotonnej powieści jest zdumiewająca. Czytelnik jest poprostu zmęczony i zziajany po mustrze, razem z rekrutami drży przed ogniomistrzem, usypia na wykładach teoretycznych... Oprócz sugestywności drugą frapującą cechą talentu Rudnickiego jest jego doskonała epicka objektywność. Ta objektywność sprawia, że autor opisując tępe okrucieństwo podoficerów, opisując cały szereg znęcań się nad rekrutami, ślepą i czczą formalistykę różnych wojskowych przepisów, nie czyni ze swojej książki żadnego oskarżenia przeciwko instytucji, a jeżelibyśmy już chcieli widzieć w tej książce jakieś oskarżenie, to zwraca się ono raczej ku samej istocie ludzkiej natury, ku zawartym na jej dnie instynktom okrucieństwa, ku tej jakiejś nieprzenikliwości człowieka na cierpienie drugiego. Z wielką wnikliwością przedstawia autor tę wrodzoną człowiekowi „dążność wyrównawczą", dążącą do tego, żeby i drugi wycierpiał to, co człowiek sam przeszedł, z tą jednakże poprawką, że zawsze wydaje mu się, że litr goryczy wypity przez bliźniego nie jest tak gorzki, jak kropla, którą on sam skosztował. Bardzo charakterystycznem dla światopoglądu autora jest to, że oficerów, ludzi inteligentnych a w każdym razie wykształconych, przedstawia o wiele lepiej niż pozbawionych tegoż wykształcenia podoficerów i rekrutów. Władza w ich ręku nie jest tem narzędziem okrucieństwa i pretekstem do znęcania się, co w ręku półinteligentnych podoficerów lub ciemnych rekrutów. Jeśli więc jest tu i jakieś społeczne oskarżenie, to w swej istocie zwraca się ku ludzkiej ciemnocie, i z kart tej ponurej książki zdaje prześwitywać pocieszająca wiara w dobroczynny wpływ kultury i cywilizacji na istotę ludzkiej natury. Wnioski te coprawda musi czytelnik zupełnie samodzielnie wysnuć, autor nie narzuca ich nigdzie, tak jak nie narzuca niczego, nie schodząc z pozycji ściśle objektywnego epika. Nie roztrząsa czy instytucja armji jest zła czy dobra, czy mogłaby być inna. Konstatuje fakt, że jest taka właśnie. Równie epicka jest też jego postawa wobec kwestji etycznych. Malując życie w koszarach, maluje i jego stronę obyczajową, maluje ją poprostu, barwami i tonami nie przyćmionemi, nie osłaniając ani oszczędzając czytelnikowi żadnych szczegółów, ani obyczajowych, ani nawet fizjologicznych. Nie ma w tem za-

sadniczo nic niemoralnego, zwłaszcza, że nuty tej nie naciska autor przesadnie, ale przyznać trzeba, że łatwo jak się to mówi mogą uszy zwiędnąć, gdy się czyta opisy zwyczajów, sytuacyj i słucha rozmów koszarowych, co najmniej w żadnym „savoir-vivrze" nie przewidzianych...

Jeżeli zainteresowanie czytelnika jest istotnym sprawdzianem wartości książki, to w takim razie, nową książkę Szpotańskiego „Bez miejsca na świecie" trzebaby nazwać bardzo dobrą. Rzeczywiście gruby ten tom czyta się jednym tchem, śledząc z niesłabnącą uwagą urozmaicone, choć często swem nieprawdopodobieństwem irytujące przygody, licznych bohaterów. Bohaterzy ci należą do różnych środowisk i trafne, a jak zawsze u Szpotańskiego, inteligentne, odmalowanie tych środowisk jest może główną zaletą jego powieści. Najciekawszem środowiskiem opisywanem przez autora to ta nieokreślona warstwa ludzi, należących do klasy międzynarodowych wagabundów. Są to ludzie wykolejeni, inteligenci i półinteligenci, klasa umysłowych bezrobotnych, ludzie próbujący szczęścia we wszystkich krajach i zawodach, ludzie, którzy zakosztowawszy bezwzględnej swobody nie chcą i nie umieją już żyć w osiadłych i zorganizowanych społecznościach. Głównym przedstawicielem tego człowieka „bez miejsca na świecie" jest Hawran, włóczęga w wielkim stylu. Ten Hawran, gdy odnalazłszy rodzinę, wrócił do Polski, staje się powodem nieskończonych dramatów, zupełnie tak, jakby raz straciwszy swe miejsce na świecie nie mógł go już zająć zpowrotem, gdyż każdy ruch jego roztrąca i druzgocze wszystko dookoła. W tym też Hawranie chce prawdopodobnie dać typ „człowieka prostego", człowieka czynu nie rozumiejącego teoretycznych roztrząsań, nie uznającego skomplikowanych, a wedle niego obłudnych form współczesnego życia społecznego i towarzyskiego. Drugim przedstawicielem ludzi wykolejonych — oprócz szeregu figur drugorzędnych — jest niedołężny i słaby Kiltynowicz. Temu Kiltynowiczowi zawdzięcza książka Szpotańskiego może najlepsze i najpiękniejsze swe karty: obraz domu noclegowego dla inteligencji, prowadzonego przez brata Michała, Albertanina. Sceny z życia tych biedaków, czyszczących starannie swe wytarte garnitury i wiążących resztki krawatek, aby zakryć jakim takim wyglądem swoją biedę przed światem — są wprost kapitalne — a postać Albertanina, też człowieka „prostego", człowieka czynu, jest skreślona po mistrzowsku. Wogóle książkę Szpotańskiego możnaby nazwać książką znakomitych epizodów. Obok tego może najładniejszego epizodu w domu noclegowym, ciekawe jest zebranie międzynarodowej organizacji wagabundów w Paryżu, doskonałe opisy zebrań rosyjskich emigrantów, bardzo udatna scena przyjęcia u mecenasa Wyrwidy, trafne i plastyczne epizody i obrazki z życia ziemiańskiego. Ale przy tych wszystkich zaletach ma się

wrażenie, że czegoś — i to czegoś ważnego — brak tej powieści. Jest jakby zanadto rozbudowana, i ma się wrażenie, że na spojeniach trzeszczy. To co ma wprawiać postacie powieści w ruch, zazębienia się o siebie wypadków, zawikłania życiowe, węzeł dramatyczny — jednem słowem t. zw. fabuła, trąci mocno melodramatem, jakiemiś efektami rewolwerowemi, sensacją w złym gatunku. Te poprostu mówiąc, bezsensowne perypecje, pozwalające autorowi przechodzić z jednego środowiska w drugie, poruszające doskonale postawione ludzkie sylwetki, obniżają zupełnie niepotrzebnie artystyczny poziom tej skądinąd, tak zewszechmiar dobrej powieści. A szkoda jest tem większa, że i bez tego taniego kinematografu, powieść Szpotańskiego byłaby przez żywość ludzi i plastyczność rysunku dostatecznie zajmująca i przykuwająca.

Krytyk literacki przyzwyczajony jest aplikować do omawianych książek przedewszystkiem kryterja artystyczne, zważać na budowę czytanej powieści, na jej plastykę, siłę wyrazu i sugestji, na cały szereg kwestyj, związanych ściśle z zagadnieniami czysto estetycznemi. Teraz jednak, coraz częściej, nasuwa się potrzeba stosowania kryterjów odmiennych. Dzieje się to przedewszystkiem, w t. zw. reportażach powieściowych, do których typowo należą „Wierzby nad Sekwaną" Jana Wiktora, będące reportażem z życia naszej emigracji we Francji. Różnica naszego stosunku do powieści czysto artystycznej, a do powieści reportażowej polega głównie na tem, że w powieści artystycznej interesujemy się jedynie jedną rzeczywistością: artystyczną rzeczywistością autora. O ile jest ona sugestywna, nie obchodzi nas, przynajmniej drugorzędnie, jej zgodność z rzeczywistością życia, mówimy sobie „se non e vero e ben trovato". Może autor przedstawiać nam życie w pewnych skrótach i symbolach, w deformacji, karykaturze czy bajce. Może na absurdalnych założeniach, na nieprawdopodobnych wypadkach, ilustrować nam najbardziej przekonywujące prawdy psychologiczne, artystyczne, uczuciowe i t. d. Z powieścią reportażową jest zgoła inaczej. Tu walorem pierwszorzędnym jest zwykła i autentyczna prawda życia. I właśnie to pogodzenie dziennikarskiej wierności, z twórczą fantazją, pogodzenie dzieła sztuki z dokumentem życia, jest chyba największą trudnością dla piszącego. Zachowując z powieści artystycznej bohatera, trzeba dookoła niego zgrupować wszelkie możliwości obranego za temat środowiska czy kwestji. Taki bohater powieści reportażowej robi mi zawsze trochę wrażenie t. zw. „Mädchen für alles". Jest jakimś życiowym wagabundą, który z niewłaściwą dla wagabundy systematycznością przewija się kolejno przez wszystkie możliwe środowiska, okoliczności, czasem epoki. Wskutek tego, ma w sobie coś z uniwersalności bohatera powieści awanturniczej, coś z jego fenomenalnego szczęścia lub

pechu, coś artystycznie niejednolitego i niekoniecznego, robi wrażenie przewodnika, a nie człowieka. Takie cechy powieściowego pretekstu miał bohater pomnikowego dzieła Morcinka „Wyrąbany chodnik", takie same ma bohater Wiktora, Jan Połoniec. Ale ponieważ w tego rodzaju twórczości jest to nieomal koniecznością, niema potrzeby zarzucać autorowi, że bohater jego nie jest, tem czem być nie mógł, z samego założenia książki. Raczej należałoby się zająć prawdą odmalowanych stosunków. Tu krytyk literacki staje się zaambarasowany. Musiałby jak w tym np. wypadku przestudjować dokładnie warunki pracy naszych emigrantów we Francji, aby móc powiedzieć, czy wprost przerażający obraz, jaki Wiktor w swej książce maluje jest prawdziwy. Ale prawda jest rzeczą trudną. Bo przypuściwszy, co jest zresztą zupełnie możliwe, że wszystkie opisane w „Wierzbach nad Sekwaną" sceny iście dantejskie z życia kopalń, wszystkie obrazy wyzysku, nędzy i krzywdy naszych emigrantów są autentyczne — to i tak prawda może być sfałszowana przez to, że wypadki te mogą być sporadyczne, a nie powszechne, że mogły zajść w jednym roku, w jednej okolicy, w jednej grupie emigracyjnej — prawdą bezwzględną byłyby dopiero wtedy, gdyby koniecznie, zawsze i nieuniknienie, z wszelką pracą emigracyjną były złączone. Fakt odmalowania tych stosunków w emigracyjnej powieści nasuwa nam myśl, że właśnie w pojęciu autora, są taką prawdą bezwzględną. Wrodzony jednak optymizm człowieka buntuje się przeciwko temu. Już dość okropne byłoby, gdyby ten obraz był wyrazem prawdy ułamkowej i sporadycznej, ale w powszechność tego piekła trudno nam uwierzyć. Znamy przecież wielu emigrantów „francuskich", którzy powrócili, znamy takich, którzy mają we Francji rodziny, znamy takich, którzy kilkakrotnie tam powracali. Nie można z ich opowiadań wysnuć obrazów, choć w części reportaż Wiktora przypominających. Wiktor jest — jak wiemy o tem z innych jego powieści — człowiekiem o franciszkańskiem sercu, człowiekiem, który pragnąłby z całego serca, rozpiąć „tęczę nad światem", a tembardziej nad biednem szarem życiem pracujących ludzi. W całej jego książce wyczuwa się w sposób wzruszający, jakąś namiętność litości, a choć ta gorącość uczuć musi nas chwytać za serce, mamy wrażenie, że ta namiętność litości, jak każda namiętność, trochę autora zaślepiła. Bo Wiktor mówi nam nietylko, że nasz robotnik we Francji nie jest chroniony żadnem prawem, że nie jest w żaden sposób zabezpieczony, że jest pogardzany i traktowany gorzej od zwierzęcia — ale właściwie z jego powieści wynika także, że autor każdą pracę uważa za zbyt ciężką, za wołającą o pomstę do nieba, krzywdę. Gdyby nam taki problem postawił w powieści czysto ideowej, czy czysto społecznej (chcę powiedzieć oderwanie ideowej i teoretycznie społecznej), gdyby w takiej niejako abstrakcyjnej powieści wołał o prawo słonecznej i wiecznotrwałej niedzieli dla każdego człowieka — z więk-

szem przejęciem moglibyśmy tę kwestję rozpatrywać. Ale gdy w założeniu staje na stanowisku ekonomicznem dzisiejszego konkretnego życia, gdy bierze pod mikroskop jeden jego ściśle określony wycinek, musimy i my na mniej ogólnem a bardziej rzeczowem czy praktycznem stanąć stanowisku. Wiemy dobrze, że w dzisiejszych warunkach emigracja jest dla nas dobrodziejstwem, że zarobiony i do kraju przywieziony grosz jest zwycięstwem, że jest faktycznie dobrodziejstwem dla całego szeregu ludzi, że im umożliwił życie, dobrobyt, nabycie kawałka ziemi lub warsztatu pracy, a nawet, że praca na emigracji we Francji, jak codzienne doświadczenie wskazuje, dobrze wpływa na kulturę i cywilizację ludzi, którzy tam przebywali. Więc o ile warunki pracy są rzeczywiście tak ohydne, musimy się z Wiktorem solidaryzować i wołać o ich polepszenie, lecz nie możemy się solidaryzować z dającą się wyczytać między linjami myślą, że sam fakt emigracji i ciężkiej tam pracy jest potworny i karygodny. Różne zresztą drobne fakty, których cytować ze względu na brak miejsca nie sposób, świadczą, że stanowisko autora jest nieco tendencyjne i że wszystkie przykrości, nieszczęścia, moralne upadki swych bohaterów, przypisuje faktowi emigracji, a nie zawartej w naturzę ludzkiej słabości, nieumiejętności i zwykłym tragicznym i smutnym zawikłaniom życia.

Jakkolwiek jednak można jasno widzieć artystyczne niebezpieczeństwa tego rodzaju twórczości, jakkolwiek można dyskutować nad absolutną prawdą tego w specjalności reportażu, to jednak przyznać trzeba, że książka Wiktora ma sceny wstrząsające i kapitalne, obrazy środowiska jak np. podmostowe życie paryskiej nędzy, ma także obrazki prześliczne, rzewne i wzruszające, zdaje się najbardziej zgodne z rodzajem talentu autora, jak historja księdza, w którym polscy emigranci rozpoznają ze zdumieniem swego cichego i dobrze czyniącego towarzysza pracy.

Że książka, która maluje środowiska najniższych mętów życia obfituje w wyrażenia i obrazy trochę jaskrawe — jest rzeczą nieuniknioną, a temu że autor w usta różnych swych postaci wkłada słowa sceptycznej, a nawet chwilami bluźnierczej niewiary dziwić się nie należy, gdyż te rysy są mu potrzebne do oddania pewnych typów, zresztą dodać należy, że i wiele typów przeciwnych w książce swej pokazał. O zasadniczej ideologji tego dzieła trudno mówić, gdyż narazie ukazał się jedynie tom pierwszy.

„Dzień powszechni" Poli Gojawiczyńskiej to zbiór nowel i obrazków z życia Górnego Śląska. W utworach tych przebija gorąca nuta patrjotyczna i społeczna. Autorka chce przekonać czytelnika o krzywdzie i niedoli Polaków na Śląsku, o nędzy bezrobocia i o potrzebie zajęcia się pracą narodową i społeczną. Ta nuta tendencyjna, choć bezwątpienia sympatyczna, zbyt jest widoczna, żeby nie psuć efektów artystycznych a zbyt

może naiwna, aby przekonywać. Trąci trochę szablonem społecznych powieści dla młodzieży, w których życie układa się zawsze tak dogodnie dla autora, że każdy jego fakt popiera i ilustruje jego tezy i postulaty. To też takie sceny jak matka zabraniająca piorunującem spojrzeniem córce kochać Niemca, a potem przekradająca się ze sztandarem i okrzykiem „Polsko, Polsko!" przez granicę — są prawie nie do zniesienia przez swą banalność i jakiś, zupełnie już nawet jako konwencja, wyświechtany komunał. Ale mimo tych bardzo wielkich braków nie można przejść nad nowelami Gojawiczyńskiej do porządku, zaliczając je wyłącznie do naiwnego w ekspresji kokardkowego patrjotyzmu i bardzo słusznie zwrócił uwagę na ich istotne walory Ignacy Matuszewski, w przedmowie, jaką do tej książki napisał. Frapującą stroną tej książki jest dziwna żywość kreślonych postaci i scen. Taki np. Fiolka, drżący o zdrowie wątłej żony, której kupił gramofon, a przychodzący potem tkliwie na jej grób z żoną drugą, zdrową i silną, która mu wyszorowała kuchnię i dom do porządku przyprowadziła — jest poprostu kapitalny. Doskonały jest Janek z „brygady" telefonicznej, za którym szaleją dziewczęta, świetna kilku rysami oddana postać pani Golombek, w niebieskim fartuchu, wzruszające i żywe, mimo lekkiej konwencjonalności, są Józka i Maryjka. A takie sceny jak Valeska, wirująca w ramionach Sieji, na rozpędzonej karuzeli, podczas gdy jej mąż woła na cały głos „Valeska, stać! halt!" — mają w swej groteskowości iście epiczne zacięcie. Czytając więc te utwory, drażniące naiwnością, a biorące plastyką, mamy wrażenie, że działają w nich dwa nieskoordynowane jeszcze elementy: zbyt symplistyczny światopogląd autorki, obok jej bystrego zmysłu obserwacyjnego. Wygląda to tak, jakby niewątpliwy talent Gojawiczyńskiej, kreślący kapitalne sceny i sylwetki, nie umiał jeszcze poradzić sobie w wiązaniu tych ludzi i scen w przekonywujące i konieczne związki przyczynowe, jakby dostrzegł już i to doskonale, zewnętrzny kształt świata, a nie umiał, jak dotąd, zgłębić wewnętrznego, niezawsze tak teorję popierającego, nurtu życia. Ufać jednak można i należy, że młoda autorka braki te uzupełni. Jej gorący patrjotyzm i szlachetny światopogląd nie stracą napewno nic na wcieleniu się w artystycznie doskonalszą formę, a my otrzymamy bezwątpienia utwory o równie wysokim poziomie ideowym, ale artystycznie bardziej sugestywne.

Książka Gojawiczyńskiej mogłaby wziąć rekord w niedbałości wydania. A kto zna brak staranności u nas pod tym względem zrozumie, że rekord w tym względzie znaczy bardzo wiele...

Pierwsza książka młodego autora Witolda Gombrowicza „Pamiętnik z okresu dojrzewania" to zbiór siedmiu nowel dziwnych, niesamowitych à la Poë, pozornie bezsensownych, przesiąkniętych erotyzmem freudowskim, erotyzmem w przeróżnych

kompleksach, zboczeniach i perwersyjnych transpozycjach. Autor w przedmowie powiada, że jego światopogląd jest nawskroś erotyczny „bo taki jest duch czasu", że te chorobliwe sny, zjawy i obsesje gnębiły go w okresie dojrzewania i sam charakteryzując dobitnie ten stan mówi: „Dusza moja wynurzyła się z tego bajora". Dalej wyjaśnia, że wydał je mimo wszystko, bo uważa, że każdy wiek ma prawo do wypowiedzenia się w sztuce i dodaje, nie bez młodzieńczej zarozumiałości, że im czytelnik mądrzejszy, tem te „ciekawe" nowele wydadzą mu się mądrzejsze... W tem, że te nowele są ciekawe, nie myli się młody autor, bo poprzez wszystkie ich, zbyteczne może, dziwactwa przebija się talent niewątpliwy a nawet dużo obiecujący. Jest w nich naprzód duża, bogata fantazja, jest jakiś element prawdziwie twórczy. Czuć, że autor ma coś do powiedzenia, coś zupełnie własnego, że dla tego czegoś szuka swojej własnej ekspresji, własnych środków. Środków tych jeszcze nie znalazł, czuje, że myśl jego nie występuje dość jasno z samych utworów i na wstępie daje komentarz do każdej noweli, tłumacząc, co chciał w niej powiedzieć i dodajmy, że komentarz ten zbyteczny nie jest. Między innemi powiada tamże Gombrowicz: „Zewnętrzność jest zwierciadłem, w którem przegląda się wnętrze". To objaśnienie jest jakby głównym kluczem do zrozumienia całości jego książki. Realnością są nasze pragnienia, choćby podświadome, nasze instynkty, to coś, czem jesteśmy naprawdę, choćby nie wiedząc o tem. Fakty zewnętrzne są rzeczami przypadkowemi, są niejako tylko tworzywem tej naszej prawdy wewnętrznej. Prawda i prawdopodobność tych faktów zewnętrznych, ich logika są rzeczą drugorzędną i obojętną. Istotny sens życiu nadają te nasze najwewnętrzniejsze prawa i odruchy, one kierowane są żelaznemi prawami konsekwencji, one rytm życia mierzą. To, że powszechnie ludzie myślą naodwrót, jest tylko ułudą. Tak wedle tych nowych prawideł widzi świat autor. Cała zewnętrzność, fakty, ich zazębienie i możliwości są jakimś chwiejnym, bezsensownym zewnętrznie snem. Prawda żelazna, logiczna jest wewnątrz człowieka. Najjaśniej występuje ta myśl w doskonałej jako nastroje noweli „Zbrodnia z premedytacją", gdzie zbrodnię zabójstwa popełniają ludzie w swych nieuświadomionych pragnieniach, choć czynem jej nie stwierdzają. To odwrócenie przyjętych naogół wartości logiki i prawdopodobieństwa nadaje tym cudacznym nowelom ich absurdalny charakter.

Medycyna i doktorzy byli od niepamiętnych czasów ulubionym tematem satyry i dowcipu. To też opowiadanie Pawła Garta „Zachorowałem", kroczy wydeptanemi szlakami przekpiwania bezsilności medycyny, pomyłek lekarskich, a przytem, zarozumiałej pewności siebie doktorów, nie chcących się przyznać do swojej niewiedzy czy pomyłki. Powiastka ta, pisana bardzo żywo i plastycznie, — choć może trochę zanadto przewlekła

i trochę nużąca zbytniem wyzyskaniem tematu, — nie przynosi zatem nic bardzo nowego jako rodzaj dowcipu, ale jest, zwłaszcza chwilami, prawdziwie zabawna. Bawi zwłaszcza tam, gdzie podkreśla specyficzne dla czasów dzisiejszych stosunki w świecie lekarskim, pewną przyjętą przez doktorów etykietę, wzbraniającą choremu wezwać bezkarnie nowego doktora, choć dotąd wzywany pomóc nie umie, i przez to zmuszającą chorego do ciągłych konsyljów, które jak wiadomo, są podwójnie kosztowne; trzeba jednak przyznać, że opisywany przez Garta chory świetnie sobie z tym dylematem radził, gdyż rzeczywiście nieskończona ilość doktorów przesunęła się przy jego łóżku... Doskonale też jest opisana dzisiejsza specjalizacja: chory rozparcelowany jest na rejony, z których każdy należy do innego doktora: specjalista od nerek nie interesuje się zupełnie sercem, nawet jest lekko urażony tem, że można powodu choroby w sercu a nie w nerkach poszukiwać, specjalista od serca z pogardą odwraca się od badania stanu żołądka, specjalista od płuc nie widzi poza nimi żadnego ważnego organu w człowieku! Oczywiście jak w każdej satyrze, jest tu lekka przesada, ale przesada rysująca w trochę grubszych rysach faktyczny stan rzeczy. Autor tej udatnej powieści humorystycznej jest urodzonym narratorem. Z wielkim realizmem i prawdą przedstawia całą niejako techniczną stronę choroby, wraz z wszystkiemi jej, często nawet odrażającemi i najtrywialniejszemi szczegółami. Kreśli bardzo różne typy doktorów, pielęgniarek i pielęgniarzy, oddaje doskonale atmosferę lecznicy, sanatorjum, to całe „air ambiant" choroby tak ważne i dokuczliwe dla chorego, a tak naturalne i swojskie dla doktorów. Z dużym humorem opisuje konsultację u bezinteresownego znachora, który leczy za darmo, a tylko za przepisane ziółka, każe sobie zapłacić bagatelną sumkę 235 zł. A co świadczy o talencie autora, sięgającym poza zakres zwykłej humorystyki, to prawda i wnikliwość z jaką oddaje przeżycia samego chorego, jego stany nerwowe, niepokój, zniechęcenia, kaprysy, drażliwości, obawę przed śmiercią i pragnienie życia.

Różnica artystyczna jaka dzieli piękny obraz od udanej fotografji jest różnicą jaka zachodzi między książką J. W. M. Dęboroga „Czeki bez pokrycia" — a literaturą, zaliczającą się do dzieł sztuki. Nie będziemy więc jej krytykować za to, czem nie jest, zwłaszcza, że ukryty pod pseudonimem Dęboroga autor wcale na koturny sztuki nie wchodzi, nie zamierza osiągnięć dla siebie niedostępnych i zdając sobie sprawę z tego, że nie stać go na kompozycję malarską, zadawala się zgrabnem nastawieniem swego Kodaka. Ten brak wszelkich pretensyj świadczy o dobrym smaku autora i sympatycznie nas usposabia do jego lekkiej powiastki, bo choć nie widzimy w niej śladów wybitniejszego talentu, widzimy jednak dużą kulturę, a to już jest bardzo dużo.

Kultura ta objawia się naprzód w tej wyżej wspomnianej bezpretensjonalności, dalej w tem, że autor pisze o ludziach i środowiskach, które zna doskonale, a po trzecie, że w łatwym i lekkim sposobie jego pisania znać duże oczytanie, jeśli już nie w wielkich dziełach sztuki, to w każdym razie, w tej niezawsze genjalnej, ale najczęściej gładkiej i kulturalnej powieści francuskiej, czy angielskiej, stanowiącej strawę przeciętnej publiczności na Zachodzie. Zdjęcia Dęboroga przedstawiają nam wycinki z życia arystokracji i dyplomacji. Życie to podpatrzone jest świetnie, oddane z lekką ironją, dowcipem i humorem. Ludzie znający stosunki warszawskie, twierdzą, że postacie i anegdoty rysowane są z natury, to też jeśli czytając „Czeki bez pokrycia" nie doznajemy wzruszeń artystycznych, odczuwamy jednak ten rodzaj rozbawionej przyjemności, jaką odczuwa chłop, gdy widząc obrazy ze znanych sobie scen czy miejscowości, woła zdumiony „rychtyg prawda". Trochę do powtarzania tego chłopskiego „rychtyg prawda" przeszkadza nam zbyt szeroko, zwłaszcza w początku rozbudowana afera szpiegowsko-miłosna, niepotrzebne potrącanie o tak, w lichych powieściach, wyświechtane środowisko międzynarodowych awanturników. Ten pokłon w stronę szablonu powieści poczytnej jest zbyteczny i zbyteczna ta konwenansowa rama do kapitalnych i świetnie podpatrzonych scen i typów z życia. W tego rodzaju książce, wyglądającej raczej na udany żart, śmiesznem poprostu byłoby zastanawiać się nad moralną postawą autora i nad moralnemi walorami jego dzieła, a napewno przesadą byłoby gorszyć się swobodnym i trochę na modłę francuską frywolnym tonem opowiadania.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Jan Wład. Dawid: Psychologja religji. Z portretem autora i życiorysem, skreślonym przez Henryka Lukreca. Str. 150. Warszawa, Nasza Księgarnia, 1933.

Z zainteresowaniem bierze się do ręki wydane teraz dopiero, choć napisane już przed 20 laty, polskie dzieło o psychologji religji, i to ze względu na temat, oraz na osobę autora, bardzo zasłużonego w dziedzinie psychologji i pedagogiki, ale znanego ze swych radykalnych przekonań.

Umieszczony na wstępie (str. 5—32) szkic biograficzny, pióra H. Lukreca, ma umożliwić czytelnikowi zrozumienie przekonań Dawida w ostatnich latach życia (zm. 1914), gdyż uległy one wskutek różnych przeżyć pewnej ewolucji. Niewiadomo tylko, czy ten materjał biograficzny jest dostatecznie wyczerpujący i udokumentowany, żeby można opierać się na nim przy ocenie książki.

Rozdział wstępny zajmuje się krótko pojęciem, zadaniem oraz metodami psychologji religji. W drugim opisuje autor doświadczenie religijne jako przejaw życia religijnego, następnie

przedstawia trzy zasadnicze typy religijne: uczuciowy, aktywny i intelektualny. W r. IV i V stara się zanalizować i wyjaśnić religję ze stanowiska psychologicznego, częściowo także biologicznego i socjologicznego. Poruszono zatem choć w zarysie prawie wszystkie zagadnienia ogólne psychologji religji.

Chcąc wyrobić sobie słuszny sąd o tej książce z przed 20 lat trzeba uwzględnić i sytuację duchową autora i prądy ówczesne w interesującej nas dziedzinie wiedzy. Co do pierwszej sprawy sądzę — jak już zaznaczyłem, — że trudno na podstawie ogłoszonych danych biograficznych wydawać stanowcze twierdzenie. Według tego, co z życiorysu Lukreca dowiadujemy się o autorze, należałoby go uznać w myśl własnych jego słów (str. 40) — za niekompetentnego do interpretowania faktów religijnych, gdyż zmagania opisane zwłaszcza na str. 27—29 nie są chyba doświadczeniami religijnemi. Chodzi tam przecież o znalezienie łączności ze zmarłą żoną; były to raczej przejścia moralne, sam zresztą D. mówi o „uczuciu moralnem" (27). Gdzieindziej wyraźnie zaznacza: pozatem wszelkie zagadnienia religijne były mi obojętne, stosunek do religji był raczej niechętny i t. d. (26). Zachodziłaby tu zatem pomyłka, która zdaniem Wunderlego łatwo się zdarza w psychologiźmie i pragmatyźmie: przeżycia etyczne (i estetyczne) bierze się za religijne.

Wobec różnych prądów swego czasu umie D. często zachować samodzielne zdanie, np. gdy w r. IV i V zbija błędne tłumaczenia stanów religijnych. Jest ostrożny w kwestji metod, np. odrzuca sztuczny eksperyment, jest wreszcie dość wstrzemięźliwy w przyjmowaniu hipotez historyków religji o jej ewolucji.

W większości jednak spraw uległ D. duchowi czasu. Przedewszystkiem za W. Jamesem i in. przecenia autor znaczenie t. zw. intensywnych doświadczeń religijnych. Przyznaje wprawdzie (np. 110—111), że badania powinny iść nietylko w kierunku „intensywnych i oryginalnych stanów religijnych". Mimo to w swej pracy uwzględnia prawie wyłącznie doświadczenia „wybitnych jednostek". Jest to zasadniczym błędem najpierw pod względem rzeczowym. Myli się D. ograniczając religijność do przeżyć o silnem napięciu uczuciowem, jakiemi być mają głównie t. zw. nawrócenia i stany mistyczne. „Zadaniem psychologji religji jest dać dokładny opis tego, co się dzieje w duszy człowieka, żyjącego religijnie", tak powiada sam na str. 36. Otóż w duszy człowieka religijnego dzieje się dużo rzeczy poza nawróceniem i stanami mistycznemi, a nawet powiedziałbym, że wiele osób prawdziwie religijnych nie przeżywa ich wogóle. Jest i religijność „codzienna" czy normalna, która także i przedewszystkiem powinna być przedmiotem psychologji religji. Sposób Dawida jest błędnym także metodycznie. Stany szczytowe nie dają obrazu rzeczywistości. To tak, jakgdyby ktoś naukę o zdolnościach chciał oprzeć na badaniach genjuszów.

Na str. 66 i n. jest słuszna definicja życia religijnego jako funkcji wszystkich sił psychicznego ustroju (uczucia, woli i myśli, a dodać trzeba, także innych np. wyobraźni). W innych jednak wywodach autora rzuca się w oczy jakaś predylekcja do roli uczucia w religji wogóle, równolegle z pewnem jakby lekceważeniem udziału rozumu. Tak jak jemu współcześni, identyfikuje poprostu D. uczucia religijne z religją. Jest faktem, że życie religijne odbywa się na mocnem podłożu uczuciowem, ale nie można zgodzić się na twierdzenie, że „stan mistyczny lub religijny od stanu zwykłego odróżnia to, że towarzyszy mu nastrój wzruszenia, rozrzewnienia, tkliwości" (67), jakgdyby to miało być jedyną czy główną cechą istotną religijności (por. zasadnicze prace K. Girgensohna — prot. — i ks. Wunderlego). Z drugiej strony nie docenia D. funkcji rozumu w życiu religijnem. Widzi ją, i to ograniczoną, tylko w chwili „doświadczenia" w stanie mistycznym, a dalsze myślenie uważa już za „nadbudowę logiczną" (85).

Jako prawowierny wyznawca nauk ścisłych wiary, autor tylko w doświadczenie, coś jakby doświadczenie zmysłowe (por. str. 28 i n., także 42), nawet halucynacje (23 i n.). Ono stanowi źródło religji, wszelkie zaś przekonanie i wiara poza przeżyciem, jako „intelektualna nadbudowa" nie należą do psychologji religji (41, 94). Otóż nie można w ten sposób odłączać w religijności konkretnej jednostki „pojęciowej, dogmatycznej i obrzędowej nadbudowy od pewnych uczuć, wzruszeń, dążności natury religijnej" (41). Psychologja strukturalna domaga się rozpatrywania całości, t. j. w tym wypadku i pojęć i dążeń i wzruszeń, i słusznie, bo *si duo faciunt idem, non est idem.* Nazewnątrz podobne, będzie jednak innem w treści i zapewne w istocie swej wzruszenie modlitewne chrześcijanina np. przy modlitwie za zmarłych, a inne Comte'a „modlącego się" przed fotelem zmarłej kochanki (74); co innego mistyka św. Bernarda, a co innego autora po stracie żony, i to nietyle ze względu na funkcję psychiczną, ile właśnie na treść pojęciową.

Rzecz o psychologji religji powinnaby opierać się na mniej więcej wyraźnem określeniu samej religji. Tego właśnie niema w pracy Dawida, uważa on (65), że „nie mamy ustalonego kryterjum dla pojęcia religji i dla odróżnienia uczuć religijnych od takich, które niemi nie są". Co do zjawisk panuje istotnie chaos, lecz co do definicji udaje się jednak w praktyce ustalić ją chociaż w najogólniejszem znaczeniu, np. jako stosunek człowieka do Boga czy do bóstwa (R. Otto: *numinosum).* Coś trzeba przyjąć chociaż jako hipotezę roboczą, by ustalić granice przedmiotu. Są oczywiście pewne fakty psychiczne, w których religja człowieka styka się z innemi dziedzinami życia duchowego, gdzie zrazu trudno pociągnąć wyraźną linję między jednem a drugiem, bo objawy funkcyjne są może bardzo podobne, ale treść ich i sens pozwala zwykle wyróżnić, co jest istotnie religijnego od

spraw innych. To co nadal pozostaje niepewnem, trzeba zostawić na uboczu lub omówić jako niepewne. Tej ostrożności autor nie przestrzega, wskutek tego mamy w książce pomieszanie rzeczy wyraźnie religijnych z takiemi, które tylko zdala przypominają religję, np. dążenie do zjednoczenia się z drogiemi istotami zmarłemi (76 i nn.). Zdaje się, że tutaj D. myli się pod wpływem własnych przejść po stracie żony.

Podobne niejasności istnieją u niego odnośnie do stanów mistycznych. „Mało jest pojęć, któreby tak zostały zaciemnione, z któremiby tyle związano znaczeń, jak z pojęciem mistyki" (47). To słuszne; autor podaje długą listę tego, czem mistyka nie jest (48). Na negatywne jego określenia można się zupełnie zgodzić, ale z wywodów jego trudno wyrobić sobie wyraźne pojęcia o tem, na czem właściwie polegają stany mistyczne, lub jaki jest stosunek mistyki do religji. Jeżeli biograf ma słuszność, twierdząc, że dla Dawida „mistycyzm nie jest ani poznaniem, ani filozofją, ani religją, ani nawet poezją, lecz stanowi poprostu przeżywanie osobistego dramatu wewnętrznego", (30, por. 51), to i tutaj D. jest pod wpływem swej tragedji, pozareligijnej prawdopodobnie.

Dziwną wydaje się ta mistyka bez przedmiotu, jak ją widzimy w opisie autora. Ma to być *via unitiva* (55), ale z kim? Bo według Dawida zachowuje *materia prima* religji naogół charakter panteistyczny (90), a dopiero wskutek procesów umysłowych niektórych osób o skłonnościach więcej intelektualistycznych staje się teistyczną (70, 91 i nn.). „Subjektywne motywy wytworzenia pojęcia Boga osobowego", to jakby *petitio principii*. Zdaje się, że D. naciąga nieraz w tym sensie teksty mistyków, np. Ruysbroecka (70). Jeżeli tu i gdzieindziej mowa o miłości, niekoniecznie oznacza to deifikację miłości, ale w tym wypadku jest to podkreśleniem ważnego przymiotu Boga osobowego, uznawanego dawno przedtem. Czy mistyk chrześcijański musi dorabiać sobie do przeżyć system wiary (50)?

Ostrożniejszym jest D., zwłaszcza w porównaniu ze Starbuckiem, w kwestji nawróceń, chociaż i te pojmuje bardzo rozciągle, nietylko w sprawach ściśle religijnych, lecz głównie w dziedzinie moralnej. Do nawróceń „wyznaniowych" odnosi się z pewnem lekceważeniem (44, 99), i nie rozumie ich dostatecznie. „Nawrócenie na gruncie wyznaniowym" nie musi być „odszczepieństwem z punktu widzenia innego wyznania" (44); przecież najczęściej nawrócenie — jak wynika z samego słowa, — jest nawrotem, powrotem do dawnego przekonania, w którem człowiek osłabł, zaniedbał się. (Starbuck: odbudowa).

Nakoncu warto wspomnieć o stosunku książki do katolicyzmu. Właściwie kwestja ta nie powinnaby istnieć, gdy chodzi o pracę z zakresu psychologji, jako nauki opisowej, a nie wartościującej. Istotnie D. odgranicza wyraźnie psychologję religji, od

innych dziedzin religjoznawstwa, w szczególności od filozofji religji. Ale autor nie trzyma się ściśle tej zasady, nieraz ocenia fakty ze stanowiska niby — psychologicznego, a faktycznie innego. Zaznacza się to głównie wobec religijności katolickiej. Najpierw, przywiązując zbytnią wagę do t. zw. intensywnych objawów religijnych, nie oddaje słuszności tej zwykłej, codziennej religijności, której tak dużo w katolicyźmie. A dalej okazuje wyraźną niechęć czy lekceważenie do religijności katolickiej. Ilekroć mówi o katolicyźmie, prawie zawsze traktuje go jako religję niższego stopnia (religja niemocnych, niesamoistnych (109), religijność niejako zmechanizowana, spreparowana, ibid.) Nie analizuje właściwie żadnego przykładu doświadczeń religijnych w sensie katolickim, np. nawróceń, bo te, które przytacza, są albo ledwo zaznaczone (Ruville, nieco więcej Newmann), albo wybrane bardzo nieszczęśliwie (historję „nawrócenia się" W. Lutosławskiego należy rozpatrzyć w świetle autobiografji „Jedno łatwe życie" 1933; co do sprawy St. Brzozowskiego mam wrażenie, że na autora wpływały jakieś nieporozumienia osobiste, może ocena nawrócenia St. B. wypadnie inaczej w wyniku obecnych dyskusyj około osoby jego; monografja B. Suchodolskiego nie była mi dostępna). — Dodać jeszcze trzeba, że ze stanowiska Dawida religja objawiona wogóle jest czemś niezrozumiałem. W końcowych wywodach dochodzi autor do wniosku, że „ani pojmowanie psychologiczne, ani biologiczne i socjologiczne nie daje zupełnego wyjaśnienia religji" (150), ale z rezygnacją przekazuje to wszystko filozofji religji.

W książce tej jest dużo spostrzeżeń dobrych, ale także dużo rzeczy niebezpiecznych. Dlatego też skorzysta z niej tylko ten, kto potrafji czytać ją krytycznie. Należy się obawiać, że wielki — i w innych dziedzinach napewno zasłużony — autorytet, jakim dziś jeszcze cieszy się nieżyjący autor, dokonałby niemałego spustoszenia, jeżeliby książka stała się lekturą szerszych kół.

Ks. K. Werbel.

Władysław Tomkiewicz: Jeremi Wiśniowiecki (1612—1651). Rozprawy historyczne Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. T. XII. Warszawa, 1933; str. XVI+406.

Mało jest postaci historycznych, zwłaszcza z czasów przed rozbiorami, któreby były równie dobrze znane szerokiemu ogółowi, jak postać wojewody ruskiego Jeremiego Wiśniowieckiego. Niema wprost w Polsce wykształconego człowieka, któryby nie entuzjazmował się zamłodu dumnym i bohaterskim kniaziem łubniańskim. Równocześnie jednak wielu z tych, którzy w starszym wieku czytali po raz wtóry nieśmiertelną powieść Sienkiewicza, zadawało sobie pytanie, o ile postać wskrzeszona do życia przez

świetnego pisarza odpowiada prawdzie historycznej. Co do mnie, wyznać muszę, że problem ten trapił mię już dość wcześnie i że rozstrzygnięcie go napotykało zrazu na nieprzezwyciężone a świetne trudności. Oto poprostu nie było monografji „Jaremy", szkice Kubali przedstawiały jeno wycinki z życia sławnego bohatera.

Lukę tę dość niemiłą w naszej historjografji, usuwa obszerna monografja p. Wł. Tomkiewicza. W piętnastu rozdziałach opowiada tu autor dzieje bohatera, przyczem mniej więcej połowa książki poświęcona jest najmniej znanemu okresowi życia Jeremiego mianowicie latom przed wojną kozacką. Wskutek braku źródeł najmniej dowiadujemy się o latach młodzieńczych księcia, ale już od 1632 r. możemy życie jego obserwować dość dokładnie. Życie to jakkolwiek przypada na pokojowy okres rządów Władysława, jest wypełnione ustawicznemi walkami. Walczy więc książę najpierw z Moskwą, gromi Kozaków w r. 1638 pod Żołninem i Starcem, bierze wkońcu udział w walkach przeciw Tatarom, walcząc pod Surzą i Ochmatowem.

Równie ciekawem jest to co autor opowiada o sprawach majątkowych pana na Łubniach. Przejrzysta mapka dołączona do dzieła pozwala nam wyrobić sobie pojęcie o ogromie majątku Wiśniowieckiego, którego dobra na Zadnieprzu ciągnęły się ponad 200 km w kierunku południowym. Mniej miłe światło rzucają na W. liczne jego zatargi z sąsiadami, w których nieraz siła idzie przed prawem. Rozdział wreszcie cały poświęca autor działalności poselskiej Wiśniowieckiego na sejmach. Wiśniowiecki występuje tu najczęściej w obronie własnych interesów, działalność jego jednak wskutek braku źródeł nie jest zbyt wyraźnie zarysowaną.

Druga połowa dzieła poświęcona jest udziałowi W. w wojnach kozackich. Autor opisuje tu znaną z Sienkiewicza przeprawę z Zadnieprza na Ukrainę i Wołyń, pierwsze walki Jeremiego z Kozakami, wkońcu udział jego w kampanjach, piławieckiej, zbaraskiej i beresteckiej.

Dzieło oparte jest na sumiennych poszukiwaniach archiwalnych w kraju i zagranicą. Pewne szczegóły odnoszące się może nietyle do Wiśniowieckiego ile do tła dziejowego dałoby autorowi, wykorzystanie zbiorów Michałowskiego w Akad. Umiejętności, potem rękopisów Aktów Dawnych w Krakowie zwłaszcza rękopisu 363. Wydaje nam się też, że możnaby znaleźć coś więcej o działalności W. na sejmach w drobiazgowych diarjuszach sejmowych, znajdujących się w Archiwum Gdańskiem. Gruntowne przygotowanie źródłowe pozwala autorowi na podanie szeregu cennych nowości, odnoszących się do lat przed 1649 r. W latach późniejszych przeoranych pracowicie przez Kubalę jest siłą faktu tych nowości znacznie mniej, wobec tego, że autor posługuje się źródłami po większej części znanemi Kubali, przy podmalowaniu zaś tła korzysta z jego świetnych opracowań. Mógłby

ktoś tu twierdzić, że przy opisywaniu oblężenia Zbaraża lub bitwy pod Beresteczkiem należało podjąć się kontroli opisu Kubali, zwłaszcza że ten odczuwał sam potrzebę korektury swych szkiców. Wydaje nam się jednak, że czynienie z braku tego poważniejszego zarzutu autorowi byłoby nie na miejscu, wobec tego, że autor zajmował się samą osobą Jeremiego, a pozatem korektury te jak się pokazuje z innych opracowań, nie są zbyt ważne. Zato chwilami zdaje się nam, że można było opuścić lub więcej streścić pewne fakty znane z Kubali, a nie odnoszące się bezpośrednio do Wiśniowieckiego.

Źródła swe wykorzystuje autor sumiennie. Jak w każdej książce znaleźć można coprawda pewne nieścisłości i dorzucić uzupełnienia. Tak np. poseł wysłany w 1643/44 r. do Turcji, nazywał się nie Bojanowski, jak autor idąc za Hruszewskim podaje (str. 42), ale Mik. Bieganowski (Diarjusz Oświęcima str. 9). Posiedzenie senatu w lutym 1644 r. zwołane było nie na 29-go (str. 50), ale na 27-go i w tym dniu się zaczęło. Jeśli o uzupełnienia chodzi, to można dodać, że w ułożeniu zatargu między Wiśniowieckim a Ossolińskim 30 XII 1649 r. pośredniczyła czynnie królowa, o czem wspomina Lisola w relacji z 2 I 1650 r. (Arch. Wiedeńskie). Do listy wreszcie naruszeń prawa przez Wiśniowieckiego należałoby jeszcze dorzucić jego zajazdy na dobra w Siewierskiem, co mu król listem z 10 V 1636 r. wypomina (Listy Władysława, Grabowski str. 189). Usterki te, których zapewne możnaby znaleźć więcej, są jednak drobne i nie umniejszają wartości sumiennej pracy autora.

Jakimże ostatecznie pokazuje się nam rzeczywisty Jeremi z kart tej monografji? Trzeba tu zaraz przyznać, że autor zachował pochwały godną bezstronność wobec swego bohatera. Pokazał nam księcia jako człowieka zdolnego do gwałtów i łamania prawa, chwilami gotowego do warcholstwa, twardego aż do okrucieństwa, z drugiej strony jednak człowieka o wysokiem pojęciu honoru rycerskiego, o pańskim i szlachetnym geście. Że człowiek taki będący przedewszystkiem żołnierzem, nie miał czasu na snucie subtelnych koncepcyj politycznych, że rozumował po żołniersku prosto, chwilami aż za prosto, to nie może nas dziwić. Przyznać jednak musimy, że według tego swego najlepszego rozumienia spełniał swój obowiązek wobec Rzptej wtedy, gdy inni opuszczali bezradnie ręce. Słusznie zwraca autor uwagę, że Wiśniowiecki był wcieleniem dobrych i złych stron ówczesnego szlachcica i że w tem może leżała przyczyna jego popularności. Żal możemy mieć do autora jedynie z tego powodu, że nie omówił bliżej zdolności strategicznych swego bohatera.

Książka ta winna znaleźć dużo czytelników. Przeczytać ją musi każdy historyk XVII wieku, któremu przyniesie szereg nowych a ważnych szczegółów, przeczyta ją jednak z korzyścią każdy polonista uczący w szkole, każdy wkońcu miłośnik Sien-

kiewicza. Dlatego miejsce jej nietylko w bibljotece historyka, ale w każdej większej bibljotece publicznej, nawet w porządnej bibljotece szkolnej.

Dr. Władysław Czapliński.

M. Grabmann, Geschichte der katholischen Theologie, Freiburg i. B. Herder, 1933, 8⁰, str. XIII + 368.

Dotychczas dawał się odczuwać dotkliwy brak historji teologji katolickiej, zwłaszcza z okresu popatrystycznego, któraby z uwzględnieniem dokonanych w ostatnim półwieczu odkryć rękopiśmiennych i badań nad scholastyką średniowieczną, zreasumowała ich wyniki i podała w sposób systematyczny ewolucję myśli teologicznej. Dlatego z utęsknieniem wyglądaliśmy od r. 1911 III. tomu Historji metody scholastycznej M. Grabmanna, na który prawdopodobnie długo jeszcze czekać wypadnie. Aby temu brakowi choć w części zaradzić, kard. Fr. Ehrle, najwybitniejszy obok H. Denifle'a badacz pomników teologicznych średniowiecza, zaproponował przedruk treściwych a poglądowych szkiców historycznych M. J. Scheeben'a z I. tomu jego wielkiego podręcznika dogmatycznego (str. 419—464), uzupełnionych późniejszemi badaniami. Nakład Herder'a znakomity wybór uczynił, powierzając to niełatwe zadanie właśnie Grabmannowi, który od 30 lat pracuje na tem polu i był doń doskonale przygotowany poprzedniemi swojemi dziełami w dziedzinie historji teologji. Po wstępnych informacjach źródłowych i literackich, bardzo wyczerpujących, uzupełnionych jeszcze obszernym przeglądem literatury specjalnej na końcu sporego tomu (str. 282—346), autor kreśli dzieje teologji popatrystycznej, poczynając od W. Bedy do czasów ostatnich, w trzech epokach: średniowiecznej, nowożytnej i najnowszej, którą datuje od t. zw. teologji oświecenia z końcem 18 wieku. — Uwzględnia głównie dogmatykę, t. j. właściwy rdzeń teologji, od której dopiero w 18 wieku wyodrębniły się przeróżne dyscypliny jako samoistne gałęzie. Osobne jednak rozdziały poświęcone są mistyce i kanonistyce średniowiecznej oraz teologji bizantyńskiej w tymże okresie, podczas gdy w następnym dodano nadto początek i rozwój teologji historycznej. — Oczywiście najwięcej samodzielnej pracy włożył autor w historję teologji średniowiecznej, w której przedstawieniu i osądzie znać rękę fachowca, zamiłowanego w swej dziedzinie. W okresie nowożytnym zasługuje na uwagę szczególną r. I. § 2, charakteryzujący na podstawie prac kard. Ehrle i innych znaczenie szkoły Franciszka de Vitoria Z. K., a w czasach najnowszych t. zw. teologja oświecenia. — Wiek XX opracowany jest raczej sumarycznie, najdokładniej teologja niemiecka, podczas gdy z polskiej zaledwie kilka nazwisk wymieniono, między innemi figuruje tam jakiś zagadkowy Chotoninzki. — Trudno zapuszczać się w szczegółowsze omówienie książki, która zawiera około 1200 autorów, ugrupowanych według szkół. Dość powiedzieć, że

nie jest to bynajmniej suchy spis nazwisk z datami, lecz przy każdem podano ważniejsze dzieła teologiczne wraz z krótką, ale wyrazistą charakterystyką osób i metody naukowej na tle epoki i szkoły. — Nieocenioną wprost pomocą do pracy naukowej jest przegląd literatury na końcu książki. — Z szczerą wdzięcznością witamy doniosłą publikację, która nietylko dla teologów, ale i dla historyków kultury stanowić będzie dogodny przewodnik po dziejach myśli teologicznej, a jeśli wypada wyrazić jakieś życzenie z naszego stanowiska, to chyba nieco szersze, oczywiście w stosunku do całości, uwzględnienie polskiej literatury teologicznej, choćby w rozmiarach proporcjonalnych do Nomenclator'a Hurter'a.

Ks. M. Morawski T. J.

Warszawskie Studja Teologiczne, zesz. 1—6.

Polskie Two teolog. w Warszawie przystąpiło w r. 1930 do wydawania prac naukowych swych członków w zbiorze powyższym. Zkolei omówimy je krótko. 1. Ks. Dr. Antoni Pawłowski, Dogmat Niepokalanego Poczęcia w oświetleniu nowszych prawosławnych teologów rosyjskich, 1930, str. XV+125.

Autor wziął sobie za cel przedstawienie stanowiska teologów rosyjskich względem nauki o Niep. Poczęciu od chwili ogłoszenia tego dogmatu w Kościele katolickim. Stanowisko to, zrazu radykalnie negatywne wobec „nowego dogmatu", ulega zwolna modyfikacji w duchu zbliżenia do tradycyjnej nauki prawosławnej, a tem samem łatwiej już „wytknąć granice, w których należałoby szukać uzgodnienia teologji prawosławnej z katolicką" (str. VII). — Jak już stąd wynika, metoda autora jest ireniczna, chodzi mu raczej o porozumienie, niż o wynajdywanie punktów spornych. W tym celu wyświetla bałamutne nieraz twierdzenia teologów rosyjskich na tle całokształtu ich poglądów, zwłaszcza w ocenie S. Bułgakowa, którego bierze w obronę przed zbyt ostrą krytyką O. Spaćila (w Orientalia christ. 43 z r. 1929), choć zdaje sobie sprawę z powinowactwa jego teoryj z semiracjonalizmem Hermesa. W sprawie nauki o Niep. Pocz. różnice sprowadzają się jednak do opinij teologicznych, nie uwłaczając istocie dogmatu, jeśli się poza znacznie odmienną terminologję wniknie w treść ideologiczną autora. — Pod względem formalnym praca zaleca się przejrzystym podziałem, odpowiadającym etapom rozwoju Marjologji rosyjskiej i dokładnemi cytatami, pod względem zaś rzeczowym, sumiennem streszczeniem poglądów omawianych autorów i gruntowną ich oceną. Na uwydatnienie też zasługuje bezstronne stanowisko autora i jego duch pojednawczy. — W literaturze pominięto pewne klasyczne dzieła katolickie na temat Niep. Poczęcia.

Ks. B. Waczyński T. J.

Studja Augustyńskie, praca zbiorowa. 1931, str. 121.

Słusznie zaznaczono na karcie tytułowej, że to praca zbiorowa, a nie luźny szereg referatów, zawarte tu bowiem wykłady Profesorów teologji katol. na Uniwersytecie Warszawskim, spojone są wspólną myślą przewodnią, którą jest uwydatnienie postaci św. Augustyna na tle epoki. — Po przedmowie J. E. Ks. Bpa Szlagowskiego, który wdzięcznie zestawia św. Augustyna ze św. Pawłem, Ks. Dr. P. Styger wywołuje z pomroki dziejowej zewnętrzne rysy wielkiego biskupa z Hippony na podstawie najstarszych obrazów i dokumentów, kreśląc nam wygląd tej postaci drobnej i wątłej, o cerze ciemnej, bez zarostu i łysej głowie, wcale niepodobnej do okazałych portretów doby późniejszej. — Następnie Ks. Dr. J. Pastuszka odsłania oblicze duchowe myśliciela, podając jako trzy zasadnicze cechy jego filozofji duchowy subjektywizm, woluntaryzm uczuciowy oraz tak wybitny teocentryzm. — Ks. Dr. A. Bukowski uzupełnia sylwetkę Augustyna myśliciela, przedstawiając jego stosunek do współczesnych mu systemów manicheizmu i neoplatonizmu, które były zarazem dwoma etapami jego własnego rozwoju duchowego, na odcinku, dziś także aktualnym, problemu reinkarnacji dusz. — Postać Augustyna jako chrześcijanina i pasterza kościoła w Hipponie odtwarza Ks. Dr. W. Kwiatkowski w wykładzie o jego głębokiej koncepcji Kościoła jako rzeczywistości religijnej, zarówno empirycznej, dostępnej dla obserwacji człowieka, zwłaszcza w przymiotach jedności, świętości i powszechności, jako też nadempirycznej, o ile Kościół jest mistycznem ciałem Chrystusa i przedmiotem wiary. — Ks. Dr. A. Borowski omawia poglądy św. Augustyna na wartości doczesne, które są podstawą dobrobytu i kultury materjalnej, t. j. bogactwa i własność prywatną wogóle, problem niewątpliwie bardzo aktualny. — Wkońcu Ks. Dr. P. Styger uzupełnia ten przedmiot, przedstawiając stosunek św. Aug. do drugiego czynnika twórczego pomyślności doczesnej, do państwa i narodu, czem charakteryzuje jego patrjotyzm.

Całość, choć okazyjnie wydana, pozostanie przecież trwale wartościową a porusza zagadnienia, które i dzisiejszego inteligenta katolika żywo interesować muszą.

Ks. B. Waczyński T. J.

Ks. Dr. Eugenjusz Dąbrowski: Przemienienie Chrystusa według ewangelij synoptycznych, 1931, str. XIV+139.

Jest to pierwsza monografja katolicka o transfiguracji Chrystusa. Autor ujmuje materjał w trzech częściach. W pierwszej ustala krytycznie tekst opowiadania synoptycznego, a w jego krytyce literackiej wykazuje, że opis tego zdarzenia sięga swym początkiem trzech wybranych świadków Przemienienia Pańskiego, przyczem zbija teorję „dwu źródeł“ oraz hipotezę „pierwotnego

źródła" Fr. Spitty. W dwóch dodatkowych rozdziałach oznaczono czas i miejsce transfiguracji. — Pozytywna interpretacja tekstu jest przedmiotem części drugiej, w której autor bada okoliczności towarzyszące faktowi i ustala kolejność zjawisk w samem przemienieniu, przyczem omawia zjawienie się Mojżesza i Eljasza oraz zastanawia się nad znaczeniem słów Piotra, Ojca niebieskiego i samego Jezusa. Część trzecia wykazuje bezpodstawność tłumaczenia naturalistycznego, mistycznego i alegorycznego, broniąc historyczności faktu przemienienia. Transfiguracja nie jest zatem czemś pozornem, spowodowanem zjawiskami atmosferycznemi, ani wewnętrznym jakimś kryzysem dokonanym w duszy Chrystusa czy też sennem marzeniem lub subjektywną wizją Apostołów; nie jest mitem przejętym ze St. Testamentu czy z innych religij lub powstałym z wizji Chrystusa zmartwychwstałego; nie jest wkońcu alegorycznem zobrazowaniem przemiany pojęciowej uczniów w osobie Chrystusa, lecz niezaprzeczonym faktem historycznym, spowodowanym mocą nadprzyrodzoną. — Poważna ta monografja jest nieprzeciętnem dziełem z zakresu egzegetyki, opracowanem sumiennie wedle zasad naukowych, a dzięki jasności przedstawienia oraz czynnikowi apologetycznemu nadaje się do przeczytania z pożytkiem i dla szerszych kół inteligencji. — Niektóre usterki stylistyczne i formalne, poruszone w fachowej recenzji z *Collect. theol.* z r. 1932 nr. 1—2, str. 139, nie ujmują dziełu wartości rzeczowej, zdaje nam się tylko, że dwa ostatnie rozdziały cz. I logicznie lepiej wiązałyby się z częścią II, w której się tekst już zanalizowany rzeczowo wyjaśnia pod względem okoliczności samego przemienienia Pańskiego.

Ks. J. Warszawski T. J.

Ks. Dr. Jan Salamucha, Pojęcie Dedukcji u Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu. Studjum historyczno-krytyczne. Str. X + 130. 1930.

Autor — jak widać z jego pracy — należy do tej kategorji ludzi, których zasadą jest *vetera novis augere.* Pomiędzy filozofją scholastyczną, opartą na Aryst. i św. Tomaszu, a zdobyczami myśli nowoczesnej nie przepaść kopać, ale mosty rzucać. I najzupełniej słusznie!

Badania nad dedukcją na terenie logiki matematycznej zmieniają u wielu dotychczasowe pojęcia. Wywołuje to zamęt i nieporozumienie na polu filozofji.

Pod wrażeniem tego nieporozumienia Autor postanawia sięgnąć do samych źródeł logiki tradycyjnej — do Arystotelesa i św. Tomasza, by tam zaczerpnąć światła.

Autor bada pojęcie dedukcji naukowej z punktu widzenia czysto teoretycznego, rozważając zasady, jakie podaje Arystoteles i św. Tomasz z pominięciem ich praktycznego zastosowania.

Wykazawszy naczelne stanowisko dedukcji w metodzie naukowej, Autor zastanawia się zkolei nad warunkami rozumowania dedukcyjnego. I tu napotyka na poważne trudności. W zasadach logicznych Arystotelesa spotyka nietylko brak jednolitości, ale nawet pewne sprzeczności. Dla ich wyjaśnienia Autor stawia swą sugestywną hipotezę. Źródło niejednolitości byłoby w tem, że Aryst. za podstawę swych rozważań logicznych bierze 3 różne rodzaje rozumowań, które traktuje jako jeden typ logiczny: dedukcję matematyczną, rozumowanie według naturalnej hierarchji klas, oraz dedukcję przyrodniczą. Z poszczególnych typów rozumowania dedukcyjnego wysnuwa zasady i prawa, które formułuje jako prawa ogólne każdej dedukcji. Nic więc dziwnego, że w ten sposób powstał brak harmonji. Hipoteza ta jest bardzo prosta, a równocześnie doskonale rozwiązuje trudności. Jest to bezsprzecznie punkt najbardziej interesujący w całem studjum, podczas gdy rozdziały następne, traktujące o roli elementów pierwotnych w dedukcji oraz o ich poznaniu, są już mniej oryginalne.

W zakończeniu Autor wraca do tego, co stanowiło tło całego studjum — do stosunku wzajemnego logiki tradycyjnej i nowej logiki matematycznej. Logika arystotelesowska — przyznaje Autor — nie stanowi systemu zwartego i wykończonego. Ale nie jest słusznem przeciwstawiać logistykę jako logikę wyłącznie matematyczną logice Aryst. jako logice wyłącznie filozoficznej. Z drugiej zaś strony nie trzeba się lękać rozwoju nowej logiki, gdyż, będąc tylko systematyzacją naukową praktycznych zasad myślenia, nie wtłacza ona myśli ludzkiej w nowe, sztuczne ramy.

Cel swój Autor osiągnął znakomicie. Pomijając nieco zbyt ciężki styl i pewne latynizmy, rozprawa jest gruntownie przemyślana i opracowana. Wprawdzie w niektórych wypadkach sama myśl staje się nieco niejasna i zawiła, jak np. gdy Autor rozwija swą hipotezę, mającą tłumaczyć niejednolitość zasad logicznych u Arystotelesa, nie podawszy przedtem, w czem tkwi ta niejednolitość. Są to jednak tylko małe niedociągnięcia. Całość pracy wykazuje głębokie wniknięcie zarówno w myśl św. Tomasza jak i Arystotelesa. Autor dał swem studjum filozoficznej literaturze polskiej cenny przyczynek do pogłębienia znajomości logiki tradycyjnej i jej stosunku do logiki matematycznej.

Ks. S. Felczak T. J.

Z Wydawnictw Wojskowego Instytutu Naukowego i Głównej Księgarni Wojskowej. Warszawa 1933.

Obie powyższe instytucje wysyłają w świat coraz to nowe prace, mające związek z obroną państwa i wychowaniem fizycznem. Tem tłumaczy się też, że kiedy jedne z tych prac interesują tylko wojskowych, inne służą najszerszym sferom społeczeństwa, zarówno dorosłych jak młodzieży.

Z wydawnictw Wojsk. Instytutu Naukowego mamy do zanotowania parę prac historycznych. Pierwsza z nich: *Zarys historji korpusów inżynierów w epoce Stanisława Augusta* przez kpt. Dr. Jana Giergielewicz'a (str. XII+212 z ilustr.) jest dla naszej historjografji wojskowej cennem uzupełnieniem opisanej przez pk. K. Górskiego historji piechoty, jazdy i artylerji polskiej. Szczególnie ciekawą jest praca Antoniego Szuber'a: *Walka o przewagę duchową* (str. X+190 i 28 załączników reprodukcyj). Autor dostał się podczas wojny światowej do niewoli włoskiej i pracował w centrali akcji propagandowej Koalicji, a zapoznawszy się z jej metodami podaje w nadmienionej książce obraz kampanji propagandowej Koalicyjnej w latach 1914—1918, przyczem podnosi także zasługi Polaków. Pożyteczny przyczynek do historji odrodzonej Polski daje nam Aleksander Kawałkowski w książce *Z dziejów odbudowy państwa* (str. VIII+217). Jest to zbiór szkiców o charakterze polityczno-wojskowym, które mogą dopomóc do wyjaśnienia przyczyn i okoliczności, jakie złożyły się na odbudowę naszej ojczyzny.

Rozwijający się ostatnio żywiołowo sport wodny spowodował ukazanie się w Gł. Księgarni Wojsk. szeregu publikacyj z tego zakresu. Amatorom jachtingu przychodzi z pomocą Jana Kuczyńskiego *Jachtowa praktyka morska* (str. VIII+323 z licznemi ilustr.). Autor zebrał tu całokształt wiadomości z tego zakresu, mianowicie opis jachtu i prowadzenie go, przyczem ujął rzecz pod kątem widzenia jachtingu morskiego. *Prawa i obowiązki kapitanów i sterników jachtowych* (str. 16) zestawił w osobnej broszurce gen. M. Zaruski, dołączając zarazem regulamin służby na jachtach. Sport kajakowy może się również poszczycić paru gruntownemi broszurami. Antoni Heinrich, jeden z najwybitniejszych pionierów tego sportu napisał brosz. *Budowa kajaków* (str. VIII+80 z 32 rys. w tekście i zbiorem obszernych planów), która daje wszystkie wskazówki szczegółowe do samodzielnej fabrykacji kajaków i ich ożaglowania. Inną broszurę na ten sam temat O. Jabłońskiego *Budowa dwuosobowego kajaka harcerskiego* (in 16^0, str. 96 z ilustr. i osobnym zbiorem obszernych planów) zawiera nowo stworzona „Bibljoteczka Harcerskich Drużyn Żeglarskich" pod redakcją Witolda Bublewskiego. Do bibljoteczki tej należą jeszcze: Felicjan Gabryelewicz *Harcerska łódź żaglowo-wiosłowa typu „H"* (str. 32 i ilustr.), Jan Kuczyński *Roboty linowo-żaglowe na stopień żeglarza* (str. 12 z ilustr) i opracowany przez Komitet redakcyjny, podręcznik na stopień wioślarza p. t. *Wioślarz* (str. 147 z ilustr. i mapą). Dobry podręcznik sztuki żeglowania dla żeglarzy i kajakowców p. t. *Żeglarz śródlądowy* napisał Ludwik Szwykowski (str. 139 z ilustr.).

Osobno zaznaczyć należy trzy inne pokrewne prace. Podręcznik *Obozy*, przeznaczony zwłaszcza dla kierowników obozów

harcerskich, omawiający szczegółowo urządzenie i prowadzenie obozów, podał inż. Zbigniew Trylski (str. 232 z ilustr.). Całokształt automobilizmu, dla uczniów kursów samochodowych i kierowców, skreślił Lucjan Kapitaniak w broszurze *Działanie i obsługa samochodu* (str. 132 z ilustr.). Praktyczny podręcznik pilota szybowcowego, napisany przez inż. E. Bachem'a a przetłumaczony przez mjr. pilota B. Stachoń'a (str. 139 z ilustr.), omawia zagadnienia szybownictwa, zarówno dla uczniów jak dla instruktorów.

Interesującą dla wszystkich i zarazem pouczającą lekturę podaje nam Roman Umiastowski w książce *Wśród trujących mgieł* (str. VIII+218 z ilustr.). Zawiera ona szereg opowiadań, wyjętych ze wspomnień z wojny światowej, a kreślących grozę napadów gazowych i historję użycia ich w tym okresie.

M.

Ks. Dr. Franciszek Śmidoda: Sprawy dziesięcin w Trybunale Koronnym w latach 1578—1589. Karta z walki szlachty z duchowieństwem za Stefana Batorego i pierwszych lat Zygmunta III Wazy, (Warszawskie Studja Teologiczne n. 6), Warszawa 1933, str.: XVII + 126.

Zapowiedzią tego dzieła był artykuł p. t.: „Sprawy duchowieństwa na Sejmie warszawskim 1578 r.", jaki ks. Śmidoda C. M. opublikował w ubiegłym roku na łamach *Przeglądu Powszechnego* (T. 196, str. 217—224). Z przyjemnością stwierdzić należy, że zapowiadana książka przekroczyła wszelkie oczekiwania. Autor podjął się opracowania zagadnienia, dotychczas prawie nie tkniętego i przedstawił je wyczerpująco. Materjał, z którego ks. Śmidoda zaczerpnął swe wiadomości stanowią przedewszystkiem ogromne foljały wyroków trybunału lubelskiego i piotrkowskiego. Owoc tej żmudnej pracy stanowi niniejsza monografja, którą się czyta z zadowoleniem i pożytkiem. Autor omawia spór o dziesięciny na tle walki reformacji z kontrreformacją, które to sprawy na terenie Polski wiążą się ściśle ze sobą. Treść książki przejrzysta, forma zewnętrzna bez zarzutu. Ze względu na doniosłość zagadnienia dla Polski wieku XVI, jakie Autor na podstawie solidnych źródeł gruntownie i wszechstronnie w swej pracy wyświetlił, powinna się ona znaleźć w rękach nietylko badaczów dziejów Kościoła katolickiego, ale również historyków reformacji, prawa i sądownictwa polskiego.

Ks. Jan Poplatek T. J.

Ks. Dr. Władysław Kłapkowski: Działalność kościelna biskupa Wojciecha Jastrzębca (Warszawskie Studja Teologiczne n. 5), Warszawa 1932, str. XIII+122.

Osobistość biskupa Jastrzębca zasługuje w całej pełni na wydobycie jej z mroków zapomnienia i postawienie we właściwem świetle. Dokonał tego ks. Kłapkowski, który w swej książce

przedstawił karjerę Jastrzębca i jego działalność zmierzającą do usunięcia braków, na jakie cierpiała praca duszpasterska w podległej mu diecezji, oraz wysiłki biskupa w celu usprawnienia administracji w dobrach kościelnych i działalność kapituł katedralnych. Sądzimy, że przez zastosowanie bardziej naturalnej metody chronologicznej w ugrupowaniu faktów i konstrukcji pracy, byłaby monografja więcej zwarta konstrukcyjnie a portret biskupa stałby się żywszy i bardziej wyrazisty, niż to ma miejsce przy zachowaniu metody systematyzowania, jaką Autor obrał. Całość pracy przedstawia się dodatnio. Wnioski Autora płyną logicznie z mozolnie i sumiennie nagromadzonego materjału dowodowego, indywidualnie przemyślanego i sklasyfikowanego. Umiejętnie dobrane i opublikowane w dodatku teksty źródłowe, praktycznie wykonane odsyłacze w toku pracy i indeks na końcu książki ułatwiają orjentację i korzystanie z dorobku naukowego ks. Kłapkowskiego. Dzieło to należy powitać z radością, gdyż posuwa ono znacznie naprzód badania nad dziejami Kościoła w Polsce średniowiecznej.

Ks. Jan Poplatek T. J.

Notatki bibljograficzne.

Encyklika Leona XIII „Rerum Novarum". Tłum. i wstępem i objaśnieniami zaopatrzył ks. Jan Piwowarczyk. Wyd. 2. Kraków 1933, Księg. Krakowska. Str. 97 (2.50 zł).

Encyklika powyższa o kwestji robotniczej ma ciągle wysoką wartość, a znaczenie obecnego nowego jej wydania wzrosło dzięki komentarzowi i nawiązaniu do Encykliki *Quadragesimo anno*, zredagowanych przez doskonałego znawcę przedmiotu, ks. J. Piwowarczyka.

A. Rosat: Le Credo des Humbles. Collection „Je sème". Paris. Téqui. str. 292 in 8°.

Są to wyjątki z większej pracy Msgr. Gibier p. t. Religion, w ten sposób zestawione, że składają się na rodzaj apologetyki wiary dla zupełnie prostych a zupełnie obcych chrześcijaństwu warstw robotniczych. Rzecz składa się z króciutkich, sugestywnych ustępów, popartych nieraz ilustracjami. Choć praca ta ma wybitnie francuski charakter, może tu i ówdzie nasunąć myśl szczęśliwą i naszym ludowym działaczom czy pisarzom.

Lexikon für Theologie und Kirche. Zweite Auflage, V Band. Freiburg im Breisgau 1933, Herder & Co.

Mimo trudnych warunków firma Herderowska wydaje równocześnie parę wielkich encyklopedyj, a jedna z nich *Lexikon für Theologie und Kirche*, szybko posuwa się naprzód. Obecny

piąty tom obejmuje wyrazy od „Hexapla“ do „Kirchweihe“, na 1.056 kolumnach, wraz z 10 tablicami, 20 kartonami i 126 ilustracjami w tekście. Pięknie i starannie wydawane to dzieło powinno się znaleźć w każdej bibljotece poważniejszej, a jako podręczna encyklopedja w każdym instytucie teologicznym. Nadmienić można, że wśród jego współpracowników znajdują się również polscy specjaliści.

Dr. Friedrich Stegmüller: Zur Gnadenlehre des jungen Suarez. Freiburg im Breisgau 1933. Str. VIII+54 (2.40 M.).

Autor, docent fakultetu teologicznego na uniwersytecie we Fryburgu, stara się w niniejszej rozprawie odpowiedzieć na pytanie: co wpłynęło u Suareza na to, że został Molinistą? Obok historycznej porusza autor także filozoficzno-teologiczną stronę samego zagadnienia, korzystając przytem z nowych źródeł.

Arcybiskup Józef Pizzardo: Dyrektywy dla Akcji Katolickiej. Poznań 1933, Naczelny Instytut Akcji Kat. Str. 15 (50 gr.).

Autor, Asystent kościelny Centr. Rady Akcji Katolickiej Włoskiej i zaufany współpracownik J. S. Piusa XI w reorganizacji tejże, podaje tu naczelne dyrektywy dla tej Akcji, oraz omawia jej stosunek do innych działów życia: społecznego, gospodarczego i politycznego.

Rose Oldenbourg: „Ich“ ein Gottesbeweis. Den Unglaubensgenossen von einst gewidmet. Freiburg im Breisgau 1933. Str. 44 (—.80 M.).

Kto wierzy, temu cały świat opowiada Boga. Kto jednak nie wierzy, ten niech szuka dowodu na Jego istnienie w swem własnem „ja“ — mówi konwertytka Rose Oldenbourg w powyższej broszurce. Analiza bliższa siebie przeprowadzona tu jest jako droga do odkrycia Stwórcy.

Ks. Ludwik Niedbał: Duszom zbolałym. Katowice 1933, Księgarnia Katolicka. Str. 107 (2.50 i 2.80 zł).

Ludziom „zbolałym“, cierpiącym czy zgnębionym przeżyciami dać pociechę i wzór do cierpliwego znoszenia swych doświadczeń, taka jest myśl autora. Wzorem takim, po Zbawicielu, jest przedewszystkiem Najśw. Panna Marja, której obraz przesuwa się przed czytelnikiem w kilkunastu rozważaniach o różnych zdarzeniach z Jej życia. Rzecz pożyteczna do czytania i do nauk.

S. Elżbieta od Trójcy Św.: Wspomnienia. Tłumaczył z francuskiego O. Dr. Gmurowski Z. D. Lwów, Wyd. OO. Dominikanów. Str. 337.

W r. 1906 przeniosła się do lepszego życia Siostra Elżbieta od Trójcy Św., Karmelitanka w Dijon we Francji, zmarła w opinji

świętości, w wieku zaledwie 26 lat, z których niecałe pięć spędziła w klasztorze. Z opowiadań rodziny, znajomych i Sióstr zakonnych, oraz przechowywanych korespondencyj powstał powyższy życiorys S. Elżbiety, której specjalnym rysem było skupienie i która za „posłannictwo" swe w niebie uważała prowadzenie ludzi do umiłowania życia wewnętrznego.

S. Marja Augustyna Z. N.: Lilja Premonstratu. Życiorys bł. Bronisławy. Wyd. jubileuszowe. Kraków 1933; str. 67 z ilustr.

Kilkusetletni kult bł. Bronisławy trwa niezmiennie w naszej ojczyźnie i znaczy się aż do ostatnich lat łaskami, uproszonemi za jej przyczyną. Nowy ten, gustownie wydany życiorys pragnie zapoznać czytelników, młodzież zwłaszcza, z życiem tej Patronki Polski i pobudzić do nabożeństwa do niej.

Czesław Lechicki: Prawda o Boyu-Żeleńskim. Głosy krytyczne. Warszawa 1933, „Dom Książki Polskiej". Str. XCIV+184.

Znany publicysta, autor omówionej w poprzednim zeszycie *Przeglądu Powsz.* (str. 318) książki „W walce z demoralizacją", daje nam również pożyteczną krytykę Boya-Żeleńskiego. Rozróżnia pomiędzy jego rzeczywistemi zasługami a robotą destrukcyjną, przyczem zauważa słusznie, że dzisiejsza smutna jego akcja na polu moralności i małżeństwa nie jest żadną niespodzianką dla tych, co bacznie śledzili od początku jego prace literackie. Na różne te ujemny strony zwrócili w ostatnich latach uwagę różni krytycy, jak Irzykowski, Braun, Langie, Morawski, Miłaszewski, Cywiński i inni. Autor zestawia z nich pewne wyjątki i poprzedza je obszernym (94 stron) własnym wstępem, w którym poddaje krytyce działalność Boya-Żeleńskiego ze stanowiska moralnego i chrześcijańskiego. Książka godna polecenia wszystkim, którzy patrzą na zgubną dla Ojczyzny akcję inicjatora t. zw. „reformy seksualnej".

Włodzimierz Bielski: Oto Prusy! Karty z księgi niedoli ludności polskiej w Prusach Wschodnich. Poznań 1933, Związek Obrony Kresów Zach. Str. 128 (3 zł).

W kilkunastu obrazach ilustruje autor ciężkie położenie ludności polskiej w Prusach Wschodnich, teroryzowanej nieustannie przez miejscowe organizacje niemieckie polityczne, gospodarcze i społeczne, a bezbronnej niemal wobec tego stanu rzeczy. Warto zapoznać się z tym jej losem, tem bardziej że w ostatnich miesiącach stan ów miał ulec dalszemu pogorszeniu.

Stanisław Tworkowski: Podniebny lot. Życiorys, listy i pamiętnik polskiego lotnika Antoniego Scheur'a. Poznań 1933; Sp. Akc. „Ostoja". Str. 171 z ilustr. (3.20 zł).

Nareszcie mamy książkę o polskim lotniku, który nietylko pisał o sobie: „jestem pełen życia, młodości i radości", ale w tym

samym pamiętniku mógł zaznaczyć: „Zawsze mam serce czyste. Zawsze mam myśli czyste. Jestem wesoły". Jako instruktor Szkoły Lotniczej w Bydgoszczy zginął śmiercią lotnika w czasie wojny bolszewickiej. Gustownie wydana i starannie opracowana książka niniejsza zawiera jego życiorys, listy i pamiętnik; zainteresuje starszych, da piękny wzór młodzieży.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem różnych.

Konstanty Wiskowatyj: Pogłosy historji polskiej w epice jugosławiańskiej. Z przedmową Dra M. Murki. W języku polskim wydane pod red. Dra Mar. Szyjkowskiego. V Praze 1933, Prace Slovanského Ustavu w Praze; sv. XI. Str. XI+253.

Stanisław hr. Małachowski-Łempicki: Wolne Mularstwo w Lubelszczyźnie, 1811—1822. Lublin 1933, Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Str. 150 z ilustr.

Ignatius Ortiz de Urbina S. I.: Die Gottheit Christi bei Afrahat. Roma 1953, Pont. Instit. Orientalium Stud. Str. 140.

Maciej Wierzbiński: Honor. Powieść t. II. Poznań 1933, „Dziennik Poznański". Str. 160.

Dr. Mieczysław Kreutz: Zmienność rezultatów testów. Cz. II przyczyny zmienności, konieczność modyfikacji metody testów. Lwów 1933, Polskie T-stwo Filozoficzne. Str. IV+207.

Dr. Zofja Ciechanowska: Les relations littéraires entre la Pologne et l'Allemagne au XVIII-e siècle. Varsovie 1933 (odbitka). Str. 7.

Stanisław Pilch: Ludwik Ćwikliński, 80-lecie urodzin i diamentowe gody z nauką. Lwów 1933 (odbitka). Str. 30.

Zofja Topińska: Kasztelanic. Obrazek historyczny z życia św. Stanisława Kostki. Warszawa 1933. Wyd. Ks. Pallotynów. Str. 80 (1.50 zł).

Dr. Marjusz Skibniewski: S. I.: L'influence du droit Romain sur la procédure judiciaire des tribunaux de l'Inquisition. Varsovie 1933 (odbitka). Str. 8.

Gwido Trzywdar-Ralkowski; Lew Lechistanu czyli Zwycięzca z pod Wiednia. 5 scen dramatycznych. Warszawa 1933, Inspekt. Salezjański. Str. 30.

Król Jan III Sobieski. Tamże, in 16°, str. 32.

Ks. Antoni Sobczyński: Cała Ewangelja w perykopach niedzielnych i świątecznych, w ciągu trzechlecia. Kielce 1933 (odbitka). Str. 36 (50 gr.).

Ks. Dr. Józef Umiński: Historja Kościoła. Podręcznik dla szkół akademickich. Tom I: chrześć. starożytność i wieki średnie. Lwów 1933, wyd. Zakładu Nar. im. Ossolińskich. Str. XVI+576.

Szkoła przychodzi do ciebie. Warszawa 1933, Powsz. Uniwersytet Korespondencyjny. Str. 16.

Ksawery Pruszyński: Palestyna po raz trzeci. Wilno 1933. Str. 175.

O. Paweł Manna M. A.: Za mało żniwiarzy. Z włoskiego tłum. Ks. S. P. M. Warszawa 1932, Wyd. Ks. Pallotynów. Str. 267.

Aleksander Borawski: Królowa Jadwiga na Wawelu. Szkic historyczny. Warszawa 1933, tamże. Str. 78 z ilustr.

Ks. Alojzy Majewski P. S. M.: Róże i lilje. Powiastki dla młodszej i starszej dziatwy. Warszawa 1933, tamże. Str. 69 z ilustr.

Aleksandra Aniela Wolska: Pryzmat (Poezje). Warszawa 1933. F. Hoesick. Str. 76.

Dr. S. Sakać: Ugovor. Pape Agatona i Hrvata Proti Navalnom Ratu. (Oko G. 679). Zagreb 1931; str. 84.

Franc. Xaw. Kortleitner O. Praem.; Aegyptiorum auctoritas quantum ad Israelitarum instituta sacra pertinuerit. (Commentationes Biblicae). Oenipnote 1933, Fel. Rauch. Str. VIII+84.

Bóg-Panem i celem naszym. Cztery kazania na uroczystość Chrystusa Króla. Poznań 1933, Nacz. Instytut Akcji Katolickiej. Str. 14.

Szkoła czynu. Wykłady z dziedziny Akcji Katol.: 1) Apostolstwo zewnętrzne i wewn. 2) Wiara podstawą życia. 3) Jest Bóg. 3) Sekciarze — apostołowie fałszu. 5) Do walki z nowoczesnem pogaństwem. Poznań, Nacz. Instytut Akcji Katol.; każdy zeszyt 8 str.

Adrien de Divéky: La Constitution du Royaume de Jérusalem et les institutions hongreises et polonaises. Varsovie 1933. Str. 7.

Piotr Borowy, gazda z Orawy: Sąd grzesznika sam nad sobą. Z drzeworytami Stan. Jakubowskiego. Kraków 1933. Str. 32, wyd. ozd.

Ks. Fr. Nowakowski: Żywy Różaniec. Karukowo (p. Lipno Warszawskie). In 32⁰, str. 66. — Tamże *Czytanki Żywego Różańca*, 4 str., miesięcznik.

Kazimierz Zakrzewski: Rewolucja Odoakra. Kraków 1933, Polska Akademja Umiejętności. Str. 91.

Zdzisław Stieber: Izoglosy gwarowe na obszarze dawnych województw łęczyckiego i sieradzkiego. Kraków 1933, Polska Akademja Umiejętności. Str. VIII+56 z 8 mapami.

Dr. Witold Krzyżanowski: Polityka Ekonomiczna Faszyzmu. Lublin 1933, Gebethner i Wolff. Str. X+349.

Ks. Franciszek Bączkiewicz C. M.: Prawo Kanoniczne. Podręcznik dla Duchowieństwa. T. II wyd. 2. Przejrzał i uzupełnił ks. Józef Baron C. M. Kraków, 1933, nakł. Ks. Misjonarzy. Str. XVI+728.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Austrja: Wiedeński Katholikentag. — Echa z Kahlenbergu. — Program kanclerza Dollfussa.

Minęły już pamiętne chwile katolickiego kongresu, który w dniach od 7—12 września zgromadził w stolicy Austrji wielotysięczne tłumy z kraju i zagranicy. Uroczystości wiedeńskie zmobilizowały elitę i szerokie rzesze katolików, a treść wygłoszonych przemówień i powziętych odważnie rezolucyj odbiła się potężnem echem w światowej prasie. Nietylko katolickie ale i bezwyznaniowe, liberalne sfery śledziły bacznie przebieg wiedeńskich wypadków. Kongres niemieckich katolików odbył się bowiem na tle wspaniałych historycznych wspomnień, ale, co ważniejsze, glorją świetnych, choć minionych dziejów opromienił niepewną rzeczywistość dzisiejszego dnia, a śmiały wytyczył program na przyszłość.

Polityczno-religijny charakter jubileuszu zabarwił i naświetlił teraźniejszość, tak więc stało się faktem, iż wiedeński kongres miał swój religijno-polityczny wyraz, a wieszcząc politykę, opartą na niewzruszonych zasadach religji, zapowiedział tem samem bogaty plon. W tem harmonijnem, choć nieoficjalnem zbrataniu się dwu najważniejszych dziedzin współczesnego życia, dopatrywały się wrogie czynniki nadużycia religji dla politycznych posunięć, naoczni jednak oraz bezstronni świadkowie widzieli jedynie triumf i to bezapelacyjny triumf religji, nawet na terenie polityki. Fakt ten stanowi specyficzną cechę wiedeńskiego Katholikentagu, a tradycją swą nawiązuje do przeszłości i bliższej i dalszej.

Wszak właśnie przed 80 laty odbył się po raz ostatni w cesarskim Wiedniu analogiczny katolicki zjazd. Burzliwe poprzedziły go czasy, gdyż nietylko dla państwa ale także dla katolickiego Kościoła w Niemczech musujący ideami

wolności r. 1848 zapoczątkował nową erę organizacji i wpływów. Ówcześni kierownicy Kościoła wyzyskali roztropnie wolnościowe nastroje i prądy i już w październiku tegoż roku odbyło się w Moguncji generalne zebranie licznych stowarzyszeń: *Piusvereine für religiöse Freiheit*, którego wynikiem było utworzenie potężnego „Katolickiego Związku Niemiec". Były to również narodziny niemieckich katolickich kongresów, które odtąd w dorocznym a imponującym przeglądzie sił miały kształtować moralne oblicze niemieckiego katolicyzmu, stając się równocześnie bodźcem do zwartej, energicznej pracy. W r. 1850 odbył się po raz pierwszy niemiecki Katholikentag na terenie Austrji w Linzu, a w trzy lata później Wiedeń, stolica Franciszka Józefa I, otwarł swe bramy na przyjęcie ogólno-niemieckiego kongresu katolików. Katolicyzm Austrji uległ wówczas pomyślnej przemianie, zrywając ostatecznie józefińskie pęta, przy życzliwem poparciu ministra oświaty L. hr. Thuna. W katolickim obozie reprezentowali ideowy kierunek ludzie tej miary co Diepenbrock, Ketteler, F. Schwarzenberg,... aureolą świętości opromieniał cesarską stolicę heroiczny Klemens Marja Hofbauer, a zawarcie konkordatu zapewniło Kościołowi w Austrji należny wpływ i zaszczytne stanowisko.

To pierwszy jubileusz dzisiejszego, demokratycznego wprawdzie, ale tradycją cesarskiego Wiednia, którego katolicyzm reprezentuje godnie były prof. uniwersytetu dziś przez wszystkich ulubiony, a przytem pełen młodzieńczej energji J. E. Kardynał Teodor Innitzer. Wśród świeckich katolików chyba na pierwszy plan wysuwa się przez swoje wpływy popularny tak w kraju jak i zagranicą kanclerz Dr. Engelbert Dollfuss. Odziedziczył on w całej pełni ducha, energję, umiłowanie ojczyzny i wiary po swym poprzedniku śp. Msgr. Seiplu. Te dwie osobistości stanowiły przez swe wystąpienia dominantę w podniosłej harmonji, w jaką się zestroił wiedeński Katholikentag. Ze ścisłej współpracy tych ludzi można się też słusznie spodziewać nowego rozkwitu dla katolicyzmu w Austr ji.

Drugi jubileusz Wiednia przeniósł wspomnieniem uczestników sejmu w odległą przeszłość załamującego się średniowiecza, tej epoki, w której państwo i Kościół, świeccy i duchowieństwo złączyli się tak harmonijnie we wspólnej pracy dla dobra ogółu. Symbolem tej epoki i jej wspaniałem dziedzictwem jest tum św. Szczepana, którego strzelistą wieżę uwieńczyła właśnie przed 500 laty rozeta złocistego krzyża. Ta imponująca katedra skupia w sobie dzieje katolicyzmu Austrji. Z jej mrocznych, sędziwych naw wychodzi dziś austrjacki katolicyzm z młodzieńczem obliczem, nawiązując do wspaniałej tradycji współpracy Kościoła i państwa.

Na przełomie tych dwóch lokalnych jubileuszów występuje tem majestatyczniej jubileusz trzeci: 250-lecia wiedeńskiej odsieczy. Jubileusz to na europejską miarę, bo zwycięstwo zjednoczonego oręża nad Turkami zadecydowało o losach katolicyzmu na Zachodzie Europy. Przytem odsiecz Wiednia ma dzisiaj swoistą wymowę dla skłóconej politycznie Europy. Jako ostatni wielki akt chrześcijańskiego solidaryzmu, który dla obrony idei zmobilizował wojenną technikę — jest gryzącym wyrzutem sumienia dla współczesnych czasów, które w wyścigu wrogiego zbrojenia grzebią coraz głębiej ideę wielkiego chrześcijańskiego braterstwa.

Rocznica wiedeńskiej odsieczy jest zwłaszcza dla nas Polaków chlubnem dziejowem świadectwem, gdyż właśnie naród nasz, z swym rycerskim królem na czele, odegrał w niej najbardziej bezinteresowną, ideową rolę. Nic więc dziwnego, iż w ramach wiedeńskiego Katholikentagu nie brakło Polaków, iż godnie reprezentował ich sam Prymas katolickiej Polski, w gronie kilku biskupów, licznego duchowieństwa, oraz znacznego zastępu wiernych. Nawet Francja, odżegnując się jakby od błędu przeszłości, przysłała swego reprezentanta w osobie kardynała i arcybiskupa Paryża. Tem boleśniej musiała dotknąć austrjackich katolików nieobecność potomków i spadkobierców chwały Karola Lotaryńskiego, Ludwika Badeńskiego i innych kurfürstów. Przykrym pozostanie faktem ta oficjalna nieobecność niemieckich katolików z Rzeszy.

W roku 1931, podczas Katholikentagu w Norymberdze, ówczesny austrjacki minister oświaty dr. Czermak publicznie zaprosił w imieniu Austrji katolicki kongres do Wiednia właśnie na jubileuszowy rok 1933. Zaproszenie to przyjęto podówczas żywiołową owacją; tymczasem na wiedeński kongres zgłosili się wprawdzie niemieccy katolicy Czech, Banatu, Siedmiogrodu, Szwajcarji — brakło tylko reprezentanta Kościoła i państwa Rzeszy. A. Hitler, z pochodzenia Austrjak, ale opętany ideologją narodowego socjalizmu i germańskiego rasyzmu, zerwał w chwili tak uroczystej dawną tradycję katolickich Niemiec i barjerą tysiącmarkowych paszportów, a jeszcze bardziej groźbą brutalnego Anschlussu odgrodził od siebie dwa bratnie narody. Fakt ten, podkreślony zgodnie przez europejską prasę, ma swą wymowę bolesnego zgrzytu, wskazuje zbyt wyraźnie na grabarza świętej idei solidaryzmu chrześcijańskich ludów.

Demonstracja Rzeszy była bolesnym wprawdzie momentem ale nie umniejszyła bynajmniej wspaniałego przebiegu katolickiego kongresu w Wiedniu. Historyczne jubileusze nadały mu wspaniałe tło; piękna stolica naddunajska, ze swym imponującym stadjonem w Praterze, olbrzymim

placem przed kościołem Karola, skąpanym w zieleni Kahlenbergiem, tumem św. Szczepana i uroczym parkiem Schönbrunnu — tworzyła idealne ramy; na wewnętrzną zaś treść złożyła się głęboka katolicka myśl i żywiołowe, religijne uczucie.

Od czasów Eucharystycznego Kongresu w r. 1912, katolicki Wiedeń nie miał tak wspaniałych uroczystości religijnych, których splendor podnosiła jeszcze cudna pogoda jesienna. Po raz pierwszy od 21 lat gościł Wiedeń w swych murach specjalnego legata Ojca chrześcijaństwa, sędziwego patrjarchę Wenecji, J. E. Kardynała Lafontaine. Zgotował mu też żywiołową manifestację, z której biło synowskie przywiązanie do Stolicy św. Triumfalny pochód legata z pod opery do tumu św. Szczepana był spontanicznym hołdem setek tysięcy katolików dla następcy św. Piotra. Zapewnienie Kardynała Innitzera, iż katolicka Austrja chce trwać niewzruszenie w wierności i posłuszeństwie dla papieża, jako najwyższej powagi w rzeczach wiary i obyczajów — nabierało specjalnego znaczenia wobec udziału najwyższych sterników państwa. Wzruszający ten moment zbratania obu władz w hołdzie dla Namiestnika Chrystusa przywodził żywo na pamięć słynne powiedzenie romantyka i filozofa państwowości A. Müllera, iż „Chrystus umarł na krzyżu także i za państwa".

To też przed krzyżem, jaśniejącym wspaniale na portalu kościoła Karola, odbył się tegoż dnia (8. IX) wieczorem porywający w swem religijnem napięciu hołd katolickiego kongresu. Wszystkie plemiona niemieckie zbliżały się kolejno w swych delegatach przed krzyż i w obecności wysłannika papieskiego składały śluby wierności dla Zbawiciela. Rektor uniwersytetu wiedeńskiego K. Holzmeister w krótkich słowach dał nakońcu syntezę tej niezapomnianej chwili, wołając wobec niezliczonych tłumów: „... tu pod stropem zasłanego gwiazdami nieba, które jest świadkiem wszechmocy Bożej, składamy ci hołd święty Krzyżu, boś jest symbolem zbawienia ludzkości, przypomnieniem życia wiecznego, nadzieją w nieszczęściu, znakiem wiekuistego zwycięstwa!" — Prawdziwie katolickie słowa, godne przedstawiciela prawdziwej nauki.

Niemniej głębokie wrażenie zrobiła na wszystkich uczestnikach eucharystyczna procesja mężczyzn i młodzieńców, która jaśniejącą koroną uwieńczyła drugi dzień kongresu (9. IX). Patrząc na te niezliczone szeregi mężczyzn, kroczące zwartym łańcuchem po wiedeńskim Ringu, miało się wrażenie, iż zdążają bataljony Chrystusa do pokojowego szturmu o prawa Jego królestwa. Austrjacki katolicyzm nie jest bynajmniej monopolem niewiast, a przeważająca liczba organi-

zacyj męskiej młodzieży, tworzących czoło procesji, świadczyła wymownie o nastrojach młodej generacji, która wnet stanie u steru.

Punktem jednak kulminacyjnym religijnych manifestacyj była niedzielna suma, celebrowana przez papieskiego legata w Schönbrunnie (10. IX).

Od najwyższego kręgu misternej glorjety aż po parkową fasadę cesarskiego pałacu falowało jedno, wielkie morze głów, zwróconych w stronę ołtarza. Barwny kobierzec ludowych, zwłaszcza tyrolskich i mieszczańskich strojów, uniformów wojskowych i organizacyjnych, rozpostarł się na tle zieleni przepięknego parku. Wśród półmiljonowego tłumu zapadała modlitewna cisza, to znowu porywał chorał religijnej pieśni a delikatny dźwięk sygnaturki zginał kolana setek tysięcy przed Eucharystycznym Królem. Dokoła ołtarza, ustawionego na pałacowej terasie, honorowa straż akademików, szumiąca lasem sztandarów, błyszcząca połyskiem szpad; w głębi kardynałowie, biskupi, rząd z prezydentem Miklasem oraz kanclerzem Dollfussem na czele, arcyksiążęta, senatorowie, posłowie, uniwersytet, delegacje zagraniczne,... wszystko skupione w hołdzie przed Najśw. Tajemnicą. Podniesienie, *Agnus Dei*... zbiorowe *Te Deum*, zamieniło te olbrzymie tłumy w jedną rodzinę wierzących, z ust i serc wyrywało gorące wyznanie wiary. Następca Marka d'Aviano, Kardynał Legat rzucił w te rzesze wielkie hasło dnia: „Bądźcie jedno w Chrystusie, bądźcie jedno w tych zwłaszcza czasach, kiedy tylu wrogów jednoczy się w ataku na katolicką religję!..."

Rozpłomienienie religijnego uczucia ma swe głębokie psychologiczne znaczenie. Temu celowi służyły właśnie religijne manifestacje, wspaniałe koncerty, nabożeństwa eucharystyczne, oraz pokutne. — Ale uczucie musi pogłębić religijna myśl, by nie wypaliło się w chwilowem wzruszeniu. Nic też dziwnego, iż wiedeński kongres katolicki głęboki kładł nacisk na ideowe narady. Narady sekcyjne, zebrania stanowe, wreszcie posiedzenia plenarne na stadjonie w Praterze były przez szereg dni (10, 11, 12, IX) kuźnicą katolickiej myśli i katolickiego programu.

Wszystkie głęboko pomyślane i opracowane referaty skupiały się dokoła zasadniczego tematu: Chrystus i europejski Zachód. Mówiono o Zachodzie jako o chrześcijańskiej społeczności ludów (prof. uniw. Dr. A. Verdross), głosząc zasadę solidaryzmu i braterstwa w myśl najszczytniejszych katolickich zasad. Z Wiednia wyszedł przed paru laty głos nawołujący do stworzenia Paneuropy, niestety opartej na zasadach, które nigdy nie potrafią zjednoczyć zwaśnionych narodów. O ileż realniejszym od marzeń p. Kalergi

jest plan Katholikentagu, według którego katolicka wiara ma się stać platformą braterskiego zbliżenia i szczerej współpracy. Gdyby wszyscy katolicy stanęli solidarnie przy tym planie, zagadnienie Paneuropy mogłoby znaleźć jedynie realne, oraz trwałe rozwiązanie. W każdym razie katolicka Austrja przedkłada konkretny a rozumny plan, a minister oświaty K. von Schuschnigg wytyczył w tym planie rolę i misję niemieckiego narodu, pojętą nie jako przywilej i panowanie, ale jako ofiarna służba i zgodna współpraca. Dzieje niemieckiego narodu, jak udowadniał dr. H. Holzer, są najściślej złączone z dziejami chrystjanizmu, a odstąpienie od jego zasad musi się zemścić na losach narodu i państwa. Wprawdzie naród niemiecki jest do dziś dnia rozdarty krwawiącą raną religijnej waśni, ale i nad tą przepaścią należy rzucić pomost katolickiej miłości, a nie brak środków, jak to wykazał ks. G. Bichlmair T. J., które skutecznie powinny przyśpieszyć zbliżenie.

Wszystkie myśli i plany, które w ciągu tych kilku dni a podczas licznych posiedzeń i zebrań pochłaniały umysły sejmujących katolików w Wiedniu, stawały w ostrym kontraście z ideologją rasyzmu oraz germańskiej supremacji, którą brutalnie głosi współczesny hitleryzm i jego heroldzi.

Tę zasadniczą myśl rozwinął również w swej inauguracyjnej przemowie sam wysłannik i reprezentant Ojca chrześcijaństwa. Nawiązując, wobec tysięcy słuchaczy, do wiekopomnej odsieczy wiedeńskiej i sławiąc bohaterski czyn polskiego króla, podkreślił z naciskiem, iż odsiecz ta nie jest triumfem jednego tylko narodu nad drugim, ale jest solidarnem zwycięstwem narodów zachodniej Europy oraz ich chrześcijańskiej kultury. Z tem większym bólem stwierdzał sędziwy Legat, iż dzisiaj niektórzy kierownicy państw i narodów nie posiadają tej zgody i porozumienia, któreby im ułatwiło zażegnanie tych strasznych klęsk i rosnących ciągle niebezpieczeństw. — Ale właśnie ta zgoda i jedność, od których zależy dobro państw i społeczeństw z katolickiej tylko wzróść może ideologji.

Do sterników państw i narodów apelował wysłaniec Stolicy św., to też entuzjazm ogarnął wszystkich, gdy jakby podejmując wezwanie Legata, wszedł na trybunę kanclerz Austrji dr. E. Dollfuss.

Występując czynnie w ramach katolickiego kongresu, austrjacki premjer przemawiał nie jako osoba prywatna, ale jako prawdziwie katolicki mąż stanu, a trzeba wyznać otwarcie, że właśnie ten fakt, tak dzisiaj na terenie polityki wyjątkowy, wyjątkowe też robił wrażenie. Dollfuss oświadczył wyraźnie, iż „wiedeński kongres interesuje austrjackich katolików nietylko jako jednostki i członków jednego wyzna-

nia, gdyż jego znaczenie sięga daleko poza interesy katolickiego Kościoła i przechodzi w dziedzinę publicznego życia. Kongres bowiem katolicki odbywa się na przełomie dziejów. Impulsy tego kongresu, idące w szerokie warstwy narodu, muszą wnet przynieść owoce także i w życiu publicznem. Każdemu, który odpowiedzialne ma stanowisko w publicznem życiu Austrji, — bez względu nawet na jego osobiste religijne przekonania, — musi zależeć na tem, by katolickie zasady miały decydujący wpływ na całe życie narodu. Jest to najwyższym interesem państwa, iż wzrok młodzieży jest skierowany ku niebu, iż młodzież poucza się o nadprzyrodzonem posłannictwie człowieka, iż zasadę miłości bliźniego wpaja się w młodociane serca, iż dzieci wychowuje się nie na podstawie ogólnych frazesów humanitaryzmu ale przez zaszczepienie głębokie chrześcijańskich zasad tworzy się z nich ludzi o pełni charakteru i poczucia odpowiedzialności. Dlatego ludzie, kierujący państwem muszą wszystko uczynić w tym celu, by wielkie dzieło wychowania doprowadzić pomyślnie do kresu. Jest to dowodem roztropności męża stanu, jeśli ze względu na dobro państwa popiera jak najusilniej i wspomaga religijne życie".

Wybuch entuzjazmu austrjackich katolików towarzyszył słowom kanclerza a wzruszenie ogarniało zagranicznych gości, nieprzywykłych do tego rodzaju enuncjacyj swoich polityków.

Ale kanclerz Austrji, którego zdolności organizacyjne docenia coraz więcej dyplomacja europejska, nie stanął wpół drogi. Jego program państwowości nie obejmuje jedynie kwestji wychowania religijnego, lecz na zasadach zgodnych z religją chce przebudować cały ustrój państwa.

„...Pragniemy stworzyć w naszej ojczyźnie, — mówił dalej kanclerz — chrześcijańsko-niemieckie państwo, a w tym celu wystarczy nam trzymać się tylko wskazań ostatnich encyklik Ojca św., są one dla nas wskazówką, jak ukształtować państwowość w naszej ojczyźnie. Obecny rząd jednomyślnie postanowił zrealizować odnowienie życia państwowego i gospodarczego w duchu chrześcijańsko-niemieckim. Za podstawę ustawodawstwa przyjmiemy stanowe formy i stanowe zasady, tak jak je nam pięknie głosi encyklika *Quadragesimo anno*. Jest to punktem naszego honoru, iż będziemy pierwszym krajem, który w swem życiu państwowem pójdzie za wezwaniem tej wspaniałej encykliki".

Kto od dłuższego czasu obserwuje posunięcia rządu kanclerza Dollfussa ten wie, iż zapowiedź powyższa nie jest czczym tylko frazesem. Dollfuss idzie po linji polityki Seipla, a państwową myśl broni skutecznie przed szkopułem wszechwładnego do niedawna marksizmu i zagrażającego coraz

brutalniej hitleryzmu. I dlatego, idąc zresztą za głosem wewnętrznego przekonania, pragnie gorąco zbudować szczęście i niepodległość swej ojczyzny na mocnej ideologji katolickiej.

Już od szeregu miesięcy w tym właśnie kierunku rozwijają się ustawodawcze reformy. Dollfuss wydał rozporządzenia o cenzurze prasy, obrażającej moralność; o wychowaniu religijno-moralnem młodzieży; przywrócił obowiązkowy udział szkół w nabożeństwach i religijnych praktykach; osobną ustawą przewidział ochronę moralności publicznej i rozwiązał stowarzyszenie wolnomyślicieli w Austrji. Za jego rządów doszedł do skutku konkordat ze Stolicą św. i 5 czerwca b. r. został podpisany. Do ratyfikacji dotychczas nie doszło, gdyż parlament od roku nie został zwołany. W wspomnianej swej mowie nie pominął jednak kanclerz tego tak ważnego punktu; wobec papieskiego Legata oświadczył publicznie, iż ratyfikacja konkordatu będzie pierwszą troską związkowego rządu. Tymczasem zaś w imieniu tegoż rządu uroczyście ogłosił, iż już obecnie wszystkie postanowienia konkordatu uważa za praktycznie obowiązujące.

W przepięknych, godnych gorliwego katolika słowach wzywał Dollfuss wszystkich współobywateli, by każdy z nich, korzystając ze źródeł łask zawartych w religji, dążył do tego, by się stać lepszym człowiekiem. Tylko taka współpraca wszystkich katolików umożliwi mu stworzenie w Austrji prawdziwie chrześcijańskiego państwa.

W dwa dni później (11. IX) na olbrzymiej arenie Trabrennplatzu w Praterze, podczas gdy katolicki kongres kończył swe obrady na stadjonie, zebrał Dollfuss potężną armję narodowego frontu. Cała patrjotyczna część społeczeństwa austrjackiego stanęła na apel wodza i wobec tych tłumów, wobec zebranej na trybunach narodowej elity wygłosił kanclerz długą, bo prawie godzinną, programową mowę. Rozwinął w niej i szerzej uzasadnił myśli sformułowane już w czasie inauguracji Katholikentagu, a choć zebranie to miało charakter nawskróś polityczny, przejęte było równocześnie do głębi katolickim duchem i katolicką ideologją.

Przed 40 laty, w starej jeszcze Austrji, wódz chrześcijańsko-społecznego odrodzenia, książę A. Liechtenstein wygłosił w parlamencie potężną filipikę przeciw liberalizmowi, który naówczas dzierżył niepodzielnie ster rządów. W czasie tej pamiętnej mowy wyciągnął mowca zegarek i ku zdumieniu całej Izby zawołał, akcentując silnie każde słowo, jakby ogłaszał wyrok śmierci: „Moi panowie, godzina liberalizmu minęła!“ Było to prawdziwe proroctwo. Z niemniejszą siłą, stwierdzając już rzeczywistość, ogłaszał Dollfuss w swej porywającej mowie na Trabrennplatzu, iż liberalno-kapitalistyczny system gospodarczy przeżył się i minął; minął rów-

nież okres prowadzenia ludu przez socjalizm i bałamucenia go marksizmem! Kanclerz zapowiedział koniec panowania partyj i wzajemnego judzenia klas, by stworzyć nowy chrześcijańsko-społeczny ustrój, oparty na reprezentacji zawodów i stanów. Austrja współczesna nie może czekać jak czekała Austrja Schmerlinga, ona domaga się dziś zdecydowanego czynu!

Tegoż dnia wśród nieopisanego entuzjazmu miljonowego tłumu odbył Dollfuss triumfalny wjazd do stolicy i na Heldenplatz przed cesarskim Burgiem odebrał defiladę narodowego frontu. Tak Wiedeń obchodził jubileusz odsieczy w ramach Katholikentagu, tak wyglądał austrjacki „marsz na Rzym".

Nazajutrz, (12. IX) na Kahlenbergu modlił się kanclerz długo i żarliwie w kaplicy Sobieskiego i przed obrazem zwycięzcy pod Wiedniem złożył wspaniały wieniec wdzięczności. Potem wraz z prezydentem uczestniczył w Mszy św., odprawionej przez Prymasa Polski i wysłuchał kazania polskiego biskupa. Na skupionej twarzy widać było pracującą myśl i przygotowanie do czynu.

Minęło zaledwie kilkanaście dni a zapowiedziany podczas Katholikentagu czyn stał się już w części rzeczywistością. Kanclerz Dollfuss, wsparty zaufaniem prezydenta i całego kraju, zreorganizował rząd, skupił w swem ręku dyktatorską prawie władzę, by przeprowadzić zapowiedziane reformy. Jak ukształtuje się przyszłość trudno dziś przewidzieć, ale nie można wątpić, iż sympatje całego katolickiego świata są po stronie katolickiego kanclerza Austrji.

Uczucia i myśli Polaków, którzy uczestniczyli w katolickim kongresie wiedeńskim sformułował z pewnością najlepiej J. E. Kardynał Prymas, gdy na stadjonie w swem powitalnem przemówieniu stwierdził, iż „o Boga w historji a o zwycięstwo Chrystusowego prawa w życiu narodów walczy dziś całe chrześcijaństwo, a w tej historycznej walce stoi katolicki naród polski ramię przy ramieniu obok katolickiej Austrji i wszystkich chrześcijańskich ludów..."

Zapewnienie Ks. Prymasa ma swoją moc obowiązującą, ale właśnie dlatego pociąga za sobą daleko idące konsekwencje. Pierwszą z nich powinna być szczera troska wszystkich katolików polskich o pogłębienie naszego katolicyzmu w kraju, równocześnie zaś o coraz to silniejszy wpływ tego katolicyzmu na nasze życie publiczne oraz państwowe. Tym, którzy słuchali we Wiedniu mów kanclerza Dollfussa i prezydenta Miklasa, musiały się nasunąć na ten właśnie temat poważne refleksje i dość smutne porównania. Dodajmy i ten jeszcze szczegół, iż tradycje oręża polskiego, który walczył pod Wiedniem w obronie chrześcijańskiej idei, re-

prezentował tym razem na Kahlenbergu generał Wieniawa-Długoszowski...

U schyłku dawnej, sędziwej Austrji jaśnieje wspomnienie wspaniałego Kongresu Eucharystycznego z 1912 roku. Był to wieczorny blask przed tragicznym końcem monarchji, być może ekspiacja za grzechy i liczne odchylenia od katolickiej tradycji cesarstwa. — Nową erę twórczego czynu i integralnej ideologji katolicyzmu zwiastuje wiedeński Katholikentag.

Ks. E. Kosibowicz T. J.

VII Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych

Warszawa - Kraków 21—29 sierpnia 1933.

Obecnie przeżywamy epokę, że się tak wyrażę, a-historyczną. Stara maksyma: *historia magistra vitae*, uważana jest za frazes bez znaczenia, dał temu wyraz także p. premjer Jędrzejewicz w swojem przemówieniu w dniu otwarcia Kongresu. Wielkie narody i państwa przechodzą przeobrażenia o charakterze rewolucyjnym, niszczy się porządek wytworzony przez wieki drogą ewolucji, a opiera życie na zupełnie, pozornie przynajmniej, nowych podstawach. Jeśli zaś które państwo, a właściwie twórcy nowego w nim porządku, nawiązuje do przeszłości, to tylko bardzo ododległej, po przeskoczeniu okresów pośrednich (faszyzm do tradycyj rzymskiego imperjum, hitleryzm do tradycyj starogermańskich). Wśród samych historyków zupełnie niepotrzebnie i bez uzasadnionych powodów zaczął rość ferment, który nazwano kryzysem nauk historycznych, dotykającym samej ich podstawy, t. j. metodyki badań historycznych i ich naukowej wartości. Jeśli do tego dodamy bardzo poważne trudności pieniężne i mniej uchwytne, ale niemniej rzeczywiste i silne względy natury psychicznej i nacjonalistycznej, które dla przedstawicieli pewnych państw wyjazd do Polski czyniły mało zachęcającym, a nawet w wyobraźni, podnieconej wrogą propagandą, wprost niebezpiecznym, to będziemy mieli zebrane razem wszystkie trudności, jakie miał do przezwyciężenia świeży Kongres nauk historycznych.

Dzisiaj z wielkiem zadowoleniem i radością możemy stwierdzić, że nietylko zdołano przełamać wszystkie trudności, ale że sam Kongres stał się faktem o doniosłem znaczeniu, zarówno dla historycznej nauki polskiej, jak przedewszystkiem dla propagandy naszej. Nasza propaganda zagraniczna od początku istnienia państwa polskiego różnemi, czasem przedziwnemi chadzała i chadza drogami, czasem bezdrożami, jest w niej bardzo dużo pozycyj zupełnie chybionych, są i dodatnie, napewno jednak Kongres

historyczny będzie wśród nich jedną z pozycyj najbardziej wartościowych.

Nie chcemy wdawać się tutaj w dyskusję nad zagadnieniem, czy historycy bywają zazwyczaj złymi politykami, w każdym razie zawsze doskonale umieją się orjentować, umieją patrzeć, zwiedzać, umieją wyciągać wnioski, robić bardzo nieraz niemiłe zestawienia i porównania. To co dla inteligentnego turysty jest w mniejszym lub większym stopniu raczej ciekawostką, wrażeniem estetycznem, czy wprost tylko doznaniem uczuciowem, to dla historyka jest dokumentem, jest dowodem. Całe mnóstwo tych zaobserwowanych dokumentów i dowodów w umyśle historyka łączy się w jedną całość, tworzy syntezę żywą i trwałą. Historyk nie da się oszukać i zbałamucić blichtrem szumnych słów czy zewnętrznej wystawności, on szuka i ma uznanie dla prawdziwej pracy kulturalnej. A że historycy po zawodowych dziennikarzach, a obok ekonomistów procentowo najliczniej zajmują się publicystyką, więc też i wartość propagandowa ich opisów i wspomnień, zarówno w dodatniem jak i ujemnem znaczeniu, jest wielka. Możemy się cieszyć i spodziewać, że po Kongresie warszawskim będzie ona tylko dodatnią.

Zbierając razem korzyści osiągnięte, na pierwszem miejscu kładziemy polską gościnność, która na zagranicznych uczestnikach zrobiła wielkie i bardzo dodatnie wrażenie. Gościnność ta jednak była już pozbawiona cechy pewnej uniżoności, przez którą pragnie się niejako wynagrodzić obcym ich łaskawość, iż raczyli odwiedzić niskie nasze progi. Była to gościnność równego, gościnność wielkiego narodu i państwa, i w tem ujęciu wystąpiła jako cenna nasza zaleta, nie u wszystkich, nawet sprzymierzonych narodów spotykana. Dowody tej gościnności dał Rząd nasz, który poniósł koszta Kongresu, wkładki bowiem uczestnicze mogły pokryć zaledwie koszta druku dwutomowej księgi referatów, ofiarowanej przez Polskie Tow. Historyczne uczestnikom Kongresu. Dwa rauty, jeden w pałacu Prezydjum Rady Ministrów, drugi na Zamku, wydany przez Pana Prezydenta, były bezpośrednim objawem gościnności Rządu. Niemniej gościnne były prezydja miast Warszawy i Krakowa, Polskie Towarzystwo Historyczne, pewne organizacje, a nawet poszczególne jednostki. Przeróżnych przyjęć, podwieczorków, wieczorków, i t. d. było bezliku, goście zagraniczni brali w nich chętny i liczny udział. Ba, raz nawet Kongres oficjalnie tańczył. Gościnność polska miała w czasie Kongresu jedną jeszcze cechę, którą goście bardzo żywo odczuli, jak to widać z ich samorzutnych wyznań. Cechą tą był pewien, że się tak wyrazimy, uniwersalizm i połączony z nim duch pokojowości, duch zgody. Ten duch zgody, nastrój życzliwości i współżycia, był tak silny, że od samego początku stał się atmosferą całego Kongresu, dominującym akordem; on uniemożliwił w zarodku

wszelkie zatargi i zgrzyty, których pełne były ostatnie tegoroczne zjazdy międzynarodowe.

Drugą dodatnią stroną Kongresu była jego dobra, nawet doskonała organizacja. W sprawozdaniu z ostatniego polskiego Kongresu Historyków, który wykazał bardzo poważne braki organizacyjne, wyrażaliśmy na tem miejscu obawę o losy przygotowywanego w Warszawie Kongresu międzynarodowego. Dziś z radością stwierdzamy, że na szczęście obawy nasze się nie spełniły. Komitet kongresowy wywiązał się ze swego zadania całkiem zadawalniająco. A zadanie to nie było łatwem! Wielka liczba uczestników, takaż referatów, olbrzymia wobec tego korespondencja, wystawy, przyjęcia itd. itd., to wszystko wymagało wielkiej pracy i wielkich zdolności praktyczno administracyjnych i organizacyjnych. Historycy nasi pokazali jeszcze raz, że umieją być doskonałymi organizatorami. Drobne usterki były nieuniknione, a najpoważniejszą z nich, był wybór zupełnie nieakustycznej wielkiej sali Politechniki na miejsce otwarcia Kongresu. Ogromna większość obecnych, z wyjątkiem niewielkiej liczby tych, którzy siedzieli w pobliżu prezydjum, nie słyszała zupełnie mów powitalnych i pierwszych referatów. Instalacja głośnikowa z początku nie działała zupełnie, później zaś puszczona w ruch, uniemożliwiła doreszty słuchanie. Fakt ten wywołał duże niezadowolenie i ironiczne uwagi u gości zagranicznych, na szczęście był jedynym poważniejszym brakiem organizacyjnym, a jego złe wrażenie zostało zatarte przez dalszy przebieg Kongresu.

Naukowe korzyści Kongresu dość trudno dzisiaj, dwa dni po jego zakończeniu, ustalić i scharakteryzować. W każdym razie nie leżą one w referatach wygłoszonych, ale przedewszystkiem w bezpośredniem zetknięciu się uczestników, w dyskusjach zbiorowych i prywatnych, informacjach dawanych i odbieranych, w wymianie wydawnictw, poglądów i planów. Rozgłosem tych dyskusyj i rozmów rozbrzmiewały zarówno sale zebrań, jak labiryntowe korytarze warszawskiej politechniki, zarówno tramwaje i autobusy, jak restauracje, apartamenta Zamku i Pałacu Rady Ministrów. Wyników i korzyści tych rozmów nie da się nigdy ująć w żadną statystykę mimo to będą one najważniejszym owocem Kongresu. Przez te rozmowy dokonało się ostatecznie zbliżenie polskiej nauki historycznej do zagranicznej, historycy polscy będą napewno w szerszym zakresie zajmować się zagadnieniami historji powszechnej, a historycy obcy znowu zagadnieniami naszej historji. Gościom na różny sposób, dyskretnie a bez samolubstwa pokazano wielkość polskiej historjografji, tak wspaniale się rozwijającej, mimo ogromnych trudności i niesprzyjających warunków. Bibljoteka Narodowa urządziła wspaniałą wystawę swoich zbiorów, która w rzeczywistości przemieniła się na wystawę historjografji polskiej. Pokazano nam najstarsze zabytki języka polskiego. *Kazania świętokrzyskie* i niedawno nabyty *Psałterz Florjański*, poka-

zano najpiękniejsze kodeksy minjaturowe, najstarsze dokumenty państwowe, i w historycznym porządku źródła do dziejów polskich, łącznie z całą historjografją polską, od najstarszych kronik, żywotów świętych polskich i kalendarzy poczynając. Honorowe miejsca i szczególną uwagę poświęcono twórcy Bibljoteki Narodowej Załuskiemu, jej odnowicielowi Józefowi Piłsudskiemu i ojcu nowoczesnej metodyki kartografji historycznej Lelewelowi. Wystawa urządzona bardzo przejrzyście i metodycznie, dawała obcym wyśmienitą lekcję poglądową polskiej historjografji. W gmachu Politechniki urządzono wystawę współczesnej historjografji polskiej od r. 1916. Okres czasu niewielki, a bardzo ciężki i niesprzyjający pracy naukowej i wydawniczej, dorobek mimo wszystko w tym czasie zdobyty imponujący i wymowny, stanowił drugą lekcję poglądową dla zagranicznych gości. Trzecią była wystawa międzynarodowa kartografji historycznej i urbanistycznej, rozłożona we wszystkich ogromnych salach nowej kreślarni politechnicznej. Tam znowu przez bezpośrednie zestawienie z innemi narodami nasz dorobek (a przedewszystkiem wielkie dzieło Historycznego Atlasu Polski prof. Semkowicza), tylko zyskiwał na wartości. Podobnie pouczającemi lekcjami były wszystkie wystawy krakowskie, a więc batorjańska w Bibljotece Jagiellońskiej, historji nauk ścisłych i chemji w *Collegium chemicum*, Sobieskiego na Wawelu, a przedewszystkiem sam Wawel i zabytki Krakowa, które w całości wywarły bardzo silne wrażenie na zagranicznych przybyszów. Stanęła przed nimi cała stara a piękna kultura Polski i jej dzieje, tak twarde i tak zasłużone dla Zachodu, dzieje mimo naszej młodszości kulturalnej, zaniedbań i opóźnień spowodowanych tragicznemi losami kraju i rozbiorami, barwne i interesujące. Z bezpośrednich wynurzeń i opowiadań widziało się, że wielu gości naprawdę dopiero odkrywało Polskę.

Inną korzyścią naukową, a jednocześnie i propagandową, był żywy udział polskich historyków w pracach sekcyjnych. Referatów zupełnie świadomie z polskiej strony niewiele zgłoszono, gościnność wymagała, aby głos mieli przedewszystkiem goście, w dyskusji jednak po sekcjach zabierano bardzo często głos, a historycy obcy mogli się przekonać o szerokiej znajomości powszechnej historjografji i o żywem dla niej zainteresowaniu naszych historyków.

Samej pracy sekcyjnej scharakteryzować w jakiemś jednem ujęciu, jak już wspomniałem, niepodobna. Pracowało piętnaście sekcyj, a prócz nich odbyto kilkanaście posiedzeń, poświęconych pewnym specjalnym zagadnieniom, takim np. jak humanizm, demografja historyczna, nacjonalizm, imperjalizm, historja kolonjalna, żydowska i t. d. Wygłoszono około 400 tematów ze wszystkich dziedzin nauki historycznej. Wartość referatów, jak zawsze na tego rodzaju zjazdach, bardzo różna, były pierwszorzędne, były średnie, były i słabe, bardzo nawet słabe. Tematy poruszano

jużto specjalne, czasem drobne, o lokalnej wartości, jużto zasadnicze, o ogólnem znaczeniu. Uderzała jednak niewielka liczba tematów ogólnych, zasadniczych, z zakresu metodologji, oraz tematów syntetycznych, czyli tych, które budzą zawsze największe zainteresowanie i najżywszą dyskusję, ale z drugiej strony łatwo sprowadzają z terenu pozytywnej historji na teren filozofji i grożą rozpętaniem burzy. I rzeczywiście nieliczne zgłoszone tego typu referaty wywoływały istną wędrówkę narodów: ciągnęły asy historyczne, ciągnęła młodsza generacja, nie brakło i żądnej pewnej sensacji publiki. Tak było np. we wtorek 22 sierpnia popołudniu w sekcji metody historycznej i teorji historji. Zapowiedziany był na drugiem miejscu referat Norwega, docenta z Oslo W. Keilhau p. t. *Historischer Materialismus oder historische Synthese?* Jako koreferenci zgłosili się pod rząd czterej przedstawiciele współczesnej oficjalnej historjografji sowieckiej: Loukin, Gorin, Wołkin i Preobrażeńskij. Referent spokojnie, ale przekonywująco zanalizował materjalizm dziejowy i wykazał jego zupełną niewystarczalność, skrajną jednostronność i płytkość. Treść referatu była znana z Księgi, zawierającej streszczenia odczytów, ale referent nie przyjechał, sprawiwszy zarówno koreferentom jak i tłumnie zebranym słuchaczom niemiły zawód. Sowieccy historycy nie dali za wygraną i na następnem posiedzeniu tej sekcji, wtedy kiedy nikt tego się nie spodziewał, kiedy nie było tłumu, wygłosili (a raczej tylko dwu z wymienionych) swoje referaty i po raz drugi sprawili zawód obecnym. Stanowisko delegacji sowieckiej na Kongresie było jedynem w swym charakterze. Nie wygłaszali oni referatów na tematy przez siebie dowolnie wybrane, zgodnie ze swoją specjalnością, ale raczej coś w rodzaju wyznania wiary w materjalizm dziejowy. Były to enuncjacje programowe, wypowiadane dziwnie bezbarwnie, bez zapału i głębokiego przekonania, czy też z wielkiem jakiemś zażenowaniem; nie wnosiły one do dyskusji żadnych nowych momentów, zgóry bowiem znało się ich treść; przez dyskutujących z przeciwnego obozu z dziwną zgodnością przyjmowane były z pobłażliwą wyrozumiałością, w której czuć było jakby odcień litości dla tych naprawdę biednych ludzi, którzy nie mogli być swobodni i mówić swobodnie. Wogóle delegacja sowiecka stanowiła dosyć odosobnioną grupę, a jej poglądy nie znajdowały aprobaty, prócz grzecznościowych skąpych oklasków i dziwnie się wybijających energicznych, ale nielicznych aplauzów drobnych grupek młodzieży żydowskiej, sympatyzującej widać z materjalizmem dziejowym.

Podobny, jeśli można się tak wyrazić, zawód spotkał licznie zebranych słuchaczy na posiedzeniu sekcji Europy wschodniej, posiedzeniu, które miało być poświęcone wyłącznie sprawom Pomorza i krajów nadbałtyckich. Tutaj spodziewano się ataku ze strony historyków niemieckich, tymczasem tego ataku nie było, wogóle historycy niemieccy, widocznie ulegając atmosferze Kon-

gresu, przemawiali nad wszelkie spodziewanie pojednawczo, rozpływali się wprost w komplementach dla historyków polskich i naszej historjografji. W tejże sekcji toczyła się długa i żywa dyskusja nad referatem prof. Bidlo z Pragi. Wybitny badacz i znawca dziejów jednoty czeskiej we środę 23-go, wygłosił dłuższy syntetyczny referat pod intrygującym tytułem: *Was ist die osteuropäische Geschichte?* poruszając w nim całą masę ciągle jeszcze spornych zagadnień. Podzieliwszy Europę na dwie wielkie części zachodnią i wschodnią, zaliczywszy do wschodniej te wszystkie państwa i narody, które trzymają się bizantyńskiego, wschodniego Kościoła, za istotną cechę historji Europy wschodniej podał konserwatyzm, stałą dążność i walkę o zachowanie w niezmienionej formie tej wschodniej kultury mniej więcej w stadjum rozwojowem z trzeciego wieku. Oczywista, że takie postawienie kwestji musiało wywołać liczne sprzeciwy, prawie jednomyślnie zarzucono referentowi jednostronność przez sprowadzenie całej historji Europy wschodniej do jednego czynnika. Prof. Bidlo zapowiedział ogłoszenie swego referatu w całości a potem odpowiedź na postawione zarzuty. Dyskusja zatem nieskończona, a bardzo interesująca, potoczy się dalej.

Z jednomyślnym i skoncentrowanym atakiem historyków rosyjskich i ukraińskich nie sowieckich, spotkał się również syntetyczny referat prof. Haleckiego na temat polskiej polityki wschodniej od Kazimierza W. do Sobieskiego. Zgłoszono z tej strony pretensje o tytuł przedmurza chrześcijaństwa dla caratu i to właśnie w XVII w., kiedy Polska krwawiła się w walce z Turkami, a Rosja z Półksiężycem paktowała przeciwko Polsce. Pretensje te spotkały się z zasadniczo słuszną, choć w formie za ostrą repliką majora Laskowskiego.

W podobny sposób, raz żywiej, to znowu spokojniej odbywała się praca po innych sekcjach. Niepodobna wymieniać nazwisk referentów, podawać tytułów ich odczytów, czyniła to w dość szerokim zakresie prasa. Kto się bliżej chce zapoznać z pracami Kongresu, ten musi się na dobre zabrać do studjowania dwu tomów *Résumé des communications présentées au Congrès* (str. 356 i 525) i dwu tomów zawierających zbiór prac polskich historyków, tomów ofiarowanych uczestnikom Kongresu (str. 443 i 310) i trzech sporych zeszytów (razem około 800 str.) piątego tomu *Bulletin of the international comittee of historical sciences,* będącego organem światowej unji towarzystw historycznych. Pierwsze dwa wydawnictwa otrzymał każdy z uczestników Kongresu, prócz tego otrzymaliśmy rozumowany katalog wystawy kartografji historycznej: *Catalogus mapparum geographicarum ad historiam pertinentium,* będący właściwie zwięzłą historją rozwoju kartografji historycznej i urbanistycznej, a dalej pięknie wydany i ilustrowany katalog wystawy w Bibljotece Narodowej, krótki zarys historjografji polskiej XIX i XX w. (*L'historiographie polonaise du XIX-me et du*

XX-me siècle, str. 37), również krótki zarys dziejów nauk ścisłych i doświadczalnych w Polsce *(Histoire sommaire des sciences en Pologne*, str. 154*)*. Uniwersytet Jagielloński ofiarował uczestnikom zjazdu estetyczny druczek, zawierający szkic dziejów *Almae Matris* objaśniony 10 planszami, uniwersytet zaś w Padwie z okazji Kongresu jako homagjum dla Polskiej Akademji Umiejętności, wydał i ofiarował piękny albumowego formatu druk, zawierający katalog, opis i podobizny znaków, herbów i napisów nacji polskiej w Padwie p. t.: *Gli stemmi degli studenti Polacchi nell' Università di Padova.* (Autor A. Brillo, str. 31 i 34 tablic z 72 dwoma ilustracjami).

Ten przemiły i piękny dar słonecznej Italji jest wymownym wyrazem przemian, jakie się dokonały w stosunku narodów zachodnich do Polski. O tych przemianach mówią również liczne referaty obcych historyków o sprawach polskich, względnie o stosunkach polskich z zagranicą. Referatów tych nikt nie zamawiał ani o nie nie prosił, opracowane i zgłoszone zostały wyłącznie z inicjatywy ich autorów. Wartość ich polega właśnie na tem, że są objawem wzmagającego się zainteresowania sprawami polskiemi i rosnącej życzliwej sympatji, która się przebija przez grube warstwy nieznajomości polskich rzeczy i twardy pancerz wrogiej propagandy. W tym też duchu referaty te, przeważnie nieprzynoszące rzeczy nowych zostały przyjęte przez polskich historyków.

Ostatni wreszcie owoc Kongresu stanowią jego liczne rezolucje. Dziś jednak nie są nam one jeszcze w całej rozciągłości znane. Oddane Komitetowi międzynarodowemu do opracowania, zostaną ogłoszone we wspomnianym *Biuletynie*. Gdy się to stanie, nie omieszkamy czytelników naszego pisma poinformować o ich treści w rezolucjach bowiem historycznych kongresów zawiera się program pracy na następne pięciolecie, a zarazem są tam zawiązki wielkich dzieł badawczych i wydawniczych o charakterze międzynarodowym i epokowym.

Ujmując jednym rzutem oka całość prac Kongresu musi się uznać jego bardzo doniosłe znaczenie dla nauki polskiej i przyszłych jej stosunków z zagranicą. Po raz pierwszy w świadomości kilkuset przedstawicieli 30 narodów zarysowała się wyraziście i jasno rola dziejowa Polski, jej dorobek kuturalny, jej pozycja i stanowisko w świecie. A równocześnie zaznaczyła się znowu bardzo silnie różnica dwu światów, zachodniego i wschodniego. Pierwszy przedstawiała ogromna większość uczestników, drugi drobna garsteczka jednostek czujących się jakoś dziwnie nieswojsko w tem pierwszem z Zachodem zetknięciu. Tu mimo wszystkich różnic, przecież dążność do jaknajpełniejszego ujmowania całości zjawisk, dążność do syntezy, opartej na żmudnej analizie, dążność do poznania pełnego człowieka, a przedewszystkiem du-

szy człowieczej we wszystkich jej objawach, w jej wielkości i słabości, w jej wzlotach i upadkach, tam zaś jednostronność zabójcza, opierająca wszystko i sprowadzająca wszystko do wyrozumowanej formułki materjalizmu dziejowego, najstraszliwszy, najbardziej skostniały dogmatyzm, jaki kiedykolwiek istniał, a konsekwentnie ogromne zubożenie życia, zakucie go w niewolę nieudowodnionego ani filozoficznie ani historycznie frazesu. Ten kontrast uderzył mnie najsilniej przy końcu ostatniego posiedzenia plenarnego Kongresu w sali Polskiego Teatru. Ostatni referat p. t. *De Babeuf à Marx* wygłosił głosem monotonnym, pozbawionym życia V. Wołkin z Leningradu, człowiek jeszcze całkiem młody, ale jakoś dziwnie smutny, a po nim zabrał głos starzec już wiekiem prof. Dembiński, który z temperamentem młodzieńca, z radosną pogodą ducha, w błyskotliwem, pełnem wytwornego dowcipu *résumé* charakteryzował przebieg Kongresu i jego wyniki, podając jako ostateczny cel wszelkiej pracy historycznej zgłębienie wszystkich przedziwnych przejawów ducha ludzkiego. Wśród żywego aplauzu zarówno prezydjum jak i całej sali, jeden tylko Wołkin siedział za stołem prezydjalnym, pogrążony w dziwnie smutnej zadumie! O czem on wtedy myślał? Może w jego duszy w gruzy runęła wiara w rychłe zwycięstwo głoszonej z takim bezdusznym uporem ideologji materjalizmu dziejowego, a może w jego głowie i w jego sercu rodziły się myśli i pragnienia, których się sam przeląkł... Kto wie?! W każdym razie to także jedna z tajemniczych przemian, a może i tragedyj ducha ludzkiego.

Ks. St. Bednarski T. J.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 27 września 1933.

Cerkiew dyzunicka w dawnej Rzeczypospolitej Polskiej.[1])

Okres walki z Unją Kościelną 1596—1635.

Pamiętny synod brzeski, ogłaszając dn. 9 października 1596 r. doniosły akt Unji kościelnej, nie zdołał w rzeczywistości załatwić podjętej z trudem akcji zjednoczenia Kościołów i uzdrowienia stosunków wyznaniowych, panujących we wschodnich prowincjach Rzeczypospolitej. W tym samym czasie, gdy arcybiskup połocki Hermogenes odczytywał w cerkwi św. Mikołaja uroczystą deklarację biskupów przystępujących do Unji, „aby na jednym Piotrze, jako opoce, Kościół Chrystusów, mocno stojąc, od jednego rządzony i sprawowany był", — w tym samym czasie, o kilkaset kroków zaledwie, w zborze kalwińskim, pod wodzą samozwańczego wysłannika patrjarchy carogrodzkiego zapadały uchwały kontr-synodu, których skutkiem było rozdwojenie Kościoła wschodniego.

Dyzunici, ufni w pomoc potężnego kniazia Ostrogskiego, nie ulękli się ani ekskomuniki rzuconej przez metropolitę, ani ostrego uniwersału królewskiego. Biskupi Bałaban i Ko-

[1]) Artykuł niniejszy oparty został na szeregu materjałów źródłowych i opracowań konstrukcyjnych, dotyczących dziejów cerkwi dyzunickiej w Polsce, a przedewszystkiem na nast.: 1) *Akty otnos. k istorji Zapadnoj Rossii,* 2) *Akty Južnoj i Zapadnoj Rossii,* 3) *Archiw Jugozapadnoj Rusi,* 4) J. Czistowicz, *Oczerk istorji zapadno-russkoj cerkwi,* 5) P. Gołubiew, *Mitropolit Piotr Mogiła i jewo spodwiżniki,* 6) Hruszewskyj M., *Istorja Ukrainy-Rusy.* 7) Likowski E. ks., *Unja Brzeska,* 8) Susza J., *Saulus et Paulus Ruthenae Unionis,* 9) Szaraniewicz I., *Patrjarchat wschodni wobec Kościoła ruskiego w Polsce,* 10) P. Żukowicz, *Sejmowaja borba prawosławnawo zapadno-russkawo dworianstwa.*

pysteński, mimo złożenia ich z urzędu przez metropolitę, nie opuścili de facto swych katedr w Przemyślu i Lwowie. Oporny patrjarcha carogrodzki zatwierdził stanowisko kontrsynodu, wyklął biskupów unickich i złożył ich z urzędu, wyznaczając dla Kościoła wschodniego w Polsce trzech egzarchów w osobach Ostrogskiego i dwóch biskupów opozycyjnych, Gedeona Bałabana i Michała Kopysteńskiego. Wprawdzie zarządzenie to zostało oficjalnie unieważnione przez papieża Klemensa VIII, niemniej jednak rzeczywistość nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Bałaban i Kopysteński, mimo ekskomuniki i uniwersału królewskiego, sprawują nadal swe funkcje i nie opuszczają diecezyj; archimandryta Ławry Peczerskiej, przeciwnik Unji kościelnej, nie wpuszcza metropolity Rahozy do Kijowa, zamieniając klasztor swój w twierdzę dyzunji; na rozkaz Ostrogskiego szereg polemistów dyzunickich i dysydenckich chwyta za pióro, by zapomocą druku walczyć z dziełem Unji. Tak więc, w ostatnich latach XVI stulecia, dokonuje się rozdźwięk wyznaniowy na wschodnich rubieżach państwa polskiego, rozdźwięk, który nie prędko miał ucichnąć.

Zdawałoby się, że dzieło Unji kościelnej, podjęte w okresie największego upadku i rozprzężenia Kościoła wschodniego w Polsce, rozprzężenia, przeciw któremu występowały przedewszystkiem oświeceńsze jednostki z pośród ludności ortodoksalnej — powinno było dać wyniki dodatnie. Nie należy wszak zapominać, że projekt Unji nie wyszedł jedynie z łona Zakonu Jezuitów, lecz głównym jego inicjatorem był właśnie biskup ortodoksyjny Cyryl Terlecki, a obok niego późniejszy wróg Unji, Konstanty Ostrogski, który nosił się z planami znacznie bardziej rozległemi, mając zamiar zjednania dla idei jedności Kościoła nawet W. K. Moskiewskie. Nasuwa się pytanie: gdzie szukać przyczyn rozdźwięku wyznaniowego, czemu dyzunici, tak dotychczas rozproszeni i bezwolni, skupiają nagle siły i uderzają z całej mocy w dzieło Terleckiego i Pocieja?

Historjografja polska, a przedewszystkiem autor najobszerniejszej dotychczas monografji o Unji Brzeskiej, [1])

[1]) Ks. Edward Likowski.

przyczyn niepowodzenia akcji unijnej dopatruje się głównie we frondzie Ostrogskiego i zbyt małem poparciu unitów ze strony czynników Kościoła rzymsko-katolickiego w Polsce. Bezwątpienia, czynniki te odegrały znakomitą rolę. Episkopat polski, poza nielicznemi wyjątkami (Bernard Maciejowski), nie doceniał dzieła Unji. Opór senatu duchownego przeciw przyznaniu godności senatorskiej biskupom unickim miał bardzo doniosłe znaczenie, gdyż podkopywał ich autorytet w społeczeństwie i dawał niejako do zrozumienia, iż duchowieństwo polskie lekceważy unitów, uważając ich jakby za katolików drugiego rzędu. Gdyby episkopat unicki zrównany został w obliczu państwa z episkopatem łacińskim, wzgląd ten zapewne wpłynąłby na decyzję chwiejnych z natury i szukających korzyści Bałabana i Kopysteńskiego, i nie spowodowałoby z pewnością rozłamu w łonie samego episkopatu wschodniego. Nie ulega bowiem wątpliwości, że zjednanie sobie przez wrogów Unji tych dwóch władyków dało im wyraźny i pozornie usprawiedliwiony pretekst do walki z Unją, gdyż opór dwóch biskupów sankcjonował niejako wystąpienia oponentów, którzy nie mogli być teraz uważani li tylko za gromadę zbuntowanych, występujących przeciw całemu episkopatowi wschodniemu.

Rola, jaką odegrał Konstanty Ostrogski, jest powszechnie znana. Dumny magnat kresowy, pan największego majątku w Rzplitej, był niejako niekoronowanym księciem Rusi, uważał się za właściwego jej opiekuna. Szczerze przywiązany do cerkwi wschodniej, był on jednak dość wykształconym i bystrym obserwatorem, by nie spostrzec upadku tej cerkwi, nad którym poważnie ubolewał. Uważając się za protektora cerkwi, starał się podnieść ją z upadku, czyto przez założenie szkoły ostrogskiej, któraby mogła przygotować zastęp wykształconych księży, czyto przez osobiste wpływy wśród zdemoralizowanego duchowieństwa, czy wreszcie przez wydawnictwo dzieł treści teologicznej. Wszystko to były tylko półśrodki, toteż książę rychło spostrzegł, że, chcąc uzdrowić cerkiew, trzeba w niej przeprowadzić reformę gruntowną, że wreszcie najlepszem, a bodaj jedynem, dla niej wyjściem byłoby zawarcie Unji z Kościołem katolickim. Przychylność Ostrogskiego dla Unji coraz bardziej się po-

głębiała i nie była tajna sferom katolickim, skoro Skarga swój traktat „O jedności Kościoła Bożego" jemu właśnie poświęcił. Gdy jednak biskupi Terlecki i Pociej poczęli przygotowywać dzieło unji poza wiedzą księcia, dumny magnat uczuł się dotknięty w swej ambicji, widząc, iż dzieło dokonywa się ponad głową jego, który uważał się za opiekuna cerkwi, a teraz staje się biernym widzem rozgrywających się wypadków. Toteż, urażony w swej ambicji, wypowiedział Ostrogski zdecydowaną walkę unitom; co zapoczątkowała podrażniona duma, to pogłębiło środowisko różnowiercze, zgromadzone w Ostrogu (Cyryl Lukaris, Broniewski, Motowidło), a z natury wrogie katolicyzmowi. Już w Ostrogu zawiązał się jakby surogat sojuszu schizmatycko-dysydenckiego, który w przyszłości miał zadać niejeden cios idei zjednoczenia Kościołów.

Były wszakże inne czynniki, mniej widoczne, lecz niemniej ważkie, których zadaniem było wszczęcie walki z jednością Kościoła. Unja miała wrogów nietylko w Ostrogskim i zgrupowanem dokoła niego środowisku kalwińskiem, miała ich przedewszystkiem w całej masie niższego duchowieństwa (obrządku wschodniego), w bractwach cerkiewnych, miała ich i nazewnątrz kraju — w Konstantynopolu i Moskwie.

Jeżeli podniesienie z upadku Kościoła wschodniego w Polsce stało się koniecznością w oczach bardziej oświeconych jednostek z pośród duchowieństwa, to ogół kleru greckiego nie widział potrzeby tej reformy, ani jej sobie nie życzył; obawiano się powszechnie, by nowa dyscyplina kościelna nie obaliła dotychczasowej samowoli kleru parafjalnego, podległego tylko nominalnie katedrom biskupim, a w gruncie rzeczy sprawującego swe funkcje cerkiewne najzupełniej samowolnie. Podobne obawy żywiło również i duchowieństwo zakonne. Jedyny zakon Bazyljanów lękał się, jeżeli nie utworzenia pod wływem Rzymu nowych zakonów konkurencyjnych, to przedewszystkiem ograniczenia swego, bardzo daleko posuniętego, samorządu i uzależnienia od metropolity. Obawy te żywiła przedewszystkiem najpotężniejsza placówka bazyljańska, Ławra Peczerska w Kijowie, ona też w znacznym stopniu podjęła opozycję przeciw-

unijną, czemu dała wyraz przez działalność swego archimandryty Nicefora Tura na kontrsynodzie brzeskim.

Jeżeli poparcie dyzunji przez znaczny odłam średniej i drobnej szlachty wołyńsko-ukrainnej przypisać można nietyle względom ideowym, ile zależności od potężnego magnata, to nie da się tego powiedzieć o mieszczaństwie, którego wyrazicielem w sprawach wyznaniowych były rozliczne bractwa cerkiewne. Organizacje te, składające się z ludzi cywilnych, przeważnie mieszczan, obce zasadniczo duchowi Kościoła wschodniego, rozwinęły się na Litwie i Rusi w ciągu wieku XV na wzór zachodni, a w ciągu wieku następnego, w miarę upadku kleru schizmatyckiego, coraz bardziej rozpościerają wpływ swój na cerkiew. Zwłaszcza dwa największe, lwowskie i wileńskie, poczynają decydować w sprawach administracyjnych cerkwi, wpływać na politykę personalną, a nierzadko decydować i w kwestjach dogmatycznych; potęga tych bractw wzrosła zwłaszcza, gdy patrjarcha carogrodzki nadał im w latach 1586—9 godności stauropigjalne, wyjmując je z pod wszelkiej jurysdykcji biskupiej, a uzależniając je bezpośrednio od siebie. Posunięcie to, podyktowane względami *divide et impera*, wytworzyło rzeczywiście szereg nieporozumień pomiędzy episkopatem a bractwami, nieporozumień, które się niebawem przerodziły w ostry, nie do załagodzenia, antagonizm. Bractwa, wywyższone przez patrjarchę i przetwarzające się niejako w jego organy dozorujące cerkiew schizmatycką w Polsce, poczuły się strażnikami tej cerkwi, wrogimi z natury rzeczy wszelkim poczynaniom inowacyjnym, o ile te wyszłyby z inicjatywy episkopatu. Toteż, gdy wpłynęła wreszcie kwestja zjednoczenia cerkwi wschodniej z Kościołem katolickim, bractwa wystąpiły ze zdecydowaną opozycją wobec zamierzonego dzieła. Wpłynęły na to zarówno względy ideowe konserwatyzmu, jak i wskazówki z Konstantynopola, jak wreszcie obawa przed utraceniem swej dotychczasowej supremacji. W sumie, opozycyjne stanowisko bractw zaszkodziło Unji bardziej może, niż akcja Ostrogskiego. Takie czy inne stanowisko magnata było wynikiem jego kaprysu, ograniczone było w czasie i przestrzeni; Ostrogski w znacznej mierze zaszkodził dziełu Unji, lecz działalności jego synowie już nie kon-

tynuowali — toteż „twierdza ostrogska" czynna była tylko tak długo, dopóki wspierał ją potężny kniaź — tymczasem akcja bractw, nie tak efektowna napozór, miała znaczenie donioślejsze, jako akcja organizacyj zbiorowych i ciągłych, oddziaływujących w obranym przez się kierunku jednostajnie i stale.

Tak więc nie brakło wewnątrz kraju czynników, wrogich dziełu Unji — nie brakowało ich też i nazewnątrz. Rzecz prosta, że patrjarchat konstantynopolitański nie mógł patrzeć obojętnie na dzieło Unji, odrywające jedną z największych prowincyj — a to zarówno ze względów zasadniczych, jak i bardziej doczesnych. Patrjarchat pod rządami tureckiemi przeżywał okres upadku wewnętrznego, toteż wiernymi swymi w Polsce niewiele się zajmował, traktując ich raczej jako źródło dochodów dla opłacenia skarbu sułtańskiego, domagającego się znacznych datków pieniężnych od patrjarchów. Groźba utraty metropolji kijowskiej przestraszyła nie na żarty partjarchat, który teraz za pośrednictwem oddanych sobie bractw cerkiewnych przystąpił do ostrej walki w obronie dyzunji. Nie należy zapominać i o tem, że utrzymanie zwierzchności cerkiewnej Konstantynopola nad ziemiami ruskiemi Rzplitej leżało również poniekąd w interesie samej Turcji, która za pośrednictwem rzekomych wysłańców patrjarszych uprawiała nierzadko szpiegostwo polityczne, jak to miało miejsce np. z osławionym Niceforem, mniemanym protosynglem patrjarszym, przewodniczącym kontrsynodu brzeskiego, a w gruncie rzeczy samozwańcem i szpiegiem tureckim.

Wreszcie — Moskwa. Eparchje W. Ks. Moskiewskiego podlegały oficjalnie zwierzchnictwu patrjarchy carogrodzkiego, lecz zwierzchnictwo to było już w wieku XVI raczej nominalne. Od czasu upadku Konstantynopola i uzależnienia patrjarchów od rządów tureckich następuje powolna emancypacja kleru moskiewskiego, połączona z coraz bardziej rosnącą pogardą dla uzależnionego od niewiernych patrjarchy. Powstaje myśl założenia „trzeciego Rzymu" i uniezależnienia się całkowitego od dotychczasowej władzy duchownej. Kwestja ta w ciągu XVI stulecia dojrzała tak dalece, że trzeba się było z nią pogodzić. W r. 1589 patrjar-

cha carogrodzki Jeremjasz, ulegając żądaniom, mianował oficjalnie metropolitę moskiewskiego Hjoba patrjarchą, tworząc w ten sposób niezawisły patrjarchat moskiewski, nie związany żadną zależnością hierarchiczną z Konstantynopolem.

Krok ten zaniepokoił w znacznym stopniu polskie sfery polityczne, a w pierwszym rzędzie właściwego sternika nawy państwowej, kanclerza Zamoyskiego. Bystrym swym umysłem spostrzegł ten świetny polityk, że samodzielny patrjarchat moskiewski, będący ekspozyturą cerkiewną polityki zagranicznej W. Księstwa, może się stać dla ludności schizmatyckiej Rzplitej znacznie bardziej przyciągającym magnesem, niż patrjarchat carogrodzki, uzależniony od Turcji, z którą Rzplita pozostawała w pokoju, a która w gruncie rzeczy tendencyj agresywnych w kierunku polskim nie przejawiała. Przeciwnie Moskwa, ze swym „testamentem Iwana Kalety", sięgająca stale i niedwuznacznie po ziemie ruskie Rzplitej; było rzeczą do przewidzenia, że metropolita moskiewski, podniesiony świeżo do godności patrjarchy „wszystkiej Rusi i wszystkich krajów Północy", nie zaniecha okazji wtrącenia się w sprawy cerkwi w Polsce. Nie miał on wprawdzie po temu tytułu prawnego, któż jednak mógł zaręczyć, czy patrjarchat carogrodzki, wyzbywszy się za pieniądze supremacji kościelnej nad ziemiami moskiewskiemi, nie odprzeda zczasem tejże Moskwie zwierzchnictwa swego nad cerkwią wschodnią w Polsce?

Wszystkie te obawy, płynące z troski o dobro państwa, skłoniły Zamoyskiego do poparcia akcji unijnej, jako jedynego zabezpieczenia Kościoła wschodniego w Polsce od obcej a wrogiej państwu ingerencji. Jak dalece obawy kanclerza były słuszne, okazać miała przyszłość, tymczasem jednak nie były one tylko trafnemi przewidywaniami świetnego polityka, lecz opierały się na istniejących realnych przesłankach. Nie było rzeczą tajną, że kler schizmatycki, a zwłaszcza Ławra Peczerska, utrzymuje stały kontakt z metropolją moskiewską, oglądając się nieraz na jej wskazówki, w myśl których niejednokrotnie sprzyjał wrogom własnego państwa; tak np. w czasie wojen Batorego z Iwanem Groźnym w cerkwiach kijowskich odprawiano nabożeństwa za pomyślność oręża moskiewskiego. Stawało się rze-

czą jasną, iż w odpowiedniej chwili nie omieszka Moskwa użyć swoich wpływów cerkiewnych, by przysporzyć Rzplitej kłopotów w jej wnętrzu. Toteż w umysłach polityków polskich wytworzyła się konieczność rozcięcia węzła, łączącego Kijów z Moskwą, czego dokonać miało dzieło Unji kościelnej.

Tak więc, ani wewnątrz kraju, ani poza granicami nie brakło czynników, których celem było poparcie dyzunji w walce z Kościołem katolickim. Nie będziemy tu omawiali wszelkich prób sparaliżowania samego faktu dokonania związku Kościołów; zamierzeniem naszem jest szkicowe zestawienie dziejów Kościoła dyzunickiego w Polsce, a więc od chwili zawarcia Unji Brzeskiej, gdy część wyznawców Kościoła wschodniego dziełu temu się oparła i postanowiła je zniszczyć. Toteż, zobrazowawszy pokrótce czynniki dyzunickie, które miały rozpocząć walkę z Unją, przechodzimy do właściwego tematu — rozpoczętej walki.

Od chwili zawarcia Unji Brzeskiej w dziejach Kościoła dyzunickiego w Polsce następuje blisko czterdziestoletni okres walki czynnej przeciw Unji, zakończonej częściowem powodzeniem w formie ustępstw, poczynionych przez państwo na rzecz dyzunji w r. 1635. Walkę rozpoczął Ostrogski zapomocą zręcznie zorganizowanej propagandy. Niezależnie od wydania całego szeregu uniwersałów, rozwożonych przez agentów po całej Litwie i Rusi, a piętnujących dzieło Unji, postanowił sędziwy książę przystąpić do zorganizowanej akcji wydawnictw dzieł propagandowo-naukowych w obronie dyzunji. Tak zw. „akademja ostrogska“ stała się teraz twierdzą wypadową dla polemistów dyzunickich, a z oficyn zamkowych, zamienionych na typografję, wychodzą na świat coraz liczniejsze dzieła o charakterze dysput teologicznych, wśród których niejedno posiadało wcale niezłą wartość literacką.

Wobec braku (narazie) literacko przygotowanych szermierzy dyzunickich pierwsze prace polemiczne w obronie cerkwi dyzunickiej wychodziły najczęściej z pod pióra ukrywających się pod wschodniemi pseudonimami różnowierców. Pierwszy wystąpił arjanin, Krzysztof Broniewski jako Christofor Philalet ze swemi broszurami, z pośród których najbardziej cięta „Akropolis“ rozprawiała się ostro z dziełami

prounijnemi Piotra Skargi. Jednocześnie z drukarni ostrogskiej wychodzi w tym czasie cały szereg „dialogów", drukują się uniwersały księcia i listy otwarte patrjarchy carogrodzkiego.

Za przykładem Ostroga poszły inne ośrodki dyzunickie. W Wilnie ukazują się pierwsze pisma polemiczne, niebezpieczne dla Unji, których autorem był diakon Stefan Zyzania. Wszystkich jednak pisarzy dyzunickich prześcignąć miał niebawem młody uczeń akademji ostrogskiej, a następnie wileńskiej, Melecy Smotrzyski, syn Herasyma, rektora akademji w Ostrogu. W r. 1610 wyszła z druku jego pierwsza[1]) i najgłośniejsza praca p. t. „Lament... Wschodniej Cerkwi na syny wyrodne", która nabrała niebywałego rozgłosu. Książka ta, wydana w językach polskim i ruskim pod pseudonimem Theofila Orthologa, dzięki swemu pięknemu stylowi i niewątpliwemu talentowi pisarskiemu autora, zdobyła sobie tak wielkie powodzenie, że unici uczuli się poważnie zagrożeni, toteż sam sędziwy ks. Skarga chwycił jeszcze raz za pióro, by odeprzeć zarzuty przeciwnika. Smotrzyski nie poprzestał na „Lamencie". Wstąpiwszy do klasztoru, kontynuuje działalność polemiczną, wydając nowe broszury, jak „Weryfikacja niewinności", „Obrona weryfikacji" i inne.

Rzecz prosta, że walka przeciw Unji nie toczyła się li tylko przy pomocy pióra. Propaganda ta miała na celu jedynie powstrzymanie dalszej akcji wśród duchowieństwa niższego i szlachty, natomiast nie mogła wystarczyć dla zadania ostatecznego ciosu przeciwnikom. Do celu tego szukać należało sprzymierzeńców, którzyby mogli zawrzeć z dyzunitami aljans, jeżeli nie na gruncie wzajemnej sympatji, to na platformie wspólnej walki z katolicyzmem. Idąc za temi przesłankami, nawiązał Ostrogski ścisły kontakt z dysydentami i zorganizował w r. 1599 wielki zjazd przedstawicieli dysydentów i dyzunitów w Wilnie. Rezultatem zjazdu było wydanie aktu konfederacji, gwarantującej wspólną

[1]) Była to właściwie druga rozprawa, gdyż w r. 1608 wydał on anonimowo „Antigrafe abo odpowiedź na skrypt uszczypliwy przeciwko ludziom starożytney religiey od apostatów Cerkwie wschodniey wydany" (Wilno 1608 r.).

obronę interesów, „gdyby odstępcy (t. j. katolicy) chcieli nam czynić gwałt jaki i pokrzywdzenie, tak w greckiem wyznaniu, jak i ewangelickiem". W razie jakiegokolwiek zagrożenia interesów któregoś z wymienionych wyznań (głosi akt) „jak wszyscy razem, tak każda część z nas, a nawet każda osoba w szczególności, odebrawszy wiadomość o tem, powinna udać się do tego miejsca, gdzie albo gwałt ma dziać się, albo już się dzieje... i nieść pomoc i ratunek". Dla łatwiejszego porozumienia się na przyszłość obie strony wybrały pełnomocników, czyli t. zw. „prowizorów i obrońców"; pełnomocnikami dyzunitów obrano dwadzieścia osób, z przedstawicielami wołyńskich rodów kniaziowskich z pośród Ostrogskich, Wiśniowieckich i Sanguszków na czele. Jednocześnie wyłoniono stałą komisję mieszaną, której zadaniem było zbieranie materjałów dla sądów i sejmów o ciemiężeniu współwyznawców przez Kościół katolicki obu obrządków.

Zawarcie sojuszu z protestantami miało dla dyzunitów duże znaczenie, gdyż mieli oni teraz zapewnioną większość w szeregu sejmików, zwłaszcza na rządzonej przez kalwińskich Radziwiłłów Litwie, a przedewszystkiem w Trybunale Wileńskim, do którego poczęto teraz masowo wnosić różne skargi i protesty przeciw unitom.

Od tej chwili rozpoczynają dyzunici pod wodzą Ostrogskiego stałą walkę z Unją, na każdym sejmie, na każdym niemal sejmiku prowincjonalnym. Na sejmie wytaczano ustawicznie dwa tarany: Unja kościelna została zawarta bez zezwolenia patrjarchy i bez zgody całego duchowieństwa i wszystkich wyznawców, a zatem niema podstaw prawnych. Jednocześnie poczęto sobie wyrzucać wzajemne procesy o różne „nadużycia" istotne i urojone; walka ta poczęła się zczasem zamieniać w ustawiczny stan zapalny, doprowadzający niejednokrotnie do walki czynnej o każdą niemal świątynię, o każdą parafję. Jeżeli dyzunici pomawiali swych przeciwników o zabieranie poszczególnych świątyń wbrew woli miejscowej ludności, to sami w znacznie ostrzejszej nieraz formie dopuszczali się nadużyć. Ostrogski zajął zbrojnie część dóbr unickiego biskupstwa w Łucku, metropolitę Rahozę obrzucono kamieniami w Słucku i Kijowie, Pocieja

raniono i okaleczono w Wilnie. Rejestr wszelkich nadużyć stawał się tak wielki, że nietylko sądy prowincjonalne i trybunały, lecz również i poszczególne sejmy w latach 1600—1605 ustawicznie zaprzątnięte były sporami wyznaniowemi. Sejm w r. 1603 został zakłócony przez dyzunitów, żądających usunięcia biskupów unickich z ich katedr; gdy w r. 1606 Zebrzydowski podniósł rokosz przeciw królowi, Ostrogski na czele szlachty dyzunickiej połączył się z rokoszanami, wysuwając żądanie usunięcia biskupów unickich. Ulegając naciskowi, sejm następny (1607) uchwalił ustawę, iż na przyszłość król obsadzać będzie wschodnie katedry biskupie przez „ludzi szlacheckich narodu ruskiego, *mere* religji greckiej". Niejasność ustawy stała się powodem dalszego pogłębienia rozdźwięku, gdyż obie strony wyraz *mere* interpretowały na swoją korzyść. Odtąd też walka przybierała coraz bardziej na zawziętości, zwłaszcza że tenże sejm zatwierdził prawa staropigjalne bractwom lwowskiemu i wileńskiemu, wyjmując je tem samem z pod jurysdykcji biskupiej. Rezultatem tego było m. i. niedopuszczenie do Wilna biskupa unickiego, zamknięcie przed nim wszystkich świątyń wileńskich i wydalenie unitów z tego miasta. Było to skutkiem akcji miejscowego bractwa.

W roku 1608 umarł przeszło stuletni kniaź Ostrogski. Dyzunja straciła swą największą podporę, lecz walka, przezeń podjęta, znalazła swych kontynuatorów w poszczególnych bractwach i Ławrze Peczerskiej. O dwóch bractwach naczelnych była już mowa powyżej. Teraz zkolei wysuwa się na czoło dyzunitów jedno z najmłodszych bractw, które dzięki swemu położeniu geograficznemu odegrać miało rolę naczelną. Mamy tu na myśli bractwo kijowskie.

Kijów, jak zresztą i cała Ukraina, dzięki swemu oddaleniu i zależności od wojewody, którym był Ostrogski, nigdy nie uległ wpływom Unji. Ławra Peczerska uważana przez wyznawców Kościoła wschodniego za macierz cerkwi ruskiej, stała się przy poparciu tamtejszego bractwa nietylko niedostępną twierdzą dyzunji, lecz niebawem terenem wypadowym czynnej akcji dyzunickiej. Stało się to zwłaszcza od chwili, gdy powstał w Kijowie zamysł wciągnięcia do

walki wyznaniowej nowego czynnika, który stałby się egzekutywą czynną w tej walce.

Częściowe zaspokojenie żądań dyzunickich przez sejm, śmierć Ostrogskiego, triumf oręża polskiego nad Moskwą, pogrążenie tego państwa w okres „smuty", a zatem sparaliżowania na pewien czas jego skrytej akcji dywersyjnej wśród dyzunitów polskich — wszystko to przyczyniło się (na okres około dziesięcioletni) do pewnego odprężenia w sporze wyznaniowym na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej. W latach 1610—1620 nie brak wprawdzie procesów o różne „nadużycia", lecz tracą one niejako na sile; Unja jakby przycicha — zaczyna się wydawać, iż wielki spór wyznaniowy, przesilił się, że wszystko ułoży się powoli na drodze normalnej ewolucji.

Nadzieje te były pozorne. Cerkiew, pozbawiona opieki Ostrogskiego i innych magnatów, którzy zaczynają w tym czasie masowo przechodzić na katolicyzm, pozbawiona została istotnie głównej opory finansowej i militarnej, lecz nie zamierzała kapitulować — szukała natomiast nowego sojusznika, któryby zastąpił utraconą czynną pomoc potentatów ruskich. Wybór jej padł na kozaczyznę.

Zastanawiania się nad genezą i istotą kozaczyzny przekraczają zamierzenia niniejszego artykułu, zaznaczymy jedynie, iż organizacja kozacka, wyrosła na tle wadliwej polityki społeczeństwa polskiego, staje się powoli warstwą aspołeczną, odśrodkową, rozpoczynającą walkę emancypacyjną z państwem o swe prawa klasowe. Organizacja ta, nawskróś wojskowa, obca była wszelkim zainteresowaniom wyznaniowym; cokolwiek się mówi o powstaniu Nalewajki i niszczeniu przezeń majętności Kościoła unickiego, nie była to walka podjęta w obronie wyznania. Kozaczyzna ówczesna składała się z najróżnorodniejszych elementów etnicznych, wyznaniowych, a nawet społecznych, toteż kozak był w tym czasie zarówno *nationis* jak i *religionis nullius*. Ponieważ jednak z biegiem czasu element ruski i (nominalnie przynajmniej) dyzunicki staje się zdecydowaną większością w łonie organizacji kozackiej, Bazyljanie kijowscy za pośrednictwem bractwa postanawiają okoliczność tę wykorzystać i militarną siłę kozacką wprząc do walki z Unją.

Akcję rozpoczęto przez propagandę wśród mas kozackich, postanowiono jednak przedewszystkiem zyskać sobie starszyznę. Ówczesny „hetman" kozacki, Piotr Konaszewicz, zwany Sahajdacznym, szanowany zarówno przez podwładnych, jak i przez rząd polski, zwłaszcza od czasu wojen z Moskwą, był w gruncie rzeczy przywiązany do cerkwi wschodniej, toteż apel kijowski nie zastał go dla kwestji dyzunickiej obojętnym, zwłaszcza że otwierała się przed nim droga niejako protektora cerkwi dyzunickiej w Polsce, czyli rola, którą odgrywał zmarły Konstanty Ostrogski. Konaszewicz, okryty świeżą sławą wojenną po wyprawie na Moskwę, dzierżył w swem ręku całą kozaczyznę toteż koła dyzunickie wytężyły wszystkie siły, by tego człowieka dla siebie pozyskać.

Niebawem nadarzyła się odpowiednia do wyzyskania sytuacja. W r. 1619 rozeszła się wieść, że patrjarcha jerozolimski Teofanes, bawiący jakiś czas w powracającej do normalnych stosunków Moskwie, wraca do siebie, zamierzając drogę powrotną odbyć przez Ukrainę. Okoliczność tę postanowiono w Kijowie wykorzystać; głowa tamtejszych dyzunitów, następca Tura, archimandryta Hjob Borecki za pośrednictwem licznych emisarjuszów przygotował odpowiedni grunt w społeczeństwie ruskiem, a Konaszewicza skłonił do odegrania roli gospodarza wobec patrjarchy. Sahajdaczny wezwanie przyjął; wysłał list do patrjarchy, zapraszając go do Kijowa i ofiarował mu dla bezpieczeństwa i asysty przyboczną gwardję kozacką na cały czas przebywania w Polsce.

W marcu 1620 r. przybył Teofanes do Kijowa, witany przez całą kozaczyznę, kler dyzunicki i Konaszewicza, ofiarowującego patrjarsze wszystkie swe siły dla spraw cerkwi. Patrjarcha, zachęcony przyjęciem, rozesłał uniwersały z wezwaniem do wszystkich bractw na wspólne narady nad losami cerkwi. Niebawem Kijów został zapełniony przybywającymi na zjazd delegatami. Rezultatem długotrwałych jawnych i tajnych obrad było uroczyste zrzucenie z katedr biskupów unickich i wyświęcenie na ich miejsce władyków dyzunickich. Godność metropolity ofiarował patrjarcha archimandrycie Boreckiemu; wśród episkopatu znalazło się

kilka osób wybitniejszych, znanych z ostrych wystąpień przeciw Unji, jak Melecy Smotrzyski (arcybiskupstwo połockie) i Izajasz Kopiński (biskupstwo przemyskie). O dokonaniu konsekracji nowych biskupów rozesłano uniwersały po całej Litwie i Rusi i złożono natychmiast synod dla opracowania dalszego planu postępowania. Postanowiono włożyć na bractwa obowiązek wypędzenia przy pomocy ludności biskupów unickich z zajmowanych przez nich katedr, co do kozaków zaś, to wpisano ich w poczet bractwa kijowskiego, by odtąd zostali ściślej ze sprawami wyznaniowemi związani i bronili dyzunji, jako członkowie organizacji wyznaniowej.

Cała akcja Teofanesa nie była jedynie wynikiem zabiegu kleru kijowskiego, lecz, jak już dzisiaj wiadomo, podyktowana została przez wrogie państwu polskiemu czynniki zewnętrzne. Wizyta patrjarchy jerozolimskiego wypadła na okres naprężenia stosunków polsko-tureckich. Wypady morskie kozaków, wyprawy magnatów kresowych na Wołoszczyznę, wreszcie prohabsburska polityka Zygmunta III, wspierającego cesarza w walce ze sprzymierzeńcem tureckim, księciem siedmiogrodzkim — wszystko to wywoływało zadrażnienie Porty, szykującej się do rozprawy orężnej z Rzplitą. Chcąc na wypadek tej wojny osłabić siły państwa polskiego, powzięto w Stambule zamysł zarówno wciągnięcia do akcji dywersyjnej Moskwy, jak i przyczynienia Polsce kłopotów wewnętrznych. Akcję tę mógłby, dzięki swoim stosunkom, przeprowadzić patrjarchat carogrodzki. Ówczesny patrjarcha, Cyryl Lukaris, niegdyś jawny kalwinista, były rektor akademji ostrogskiej i główny doradca Konstantyna Ostrogskiego, był nietylko wrogiem Kościoła katolickiego, lecz i Polski — toteż już w r. 1618 powstaje w Konstantynopolu wspólny akt działania. Niezależnie od oficjalnego poselstwa wysłanego do Moskwy z prośbą o niezawieranie pokoju z Polską i dalsze prowadzenie wojny, jednocześnie do państwa tego wysłany został patrjarcha jerozolimski Teofanes, oficjalnie mianowany delegatem patrjarchy carogrodzkiego w sprawach cerkwi, w rzeczywistości jako agent polityczny. Niezależnie od tej misji otrzymał Teofanes polecenie udania się na Ruś w celu pogłębienia zatargu wyzna-

niowego; tak więc, cała późniejsza działalność Teofanesa w Kijowie, łącznie z nominacją nowych biskupów dyzunickich, została już uprzednio ułożona w Konstantynopolu i podana w instrukcji wysłannikowi. Nadto należało wciągnąć do akcji dyzunickiej kozaków, by ci, na wypadek wojny polsko-tureckiej, wzniecili powstanie, a przynajmniej nie wzięli udziału w walce z Turkami, o co rządowi sułtańskiemu przedewszystkiem chodziło. Toteż o ile Porta Ottomańska za pośrednictwem akcji dyzunickiej osłabić chciała siły Rzplitej w chwili zbrojnego konfliktu, o tyle znowu patrjarcha Lukaris i sfery kierownicze dyzunji w Polsce uważały wojnę turecką jako okazję do obalenia Unji i restytucji schyzmy. Plan ten w znacznej części się udał. W tym samym czasie, gdy Teofanes bawił w Kijowie, wybuchła wojna polsko-turecka. Konaszewicz, zamiast ciągnąć do obozu Żółkiewskiego, zatrzymał się na Ukrainie; pierwszy okres wojny tureckiej zakończył się klęską cecorską — polityka Konstantynopola odniosła pożądany sukces.

Działalność Teofanesa na Ukrainie dobiegła szybko do Warszawy i obudziła tam zrozumiałe oburzenie. Dokonanie nominacji biskupów, przysługujące jedynie królowi, było jawnem pogwałceniem prawa, ponadto zdawano sobie sprawę, że cała akcja patrjarchy jest wodą na młyn turecki — brak jednak było dostatecznej egzekutywy, by obalić dzieło Teofanesa. Klęska cecorska była zapowiedzią nowej wojny tureckiej na rok przyszły — trzeba więc było postępować oględnie, by nie zrazić sobie kozaków, a przeciwnie, skłonić ich do wspólnej walki. Toteż Zygmunt III ograniczył się jedynie do wydania uniwersałów przeciw samozwańczym biskupom, odkładając całą sprawę do sejmu, który się miał zebrać zimą tegoż roku w celu obmyślenia środków obrony państwa przed nieuniknioną nawałą turecką.

Na sejmie tym szykowała się wielka burza ze strony dyzunitów — jedynie zręczne zepchnięcie kwestji wyznaniowej do następnej sesji i obietnica dana kozakom, iż nie będą doznawali żadnego „ucisku pod względem religijnym", ułagodziły opór kozacki. Konaszewicz, wysunąwszy żądanie nominacji biskupów (wyświęconych przez Teofanesa) na przyszłym sejmie, poszedł z armją kozacką do obozu pol-

skiego, przyczyniając się walnie do zwycięstwa chocimskiego. Z tem większem napięciem uderzyli dyzunici na sejmie następnym (1623 r.). Sytuacja ich była nader korzystna. Szlachta kresowa, która niegdyś przyjęła Unję, przeszła już całkowicie na obrządek łaciński, toteż nietylko w senacie, lecz i w sejmie nie mieli unici swych przedstawicieli, podczas gdy dyzunici mieli w obu izbach nietylko swych współwyznawców i sprzymierzeńców dysydentów, lecz cały szereg katolików, przychylnie dla siebie usposobionych. Rzecz ciekawa, że opinja publiczna, ta najwyższa w Polsce ówczesnej władza, w omawianym przez nas sporze wyznaniowym stanęła całkowicie po stronie dyzunji. Nietylko wśród poszczególnych senatorów, popierających dawniej Unję, lecz nawet w łonie episkopatu łacińskiego wyrobił się pogląd, że Unja więcej przyniosła szkody państwu, niż korzyści Kościołowi, że wywołała rozjątrzenie ludności ruskiej i niepotrzebnie podnieca kozaczyznę przeciw państwu. Nawet sam prymas Gembicki słał do Rzymu raporty, domagając się zniesienia Unji i przejścia dotychczasowych unitów na obrządek łaciński. O unitach wyrobił się pogląd powszechny, iż są oni niepotrzebnymi „turbatorami pokoju".

Stanowisko opinji publicznej i biskupów (którym Rzym zarzucał, iż bardziej są senatorami polskimi niż sługami Kościoła) pozornie było słuszne i dyktowane troską o państwo — jednakże, pomawiając unitów o „turbację pokoju", zdawano się nie dostrzegać, że to nie unici do walki wyznaniowej wprowadzają moment polityczny, że nie oni to znoszą się z państwami ościennemi, że nie oni to wreszcie wciągają do akcji wyznaniowej niebezpieczną dla państwa kozaczyznę, która, jako organizacja militarna, powinna była stać zdala od wszelkich sporów religijnych.

Tego wszystkiego zdawano się nie dostrzegać, toteż sejm z r. 1623 stanął całkowicie po stronie dyzunji. Jedynie zdecydowany opór Zygmunta III przeszkodził faktycznemu zniesieniu Unji i zaakceptowaniu stanu, wytworzonego przez patrjarchę Teofanesa; w rezultacie załatwienie sporu znowu odłożono na później, poprzestając na wyłonieniu komisji mieszanej, której zadaniem było rozpatrywanie obopólnych skarg i zażaleń. Oczywiście komisja z zadania swego

wywiązać się nie mogła, podjęta przez dyzunitów walka pogłębia się coraz bardziej — przenosi się jednak całkowicie na teren.

W kierowniczych kołach dyzunickich zrozumiano wreszcie, że wywalczenie wysuwanych żądań nie może nastąpić na drodze ustawodawczej, dopóki na tronie zasiadać będzie tak gorący zwolennik Unji, jakim był Zygmunt III. Podeszły wiek króla i stan jego zdrowia pozwalały się spodziewać rychłego zgonu monarchy, toteż dyzunici, odkładając formalne załatwienie swych spraw do czasu bezkrólewia, postanowili ograniczyć się do dalszego rozdźwięku wyznaniowego na terenie i szerzenia dalszej propagandy przeciwunijnej.

Brak nadziei na usankcjonowanie (w najbliższej przynajmniej przyszłości) żądań dyzunickich usprawiedliwiony był tembardziej, że niebawem zaszły pewne okoliczności, które znacznie wpłynęły na nastroje opinji publicznej. W listopadzie r. 1623 tłum mieszczan witebskich, podniecony przez agitatorów dyzunickich, zamordował w okrutny sposób arcybiskupa połockiego, Józefa Kuncewicza. Wieść o męczeńskiej śmierci jednego z najwybitniejszych pasterzy Kościoła grecko-katolickiego wywołała powszechne oburzenie; śledztwo, przeprowadzone przez kanclerza Sapiehę i wyrok śmierci na głównych sprawców zbrodni przyjęto bez protestu — rezultatem tego faktu było uspokojenie waśni religijnych na Białej Rusi i powolne zwycięstwo unitów na tym terenie. W r. 1625 wybuchło powstanie kozackie. Jakkolwiek wysunęło ono hasło przedewszystkiem natury socjalno-ekonomicznej, opinja, nie bez pewnych podstaw, dopatrywała się w niem inicjatywy, wychodzącej ze sfer dyzunickich, zarówno polskich, jak i zagranicznych. Powstanie kozackie zostało przez hetmana Koniecpolskiego stłumione, a dotychczasowe przywileje znacznie ukrócone w t. zw. umowie kurukowskiej.

Odwrócenie się od dyzunitów opinji publicznej, tak dotychczas przychylnej, utracenie wpływów na Białej Rusi, niepowodzenia akcji kozackiej — wszystko to wpłynęło na zwężenie zakresu akcji działania, jak również na pewne nawet rozdwojenie poglądu na taktykę postępowania w sferach

kierowniczych cerkwi dyzunickiej. Dotychczasowi nieprzejednani kierownicy dyzunji, Borecki i Smotrzyski, powoli zmieniają swój pogląd: w umysłach ich poczyna kiełkować myśl, że drogą gwałtu i nieustannej walki zwycięstwa się nie odniesie, że raczej należy przejść na drogę lojalnego postępowania i szukać ścieżek kompromisowych z państwem. Na tej drodze rozumowania spotkali się oni z ostrą opozycją zarówno części episkopatu dyzunickiego (Izajasz Kopiński), jak i wojowniczo nastrojonego niższego duchowieństwa, a przedewszystkiem — bractw. Bractwa, zwłaszcza stauropigjalne, stanowiły wciąż element najbardziej nieprzejednany, a wydzielenie ich z pod jurysdykcji biskupiej dawało się poważnie we znaki eparchom dyzunickim. Chcąc znieść to rozdwojenie władzy, Borecki wysłał Smotrzyskiego do Konstantynopola z żądaniem, by patrjarcha zniósł przywileje bractw i poddał je pod władzę metropolity. Zadośćuczynienie temu żądaniu wywołało burzę wewnętrzną, która się skierowała przeciw Boreckiemu, a głównie Smotrzyskiemu. Tak więc, w r. 1626 do sporu unicko-dyzunickiego przybył nowy spór w łonie samej cerkwi dyzunickiej w Polsce.

Wśród tej waśni wewnętrznej w łonie większości episkopatu dyzunickiego następuje załamanie się i zniechęcenie do dalszej walki z Unją. Niektórzy z biskupów składają swe godności, lub przenoszą się do W. Ks. Moskiewskiego (biskup włodzimierski Kurcewicz); metropolita Borecki, który się tak znacznie przyczynił do rozłamu kościelnego, chyli się coraz bardziej ku kompromisowi, sekundowany przez nowego archimandrytę Ławry Peczerskiej, wybijającego się na czoło Piotra Mohyłę. Największa jednak metamorfoza zaszła w najzdolniejszym bezwątpienia obrońcy dyzunji, Melecym Smotrzyskim. Ze swej podróży na Wschód, do Konstantynopola i Jerozolimy, wrócił Smotrzyski głęboko rozczarowany; w ogniskach dyzunji, do której się udał dla zaczerpnięcia nowych sił moralnych do dalszej walki, zamiast duchowego oparcia, znalazł, jak się sam wyraził, demoralizację i przekupstwo, w naukach patrjarchów dopatrzył się wybitnych wpływów kalwinizmu, będących z punktu widzenia cerkwi wschodniej herezją. Toteż wrócił Smotrzyski do kraju głęboko rozczarowany; zamiast myśli o dalszej walce

z dyzunją, powstaje w rozumowaniu jego koncepcja biegunowo przeciwna: „pojednanie Rosji z Rusią", to jest projekt szukania kontaktu z unitami, zwołania wspólnego synodu dla rozstrzygnięcia różnic dogmatycznych i połączenia obu części polskiego Kościoła wschodniego na zasadzie wzajemnego porozumienia. W krótkim czasie nawiązuje Smotrzyski kontakt z unickim metropolitą Rutskim, porzuca schizmę, przyjmuje (narazie tajnie) unję i staje się pośrednikiem pomiędzy dwoma obozami. Dla akcji pojednawczej zostali niebawem pozyskani Borecki i Mohyła, i oto jesienią r. 1628 zwołuje Borecki sobór dyzunicki w Kijowie, który miał rozpatrzyć różnice dogmatyczne, dzielące unitów od dyzunitów i przygotować dzieło pojednania. Na sobór ten Smotrzyski opracował specjalne dzieło, które miało być rozdane pomiędzy obradujących, jednakże Borecki i Mohyła uznali rozprawę kolegi za zbyt daleko idącą i powstrzymali się od jej opublikowania. Wówczas Smotrzyski wydał pracę swą na własną rękę w języku polskim p. t. *Apologja peregrynacjej do krajów wschodnich*". „Apologja" była silnem uderzeniem zarówno przeciw dotychczasowemu kościołowi dyzunickiemu w Polsce, któremu autor zarzucał popadnięcie w błędy heretyckie, jak również i przeciw patrjarchatowi carogrodzkiemu, kultywującemu naukę kalwińską i ulegającemu przekupstwu. „Apologja" zawierała wiele ciekawych rzeczy, odsłaniała wiele rzeczy nieznanych, piętnowała istotne błędy, niemniej jednak z punktu widzenia taktycznego była posunięciem niezręcznem. Smotrzyski zbyt wcześnie i zbyt mocno rzucił swe enuncjacje na nieprzygotowany jeszcze grunt, co więcej, argumentacja, oparta na dogmatyce katolickiej, łatwo dawała pojąć, że autor „Apologji" stoi już w gruncie rzeczy na platformie katolickiej. Toteż, zamiast spodziewanej korzyści dla pojednania wyznań, rozprawa Smotrzyskiego odniosła skutek wręcz odwrotny.

Pojawienie się „Apologji" wywołało niebywałą burzę wśród zebranego duchowieństwa. Sobór, zamiast debat nad pogodzeniem się z unitami, jak to było w programie projektodawców, zamienił się w generalny sąd nad „Apologją". Cenzorzy duchowni, protopopi Zyzania i Mużyłowski, znaleźli w książce Smotrzyskiego przeszło sto zdań niezgodnych

z nauką cerkwi greckiej; delegacja kozacka, obecna na soborze, domagała się śmierci dla autora publikacji; Borecki i Mohyła, w obawie przed większością, narówni z innymi potępili „Apologję". Smotrzyski żądał, by mu pozwolono usprawiedliwić się publicznie, lecz nie dopuszczono go na posiedzenie, niemal siłą zmuszono go do wyrzeczenia się „Apologji" i dania obietnicy, że nigdy nie wystąpi przeciw cerkwi. „Apologję" publicznie spalono w cerkwi, na wydawcę rzucono klątwę; w takim nastroju nie mogło być mowy o jakiejkolwiek pracy kompromisowej. Smotrzyski wyjechał z Kijowa do Dermania, gdzie stale przebywał, i wystąpił z całym szeregiem pism polemicznych — już jako jawny unita; działalność jego na terenie dyzunji została skończona.

Jednakże akcja pojednawcza, zainicjowana przez Smotrzyskiego, nie upadła odrazu po usunięciu się jej głównego propagatora. Tendencje ugodowe kiełkowały nietylko w umyśle chwiejnego Boreckiego, lecz miały (nielicznych wprawdzie) zwolenników wśród dyzunickiej szlachty ruskiej. Na sejmie zimowym 1629 posłowie-dyzunici Drewiński i Koprzywnicki, nie bez wiedzy zapewne Boreckiego, opracowali projekt konstytucji sejmowej, któraby wyznaczyła wspólny synod unitów i dyzunitów dla załatwienia sporów wyznaniowych. Konstytucja ta nie weszła pod obrady sejmu, jednakże ci sami posłowie skłonili króla do wydania podobnego uniwersału. Zygmunt III chętnie zgodził się i wydał odnośny uniwersał, zarządzający wspólny synod schyzmatyków i unitów w październiku tegoż roku we Lwowie; obie strony miały poprzednio odbyć synody partykularne w lipcu — unici we Włodzimierzu, dyzunici w Kijowie. Borecki zarządzenie królewskie przyjął przychylnie i wydał odezwę do współwyznawców, by się stawili licznie na synod kijowski.

Tymczasem opozycja, kierowana przez Kopińskiego, wznieciła ostrą propagandę przeciwsynodalną zarówno wśród dyzunickiej szlachty, jak i kozaków. Zjazd kijowski zapowiadał się burzliwie. Zebrana w Kijowie szlachta ukrainna wystąpiła ostro przeciw Boreckiemu i projektodawcom porozumienia, iż „chcą zgubić cerkiew grecką"; założono protest do grodu z zaznaczeniem, iż nikt nie miał prawa bez zgody sejmu prosić króla o wydanie podobnego uniwersału.

Uprawomocniwszy swój protest, rozjechała się szlachta ostentacyjnie do domu; przybyła na synod (niezaproszona) delegacja kozacka wszczęła wielkie zamieszanie, naubliżała Mohyle, Boreckiemu pogroziła śmiercią i wreszcie doprowadziła do zerwania synodu. Rzecz prosta, że spodziewany wspólny synod we Lwowie do skutku nie doszedł.

Rozpoczęła się teraz niebywała agitacja na Ukrainie. Nieznani emisarjusze poczęli rozpuszczać wieści nieprawdopodobne. Ponieważ właśnie ukończyła się wojna ze Szwecją i wojsko koronne zostało rozlokowane na leże zimowe na kresach wschodnich, rozpuszczono wersję, że unici przekupili hetmana Koniecpolskiego, by „wyścinał" wszystkich kozaków i dyzunitów, aby móc „w całej Polsce i Litwie jedną wiarę rzymską zaprowadzić". Wersje te, nie bez celu łączące sprawę dyzunji z kozakami, jeśli nie wpłynęły, to w każdym bądź razie usankcjonowały pozornie nowe powstanie kozackie, które wybuchło na wiosnę r. 1630. W kozaczyźnie istniały zatargi wewnętrzne między częścią rejestrowanych, lojalnie usposobionych względem państwa, a opozycją, pragnącą zrzucić zbyt ugodowych zwierzchników i zmusić państwo do zniesienia krępującej kozaczyznę t. zw. ugody kurukowskiej z 1625 r. Zaczęło się od tego, że część zbuntowanych kozaków pod wodzą samozwańczego hetmana Tarasa wymordowała oficjalną starszyznę; być może, że skończyłoby się tym razem na tym incydencie, gdyby nie agitacja dyzunicka. Niższy kler począł się teraz znosić z Tarasem, by podjąć generalną walką o przywrócenie przywilejów kozackich i „uspokojenie religji greckiej". Propozycja ta była dla kozaków nęcąca; wypowiadając rządowi walkę pod hasłem „obrony wiary", ubezpieczali się oni wobec opinji publicznej przed zarzutem zwykłej „swawoli kozackiej", stając się niejako oficjalnie bojownikami wyższych ideałów. Taras rozesłał uniwersały po całej Ukrainie i Rusi, że walczy w obronie zagrożonej cerkwi, że zatem, kto chce jej bronić, niech przybywa do obozu. Ogłosiwszy jawne powstanie, uderzyli kozacy na garnizon polski w Korsuniu i rozpoczęli walkę. Tak więc, tym razem zwykła ruchawka kozacka przyjęła pozornie formę wojny wyznaniowej.

Powstanie to z wielkim trudem udało się wreszcie stłumić, dało ono jednak rządowi wiele do myślenia. Sfery rządzące pod wpływem Koniecpolskiego dochodzą do wniosku, że waśń wyznaniowa, jeżeli nie jest jedną z przyczyn wybuchów kozackich, to w każdym razie wybuchom tym dostarcza dogodnego pretekstu i przyczynia się w znacznym stopniu do spopularyzowania ich wśród mas. Powstaje pogłębiające się coraz bardziej przekonanie, że należy przedsięwziąć jakieś kroki, któreby wytrąciły z rąk kozackich hasła wyznaniowe; tak rozumował przedewszystkiem hetman Koniecpolski, który stłumiwszy powstanie kozaków, zawarł z nimi nową t. zw. perejasławską umowę (8. VI. 1630), która przemilcza całkowicie kwestję wyznaniową, wysuwaną przez kozaków w ich hasłach powstańczych. Za zdaniem hetmana dochodzi senat do wniosku, że najlepszem lekarstwem przeciw samowoli kozackiej będzie „uspokoić religję grecką, bo pod pretekstem religji wszystka czerń do nich (kozaków) idzie".

Jak można było „uspokoić religję grecką"? Widzieliśmy, że wszelkie próby kompromisu rozbiły się o zdecydowany opór opozycji niższego duchowieństwa i tychże kozaków, dla których pojednanie się dyzunitów z unitami nie było wcale pożądane. Normalnie rzecz biorąc, miało państwo wszelkie prawo do wydania w ręce sprawiedliwości całej hierarchji dyzunickiej, jako samozwańczej, i tem samem ucięcia głowy dyzunji — na to jednak potrzebna była egzekutywa, której brakło. Znieść całkowicie dyzunję — znaczyło narazić się na nowy konflikt zbrojny z kozaczyzną, którego nikt nie mógł pragnąć; na zniszczenie kozaczyzny było już zapóźno — przeciwnie, wobec niechybnej wojny moskiewskiej kozacy byli potrzebni, należało raczej szukać dróg, któreby związały kozaczyznę organicznie z państwem, by stała się ona elementem twórczym i dla państwa korzystnym. Z powyższych względów postanowiono kozaków nie drażnić sprawą wyznaniową, a raczej przez załagodzenie sprawy wyznaniowej, czyli, jak wówczas mówiono, przez „uspokojenie religji greckiej", wytrącić kozakom atut z ręki. Przez owo „uspokojenie religji greckiej" rozumiano zaprzestanie ignorowania cerkwi dyzunickiej i częściowe usankcjonowa-

nie stanu, wytworzonego w r. 1620 przez Teofanesa, a zatem uznanie oficjalne dyzunji w Polsce i dokonanie podziału terytorjalnego diecezji między dwa wyznania wschodniego obrządku. Załatwienie tej sprawy w powyższym duchu znajdować poczęło w Warszawie coraz więcej zwolenników, w miarę zbliżania się nieuniknionej wojny z Moskwą, zwłaszcza gdy po śmierci Boreckiego obrano w Kijowie, wbrew pojednawczo usposobionemu Mohyle, nowego metropolitę dyzunickiego w osobie Izajasza Kopińskiego, nieugiętego konserwatysty, związanego blisko z kozaczyzną i utrzymującego stały kontakt z Moskwą za pośrednictwem oddanych sobie monasterów zadnieprzańskich, które niedwuznacznie prowadziły wywiad polityczny na rzecz wschodniego sąsiada. W kołach rządzących zdecydowano, że lepiej będzie uznać oficjalnie istnienie cerkwi dyzunickiej i mianować nowych biskupów, lojalnie dla państwa usposobionych, niż tolerować dotychczasowy stan rzeczy i patrzeć bezsilnie na wrogą agitację nieuznanych *de jure*, lecz działających *de facto* władyków w rodzaju Kopińskiego.

Sprawa ta miała dojrzeć w bardzo niedługim czasie. Dnia 30 kwietnia 1632 umarł Zygmunt III, protektor Unji kościelnej. W tym samym czasie car moskiewski wypowiedział Polsce wojnę. W kraju nastał kilkumiesięczny zamęt, towarzyszący zwykle okresom bezkrólewia. Kwestja wyznania dyzunickiego, poparta przez dysydentów, wypłynęła już na konwokacji; metropolita Rutski bronił wytrwale praw Unji, widząc jednak, że opinja zebranych skłania się ku ustępstwom na rzecz dyzunji, oświadczył, iż zgadza się, by hierarchja dyzunicka sprawowała swą zwierzchność kościelną na terenie województw kijowskiego, bracławskiego i podolskiego oraz Ziemi lwowskiej. Mimo że posłowie dyzuniccy uważali ustępstwo to za niewystarczające, domagając się przedewszystkiem diecezji przemyskiej, komisja sejmowa nie poszła na dalsze ustępstwa, polecając im, by do czasu sejmu elekcyjnego rozpatrzyli propozycję metropolity Rutskiego.

Sejmiki dyzunickie, pod wpływem agitacji kleru, odrzuciły ustępstwa Rutskiego, jako niewystarczające, w odpowiedzi na co metropolita oficjalnie wycofał swą propozycję, co zkolei wywołało jeszcze większe zaognienie sprawy. Stron-

nictwo Kopińskiego udało się, jak zwykle, o pomoc do kozaków. Kopiński niemal jawnie nakłaniał kozaków do przejścia na stronę moskiewską, lub przynajmniej niewzięcia udziału w wojnie z ich współwyznawcami; agenci kijowscy namawiali jednocześnie kozaków, by siłą wyrugowali biskupów unickich z ich katedr i wprowadzili do nich eparchów dyzunickich. Ówczesny „starszy" kozaków, Kułaha-Petrażycki, noszący się z daleko szerszemi planami równouprawnienia kozaczyzny z ogółem szlacheckim, uchylił się zręcznie od tych propozycyj, jednakże uczynił demonstrację zbrojną na Wołyniu, domagając się urzeczywistnienia żądań kozackich, wśród których jedno z czołowych miejsc zajmowała kwestja „uspokojenia religji greckiej".

Sejm elekcyjny, za zgodą obydwóch stron, oddał cały spór wyznaniowy do rozstrzygnięcia królewiczowi Władysławowi, jako przyszłemu monarsze, którego wybór nie ulegał już kwestji. Królewicz znany był ze swej tolerancji religijnej, taktu i osobistego czaru, wywieranego na ludzi, toteż obie strony zgodziły się na jego pośrednictwo, wiedząc zresztą o tem, że jako król będzie miał w kwestjach wyznaniowych zdanie rozstrzygające. Strona dyzunicka pokładała we Władysławie nadzieje nietylko przez wzgląd na jego tolerancyjne stanowisko, ale również z tego powodu, iż zdawała sobie sprawę z sytuacji. Przyszły król nosił się z wielkiemi zamiarami politycznemi, chciał odzyskać koronę szwedzką i moskiewską, toteż nie mógł zrażać sobie ani dysydentów, ani dyzunitów. Królewicz uchodził zdawna za przychylnie usposobionego względem kozaków, których teraz potrzebował w wojnie z Moskwą, toteż słusznie sądzono, że pójdzie na ustępstwa w sprawie dyzunji, by zjednać sobie zarówno kozaczyznę, jak i sfery dyzunickie, wśród których znaczny odłam sprzyjał w konflikcie polsko-moskiewskim państwu ościennemu.

Po długich debatach komisja wyznaniowa, mimo rozpaczliwej obrony Rutskiego, opracowała tekst t. zw. „punktów zaspokojenia obywateli religji greckiej". Tekst ten dn. 1 listopada (1632) został przez królewicza zaakceptowany z niewielkiemi zmianami. Treść powyższej uchwały sprowadzała się do następujących postanowień:

Dyzunici otrzymują prawo publicznego wyznawania swej wiary na terenie całej Rzplitej, mogą budować cerkwie, szkoły, seminarja, drukarnie i t. p., mają prawo piastować urzędy grodzkie.

Metropolita kijowski (dyzunicki) będzie obierany przez ogół szlachty dyzunickiej; wybór jego podlega zatwierdzeniu przez króla. Wszystkie cerkwie kijowskie przechodzą na rzecz dyzunitów, z wyjątkiem monasteru Wydubieckiego.

Diecezje przemyska i łucka przechodzą we władanie dyzunitów; biskupi będą niebawem obrani przez ludność (szlachtę) i zatwierdzeni przez króla na sejmie koronacyjnym. Biskupstwo lwowskie pozostaje nadal w rękach dyzunitów.

Na Białej Rusi, niezależnie od dawnego episkopatu połockiego (unickiego), tworzy się specjalny episkopat mścisławsko-orszańsko-mohylowski z rezydencją w Mohylowie, jednakże wszystkie majątki kościelne pozostają w rękach unitów.

Pozostawia się swobodę przechodzenia z dyzunji na unję i odwrotnie.

Na sejmie koronacyjnym wyłoniona zostanie komisja, złożona z katolików i dyzunitów, która dokona definitywnego rozdziału spornych cerkwi i monasterów.

Takie były główne postanowienia uchwały komisji sejmowej. Dyzunici nie dopięli wprawdzie swego pierwotnego celu — zniszczenia Unji — odnieśli jednak, dzięki sprzyjającym im okolicznościom, poważny sukces, zyskując oficjalne uznanie swego obrządku. Unja, niepoparta przez społeczeństwo w chwili jej powstania, ponosiła teraz poważną porażkę, tracąc połowę diecezyj na rzecz przeciwników; szczególnie dotkliwa była utrata części ziem białoruskich, gdzie od czasu śmierci Józefa Kuncewicza cała prawie ludność przyjęła Unję, jak również konieczność wyrzeczenia się diecezji przemyskiej, wrzynającej się klinem w obszar katolicki.

Perswazje nuncjusza odniosły jedynie ten skutek, że uchwała komisji nie została narazie aprobowana przez sejm w formie ustawy, lecz wpisana tylko w *pacta conventa*, a zatem obowiązywała jedynie króla, a nie Rzplitą. Ten atut starała się wygrać strona katolicka. Część senatorów i posłów (łacinników) wniosła do grodu deklarację, iż nie zgo-

dzi się na nadanie powyższej uchwale formy ustawy, o ile nie otrzyma ona akceptacji ze strony papieża. Podobny protest wniósł ze swej strony metropolita Rutski, posyłając jednocześnie jednego ze swoich biskupów (Korsaka) do Rzymu z prośbą o pomoc.

Tymczasem szlachta dyzunicka, zgromadzona na sejmie elekcyjnym, postanowiła kuć żelazo póki gorące i przystąpić natychmiast do obioru metropolity i władyków, zanim nadejdzie odpowiedź papieża. Sprawa była dosyć drażliwa. Wiadomo, że istniała już niezalegalizowana przez państwo hierarchja dyzunicka, więc normalną byłoby rzeczą przedstawić ją królowi do zatwierdzenia, jednakże tego nie uczyniono, gdyż część biskupów była wyraźnie skompromitowana wobec państwa przez swe konszachty z Moskwą, a wśród nich przedewszystkiem Kopiński i pseudo-biskup łucki Boryskowicz, który z ramienia swego szefa jeździł w poselstwie do cara. Ponowny wybór tych samych władyków mógłby się spotkać z odmową króla i popsuć świeże zdobycze dyzunji, więc też wysunięto jako kandydata na metropolję kijowską Piotra Mohyłę, który mógł być zatwierdzony przez króla, zarówno dzięki węzłom pokrewieństwa, łączącym dotychczasowego archimandrytę z rodami magnackiemi (Wiśniowieccy, Potoccy), jak i opinji człowieka kompromisowo usposobionego, którą się cieszył w oczach ogółu. Zdawano sobie jednak sprawę, że ta „kompromisowość" Mohyły wytworzyła mu wielu wrogów, przedewszystkiem wśród kozaków i w konserwatywnych kołach kijowskich, zgrupowanych dokoła Kopińskiego — toteż zdecydowano się nie dokonywać elekcji w Kijowie, lecz w Warszawie, i to natychmiast. Tak więc, już w czasie sejmu elekcyjnego obrano Mohyłę na metropolję kijowską, Bobrykowicza — na mścisławską, Puzynę — na łucką; obiór władyki przemyskiego odłożono na później. Wszystkie te kandydatury zostały przez króla Władysława zatwierdzone.

Pośpiech dyzunitów był uzasadniony, gdyż sejm koronacyjny nie chciał się absolutnie zgodzić na zatwierdzenie ustępstw dla dyzunitów bez uprzedniej zgody papieża. Posłowie dyzuniccy pod przewodnictwem Kropiewnickiego i Kisiela wystąpili z ostrą opozycją, oświadczając, iż nie ze-

zwolą na kredyty państwowe na wojnę moskiewską, jeżeli sejm uprzedniej uchwały nie zatwierdzi. Wobec zdecydowanej postawy obu stron, król załatwił sprawę kompromisowo: zamiast ustawy wydał dyzunitom tymczasowy dyplom, w którym potwierdził swe dawniejsze ustępstwa i polecił pełnić jurysdykcję kościelną nominowanym przez siebie władykom dyzunickim do czasu przyszłego sejmu walnego, na którym zobowiązał się król przeprowadzić odnośną ustawę (o zgodzie papieskiej nie było w dyplomie mowy). Niezależnie od dyplomu wydał król dyzunitom cały szereg przywilejów na objęcie różnych cerkwi w obrębie eparchij unickich.

Poprzestając narazie na dyplomie królewskim, postanowili go dyzunici wprowadzić w życie; nie obyło się to bez wielu zatargów i zgrzytów, tym razem wewnętrznych. Pierwszy spór powstał o eparchję przemyską. Szlachta tamtejsza obrała biskupem Popiela, którego wybór król zatwierdził, a przeciw któremu Mohyła wysuwał różne zarzuty (dwużeństwo), przedstawiając swojego kontrkandydata Hulewicza. Po szeregu zatargów Popiel ustąpił przeciwnikowi za cenę 3000 zł. swego niepewnego stanowiska, które *de facto* sprawował nadal unicki biskup Krupecki. Położenie samego Mohyły było dość trudne, gdyż mimo nominacji królewskiej i inwestytury, jaką mu nadesłał patrjarcha carogrodzki, nie zdołał przejednać nieugiętego Kopińskiego, który mu nie chciał ustąpić godności metropolitalnej. Toteż, obawiając się zwolenników Izajasza, odbył Mohyła swój uroczysty ingres nie w Kijowie, lecz we Lwowie; gdy próby pertraktacyj z Kopińskim nie odniosły skutku, postanowił Mohyła zgnębić przeciwnika jego własną bronią, chcąc okazać, iż jest jeszcze bardziej gorliwym i nieprzejednanym dyzunitą. Oto nasłani do Kijowa ludzie Mohyły, częściowo podstępem, częściowo zbrojnie zdobyli klasztor św. Zofji i kilka innych monasterów, pozostających dotychczas w rękach unitów. Był to krok samowolny, na jaki nie pozwolił sobie ani Borecki, ani Kopiński, ani nawet kozacy, lecz wobec trwającej wojny nowy metropolita był pewien bezkarności; ten czyn obliczony był na wrażenie, jakie uczyni wśród gorliwego w dyzunji mieszczaństwa kijowskiego (i kozaków), które go niedawno pomawiało o oportunizm i ugodowość. Obliczenie

to było słuszne — opinja kijowska przechyliła się na stronę Mohyły, który teraz mógł już odbyć uroczysty zjazd do stolicy Rusi. Chcąc ostatecznie zgnębić Kopińskiego, kazał go Mohyła porwać swym sługom, zamknął w Ławrze Peczerskiej i trzymał tak długo, dopóki stary i schorowany władyka nie zrzekł się na piśmie swej godności metropolity. W taki sposób ustanowiono oficjalną metropolję dyzunicką w Kijowie.

Sejm walny z r. 1635 załatwił definitywnie sprawę dyzunicką. Kongregacja kardynałów po kilku debatach postanowiła sprzeciwić się jakimkolwik ustępstwom kosztem Kościoła unickiego, jednakże Władysławowi IV udało się wyjednać u papieża, by nie opublikował swego protestu i nie utrudnił tem sytuacji królewskiej wobec spodziewanej wojny ze Szwecją. Milczenie Urbana VIII stronnictwo królewskie wytłumaczyło sejmowi jako zgodę; toteż opozycja katolicka nie była tym razem silna. W rezultacie sejm zaakceptował w formie ustawy decyzję królewską z czasów elekcji, a jednocześnie Władysław IV wydał nowe przywileje dla obu Kościołów wschodnich, różniące się w szczegółach od poprzedniego dyplomu; różnice te wypadły na niekorzyść dyzunitów, co się tłumaczy zarówno interwencją kół katolickich, jak i tem, że po zwycięstwie, odniesionem nad Moskwą i wyrzeczeniem się polityki dynastycznej na jej terenie, król nie był już w tak znacznym stopniu uzależniony od kozaków.

Nowe dyplomy królewskie, zatwierdzone przez sejm, w głównych zarysach są powtórzeniem dawniejszych postanowień: dyzunici otrzymywali metropolję kijowską, diecezję łucką, lwowską, przemyską, i mścisławską, unici — połocką, włodzimierską, pińską, chełmską i nowoutworzoną smoleńską. Były jednak pewne zastrzeżenia, z których najważniejsze były treści następującej: 1) dyzunici nigdy nie będą mieli swych cerkwi w Witebsku, Połocku i Nowogródku, 2) biskup unicki w Łucku (Poczapowski) będzie sprawował swe funkcje dożywotnio, a dopiero po jego śmierci diecezja przejdzie w ręce dyzunitów, 3) identyczne postanowienie zapadło co do biskupa unickiego w Przemyślu (Krupeckiego), 4) dyzunici odstąpią unitom klasztor w Grodnie wzamian

za klasztor Wydubiecki w Kijowie, tak, że odtąd w stolicy Rusi nie będzie ani jednej placówki unickiej, 5) w dyzunickich szkołach kijowskich i wileńskich nie będzie wyższych klas filozofji i teologji. Jednocześnie król powołał do życia dwie mieszane pod względem wyznaniowym komisje (dla Korony i Litwy), które od dn. 1 czerwca miały przystąpić do podziału cerkwi na podstawie stanu faktycznego, t. j. według wyznania parafjan.

Działalność komisji rozdzielczej — to jedno wielkie pasmo protestów, zwad, a nawet wystąpień czynnych. Badając protokóły komisji, odnosi się wrażenie, że komisarze naogół rozstrzygali kwestje dość objektywnie, mimo to jednak obie strony były niezadowolone, pomawiając ich często nietylko o stronniczość, lecz nawet o przekupstwo.

Zarówno unici, jak i dyzunici stawiali wielki opór, jeżeli komisja poleciła im odstąpić kościół (lub klasztor) stronie przeciwnej. Tak np. w Wilnie komisja przysądziła dyzunitom trzy cerkwie, jednakże metropolita Rutski, ubrany w pontyfikalne szaty, wraz z całem duchowieństwem stawił opór, wskutek czego cerkwie te przyznano unitom, a dyzunitom pozwolono wybudować nową świątynię. Podobny opór spotkała komisja w Nowogródku, Słonimie, Grodnie, Drohiczynie i Bielsku, a nadewszystko w Chełmie. Dyzunici ze swej strony też stawiali opór, jak w Krasnymstawie, Hrubieszowie. Do specjalnie ostrych zatargów doszło w diecezji przemyskiej, gdzie władyka dyzunicki, Hulewicz, urządził zbrojny najazd na monastery, których mu biskup unicki nie chciał ustąpić. Najazd ten, urządzony na czele kilku tysięcy ludzi, (sam Hulewicz wziął w nim udział), zakończony znieważeniem i uwięzieniem biskupa unickiego, Krupeckiego, nabrał rozgłosu w całym kraju. Król zasądził Hulewicza na infamję, którą zresztą niebawem zniósł, zamieniając na inny, stokroć niekorzystniejszy dla dyzunji wyrok, a mianowicie orzekając, iż po śmierci Hulewicza diecezja dyzunicka w Przemyślu zostanie zlikwidowana i przejdzie w ręce unickie.

Podobnych, na mniejszą zakrojoną skalę, incydentów było wiele, powoli jednak wszystko się przystosowywało do nowych warunków. Wytworzona przez postanowienie królewskie szachownica wyznaniowa (parafje dyzunickie w ło-

nie diecezyj unickich i *vice versa*) nie sprzyjały, rzecz prosta, pokojowi, toteż walki wyznaniowe we wschodnich połaciach Rzplitej trwać będą i nadal, tempo ich jednak będzie odtąd coraz powolniejsze, znaczenie coraz mniejsze. Cerkiew dyzunicka, odniósłszy w r. 1635 częściowy triumf nad Unją, przejdzie teraz do pracy bardziej pozytywnej w nowowytworzonych warunkach, by po świetnym okresie, t. zw. mohylańskim, ulec stopniowemu upadkowi i wznieść się znowu w ostatnich latach istnienia Rzeczypospolitej, ale już nie drogą ewolucji organicznej, lecz skutkiem działania mechanicznego z zewnątrz, ze strony wrogów państwa polskiego i cywilizacji łacińskiej.

Władysław Tomkiewicz.

Ku irlandzkiej republice.

Słusznie powiedziano o Anglji, że jest murem, który zasłania Irlandji słońce. Mur ten jednak zasłania także prawdziwe oblicze Irlandji przed Europą i jest powodem mglistych i błędnych wyobrażeń o Zielonej Wyspie. Wystarczy zaznaczyć, że wiadomości o Irlandji czerpie się przeważnie ze źródeł angielskich, gdy tymczasem nawet najpoważniejsze pisma angielskie przepuszczają sprawy irlandzkie przez filtr swych narodowych i tradycyjnych uprzedzeń. Niema też nic w tem dziwnego. Mała i zrujnowana Irlandja jest bolesnym wrzodem na ciele „świetnego Imperjum" i świadczy o bankructwie polityki angielskiej względem niej po siedmiu przeszło wiekach. Lecz nie tutaj kończy się polityczna rola Irlandji. Irlandja, wyłamująca się z pod przewagi angielskiej stanowi przednią straż rozkładowych sił, nurtujących w wielkiem imperjum, a działających między innemi w postaci separatyzmu południowo - afrykańskiego i hinduskiego. [1])

Żeby zrozumieć pozorny chaos współczesnego życia irlandzkiego i nurtujących w niem krańcowo sprzecznych ruchów — umysłowych, społecznych i politycznych — trzeba rzucić okiem na krwawe dwudziestolecie Zielonej Wyspy.

Tuż przed wybuchem wojny światowej Irlandzka Partja Parlamentarna zdołała za poparciem liberałów angielskich uzyskać autonomję *(Home Rule)*. Jednak już w czasie walki

[1]) Wybitni przywódcy indyjskiego Kongresu, bawiąc w Europie, raz po raz znoszą się z de Valerą na poufnych konferencjach, a republikanie południowo-afrykańscy przesłali de Valerze telegram gratulacyjny w czasie wszczęcia zatargu z Anglją.

o *Home Rule* torysi wszczęli propagandę w północnej, przeważnie protestanckiej części Irlandji, Ulsterze, w obronie unji z Anglją. Protestanci irlandzcy (Ulster) początkowo obojętni, stanęli powoli zwartą masą przeciwko katolickiej i nacjonalistycznej Irlandji, a za pieniądze bogatych torysów angielskich wnet się potworzyły silne bojówki ochotników, gotowych nawet z bronią w ręku bronić unji z Anglją, przeciw autonomistycznym dążeniom „południowej" Irlandji.

Rząd angielski zajął postawę wyczekującą, uważając nastrój w Ulsterze za przejściowy. Irlandja pragnęła zresztą skromnej tylko autonomji, nie posiadając narazie szerszych zamysłów, albowiem separatyzm i nacjonalizm gaelicki tlił jedynie wśród nieznacznej garstki inteligencji. Tymczasem ulsterskie pogróżki i przygotowywania umieli wyzyskać ekstremiści irlandzcy, tworząc również oddziały swoich „ochotników". Rząd, który nie robił trudności wojskowym organizacjom Ulsterjan, nie mógł oczywiście przeszkadzać podobnym związkom i w innych częściach Irlandji, by się nie narazić na zarzut jawnej stronniczości.

W międzyczasie wybuchła wojna światowa. Irlandzka Partja Parlamentarna oddała całą Irlandję do dyspozycji rządowi angielskiemu. Miał to być akt wdzięczności za *Home Rule*. Ożywiona kampanja rekrutacyjna zjednała dla brytyjskiego sztandaru 200.000 irlandzkich ochotników, a liczba ta była niezwykle wysoką, jeśli się uwzględni fakt, iż cały kraj posiada zaledwie około 4 miljonów mieszkańców. Rząd angielski ogłosił 18 września 1914 r. ustawę o *Home Rule'u*, ale jej wykonanie odkładał aż do końca wojny, przyznając równocześnie protestanckiemu Ulsterowi prawo rozstrzygnięcia o swoim losie.

Polityka *wait and see*, polegająca na kokietowaniu Ulsteru i odkładaniu wykonania poczynionych Irlandji obietnic, podkopywała powoli lecz stale lojalność Irlandczyków. Rozgoryczeni zawodem poczęli przeglądać karty siedmiusetletniej walki narodu z najazdem angielskich intruzów i spostrzegli, iż „perfidny Albjon" popełnił nowe oszustwo. Wobec tych nastrojów Irlandzka Partja Parlamentarna, lojalna dla Anglji, poczęła tracić grunt pod nogami, zwłaszcza że nawet episkopat, którego oświadczenia mają w Irlandji sta-

nowczy wpływ na głęboko religijne masy, odwracał się od byłych przywódców narodu.

Jednakowoż punktem zwrotnym w życiu nowoczesnej Irlandji jest r. 1916. Ekstremiści, zorganizowani w wojskowe oddziały „ochotników", rzucając hasło narodowej rewolucji, na Wielkanoc wywołują w Dublinie powstanie pod znakiem niezależnej republiki irlandzkiej. Powstanie to zostało krwawo stłumione w ciągu tygodnia. Walczący zdali sobie sprawę naprzód z materjalnego fiaska, lecz jako idealistom chodziło im na pierwszym miejscu o duchowe wstrząśnięcie narodem, zatracającym powoli swą narodową odrębność.

Zwyciężeni orężnie, zwyciężają jednak duchowo. Wprawdzie opinja publiczna w Irlandji, pochwalająca jeszcze wówczas przynajmniej naogół, politykę Partji Parlamentarnej, była chwilowo zaskoczoną, a zarazem oburzoną na zdradziecką rewolucję, zorganizowaną przez nacjonalistów na tyłach walczącej ententy, mimo wszystko jednak ta sama opinja publiczna zaczęła się interesować narodowem powstaniem, a surowy wymiar sprawiedliwości na młodocianych uczestnikach powstania wywołał odruch sympatji u wrażliwego i łatwego do egzaltacji społeczeństwa irlandzkiego. Ogół dopytywał się o sprawców powstania. Za moralnego sprawcę uznano: *Sinn Fein.*

Tymczasem *Sinn Fein* [1]) niewiele miał wspólnego z powstaniem. *Sinn Fein* był raczej doktryną, szerzącą się wśród wszystkich warstw społeczeństwa irlandzkiego i ogarniającą znaczny odłam prasy oraz kilka narodowych organizacyj. Doktryna ta była nową koncepcją metod walki o prawa narodu, powstałą z przeświadczenia o bezowocności walki orężnej wobec upadku powstań z lat 1848 i 1867 oraz kampanji konstytucyjnej, prowadzonej bez wyniku przez Irlandzką Partję Parlamentarną od kilkudziesięciu lat. Celem doktryny *Sinn Fein'u* było wprawdzie wywalczenie niepodległości Irlandji, ale nie orężnie lecz metodą bezkrwawą: samowystarczalności, oparcia się na samych sobie, biernego oporu i ignorowania wszelkich angielskich instytucyj. W myśl tych haseł, twórca *Sinn Fein'u* Artur Griffith, wzywał posłów

[1]) Znaczy = my sami.

irlandzkich do wystąpienia z parlamentu angielskiego i zebrania się w Dublinie dla obrad nad sprawami Irlandji. Doradzał, by obywatele nie udawali się do sądów angielskich, ale tworzyli prywatne, polubowne sądy irlandzkie, by organizowali prywatne szkolnictwo, by wzmocnili podstawy samodzielnego życia gospodarczego w ramach organizacyj spółdzielczych.

Skrajni republikanie, po nieudałem powstaniu, wzięli również udział w organizacjach, owianych duchem *Sinn Fein'u*, wzmocnili go, ale też zrewolucjonizowali, zakładając wielką ilość swych klubów po całej Irlandji. Dwulicowa gra rządu angielskiego, zwlekającego ze względu na opór Ulsteru, ze zrealizowaniem *Home Rule'u*, rzuciła rozgoryczone masy irlandzkie w objęcia *Sinn Fein'u*, który wystąpił w wyborach w grudniu 1919 r. jako partja polityczna i pobił ogromną większością ugodową Partję Parlamentarną.

Klęska tej partji była kompletna, gdyż z 80 posłów partja utrzymała tylko sześciu, natomiast *Sinn Fein* zyskał 73 posłów na 105, wybranych w całej Irlandji. Co więcej, posłowie *Sinn Fein'u* wcale się nie udali do parlamentu angielskiego, lecz wprowadzając w życie głoszoną doktrynę, zebrali się w Dublinie, jako *Dáil Éireann,* [1]) wybrali rząd i proklamowali republikę irlandzką 21 stycznia 1919 r. Na czele republiki jakoteż *Dáilu* stanął prezydent *Sinn Fein'u*, de Valera, który jako jedyny z wodzów powstania pozostawiony przy życiu, cieszył się niezwykłą popularnością.

Oczywiście od tej chwili rozpala się coraz bardziej rosnąca w napięciu walka między dwiema władzami, krajową angielską a zwartym obozem *Sinn Fein'u*, przy którym stoi cały, zjednoczony naród irlandzki. *Dáil Éireann* pracuje w ukryciu, badając irlandzkie bolączki; a więc przeprowadza badania zasobów mineralnych, pracuje nad możliwością stworzenia przemysłu i floty handlowej, rozpatruje plagę wychodztwa, wreszcie zaciąga pożyczkę w Ameryce. Tymczasem oficjalne sądy angielskie pustoszeją, opuszczone przez oświeconą i narodowo uświadomioną ludność, która udaje się do zorganizowanych naprędce sądów *Sinn Fein'u*, rozpo-

[1]) Parlament irlandzki (izba niższa).

rządzającego nawet własną policją. Rząd angielski trwa jeszcze przez jakiś czas w postawie wyczekującej, a potem chwyta się represyj.

Wtedy to zaczyna się bezprzykładna w dziejach guerilla *Sinn Fein'u,* a właściwie dawnych „ochotników" występujących obecnie jako Irlandzka Armja Republikańska, przeciw zwycięskiej w światowej wojnie, Anglji. Trzy do pięciu tysięcy sinnfeinistów, popieranych przez naród, trzyma w szachu 60 tysięcy angielskiego wojska, wspieranego przez 15 tysięcy *Black and Tans* (Czarnych i Szarych) — specjalnej żandarmerji *ad hoc* stworzonej, składającej się z byłych oficerów angielskich, oraz 16 tysięcy korpusu posiłkowego.

Walka, której duszą po stronie irlandzkiej był genjalny spiskowiec i partyzant Michał Collins, stawała się coraz dziksza i bezwzględniejszą. Ludność przeważnie współdziałała z sinnfeinistami, element zaś anglo-filski został steroryzowany. *Sinn Fein* wszędzie miał swoich szpiegów i wiedział o wszystkich poruszeniach wojska oraz o planach rządu angielskiego. Nieuchwytny i tajemniczy uderzał na kasarnie, pociągi, wycinał w pień oddziały wojska, po potyczce zaś uczestnicy rozpraszali się, by za jakiś czas znowu skupić się na nowe zasadzki. Tymczasem „Czarni i Szarzy", nie mogąc chwycić niewidzialnego wroga, mszczą się na ludności cywilnej, która z nim współpracuje, paląc wsie, szykanując wieśniaków i niszcząc wszystkie źródła dochodu jak np. przemysł mleczny, stanowiący jedno z najważniejszych źródeł dochodów ludności. Za przykład zdziczenia walki może posłużyć „czerwona niedziela", 21 listopada 1920 r., kiedy to rano o tej samej godzinie 12 oficerów angielskich zostało zamordowanych, w tem niektórzy w łóżkach. W odpowiedzi na ten mord, popołudniu tegoż dnia, policja otwiera ogień na publiczność, zebraną na boisku sportowem, pod pozorem, że ktoś z tłumu wystrzelił. Zabito wówczas lub zraniono 63 osoby.

Tymczasem liczny i wpływowy żywioł irlandzki w Stanach Zjednoczonych zdołał poruszyć opinję publiczną Ameryki w obronie ginącego narodu irlandzkiego. Także ze strony wysokich dygnitarzy protestanckich w Anglji, publicystów, pisarzy oraz najważniejszych dzienników angielskich

pojawiły się liczne głosy protestu przeciw represjom, kompromitującym Anglję w oczach świata.

Toteż rząd angielski uległ naciskowi opinji publicznej i premjer Lloyd George, który ustawicznie podkreślał potrzebę wytępienia „bandy skrytobójców", 6 czerwca 1921 r. listem publicznym wezwał de Valerę, jako prezydenta proklamowanej republiki irlandzkiej, do rokowań.

Rokowania skończyły się podpisaniem traktatu przez wysłanników de Valery. Traktat przyznawał Irlandji ustrój dominjalny na wzór Kanady pod nazwą Wolnego Państwa Irlandzkiego, a Ulsterowi dawał prawo samostanowienia o sobie. Anglja zastrzegała sobie tylko prawo korzystania z paru punktów strategicznych na wypadek wojny. Ogół społeczeństwa irlandzkiego przyjął traktat z ulgą, gdyż drugą częścią alternatywy postawionej przez Lloyda George'a Irlandczykom, była „okropna wojna".

Lecz skoro Irlandja raz weszła na śliską drogę gwałtu i buntu, trudno jej było zatrzymać się w połowie. Toteż wnet traktat pokojowy stał się jabłkiem niezgody wśród jednolitego dotąd frontu irlandzkiego. Powstały wówczas dwa wrogie obozy w łonie *Sinn Feinu,* jeden za, drugi przeciw traktatowi, które przetrwały w ogólnych zarysach aż do dnia dzisiejszego, jako dwa bloki grup, zwalczających się między sobą.

Tylko krańcowa część sinnfeinistów nie myślała wcale o jakimkolwiek związku z Imperjum Brytyjskiem. Skrajny ten obóz, rozporządzający znacznym odłamem Irlandzkiej Armji Republikańskiej, opowiedział się za republiką niezależną i wszczął gwałtowną polemikę ze zwolennikami traktatu. „Nieskalani" republikanie wychodzili z zasady, że gdy naród rezygnuje z niepodległości, oni, jako jego lepsza choć mniejsza część, mają prawo użyć nawet siły fizycznej, by bronić naród przed samobójczą rezygnacją, do której on nie ma prawa. Wśród gwałtownej polemiki w prasie, *Dáil* przystąpił do głosowania nad ratyfikacją traktatu i 7 stycznia 1922 r. przyjął go większością 64 głosów przeciw 57. De Valera założył protest przeciw uchwale Dáilu, co dało hasło do nowej rozpaczliwej guerilli, tym razem przeciw własnemu już rządowi i państwu.

Za traktatem opowiedziała się trzeźwiejsza część narodu t. j. duchowieństwo, choć znaczna jego część sprzyjała skrajnym republikanom, dopóki ci nie chwycili za broń. Za traktatem stali również rolnicy, kupcy i znużone partyzantką masy ludności, tem bardziej iż episkopat oficjalnie potępił wojnę domową jako bunt przeciw prawowitej władzy.

W szeregach zacietrzewionych republikanów znalazła się przedewszystkiem młodzież oraz społeczne męty, jakie wychowała anarchja rozwydrzonej guerilli, tudzież idealiści, którzy nigdy nie umieją nawiązać kontaktu z rzeczywistością, a jakich w Irlandji zawsze było wielu.

W maju 1922 r. doszedł do skutku między Collinsem a de Valerą układ, mocą którego zgodzono się na nowe wybory. Na 126 wybranych posłów republikanie otrzymali tylko 36. Rząd „Wolnego Państwa", jako prowizoryczny, pobłażał dotychczas wybrykom skrajnych republikanów, nie walcząc energicznie z guerillą, ale po wyborach, czując poparcie narodu, a ulegając presji Anglji, domagającej się wykonania zawartego i ratyfikowanego traktatu, zabrał się do tłumienia partyzantki, co powiodło się tem łatwiej, że republikanie utracili poparcie mas w partyzanckiej walce. To też 1 czerwca 1923 r. de Valera wydał odezwę do republikanów, nawołującą do zaprzestania rozlewu krwi bratniej.

Jednak republikanie, choć wskutek wyczerpania przestali się bić orężnie, nie zwinęli wcale swojej Irlandzkiej Armji Republikańskiej, ani też swych cywilnych organizacyj. Członkowie tych organizacyj, dochowując wierności fikcyjnej republice irlandzkiej, proklamowanej przez powstanie 1916 r. i *Dáil Éireann* w r. 1919 — wstrzymali się od udziału w Dáilu i bojkotowali dalej sądy, tak Wolnego Państwa, jak i Ulsteru.

Stan ten stwarzał znaczne trudności, zwłaszcza, że republikanów zaczęto pociągać do odpowiedzialności prawnej za niedozwolone noszenie broni. Irlandzka Armja Republikańska istniała bowiem dalej, utrzymując kadry po całym kraju, dość popularne wśród bezrobotnych zwłaszcza wyrostków i urządzała ćwiczenia wojskowe z bronią. Ponieważ zaś była nawpół tajną organizacją rewolucyjną, dążącą do obalenia legalnego Wolnego Państwa, a równocześnie hołdowała dość wyraźnie hasłom komunistycznym — została

parokrotnie potępiona przez episkopat. Tak więc partja rewolucyjna była w dalszym ciągu głównem źródłem niepokojów i alarmów w Wolnem Państwie. Powoli jednak zaczęła ulegać dodatniej ewolucji nie dopuszczając się żadnych wykroczeń ni mordów, dbając o swe dobre imię, które straciła w czasie wojny domowej, i roszcząc sobie wyłączne prawo do czystego, bezkompromisowego patrjotyzmu.

Umiarkowana grupa *Sinn Feinu,* skupiona głównie w partji politycznej *Cumann na nGaedheal*[1]) miała przed sobą niezwykle ciężkie zadanie pracy od podstaw, by zorganizować stopniowo kraj, pogrążony w całkowitej anarchji. Zadanie to było tem cięższe, że partja miała przed oczyma cel ostateczny ten sam, który głosili także republikanie, t. j. całkowitą niepodległość Irlandji, gdyż traktat pokojowy nawet zdaniem Griffitha, który go przecież podpisał, nie był końcowym etapem wielowiekowej walki narodu o swe święte prawa. Ponadto ludność od wieków była wprawiona do walki z wszelkim zaborczym rządem, a walka ta była zarazem narodową, religijną i gospodarczą, więc też trudno się było poddać odrazu legalnej władzy narodowej. Pozatem naród został przemocą odzwyczajony od samorządu, a Anglicy potrafili umiejętnie stosować przez wieki zasadę: *divide et impera,* co wszystko dało powód do popularnej w Anglji tezy o niższości rasowej Irlandczyków, zawsze ze sobą skłóconych — i o podwójnej dozie grzechu pierworodnego u tych gorących, wybuchowych Celtów.

Takie było nastawienie duchowe Irlandji po ukończeniu śmiertelnego pojedynku z Anglją i wojny domowej. Że wycieńczony naród począł się istotnie dźwigać, to zawdzięcza zdrowemu rozsądkowi i ugodowej polityce rządu, zwłaszcza wobec Anglji. Miało to doniosłe znaczenie także i na polu gospodarczem, wkońcu jednak mimo wszystko przyprawiło *Cumann na nGaedheal* o upadek.

Irlandja bowiem związana przez wieki z Anglją, musiała się poddawać wszelkim przemianom gospodarczym i społecznym, jakie przechodziła Anglja. Otóż Irlandja wraz z innemi państwami języka angielskiego przeszła w ośmnastym

[1]) Stronnictwo irlandzkie.

wieku na produkcję masową i komercjalizm, co się odbywało wskutek i w towarzystwie wielkich klęsk narodowych jak głodu, moru i masowej emigracji rasy irlandzkiej tak, że ludność spadła z 8.295.000 w r. 1841 na 4.337.000 w r. 1915. Na ubogiej z natury wyspie nie można było niczego produkować na większą skalę, chyba tylko bydło, drób i nabiał, szukając nań zbytu w wielkich miastach sąsiedniej wyspy. Irlandzki bowiem chłop nie mógł wytrzymać konkurencji z amerykańskiem zbożem, a przemysł także nie mógł się rozwinąć, gdyż w poprzednich wiekach był krępowany przez rząd angielski, w dziewiętnastym zaś wieku było już zapóźno, by emancypujący się heloci irlandzcy stawić mogli czoło oddawna rozwiniętym firmom angielskim. To też wnet się wytworzył w Irlandji typ większego farmera, który przy pomocy nielicznej czeladzi zajmuje się chowem bydła, drobiu i produkcją nabiału. Pozatem jako wynik komercjalizmu, rozwinęło się nadmierne sklepikarstwo, trudniące się sprzedażą produktów wielkich firm angielskich, które potworzyły swoje agentury w Irlandji.

Z drugiej strony nie brak też było w Irlandji ubogich rzesz chłopskich, przymierających głodem na gęsto zaludnionym a skalistym zachodzie Irlandji. Wielka zresztą część ludności irlandzkiej, składa się z ludności miejskiej, która wskutek ucieczki ze wsi żyje w ostatniej nędzy po miasteczkach, a nawet w stołecznym Dublinie, gdzie się zgromadziła szósta część ludności Wolnego Państwa. Ludność ta wskutek wysokiego poziomu moralnego posiada, w przeciwieństwie do Anglji, wysoki przyrost naturalny, który w ubiegłych latach znajdował upust w wychodźtwie. Trzeba jeszcze zaznaczyć fakt, iż w Irlandji jest nieproporcjonalnie wielu starców i ludzi bezżennych a ubogich, których nie stać na stworzenie sobie ogniska domowego. W tych warunkach trzeba było koniecznie pomyśleć o podniesieniu stanu posiadania szerokich, nadmiernie zubożałych mas.

Tymczasem rząd Wolnego Państwa opierał się na zasobniejszych farmerach, kupcach i inteligencji, począł więc chronić interesy tychże warstw, czyli stosować na polu gospodarczem politykę wolnego handlu, co w praktyce równało się z utrzymaniem Irlandji w zależności gospodarczej

od Anglji. Rząd popierał wywóz a dla importu i kupna starał się stworzyć konkurencję przez niskie cła lub wolny wwóz. Wolność handlu dogadzała kupcom, a farmerzy mogli kupować jak najtaniej, mając w Anglji zapewniony rynek zbytu. Wynikiem tej polityki był postępujący zanik uprawy roli i zwijanie wszystkich warsztatów pracy, pochłanianych kolejno przez wielkie angielskie kartele przemysłowe. Kryzys wystąpił dopiero wtedy, gdy kraje zamorskie zamknęły swe porty przed irlandzkimi wychodźcami. Ludność bowiem, która wskutek emigracji malała stale aż do ostatnich lat, została nagle uwięziona na wyspie, nie mając zajęcia w kraju, obróconym na pastwiska, toteż bezrobocie wnet wzrosło do 70 tysięcy.[1])

Otóż głównie na tle gospodarczem rozegrała się zaciekła walka między obiema grupami politycznemi. Motywy polityczne były wprawdzie raczej drugorzędne, ale i one zaważyły na szali wskutek rozwiniętego u Irlandczyków nacjonalizmu. Republikanie tak długo nie mieli sukcesu, jak długo wysuwali hasła polityczne, gdyż przeciętny Irlandczyk był zadowolony z istniejących swobód politycznych. Większy posłuch znalazły obietnice zmian gospodarczych wobec coraz więcej odczuwanego kryzysu ekonomicznego.

Nowy ruch umiarkowanego republikanizmu stworzył dopiero sam rząd. Rząd bowiem grupy stojącej za traktatem, a opierający się na partji *Cumann na nGaedheal*, pragnąc w wyborach w r. 1927 położyć kres bojkotowi Dáilu przez posłów republikańskich, przeprowadził prawo, wymagające od kandydatów na posła przyrzeczenie wypełnienia wszystkich przepisów konstytucji, która oczywiście nakazywała przysięgę królowi angielskiemu.

To posunięcie rządu rozbiło ponownie *Sinn Fein*. Część republikanów miała już czas ochłonąć przez parę lat i nauczyła się patrzeć trzeźwo na rzeczy, więc też poszła za wodzem swym de Valerą, godzącym się już teraz na przysięgę, którą sam złożył, protestując jednak, że jej nie uznaje i uważa ją za „czczą formułę". W ciągu długich lat opozycji de Valera wypracował swój własny program polityczny i gospo-

[1]) Cyfra ta waha się w ostatnich latach między 60 i 70 tysiącami.

darczy. Zakładając nową partję *Fianna Fáil* (Armję Przeznaczenia), której nadał świetną organizację, sprawnie działającą zwłaszcza w czasie wyborów, dążył do tego, by republikanie zawładnęli całem życiem publicznem w Irlandji. W kwestji samej republiki nigdy się nie wypowiadał dosyć jasno, czasem jednak dawał do zrozumienia, że Irlandja mogłaby jako republika należeć do Brytyjskiego Związku Narodów.

Lecz wobec kryzysu gospodarczego, który w specjalnej formie, wyżej opisanej, oddawna trawił Irlandję, ideały polityczne zeszły na plan dalszy, a Fianna Fáil coraz więcej zaczęła podkreślać gospodarczą i społeczną przebudowę Irlandji. Podstawową zasadą nowego programu jest protekcjonizm, w celu stworzenia krajowych warsztatów pracy dla ubogich i bezrobotnych rzesz, oraz przywrócenie uprawy roli, co mogłoby się przyczynić do dobrobytu miasteczek i do ponownego zaludnienia opustoszałych pastwisk. De Valera dążył więc do stworzenia nie wielkich farm, ale drobnych rolników i drobnego przemysłu, rozmieszczonego po całej Irlandji. Tak pojęty protekcjonizm łączył się u zwolenników nowego systemu gospodarczego ze stworzeniem rynku wewnętrznego, co miało uniezależnić Irlandję od rynku angielskiego. W programie tym zajmuje dość silną pozycję interwencja państwa. Tymczasem Irlandczycy przejęli od narodów anglosaskich wstręt do etatyzmu, w czem zgadzają się obie główne partje irlandzkie. Bez względu jednak na te nastroje ludności Fianna Fáil musiała przy zakładaniu fabryk i subsydjowaniu rolnictwa wnieść pewną dozę etatyzmu. Fakt ten wyzyskali wrogowie de Valery głosząc, iż republikanie skłaniają się do komunizmu. Posądzenie to, mogło zresztą mieć tem silniejsze pozory prawdy, gdyż stronnictwo de Valery stosowało politykę ugodową, a raczej życzliwie neutralną, wobec komunizującej Armji Republikańskiej. Z więcej szczegółowych obietnic, szeroko podkreślanych przed wyborcami, de Valera podnosił zakwestjonowanie praw rządu angielskiego do spłat ziemskich za zakupione przez dzierżawców grunta oraz usunięcie przepisanej dla posłów przysięgi na wierność królowi angielskiemu. Wobec tak sformułowanego programu tylko drobna część krańcowych republikanów wytrwała na dawnem sta-

nowisku opozycyjnem, głosząc hasło całkowicie niezależnej republiki, w rzeczywistości zaś skłaniając się coraz więcej ku. komunizmowi.

Czas jednak pracował na korzyść de Valery. Biedniejsza ludność wnet zrozumiała doniosłość programu gospodarczego de Valery i płynące stąd dla niej korzyści, a z drugiej strony znaczna część społeczeństwa, bardziej nacjonalistyczna, poczęła wyrzucać rządowi słabość wobec Anglji i zbytnią ugodowość w sprawie rozpatrywania granic Ulsteru. Ponadto zarzucano rządowi, że nie potrafił po dziesięciu latach zapobiec zmniejszaniu się ludności wskutek wychodźctwa, sięgającego rocznie przeciętnie do 25 tysięcy. [1])

Czynniki te spowodowały załamanie się rządzącej partji w wyborach w lutym 1932 r. Republikanie de Valery otrzymali 72 posłów na 153, a przy poparciu Partji Pracy (7 posłów) zabrano się do burzenia politycznego i gospodarczego ustroju Wolnego Państwa. A więc pierwszym krokiem nowego rządu było wypuszczenie na wolność komunizujących wodzów skrajnego republikanizmu i zniesienie Trybunału Wojskowego. Trybunał ten stworzono w jesieni 1931 r. (prawie równocześnie pojawił się list pasterski episkopatu przeciw tajnym komunistycznym organizacjom), oddając mu szerokie pełnomocnictwa, nawet stosowanie kary śmierci za należenie do nielegalnych organizacyj i za machinacje przeciw państwu.

Odtąd mimo nalegań prasy katolickiej rząd daje wolną rękę komunistom i komunizującym republikanom, przymyka oczy na odezwy rekrutacyjne Irlandzkiej Armji Republikańskiej i pobłaża ćwiczeniom z bronią palną oddziałów tejże organizacji. Z drugiej strony de Valera według złożonego oświadczenia nosił się z myślą stworzenia milicji obywatelskiej, do którejby wcielono armję republikańską. Ponieważ jednak republikanie rozpędzali zgromadzenia partji *Cumann na nGaedheal,* partja ta stworzyła swoje bojówki A. C. A. *(Army Comrade Association)* Związek Towarzyszy Broni, składających się z weteranów armji irlandzkiej, jako organizację będącą w zasadzie stróżem wolności słowa i porządku

[1]) Od 1926 do 1930 przeciętnie 23 tysiące.

publicznego. Rząd pragnąc utrzymać spokój i uniknąć zgrzytów „żelaznej ręki", która w Irlandji zawsze chybiała celu, tolerował i tę nową organizację, częściowo zwróconą przeciw sobie, jakby policja nie potrafiła utrzymać porządku na zebraniach i pochodach publicznych. Rząd jednak nie pozwolił żadnej z organizacyj noszenia publicznie mundurów i broni. W każdym razie polityka nowego rządu wobec Armji Republikańskiej wprowadziła odprężenie napiętych stosunków pomiędzy poprzednim rządem a wspomnianą organizacją opozycyjną.

Obecnie biskupi ostro występują przeciw Armji Republikańskiej, zwłaszcza od czasu jej manifestu, wydanego b. r. w rocznicę powstania 1916 r., w którym jako cel przyszłej republiki podano „unarodowienie (upaństwowienie) wszystkich środków produkcji". Jednak wobec ataków irlandzkiej prasy katolickiej autorzy manifestu zaczęli się uniewinniać, iż komunizujący program gospodarczy nie ma nic wspólnego z świeckim ateizmem, gdyż ateizm stoi w sprzeczności z rasową religijnością celtycką. Wogóle nawet czołowe figury Armji Republikańskiej pragną uchodzić za dobrych katolików.

Prawdziwy bolszewicki komunizm ma nielicznych zwolenników i jest niepopularny; reprezentowała go Grupa Rewolucyjnych Robotników w czasie wyborów w styczniu 1933 r., nie mogąc zresztą postawić swojego kandydata wskutek pewnej przegranej, a co za tem szło, utraty obowiązującej kaucji 400 funtów szt. Wobec tego komuniści zdecydowali się głosować na *Fianna Fáil*. Powodem tej decyzji mogła być także nienawiść i lęk przed *Cumann na nGaedheal* oraz popularność *Fianna Fáil* wśród ubogich warstw. Oczywiście, że to poparcie komunistów zostało wyzyskane przez opozycję i prasę angielską do zrobienia z *Fianna Fáil* partji komunizującej. Bezwątpienia ważnym czynnikiem w walce z komunizmem jest także duchowieństwo, ale jego akcja przeciw komunistom ma raczej cele oświatowe i zapobiegawcze. Jakkolwiek bowiem komunizm w Irlandji jest niepopularny, to jednak ludność, stojąca na wysokim poziomie oświaty i wyrobienia obywatelskiego, przytem głęboko religijna i to we wszystkich warstwach społeczeństwa,

mogłaby pójść na lep haseł komunistów, którzy tu wysuwają oddawna popularne i tradycyjne hasła walki z brytyjskim kapitalizmem i imperjalizmem w celu założenia wolnej „republiki chłopów i robotników". Że zapobiegawcza akcja duchowieństwa była na czasie, dowodem jest, iż obecnie w dalszym ciągu partja komunistyczna usiłuje się zorganizować. Wedle doniesień tutejszej prasy katolickiej komuniści za główny cel na najbliższą przyszłość obrali sobie podważenie popularności de Valery wśród ubogich rzesz. Rząd jednak de Valery lekceważy te komunistyczne zakusy i, jak niedawno pisał organ rządowy, ponieważ komunizm i tak zamiera, rząd przez jakieś represje nie chce robić z komunistów bohaterów, zwłaszcza że w Irlandji nie trudno jest znaleźć współczucie dla prześladowanych.

Innym krokiem nowego rządu, który miał raczej znaczenie psychologiczne zaspokojenia dumy narodowej republikanów, to przeprowadzenie ustawy o zniesieniu przysięgi, składanej przez posłów na wierność królowi. Rząd angielski zaprotestował przeciw tej ustawie, twierdząc, że jest ona naruszeniem traktatu, gdyż traktat, regulując zwyczaje konstytucyjne, wyraźnie wskazuje na zwyczaje Kanady, jako na normę postępowania dla Irlandji, kanadyjscy zaś posłowie przysięgę składają. De Valera wręcz odpowiedział, że sprawa przysięgi jest kwestją czysto domową, irlandzką. Opierając się na Statucie Westminsterskim, który przyznaje dominjom prawo uchwalania praw niezależnie od parlamentu angielskiego, mógł parlament irlandzki powziąć taką uchwałę oraz w życie ją wprowadzić.

Inna sprawa, która gra ważną rolę w bojowym programie de Valery, to zakwestjonowanie praw Anglji do spłat za nabycie ziemi przez dzierżawców irlandzkich, oraz innych zobowiązań finansowych Irlandji wobec Anglji. Suma tych spłat sięga rocznie do pięciu miljonów funtów szterlingów, co dla ubogiej i finansowo słabej Irlandji jest druzgocącym ciężarem według zdania nowego rządu. Otóż de Valera stanął na stanowisku, że układ między ministrem finansów angielskim a irlandzkim co do płacenia owej sumy nie posiada mocy obowiązującej z powodu braku ratyfikacji ze strony parlamentów, żaden zaś minister nie może zobowią-

zywać swego kraju do takiego ciężaru bez zgody przedstawicieli narodu. Rząd irlandzki gotów jest spłacać żądane sumy, ale o ile rząd angielski zdoła udowodnić swe prawa w trybunale międzynarodowym. Angielski zaś minister kolonij, przedstawiający w tej kwestji rząd brytyjski, uważa umowę między ministrami za obowiązującą nawet bez ratyfikacyj parlamentów, o ile nie było odnośnego zastrzeżenia. Ostatecznie rząd angielski zgodził się oddać sprawę do trybunału rozjemczego, domagając się, by jego członkowie byli poddanymi brytyjskiego imperjum; nie chce bowiem dopuszczać wkraczania obcych czynników do sprawy tyczącej się wyłącznie imperjum. Na takie postawienie kwestji nie godzi się jednak rząd irlandzki, a odmowę swą motywuje stronniczym wyrokiem, jaki podobny trybunał wydał w kwestji granic między Irlandją a Ulsterem. Według pogłosek prasy powodem właściwym, o który rozbijały się rokowania w sprawie spłat, było odmówienie przez de Valerę gwarancyj, zapewniających pozostanie Irlandji w Brytyjskim Związku Narodów.

Na wstrzymanie spłat rząd angielski odpowiedział wojną celną, co oczywiście daje się dotkliwie we znaki, zwłaszcza farmerom, wskutek zależności ekonomicznej Irlandji od Anglji. De Valera przyjął wojnę celną jako „dobrodziejstwo w przebraniu" *(blessing in disguise)*, które zmusi Irlandję w krótkim czasie do samowystarczalności. Dlatego zaczęto w szybkiem tempie wprowadzać w życie program gospodarczy. Żeby pomóc farmerom, zaprowadzono premje za uprawę przenicy, gdyż dotychczas sprowadzano z zagranicy $^{14}/_{15}$ przenicy. Zapomocą subsydjów i ceł ochronnych ułatwiono otwarcie wielu zamkniętych dotychczas fabryk lub założenie nowych. Jako warunek stawia się fabrykom, że mają być prowadzone na małą skalę i umieszczone w różnych punktach kraju. Przeciw kapitałowi obcemu, a zwłaszcza angielskiemu, Irlandja broni się obecnie ustawą, dopuszczającą tylko 49 % obcego kapitału w poszczególnych spółkach krajowych.

Tymczasem opozycja, rozporządzająca poparciem bogatszych klas wszczęła zaciekłą kampanję w prasie, parlamencie i na zebraniach publicznych przeciw nowemu kierunkowi

gospodarczemu, głosząc hasło „obwiązku wobec obecnego pokolenia", gdy de Valera pracuje wyłącznie dla przyszłości, oraz nazywając nowe rządy ni mniej ni więcej tylko komunistycznemi, prowadzącemi Irlandję do ruiny. Walka opozycji zachęcała rząd angielski do zajęcia nieprzejednanego stanowiska w nadziei, że rządy de Valery i tak rozporządzające słabą większością, wkrótce runą. Sytuacja stała się naprężona i niepewna, co w znacznej mierze przeszkadzało rozwojowi gospodarczemu, zależnemu głównie od przedsiębiorczości prywatnej.

W grudniu 1932 r. przyszło nadto do naprężenia między partją rządową a Partją Pracy z powodu zniżki płac urzędniczych tak, że rząd, rozporządzający skromną większością paru głosów Partji Pracy, nie czuł się pewnym wobec poświątecznej sesji *Dáilu* w r. 1933. Ponadto zaniepokojona wprowadzanemi zmianami gospodarczemi opozycja zaczęła się gorączkowo reorganizować.

Tymczasem de Valera nagle w styczniu 1933 r. ogłasza nowe wybory, wyznaczając kampanji przedwyborczej bardzo krótki okres czasu. W kampanji tej utożsamia zręcznie swoją partję z uciskaną i oszukiwaną Irlandją, a opozycję nazywa agentem rządu angielskiego; wskazuje na warsztaty pracy, otwarte w czasie parumiesięcznych swoich rządów i obiecuje rolnikom obniżyć spłaty za grunta do połowy. Rozentuzjazmowana Irlandja wybiera bezwzględną większością partję de Valery, choć jego przeciwnik, prezes *Cumann na nGaedheal,* obiecywał w swych mowach, iż w ciągu trzech dni przywróci pokój celny z Anglją. Od druzgocącej porażki uratował opozycję tylko proporcjonalny system wyborczy, co przyznała nawet prasa angielska.

W ten sposób de Valera, choć zażądał ofiar od ludu, wyszedł jeszcze z większą liczbą posłów, uzyskał ich bowiem 77 na 153. Część duchowieństwa, zwłaszcza niższego i młodszego, poparła partję republikańską de Valery, a wielu prałatów Irlandji pozamorskiej przysłało mu swe gratulacje. Biskup zaś Tuamu, Dr. MacNeely otwarcie w liście pasterskim na post b. r. pochwalił program agrarny de Valery, wystąpił ostro przeciw wyzyskowi Anglji, począwszy od Aktu Unji 1800 r. i oświadczył, że rządu irlandzkiego nie można po-

sądzać o rabunek spłat, gdyż jest gotów w tej kwestji przyjąć wyrok sądu międzynarodowego. Tenże biskup oddał cześć narodowi irlandzkiemu za jego idealizm, który w obliczu dotkliwej dla niego wojny celnej, wybrał dobrowolnie twardą walkę i niedostatek. Arcybiskup zaś Cashelu Dr. Harty wyraził swe zadowolenie z bezpieczeństwa religji w Irlandji, gdyż wszystkie partje polityczne są wrogo nastawione względem komunizmu.

Chociaż w ostatnich wyborach kwestję polityczną prawie pominięto, mimo to jednak de Valera został zmuszony do ponownego określenia swych zamysłów republikańskich. Irlandzka Armja Republikańska, obchodząc rocznicę powstania z 1916 r., zarzuciła de Valerze zdradę ideałów republikańskich. Na to de Valera w tydzień potem wygłosił mowę, która była odpowiedzią na zarzuty skrajnych republikanów.

„... Naprawdę, niema lepszych słów — mówił de Valera — dla uczczenia tych ludzi (powstańców), jak chyba nowa proklamacja, przywracająca Republikę, którą oni proklamowali... Lecz jeszcze nie nadeszła do tego odpowiednia chwila i musimy się zadowolić obecnie tem, że dążymy do tego celu i że nie spoczniemy, póki go nie osiągniemy. Zobowiążmy się w imię Boże do tego wysokiego celu i niech to będzie jasne, że nie godzimy się na żadną formę czy symbol, który jest sprzeczny z prawami Irlandji, jako suwerennego narodu. Usuńmy te formy, jedną po drugiej, w ten sposób, że to państwo, którem rządzimy, stanie się faktyczną republiką; tak iż, gdy nadejdzie pora, proklamacja republiki nie będzie niczem innem, jak tylko ceremonją, formalnem potwierdzeniem stanowiska, uprzednio już zdobytego..."

Słowa te najlepiej chyba oświetlają postępowanie nowej partji rządzącej. Nietrudno w nich też wyczytać taktykę *Sinn Fein'u*. Zamiast gwałtownego zerwania z Anglją, co mogłoby grozić katastrofą gospodarczą Irlandji, *Fianna Fáil*, w przeciwieństwie do krańcowych republikanów, nie liczących się z rzeczywistością, wybiera dłuższą i pewniejszą drogę kolejnego przecinania węzłów, łączących Irlandję ze znienawidzonem Imperjum Brytyjskiem. Formy usunięte, prócz separatyzmu ekonomicznego, to przysięga — a druga,

ustawicznie podważana, to gubernator generalny, któregoby się pragnęło znieść, lecz ze względów konstytucyjnych jest to narazie niemożliwe, więc przeprowadzono kandydaturę sklepikarza wiejskiego Domhnalla Ua Buachallę,[1]) co wprawiło prasę angielską w osłupienie, gdyż takie urzędy zwykle dostają się wysokim arystokratom angielskim, ze strony zaś republikańskiej był to zwykły irlandzki sarkazm i chytre posunięcie, mające obniżyć powagę przedstawiciela królewskiego.

Wypadki ostatnich miesięcy nie zmieniły naszkicowanej wyżej sytuacji mimo tendencyjnych wykrzykników angielskiej prasy. Opozycja konserwatywna, nie posiadając dość ideałów do wciągnięcia w swoje szeregi dorastającej młodzieży, która coraz tłumniej wypełnia bataljony Armji Republikańskiej, stara się utrzymać na powierzchni życia politycznego, wyzyskując niedociągnięcia i trudności de Valery.

A więc naczelny komisarz policji, zdolny organizator i twórca policji irlandzkiej, gen. Eoin O'Duffy, usunięty przez rząd de Valery z powodu swych przekonań politycznych, objął z końcem lipca 1933 r. naczelne dowództwo nad A. C. A. „prywatną armją" *Cumann na nGaedheal,* przemieniając równocześnie jej nazwę na „Gwardję Narodową" oraz zmieniając jej ustrój na bardziej militarny z mocnem zabarwieniem faszystowskiem, objawiającem się nawet w zewnętrznych symbolach faszyzmu, jak pozdrowienie podniesioną ręką i noszenie niebieskich koszul. Jako jeden z głównych celów w nowym regulaminie „Gwardji Narodowej" postawiono pretekst walki z komunizmem oraz utrzymanie porządku publicznego przez wspomaganie policji, sam zaś generał ostro krytykował ustrój parlamentarny jako nieirlandzki, proponując reprezentację według zawodów, wzorowaną na faszystowskich Włoszech.

W ten sposób wytworzyła się w sierpniu 1933 r. sytuacja nadzwyczaj niebezpieczna wobec rywalizacji obu „prywatnych" armij. Jednakowoż rząd przez szybką interwencję zapanował nad położeniem, znosząc „Gwardję Narodową" i zakazując jej zebrań. Rząd przywrócił „Akt bezpieczeństwa"

[1]) Republikanina i powstańca z 1916 r.

z 1931 r. wraz z trybunałem wojskowym, skierowanym pierwotnie przeciw tajnym stowarzyszeniom komunistycznym i republikańskim, z tą tylko różnicą, że obecnie kompetencje tego sądu odnoszą się jedynie do „Gwardji Narodowej". Postępowanie rządu jest na pierwszy rzut oka krzyczącą niesprawiedliwością, lecz przynajmniej niektóre wyjaśnienia rządu wydają się całkiem trafne. I tak dla odparowania zarzutu stronniczości, koła rządowe podkreśliły fakt, że Armja Republikańska, w przeciwieństwie do Gwardji Narodowej, ma za sobą historję walki o niepodległość, że nie narusza porządku publicznego (co, zdaje się, jest wynikiem układu tajnego z rządem, choć rząd i partja *Fianna Fáil* oficjalnie temu przeczą) i że nawet poprzedni rząd nie potrafił się z nią uporać w ciągu swej dziesięcioletniej administracji. W kwestji zaś komunizmu de Valera poprostu ogłosił tajne sprawozdania gen. O'Duffego, jeszcze jako szefa policji, które wykazują istnienie trzech grup tych komunistów, licząc po kilku dziesięciu członków. Więc też de Valera oświadczył, że komunizm uważa osobiście za wielkie fiasko, niezależnie od swoich przekonań katolickich, i nie zamierza bynajmniej ożywiać zamierającego komunizmu przez nowe prześladowania.

Gen. O'Duffy stojąc na stanowisku lojalności wobec władzy, co często podkreślał uprzednio, stosował się do nakazów policji, zakazującej zebrań i pochodów „niebieskich koszul"; z drugiej strony rząd nie stosuje z rygorem Aktu bezpieczeństwa, obawiając się wzbudzenia sympatji mas dla prześladowanej Gwardji Narodowej.

Tymczasem po dłuższych rokowaniach ogłoszono zlanie się całej prawie opozycji w jedną „Partję Zjednoczonej Irlandji", co jednak wcale nie zmieniło sytuacji politycznej. Przedewszystkiem elementy, które się obecnie połączyły, szły i tak ręka w rękę od podpisania traktatu z Anglją aż do chwili obecnej przeciw republikanom. Obie partje t. j. Partja Farmerów, od ostatnich wyborów zwąca się Partją Centrową, miała prawie ten sam program co i *Cumann na nGaedheal* z tą chyba różnicą, że przedstawiała wyłącznie interesy farmerów. Połączenie się zaś Gwardji Narodowej z *Cumann na nGaedheal* jest fikcją, mającą tylko ułatwić

honorowe wycofanie się gen. O'Duffego z jego organizacją z trudnej sytuacji. Wszak i bez tego było publiczną tajemnicą, iż Gwardja Narodowa jest ekspozyturą *Cumann na nGaedheal*. Czy zaś faszyzm znajdzie się w programie tej nowej, zjednoczonej partji, to przyszłe wypadki wnet pokażą, gdyż prezes Partji Centrowej MacDermot opowiadał się przeciw zmianie systemu parlamentarnego. W każdym razie głównym i najbardziej widocznym celem zlania się obu partyj jest próba pozbawienia władzy de Valery, który wysokiemi podatkami, obracanemi na uprzemysłowienie kraju i ulgę dla biednej ludności oraz przez prowadzenie wojny celnej rujnuje warstwy, reprezentowane właśnie w wielkiej mierze przez opozycję.

Jak republikanie tak też i opozycja rozporządza pewnymi zwolennikami, którzy nie zawiodą swoich obozów; walka więc między dwoma obozami wre, raczej o szersze, obojętne masy. A masy te, choć gotowe są w chwili zapału złożyć ofiarę z krwi i mienia w obronie Irlandji, łatwo mogą ugiąć się pod nużącem brzemieniem wojny celnej z Anglją, która przecież jest jedynym rynkiem zbytu i źródłem zakupu. Masy te mogą więc pójść na lep obietnic opozycji, przyrzekającej natychmiastowe odprężenie w postaci pokoju celnego z Anglją. Jednakże opozycja nie może porwać tychże mas szerokim i obiecującym programem polityczno-gospodarczym, głoszonym w dodatku przez tak pociągającą indywidualność, jak de Valera. I właśnie dlatego zarząd opozycji próbuje przeciwstawić de Valerze O'Duffego,[1]) który będzie reprezentował nową zjednoczoną partję wobec kraju, podczas gdy były premjer Cosgrave, który nie może rywalizować z de Valerą w porywaniu mas, będzie prezesem opozycyjnego klubu parlamentarnego.

W ten sposób nowa partja, operująca lepszą organizacją, będzie miała lepsze widoki wyzyskania trudności gospodarczych obecnego rządu republikańskiego. Z drugiej jednak strony naraża się na napiętnowanie jako „tylna straż ustępującego najeźdźcy", gdyż pomoc otrzymywana ze strony

[1]) Gen. O'Duffego nie uwięziono wcale, jak to mylnie podawała prasa polska.

elementów unjonistycznych i przychylność prasy angielskiej względem opozycji wzbudza nieufność wśród wielu nacjonalistów irlandzkich według starej zasady, że polityk irlandzki, który zbiera pochwały od Anglji, powinien natychmiast robić rachunek sumienia.

Jak pokój celny, zawarty przez de Valerę wytrąciłby z rąk opozycji bardzo ważny atut, tak z drugiej strony każde ograniczenie wwozu do Anglji z dominjów podkopuje opozycję w istotnych punktach jej programu. Dlatego też trudno coś powiedzieć o stałości rządów w Irlandji, gdyż ona zależy od międzynarodowej konjunktury gospodarczej.

Tymczasem po fuzji stronnictw skład *Dáilu* niewiele się zmienił. 48 posłów *Cumann na n Gaedheal* wraz z 11 posłami Partji Centrowej tworzy Partję Zjednoczonej Irlandji. Na boku pozostają niezależni posłowie, w liczbie 9, w znacznej mierze protestanci, masoni i eksunjoniści, popierający opozycję przeciw 77 posłom de Valery i 8 z Partji Pracy.

Obraz odradzającej się Irlandji byłby jednak niezupełny, gdybyśmy podkreślili to wszystko, co Irlandczyków dzieli, a przemilczeli elementy, które ich wzajemnie łączą. Tymczasem czynników takiej narodowej jedności wcale nie brak. I tak wskrzeszenie starożytnego języka irlandzkiego i narodowej, celtyckiej kultury łączy we wspólnym wysiłku tak młodych, komunizujących członków Armji Republikańskiej, jak i sędziwych hierarchów katolickiego Kościoła. Toteż biskupi często przewodniczą wielkim popisom narodowym, gdzie się przy dźwiękach starożytnych harf i kobz celtyckich wzkrzesza tańce ludowe. Co więcej prałaci zaczynają nawet osobiście mecze hurlingowe, bo i sport irlandzki ma ważną rolę w nacjonaliźmie irlandzkim. Irlandzki zakon Braci Chrześcijańskich, przodujący w szkolnictwie średniem, wykluczył prawie zupełnie ze swych szkół sport angielski. Tańce, muzyka, sztuka, sport i język irlandzki są popierane przez episkopat z powodu chrześcijańskiego ducha, którym przepojona jest stara kultura celtycka, będąca równocześnie zaporą przeciw anglosaskiej kulturze neopogańskiej. Dlatego też ogromna większość narodu dąży szczerze do „irlandzkiej Irlandji", odwracając

się ze wzgardą od anglofilów, zwanych pogardliwie z irlandzka: *shoneen.*

Tak przedstawia się teraźniejsza Irlandja ze swojemi bolączkami, nadziejami i tarciami. Że zaś Irlandja nie posiada jeszcze wewnętrznego pokoju, to trzeba przypisać niezaspokojonym aspiracjom narodowym, którym nie można odmówić słuszności. Irlandja jednak przemówiła wielokrotnie przez usta swego przezydenta de Valery, że chce być przykładem dla Europy, jak była jej nauczycielką w czasie ciemnego okresu wędrówek narodów, zakładając znowu chrześcijańskie państwo z systemem społecznym i gospodarczym, opartym na chrześcijańskich zasadach.

Dublin w październiku b. r.

Ks. B. Stefaniszyn T. J.

Królowa Jadwiga.

Pamięci ukochanej mej Córeczki.

Królowa Jadwiga nie ma dotychczas monografji odpowiadającej dzisiejszemu poziomowi nauki a w szczególności stanowi dostępnych nam dziś źródeł. Od czasu dzieła Szajnochy, w którem tak wyraziście wystąpiła postać królowej, przybyło nam bowiem źródeł dość wiele; choć i dziś jeszcze w niejednem sięgać trzeba do źródeł archiwalnych, przecież opublikowany materjał jest, mimo luk, wcale obfity. Nie wyzyskał go dostatecznie w swem dziele o królu Władysławie tak zasłużony badacz tych czasów, jak Prochaska, za to w szeregu kwestyj specjalnych osiągnęli nasi badacze doniosłe wyniki, rozsypane dotąd po licznych dziełach i rozprawach, tyczących tej epoki. Ułatwią one niewątpliwie pracę przyszłemu monografiście królowej Jadwigi, przyspieszą pojawienie się tej czy innej z zapowiedzianych o Jadwidze prac syntetycznych.

1. Dzieciństwo królowej Jadwigi.

Dane tyczące najmłodszych lat królowej, jej wieku dziecięcego są też stosunkowo, jak na epokę, w której żyła, dość liczne. Przypisać to należy głównie temu faktowi, że król Ludwik, pozbawiony dziedzica, a sam słabego zdrowia, od chwili przyjścia na świat każdej z córek, myślał o ustaleniu ich losu a z nim i losu swych państw, pociągany w tym kierunku także przez dynastje sąsiednie, bardzo, rzecz prosta, zainteresowane ewentualnym podziałem jego spadku. Bliższe zbadanie licznych a różnorakich aktów związanych

ze sprawą sukcesji córek Ludwika i ich małżeństw pozwoliło nam ostatnio na inne niż dawniej określenie daty urodzenia Jadwigi, rzeczy niezmiernie ważnej ze względu na późniejsze losy jej małżeństwa z Wilhelmem. Datę urodzin Jadwigi przyjmowano dawniej za Długoszem na rok 1371, z czego wynikało, że Jadwiga przybywając do Polski w końcu 1384 r. liczyła już 14-ty, a w chwili pobytu w Krakowie Wilhelma austrjackiego 15-ty rok życia, wiek, który mógł w pewnej mierze dawać poparcie wersjom o romantycznem tle tych wypadków, a w każdym razie dawał Jadwidze warunki do wejścia w związki małżeńskie. Okazuje się wszakże, że data urodzin Jadwigi przypada w istocie nie na r. 1371, ale na czas pomiędzy 3 października 1373 [1]) a 18 lutego 1374 r. najprawdopodobniej na pierwsze tygodnie 1374 r. Jadwiga przybywając do Polski miała zatem dopiero 11-ty rok życia, w chwili zaś przybycia Wilhelma miała skończonych lat 11, że zatem wieku sprawnego do małżeństwa nie osiągnęła, że była dzieckiem, które mogło przeżywać bolesną tragedję, ale wobec którego całe romantyczne tło nie nadaje się do rzeczowego traktowania.

---

[1]) Wykazałem to w mej pracy p. t. *Ostatnie lata Ludwika W.* (Kraków 1918 r.) str. 15—20. Dnia 3 października 1373 r. Jadwigi niema jeszcze na świecie, po raz pierwszy słyszymy o niej 16 kwietnia 1374. Urodzić się wszakże musiała nie przed kwietniem, ale przed 18 lutego 1374 r. skoro 18 lutego 1386 r. zawiera ślub z Jagiełłą, ma zatem skończonych lat 12. Przeciw przyjściu jej na świat wnet po 3 X 1373 a za urodzeniem się jej raczej po 1 I 1374 przemawiają daty wypadków związanych z przybyciem Jagiełły do Polski i zawarciem przezeń ślubu z Jadwigą. Akt Krewski z 14 sierpnia 1385 przesądzał sprawę związku pary monarszej. Dlaczego mimo to Jagiełło nie spieszy do Polski a Polacy nie składają mu aktu elekcji aż w styczniu 1386 r. choć do Krakowa przybywa Wilhelm, co powinno było Jagiełłę i Polaków skłonić do szybszego działania? Tymczasem nawet po usunięciu Wilhelma z Krakowa rzeczy nie posuwają się odrazu naprzód, dopiero 11 stycznia 1386 mamy wołkowyski akt na elekcję dla Jagiełły, zapraszający go na 2 lutego na zjazd do Lublina. Potem już wypadki idą szybko, 4 marca Jagiełło jest już koronowany. Powodem tego jest niewątpliwie fakt, że Jadwiga w styczniu lub z początkiem lutego 1386 r. kończyła lat 12. Sprowadzenie Jagiełły wcześniej, bez możności odbycia ślubu, który musiał poprzedzić koronację, stwarzało niejasną dla obu stron, dla Jagiełły i Polaków, sytuację i dlatego oczekiwano mimo wszystko, przepisanego terminu. Por. też niżej str. 212—14.

Nie bez pewnego znaczenia jest także fakt nadania trzeciej córce Ludwika W. imienia Jadwigi. Wskazuje on, wobec ówczesnego zwyczaju przestrzegania tradycyj rodzinnych przy nadawaniu imion, że zwyciężyły tu tradycje polskie, Piastowskie, przyniesione przez babkę Jadwigi a siostrę Kazimierza W., Elżbietę; imię to, obce Andegawenom a tak częste wśród Piastów, wprowadziła ona w dynastję węgierską niewątpliwie dla osoby swej matki, a żony Władysława Łokietka, królowej Jadwigi.

Już w pierwszych miesiącach życia, bo układem erenberskim z 18 sierpnia 1374, przeznaczono Jadwigę Wilhelmowi austrjackiemu, ur. 1370 r.; po potwierdzeniu go w r. 1375 musiano jednak czekać do ceremonji zaślubin lat kilka, bo do 15 czerwca 1378 r., kiedy to Jadwiga w piątym roku życia zaślubiona została w Hainburgu ośmioletniemu wówczas Wilhelmowi. Po tej ceremonji pozostała przez pewien czas na dworze austrjackim, by w następnym r. 1379 powrócić wraz z Wilhelmem na dwór węgierski. Po kilku miesiącach opuścił jednak Wilhelm Węgry, a Jadwiga pozostała na dworze budzińskim, osieroconym w r. 1378 przez śmierć jej najstarszej siostry Katarzyny, w towarzystwie średniej z córek Ludwika, Marji. Królewny odebrały staranne wychowanie. Kształcono je w języku łacińskim, zaprawiano do czytania dzieł nabożnych oraz uczono robót ręcznych. Prócz języka niemieckiego poznała może Jadwiga w czasie wyjazdów do Dalmacji i włoski; znała też dobrze od wczesnej młodości dźwięki nietylko słowiańskiej mowy ale i języka polskiego. Babka jej otaczała się dworkami polskiemi, na dworze budzińskim chowały się wraz z Jadwigą i Marją, córki Kazimierza W.

Bardzo doniosły wpływ, prócz wykształcenia, musiała wywrzeć na ukształtowanie się umysłu przyszłej królowej cała atmosfera dworu budzińskiego. Dwór był świetny, jeden z najświetniejszych w ówczesnej Europie; obok wspaniałych przyjęć i hucznych zabaw, bogatych poselstw obcych i wystawności miejscowych dygnitarzy uderzać musiała młodociany umysł szczera i niekłamana pobożność nietylko żeńskich członków rodziny królewskiej ale także jedynego wówczas w całej rodzinie mężczyzny, samego króla Ludwika, obja-

wiająca się nietylko w fundacjach i darach dla kościołów, ale także w gorliwości praktyk religijnych. Dużą rolę w religijnem i duchowem życiu dworu odgrywali Franciszkanie, cieszący się podobnie jak Klaryski, tradycyjną życzliwością rodziny królewskiej, która znajdzie u Jadwigi żywy oddźwięk także i w Polsce. Niezatartem wspomnieniem dzieciństwa musiały też zostać dla Jadwigi wspaniałe uroczystości jakie w r. 1381 odbywały się w stolicy Węgier, gdy król Ludwik uzyskał od Wenecji relikwje św. Pawła eremity, niezatartem tem bardziej, że utrwalał je w Polsce założony bezpośrednio potem, klasztor częstochowski. W wielkiej też cenie i poszanowaniu była na dworze węgierskim nauka i uczeni. Król Ludwik, sam wielki miłośnik nauki i protektor jej zarówno w Neapolu jak i na Węgrzech, gdzie założył jednocześnie prawie z Kazimierzem W. uniwersytet (w Pécs) był najlepszym wzorem dla późniejszej odnowicielki uniwersytetu krakowskiego. Rycerskość, ludzkość, umiarkowanie i gorliwość, obok cech powyższych, oraz serdeczne uczucia rodzinne były głównemi przymiotami monarchy w oczach młodocianej Jadwigi; odbicie tych wzorów, na jakie patrzyła, spodziewała się znaleźć w poślubionym sobie małżonku, w przyszłym królu Węgier.

Na królowę węgierską przygotowywał bowiem Ludwik swą najmłodszą córkę i choć w młodości swej zetknęła się z niejednem, co ją na przyszły pobyt w Polsce przygotować mogło, przecież ani ona i jej rodzina, ani Polacy na taką ewentualność się nie przygotowywali. Choć pakt koszycki zabezpieczał i Jadwidze możność osiągnięcia korony polskiej, przecież korona ta, po przedwczesnej śmierci najstarszej królewny Katarzyny, przeznaczona była dla Marji i męża jej Zygmunta luksemburskiego, po kądzieli prawnuka Kazimierza W. Jej to, Marji złożyli Polacy hołd w Koszycach w r. 1379, później zaś 25 lipca 1382 r. nie nadługo przed śmiercią króla Ludwika, starostowie polscy złożyli hołd Zygmuntowi luksemburskiemu jako mężowi dziedziczki Polski. Zaraz też Ludwik wysłał do Polski Zygmunta dla objęcia tam władzy. Ani Zygmunt ani Marja, jak wiadomo, tronu w Polsce nie objęli. Korzystając z tego, że Marja wbrew planom ojca, powołana została na tron węgierski, Polacy

oparli się kumulacji koron, zażądali osobnej władczyni dla Polski, Zygmunta do Krakowa i na Wawel nie dopuścili i zmusili go do opuszczenia Polski.

Są to wszystko fakty bardzo ważne dla przyszłego stanowiska Jadwigi w Polsce. Do chwili śmierci ojca, w oczach Węgrów, Polaków i obcych, a przedewszystkiem Habsburgów, uchodziła ona za dziedziczkę Węgier. Złączenie z niemi sąsiednich krajów austrjackich było geograficznie równie naturalne, jak złączenie Zygmuntowej Brandenburgji z Polską. Wywalczenie sobie przez Polaków u królowej wdowy wyznaczenia do Polski Jadwigi, która po objęciu Węgier przez Marję zostawała bez dziedzictwa, stwarzało nową zupełnie sytuację prawną w Polsce. Polacy paktem koszyckim z r. 1374 zobowiązani byli przyjąć na władczynię Polski, tę z córek Ludwika, którą im król, jego matka lub żona wyznaczą; o wyznaczeniu męża pakt nic nie mówił. Dlatego to Ludwik chcąc usunąć możliwość komplikacyj z tej przyczyny po swojej śmierci, starał się zaraz po wyznaczeniu córki na tron polski o uznanie *via facti* także jej męża. Politycy kierujący ówcześnie polityką polską umieli jednak dobrze interpretować akty Ludwika na swoją korzyść: pozbywszy się Zygmunta, przyjęli z radością wyznaczoną im wkońcu do Polski Jadwigę, ale stali twardo przy tem, że wobec Wilhelma nie mają żadnych zobowiązań, a Wilhelm żadnych praw do Polski. Jedynym punktem zaczepienia dla Wilhelma był ślub hainburski i układy jego ojca z królem Ludwikiem, których Polacy nie uznawali, o uznanie których nikt do nich się nie zwracał. Wiedziano dobrze o tem, że ślub hainburski niczego nie przesądzał, wiedziano, że go rozwiązać i unieważnić można. Na tem budowali swą akcję w stosunku do Jagiełły Polacy, tego też najbardziej lękał się Wilhelm i jego rodzina, nastająca i zabiegająca o to, by Wilhelm jak najprędzej wszedł w prawa małżonka Jadwigi.

2. Tragedja Jadwigi.

Obawy książąt austrjackich nie były płonne. Plany układane z królem Ludwikiem rozsypywały się nietylko w stosunku do Habsburgów. Przecież na Węgrzech, jedno-

cześnie z wysłaniem Jadwigi do Polski rozpoczęto akcję za wydaniem siostry jej Marji za Ludwika francuskiego, nie troszcząc się zupełnie o prawa Zygmunta luksemburskiego. Doprowadzono latem 1385 do zawarcia tego małżeństwa *per procuram* w Budzie, tak że Zygmunt, wkroczywszy w oparciu o Czechy w początkach sierpnia 1385 r. z wojskiem do Węgier, musiał zbrojnie począć dochodzić swych praw. Położenie Habsburgów w stosunku do odległej od nich Polski było nierównie mniej pomyślne, nie mówiąc o tem, że siły ich nie mogły równać się nawet z ówczesną potęgą Luksemburgów. Wypadki zaś w Polsce układały się dla nich równie niekorzystnie jak dla Zygmunta na Węgrzech.

Przybyłą do Polski Jadwigę Polacy niezwłocznie, dnia 15 października 1384 r. w dzień św. Jadwigi ukoronowali; nie czekano aż dojdzie do lat sprawnych,[1]) chciano zakończyć okres bezkrólewia i niepewności i uregulować ostatecznie stosunki przez powołanie do Polski, upatrzonego już wtedy na męża królowej, Jagiełły, upatrywano go zresztą w porozumieniu z jej matką królową Elżbietą. Pertraktacje zaczęte z Jagiełłą jeszcze przed przybyciem Jadwigi do Polski toczyły się po jej przyjeździe w szybszem tempie.[2]) Znane poselstwo litewskie zjawiwszy się w styczniu 1385 r. w Krakowie z ponętnemi dla Polaków warunkami Jagiełły, udało się w towarzystwie kilku panów polskich na Węgry i uzyskało tam od królowej Elżbiety zgodę na małżeństwo z Jagiełłą. Po powrocie poselstwa z za Karpat rzecz jako przesądzoną należało ostatecznie zdefinjować. Polacy wysłali w tym celu na Litwę poselstwo, któremu towarzyszyło dwu węgierskich wysłanników królowej Elżbiety, a które to poselstwo w dniu 14 sierpnia 1385 r. zawarło z Jagiełłą znany układ

[1]) Nieosiągnięcie lat sprawnych nie było przeszkodą do odbycia koronacji. Władysława III ukoronowano w r. 1434 na króla mimo że liczył zaledwie lat 10, a więc na cztery lata przed osiągnięciem lat sprawnych. Nie mógł on jednak jako niepełnoletni potwierdzać praw i przywilejów królestwa, czego dokonał dopiero po osiągnięciu lat sprawnych w r. 1438. Fakt, że Jadwiga, mimo koronacji, nie wydała takiego aktu, chociaż obejmowała władzę jako *verus princeps*, przemawia również za przyjętą wyżej datą jej urodzin.

[2]) Por. ostatnio: Halecki: *Ze studjów nad wielkiem bezkrólewiem.* Spraw. P. A. U. r. 1932, nr. 10, str. 20.

w Krewie; wedle niego Jagiełło miał przyjąć wraz z Litwą chrzest i przyłączyć Litwę do Polski, poślubić Jadwigę a Habsburgom wypłacić przewidziane na wypadek zerwania traktatu o małżeństwo, odszkodowanie. Jak z tego widać, Polacy postępowali lojalnie: Wilhelma przyjąć nie chcieli, ale do tego niczem nie byli zobowiązani. Męża dla Jadwigi szukali w porozumieniu z jej matką, do której Habsburgowie winni byli mieć więcej pretensyj niż do nich.

Pierwszem i zasadniczem spostrzeżeniem, jakie przy rozważaniu gry o rękę Jadwigi trzeba uczynić to to, że nie była to gra bynajmniej osobista, ale polityczna. Polacy szukali najodpowiedniejszego dla siebie króla; Elżbieta pozbyć się chciała podobnie, jak na Węgrzech, niemieckiego zięcia, Habsburgowie zaś, którym wymknęło się z rąk królestwo węgierskie *pro quo duces Austriae plurimum desudarunt*[1]) pragnęli zdobyć dla siebie inne wielkie państwo, stać się nareszcie wielką potęgą dynastyczną, równą Luksemburgom czy Andegawenom. Jedenastoletnia królowa, stojąca w środku tej gry jedna jedyna brała uczuciowo rozgrywające się wypadki, nie orjentując się jeszcze, że podobnie jak jej siostra Marja, jest tylko podmiotem, a nie przedmiotem rozgrywających się wypadków politycznych.[2])

Plan małżeństwa z Jagiełłą nie był oczywiście tajemnicą dla dworu habsburskiego. Najprawdopodobniej na wieść o tem, że Polacy przystępują do sfinalizowania umowy z Jagiełłą za zgodą królowej Elżbiety, postanowił Leopold austrjacki przystąpić do akcji bezpośredniej, przeprowadzić faktyczne połączenie młodej pary. Udał się do Budzina, gdzie królowa Elżbieta znalazła się w niespodzianie i szybko zmienionem na swą niekorzyść położeniu. Sytuacja, w której wdowa po Ludwiku zapraszała na tron węgierski księcia francuskiego i dlatego tem chętniej zgadzała się na sprowadzenie do Polski w. księcia Litwy, ustępowała miejsca innej: pod presją wojsk Luksemburczyka musiała królowa porzucić niedawne plany, godzić się z Zygmuntem, a nie zrażać sobie Habsburgów i nie przyczyniać wrogów. To też Leopold

[1]) Pez: *Scr. rer. austr.* II, str. 819.

[2]) Por. St. Zakrzewski: *Wypadki z lat 1382—86,* Pam. V Zjazdu Hist. Pol. str. 350.

wyzyskując te trudności, zmusił ją łatwo do porzucenia planu litewskiego i do wystawienia mu wraz z Marją i kilku dygnitarzami 27 lipca 1385 r. dokumentu, w którym królowa wyrażała swą zgodę na to, że najdalej do 15 sierpnia rozpocznie się pożycie małżeńskie między Jadwigą a Wilhelmem oraz delegowała obecnego wówczas w Budzie Władysława ks. Opolskiego do dopilnowania tego, by małżeństwo to istotnie zostało spełnione. W dwa dni potem, 29 lipca, Leopold wystawił ze swej strony dokument, w którym zobowiązywał się do wypłacenia zawarowanego dawnemi traktatami wiana, jak tylko Wilhelm *ad praedictam suam conthoralem adpositus fuerit.*

Uderza w tych postanowieniach niesłychany pośpiech. Książe austrjacki, mający przecież tyle czasu na przygotowanie swej akcji, bo od przybycia Jadwigi do Polski dziesiąty mijał miesiąc, teraz pragnie osiągnąć *consummationem matrimonii* w ciągu dobrych 2 tygodni, nie bacząc na odległość Budzina i Wiednia od Krakowa. Jeżeli przyczyną układu byłoby dojście Jadwigi do lat sprawnych, to dlaczegoż niema o tem, najważniejszym z punktu widzenia prawnego, momencie, żadnej wzmianki w traktacie? Niema zaś dlatego, że, jak wiemy, moment ten nie zachodził, a przyczyną traktatu budzińskiego była obawa przed finalizacją umowy z Jagiełłą. Jakoż wyznaczono termin 15 sierpnia jako najkrótszy, w jakim wogóle możliwe było przybycie Wilhelma i jego opolskiego opiekuna do Krakowa. Jeżeli obliczymy ten czas wedle ówczesnych możliwości podróży, to musiał on wynieść dni kilkanaście. Leopold i Opolczyk opuścić mogli Budę najwcześniej 29 lipca, musieli udać się do Wiednia, skąd Opolczyk zabrać miał Wilhelma i skarby potrzebne na akcję w Polsce; już ta podróż zająć musiała, nawet przy pośpiechu, około 5 dni; dwa razy dłuższa podróż z Wiednia do Krakowa i to najpewniej przez posiadłości Opolczyka, około 9—10 dni. Słowem przy pośpiechu nawet, mogli obaj książęta znaleźć się w Krakowie mniej więcej 15 sierpnia, jeżeli nie później, i dopiero wówczas przystąpić do działania.

Na czem a raczej na kim mogły się plany austrjackie opierać? Jeśli nawet słuszne jest przypuszczenie, że Opolczyk udał się nad Dunaj w porozumieniu z Jadwigą, to

przecież na dworze habsburskim nie łudzono się z pewnością co do tego, by wola małoletniej królowej i pergamin aktu budzińskiego wystarczyły Wilhelmowi do opanowania już nie królestwa, ale samego nawet zamku wawelskiego, wbrew woli przemożnej grupy magnatów, rządzących wówczas losami Polski. Trzeba było mieć jakieś realne podstawy działania. Któż do nich należał? Niewątpliwie najpierw sam Opolczyk, cenny nietylko ze względu na swą zręczność i obrotność, ale dlatego, że jego polskie lenno otrzymane od Ludwika W. sięgało w najbliższe okolice Krakowa (poza Olsztyn i Bobolice). Ono to zabezpieczało Wilhelmowi punkt oparcia w Polsce niezależnie od Krakowa, tam może zatrzymał się on w gościnie u Opolczyka przed wjazdem do Krakowa, tam szukał zapewne schronienia po usunięciu go ze stołecznego grodu. Niemniej cennem oparciem było samo miasto Kraków, gdzie niemieckie mieszczaństwo i niektóre klasztory (Franciszkanie) sprzyjały Wilhelmowi, a nie nieznanemu i obcemu Jagielle. Przecież Kraków złożył Jagielle hołd dopiero wkońcu 1387 r. prawie w dwa lata po koronacji i to na wyraźne polecenie królowej Jadwigi. Oczywiście posiadanie miasta nie decydowało o wszystkiem. Kraków-miasto nie był stolicą. Był nią gród wawelski, dobrze strzeżony, ale o opanowanie go łatwiej kusić się można było, gdy się miało w ręku miasto. Nie mogli też panowie krakowscy przeszkodzić wjazdowi księcia do miasta, którego bram strzegła straż miejska a nie ludzie starosty. W mieście też stanął Wilhelm, tam zetknąć się też mógł z Jadwigą, czemu przeszkodzić było trudno, względnie czemu do czasu zapadnięcia decyzji na Litwie, przeszkadzać nie chciano [1]). Poza miastem opowiadać się mógł za Wilhelmem niejeden z rycerstwa, jak przykładem tego osławiony Gniewosz z Dalewic, wiedziony czyto chęcią zasłużenia się królowej a raczej jej przyszłemu mężowi, czy stosunkami z Opolczykiem. Mógł nadto Opolczyk liczyć, jak się zdaje, i na swoich mazowieckich szwagrów, którzy w stosunku do Jagiełły mogli być cenną pomocą.

[1]) Por. Zakrzewski o. c. str. 351.

Przybycie Wilhelma do Krakowa związane jest z kardynalnym punktem tragedji Jadwigi, z kwestją, czy śluby hainburskie zostały istotnie na zamku krakowskim zrealizowane, czy pomiędzy Wilhelmem i Jadwigą nastąpiła istotnie konsumacja małżeństwa. Kwestja ta była wielokrotnie rozpatrywana. Szajnocha i Smolka dokonali bardzo starannego i sumiennego rozbioru dotyczących źródeł; pierwszy z nich rozprawił się też w sposób bardzo przekonywujący z wywodami dawniejszemi (w szczególności ks. Łętowskiego) i obydwaj doszli do zupełnie negatywnego wyniku, do wniosku, że Wilhelm nie wszedł w prawa małżonka Jadwigi. Dzisiaj przy rozpatrywaniu tych źródeł trzeba rozważyć jednak jeszcze jeden moment, którego poprzednio nie brano pod uwagę, a mianowicie młodszy o wiele wiek Jadwigi, brak lat sprawnych, co całą kwestję w każdym wypadku w innym stawiałoby świetle. Oczywiście, że rozważania w tej mierze opierać trzeba wyłącznie na źródłach współczesnych, odróżniając je starannie od źródeł nawet tylko o kilkadziesiąt lat od nich późniejszych, na których za to doskonale śledzić można jak rosła, potężniała i doskonaliła się sensacyjna opowieść, zmierzająca do zmienienia tragicznych przejść Jadwigi w skandal.

Przejdźmy pokolei te współczesne i jedynie w tym wypadku miarodajne źródła. Pierwsze z nich, to słynna zapiska w księdze proskrypcji m. Krakowa, głosząca, że w wigilję św. Bartłomieja (23 sierpnia), po dopełnieniu ślubów małżeńskich królowej, na jej polecenie i prośbę wypuszczono skazańców, zamkniętych w więzieniu miasta[1]). Na pierwszy rzut stwierdza ona, dla dzisiejszego czytelnika konsumację małżeństwa Jadwigi. Dla czytelnika współczesnego, a jego okiem oceniać musimy jej treść, znaczy ona o wiele więcej i o wiele mniej zarazem. Oznacza ona, jak to już Smolka[2]) słusznie zauważył, przedewszystkiem to, że Wilhelm dostał się na zamek jawnie i otwarcie. Wyobra-

[1]) *Notandum, quod in vigilia sancti Bartholomei post nupciarum domine regine consummationem, commisum et rogatum fuit per eandem dominam reginam ut captivi omnes, qui profunc in civitatis detencione habentur, deberent liberari...* Najst. ks. m. Krakowa II, str. 63.

[2]) Smolka: *W pięciowiekową rocznicę*, str. 125.

żanie sobie, że książę mający tą drogą osiągnąć tron, zjawi się na zamku cichaczem, pokryjomu, by znienacka zaskoczyć kraj faktem dokonanym, nie liczy się z całym aparatem prawno-zwyczajowym średniowiecza. Pokładziny, o jakich tu mowa, były uroczystością obchodzoną hucznie nawet w domach mieszczańskich, cóż dopiero magnackich czy książęcych; odbywały się uczty i zabawy nieraz kilka dni trwające; młodą parę odprowadzano w uroczystym pochodzie do komnaty, dopełniając różnych obrzędów [1]). Tem bardziej przestrzegać musiano, by wszystko odbyło się wedle uświęconego zwyczaju tu, gdzie szło o parę królewską. Jeśli Wilhelm spotykał się z Jadwigą na dwornych przyjęciach u Franciszkanów, to wjechać musiał na zamek równie dwornie i okazale. Jakże się to stać mogło, skoro zamek był strzeżony i był w ręku przeciwnych Wilhelmowi panów małopolskich? Odpowiedź na to musi być jedna: zamek został opanowany przez zaskoczenie, podstęp czy zamach, oczywiście nie Wilhelma, bo ten mógł mieć co najwyżej orszak dworski ze sobą, ale Opolczyka i jego ludzi. Opolczyka bywałego na zamku, mającego wszędzie drogi i stosunki, mającego do pomocy ludzi typu Gniewosza z Dalewic. Zamachy udane i nieudane na zamek wawelski nie są w tych czasach rzadkością. Nie udał się wprawdzie w r. 1383 zamach Ziemowitowi mazowieckiemu, nie udał się plan opanowania Wawelu przez (nie wpuszczonego tam już w r. 1382) Zygmunta Luksemburskiego w r. 1384, ale zamach Opolczyka z 23 sierpnia 1385 widocznie się udał, bo inaczej Wilhelm nie mógłby był dostać się na Wawel; panowie krakowscy, którzy tegoż dnia wieczorem gardłem mu grozili, napewno go tam dobrowolnie nie wpuścili. Nie była to zresztą jedyna tego rodzaju próba ze strony Opolczyka, bo w r. 1389 raz jeszcze takiego chwilowo udałego zamachu na Wawel z pomocą krakowian dokonał, by zań jednak bardzo drogo zapłacić [2]).

Zamek był w ręku ludzi Opolczyka, Wilhelm wjechał uroczyście na Wawel; rozpoczęto uroczystości weselne po-

---

[1]) Grupp: *Kulturgesch. des Mittelalters* VI, str. 72—72.

[2]) *Historja Śląska do r. 1400* (Pol. Ak. Um. 1933) t. I, str. 556.

przedzające pokładziny a ludowi krakowskiemu poleciła królowa obwieścić tę nowinę i na znak radości poleciła zwolnić więźniów. Tyle wiedział i wiedzieć mógł pisarz miejski, od którego pochodzi wspomniana zapiska; nie był on przecież osobistością urzędową, powołaną do stwierdzenia aktu pokładzin, wpisywał rzecz do księgi nie z racji pokładzin, ale dla urzędowego stwierdzenia, z jakiej przyczyny więźniów zwolniono, za których sąd miejski odpowiadał; pisze też dalej o poszczególnych więźniach a nie o tem, co działo się pozatem na zamku, bo to już z tokiem urzędowania sądu nic nie miało wspólnego.

Co się zaś dalej działo na zamku, to podają nam współczesne, a co do swej bezstronności i wiarogodności w tym wypadku zupełnie niepodejrzane źródła niemieckie, jakiemi są informacje Ludolfa, Niemca, opata żegańskiego oraz zapiski austrjackiej kontynuacji kroniki Paltrama. Pierwszy z nich, piszący jeszcze za życia Jadwigi, informuje nas, że Jadwiga uważana jest za prawowitą małżonkę Jagiełły a nie Wilhelma zarówno dlatego, że ją *dux Australium numquam corporaliter cognovit*,[1]) jak i z tej przyczyny, że w chwili niedoszłych pokładzin nie miała jeszcze lat sprawnych, dając przez to jeszcze jedno potwierdzenie wyżej podanym naszym wywodom co do wieku Jadwigi. Drugi z nich, piszący w Austrji pod bokiem żyjącego jeszcze Wilhelma, notuje pod r. 1403 z racji jego małżeństwa, iż kiedy przystępowano pierwszego wieczora do pokładzin młodej pary, panowie polscy zagrozili mu gardłem, tak że tylko dzięki ostrzeżeniu Jadwigi zdołał pokryjomu umknąć, by więcej nie wrócić.[2]) Poda opis tych wypadków zgodnie z temi współczesnemi źródłami i Długosz, piszący o tem w 80 lat później, choć dojdą go też wówczas i inne, jak

---

[1]) *Dicunt autem eam huius secundi et non primi iam esse uxorem legitimam, quia cum eam tulerunt de cubili ducis Austrie, tam invenis et impubes extitit, quad licet infer eos fuissent sponsalia contracta, tamem propter defectum etatis matrimonium nullum fuit, presertim quia, et ipsidicunt, eam dux Australium numquam corporaliter cognovit.*

[2]) *Barones et potentiores, sicut debuit dormire cum regina in proxima nocte, voluernut ipsum iugulare et sic furtive evasit et amplius non redibat.* Pez. Scr. rer. austr. I, str. 728.

zobaczymy, wieści. Stwierdza on, że Wilhelm wprowadzony na zamek krakowski dla dopełnienia małżeństwa z Jadwigą został na polecenie panów polskich, przeciwnych tym pokładzinom, tak z zamku, jak z sypialni królowej sromotnie usunięty i możliwości stosunków małżeńskich z królową zupełnie pozbawiony [1]).

Źródła te pozwalają nam odtworzyć z dużą dokładnością przebieg krytycznego dnia wigilji św. Bartłomieja. Wedle nich w dniu tym Wilhelm wjechał jawnie na zamek krakowski, opanowany, jak się zdaje, chwilowo przez ludzi mu przychylnych; wśród zwykłych w takich razach uroczystości ogłoszono miastu dopełnienie małżeństwa królowej, ale zanim jeszcze do niego istotnie przystąpiono *(sicut debuit dormire cum regina in proxima nocte*, a więc przed pokładzinami, mówi wspomniane źródło austrjackie), zjawili się na zamku zaskoczeni tem, co się stało, panowie polscy, których siłom ani Wilhelm ani Opolczyk oprzeć się widocznie nie mogli [2]), grożąc że zgładzą śmiałka *(voluerunt ipsum iugulare)*. Grozili zaś gardłem Wilhelmowi nietylko dlatego, że zamierzał tą drogą dojść wbrew ich woli do tronu, ale i dlatego, że chciał dokonać *consummatio matrimonii* z dzieckiem nie mającem lat sprawnych. Świadectwo niepodejrzanego w tej mierze Ludolfa, stwierdzające, że Jadwiga była wówczas *impubes* i stwierdzające *defectum aetatis* pokrywa się doskonale nietylko z oznaczoną wyżej datą urodzin Jadwigi, ale z niezmiernie cennem, bo zapisanem bezpośrednio po fakcie świadectwem kalendarza krakowskiego, a mianowicie, że Jadwiga przed ślubem swym z Jagiełłą, jako będąca już w latach sprawnych, ogłosiła za nieważne zawarte w dzieciństwie małżeństwo z Wilhelmem [3]). To podkreślenie przez źródła braku lat sprawnych Jadwigi w sierpniu 1385 a po-

[1]) *Dum ad Cracoviensem arcem thalami secreta cum Hedvigi Regina susceptura cubilia perductus esset, cura et mandato baronum Polonie quibus copulatio ipsa summopere displicebat, tam ex arce, quam ex thalamo cum dedecore et iniuria exclusus, expulsusque est, et ab omni carnali commercio Regine predicte sequestratus.* Hist. III, str. 457.

[2]) W r. 1389 opanował Opolczyk Wawel także tylko na kilka godzin. *Rachunki dworu króla Władysława Jagiełły.* str. 99.

[3]) *Tamen tunc existens in annis maturitatis publice ... ipsa sponsalia ... irritavit et revocavit. Mon. Pol. II, str. 913.*

siadanie ich w lutym 1386 r. nietylko umacnia obliczenie jej wieku, ale zarazem jest najlepszym komentarzem dla czynu panów krakowskich i kroku Wilhelma. Ten stan rzeczy jest jednakże wytłumaczeniem jednego jeszcze ważnego faktu, a mianowicie losów małżeństwa Jadwigi w Kurji papieskiej. Nie wytaczano jej tam ze strony polskiej. Dla episkopatu polskiego postanowienia prawa kanonicznego w tej mierze [1]) i ostateczna decyzja Jadwigi wystarczały dla uznania nieważności związku jej z Wilhelmem i zawarcia ślubu z Jagiełłą. Poruszono wreszcie tę rzecz w Kurji, gdzie zabiegali o to zwłaszcza najlepsi przyjaciele i obrońcy sprawy Wilhelma, Krzyżacy, dla których obalenie małżeństwa Jagiełły, ogłoszenie nawrócenia jego i Litwy za fikcyjne było jednym z głównych filarów kampanji o rozbicie groźnego dla nich związku Polski z Litwą. Okazało się wszakże, że Wilhelm, choć uporczywie podtrzymywał ważność swego małżeństwa z Jadwigą, wolał narazić się na przegraną w tak ważnej dla siebie i dla Krzyżaków sprawie, niż zjawić się w Kurji. Cóż tam bowiem go oczekiwało? Oczekiwały go zeznania świadków, mających opisać dokładnie to, co się stało na zamku krakowskim, a co nawet, pominąwszy złośliwe szczegóły krążące na temat jego ówczesnego a mało męskiego zachowania się, [2]) żadną miarą ani miłe ani co ważniejsza na korzyść jego praw przemawiające nie było. Licząc się z pewną przegraną, wolał się książę w Rzymie nie pokazywać.

Obroniono ze strony polskiej cześć Jadwigi [3]) i obroniono związek jej z Jagiełłą, ale konsekwencyj wynikłych z irytacji tych co przegrali, Wilhelma, a zwłaszcza Krzyżaków, uniknąć się nie dało. Zaczęła rość skandaliczna plotka o Jadwidze, rość tak, jak kłamliwe wieści o Jagielle i Litwie. Puszczali je w świat Krzyżacy, nie szczędził czci Jadwigi i zirytowany Wilhelm i bliscy dworowi pisarze austrjaccy. Im późniejsze źródło, tem więcej wie szczegółów o tem, co było na zamku krakowskim w r. 1385. Współcześni wiedzieli, że Wilhelm nocy nie doczekał na Wawelu, późniejsi

---

[1]) Cytuje je Szajnocha: *Jadwiga i Jagiełło* (wyd. 1861) III, str. 352.
[2]) Por. Mon. Pol. Hist. II. str. 862.
[3]) Długosz: *Historia*, III, str. 533.

w 70—80 lat potem wiedzieli, że mieszkał tam dni piętnaście. Współczesne źródła mówią o tem, że Jadwiga ostrzegła Wilhelma, późniejsze każą jej romantycznie spuszczać go z okna po sznurze. Tak rozwijała się aż do drugiej połowy XV w. wersja, która nie ominęła i Polski; nie omieszkał jej wedle swego zwyczaju zanotować i Długosz. Zanotował ją zaś w czasach, kiedy hodowana na dworze austrjackim opowieść [1]) mogła być w Polsce powtarzana, częściej niż kiedykolwiek; brakło już wówczas Zbigniewa Oleśnickiego zabiegającego jeszcze o kanonizację Jadwigi, a kwitnęły wpływy bliskiej swemu stryjecznemu dziadowi Wilhelmowi, Elżbiety Habsburskiej, żony Kazimierza Jagiellończyka, którym bodaj w pierwszym rzędzie przypisać należy przytłumienie tak żywego w pierwszej połowie XV w. kultu królowej Jadwigi.

W ten sposób dokonała się tragedja Jadwigi, tragedja podwójna: oderwano ją od człowieka do którego lgnęła całem swem dziecinnem, lecz tem gorętszem sercem, skłoniono ją w imię wielkich idei do małżeństwa z Jagiełłą, a jednocześnie znaleźli się ludzie, którzy mimo to nie wahali się uderzyć na jej cześć niewieścią; nie zawahał się nawet sam Wilhelm.

Przypuśćmy wreszcie na chwilę, że wbrew tym wszystkim tak oczywistym świadectwom źródeł współczesnych rację mają kronikarze austrjaccy i krzyżaccy, piszący o Jadwidze wyraźnie pod kątem politycznego interesu swych władców i rację mają ci, co za niemi te wersje powtarzają. I w takim razie nie byłoby tu sensacyjnej przygody romantycznej, ale jedynie byłaby jeszcze większa, jeszcze boleśniejsza tragedja jedenastoletniego dziecka, postawionego u progu życia w najstraszniejszą rozterkę, opuszczonego przez najbliższych, szukającego opieki i pociechy tylko u Tego, u którego w istocie je znalazła, u Boga.

3. Wielkość Jadwigi.

Wielkość Jadwigi leży wszelakoż nie tylko w jej cierpieniu, w jej poświęceniu, w jej historycznej decyzji powziętej w chwili jej kończącego się dzieciństwa. Leży ona przede-

[1]) Z dworu austrjackiego zaczerpnął ją Eneasz Sylwiusz.

wszystkiem w tem co zdziałała, co zamierzyła, co przeprowadziła jako dorosła, świadoma swych czynów kobieta. Te lata królowej, tak doniosłe dla Polski, lata, które zadecydowały o tem, że ostał się związek Polski i Litwy, że utrwaliło się uchrześcijanienie Litwy, że Polska odzyskała Ruś i przygotowała się moralnie, politycznie i materjalnie do zbliżającej się nieuchronnie rozprawy z Zakonem, pokryła niewdzięczna niepamięć, przypisującą wszystko nowemu słońcu, około którego formalnie wszystko się obracało, Władysławowi Jagielle. Niewielu pamięta o słusznem spostrzeżeniu dzisiejszego historyka, że „był to człowiek szczęścia, przez fortunę wysoko wyniesiony. Choć poganin — ochrzcił Litwę, choć nie wojownik, nie ruszywszy mieczem — odniósł największe zwycięstwo pod Grunwaldem, choć analfabeta — założył uniwersytet Jagielloński“ [1]); zapomina się o tem, że ta Jagiełłowa fortuna miała za podstawę pracę, myśli i czyny innych, którym niezawsze ten człowiek szczęścia się wywdzięczał, miała przedewszystkiem ducha opiekuńczego. w postaci Jadwigi, jej wielkiego umysłu, wielkiej kultury, wielkiego poświęcenia i samozaparcia się. Nie zdajemy sobie sprawy, że związek z Litwą i małżeństwo Jadwigi z Jagiełłą rozpętało nad Polską burzę, która trwała parę lat w bardzo ostrej formie, która nie obeszła się bez groźnych dla Jagiełły wstrząśnień wewnętrznych i w Polsce i na Litwie. Że ją nowy król i oba jego państwa przetrwały, na to przedewszystkiem złożyła się praca i rozum tego grona wielkich Polaków, którzy związek polsko-litewski doprowadzili do skutku, a którzy teraz skupili się przy Jadwidze. W ciągu kilku lat najbliższych po ślubie z Jagiełłą Jadwiga przeszła olbrzymią ewolucję; w ogniu jej cierpień dojrzały i zabłysnęły wspaniale te wszystkie ukryte, czy z lat dziecinnych zaczerpnięte, skarby jej ducha i jej serca. Pomiędzy narodem dla którego się poświęciła i który zrozumiał już wtedy wielkość jej ofiary wytworzył się niespotykany bodaj w dziejach naszych związek myśli i uczuć. Jadwiga straciwszy to wszystko co mogło dać jej osobiste szczęście, wytężyła wszystkie siły drugiej połowy swego życia, aby dać narodowi i państwu

[1]) Sobieski: *Dzieje Polski* I, str. 55.

polskiemu wielkość i potęgę, zapewnić mu możność świetnego rozwoju, stała się znakomitym rzecznikiem polskiej racji stanu. W otoczeniu jej powstały lub od niej osobiście wzięły początek wszystkie wielkie przedsięwzięcia tego czasu. Niezatarte ślady zostawiła ona na dziele nawrócenia Litwy. Z kół jej bliskich pochodził pierwszy biskup wileński, dawny spowiednik jej babki i zaufany dworu andegaweńskiego Andrzej oraz tak zasłużeni dla nawrócenia Litwy misjonarze franciszkańscy. Ona to, Jadwiga nawiązała kontakt z Pragą i by zyskać dla Litwy potrzebnych misjonarzy, jeszcze przed odnowieniem uniwersytetu krakowskiego otworzyła w Pradze bursę dla kształcących się tam duchownych Polaków i Litwinów.[1]) W tym samym celu zabiegała królowa w Rzymie o pozwolenie na fundację wydziału teologicznego na Wszechnicy Krakowskiej i uzyskawszy je jeszcze za swego życia, tem samem przesądziła wznowienie Uniwersytetu. Dokonawszy wielkiej ofiary osobistej dla nawrócenia Litwy, robiła do końca życia wszystko, by to nawrócenie istotnie i naprawdę, a nie tylko z imienia się dokonało. Bez planowych i na cały szereg lat naprzód prowadzonych starań i zabiegów królowej, bez jej testamentu i bez upartej woli tych jej najbliższych, którzy postanowili, gdy jej brakło, nie dać upaść jej myśli, niewiadomo czy wznowienie Uniwersytetu byłoby się wogóle dokonało lub na długie dziesiątki lat nie odwlokło. Ironja dziejów związała to odnowienie z imieniem tego, który formalnie tylko go dokonał, który doniosłości tego aktu i jego potrzeby w należytym stopniu nie rozumiał, który w swym dokumencie imienia świeżo zgasłej twórczyni tego dzieła ani pierwotnego założyciela Kazimierza nie wspomniał, choć współcześni jasno zdawali sobie sprawę, komu Polska zawdzięczała swą „perłę nauk".

Nie na tej jednej tylko sprawie położył cień charakter Jagiełły i brak istotnej życzliwości dla tej, której tyle zawdzięczał. Niejedno oczywiście tłumaczyć można duchem czasu, który inaczej układał stosunki między małżonkami niż w bliższych nam epokach, choć nie można zapominać

---

[1]) Fijałek: *Uchrześcijanienie Litwy przez Polskę.* Polska i Litwa, str. 120 i n.

i o tem, że pewne zwyczaje i poglądy świeżo w kraj nowej kultury wprowadzonego Jagiełły, dzieliła cała przepaść od subtelnych obyczajów wychowanki dworu andegaweńskiego. Niemałą rolę odegrała tu chorobliwa niemal podejrzliwość i nieufność Jagiełły. Żaden z władców polskich nie zaznaczył się tak uporczywem godzeniem na dobre imię swych żon i reputację własną, co Jagiełło; nie wchodząc w pobudki kierujące nim, stwierdzić trzeba, że przyczyniało się to tylko do osłabienia autorytetu samego króla, jak tego słynna historja z oszczerstwami Gniewosza z Dalewic jest przykładem. Kiedy się okazało, że oszczerstwami nie da się podkopać stanowiska królowej, kiedy się okazało, że znajdzie ona obrońców, którzy nie cofną się i przed królem, Gniewosz poszedł pod sąd, ale tym który istotnie przegrał był król, zresztą niewiele tem doświadczeniem nauczony.[1])

Zawziętym, ze względów politycznych przeciwnikiem królowej był Witold, choć interwencji jej i jej bliskich zawdzięczał korzystny dla siebie kompromis z Jagiełłą, który wyzyskiwać począł niezwłocznie w celu rozbicia związku Polski i Litwy. Zwalczał Jadwigę tylko dlatego, że w imię swych praw i interesów Polski stała na straży tego, do czego Jagiełło zobowiązał się, biorąc ją za żonę, stała na straży przynależności Litwy i Rusi do Polski. W antagoniźmie Jadwigi i Witolda tkwiło bowiem coś więcej, tkwiło przeciwieństwo, jakie wynikało z obrony przez Jadwigę istoty na-

[1]) Szersza opinja nasza, znająca dobrze epizod z Gniewoszem, mało jest poinformowana o tem, że dalekó bardziej ostre zatargi dzieliły króla od jego żon późniejszych i że przechodziły w gorszące cały kraj, a kończone zawsze wycofaniem się króla, rozprawy. Na kilka miesięcy przed powiciem córki przez drugą żonę Jagiełły, Annę, król chwycił się rzucanych na nią podejrzeń i polecił ukarać trzech odrazu rycerzy, których obwiniano o stosunki z królową. Dopiero po energicznem wystąpieniu panów rady ogłosił król żonę za niewinną, a rzecz skończyła się podobnie jak za czasów Jadwigi, gdyż Klemensowi z Moskorzewa jako autorowi podejrzeń, kazano je publicznie odwołać po przeprowadzeniu procesu. Długosz, *Hist.* III, str. 569. Podobny zarzut spotkał królowę Zofję przed urodzeniem się Kazimierza Jagiellończyka; pod wpływem Witolda: obwiniono szereg rycerzy, królowa po urodzeniu się syna musiała składać przysięgę oczyszczającą. Długosz *Hist.* IV. str. 346 i n. O zarzutach tego rodzaju przeciw królowej Zofii słyszymy jeszcze w r. 1431. Ibidem str. 436.

rodowego państwa polskiego opartego o katolicką, łacińską kulturę, przeciw pomysłom, jakie Witold tak jasno rozwinął zwłaszcza wtedy gdy jej brakło, przeciw zużyciu Polski dla interesu Litwy, i utopienia Polski w jakimś mgławicowym organizmie, w którym schizma Rusi i indyferentność nowo nawróconej Litwy, do których później przyłączył się husytyzm czeski, miały przygłuszyć kilkowiekowe tradycje polityczne i kulturalne Polski. Wzmaganie się wpływów Witolda, coraz większe liczenie się z nim ze strony Jagiełły, a wreszcie brak potomstwa zatruły ostatecznie stosunek Jagiełły do Jadwigi w ostatnich latach jej życia. Jagiełło o słabem stanowisku wobec dziedzicznej „przyrodzonej" pani królestwa, jaką była mimo wszystko, usuwana na drugi plan Jadwiga, marzył o potomku, któryby stanowisko jego umocnił, któryby po matce swej miał również dziedziczne do Polski prawo i dynastję jego ostatecznie utrwalił. A kiedy go ta nadzieja na dziedzica zawiodła, nie zjawił się przy łożu konającej Jadwigi, na którą już oczy współczesnych patrzyły jako na świętą.

Przepiękne świadectwo kalendarza krakowskiego i charakterystyka Długosza, sławiące ją jako opiekunkę ubogich i uciśnionych, szerzycielkę sławy Bożej, pełną pokory, przebaczenia i zaparcia się siebie, spędzającą czas na dobrych uczynkach, modlitwie i czytaniu ksiąg świętych potwierdzają w zupełności słowa, jakie znany nam opat żegański Ludolf napisał jeszcze za jej życia, sławiąc ją że żyje dla Boga nie dla świata[1]); a żyła tak jedna z najpotężniejszych władczyń chrześcijaństwa, kobieta wielkiego ducha i serca, o słynnej na cały świat piękności,[2]) budując sobie na wieki pomnik w sercach Polaków.

---

[1]) *Ipsa enim regina operibus bonis plena Deo non mundo militat humilitati vacans superbire penitus ignorat et magistros virosque doctos Deum timentes a longinquis ad se vocans partibus non minimum pro sua et aliorum salute laborat.* Stenzel, str. 218.

[2]) *„neque enim pro ea tempestate in orbe universo parem in pulchritudine estimata est habuisse"* mówi Długosz. Hist. III, str. 459, a potwierdza to daleka kronika padewska: *„avete a sapere, come per tutte le parti del mondo era nota la chiara e splendida bellezza della sopranarrata regina".* Muratori Script. T. 17, str. 502.

Ukochali ją też współcześni, rozumiejąc istotę jej wielkości, rozumiejąc, że tworzyła wielkie rzeczy i dążyła do wzniosłych celów, że napotykała na przeszkody i ciosy ze strony tych najczęściej, którzy jej pomoc, wdzięczność i życzliwość byli winni, że sercem, że wyrzeczeniem się własnego ja, „głęboką pobożnością, miłością ku Bogu bez granic" przezwyciężała trudności stawiane na jej drodze przez ludzi.

Jan Dąbrowski.

Szkolne czasy ks. Jakóba Wujka T. J.

jako przygotowanie do jego działalności kaznodziejskiej.

(Dokończenie)

W archiwum OO. Jezuitów w Rzymie, w księdze zawierającej daty wstąpienia do zakonu nowicjuszów, znajduje się notatka, że Jakób Wujek, mając lat 25 wstąpił do Towarzystwa Jezusowego 25 lipca 1565.[1]) W manuskrypcie z tego samego czasu, zawierającym wykaz wszystkich ojców i braci kolegjum rzymskiego, zapisany jest Jakób Wujek wśród scholastyków, którzy w r. 1567 oddawali się studjom. W kolegjum tem, na wydziale teologicznym uczyli wtedy: OO. Jakób Ledesma, Franciszek Toletus, Piotr Parra i Achilles Gagliardi.

W nowicjacie Wujek pozostawał niecałe dwa lata, bo już w roku następnym 8 grudnia 1566 składa śluby pojedyńcze.[2]) Przepis o dwuletnim pełnym nowicjacie[3]) wszedł w życie dopiero od r. 1594.

Przełożonym nowicjatu i mistrzem życia wewnętrznego był O. Juljusz Fatio.[4]) Był on również i mistrzem św. Stanisława

---

[1]) Ingressus Novitiorum ab an. 1565 ad an. 1586: „Jacomo Polono, di età di 25 anni, che era intrato nella Compagnia a di 25 di luglio 1565".

[2]) A. S. J. Pol. 7 I, fol. 5.

[3]) Jos. Juvencius S. J., Historiae Societatis Jesu, t. II. Romae 1710, pg. 29: (a. 1594) ... „Statutum deinde fuit, ut deinceps in nullo casu contrahatur biennium tirocinii ad hoc ut quisquam ante expletum biennium censeatur verus religiosus, et scholasticus approbatus, per emissa vota simplicia scholasticorum Societatis".

[4]) Bibliothèque de la Compagnie de Jésus, Bruxelles—Paris 1892, t. III. col. 552. Wśród innych jego pism zasługuje na uwagę: Traktat

Kostki, którego żywot już w r. 1568 napisał. Godnem uwagi, że w jednym prawie czasie, bo tylko o miesiąc później wstępuje do nowicjatu w Rzymie głośny kaznodzieja genueński, Jan Piotr Maffei. Po 27 latach wspomina go jeszcze Wujek w liście, pisanym z Makowa.[1]) Widać, że znakomity kaznodzieja, a niedługo i profesor wymowy w kolegjum rzymskiem, przylgnął sercem do starszego od siebie kolegi w życiu nowicjackiem, skoro ten po tylu latach zachowuje mu serdeczne wspomnienie. Po skończonym nowicjacie w domu u św. Andrzeja, Wujek przeszedł jako scholastyk do kolegjum rzymskiego, gdzie w r. 1567 zostaje bakałarzem św. teologji.[2])

Do bakalaureatu z teologji przystąpić mógł słuchacz zwyczajny, po wysłuchaniu w czasie wyznaczonym, przepisanej ilości wykładów. Summę św. Tomasza wykładało codziennie dwóch profesorów; Pismo św. jeden profesor, który trzymał się wogóle ścisłej egzegezy, uwzględniając kontrowersję osobno, czasem nawet w odrębnych godzinach. Jedną lub dwie godziny na tydzień poświęcano kazuistyce. Z języków wschodnich obok hebrajskiego, wykładano także język arabski.[3]) Oprócz wykładów przepisane były i dysputy, jako warunek konieczny do stopnia naukowego. Każdego miesiąca odbywały się dysputy publiczne, na których obecnymi być musieli wszyscy mistrzowie, prócz tego każdego miesiąca dysputy ogólne, w których uczestniczyć musieli

o umartwieniu naszych namiętności i nieuporządkowanych afektów, który przetłumaczył Ks. P. Skarga T. J. pod t.: Księgi o umartwieniu, wyd. 1604.

[1]) *Ks. J. Sygański T. J.*, Korespondencya Księdza Jakóba Wujka z Wągrowca z lat 1569—1596, Poznań 1917 str. 185. List 75 Jakób Wujek Joanni Pauli Campano, Macovia 10. Nov. 1591 ...„Saluta R. P. Magium et R. P. Possevinum, si istic est, P. Parram, P. Benedictum Pereiram, P. Toletum, P. Bellarminum. P. Clavium, P. Joannem Petrum Maffeium, connovicium meum, R. P. Secretarium et P. Platum eius socium, et reliquos omnes, qui me noverunt"...

[2]) Catalogus informationis omnium fratrum collegii pultoviensis a principio illius usque ad diem quartum octobris 1568... Pol. 7 I, fol. 5. *Ks. P. Tacchi Venturi S. J.*, podaje w „Storia della Compagnia di Gesù in Italia, Roma 1831, t. 1/2 str. 74. Documenti, t. zw.: „Litterae patentes 1545—1599, czyli regestr dyplomów naukowych. Źródło owe jest mi niedostępne. Trudno mi więc przytoczyć teksty dyplomów Wujka.

[3]) *Fr. Sacchinus*, Historiae S. J., Coloniae 1621 t. 2, str. 156.

wszyscy doktorowie teologji; w tygodniu zaś odbywały się dysputy w któryś dzień wolny od nauki i w soboty popołudniu t. zw. dysputy sobotnie. [1])

Rzymscy profesorowie Wujka byli to ludzie znamienici nietylko wiedzą, ale i świętością życia, których wpływ musiał na duszy młodego scholastyka głęboko się zaznaczyć.

Wykłady kazuistyki i etyki objął w r. 1563 O. Achilles Gagliardi; zwłaszcza pierwsze te wykłady cieszyły się niezwykłą frekwencją bo liczyły około dwustu słuchaczy zwyczajnych, wśród nich wielu okolicznych proboszczów. [2])

Pisma świętego nauczał słynny podówczas O. Jakób Ledesma. Odznaczał się ten zakonnik nietylko wyjątkową wiedzą, ale i najgłębszą pokorą dziecięcą, przy wrodzonej bystrości i przenikliwości umysłu, pobożnością, cierpliwością, gorliwością i zaparciem się siebie. Wujek był już rektorem kolegjum poznańskiego, gdy doszła go wieść o śmierci czcigodnego profesora. [3])

Górował jednak nad innymi profesorami, najwybitniejszy wówczas uczony, później pierwszy z Tow. Jez. kardynał, O. Franciszek Toletus; zajmował on katedrę teologji scholastycznej czyli św. Tomasza a był zarazem wymową i sztuką przekonywania słuchaczy niezmiernie słynny. [4]) Miał więc Wujek sposobność uczenia się pod nim nietylko teologji ale i wymowy kościelnej, z której sam później w ojczyźnie zasłynął. Na cały sposób myślenia i pisania księdza Jakóba wywarł z pewnością Toletus wpływ najsilniejszy. Czy Wujek spotkał się z nim, gdy w r. 1572 w czasie bezkrólewia po

---

[1]) Monumenta Paedagogica S. J. quae primam rationem studiorum anno 1586 editam praecessere, Matriti 1901, pg. 517/22. Przepisy te dotyczące studjów, układane głównie przez O. Ledesmę T. J., powstały przed r. 1565 (cf. pg. 517 ur. 1).

[2]) *Fr. Sacchinus* L. c. str. 360.

[3]) Mon. Paed. S. J. pg. 859/62 zawierają nekrolog zmarłego w listopadzie 1575 O. J. Ledesmy, rozesłany do poszczególnych domów zakonnych. Zapewne cnoty świątobliwego profesora odświeżyły się w pamięci Wujka, zachęcając go do większej jeszcze gorliwości w powołaniu zakonnem.

[4]) *H. Hurter S. I.*, Nomenclator Litterarius, Oeniponte 1907, t. III, col, 249/50.

śmierci Zygmunta Augusta, z poselstwem od Papieża przybył do Polski — tego stwierdzić nie możemy.

Całego czasu zwykle przeznaczanego na przygotowania do bakalaureatu, nie spędził Wujek w kolegjum rzymskiem, bo już 25 listopada 1567 r. jako mistrz filozofji i bakałarz św. teologji, przybywa do Pułtuska.[1]) Widocznie studja wymagane do bakalaureatu częściowo już przedtem odbył w Wiedniu, a niektóre wymagane wykłady policzono mu z filozoficznych studjów.[2]) Jego kwalifikacje nietylko uznano za wystarczające do stopnia akademickiego, ale poruczono mu nawet w kolegjum rzymskiem wykłady matematyki, z którą widocznie w Wiedniu gruntownie się zapoznał.[3])

Wracając z Rzymu, wstąpił Wujek do kolegjum wiedeńskiego dla chwilowego wypoczynku, a zapewne i dla oddania listów tamtejszemu rektorowi. Drogę z Wiednia do Pułtuska odbył z nim razem i nieznany nam z nazwiska O. Jan,[4]) który wstąpił do Tow. Jez. w r. 1562 w Wiedniu i tu ukończył filozofję, ale został przy stopniu bakałarza tego jednego wydziału. Rektorem w Pułtusku był wtedy O. Stanisław Rozdrażewski, przez dłuższy czas jedyny tam Jezuita Polak, bo kolegjum to od blisko dwóch lat otwarte, posługiwać się musiało głównie obcemi siłami.

Przybycie więc do Pułtuska gruntownie wykształconego profesora Polaka było dla kolegjum dawno oczekiwanem dobrodziejstwem. Zaraz też powierzono Wujkowi kierownictwo kursów retoryki, objaśnianie uczniom perykop ewangelicznych w niedziele, a nadto wykład katechizmu w dni świąteczne i w piątki. Pozatem miał funkcję t. zw. prefekta czytania do stołu.[5])

---

[1]) A, S. J. Pol. 7 I, fol. 5.

[2]) Teologowie musieli wogóle pewnych wykładów słuchać na fakultecie filozoficznym (Mon. Paed. t. I. pg. 518).

[3]) *Wielewicki,* l. c. str. 237.

[4]) Możnaby myśleć, że był to O. Jan Konarski, (alias Konarczyk) którego wnet widzimy w Pułtusku, ale data wstąpienia jest inna. Było tam zresztą jeszcze dwóch Janów, obcego pochodzenia.

[5]) A. S. J., Pol. 7 I, fol. 5: „7 Jakobus Vangrovicius polonus annorum 27 ingressus est Romae die 25 iulii 1565 ubi primo vovit die 8 decembris sequentis, est professus trium votorum, Magister Artium, bacca-

Że Wujek przybył do Pułtuska jeszcze bez święceń kapłańskich, na to wskazuje nietylko wyrażenie: *sacerdos brevi futurus,* [1]) ale i ciekawa przy nazwisku jego omyłka. W katalogu pierwszym kolegjum pułtuskiego, przy nazwiskach od 1—6 wszędzie występuje litera „P" (pater). Przy siódmem, Jakóba Wujka figuruje „P" ale przekreślone. Widocznie błąd w katalogu zauważono później i poprawiono. [2]) Podobnie przy nazwisku Jana Konarskiego przekreślono słowo: „Pater", [3]) bo wtedy jeszcze Konarski nie był kapłanem.

Nic w tem nie było niezwykłego, że Wujek powrócił do kraju bez święceń kapłańskich. Podobnie i O. Łukasz Krassowski T. J. z Lublina, chociaż święcenia mniejsze otrzymał był w Rzymie w r. 1564, na kapłaństwo wyświęcony został dopiero w Pułtusku w r. 1566, przez sufragana płockiego. Również i O. Wojciech Wyjazd *(Theobolfius)* święcenia mniejsze przyjął w Wiedniu, większe w Pułtusku. [4]) Takich przykładów jest więcej, bo O. Robert ze Szkocji, mistrz filozofji, który wstąpił do zakonu 18 sierpnia 1563, w Rzymie został diakonem, a kapłanem dopiero w Brunsberdze, wyświęcony w 1564 r. przez kardynała Hozjusza. [5])

Prawdopodobnie jednak Wujek nie otrzymał w Rzymie święceń kapłańskich z powodu braku zdrowia. Z natury był słabowity i skłonny do gruźlicy. [6]) Tak zwana „dyspozycja" prowincjała czyli rozkład zajęć dla poszczególnych osób

laureus theologiae. Regit classem Rhetorices. Explicat diebus dominicis Evangelium diei discipulis: et cathechismum diebus festis, et Veneris: est observator accentuum Refectorii. Venit Roma Pultoviam die 25 novembris 1567 est sacerdos brevi futurus".

[1]) l. c.

[2]) l. c.

[3]) A. S. J., Germ. 131, fol. 370, Distributio personarum Collegii Pultoviensis die 21 Decembris anno 1570.

[4]) A. S. J. Pol. 7 I, fol. 4.

[5]) A. S. J. Pol. 7 I, fol. 3.

[6]) A. S. J. Germ. 150, fol. 347, List O. Stanisława Rozdrażewskiego z 23 grudnia 1569 do O. Generała T. J.: ...„Praecipuus enim concionator et sacrarum lectionum lector, Pater Wangrovicius, et M. Torres Rhetoricae professor non exigua initia plhetisis praesetulerunt, qua etiam re motus P. Viceprovincialis P. Jacobum ablegavit in Patriam, alterum vero abducet in Prussiam..."

pułtuskiego kolegjum, poleca mieć nad nim opiekę co do sposobu odżywiania i powściągać jego zapał do studjów.[1]) Następny katalog tegoż kolegjum wymienia już Wujka jako kapłana i wicerektora a przedewszystkiem kaznodzieję kościoła kolegjackiego.[2])

Na miesiąc przed przybyciem Wujka do Pułtuska, przeniósł się do wieczności wielki przyjaciel Jezuitów i fundator kolegjum pułtuskiego, biskup Andrzej Noskowski, pochowany w temże kolegjum we własnym grobowcu. Kapituła płocka bardzo niechętnie na to patrzała, by zwłoki wielkiego pasterza leżały w Pułtusku.[3]) Rozpoczęły się między Jezuitami a kapitułą przykre nieporozumienia, które dopiero rektor O. Stanisław Rozdrażewski osobistym swoim wpływem u następcy Noskowskiego, biskupa Piotra Myszkowskiego zażegnał.[4])

Na całą sprawę jednak wpłynął korzystnie przedewszystkiem prowincjał O. Wawrzyniec Magjusz, który w czerwcu r. 1568 przybył z Austrji na wizytację polskich kolegjów.[5]) Wrodzoną roztropnością i uprzejmością, jak umysły innych biskupów i magnatów, tak ujął też biskupa Myszkowskiego do tego stopnia, że wszystkie zatargi ustały i poprawiło się naogół smutne dotąd materjalne położenie kolegjum.[6])

O. Magjusz, jak świadczy jego list, pisany z Pułtuska do biskupa poznańskiego Adama Konarskiego, bawił jeszcze w Pułtusku dnia 1 października 1568 r.[7]) W tym też czasie

[1]) A. S. I., Germ. 131, fol. 370: „Pater Jacobus Vangrovicius Polonus... naturae est melancholicae, ac debilis, videturque inclinare ad phtisin. Quare habenda est cura illius in ratione victus, et moderatione studiorum, ad quae multum propensus est".

[2]) A. S. J. Pol. 7 I, fol. 15: „Catalogus informationum omnium Fratrum Collegii Pultoviensis a 4 a Septembris 1568 usqe ad 20 Septembris 1569: P. Jacobus Vangrovicius Polonus... Vicerector, lector Evangelii diebus Dominicis et Catechismi diebus festis et Veneris in classibus superioribus. Concionator alternus in sumo templo, est professus trium votorum...

[3]) *Arcybp. Nowowiejski*, Płock Monografja hist., Płock 1930, str. 59/60.

[4]) A. S. J. Pol. 50, 46/7.

[5]) A. S. J., Pol. 50, f. 45.

[6]) A. S. J., Pol. 50, f. 47; Ms. Ossol. 628, pg. 82.

[7]) A. S. J. Germ. 120, fol. 16; Epistola Maggii, Pultoviae Calendis Octobris 1568.

dnia 3 października 1568 w kolegjacie pułtuskiej otrzymał Wujek święcenia kapłańskie,[1]) złożywszy przedtem trzy śluby zakonne w ręce O. Prowincjała Wawrzyńca Magjusza. W zakonie Tow. Jezusowego do ostatnich publicznych ślubów dopuszcza się (poza braćmi) tylko już wyświęconych kapłanów. Wujek jest ciekawym przykładem *(exemplum)* zmiany tego porządku. Za pontyfikatu bowiem Piusa V powstała w Rzymie dążność, by wprowadzić do zakonu Jezuitów obowiązek chóru, a zarazem by do święceń kapłańskich nie dopuszczać nieprofesów.

Najprawdopodobniej udzielił Wujkowi święceń kapłańskich sufragan płocki, Jakób Bieliński, który już za życia biskupa Noskowskiego udzielał święceń Jezuitom,[2]) gdyż biskup Myszkowski dopiero w r. 1570 odbył uroczysty wjazd na stolicę Płocką[3]) a do tego czasu zatrzymując pieczęć koronną, rządził diecezją przez zastępców.[4])

Zaraz po święceniach zostaje Wujek już w r. 1568 kaznodzieją w kolegjacie pułtuskiej i zachowuje ten urząd do końca pobytu swego w tem mieście. Kazania jego równie pobożne jak uczone, pozyskały i jemu i zakonowi wielką sławę.[5])

---

[1]) MS. Ossol. 628, pg. 156: „Professionis trium votorum nomine Sacerdotii capessendi factae praebuit exemplum Jacobus Wuiecus Wangrovicius die tertia Octobris MDLXVIII excipiente in summo a) Templo Laurentio Magio Praeposito Provinciali". (Uwaga do a): słowo s u m m o jest w rkpsie nieczytelne, ale podobnie jest użyte w Pol. 7 I, fol. 15. A. S. J.: „P. Jacobus Wangrowicius... Concionator alternus im summo templo est professus trium votorum...)

[2]) A. S. J., Pol. 7 I, fol. 4..

[3]) *Bol. Ulanowski,* Acta Capituli Plocensis ab an. 1514 ad an. 1571, Kraków 1915, pg. 254.

[4]) *Ks. Arcybp. Nowowiejski,* Płock Monografja hist., Płock 1930, str. 79: „Jakób Bieliński... kan. płocki, archidiakon pułtuski, nauczyciel św. Stanisława Kostki, od r. 1547 biskup lacedemoński. Pełen cnót, umarł r. 1583". Dopowiedzenie jednak: „nauczyciel św. Stan. Kostki" nie zgadza się z tem, co podają Analecta Bollandiana, Bruxelles 1892, t. XI, pg. 430: ...„Joannes Kostka eo duos e suis liberis... Paulum et Stanislaum direxit... addito illis... Joanne Byliński, qui bene de litteris meritus laurea doctorali in philosophia et medicina praemiatus, ac post cathedralis Plocensis Pultoviensisque canonicus fuit".

[5]) A. S. I., Germ. 150, fol 181; MS. Oss. 628, pg. 86.

Pierwsi Jezuici polscy, jak wogóle wszyscy wielcy pionierzy ducha, musieli nieraz mierzyć siły na zamiary. Stąd i Wujkowi, jak na pierwsze lata jego kapłańskiej działalności, powierzono obfitą miarę obowiązków. Przy wątłem zdrowiu nieraz sił mu niedostawało aby i kazania przygotować i obowiązkom szkolnym uczynić zadość i inne zadania jakie mu zlecono, wypełnić. To też w liście do O. wiceprowincjała Franciszka Sunjera, pisanym w Pułtusku 13 września 1569 r., przedstawia swe trudności, tłumaczy się usposobieniem melancholijnem, a zwłaszcza chciałby być zwolnionym od trosk materjalnych, które zupełnie nie przypadają mu do smaku. Przy tej sposobności podaje sam o sobie cenne uwagi, dotyczące jego powołania zakonnego. — Nie mam, powiada, żadnego doświadczenia ani zdatności do prowadzenia gospodarstwa, od którego zawsze się usuwałem i między innemi dlatego wybrałem życie zakonne, abym nie potrzebował się troszczyć o żywność i odzienie i inne rzeczy zewnętrzne, ale mógł spokojnie służyć Bogu. Kazania w Pułtusku, pisze, wymagają całego człowieka, prefektura szkolna, jeśli nie całego, to przynajmniej połowę, gdzież czas i siły, by inne jeszcze obowiązki wypełnić? [1])

Widać stąd, jak sumiennie pojmował Wujek swe prace. Ta sumienność objawi się i później w całej jego działalności literackiej. Ale też odczuwa się, że z powyższego listu przemawia i brak zdrowia. Jakoż rzeczywiście w miesiąc później rozchorował się Wujek na dobre, a że z powodu grasującej zarazy szkoły w Pułtusku zamknięto, zakonnicy zaś poczęści wyjechali na wieś, odesłał go Wiceprowincjał do rodzinnego Wągrowca, w nadziei, że tam prędzej przyjdzie do zdrowia. [2])

Donosząc o tem w liście do O. Generała, św. Fr. Borgjasza, pisze Wujek krótko, że ta podróż nie była bez ko-

---

[1]) *Ks. J. Sygański T. J.*, Korespondencja ks. J. Wujka... Poznań 1917 str. 11/12.

[2]) l. c. List 2, str. 13, cf. *ks. J. Sygański*, Ks. J. Wujek z Wągrowca w świetle własnej korespond. Kraków 1914, str. 4. List O. St. Rozdrażewskiego z Boszewa z dnia 23 grudnia 1569 do O. Generała donosi, że Wujek już wyjechał do Wągrowca: ...„P. Viceprovincialis P. Jacobum ablegavit in Patriam". (A. S. J., Germ. 150, fol. 347.)

rzyści. Dokładniejsze wiadomości o tej podróży podaje kronika zachowana w archiwum Tow. Jezusowego.

W Wągrowcu Wujek nie pozostał bezczynny, ale czas wypoczynku wypełniał pracą kościelną. Sława jego wymowy doszła i do Poznania. Zaprosił go więc z kazaniami tameczny kanonik i kaznodzieja Benedykt Herbest i biskup sufragan Stanisław Szedziński. W Poznaniu tak spodobały się jego kazania nietylko katolikom, ale i różnowiercom, że jeden z nich obiecał nawet rocznie płacić pewne wynagrodzenie, byle tylko Wujek stale przemawiał.

Przez kilka tygodni Wujek pozostawał w Poznaniu, zajęty pracą kaznodziejską, a skutek, jaki jego kazania sprawiły w umysłach słuchaczy był tak wielki, że biskup poznański Adam Konarski [1]) namawiany już bez tego przez nuncjusza Wincentego del Portico i kardynała Hozjusza, wziął stąd zachętę do fundowania kolegjum Jezuitów w Poznaniu, i zobowiązał się nawet do tego przysięgą. Poselstwa, jakie odbywał po obcych krajach, w Niemczech, Francji i Włoszech opóźniły wprawdzie wykonanie zamiaru, ale zato tembardziej umocniły go w przedsięwzięciu, gdyż wszędzie przekonał się naocznie, jak doniosłe skutki praca Jezuitów wywiera.

Nadwątlone siły Wujka przyszły po jakimś czasie do równowagi, a podniosły go też na duchu obfite owoce pracy w Poznaniu. Wysłuchał tu mnóstwo spowiedzi, przedewszystkiem szlachty i nawrócił jednego z wybitnych innowierców. Jednakże na wyraźne życzenia nuncjusza, Wincentego del Portico, musiał niebawem opuścić Poznań a udać się do Warszawy, dokąd go biskup własnemi końmi odesłał. W Warszawie stanął już Wujek 12 marca, a przybył tam także na życzenie nuncjusza i wiceprowincjał O. Sunjer.

Wujek miał w kościele św. Jana dwa razy kazanie, Sunjer również dwa razy po włosku przed nuncjuszem do Włochów przemawiał i wysłuchał wiele spowiedzi. Wśród tej pracy jednak obydwaj zachorowali ciężko, Wujek 19 marca,

[1]) A. S. J. Pol. 50 f. 50, ...„3⁰ Valde etiam incitatus fuit fructu, quem P. Jacobus Vuiecus (qui in Patriam valetudinis recuperandae gratia Pultovia excurrerat) atque aliquot hebdomadis Posnaniae manens in animis hominum fecerat"...

a Sunjer 30 marca. Cały miesiąc trwała ta choroba, o której pisze sam Wujek: „Zbliżaliśmy się już do bram śmierci, lecz ten Pan, który umarza i ożywia, przywodzi do otchłani i zaś wywodzi, nas także, prawie bliskich otchłani, do dawnego przywrócił życia, żebyśmy po ojcowsku wychłostani, potem z większą wiarą, usiłowaniem i pilnością w Jego służbie postępowali.[1])

W braku własnego w Warszawie zakonnego domu przyjął obu chorych do siebie, sam nuncjusz apostolski Wincenty del Portico i troszczył się o nich z jak najtkliwszą miłością, a nawet do Ojca św. wysłał pismo, aby i w Rzymie za nich modły odprawiano.[2]) W kwietniu obaj odzyskali zdrowie i mogli już pod koniec miesiąca powrócić do swych zajęć w Pułtusku.

W r. 1569, wracając ze sławnego sejmu lubelskiego, zatrzymał się w kolegjum pułtuskiem kardynał Hozjusz.[3]) Tak dostojnego gościa i wielkiego przyjaciela zakonu przyjęto z największą radością i czcią, Wujek zaś miał sposobność z ust samego kardynała dowiedzieć się, ile wysiłków podjął wraz z innymi obrońcami wiary aby do przewagi herezji w kraju nie dopuścić.

W następnym roku po odbytym zjeździe wydają różnowiercy swoją „Konfesję Sędomierską". Dość się Wujek napatrzał, ile nieszczęść sprowadziła reformacja zagranicą i u nas. Najważniejszym obowiązkiem miłującego ojczyznę kapłana - jezuity było dołożyć wszelkich starań, by herezję z serc rodaków wyplenić. Wziął się tedy za zezwoleniem przełożonych do pióra i tego samego roku wydał bezimiennie pismo p. t. *Iudicium albo Rozsądek niektórych Katholików o Confessiey Sędomierskiey, roku 1570 wydany, w którym się fałsze y błędy tey to Confessiey poprostu pokazują,*

[1]) *Ks. J. Syg. S. J.*, Korespondencja ks. J. Wujka l. c., list 2 z 18/IV 1570; tudzież ks. Jak. Wujek z Wągrowca 1540—1597 w świetle własnej korespondencji, l. c. str. 5.

[2]) A. S. J. Pol. 50, f, 47⁰: ...„Cum autem ...ipse P. VProvincialis cum eodem P. Wuieco Warsaviam venisset, ipsemet Rmus Nuncius Apostolicus Vincentius Porticus ad se acceptos maxima cum charitate curavit, atque ad summum Pontificem litteras dedit, ut etiam in Urbe pro illis orationes indiceret"...

[3]) MS. Ossol. 628, pg. 121/2.

a prawda jednego Powszechnego Kościoła Rzymskiego sama się broni.

Niezrównany w polemice, rzucił się z całym zapałem w wir walki. Odbyte studja dały mu wprawę dialektyczną i niepospolite przygotowanie naukowe. Widać też, że kardynał Hozjusz wywarł niemały wpływ na gorące serce Wujka, bo nawet sposób rozumowania w przedmowie do króla Zygmunta Augusta, na wstępie wspomnianej książki, przypomina żywo kardynała warmińskiego.[1]) Często się zastanawiał Wujek, pisze anonimowo w przedmowie, czy teraźniejsze dowcipy i rozmowy, które się w Polsce pojawiły, więcej pożytku przyniosły Kościołowi i Rzeczypospolitej, aniżeli owa prostota mądra a święta naszych przodków, którzy o wierze dysputować nie umieli, ani książek pisać, ale nigdy im „na tym nie schodziło, czegokolwiek albo do prawdziwej chwały Bożej, albo do sprawowania Rzeczypospolitej było potrzeba". Dziwnie miłowali P. Boga, ku Jego czci budowali znamienite kościoły, przeciw nieprzyjaciołom Kościoła rozmaite konfederacje odbywali, srodzy nieprzyjaciołom swoim, fortunni na wojnie i w pokoju, nie mieli wprawdzie złota i pieniędzy tak wiele, ale zato wszystkie potrzeby życiowe dostatnio mogli zaspokoić, a nawet zostawało i na wywczasy i na przyjemności. Ale też zachowali między sobą miłość i jedność chrześcijańską, nie obciążali pozwami i sądami królów, sami się między sobą umieli pogodzić, a zostawili nam prawa i rząd, których gdyby się Polska trzymała, najsławniejszym królestwom i państwom w niczemby pierwszeństwa nie ustąpili.

Wprawdzie te „rozumy, nauki, dowcipy, krasomostwa, dzielności Polaków naszych" są darami Bożemi tem większemi i zacniejszemi, im ważniejsza jest dusza, niż ciało, rozum niż siła. To też z tych zalet Polska u innych narodów słynie i nigdy bogatsza nie była w złocie, w pieniądzach, w strojach, w gospodarstwie i nigdy okazalsza i ozdobniejsza. Ale gdy wglądniemy w to, co dzieje się w Rzeczypospolitej, ile się namnożyło „sprosnych błędów, sekt y ka-

[1]) *Tad. Grabowski,* Piotr Skarga na tle katolickiej literatury relig. w Polsce wieku XVI. Kraków, 1913, str. 122.

cerstw", to przyznać musimy, że tak wielkie stąd powstało osłabienie narodu, aż sami wołamy, „że znienaczka giniemy", chociaż „nas nieprzyjaciel żaden jeszcze nie przyciska, ani na szyiey nie leży".

Więcej wprawdzie teraz w Polsce, pisze dalej Wujek, złota i pieniędzy, niż za dawnych czasów, ale te „bogactwa, nasze, które się w łańcuszkach y w rozmaitych stroiach okazuią, taki głód, ucisk, y niedostatek, y płacz ubogich ludzi z sobą przyniosły, że chocia iuż y kościołom niefolguiemy... sama to rzecz pokazuie, iż nigdy nędznieysza, nigdy uboższa Polska nie była..."

...„O pokoiu lepak y zgodzie dzisieyszych obywatelów naszych mówić niepotrzeba, gdyż się iey W. K. M. y w Radzie, y w Poselskim kole, y na Sądziech, z wielką, iako rozumiemy, żałością y przykrością swoią nasłuchać y napatrzyć ustawicznie możesz, że słusznie a sprawiedliwie dziś każdy z płaczem mówić może one słowa, które on zacny a święty człowiek uczeń S. Jana Ewangelisty Polikarpus, widząc y słysząc Kacerstwa y błędy czasów swoich, zwykł był mówić: O miły Boże, na takieżeś mię czasy zachował, abych ia to słyszał?"

Dobrym więc jest „rozum, dowcip, nauka", tym, którzy tych darów na dobre używają, a co cięższego i nieznośniejszego, gdy ludzie dowcip i rozum w tem okazują, że Ewangelji nadużywają ku potwierdzeniu błędów i bluźnierstw swoich. Innowiercy odważyli się przypisać swą Konfessję królowi, czyniąc zeń niejako obrońcę swych fałszów haniebnych i kacerstw. Słusznie więc wykazanie tych błędów kacerskich dla obrony prawdy Kościoła powszechnego odważyli się i katolicy przypisać królowi, z którym w wierze się zgadzają i pod jego imieniem podać pragną tę obronę wszystkim stanom i poddanym króla, bo fałsze i zdrady „teyto Ewangeliey nowey" są przyczyną w kraju „nierządu wszego i przeklęctwa Bożego".

W formie żywego dialogu, a utrzymanego na poziomie umysłowości przeciętnego czytelnika, wykazuje dobitnie błędy kacerskie i broni nauki Kościoła. Podawał Wujek rodakom swoim w tej książce już „broń wypróbowaną i łatwą do

użycia", [1]) a sam przygotowywał grunt pod szerszą działalność pisarską, która swój wyraz znalazła w Postylli.

Tymczasem niespodziewanie czekała Wujka nowa podróż. Biskup przemyski Walenty Herburt, chcąc ułatwić kasztelanowej de Sprowa Tarnowskiej fundację kolegjum jezuickiego, bardzo usilnie nalegał, aby O. Magjusz lub O. Sunjer wybrał miejsce na nową fundację, czyto we Lwowie, czy w Przemyślu. Nie mógł żaden z nich wyjechać, ale na prośbę biskupa pozwolił prowincjał O. Magjusz, aby w tym celu towarzyszył mu O. Wujek. [2]) W liście z 11 sierpnia 1570 r., pisanym do generała zakonu, opisuje on wrażenia z tej podróży, w czasie której wypowiedział trzy kazania w Jarosławiu, a dwa we Lwowie.

Po powrocie do Pułtuska zajęty był nadal pracą w szkole i kaznodziejską w kolegjacie. Już w rozkładzie zajęć na rok 1570 [3]) wyrażone jest życzenie aby Wujek starał się swe kazania polskie ująć w całość i nadać im formę postylli. Tej zachęty jednak Wujek nie potrzebował bo był mówcą i z Bożej łaski i z usilnej, wytrwałej pracy a o wyzyskaniu literackiem tej pracy ciągle myślał.

Już w lutym roku następnego otrzymuje odpowiedź od O. St. Warszewickiego w sprawie jedenastu kazań posłanych mu do oceny. [4]) List ten jest pełen pochwał dla kaznodziejskiego talentu Wujka. Za szczególniejszą łaskę Opatrzności uważa Warszewicki, że właśnie Wujek podjął się napisania postylli, a nie Benedykt Herbest, który chociaż odznaczał się nauką i znajomością Pisma św., ale nie umie ani tak ładnie ani tak przystępnie myśli swoich wyrażać. Zachęca Wujka, aby w zamiarze swym wytrwał i do końca go doprowadził. Podnosi z uznaniem przejrzystość kazań i rozkład ich do tematu kazania odpowiedni. Wszystkim dogodzić niepodobna i trudno wymagać, aby wszystkie kazania były jednakowo doskonałe, bo niekiedy i usposobienie autora i temat kazania i wpływ łaski Bożej składają się na to, że niektóre kazania wypadają lepiej. Spodziewa się

[1]) *Grabowski* l. c. str. 131.
[2]) MS. Ossol. 628., pg. 134.
[3]) A. S. J. Germ. 131, fol. 370.
[4]) Korespondencja Ks. Jakóba Wujka l. c. str. 18.

przecież, że wszyscy czytelnicy z jego kazań odniosą wielką korzyść, zwłaszcza ci, których Wujek głównie miał na oku. Szczególnie pochwala zakończenia kazań czyli t. zw. zamknienie, zawierające streszczenia nauk, które się w perykopie ewangelicznej znajdują. Natomiast krytykuje zadługie wstępy, nużące czytelnika np. wstęp do kazania na drugą niedzielę adwentu a przeciwnie uważa, że kazanie na dzień Narodzenia Pańskiego mogłoby być dłuższe.

Inne uwagi, dotyczące kazań przysłanych sobie do oceny, spisał Warszewicki osobno, dołączając je do listu. Wolałby był porozumieć się osobiście i spostrzeżenia swoje dla dobra ogólnego ustnie wypowiedzieć, ale czego niedostaje tym uwagom, to niech Wujek własną pilnością uzupełni.

W marcu tegoż roku miał już Wujek wykończone kazania niedzielne aż do trzeciej niedzieli W. Postu, z wyjątkiem kazania na pierwszą niedzielę adwentu, które umyślnie odłożył na później. Miał też gotowych kilka kazań świątecznych. W liście, pisanym z Pułtuska dnia 18 marca 1571 r. do O. Magjusza do Wiednia nadmienia, że trzebaby było postarać się rychło o pozwolenie drukowania postylli, bo wielka jest u nas takiego dzieła potrzeba. Pierwsza część postylli do niedzieli św. Trójcy będzie wkrótce gotowa i mogłaby być drukowana, zanim część druga ostatecznie się wykończy.[1])

Ale Wujek niedługo już miał pozostawać w Pułtusku. Bawiący na sejmie w Warszawie w r. 1570 biskup poznański Adam Konarski, dowiedziawszy się, że w Pułtusku przebywa prowincjał O. Magjusz wraz ze swym zastępcą O. Sunjerem, zaprosił ich, aby czemprędzej przybyli do Warszawy. Po otrzymaniu listu od biskupa obaj Ojcowie wybrali się natychmiast w drogę i mimo trudności przeprawy przez Wisłę z powodu pękających lodów, które w dwie godziny po ich przeprawie ruszyły, na drugi dzień do Warszawy przybyli.

Tu po odbytej z nuncjuszem apostolskim i podkanclerzym koronnym Franciszkiem Krasińskim naradzie, biskup przedstawił im swój zamiar założenia kolegjum w Poznaniu,

---

[1]) *Ks. J. Sygański S. J.*, Korespondencja ks. J. Wujka, l. c. str. 20.

prosząc, by Jezuici zechcieli przyjąć na siebie ten nowy ciężar dla obrony zachwianej przez herezję wiary. Gmach na kolegjum i szkoły oraz potrzebne urządzenie, tudzież fundusz dla utrzymania trzydziestu zakonników, zobowiązał się biskup dostarczyć. Tymczasem przeznaczał na ten cel siedmset florenów rocznie, serwituty leśne, zbożowe, młynowe oraz kilka wsi z dóbr biskupich, z których miał być pobierany czynsz. Dnia 13 grudnia 1570 r. została nareszcie obustronnie podpisana umowa wobec nuncjusza apostolskiego Wincentego del Portico, według wszystkich wymagań prawa. [1])

Po powrocie do Pułtuska O. Magjusz ukończywszy wizytację kolegjum nadał Wujkowi z polecenia O. Generała dnia 22 grudnia 1570 roku, [2]) tytuł Doktora św. Teologji, a po świętach udał się przez Kraków do Wiednia, gdzie jako prowincjał Austrji i Polski miał w kwietniu przewodniczyć w kongregacji prowincjonalnej.

Z chwilą nadania Wujkowi ostatniego stopnia naukowego, możemy uważać czasy jego szkolne, za skończone. Z przeniesieniem jego z Pułtuska do Poznania zaczyna się już pełne południe w rozwoju tego ogromnego talentu, który i żywem słowem i piórem i czynem takie oddał usługi Kościołowi i Ojczyźnie.

---

[1]) A. S. J. Pol. 50, fol. 6⁰. MS. Ossol. 628, pg. 138. MS. Jagiell. 5198/I. fol. 1. pg. 2.

[2]) *a*) MS. Ossol. 628, pg. 139. ...„a. 1570... Inspectis demum, ac compositis rebus Collegii Pultoviensis, et collata ad diem vigesimum secundum Decembris Patri Iacobo Wuieco laurea Doctoris Theologiae, sub exitum anni Pultovia in Austriam abiit"...;

b) Scriptores Rerum Polonicarum t. VII., Cracoviae 1881. pg. 237.: „Missus deinde in Poloniam Graecas litteras Pultoviae in Rhetorica professus est et simul concionator lectorque sacrarum lectionum erat. In eodem Collegio manens iussu admodum Reverendi Patris Nostri Generalis Theologiae Doctor factus fuit"...

c) A. Institutum S. J., vol. I. (Bullarium et Compendium Privilegiorum, Florentiae 1892) pg. 30.

Ks. Jan Terlaga.

Polska a Francja po roku 1683.

III.

Jan III nie wniósł sprawy poselstwa do Francji na sejm warszawski (luty - maj 1685). Wstrzymały go od tego głośne pomruki podburzonej przez „malkontentów" szlachty, dochodzące z sejmików, głównie z Wielkopolski i Litwy. Żądano usunięcia od dworu posłów państw nienależących do Ligi,[1]) godząc oczywiście w Béthune'a; to znowu domagano się ograniczenia kompetencji rad senatu, by m. i. nie mogły decydować o wysyłaniu poselstw zagranicę, co znowuż wyraźnie godziło w planowane poselstwo Wielopolskiego. Sejmik wileński poszedł jeszcze dalej i żądał wzbronienia ministrom wyjazdu zagranicę, w szczególności zaś do wód francuskich pod pozorem celów leczniczych;[2]) była to reakcja na pogłoski, że pod tym pretekstem, jeśli się nie uda nadać mu charakteru oficjalnego, wyjedzie Wielopolski do Francji. Na sejmiku wielkopolskim wystąpił ponadto Grzymułtowski z mową utrzymaną w tonie ostrej opozycji, oskarżając króla o działanie na szkodę Ligi, zagrabienie subsydjów papieskich, zmarnowanie kampanji w r. 1684. Wprawdzie w r. 1683 obronił król Wiedeń, choć „jeszcze *sub iudice lis est,* kto go obronił: różne o tem drukują awizy". Naogół przeciwny wojnie, pewnie dlatego, by nadać swym przekonaniom w oczach szlachty pozory konsekwencji, podkreślał jednak Grzymułtowski, że odstąpienie od sojuszu z Austrją w obecnej chwili „nietylko *nefas,* ale *neque honestum, neque secu-*

[1]) Por. instrukcję sejmiku dobrzyńskiego, 9 II 1685. Kluczycki Fr.: *Lauda dobrzyńskie*, s. 138.

[2]) Béthune, 25 III 1685, Teki Walisz. IV, s. 3012.

rum". Ostrzegał przed dawaniem wiary dworowi, który głosi, „że han krymski przez posła swego ofiaruje medjację". [1])

Opozycja przechodziła teraz pod sztandary cesarskie, a czołowi „malkontenci" ukrywali swój cel istotny, bezwzględne zwalczanie zamierzeń dynastycznych dworu, wysuwając na pierwszy plan hasło obrony Ligi. Tracąc oparcie o Francję, zapewniali sobie w ten sposób protekcję dyplomacji cesarskiej i nuncjusza Pallaviciniego. W tych warunkach nie było mowy o wysuwaniu na sejmie sprawy poselstwa do Francji — znaczyłoby to bowiem skazać sejm na zerwanie. Tymczasem zaś Jan III nie myślał jeszcze, wbrew insynuacjom opozycji, zrywać z Ligą i z całą powagą przygotowywał się do nowej kampanji, czyniąc usilne starania, choć bezskuteczne, o skłonienie dworu wiedeńskiego do wspólnych działań militarnych przeciw Turkom. W tych warunkach do zerwania sejmu nie można było dopuścić. Stronnicy dworu postarali się tylko o uchylenie projektu konstytucji [2]) wysuwanej przez opozycję, ograniczającej zakres kompetencji rad senatu w myśl słów Grzymułtowskiego, „że sobie *senatus concilia* pozwalają dysponować *leges*". [3])

Na radzie senatu posejmowej 30 czerwca 1685 roku wniesiono wreszcie od króla propozycję wysłania poselstwa do Francji, formalnie z prośbą o posiłki na wojnę turecką, z powołaniem się na wyraźne życzenie papieża. Uchwała rady wypadła zupełnie po myśli króla: „legacje tak do króla francuskiego *ex ratione motivi* Ojca św. i prowidencji jkmci, jako i do Rzplitej weneckiej dla utwierdzenia przyjaźni *et ex ratione bonae convenientiae,* należy wyprawić". Uchwałę tę podpisali obok Radziejowskiego, Hieronima Lubomirskiego, Wielopolskiego, Załuskiego, Kątskiego i Słuszki, również między innymi Stanisław Lubomirski i Kazimierz Sapieha. [4]) Zanim do ostatecznej uchwały doszło, musiał

[1]) *Votum* Grzymułtowskiego na sejmiku w Środzie 1685. Jabłonowski A.: *Krzysztofa Grzymułtowskiego listy i mowy.* Źródła dziejowe, t. I, s. 121.

[2]) Por. diarjusz sejmu 1685 (fragment), rkp. B. O. Zamojskich 1196. Scultetus (agent brandenburski), 24 V 1685, rkp. Ossol. 3001, s. 52. Béthune, 13 V 1685, Teki Walisz. IV, s. 3045.

[3]) Źródła dziejowe j. w.

[4]) Sen. cons. w Wilanowie, 30 VI 1685, rkp. Czart. 524, s. 45.

dwór przezwyciężyć jeszcze kilka trudności. Wysunął je niespodzianie sam Wielopolski. Gorliwy dawniej stronnik Francji i oddany zupełnie dworowi, ochłódł w ostatnich latach silnie w swych sympatjach francuskich i idąc naogół za polityką dworu, zachowywał wielką ostrożność i rezerwę, utrzymując kontakt tak z „malkontentami", jak i z dyplomacją cesarską. Niewątpliwie pod wpływem tych czynników zaczął wysuwać Wielopolski rozmaite trudności na początku r. 1685, choć przedtem wyraził w zasadzie swą zgodę. Zdając sobie sprawę, że Ludwik XIV oczekuje od tego poselstwa satysfakcji, przeprosin, wolał się Wielopolski od tej roli uchylić, bojąc się, że poselstwo to nie przysporzy mu poważania w kraju: narazić go zaś może na poważne zarzuty, że jako kanclerz, piastun wielkiej pieczęci, wysoki dostojnik Rzplitej podjął się podobnej funkcji. Wobec zastrzeżeń, wysuwanych przez Wielopolskiego, dwór nosił się już z myślą zlecenia misji do Wersalu Radziejowskiemu czy nawet Załuskiemu. Na wieść o tem Croissy wyraził stanowczy sprzeciw: ceniąc zasługi Radziejowskiego uważa jednak Ludwik XIV, że misję posła nadzwyczajnego do Francji trzeba powierzyć Wielopolskiemu, który jako wielki kanclerz i szwagier królowej posiada właśnie wszystkie do tego poselstwa warunki, jakich sobie życzy dwór francuski. Pod naciskiem Béthune'a i dworu ustąpił wreszcie w czerwcu Wielopolski i podjął się tej misji.[1])

Inne trudności wysuwali znowuż „malkontenci". Kazimierz Sapieha godził się na podpisanie odnośnej uchwały rady senatu, pod warunkiem jednak, że nie będzie mowy o posiłkach francuskich w ludziach, a jedynie tylko o subsydjach pieniężnych, a w szczegółowej instrukcji dla posła nie będzie niczego szkodliwego interesom Ligi. Dwór dał pewnie Sapiesze żądane zapewnienia,[2]) gdyż hetman uchwałę rady senatu podpisał.

26 lipca spisano w kancelarji królewskiej punkta instrukcji dla Wielopolskiego. Przedewszystkiem miał tedy poseł przedstawić we właściwem świetle wypadki z roku 1683,

[1]) Scultetus, 5 III 1685, rkp. Ossol. 3001, s. 49 i Urk. u. Act. XXII, s. 137. D'Alerac: *Les anecdotes de Pologne.* (Paris 1699), t. II, s. 15/16 i nast. Croissy, 19 IV 1685, Teki Walisz. IV, s. 3049.

[2]) Pallavicini, 5 VII 1685, Teki rzymskie 96, s. 60.

wyjaśnić istotne pobudki postępowania dworu polskiego i zapewnić Ludwika XIV o życzliwości tak króla jak Rzplitej. Dla przywrócenia dawnej przyjaźni obu dworów winien poseł użyć pośrednictwa Ranuzziego. W myśl drugiego punktu instrukcji miał Wielopolski przedstawić powody, dla których Polska zmuszona była odnowić wojnę z Turcją w roku 1683. Ponieważ zaś wojnę tę prowadzi Polska zagrożona i w obronie słusznych swych praw, przeto zwraca się Jan III do Ludwika XIV z prośbą o posiłki; co do zakresu i ilości tych posiłków pozostawiono w instrukcji posłowi wolną rękę, zależnie od okoliczności. Nakoniec miał poseł uczynić wszystko, by przygotować grunt pod utrwalenie prawdziwej i zupełnej przyjaźni między królem polskim a francuskim, z czego Rzplita trwałe może odnieść korzyści. [1])

Przed swym wyjazdem udał się Wielopolski z wizytą pożegnalną do Zierowskiego, wręczył mu list do cesarza i zapewnił, że jego poselstwo nie ukrywa żadnego niebezpieczeństwa dla Ligi. Tegoż zdania był rezydent wenecki Alberti w relacji do swego dworu, zapewniając, że Wielopolski jako kanclerz i człowiek wielkiej prawości nie zechce narazić swej reputacji w kraju i zagranicą działaniem na szkodę Ligi. [2]) Wielopolski skarżył się pono w zaufanym gronie, że misja jego jest bardzo trudna i drażliwa, wątpi przeto, czy wywiąże się dobrze ze swego zadania. [3]) W ostatnich dniach lipca wyjechał Wielopolski z Warszawy. Gdy w Wielkopolsce w przejeździe bardzo zimnego doznał przyjęcia, starał się przekonać Grzymułtowskiego i innych „malkontentów", że poselstwo jego ma na celu jedynie uzyskanie posiłków na wojnę, a na dowód pokazał im oryginalną instrukcję. Magnaci wielkopolscy nie dawali temu wiary, a Grzymułtowski i Breza prosili Sculteta, by elektor przez swego posła przy dworze francuskim, Spannheima wybadał istotne cele poselstwa Wielopolskiego, nie wątpiąc, że tyczą one sprawy małżeństwa Jakóba. [4])

---

[1]) Instrukcja dla Wielopolskiego, 26 VII 1685, rkp. Ossol. 242, s. 144.

[2]) Relacje Albertiego, lipiec 1685, Teki weneckie a Arch. Kom. Histor. Akad. Umiej. 6. n. 57—59.

[3]) Pallavicini, 4 VII 1685, T. rz. 96, s. 62.

[4]) Scultetus, 24 VIII 1685, Urk. u. Act. XXII, s. 148.

Dyplomacja wiedeńska przyjęła wyjazd Wielopolskiego do Francji z wielkim niepokojem. Już jesienią roku 1684 wywołały żywe poruszenie we Wiedniu wieści o nawiązaniu oficjalnej korespondencji między dworem polskim a Wersalem [1]) — dojście do skutku poselstwa Wielopolskiego było dowodem, że dwór postępuje konsekwentnie po drodze, która go może bardzo od Ligi oddalić. Podobnie zaniepokojona była dyplomacja papieska. Obrotny Alberti uspokajał jednak Pallaviciniego i Zierowskiego, a temu ostatniemu radził właśnie w tym czasie dbać pilnie o utrzymanie stosunków z dworem polskim, by na wypadek niepowodzenia misji Wielopolskiego wyzyskać dogodny moment dla zacieśnienia stosunków polsko-austrjackich.[2])

IV.

17 października 1685 roku odbył Wielopolski uroczysty wjazd do Fontainebleau, przyjmowany zgodnie z przepisami ceremonjału dworskiego; według relacji z otoczenia kanclerza, poselstwo polskie traktowane było z dużą życzliwością w stosunku do innych poselstw tego czasu wyraźnie wyróżniane.[3]) Dobre wrażenie zrobiły oficjalne przemówienia Wielopolskiego do Ludwika XIV, w imieniu Rzplitej w języku łacińskim, zaś w imieniu rodziny Sobieskich po francusku, co stanowiło w ustach obcego posła mile przyjętą nowość.[4]) 20 października zaszczycił Ludwik XIV Wielopolskiego prywatnem posłuchaniem, „nie przy łóżku... ale osobno w gabinecie *extra turbam*, sami tylko dwaj dobre półgodziny razem z sobą mówili".[5]) Pilnie krzątał się koło przyjęcia kanclerza biskup Beauvais, Forbin Janson, zawsze dbały o utrzymanie dobrych z dworem polskim stosunków, w nadziei, że

---

[1]) Klopp O. j. w., s. 562. Leopold I otrzymał w jesieni 1684 wiadomość o listach Jana III do Wersalu za pośrednictwem swego rezydenta w Hanowerze, Plittendorfa.

[2]) Alberti, 25 VII 1685, Teki wen. 6, n. 59.

[3]) „Relacja wjazdu do Fontainebleau jmćp. kanclerza kor., posła w. extraord. jkmci do króla franc., 17 X. 1685", rkp. Czart. 181, s, 189.

[4]) „Sermo J. Wielopolski... ad regem Galliae", Załuski I. 2, s. 947. Por. Picavet j. w., s. 275.

[5]) Relacja j. w.

poparcie Jana III więcej niż Ludwika XIV wpłynie w Rzymie na przyznanie mu kapelusza kardynalskiego. 21 października wyjechał Wielopolski do Paryża, by tam oczekiwać na nowe instrukcje od swego dworu.

W grudniu na radzie senatu w Żółkwi, oświadczył król senatorom na podstawie listów Wielopolskiego, że kanclerz „już tam pierwszą audjencję *cum summo honore et distinctione* odprawiwszy, prędką rezolucją tej albo drugiej poczty względem posiłków obiecuje".[1]) Pozatem otaczano całe poselstwo na dworze wielką tajemnicą, ku zaniepokojeniu posłów cesarskiego i weneckiego. Nawet bowiem Alberti, który dotąd był dobrej myśli i ufał zapewnieniom Wielopolskiego, teraz, nie mogąc uzyskać u dworu bliższych wyjaśnień co do rezultatów drugiej audjencji, a słysząc o wysłaniu nowego kurjera do Francji, doszedł do wniosku, że powodem tej tajemniczości jest sprawa propozycyj małżeńskich dla Jakóba i nosił się z myślą zasięgnięcia informacyj u posła weneckiego w Paryżu, Veniera.[2])

Obawy Albertiego nie były płonne. Jednocześnie bowiem odbywała się między dworem polskim a francuskim (za pośrednictwem Béthune'a) pisemna wymiana zdań w sprawie małżeństwa Jakóba z księżniczką portugalską. Z początkiem lipca bawił w Wilanowie poseł portugalski Pereira z kosztownemi upominkami dla Jana III.[3]) W rozmowie z królem poruszył pono poseł możliwość małżeństwa Jakóba z infantką Izabellą Marją Ludwiką, ówcześnie szesnastoletnią, córką króla Piotra II i Marji Franciszki Elżbiety z domu Savoie Nemours. Dwór francuski miał szczególny powód do interesowania się losami infantki. Matka jej, księżniczka sabaudzka, po kądzieli z linji Bourbon-Vendôme, prawnuczka Henryka IV, wychowana na dworze francuskim, jako *mademoiselle d'Aumale* wydana była za króla portugalskiego Alfonsa VI w roku 1660. W siedm lat potem zamach stanu (przy współudziale samej królowej) strącił z tronu niedołężnego i chorego umysłowo Alfonsa VI, a władza przeszła

[1]) Sen. cons. w Żółkwi, 5 XII 1685, rkp. Czart, 524, s. 45. Por. Kopja rękopisów Jana III (Lwów 1833), s. 15.

[2]) Alberti, 28 XI 1685, Teki wen. 6, n. 77.

[3]) Béthune, 9 XI 1685, Teki Walisz. IV. s. 3051/2.

w ręce jego brata, don Pedra, narazie jako regenta. Marja Franciszka Elżbieta uzyskała za staraniem dyplomacji francuskiej w Rzymie unieważnienie swego pierwszego małżeństwa i poślubiła niezwłocznie w roku 1668 don Pedra, który po śmierci więzionego brata, w roku 1683 nazwał się Piotrem II. Prawnuczka Henryka IV jako królowa portugalska miała odegrać rolę agentki francuskiej i przeciwdziałać tamże wpływom hiszpańskim i angielskim: nie wykazała jednak zdolności politycznych, a nie zaznawszy szczęścia w pożyciu z obu mężami-braćmi, zajęła się wyłącznie myślą wyszukania odpowiedniej partji małżeńskiej dla swej jedynej córki, urodzonej w 1669 roku, Izabelli Marji Ludwiki. Zabiegi jednak o wydanie córki za księcia sabaudzkiego, Wiktora Amadeusza, nie powiodły się. Propozycje francuskie wydania młodej księżniczki za książąt z linji Bourbon-Conti, starszego Ludwika Armanda de Conti, lub młodszego Franciszka Ludwika de la Roche sur-Yon, nie wydały się matce odpowiednie. Królowa portugalska zamknęła powieki w r. 1683, nie doczekawszy się zapewnienia przyszłości swej córki. Tymczasem zaś dokoła młodej infantki snuto całą sieć intryg dyplomatycznych, gdyż ręka jedynej córki Piotra II, miała, zdawało się, utorować drogę przyszłemu jej mężowi do tronu portugalskiego. [1])

Nic też dziwnego, że propozycje, chociaż nieoficjalne, posła portugalskiego wywołały żywe zainteresowanie na dworze polskim. Przyjął je zwłaszcza z radością Béthune, który najlepiej obznajomiony z nastrojami w rodzinie królewskiej, wiedział jak ważną rolę odgrywa w polityce dworu polskiego moment dynastyczny, nie mogąc zaś ze strony Wersalu wystąpić z odpowiedniemi propozycjami, tem skwapliwiej pragnął uzyskać poparcie dyplomacji francuskiej dla projektu małżeństwa portugalskiego. W rozmowach z Sobieskimi roztaczał Béthune ponętne perspektywy, robiąc nadzieję na koronę portugalską dla Jakóba: w danym zaś wypadku dwór wersalski oddałby rękę którejś księżniczki francuskiej młod-

[1]) Manneville H.: Une princesse française sur le trône de Portugal. Marie Françoise Elisabeth de Savoie Nemours. Revue d'histoire diplomatique, t. 45 (1931).

szemu Aleksandrowi, bardziej lubianemu w kraju i pomógłby mu do uzyskania korony polskiej. [1])

Stanowisko Wersalu wobec pomysłu małżeństwa portugalskiego Jakóba było życzliwe. Croissy zaznaczał, że gdyby proponowany przedtem związek infantki z księciem de la Roche-sur-Yon (późniejszym księciem Conti, kandydatem do tronu polskiego w roku 1697 [2]) nie doszedł do skutku, na co się zanosiło, dwór francuski bardzo mile przyjmie starania Jakóba i użyczy mu swego poparcia. [3]) W dalszych depeszach z Wersalu na przełomie roku 1685 i 1686 nikną już wogóle wzmianki o księciu de la Roche-sur-Yon, zapewnia natomiast Croissy, że Ludwik XIV wysłał już posłowi swemu w Lizbonie d'Amelotowi instrukcje z zaleceniem poparcia zabiegów Jakóba o rękę księżniczki. [4])

Na dworze polskim potraktowano te plany z całą powagą. Jan III pragnął ze swej strony wybadać na miejscu sytuację i korzystając z pobytu na studjach w Paryżu swych

---

[1]) Béthune, 16 IX 1685, Teki Walisz. IV, s. 3063/4.

[2]) Ks. Armand de Bourbon Conti, brat „Wielkiego Kondeusza" ożeniony z siostrzenicą Mazarinlego, miał 2 synów: Ludwika Armanda de Bourbon-Conti i Franciszka Ludwika de Bourbon, ks. de la Roche-sur-Yon. Głośno o nich było poza Francją w r. 1685: najpierw uzyskali pozwolenie Ludwika XIV na udanie się do Polski, by wziąć udział w kampanji przeciw Turkom, a gdy Ludwik XIV pozwolenie to cofnął, uszli z Francji do Bawarji, a stamtąd na Węgry. Wkrótce po powrocie do Francji starszy brat nagle umiera, a młodszy zostaje dziedzicem tytułu rodowego, księciem Conti. W omawianych staraniach o rękę księżniczki portugalskiej występuje jeszcze de la Roche-sur-Yon. Por. monografję o nim Duc de la Force: *Le grand Conti* (Paris 1922), passim. Rzecz szczególna, że już wtedy pisał Béthune 13 V 1685, Teki Walisz. s. 3036 o sympatji Sobieskich do młodych książąt, którzy widzą w nich przyszłych kandydatów na tron polski, gdyby ich własne dzieci zasiąść na nim nie mogły. Właśnie zaś w kampanji węgierskiej poznał osobiście w r. 1685 późniejszego kandydata na tron polski Hieronim Lubomirski, w r. 1696/7 główna podpora jego kandydatury.

[3]) Croissy, 16 VIII 1685, Teki Walisz. IV, s. 3062.

[4]) Croissy istotnie wysłał odnośne instrukcje posłowi w Lizbonie d'Amelot, układając następującą kolejność kandydatów według życzeń francuskich: ks. de la Roche-sur-Yon, Jakób Sobieski, książę toskański, modeński, a w każdym razie nie bawarski ani neuburski.

Croissy, 17 XII 1685 i 10 II 1686, „Correspondance de Louis XIV avec le marquis Amelot, 1685—1688, (Nantes 1863), s. 121 i 133.

siostrzeńców, Karola i Jerzego Radziwiłłów, polecił im odroczyć planowany wyjazd do Włoch,[1]) a udać się do Lizbony. W listach polecających do króla Piotra II i wpływowego ministra, księcia Cadavala, polecił Jan III ich opiece młodych Radziwiłłów, którzy pragną *faire sa révérence* królowi i infantce, oraz podziwiać piękne miasto Lizbonę: prosił zarazem o obdarzenie pełnem zaufaniem ich guwernera, który niewątpliwie miał wybadać na miejscu możliwości małżeństwa ks. Jakóba.[2]) Bardzo możliwe, że i Wielopolskiemu zlecono upewnienie się w Wersalu co do poparcia dyplomacji francuskiej dla tych planów.

Tymczasem w grudniu otrzymał dwór polski dokładne wiadomości o wynikach misji Wielopolskiego. Croissy donosił na ręce Béthune'a, że główny w rozumieniu dworu francuskiego cel ambasady polskiej, przywrócenie zupełnej harmonji i porozumienia między obu dworami, został w zupełności osiągnięty. W sprawie posiłków wojskowych zajął jednak Ludwik XIV stanowisko zdecydowanie odmowne: król jest bowiem w zupełności zajęty sprawą nawracania swych poddanych na wiarę katolicką, a walka z hugenotami i wielkie korzyści, jakie odnosi stąd Kościół i państwo, pochłaniają wszystkie siły królewskie i muszą wszystko inne na dalszy plan usunąć. W dowód przyjaźni pragnie król francuski przesłać jedynie Sobieskim upominki pieniężne, oraz zapewnia, że w sprawie małżeńskiej Jakóba wydał Amelotowi odpowiednie instrukcje. Może wreszcie upewnić Béthune Jana III, że w sprawie poparcia na tron polski jednego z jego synów Francja chętnie gotowa jest przedsięwziąć odpowiednie kroki, pod warunkiem jednak, że nie zmusi to Francji do jakichś uprzednich wydatków.[3])

---

[1]) Por. listy Jerzego Radziwiłła z r. 1684, Archiwum Radziwiłłowskie, dział IV, teka 18.

[2]) Pozornie mieli Radziwiłłowie „faire sa révérence" królowi i podziwiać piękne miasto Lizbonę. List (włoski) do króla portug. i (francuski) do Codavala, 30 VIII 1685, rkp. Czart. 181, s. 183. Nazwisko guwernera zdaje się Michał Raczyński, w kopji niewyraźnie: Raziński, w listach Amelota: Razniski. Mieli pozatem Radziwiłłowie plenipotencję do traktowania o rękę księżniczki dla Jakóba. Por. Correspondance j. w., s. 140 i Béthune, 16 IX 1685, Teki Walisz. IV, s. 3063.

[3]) Croissy, 8 XI 1685, Teki Walisz. IV, s. 3092.

Na drugiej audjencji, udzielonej Wielopolskiemu, podkreślił Ludwik XIV w jeszcze bardziej stanowczej formie odmowę posiłków wojskowych oraz subsydjów pieniężnych na wojnę. Wkrótce po tej audjencji otrzymał Wielopolski paszporty i z końcem grudnia wyjechał w drogę powrotną.[1])

Właśnie zaś w tym czasie sprawa posiłków wojskowych wysunęła się na plan pierwszy w rachubach dworu polskiego. W pierwszych dniach grudnia wrócił z Wiednia Hieronim Lubomirski, przynosząc odpowiedź negatywną na projekty Jana III wspólnej akcji polsko-austrjackiej ku ujściom Dunaju.[2]) Polska miała w myśl życzeń dworu cesarskiego odgrywać jedynie skromną rolę dywersyjną, ograniczając się do akcji oblężniczej pod Kamieńcem i ściągając na siebie Tatarów krymskich. W umyśle tedy Jana III dojrzał plan samodzielnej wyprawy polskiej w głąb księstw naddunajskich; posiłki francuskie i brandenburskie były teraz dla króla szczególnie cenne. Rada senatu w Żółkwi (grudzień 1685) plany królewskie akceptowała.[3]) W tej sytuacji wezwał Jan III do siebie Béthune'a i w obecności biskupa warmińskiego Radziejowskiego polecił mu ostrzec dwór francuski, że jeżeli plany dworu wiedeńskiego się powiodą, to cesarz będzie panem całych Węgier i Siedmiogrodu, a następnie położy rękę na Mołdawji i Wołoszczyźnie. Polska, zamknięta od zachodu i południa przez posiadłości cesarskie, stanie się dla Francji zupełnie bezużyteczną. Jeśli Francja natomiast udzieli posiłków, spróbuje Jan III zająć księstwa naddunajskie, pokrzyżuje w ten sposób plany ekspansyjne Austrji i utrudni jej zawarcie zwycięskiego pokoju, po którym oręż cesarski zwróciłby się niechybnie przeciw Francji.[4])

Wobec takich nastrojów dworu polskiego pismo Croissy'ego z 8 listopada 1685,[5]) zawierające odpowiedź na poselstwo Wielopolskiego, przyjęto na dworze polskim z pewnem rozczarowaniem. Ze zbliżenia do Francji spodziewali się Sobiescy korzyści poważniejszych niż zapewnienie poparcia

[1]) Croissy, 27 XII 1685, tamże s. 3122 i 3124.
[2]) Chowaniec j. w., s. 15.
[3]) Tamże, s. 16.
[4]) Béthune, 4 XII 1685, Teki Walisz. IV, s. 3085.
[5]) Tamże.

starań Jakóba o rękę księżniczki portugalskiej oraz mgliste obietnice pomocy francuskiej w przyszłych zabiegach elekcyjnych w Polsce. Częściowy zawód na tem polu pragnął teraz król wynagrodzić sobie przynajmniej uzyskaniem posiłków wojskowych. W rozmowach z Béthunem zaznaczył tedy Jan III, że mimo swych trudności wewnętrznych Francja mogłaby się zdobyć na skromną choćby pomoc w sile trzech batalionów piechoty z odpowiednią artylerją, zapewniając jej utrzymanie na czas kampanji. Mile przyjętoby w Polsce, gdyby z podobną propozycją wystąpił oficjalny ambasador francuski — podniosłoby to ogromnie powagę Francji w Rzplitej. W tym też celu wysłał Jan III nowego kurjera do Francji z listami od siebie i żony, z podziękowaniem za odnowienie przyjaźni i upominki, wioząc w prezencie dla Ludwika XIV część łupów z pod Wiednia. Do listów tych dołączył Jan III memorjał z usilną prośbą o posiłki wojskowe.[1]) Zarazem zaś polecił Wielopolskiemu, by w drodze powrotnej udał się do Berlina i zażądał od elektora należnych posiłków na najbliższą kampanję.[2])

Kurjer z nowemi listami Jana III i memorjałem stanął w Wersalu dopiero w połowie lutego, a odpowiedź Ludwika XIV nadeszła późną wiosną, gdy już przygotowania do kampanji były w pełnym toku.[3]) Już jednak na początku lutego 1686 roku, gdy przyszły listy Croissy'ego do Béthune'a o ostatniej audjencji Wielopolskiego i listy samego kanclerza, nie mógł dwór polski żywić więcej nadziei na powodzenie swych starań o posiłki. Tak wtedy, jak i w późniejszych listach Croissy'ego, stanowisko odmowne[4]) Wersalu było wyraźne i niewzruszone. Ludwik XIV może dać jedynie posiłki godne swego imienia i swej potęgi a na takie nie posiada w tej chwili pieniędzy. Zresztą król francuski musi dbać o interesy handlowe swych poddanych na Wschodzie i nie może się narażać lekkomyślnie na konflikt z Turcją. Na życzenie Jana III obiecał Ludwik XIV wysłać listy do

[1]) Béthune, 27 XII 1685, j. w., s. 3095.

[2]) Na mocy uchwały rady sen., grudzień 1685, rkp. Czart.866.

[3]) Teki Walisz. IV, s. 3130 i 3143.

[4]) Croissy, 27 XII 1685 i 14 i 21 II 1686, Teki Walisz. IV, s. 3122, 3131 i 3133.

carów moskiewskich z zachętą do zawarcia sojuszu z Polską przeciw Turcji.

Wielopolski znowuż, chcąc usprawiedliwić niepowodzenie swej misji, skarżył się Janowi III na intrygi polskiej opozycji na gruncie francuskim. Pojawił się bowiem w Paryżu agent Jabłonowskiego, niejaki Kamiński, z listami do Ludwika XIV na ręce biskupa Beauvais i starał się pono pokrzyżować akcję Wielopolskiego, a dwór wersalski nieprzychylnie dla kanclerza nastroić. Naskutek tych intryg opozycji doznał kanclerz rzekomo chłodniejszego niż poprzednio przyjęcia na ostatniej audjencji. Z innej znów strony doniósł hetman polny litewski Słuszka królowi, że ów Kamiński wrócił do kraju z przychylną dla Jabłonowskiego odpowiedzią.[1]) Croissy przecież wkrótce zaprzeczył tym pogłoskom i stwierdził stanowczo, że dwór francuski odnosił się do Wielopolskiego z równą życzliwością w ciągu całej jego ambasady, list zaś Jabłonowskiego minister francuski zupełnie zbagatelizował.[2])

Jednocześnie na początku roku 1686 rozwiały się ostatecznie plany małżeństwa portugalskiego Jakóba. Gdy Radziwiłłowie po dłuższym pobycie w Hiszpanji,[3]) przybyli wreszcie do Lizbony, zastali tam nastroje dla podobnych zamysłów zupełnie nieprzyjazne. Pod wpływem dyplomacji hiszpańskiej, mówiono w Lizbonie już tylko o małżeństwie infantki z księciem neuburskim, a wpływy francuskie zmalały ogromnie. W tych warunkach usługi Amelota dla sprawy Jakóba były bez znaczenia. Towarzyszowi Radziwiłłów (Raczyńskiemu), który miał prowadzić sekretne w tej sprawie negocjacje, nie pomogły listy polecające Jana III do Cadavala, ani biskupa Załuskiego (który miał stosunki w Hiszpanji i Portugalji z czasów swego poselstwa w r. 1674/5) do spowiednika królewskiego. Piotr II wyjechał z Lizbony na prowincję do Salvatorre. Cadaval dawał odpowiedzi wymijające, a wreszcie spowiednik królewski wyjaśnił Polakom,

[1]) Béthune, 17 I 1686, j. w., s. 3117.

[2]) Croissy, 14 II 1686, s. 3131.

[3]) List polecający dla nich do Karola II, 31 I 1686, w rkp. Biblj. Narod. R. F. IV, 50, s. 275. Radziwiłłowie przybyli do Lizbony 11 I 1686. Correspondance j. w., s. 134.

że dwór portugalski jest zupełnie pod wpływem Hiszpanji i raczej zdecyduje się na oddanie ręki infantki księciu neuburskiemu. Radziwiłłowie opuścili tedy Portugalję, nie uzyskawszy audjencji na dworze;[1]) zapewnienia Croissy'ego, że dwór francuski zarzucił plany małżeństwa księcia de la Roche-sur-Yon z infantką i wszystkich użyje wpływów dla poparcia starań Jakóba, brzmiały wprost groteskowo w chwili, gdy dyplomacja francuska na dworze portugalskim została zupełnie zdystansowana przez wpływ Anglji i Hiszpanji.[2])

V.

W lutym 1686 r. bawił Wielopolski w Berlinie, gdzie starania jego o posiłki zakończyły się również niepowodzeniem. W imieniu elektora oświadczył kanclerzowi minister brandenburski, Fuchs, że korpus posiłkowy elektora pójdzie w tym roku na Węgry, walczyć więc będzie w każdym razie dla wspólnej sprawy! Obiecał natomiast Fryderyk Wilhelm wysłać listy do Moskwy z zachętą do przymierza antytureckiego.[3])

Z początkiem maja stanął Wielopolski w Jaworowie i złożył oficjalną relację ze swego poselstwa. Przyjęty napozór bardzo łaskawie, wynosił Wielopolski potęgę Francji i podkreślał wagę stałego utrzymania z nią dobrych stosunków, robiąc przytem nadzieję, że w niedługim czasie Ludwik XIV udzieli bliższych wyjaśnień w sprawie posiłków, o ile Rzplita nadal ich będzie potrzebowała.[4]) Jak słusznie dostrzegł poseł wenecki Alberti, robił kanclerz nadzieję na

---

[1]) Amelot do L. XIV, z Lizbony, 28 I 1686. Correspondance j. w s. 140/1. Dwór portugalski uraził się tem, że w liście od Jana III do Piotra II, który przywiózł poseł portug. (Pereira), król polski umieścił swoje nazwisko na pierwszem miejscu, inaczej niż w liście do króla hiszp. Radziwiłłowie wyjechali z Lizbony 27 I 1686, nie doczekawszy się audjencji. Béthune, 23 III i 4 IV 1686, Teki Walisz. IV, s. 3135 i 3137.

[2]) Manneville j. w. Piotr II ożenił się z księżniczką neuburską, a infantka Izabella umarła niezamężna w roku 1690.

[3]) Materjały do pobytu Wielopolskiego w Berlinie w rkp. Ossol, 3001, s. 84 i nast.

[4]) Béthune, z Jaworowa, 4 V 1686, Teki Walisz. IV, s. 3149. Romanini z Wiednia, 19 V 1686, Teki rz. 102, s. 14, D'Alerac j. w., s. 74/5.

posiłki w tym celu jedynie, by uspokoić opinję i ewentualną pomyślną w przyszłości zmianę zdania Wersalu w tej sprawie zapisać na swoje konto. [1])

Przyjęcie w Jaworowie było naprawdę grą na pokaz, dla zmylenia opinji kraju i ukrycia wobec dyplomacji państw Ligi świętej niepowodzenia misji wielkiego kanclerza. Dobrze jednak poinformowani Alberti i Pallavicini dostrzegli jednak zmianę nastrojów na dworze polskim. [2]) Jan III był wyraźnie zawiedziony; narzekał wobec Béthune'a, że dwór francuski znów go zlekceważył i nie dał oparcia ani w sprawach dynastycznych, ani w dalszej wojnie z Turcją. Jedyny zysk poselstwa leży w tem, że Jan III nie musi się już obawiać zemsty Ludwika XIV za wypadki z roku 1683. Sam wkońcu Béthune poddał się tym nastrojom i chcąc odwrócić od siebie niezadowolenie, sam przytakiwał w wyrzekaniu na dwór wersalski. [3])

Pierwsza tedy próba usamodzielnienia polityki polskiej od Ligi przez zbliżenie do Francji skończyła się niepowodzeniem. „Wielka ambasada" Wielopolskiego do Francji zawiodła nadzieje dworu polskiego. Ludwik XIV przyjął ją jedynie jako akt ekspiacji za zerwanie z Francją w roku 1683 i przywrócenie poprawnych stosunków między oboma dworami. Wbrew nadziejom dworu polskiego na propozycje małżeńskie dla Jakóba, tak cenne wobec zawodu doznanego w tym względzie od Austrji, Ludwik XIV ograniczył się jedynie do poparcia starań królewicza na dworze portugalskim, co wobec upadku wpływów francuskich w Lizbonie, nie miało realnego znaczenia. Odmówił Ludwik XIV posiłków na wojnę turecką w chwili, gdy pomoc ta mogła umożliwić Janowi III częściową realizację jego planów czarnomorskich bez oglądania się na dwór wiedeński, a nawet pokrzyżowanie planów cesarskich. Poselstwo wreszcie Wielopolskiego nie zapewniło stosunkom polsko-francuskim upragnionej przez dwór polski ciągłości. Ludwik XIV nie uznał za wska-

[1]) Alberti, 8 V 1686, Teki wen. 6, n. 103.

[2]) Pallavicini, 8 V 1686, Teki rz. 962, s. 42.

[3]) Pallavicini, 16 IV 1686, tamże, s. 28. Pono Béthune „per quietare in qualche modo i malcontenti, anco lui consente nelle doglianze della Francia".

zane (znów wbrew oczekiwaniom dworu polskiego) wysłania do Polski swego posła w charakterze urzędowym dla utrzymania stosunków oficjalnych, lecz zadowolił się pozostawieniem przy dworze polskim Béthune'a: temu zaś również poskąpił Ludwik XIV rangi poselskiej, traktując go jedynie jako Francuza-krewnego króla polskiego, któremu pozwolił na pobyt przy dworze polskim.[1]) W otoczeniu Jana III uznano to za dowód lekceważenia, a przynajmniej obojętności, z jaką odnosił się Ludwik XIV do spraw polskich, nie widząc w ówczesnej sytuacji politycznej Francji potrzeby nawiązywania bliższych z Polską stosunków. Nie znalazłszy oparcia w Wersalu, musiał Jan III prowadzić nadal politykę polską ściśle po linji wytyczonej traktatami z 1683 i 1684 r. Skazany na dalszą wojnę z Turcją w ramach Ligi świętej, musiał się godzić na tak niekorzystny traktat z Moskwą w 1686 roku. Sojusz ten moskiewski w znacznym stopniu utrudni mu w przyszłości wycofanie się z wojny tureckiej na drodze pokoju partykularnego z Portą.

Trudno nie nazwać ówczesnej polityki Francji krótkowzroczną. W chwili tworzenia się ligi augsburskiej (lipiec 1686) Ludwik XIV pozbawiony był zupełnie oparcia na wschodzie Europy. Szwecja już od lat kilku związana była traktatami z wrogami Francji, a jedyny w latach ostatnich sojusznik Ludwika XIV nad Bałtykiem, Fryderyk Wilhelm, zrywał właśnie z systemem polityki francuskiej, a łączył się traktatami z Holandją, Austrją i Szwecją (1685/6). Sam stojąc w przededniu drugiej wojny koalicyjnej, pozostawiał Ludwik XIV Polskę swemu losowi. Dopiero po wyprawie mołdawskiej w 1686 roku dostrzec można pierwsze ślady większego zainteresowania dworu wersalskiego dla spraw polskich. W listopadzie wyrażał Croissy[2]) gotowość wejścia w porozumienie z dworem polskim w sprawie odpowiedniego przygotowania przyszłej elekcji, by ta nie skończyła się zwycięstwem Austrji — a w roku 1687, na wieść o spodziewanej rychłej śmierci chorego Jana III, dwór wersalski za-

[1]) Bardzo trafnie charakteryzuje stosunki francusko-polskie w tej dobie poseł wenecki na dworze Ludwika XIV Girolamo Venier (1682—1688), Relazioni venete. Serie II, Francia, vol. III.

[2]) Croissy, 21 XI 1686, Teki Walisz. IV, s. 3194.

pewnienia te ponawia. Z inicjatywy znowuż Béthune'a pojawia się projekt jakiejś ligi Francji, Polski i Danji dla utrzymania pokoju w Niemczech i zaszachowanie Brandenburgji, której stanowisko, wrogie Francji, nie ulegało już wątpliwości. Istotnie jednak zabiegi o pozyskanie Polski podjął Ludwik XIV naprawdę dopiero w roku 1688, gdy Francja wszczynała wojnę z drugą koalicją: wtedy jednak już tak ogólna sytuacja polityczna w Europie, jak i stosunki wewnętrzne Rzplitej, oraz ówczesny stan wojny z Turcją, nie pozwolą Janowi III na wiązanie się z Francją. [1])

[1]) Por. Piwarski K.: Między Francją a Austrją. Z dziejów polityki Jana III w latach 1687—1690 (Kraków 1933), s. 78 i nast.

Kazimierz Piwarski.

Walka o szkołę we Francji.

Jednym z podstawowych dogmatów masonerji, reprezentowanej przez „Wielki Wschód“ i „Wielką Lożę Francji“, było od czasów „Wielkiej Rewolucji“ t. zw. „wychowanie narodowe“ czyli, jak dziś się mówi, *L'école unique*, dająca państwu monopol nauczania. Masoni dążą zatem do pozbawienia rodziców prawa rozporządzania się wychowaniem dzieci, zmuszając ich do powierzania tej troski państwu; żądają oni zupełnego skasowania nauczania prywatnego oraz jednolitego typu szkół, nie zważając na wrodzone różnice uzdolnienia i idąc bezwzględnie w kierunku „demokratycznej“ niwelizacji poziomu nauczania ku dołowi. „Arystokratyczne“ równanie ku górze dla wytworzenia elity narodowej nie znajduje zrozumienia wśród radykalnych doktrynerów francuskich rządzących dziś Francją a wywierających zgubny wpływ na wpatrzone w wyższość kultury francuskiej, inne społeczeństwa. Najdziwniejszem z tego wszystkiego jest utożsamianie tego arbitralnego przymusu, stosowanego w stosunku do rodziców i dzieci, z mianem „wolności“. Najniebezpieczniejszym zaś dla współczesnej państwowości francuskiej jest teror, wywierany przez nielegalizowany nigdzie „narodowy syndykat nauczycieli“ opanowany zupełnie przez żywioły wywrotowe, na rząd i parlament. Teror ten, bezkarnie stosujący broń strajkową, nie pozwala rządowi zrealizować uchwalonych już oszczędności, a nawet posuwa się aż do podważania bezpieczeństwa państwa nazewnątrz, jak świadczą antymilitarne rezolucje ostatniego kongresu tego syndykatu, ledwo skarcone przez masońskiego ministra oświaty de Monzie.

Środkiem do „unieszkodliwienia“ nauczania prywatnego, po przymusowej likwidacji zakonów przez rząd Combesa, stała się darmowość nauczania państwowego, rozciągnięta obecnie aż na

czwartą (według naszego podziału piątą) klasę szkoły średniej. Już dwa lata temu rząd zapowiedział realizację w najbliższym czasie całkowitej bezpłatności państwowych szkół średnich. Staje się to w czasie, kiedy Francja ma wielomiljardowy deficyt budżetowy, kiedy ciężki stan jej finansów (mimo olbrzymich zapasów złota, leżących bezproduktywnie w bankach francuskich) zmusza dziś Francję bardziej niż jakiekolwiek inne państwo w Europie do najskrajniejszych oszczędności; a przecież ostatnio rozszerzenie bezpłatności szkół średnich oznacza zmniejszenie się dochodów państwa o pięćdziesiąt kilka miljonów rocznie! Równocześnie w całym szeregu szkół średnich obniżono poziom nauczania przez połączenie gimnazjów klasycznego, modernistycznego i technicznego. Wskutek olbrzymiego natłoku uczniów, zachęconych bezpłatnością nauczania i nie rozumiejących niebezpieczeństwa, grożącego im z powodu przepełnienia szeregu inteligencji pracującej, oficjalny poziom nauczania musi się pozatem siłą rzeczy obniżyć do wymagań przeciętnej masy uczniów, dopuszczonej na podstawie coraz bardziej „mechanicznej selekcji" do szkoły średniej. W komisjach egzaminacyjnych biorą udział również przedstawiciele rodziców i władz samorządowych! Przegłosowanie w nich opinji nauczycieli zakładu danego ucznia jest na porządku dziennym.

W uzasadnieniach ministerjalnych podkreślana jest ustawicznie tendencja do usunięcia wszelkich „różnic" pomiędzy uczniami, szczególnie zaś do przełamania „oporu sfer burżuazyjnych" przeciwko rozporządzaniu się przez państwo kierunkiem ich dzieci! „Przełamanie" to ma być uskutecznione, jak mówił minister de Monzie, groźbą wprowadzenia państwowego monopolu nauczania i ubezprawnienia wszystkich szkół prywatnych. Prywatnego nauczania powszechnego dawno już niema we Francji. Wiek dziecinny znajduje się więc we władaniu państwa. Teraz chodzi o to, by państwu zapewnić wyłączny wpływ na okres młodzieńczy. Radykałowie żałują, że nie mogą jeszcze „zawładnąć noworodkami"! A wszystko to odbywa się pod hasłem Robespierre'a: „Ojczyzna ma prawo do wychowania s w o i c h dzieci"... Znany polityk francuski Leon Bourgeois określił zadania szkoły państwowej jako zapewnienie „wytworzenia jednolitości umysłów i sumień"... przez „jednolite pojmowanie życia, jego celu i jego obowiązków".

Cały sens tej teorji wynika jasno z wykluczenia ze szkoły nauki religji, tolerowanej jedynie w domu lub kościele. Politycy

radykalni — a radykalizm francuski jest publiczną ekspozyturą polityczną masonerji — nie kryją się bynajmniej z zamiarem zupełnego wyeliminowania wpływu Kościoła na uformowanie się umysłów młodego pokolenia. Nazywa się to oficjalnie „walką z przesądami" i „przygotowywaniem do życia". Religję zastępuje w szkole „nauka moralności", pojmowanej według zapatrywań przeważnie wywrotowo usposobionych nauczycieli. Niechęć do religji katolickiej wywołuje również niechęć dzisiejszych władców szkoły francuskiej do humanistyki, co ze strony krytyków systemu masońskiego powoduje posądzenie go o tendencje do zastąpienia inteligencji „majstrami" *(contremaitres)*. W dodatku politycy radykalni podkreślają z zapałem, godnym lepszej sprawy, że celem „szkoły jednolitej" jest doprowadzenie walki klas (jako objawu z ich punktu widzenia pożytecznego) do jej skrajnego zakończenia, przez wyplenienie różnic stanowych w szkole na rzecz zupełnej proletaryzacji przyszłej inteligencji. Szkoła przecież jedynie ma decydować, kto się nadaje do oświaty wyższego rzędu, a kto powinien powiększyć szeregi abiturjentów szkół fachowych.

W społeczeństwie katolickiem i społecznie umiarkowanem we Francji zaczęła się ostra walka z polityką szkolną rządu. Również i włościaństwo zaczyna się buntować przeciwko pozbawieniu rodziców prawa rozporządzania się własnemi dziećmi i wysyłania do szkół średnich czy wyższych uczniów, przeznaczonych przez ojców do dziedziczenia włościańskiego gospodarstwa rolnego. W prasie, w parlamencie i na zebraniach wskazuje się ustawicznie na grożące zalewanie stanu średniego bezrobotnymi adwokatami, lekarzami, urzędnikami i t. d., na perspektywę fatalną ogołocenia wsi i roli na rzecz przeludnionych miast, na niebezpieczeństwo masowej fabrykacji proletarjatu inteligentnego, najbardziej skorego do przewrotu społecznego i fermentu politycznego, bo nic nie mającego do stracenia i działającego za namową najgorszego doradcy — nędzy. Radykałom tylko w to graj. Takie argumenty nic nie pomogą. Nie przekonają ich również jaskrawe dowody, przytaczane przez przeciwników „szkoły jednolitej", o całkowitem zapewnieniu wybitniejszym jednostkom ze sfer niezamożnych możliwości dojścia do studjów wyższych przez doskonale prosperującą instytucję burs. Są one właśnie dla radykałów obrazą ich poczucia absolutnej równości oraz ich przekonania o niedopuszczalności wpływu na wychowanie „klas po-

siadających", opłacających szkoły czy bursy! Skoro nikt nie będzie płacić, nikt też nie będzie mógł czegokolwiek od szkoły wymagać: oto kwintesencja mądrości radykalnej. A co jest w tem wszystkiem najciekawsze, to stałe unikanie przez rządy radykalne publicznej dyskusji o wychowaniu w parlamencie, odkładanej konsekwentnie przez kolejne rządy od 1924-go do bieżącego roku, oraz przeprowadzanie realizacji „szkoły jednolitej" wyłącznie drogą dekretów i rozporządzeń!

Francuska prasa prawicowa uderza też coraz bardziej na alarm z powodu coraz niebezpieczniejszego ulegania nauczycielstwa francuskiego prądom wywrotowym, żywcem zaczerpniętym z Moskwy. Ostatnie kongresy syndykatu narodowego nauczycieli francuskich uchwaliły rezolucje, które wywołały przerażenie w społeczeństwie. Głoszą one socjalizację całej gospodarki narodowej, zakaz pobierania przez dzieci jakiejkolwiek nauki religji, rozbrojenie Francji bez uzyskania jakiejkolwiek gwarancji bezpieczeństwa, wreszcie — na ostatnim kongresie — zorganizowanie planowego sabotażu mobilizacji na wypadek wojny! Reakcja rządu przeciwko tym rewolucyjnym uchwałom była śmiesznie słaba i wyłącznie papierowa. Nie odważył się on wystąpić bezwzględnie wobec ukochanych pupilów masonerji. Gdy zaś pod presją coraz trudniejszej sytuacji finansowej i niemożliwości dalszego napięcia i tak już nieznośnego ucisku fiskalnego, posłowie zgodzili się wreszcie — mimo strachu przed wyborcami — na redukcje uposażeń pracowników państwowych, syndykat zagroził rządowi strajkiem na wypadek wprowadzenia w życie ustawy parlamentarnej. A rząd ustąpił; uląkł się teroru syndykalistów rząd najbardziej deklamujący o demokracji i republikaniźmie, choć usankcjonował w ten sposób faktyczną dyktaturę syndykatów, drwiącą z postanowień przedstawicielstwa narodowego. Tak samo syndykat groźbą strajku uniemożliwił jakąkolwiek redukcję olbrzymiej ilości szkół powszechnych, częstokroć zupełnie niepotrzebnych, bo liczących zaledwie kilkoro dzieci, z powodzeniem nadających się do szkoły w sąsiedniej wiosce. Dla tych nauczycieli nie rozchodzi się wcale o wygodę dzieci, a jedynie o zachowanie intratnych posad i wygodnych pomieszczeń. Dla uczniów szkół państwowych istnieją wszak wszelakie ulgi, nawet dochodzące do bezpłatności na państwowych linjach kolejowych i autobusowych; odmawia się tych ulg uczniom szkół prywatnych, uważanych za „gniazda kleryka-

lizmu", stale przedstawianego na kongresach nauczycielskich jako jedyny i właściwy „wróg" „laicystycznej" Francji, wymagający „wojny do zwycięskiego końca" (Innych wrogów Francja wedle tezy masońskiej nie posiada). A tymczasem podatkowiec francuski ugina się pod ciężarem świadczeń fiskalnych a najbogatsze w kruszce złote, państwo zagrożone jest widmem bankructwa z powodu oporu najliczniejszej kategorji inteligentnych wyborców przeciwko jakimkolwiek ofiarom na rzecz państwa. Nauczycielstwo francuskie w zrzeszonej swojej większości dąży dziś świadomie właśnie do wykorzystania sytuacji dla celów rewolucyjnych, zaledwie maskowanych pozorami „reformy nauczania". Wolność rodziny nie istnieje już w „wolnościowej" Francji. Walka z „tronem i ołtarzem" spowodowała najprzód zmajoryzowanie rozumu przez masę, a następnie utratę swobody indywidualnej pod pięścią zorganizowanej mniejszości.

Dla katolików francuskich sytuacja jest niezwykle ciężka. Wiele rodzin przecież nie ma środków na posyłanie dzieci do szkół prywatnych. W dodatku chodzi im przecież o zapewnienie tym dzieciom w przyszłości posad. W dodatku nad szkolnictwem prywatnem wisi ustawiczna groźba zupełnej jego likwidacji. Szkoła bezwyznaniowa odbija się fatalnie na umysłach dorastającego pokolenia. Kontrakcja misyjna duchowieństwa nie może dać dostatecznych wyników. Coraz liczniejsze parafje nie są obsadzone z powodu braku środków, względnie kandydatów, proboszczowie wszędzie przeciążeni są pracą katechizacyjną. Coprawda od wojny, w znacznym stopniu dzięki niej właśnie, obserwujemy bardzo pocieszające odrodzenie katolicyzmu francuskiego, objawiające się tak w odzyskaniu całych utraconych parafij, masowej budowie świątyń i licznym napływie kandydatów do stanu duchownego, jak i w zasadniczej zmianie nastawienia czynników oficjalnych względem Kościoła, pozbawionych obecnie dawnej agresywności. Niemniej „antyklerykalny" front większości parlamentu francuskiego istnieje nadal i wszechwładna masonerja usilnie dba o powierzenie tek ministerjalnych, szczególnie zaś ministerstwa „wychowania narodowego" (jak się obecnie nazywa) wyłącznie „swoim ludziom". Zamiast dawnej agresywności wrogowie Kościoła stosują obecnie przeważnie inną broń, zgoła zatrutą, polegającą na przedstawianiu religji jako jakiegoś zbytku, na który pozwalać sobie mogą jedynie „klasy posiadające" dla dodawania splendoru chrztom,

ślubom i pogrzebom, oraz dla „przestrzegania tradycji" w niedzielę, kiedy „człowiek pracy" winien odpoczywać! Nauczycielstwo zaś radykalne systematycznie i konsekwentnie prowadzi w umysłach dziecięcych i młodzieńczych „walkę z Bogiem", nie bardzo odbiegając od wzorów bolszewickich i siejąc spustoszenia, które tylko bardzo mocne w wierze rodziny mogą powetować. Toteż obserwujemy we Francji ciekawe dla nas i pouczające zjawisko, że niema tam tak charakterystycznego dla szczycącej się swoim katolicyzmem Polski, podziału na katolików „praktykujących" i „niepraktykujących". Kto się poczuwa do katolicyzmu we Francji ten jest już katolikiem patentowanym, poczuwającym się *ipso facto* do wszystkich obowiązków i dbałym z przekonania o zbawienie swojej duszy. To jest w każdym razie dodatnia strona tej walki o wychowanie dziecka we Francji.

Jedyną częścią Francji, w której obowiązuje na podstawie konkordatu ze Stolicą Apostolską nauka religji w szkole — to Alzacja i Lotaryngja. Tam bowiem Francja przejęła te zobowiązania, istniejące w tej dzielnicy za czasów niemieckich, i, nie chcąc się narazić ludności, myśleć nie może o ich zniesieniu. Dzielnica ta uratowała po wojnie ciągłość stosunków dyplomatycznych pomiędzy Francją a Watykanem, dla niej bowiem rząd nie poszedł swego czasu na całkowite zwinięcie ambasady przy Watykanie; nie jest zaś wykluczone, że ona również kiedyś w przyszłości stanie się przyczyną zawarcia konkordatu, któryby obowiązał już całą Francję. W tym kierunku idzie, coprawda bardzo powoli, pewna ewolucja, widoczna nawet dla pesymistów. Niestety jednak jest tutaj jedno poważne ale: oficjalne sfery francuskie coraz bardziej są zrażone nieprzebierającą w środkach agitacją „autonomiczną", jawnie popieraną przez Berlin, a kierowaną przez odłam duchowieństwa alzackiego. Daremnie Biskup Strasburski ks. Ruch nawołuje księży proboszczów i katechetów, oddanych temu kierunkowi, do przestrzegania lojalności względem państwa, zwłaszcza zaś do nienadużywania katechezy, ambony i konfesjonału do celów politycznych. Ks. Biskup Ruch znajduje oczywiście w tej swojej akcji pasterskiej najdalej idące poparcie Stolicy Apostolskiej, co przekonać winno Francję o całkowitej z tej strony lojalności. Niemniej „antyklerykalizm" lewicy francuskiej znajduje w tej polityce księży autonomistów i germanofilów znakomity

arsenał dla napaści na alzacko-lotaryński przywilej religijnego wychowania dziatwy.

Niechcąco zapewne wielką przysługę sprawie szkolnej we Francji oddać może Hitler. Groźba wojny odwetowej paraliżuje bowiem coraz bardziej we Francji dotychczasową orjentację mas francuskich, — popierających najdalej idącą politykę ugodową, byleby uratować pokój. Wzrastające jednak dziś coraz bardziej przeświadczenie o beznadziejności tego rodzaju „ugłaskania Niemców" i realności niebezpieczeństwa nowego najazdu, wbrew najskrajniejszemu pacyfizmowi powodować musi chęć zabezpieczenia się. Do tego zaś nie wystarcza odłożenie rozbrojenia; należy usunąć niebezpieczeństwo wewnętrzne, mogące wszelką obronę sparaliżować. Nauczycielstwo zaś, które uchwala poprostu sabotaż mobilizacji, nie powinno liczyć na pobłażliwość sfer, odpowiedzialnych za obronę państwa. Reakcja taka wydaje się więc wkońcu nieuniknioną. Na niej zaś szkoła francuska może tylko zyskać. Masonerja francuska już zanadto wiele ma grzechów na sumieniu wobec własnego narodu, by wszechwładza jej mogła się ostać zbyt długo. Doktryny rewolucji francuskiej bankrutują dziś na całym świecie. „Ludowładztwo" nie jest w stanie sprostać trudnościom kryzysowym. Zależni od głosów mas „suwerenni" wybrańcy narodu przekładają względy na demagogję ponad interes państwa. W takich warunkach sanacja budżetowa przez skrajne oszczędności nie jest do pomyślenia. A przyjść jednak musi... Wówczas poddany będzie musiał być gruntownej rewizji cały ten fetysz monopolistycznej szkoły świeckiej, wyolbrzymiającej wydatki budżetowe tak ogromnie, i to głównie w celu wydzierania dziecka Bogu i rodzinie oraz utrzymywania potwornej armji agitatorów wywrotowych. — Wraz z powrotem poczucia pochodzenia wszelkiej władzy od Boga odżyje i wiara w przyrodzoną odpowiedzialność rodziny przedewszystkiem za wychowanie dzieci.

Adam Romer.

List z Brukselli.

U Bollandystów.

Przegląd Powszechny w swoim programie jako jedną z form artykułów, którym gotów jest otwierać swe łamy, przewiduje listy z podróży, genre literacki dawniej często używany i lubiany, dziś jakby wypchnięty z czasopiśmiennictwa przez reportaże i wywiady. Chociaż w rzeczywistości każdy list z podróży będzie potrochę i reportażem i wywiadem, opowiada bowiem o tem, co autor listu widział i o tem, co słyszał!

Nawiązując przeto do dawnej tradycji *Przeglądu,* posyłamy jego czytelnikom list ze stolicy bohaterskiej Belgji, niemniej niż Polska zagrożonej sąsiedztwem nacjonalizmu z pod znaku hitlerowskiej swastyki. Ale nie będzie to list polityczny! O polityce dziś pisać prawdę jest niezmiernie trudno i niebezpiecznie! Lepiej więc nie pisać o niej wcale! Nie będzie to również list ekonomiczny o kryzysie! Gdyby mi ktoś odkrył tajemnicze lekarstwo na kryzys współczesny, tobym bardzo chętnie podzielił się tą tajemnicą z rodakami. Ale tutaj, w Belgji, zupełnie tak samo jak w Polsce, ludzie narzekają na kryzys i znoszą go, nie wiedząc ani kiedy się skończy ani jak go skończyć! Dlatego wolę pisać o Bollandystach.

Być w Rzymie, a nie widzieć papieża, to to samo, co być w Brukselli, a (będąc Jezuitą i historykiem) nie odwiedzić Bollandystów! Mając zamiar zatrzymać się kilka dni w stolicy Belgji, odrazu wybrałem siedzibę Bollandystów na miejsce zamieszkania, chociaż jej oddalenie od centrum miasta jest bardzo niewygodne, dla zwiedzającego i pracującego w Bibljotece Królewskiej. Pierwszą i pierwotną siedzibę mieli Bollandyści w Antwerpji; po przywróceniu zakonu jezuickiego osiedlili się przy kolegjum św. Michała

które obecnie znajduje się przy nowych, pięknych bulwarach, noszących imię św. Archanioła. W rozległym gmachu kolegjum, będącem jednym z największych w Europie średnich zakładów naukowych (gimnazjum liczy 1400 uczniów), część północnego skrzydła zajmuje bibljoteka Bollandystów. Jej kierownikiem, a poczęści kierownikiem Bollandystów jest obecnie O. Delehaye Hipolit.

Użyłem wyrażenia: poczęści, ponieważ Bollandyści nie posiadali i nie posiadają żadnego prezesa czy dyrektora, ale ich łączność oparta jest na wzajemnej, jak najbardziej ścisłej współpracy nad jednem, wspólnem dziełem.

By zrozumieć i poznać ducha, organizację i dorobek tej jedynej w swoim rodzaju instytucji naukowej, trzeba nam się cofnąć w pierwsze lata XVII w. W jezuickiem kolegjum w Antwerpji żył podówczas młody jeszcze Jezuita, Holender z pochodzenia, O. Heribert Rosweyd, zwany najczęściej Rosweydem. Był to t. zw. mól książkowy, obdarzony z natury wielkiem zamiłowaniem, wprost namiętną ciekawością do książek i rękopisów, tak obficie znajdujących się wówczas po bibljotekach klasztornych. W czasie swoich studjów i w pierwszych latach pracy nauczycielskiej zwiedzał bibljoteki klasztorne i opackie, szczególnie interesując się hagiografją. Nie była to jednak tylko pasja zbieracza i mola bibljotecznego! Rosweyde posiadał umysł jasny, a przedewszystkiem krytyczny! Grzebiąc w starych hagiograficznych rękopisach i porównując je ze sobą, spostrzegł fakt, który go bardzo silnie uderzył i stał się dlań pewnego rodzaju objawieniem naukowem! Oto naocznie przekonał się o niekrytyczności współczesnej mu i średniowiecznej hagiografji, przekonał się o istnieniu ogromnej masy apokryfów, często niezgodnych z duchem katolicyzmu! To, co ogół przyjmował za prawdę historyczną, dla niego było w bardzo wielu wypadkach tylko wpływem legendy. Z tej krytycznej oceny zrodziła się idea, będąca po dzień dzisiejszy zadaniem Bollandystów: zbieranie, opracowywanie krytyczne i wydawanie źródeł do życia świętych! Z zamiarem swoim zwierzył się Rosweyde przełożonym, a otrzymawszy ich przyzwolenie, zabrał się do dalszej pracy, badał bibljoteki belgijskie, a po trzech latach przygotowań w r. 1607 ogłosił u Plantina w książeczce *Fasti Sanctorum quorum vitae in belgicis bibliothecis manuscriptae...* program wydawnictwa. Miało ono objąć 16 tomów in-folio; Rosweyde podaje dokładny rozkład treści i plan licznych wstępów i indeksów.

Zdumiewa nas w tym planie zarówno krytycyzm, jak wszechstronność i głębokość ujęcia właściwego zadania!

Planu swojego Rosweyde oczywiście nie wykonał, a nawet nie zaczął wydawnictwa *Aktów*, zebrał tylko ogromny materjał w dokumentach i wydał kilka prac o charakterze przygotowawczym. Jedna z nich *Vitae Patrum* (1615) uważana jest jakby za kamień węgielny późniejszych *Acta Sanctorum;* pod względem naukowej ścisłości i krytycyzmu *Vitae* są prawdziwem arcydziełem. W r. 1629 umiera Rosweyde, pozostawiwszy wielki zbiór materjałów, nieuporządkowanych i nieopracowanych. Przełożeni spuściznę tę oddają w opiekę O. Janowi Bollandowi (ur. 1596 r.), z poleceniem, by się z nią zapoznał i zdecydował o jej losach i o losach całego przedsięwzięcia. Bollandus uznaje zbiory Rosweyda za bardzo cenne i ofiaruje się dalej pracować nad dziełem przez niego rozpoczętem pod warunkiem, że zostanie zwolniony od innych zajęć, a zbiory Rosweyda zostaną wyłączone z bibljoteki kolegjum antwerpskiego i przekazane do jego dyspozycji. Przełożeni warunki te przyjęli. W r. 1630 Bollandus rozpoczął pracę, nie zdając sobie jeszcze sprawy z ogromu podjętych zobowiązań. Przygotowywał materjał do pierwszych tomów, mających objąć świętych miesiąca stycznia; jako współpracownika dodano mu po kilku latach O. Henschiusa Godefroid, który w gruntowności i ścisłości opracowania materjału przewyższył swego mistrza! Bollandus, zapoznawszy się z pierwszemi pracami Henschiusa, przerwał druk pierwszego tomu aktów, wycofał rękopis z drukarni, polecił zniszczyć pierwsze wydrukowane arkusze i zabrał się do ponownego opracowania materjału wedle metody Henschiusa. W r. 1643 ukazały się dwa pierwsze tomy, zawierające akta świętych stycznia, owoc najściślejszej współpracy Bollandusa i Henschiusa, będących właściwymi założycielami wydawnictwa. Ta wzajemna ścisła współpraca i jakby bezosobowość dzieła stały się charakterystyczną cechą Bollandystów. Zawsze stanowili oni i dzisiaj stanowią zamkniętą grupę historyków, pracujących przedewszystkiem jako całość nad jednem wspólnem dziełem, z zaparciem się osobistych ambicyj naukowych i egoizmu.

Drugim charakterystycznym rysem życia i pracy Bollandystów, tradycyjnie od czasów Bollanda zachowywanym, jest wielka surowość i poprostu ubóstwo życia i urządzeń ich pokoi, pracowni i bibljoteki. Jak najprostszemi środkami dokazać jak naj-

więcej — oto hasło Bollandystów. Skrajne wyrzeczenie się osobistych wygód, ambicyj i rozgłosu, świadome i celowe odcięcie się od świata, by nie tracić czasu na stosunki, iście benedyktyńska, mrówcza, niezmiernie trudna i ciężka praca — oto bijące w oczy rysy działalności i ducha Bollandystów. Jedna tylko rzecz jest u nich bogata i wspaniała — to bibljoteka, ściśle fachowa, zaopatrzona w najdroższe wydawnictwa specjalne z zakresu historji, hagiografji, liturgji, orjentalistyki i nauk pomocniczych.

Na fundamentach, założonych przez Bollandusa i Henschiusa, rozwijało się ich dzieło wspaniale aż po rok kasaty zakonu, doprowadzając wydawnictwo Aktów do 3 tomu października (5—7 dzień). Po kasacie próbowano na różne sposoby uratować instytucję od zagłady i umożliwić jej dalszą pracę. Udawało się to z wielkiemi oczywiście trudnościami aż po r. 1794. Rewolucja francuska zniszczyła ostatecznie dzieło Bollanda. Zbiór rękopisów i materjały do dalszych tomów Aktów dostały się do Bibljoteki Królewskiej w Brukselli, część bibljoteki została sprzedana na licytacji, a część znajduje się w Hadze.

Po okresie rewolucyjnym, w r. 1836 we Francji grono ludzi zawiązało towarzystwo hagiograficzne i pod opieką ministra Guizota wszczęto kroki, zmierzające do wydobycia z Brukselli rękopisów Bollandystów i wznowienie wydawnictwa *Aktów*. Inicjatywa ta poruszyła opinję publiczną Belgji; przypomniano sobie wielkie dzieło, które obecnie uznano za własność narodu a jego wznowienie za sprawę prestige'u. Pod naciskiem opinji Jezuici Belgijscy zgodzili się na wznowienie instytucji. W r. 1838 ogłoszono prospekt i program dalszych prac w broszurze: *De prosecutione operis Bollandiani*. Wśród największych trudności i w ciężkich, niesprzyjających pracy warunkach wydano w r. 1845 siódmy tom października. Kierownikiem wydawnictwa w okresie jego wznowienia był O. De Buck. Jego następca (od r. 1876) O. Karol De Smedt, przy współpracy OO. Wilhelma Van Hooff i Józefa de Backer, przeprowadził reorganizację instytucji i rozszerzył zakres wydawnictwa *Aktów*, odpowiednio do wymagań współczesnej nauki historycznej. Zmiany szły w dwu kierunkach. Najpierw postanowiono wydawać wszystkie źródła do życia świętych, zarówno autentyczne jak i apokryficzne; komentarze i wstępy miały przedstawiać wartość każdego źródła, jego powstanie, autora koleje dziejowe. Tak szerokie ujęcie przedmiotu pozwala śledzić

rozwój biografji każdego świętego. Druga zmiana polegała na tem, że gdy w poprzednich okresach w wydawnictwie tekstów uwzględniono tylko drobną liczbę rękopisów, to obecnie postanowiono wciągnąć wszystkie zachowane i znane rękopisy, sklasyfikować je, opracować i krytycznie uwzględnić w druku wszystkie, nawet najmniejsze odmiany tekstu.

Taki program musiał oczywiście sprowadzić jako skutek z jednej strony rozszerzenie wydawnictwa, a z drugiej zwolnienie jego tempa. Aby samych Aktów nie obciążać bardzo ważnemi, ale raczej ubocznemi, względnie wstępnemi i pomocniczemi studjami, postanowiono wydawać je osobno, w formie zewnętrznej dogodniejszej, niż ogromne folia *Aktów*. Tak powstały w r. 1882 *Analecta Bollandiana*. Dziś są one jedynem, pierwszorzędnem i nieodzownem źródłem informacyj z zakresu bibljografji i krytyki hagiograficznej. W r. 1883, a więc w drugim istnienia Analektów, zaczęto dołączać do nich dodatki, pod tytułem: *Subsidia hagiographica*. Są to przeważnie prace o charakterze pomocniczym, zawierające katalogi rękopisów hagiograficznych, przechowywanych w bibljotekach europejskich. W roku wreszcie 1891 zaprowadzono w Analektach dział recenzyjno-bibljograficzny, p. t. *Bulletin des publications hagiographiques*. W *Analectach* współpracują uczeni, nie należący do instytucji Bollandystów, Oprócz tych wydawnictw ciągłych, wychodzą od czasu do czasu publikacje o charakterze monograficznym, nie ujęte w serje.

Warto w krótkim zarysie przedstawić cały dotychczasowy dorobek Bollandystów.

1) *Acta Sanctorum* posiadają 3 wydania. Pierwsze, oryginalne, przez Bollandystów dokonane, obejmuje 50 tomów wydanych do roku 1770 w Antwerpji (styczeń do 7 października). W okresie kasaty Zakonu wyszły 3 tomy w Brukselli (8—14 października), po przywróceniu Bollandystów wydano 7 dalszych tomów października, tom uzupełnień do aktów października, wreszcie 4 tomy aktów listopada (1—10) z wyjątkiem aktów św. Karola Boromeusza i dwa tomy specjalne, zawierający *Synaxarium ecclesiae Constantinopolitanae*, drugi (jako część II, tomu drugiego) *Commentarius perpetuus in Martyrologium Hieronymianum*.

Drugie wydanie *Acta Sanctorum* wyszło w Wenecji w latach od 1734—1770; doprowadzone do 5 tomu października, jest z pewnemi zmianami przedrukiem wydania oryginalnego. Trzecie,

paryskie, zaczęte w r. 1863 jest wyłącznem przedsięwzięciem wydawcy Wiktora Polmé; Bollandyści nie mają z niem nic wspólnego. Rozkład tomów jest identyczny z rozkładem wydania oryginalnego, z wyjątkiem tomów maja i czerwca, w których materjał został inaczej rozłożony.

2) *Analecta Bollandiana* liczą 51 tomów, Serja *Subsidia hagiographica* liczą pozycyj 13, niektóre z nich kilkutomowe. Są wśród nich katalogi łacińskich rękopisów hagiograficznych bibljotek w Bruges, Brukselli, Chartres, Duai, Gandawie, Hadze, Liège, Mons, Namur, Neapolu, Rouen, Turynie, Würzburgu, a greckich w Eskurjalu, Lipsku, Mesynie, Neapolu, Rzymie, Wenecji etc. Bardzo cennem wydawnictwem jest 4 tomowe *Repertorium hymnologicum*, katalog hymnów, sekwencyj, ale będących w użyciu w Kościele rzymskim od początku po dni nasze (autor kanonik N. Chevalier, 1895—1904).

3) Obecnie senjorem Bollandystów jest wspomniany już na początku O. Delehaye Hipolit. Mimo podeszłego wieku (74 lat) i zniszczonego zdrowia, pracuje dalej ze zdumiewającą energją młodzieńczą w surowych, tradycyjnych warunkach umiłowanej instytucji. O rozległości jego wiedzy i o zawrotnej wprost pracy, sumienności i dokładności można sobie wyrobić łatwo pojęcie z przeglądnięcia ostatniego tomu *Aktów*, wydanego w r. 1931 a zawierającego wspomniany *Commentarius in Martyrologium Hieronymianum*. Wprost wierzyć się nie chce oczom i trudno pojąć, jak można było dokonać tak nieprawdopodobnie mozolnej pracy! A przecież to tylko jedno z dzieł O. Delehaye! Współpraca w poprzednich tomach *Aktów*, redakcja *Analectów* i współautorstwo *Subsidjów* — oto druga część ogromnego dzieła Czcigodnego Seniora Bollandystów. Nie można również pominąć milczeniem jego pierwszorzędnych monografij historycznych, z których każda ma znaczenie podstawowe; *Les légendes hagiographiques* (1927 trzecie wydanie) ukazują na podstawie przebogatego materjału dowodowego tworzenie się legend o świętych.

4) *Sanctus* (1927) przedstawia autor dzieje słowa *święty* w starożytności i dzieje kultu; dwie monografje dotyczą specjalnie kultu męczenników, w r. 1921 wydał O. Delehaye *Les passions des martyres et les genres littéraires*, w roku zaś bieżącym w drugiem wydaniu (pierwsze w 1912 r.) wyszły *Les Origines du culte des martyres*.

Drugim czołowym Bollandystą jest o dwanaście lat młodszy O. Peeters Paweł, specjalista w zagadnieniach wschodnich hagiograficznych; jest jednym z wydawców Ewangelij apokryficznych (opracował *Histoire de Joseph le Charpentier* i *L'évangile de l'Enfance)*; najważniejsze i najcenniejsze jego prace znajdują się wśród właściwych wydawnictw Bollandystów.

Pod okiem obu mistrzów zaprawiają się przyszli ich następcy, przygotowani do pracy przez specjalne studja historyczno-filologiczne. Jest ich czterech. Trzecią zaś grupę stanowią młodsi pomocnicy, zajęci przy bibljotece, korektach, sporządzaniu kartotek i t. d. O ile objawią się u nich odpowiednie zdolności i zamiłowania cichej, pełnej zaparcia się pracy naukowej, to zostaną oni wybrani, jako kandydaci na przyszłych Bollandystów. W ten sposób instytucja ta odnawia się, żyje i rozwija, prowadząc dalej swoje dzieło, mające tak ogromne znaczenie nietylko w hagiografji i w nauce katolickiej, ale wogóle w nauce, a przedewszystkiem w historji kultury. Święci, ich życie i ich kult, przejawiający się w tylu formach, w poezji, muzyce, w sztukach plastycznych — wszystko to stanowi jedną z najbardziej interesujących a równocześnie najwznioślejszych dziedzin kultury ludzkości. W Świętych i przez Świętych słaby i ograniczony człowiek podnosi się ponad przyrodzoność aż do najwyższego heroizmu.

I w tem właśnie leży doniosłość dzieła Bollandystów, a zarazem główny tytuł ich zasługi, chwały i należnego uznania.

Ks. St. Bednarski T. J.

Bruksella, 25 września 1933 r.

mie, musi ich, chcąc nie chcąc, przyjmować, zasadniczo tylko w tak zwanej „strefie osiedlenia", t. j. zachodnich guberniach, ale po trochu także i w głębi państwa. Zaczynają się jakby lata wahania: ze strony społeczeństwa i rządu rosyjskiego różne próby i projekty rozwiązania kwestji żydowskiej; ze strony żydów dość szeroka tendencja do asymilacji, a w każdym razie wysługiwania się obcemu państwu, co specjalnie odbiło się na stosunku rosyjskiego żydostwa do Polski, aż wreszcie przerywa ten proces przechodząca w latach ośmdziesiątych przez Rosję fala pogromów, która przez reakcję potęguje w żydach narodowe poczucie i w wielkiej mierze popycha ich ku rewolucyjnym prądom, dążącym do zupełnego zniszczenia carskiego regimu i stworzonego przezeń społecznego ustroju. — Rozdział poświęcony żydowskiej sprawie, pełny wybornie zebranej i udokumentowanej treści jest jednym z najlepszych w całem ogromnem dziele, a doniosłością swoją sięga dużo dalej niż sama historja rosyjskiego przewrotu. To krótkie, ściśle objektywne a głębokie zestawienie dziejów żydowskiego narodu jest dziś zwłaszcza bardzo pouczające i powinno być przedmiotem poważnego zastanowienia wszystkich, którzy zajmują się zagadnieniami naszej przedewszystkiem, polskiej polityki wewnętrznej.

Co do całego tego szóstego tomu powiedzieć trzeba, że zamyka się go z szczerym podziwem tak dla olbrzymiej pracowitości autora, który w krótkim stosunkowo czasie potrafił opanować i ułożyć ogromny źródłowy materjał, jak dla energji myśli, która nietylko nie słabnie wobec wielkich jeszcze czekających ją zadań, ale zdaje się nawet wzrastać. Zwłaszcza w trzecim rozdziale są karty poprostu świetne subtelnością, głębokością, przejrzystością psychologicznej i historycznej analizy. Trzeba życzyć panu Kucharzewskiemu, by ogromne swe dzieło doprowadził z tą samą dzielnością do końca, bo zbuduje niem pomnik nietylko dla nauki polskiej, ale dla całej wiedzy współczesnej i to w dziedzinie, której dokładna znajomość, mimo wielkiej jej wagi, jest bardzo rzadka.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Zygmunt Falkowski: Cyprjan Norwid — portret ogólny. — Słowo wstępne Stanisława Pigonia. Nakładem Gebethnera i Wolffa (1933) in 16⁰ stron 254.

Jest to książka bardzo celowa, jakiej społeczeństwo oddawna potrzebowało, a której pięćdziesiąta rocznica zgonu Norwida poprostu domagała się.

Autor umiejętnie zużytkował całą obecną wiedzę o Norwidzie dla nakreślenia jego literackiego wizerunku. Sam Norwid, gdyby żył, prawdopodobnie byłby niezadowolony z tego, że p. F. tak dużo miejsca i uwagi poświęcił jego sprawom personalnym, wolałby raczej, aby kosztem tego rozbudowano szerzej interpre-

tację i dzieje jego twórczości. Jednak i ta sprawa została potraktowana tak wyczerpująco, jak na to pozwalał stan badań.

W ten sposób do rąk „kasty wiednej" i ludzi „mających serca czystą wolą" (jak mawiał Norwid) trafia po raz pierwszy synteza badań nad Norwidem. To, co było dotychczas, miało charakter odmienny. Dwutomowe dzieło Krechowieckiego o Norwidzie, chybiało celu poprostu dlatego, że autor nie rozumiał poety, o którym pisał. Szkice syntetyczne Jellenty i Horzycy, opierały się na impresjach i wyłącznie własnem rozumieniu poety, a wstęp do Wyboru Poezji N-a, opracowany przez Cywińskiego, był zbyt dostosowany do celów szkolnych. Zresztą wszystkie te rzeczy w handlu księgarskim oddawna już są wyczerpane.

Falkowski umie pisać zaciekawiająco i trafić do gustu czytelników, o czem świadczy powodzenie dwukrotnie wydanej i ponownie wyczerpanej jego książki o Reymoncie.

W porządku chronologicznym przebiega autor dzieje poety i jego twórczości, czasem dłużej i głębiej interpretując utwory (np. Fortepjan Chopina, Quidam, Kleopatrę), czasem zbywając je ogólnemi, niewyczerpującemi zagadnienia, uwagami (np. Assuntę).

Norwid jest oświetlony wielostronnie. Książka daje dostateczne pojęcie o ważności takiego zjawiska literackiego, jakiem była twórczość tego poety i jej losy, aczkolwiek nie zawsze odpowiada na pytanie: dlaczego. Niema tu odpowiedzi na mimowoli nasuwające się pytanie: skąd się brały impulsy do tej walki, jaką z poetą stoczyła krytyka literacka, mimo że przebieg tej walki i metody p. F. odtwarza szczegółowo.

W przedstawieniu sporu N-a z Klaczką na temat sztuki polskiej autor nie dotarł do sedna. W oświetleniu p. F. rzecz się przedstawia tak, jakgdyby Norwid wbrew Klaczce tylko prorokował rozwój sztuk pięknych, szczególniej malarstwa, w Polsce i o tyle spór wygrał, że proroctwo jego się sprawdziło. Tymczasem N-owi chodziło o coś więcej, mianowicie o wprowadzenie nowego pojmowania sztuki. Wszystkie prace muszą, według N-a, stać się sztuką, t. j. przyjąć metody pracy twórczej, pracy „w pocie czoła a nie grzbietu". Malarstwo i rzeźba, jako szczegółowe dziedziny tak szeroko pojętej sztuki, nie miałyby tedy powodu być w Polsce upośledzone. Powstawał tedy Norwid przeciwko samobójczej ekskluzywności sztuk pięknych i na przesłankach tej argumentacji bardziej mu zależało, niż na samym wniosku, głoszącym możliwość rozwoju sztuk plastycznych w Polsce.

Mówi znowuż gdzieindziej p. F. (str. 196) o „przyjacielskiej i nieprzyjacielskiej nagonce". Jeżeli mówić o nagonce, to już tylko o przyjacielskiej. Koźmianowie, Krasiński, Klaczko, Siemieński, Kraszewski — to wszystko „przyjaciele", uprawiający nagonkę. Jeden Klaczko w przyjaźni bezpośrednio nie był zaawansowany, ale jako przyjaciel Jana Koźmiana, jednego z najserdeczniejszych przyjaciół N-a, był do tej przyjaźni bezpośredniej zbliżony. Nato-

miast o nagonce „nieprzyjaciół" jakoś nic nie wiemy. Nagonka „przyjaciół" była tak silna i uporczywa, że nieprzyjaciołom, o ile takowi wogóle istnieli, pozostało tylko milczeniem przyklasnąć. Małecki i Nehring to ludzie, których między nieprzyjacioły również policzyć nie można, bo jako autorzy podręczników, ograniczyli się do stwierdzenia faktycznego stanu rzeczy.

Powiada p. F.: „Zdawało się N-owi, że wszyscy spiskują przeciw niemu..." „przypuszczenie to..." „rozkrzewiło się w stan chorobliwej podejrzliwości" (str. 196). Tu p. F. nie ma racji. Podejrzliwość była nie chorobliwa, ale uzasadniona i rzeczowa. Niema ani jednej osoby ze współczesnych, któraby norwidowej twórczości nie atakowała. Czynił to nawet sam dozgonny, najwierniejszy przyjaciel poety, Bohdan Zaleski. Podejrzenie N-a co do personalnej na niego nagonki, jako pewnik, przyjął Z. Przesmycki, którego nie sposób tu posądzić o manję prześladowczą. Zresztą, jak wyżej mówiliśmy, sam p. F. opowiada o „przyjacielskiej i nieprzyjacielskiej nagonce".

Narzekania N-a na zoilów i argumentacji w obronie swojej twórczości, nie sposób nazwać, jak to czyni p. F., „cięgami". Co to za cięgi, od których krytycy nic nie ucierpieli, czasem nawet nie wiedzieli o tych perorach, zawartych w listach, nie do nich adresowanych. Cięgi to coś dotkliwego, bolesnego.

Oświetlenie stosunków N-a z przyjaciółmi niezawsze wypadło trafnie. Przedewszystkiem N-d i Krasiński. Trafnie powiada p. F., że „Quidam opiewa ruiny, ale „w mniej plastycznych sferach", niż „Irydjon" (str. 112). Tu dałoby się jeszcze wiele powiedzieć o ideowem (nie treściowem) pokrewieństwie „Quidama" z „Irydjonem" i „Nieboską". Nie można tedy powiedzieć, że Norwid w Quidamie „zdobył sobie pogląd samoistny..." bez pożyczek..." „z Krasińskiego" (str. 123). Gdzieindziej powiada p. F., że w rozmowach o Quidamie „Krasiński przykładał do niego miarę Irydjonową, Norwid bronił samodzielności pomysłu i ujęcia". W liście do Z. K., położonym na czele Quidama, na który powołuje się p. F., N-d broni tylko swojej symbolicznej metody pisania, unikającej fabuły i „węzła dramatycznego" broni również swego punktu widzenia. Gdy zaś chodzi o pomysł i ujęcie, to wyraźnie przyznaje się do zależności od Krasińskiego. „Ty, którego ś. p. Juljusz Słowacki nazwał Poetą-Ruin i który, jak nikt nigdzie, umiałeś świat ruin opiewać, pozwól mi wzamian powiedzieć ci, że w przypowieści tej mojej, pomiędzy jej żywemi postaciami, lubo niema arków połamanych i rozrzuconych kolumn, niemniej smętny, jakkolwiek z właściwego mi punktu oglądany, krajobraz ruin się przedstawia".

W charakteryzacji stosunków N-a z Mierosławskim brak zaznaczenia tego faktu, że Norwid niemniej krytycznie patrzył i na przeciwny Mierosławskiemu, obóz reakcyjny. Bez tego sprawa się przedstawia tak, jakgdyby Norwid patrzył na Mierosławskiego

okiem dyplomaty, krytykującego to lub owo posunięcie, gdy tymczasem N-d na wszystkie ówczesne poczynania polityczne patrzył ze stanowiska filozofa-moralizatora, domagając się w każdem działaniu podstaw teoretyczno-etycznych i filozoficznych. Tego brakowało zarówno radykałom jak i reakcjonistom.

Taką samą omyłkę popełnił p. F. w oświetleniu stosunku N-a do powstania styczniowego. Sam on cytuje słowa N-a, że „szlachetny człowiek nie mógłby wyżyć dnia jednego w ojczyźnie, której szczęście nie byłoby tylko procentem od szczęścia ludzkości". Rozwinięcia tych słów nie dostrzegł p. F. w wierszach Norwida, poświęconych pierwszym wypadkom powstania. „Norwid spisuje ewangelję wypadków". „Milczy o własnych poglądach" — (w wierszach Improwizacja, Sarjusz, Buntowniki, Do Wroga).

„Ale Sybilla dziejów jest przeczysta —
Duch niepoprawny wciąż Idealista;
Więc dość mu nieraz jednego człowieka,
Co prawd nie kryje". (Sarjusz)

Tej jednaj zwrotki dość, aby ujrzeć, że Norwid widział w początkowych wypadkach powstania realizowanie swoich ideałów, że mu się zdawało, iż sprawa polska ściśle sprzęgła się ze sprawą ogólnoludzkiej, międzynarodowej sprawiedliwości.

To nie było, jak chce p. F., zrezygnowanie z własnych pojęć o narodzie i państwie i o ich stosunku do ludzkości, a przejęcie się „głębokiem poczuciem świętości męczeńskiego patrjotyzmu", to było mniemanie, że męczeństwo zyskało głębszy narodowy i nadnarodowy sens i cel. We wszystkich wierszach to się wyraziło. Gdy złudzenie pierzchło i rzeczywistość nie dorosła do wymagań poety, wyłoniła się jego bierność do aktualnych politycznych poczynań. To też przedstawiali się powstańcy N-owi, jako „rasa Dawidowa" nie dlatego, że „z kłonicami ruszyli na armaty" (str. 140), lecz dlatego, że, jego zdaniem, wystąpili w obronie głębszych chrześcijańskich podstaw życia politycznego i społecznego, że walcząc o Polskę, sprawiedliwość jej należną uważali tylko za procent od sprawiedliwości należnej całemu światu.

Wspomina p. F. o modlitewniku, malowanym przez N-a dla W. Łubieńskiego w więzieniu berlińskiem i narzeka, że jest on nieprzystępny. Tu należałoby dodać wiadomość mało znaną, że modlitewnik ten był częściowo reprodukowany (fotocynkograficznie) w Przeglądzie Powszechnym (tom CIX, rok 1911, dodatek, str. 2—4). Tamże jest zapowiedź wydania całości, której jednak nie zdarzyło mi się widzieć.

„Pod koniec życia Norwid zadumał się nad pasieczną, rybną, jeziorną słowiańszczyzną", — powiada p. F. (str. 243). Dumać nad nią Norwid zaczął we wczesnej młodości, czego dowód mamy w misterjach „Wanda" i „Krakus". To co mamy w wierszu „Słowianin", to już tylko „koniec życia szeptał do początku: nie stargam cię, nie, — ja uwydatnię".

miast o nagonce „nieprzyjaciół" jakoś nic nie wiemy. Nagonka „przyjaciół" była tak silna i uporczywa, że nieprzyjaciołom, o ile takowi wogóle istnieli, pozostało tylko milczeniem przyklasnąć. Małecki i Nehring to ludzie, których między nieprzyjacioły również policzyć nie można, bo jako autorzy podręczników, ograniczyli się do stwierdzenia faktycznego stanu rzeczy.

Powiada p. F.: „Zdawało się N-owi, że wszyscy spiskują przeciw niemu..." „przypuszczenie to..." „rozkrzewiło się w stan chorobliwej podejrzliwości" (str. 196). Tu p. F. nie ma racji. Podejrzliwość była nie chorobliwa, ale uzasadniona i rzeczowa. Niema ani jednej osoby ze współczesnych, któraby norwidowej twórczości nie atakowała. Czynił to nawet sam dozgonny, najwierniejszy przyjaciel poety, Bohdan Zaleski. Podejrzenie N-a co do personalnej na niego nagonki, jako pewnik, przyjął Z. Przesmycki, którego nie sposób tu posądzić o manję prześladowczą. Zresztą, jak wyżej mówiliśmy, sam p. F. opowiada o „przyjacielskiej i nieprzyjacielskiej nagonce".

Narzekania N-a na zoilów i argumentacji w obronie swojej twórczości, nie sposób nazwać, jak to czyni p. F., „cięgami". Co to za cięgi, od których krytycy nic nie ucierpieli, czasem nawet nie wiedzieli o tych perorach, zawartych w listach, nie do nich adresowanych. Cięgi to coś dotkliwego, bolesnego.

Oświetlenie stosunków N-a z przyjaciółmi niezawsze wypadło trafnie. Przedewszystkiem N-d i Krasiński. Trafnie powiada p. F., że „Quidam opiewa ruiny, ale „w mniej plastycznych sferach", niż „Irydjon" (str. 112). Tu dałoby się jeszcze wiele powiedzieć o ideowem (nie treściowem) pokrewieństwie „Quidama" z „Irydjonem" i „Nieboską". Nie można tedy powiedzieć, że Norwid w Quidamie „zdobył sobie pogląd samoistny..." bez pożyczek..." „z Krasińskiego" (str. 123). Gdzieindziej powiada p. F., że w rozmowach o Quidamie „Krasiński przykładał do niego miarę Irydjonową, Norwid bronił samodzielności pomysłu i ujęcia". W liście do Z. K., położonym na czele Quidama, na który powołuje się p. F., N-d broni tylko swojej symbolicznej metody pisania, unikającej fabuły i „węzła dramatycznego" broni również swego punktu widzenia. Gdy zaś chodzi o pomysł i ujęcie, to wyraźnie przyznaje się do zależności od Krasińskiego. „Ty, którego ś. p. Juljusz Słowacki nazwał Poetą-Ruin i który, jak nikt nigdzie, umiałeś świat ruin opiewać, pozwól mi wzamian powiedzieć ci, że w przypowieści tej mojej, pomiędzy jej żywemi postaciami, lubo niema arków połamanych i rozrzuconych kolumn, niemniej smętny, jakkolwiek z właściwego mi punktu oglądany, krajobraz ruin się przedstawia".

W charakteryzacji stosunków N-a z Mierosławskim brak zaznaczenia tego faktu, że Norwid niemniej krytycznie patrzył i na przeciwny Mierosławskiemu, obóz reakcyjny. Bez tego sprawa się przedstawia tak, jakgdyby Norwid patrzył na Mierosławskiego

okiem dyplomaty, krytykującego to lub owo posunięcie, gdy tymczasem N-d na wszystkie ówczesne poczynania polityczne patrzył ze stanowiska filozofa-moralizatora, domagając się w każdem działaniu podstaw teoretyczno-etycznych i filozoficznych. Tego brakowało zarówno radykałom jak i reakcjonistom.

Taką samą omyłkę popełnił p. F. w oświetleniu stosunku N-a do powstania styczniowego. Sam on cytuje słowa N-a, że „szlachetny człowiek nie mógłby wyżyć dnia jednego w ojczyźnie, której szczęście nie byłoby tylko procentem od szczęścia ludzkości". Rozwinięcia tych słów nie dostrzegł p. F. w wierszach Norwida, poświęconych pierwszym wypadkom powstania. „Norwid spisuje ewangelję wypadków". „Milczy o własnych poglądach" — (w wierszach Improwizacja, Sarjusz, Buntowniki, Do Wroga).

„Ale Sybilla dziejów jest przeczysta —
Duch niepoprawny wciąż Idealista;
Więc dość mu nieraz jednego człowieka,
Co prawd nie kryje". (Sarjusz)

Tej jednaj zwrotki dość, aby ujrzeć, że Norwid widział w początkowych wypadkach powstania realizowanie swoich ideałów, że mu się zdawało, iż sprawa polska ściśle sprzęgła się ze sprawą ogólnoludzkiej, międzynarodowej sprawiedliwości.

To nie było, jak chce p. F., zrezygnowanie z własnych pojęć o narodzie i państwie i o ich stosunku do ludzkości, a przejęcie się „głębokiem poczuciem świętości męczeńskiego patrjotyzmu", to było mniemanie, że męczeństwo zyskało głębszy narodowy i nadnarodowy sens i cel. We wszystkich wierszach to się wyraziło. Gdy złudzenie pierzchło i rzeczywistość nie dorosła do wymagań poety, wyłoniła się jego bierność do aktualnych politycznych poczynań. To też przedstawiali się powstańcy N-owi, jako „rasa Dawidowa" nie dlatego, że „z kłonicami ruszyli na armaty" (str. 140), lecz dlatego, że, jego zdaniem, wystąpili w obronie głębszych chrześcijańskich podstaw życia politycznego i społecznego, że walcząc o Polskę, sprawiedliwość jej należną uważali tylko za procent od sprawiedliwości należnej całemu światu.

Wspomina p. F. o modlitewniku, malowanym przez N-a dla W. Łubieńskiego w więzieniu berlińskiem i narzeka, że jest on nieprzystępny. Tu należałoby dodać wiadomość mało znaną, że modlitewnik ten był częściowo reprodukowany (fotocynkograficznie) w Przeglądzie Powszechnym (tom CIX, rok 1911, dodatek, str. 2—4). Tamże jest zapowiedź wydania całości, której jednak nie zdarzyło mi się widzieć.

„Pod koniec życia Norwid zadumał się nad pasieczną, rybną, jeziorną słowiańszczyzną", — powiada p. F. (str. 243). Dumać nad nią Norwid zaczął we wczesnej młodości, czego dowód mamy w misterjach „Wanda" i „Krakus". To co mamy w wierszu „Słowianin", to już tylko „koniec życia szeptał do początku: nie stargam cię, nie, — ja uwydatnię".

Tyle dopełnień i sprostowań chciałoby się widzieć w drugiem wydaniu tej potrzebnej i ładnej książki, której wydanie pierwsze mimo kryzysu napewno prędko znajdzie nabywców.

Wł. Arcimowicz.

O. Czesław Bogdalski kazn. gen. OO. Bernard.: Bernardyni w Polsce 1453—1530. Kraków 1933. 2 tomy in 8° str. 504 i 608.

Z dwóch tomów niniejszego dzieła, jeden poświęcony jest dziejom Św. Jana Kapistrana i polskiej gałęzi założonego przezeń Zakonu aż do roku 1530, a drugi, podaje dłuższe lub krótsze życiorysy wszystkich tych zakonników, którzy stali się Błogosławionymi Patronami narodu, zmarli w opinji świątobliwości lub wybili się na polach nauki i innych i t. d.

Praca ta nietylko przez wzgląd na ogromne zasługi Bernardynów w Polsce, położone tak w dziedzinach misyjnej, duszpasterskiej, kulturalnej i humanitarnej, jak również i obrony państwa nawewnątrz i nazewnątrz, lecz niemniej wskutek przytoczenia przez uczonego autora olbrzymiego materjału źródłowego, dotyczącego całokształtu dziejów Polski ówczesnej zasługuje na uwagę wszystkich, którzy się historją naszą interesują. W szczególności podziwiać należy zajmujący i lekki sposób pisania uczonego zakonnika, który nawet wyłącznie wewnętrzne szczegóły z dziejów swojego zakonu podaje czytelnikowi świeckiemu w postaci ciekawej i przystępnej; w dodatku nie obwija on w bawełnę najbardziej nawet gorszących wypadków w dziejach własnego zakonu i Kościoła ówczesnego. Niema więc w tej pracy żadnej stronniczości czy tendencyjności, jest w niej natomiast w każdym wierszu głęboka troska o objektywną prawdę. Czytelnik niezmiernie wiele ciekawych faktów się dowie z tej książki.

Bernardyni wywodzą się z t. zw. „Obserwantów", czyli braci mniejszych Św. Franciszka z Asyżu o surowej regule (w przeciwieństwie do złagodzonej braci konwentualnych), których mistrzem był Św. Bernardyn ze Sieny, wikary generalny zakonu przed wyborem na tą godność Św. Jana z Kapistranu. O. Bogdalski bardzo szczegółowo opowiada nam dzieje Św. Jana Kapistrana, słynnego z cudów, wymowy i darów apostolskich męża Bożego, który, wezwany do Polski coraz bardziej naglącemi listami króla Kazimierza Jagiellończyka i kardynała Oleśnickiego, założył w Krakowie pierwszy klasztor Bernardynów w Polsce w domu zaofiarowanym przez braci Oleśnickich, biskupa i wojewodę. Dowiadujemy się, jak to Kapistran załagodził groźny spór pomiędzy prymasem a biskupem krakowskim o danie ślubu parze królewskiej, dając go na prośbę króla sam i przyczyniając się swojem błogosławieństwem do rozkwitu wspaniałego rodu Jagiellonów; jak to przy pomocy ks. Anny Mazowieckiej założył drugi klasztor w Warszawie; jak to potem naraził się królowi ganiąc przywileje

nadawane żydom i narażające społeczeństwo na ucisk lichwiarski oraz odradzając mu z polecenia Papieża złamanie zaprzysiężonego z Krzyżakami pokoju. W tem miejscu autor podaje rewelacyjne szczegóły, dotyczące stanowiska Stolicy Apostolskiej w sprawie przyjęcia Pomorza w władanie polskie na prośbę zrzeszonej jego ludności, wbrew układowi Brzesko-Kujawskiemu. Kapistran musiał z Polski wyjechać, lecz dzieło jego przetrwało wieki. Autor opisuje też szczegół o jego usiłowaniu nawrócenia Husytów i srogie ze strony Czechów prześladowania, wreszcie Jego bohaterską krucjatę na czele garstki zapaleńców przeciwko najeżdżającym Serbję i Węgry Turkom, wspólne z Hunyadym zwycięstwo cudowne pod Belgradem i świątobliwą śmierć na zamku w Villaku, gdzie mu hołd składali król Węgier i Legat Papieski.

Niemniej ciekawe są dzieje zakonu w Polsce. Opowiada nam autor, jak to Długosz, jako wykonawca testamentu Oleśnickiego skrzywdził Bernardynów, używając większości legatu dla nich przeznaczonego na budowę klasztoru OO. Paulinów na Skałce, jak mimo to, dzięki licznym fundacjom, zakon się rozwijał, zakładając nowe klasztory w Radomiu, Poznaniu, Kościanie, Wschowie, Lwowie, Wilnie, Kownie, Opatowie, Samborze, Bodzentynie i t. d., jak to polskie klasztory rządzone przez polskich gwardjanów, wyróżniły się wśród klasztorów prowincji austrjacko-czesko-polskiej przez t. zw. „gloria Polonorum", czyli brak powszechnych gdzieindziej „nadużyć starszych, rozwolnienie karności, bankietów przeciwnych regule, owego szemrania, zatargów, gróźb", intryg i t. d. Rozwodzi się autor nad uciskiem i prześladowaniem klasztorów polskich ze strony prowincjałów Niemców, aż wreszcie, dzięki opiece Stolicy Apostolskiej, powstała samodzielna prowincja polska. Dowiadujemy się o bohaterstwie zakonników w walkach z Turkami, Tatarami i Moskwą, o mężnej obronie klasztoru w Połocku i męczeńskiej śmierci wziętych do niewoli moskiewskiej rannych Bernardynów, o owocnej ich pracy wśród pogańskich Litwinów, Husytów i schizmatyckich Rusinów, o zatargach zakonu z biskupami i wojewodami, o intrygach i waśniach wewnętrznych, o daremnych próbach włączenia do prowincji polskiej klasztorów pomorskich, należących do prowincji saskiej, o ciężkiej walce o pierwszeństwo z braćmi konwentualnymi, zwycięskiej wkońcu dzięki przychylności Papieży, o zatargach wewnętrznych pomiędzy Wielko- i Małopolanami, pomiędzy braćmi ze szlachty i ludu, pomiędzy Polakami a Litwinami, zakończonych usamodzielnieniem prowincji litewskiej. Ojciec Bogdalski jako gorący patrjota polski nie ukrywa bynajmniej swojego oburzenia na intrygi i potwarze, miotane z przyczyn konkurencyjnych, względnie imperjalistycznych przeciwko polskim braciom mniejszym ze strony braci niemieckich, litewskich i t. d., oraz bardzo surowo osądza nadużycia władzy ze strony ojców, wikarjuszy i prowincjałów, tak obcych, cudzoziemców, jak i swoich, Polaków. Nie może

on m. i. przeboleć ogołocenia klasztorów polskich z cenniejszych darów przez Niemca - szowinistę, O. Bernardyna z Ingolstadtu, który wywoził z kraju co mógł i nawet nie pozwalał budować murowanych klasztorów. Z całem poczuciem humoru napisane są dzieje rządów w prowincji polskiej krewkiego, zawadjackiego i upartego O. Bala, który schronił się do klasztoru, gdy go ścigano za gwałt na dworze królewskim i następnie zasłynął w kompromitujący zakon sposób przez swoją wojnę z biskupem poznańskim, wprowadzenie kar cielesnych dla zakonników, nocne bankiety z uprzywilejowanymi i pogromy żydowskie, jakie powodowali wybrani przez niego kaznodzieje, głoszący krucjatę przeciwko niewiernym!

Praca O. Bogdalskiego ma więc ogromne znaczenie jako ilustracja stosunków, panujących w Polsce na rubieży XV i XVI wieku, jako dowód źródłowy istnienia już wówczas ogólno-niemieckich (a nietylko Krzyżackich) pretensyj do Pomorza, separatyzmu litewskiego, tarć dzielnicowych i narodowościowych, oraz głębokiego antagonizmu pomiędzy pacyfizmem pragnącego braterstwa narodów w Chrystusie Ojca Świętego a egoistycznym nacjonalizmem narodów, względnie ich władców.

Praca ta jest również bogatem źródłem dla dziejów tak Świętych Polskich jak i wielkich naszych rodów. Błogosławieni patroni narodu jak Szymon z Lipnicy, Jan z Dukli i Ładysław z Gielniowa wyszli z zakonu Bernardynów. Wydał on olbrzymi poczet wybitnych Sług Bożych i braci zasłużonych na różnych polach z Rafałem z Proszowic, wieloletnim prowincjałem, O. Urielem Grabowskim, inicjatorem pierwszego polskiego tłumaczenia Pisma Świętego, O. Janem Komorowskim, kronikarzem pierwszym zakonu i O. Andrzejem Reyem, kilkakrotnym gwardjanem, na czele. Przewija się również przez pracę O. Bogdalskiego cały szereg fundatorów świeckich, którym zakon zawdzięcza nowe klasztory, Bnińscy, Tarnowscy, Wierzbiętowie, Sokolniccy, Zamoyscy, Żółkiewscy, Chodkiewiczowie, Radziwiłłowie i t. d.

Praca O. Bogdalskiego zawiera również historję SS. Bernardynek w Polsce. Na szczególną zaś uwagę zasługują liczne dowody, przytoczone przez autora, nadzwyczajnej troski OO. Bernardynów o krzewienie w kościele języka polskiego, przez wydanie ogromnej ilości pieśni nabożnych po polsku, zwłaszcza ku czci Najświętszej Marji Panny, śpiewanych w ich kościołach przez lud w czasie nabożeństw.

Adam Romer.

Prof. Bogumił Jasinowski: W s c h o d n i e c h r z e ś c i j a ń s t w o a R o s j a. Wilno 1933, nakł. Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej. Str. 173.

Uczony autor, profesor filozofji na Uniwersytecie Stefana Batorego, przedstawia swój przedmiot badań ze stanowiska fi-

lozofa kultury „na tle rozbioru pierwiastków cywilizacyjnych Wschodu i Zachodu".

Badania tego rodzaju znają swoją specjalną pokusę, pokusę zbytnich uogólnień i uproszczeń. Autor tej pokusie zwycięsko się opiera. Praca jego dąży do uwidocznienia cywilizacyjnych właściwości, jakie Rosję różnią od Zachodu, przeciwstawiają mu, lecz przytem spostrzega i obszernie wykazuje, że „Zachód" sam nie stanowi jakiegoś jednolitego cywilizacyjnego typu, ale gamę różnic, które poszczególne jego odłamy, to bardziej zbliżają, to oddalają od Wschodu. Za najczystszy typ cywilizacji zachodniej uważa autor cywilizację łacińską, opartą o prawo rzymskie i o chrześcijaństwo zachodniego typu, w których prawo własności prywatnej, wielkie znaczenie jednostki wobec zbiorowości, pojęcie prawa naturalnego jako idealnej normy dla prawa pozytywnego, wreszcie niezawisłość Kościoła od państwa (przynajmniej w tendencji) stanowią pierwiastki, kształtujące umysłowość zachodnią i ustrój pożycia ludzi. Ale te pierwiastki w Zachodniej Europie ujawniają się całkowicie zaledwie w krajach romańskich. Natomiast Anglja, a jeszcze bardziej Niemcy przedstawiają już mieszaninę kulturalną, powstałą z obecności w nich starego pierwiastka germańskiego.

Co się tyczy Wschodu, to autor bada strukturę psychiczną wschodniego chrześcijaństwa, biorąc pod uwagę nietylko dogmatykę oficjalnego Kościoła, która już jest poniekąd kompromisem wschodniej i zachodniej umysłowości, ale także prądy heterodoksyjne, gnostycyzm i manicheizm, które bardzo głęboko worały się w umysłowość bizantyjską, wreszcie rozpatruje życie religijne wschodniego Kościoła i jego stosunek do państwa. Mamy tu właśnie dużo wykrytych różnic z Zachodem.

Tak wytworzone „wschodnie chrześcijaństwo" zostało zaszczepione na Rusi i musiało wycisnąć swe piętno na umysłowości, życiu i instytucjach krajów ruskich. Autor przedstawia podłoże rodzime, na którem chrześcijaństwo bizantyjskie tu dalej się rozwijało i na którem częściowo się przełamywało, przybierając nową postać: stare tradycje słowiańskie, wpływy tatarskie... Rozbiera znaczenie „słowianofilstwa", w którem widzi wiele z pierwiastków gnostycko-manichejskich (Słowianofile brali swą koncepcję za najczystsze chrześcijaństwo!), przedstawia odrębny charakter rozwoju pojęć prawnych w Rosji i doprowadza do wniosku, że bolszewizm dzisiejszy leży na tej samej linji rozwojowej, po jakiej Rosja kroczyła przez stulecia.

Żeby sprowadzić wykryte przez autora różnice między Wschodem a Zachodem do jakiegoś jednego najważniejszego punktu, można powiedzieć z nim, że duszy wschodniej brak jedności i harmonji między dążeniem do wolności a zewnętrznemi stosunkami, w których ta wolność jest gnębiona przez despotyczny ustrój. Wolność cofa się wtedy w głąb, pojmowana jako atrybut Królestwa Bożego w wieczności, niedostępny na tej ziemi,

chrześciiaństwo nie usiłuje przeniknąć i podnieść życia zbiorowego, ideałem chrześcijaństwa staje się mnich kontemplacyjny, obok którego życie idzie swoim torem, prowadzone przez siły księcia tego świata; Kościół poddaje się kurateli państwa i idzie w jego służbę. A jeżeli ów pęd do wolności, nie może się zdobyć na rezygnację wobec przemocy, to nurtuje w duszach jako bunt przeciw rzeczywistości i wybuchnie żywiołowo w rewolucji, w której jednak także siebie nie znajdzie.

Czy dziś Zachód przeciwstawia się skutecznie i zwycięsko Wschodowi? Jeżeli za cechę charakterystyczną cywilizacji zachodniej uważać ową autonomję i godność jednostki wobec zbiorowości, to trzeba powiedzieć, że Zachód się orjentalizuje. Symptomami tej orjentalizacji jest kryzys demokracji i wzrost różnego rodzaju dyktatur. Hitleryzm jest najjaskrawszym tego przykładem, ale i tak rdzennie łaciński kraj, jak Włochy, w faszyźmie zrezygnował w dużej mierze ze swej zachodniości.

Jaką postawę zajmie Polska między Wschodem a Zachodem? Autor nie pisze politycznych ani kulturalnych nawet programów, tylko analizuje cywilizacyjną rzeczywistość i pobudza innych do myślenia. „Bylibyśmy szczęśliwi — mówi w skromnym przypisku — gdyby dzięki pracy niniejszej sentencja o Polsce jako placówce Zachodu wysuniętej na Wschód przestała już być komunałem, lecz odsłoniła swą istotną treść, a jednocześnie względność zawartej w niej prawdy". Sam autor uważa, że dla Polski a Rosji jest pewien punkt wspólny — jest nim „umiłowanie wolności, we wręcz przeciwne tu i tam przyobleczonej kształty". Autor życzyłby Rosji, aby się wyzwoliła z owego skłócenia i rozdarcia wewnętrznego — z jednej strony mniszej rezygnacji i apatji na zło tego świata, a z drugiej buntu — i odnalazła się w harmonji wewnętrznej ideału z rzeczywistością. Czy atoli Polska ma siły i chęć po temu, by jej w tem dopomóc? Czy sama się od niej „skłóceniem i rozdarciem" nie zaraża? Tych pytań autor nie rozwiązuje, nawet ich nie stawia. Myślący jednak Polacy, czytając książkę prof. Jasinowskiego, powinni się nad niemi zadumać.

Ks. Jan Urban T. J.

Ralf Waldo Emerson: Szkice. Przełożył i skomentował Andrzej Tretiak; przedmowę napisał Artur Górski. Warszawa 1933. Instytut Literacki. str. 382 in 8°.

Z pod takich dwóch rąk nie mogła wyjść nieudana książka Prof. Tretiak, mimo ogromnej trudności zadania, dał nam mistrzowski przekład i bardzo dokładny, a w mierze utrzymany komentarz, a Artur Górski skreślił przedmowę, którą nie dość jest nazwać świetną. Jest to studjum nad Emersonem zewszechmiar wybitne i bardzo a bardzo niepóspolite. Na niewielu stronach przedstawił autor całą oryginalną postać tego amerykań-

skiego myśliciela, jego psychikę i życie, rodzaj talentu i sposób pisania, stosunek do współczesnych, ideologję i jej ocenę, a to wszystko z taką bystrością i umiarem sądu, że cały ten obraz, co niemylnie daje się odczuć, tętni prawdą i życiem.

Na pytanie czem właściwie była twórczość Emersona — „To co tworzył, pisał i głosił nie było filozofją, nie było wyznaniem wiary, nie było tworzywem poetyckiem, nie było pracą badawczą — było jednak tem wszystkiem równocześnie, czemś swoistem i jedynem w swoim rodzaju. Były to erupcje sił duchowych, przychodzących do głosu z niepodzielnej jedności psychicznej, która wibrowała i mieniła się, nieustalona w szczegółach, ale potężna pewnością swego istnienia, swojej nad życiem zwierzchności." A cóż jest treścią ideową tych erupcyj ducha? Filozofja Emersona jest „niesystematyczna i nienaukowa", owszem on tendencyjnie unika „naukowego obrazu świata", bo chodzi mu przedewszystkiem o życie a „życie jest daleko więcej przedmiotem zdumienia niż nauki". Przesuwają się więc i gmatwają w jego poglądach najróżniejsze kierunki: „chrystjanizm, plotynizm, estetyzm, indywidualizm, realizm, naturalizm, witalizm" — możnaby tych kierunków jeszcze dużo więcej wyliczyć. „Krążą one w stanie chaosu w jego duszy, ale ich gwiazdą środkową jest patos moralny." Dalszemu życiu miało być pozostawione dzieło unifikacji poglądów, „do tego jednakowoż nie doszło... wielość elementów pozostała nadal w stanie sprzeczności i chaosu". Pomimo to próbuje Górski, choć oczywiście z względnem tylko powodzeniem, odtworzyć poglądy Emersona na najważniejsze dla myśli, czy rzeczywistości czy problemy: prawdę, konieczność czy wolność, Praprzyczynę, naturę i t. d. a nawet pokazuje ewolucję jego systemu, aż doszedł do tego tragicznego wyznania, że żadne działanie rozumu ni uczucia do rzeczywistości nas nie wprowadza, bo „morze nie do przebycia przelewa się milczącemi falami pomiędzy nami a rzeczami, z któremi przestajemy" tak, że jedyną rzeczywistością, która „nie może nam się wymknąć jest... śmierć". Ale jeżeli te próby systematycznej analizy z konieczności zawodzą, to ogólną tendencję i charakter tej osobliwej filozofji oddaje Górski wprost świetnie, zwracając doskonale uwagę na grube jej błędy, ale też wskazując pewne nastroje ducha, w których zetknięcie się z nią może być pożyteczne. W każdym razie bowiem jest ona potężną reakcją przeciw wszelkiemu materjalizmowi i mechanistycznym na świat poglądom, dzięki czemu z wielką sympatją odnosił się do Emersona Mickiewicz, kiedy pod wpływem Towiańskiego wypracowywał w myśli zasady, zdolne odrodzić człowieka i ludzkość.

Już ten stosunek Emersona do Mickiewicza usprawiedliwiałby wydanie w polskim przekładzie główniejszych jego „szkiców". Ale choćby nawet ten wzgląd nie grał roli, sama postać amerykańskiego idealisty jest tak ciekawa, że należy się obu

wydawcom szczera wdzięczność za trud, jaki włożyli w przyswojenie naszemu językowi części dzieł tego filozofa-poety.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Ks. dr. Tihamér Tóth: Dekalog (Kazania) t. I i II. z oryginału madziarskiego tłumaczył Robert Oleár. Nakładem ks. dr. Ferd. Machaya, Kraków, 1933.

Ks. Jan Kapica: Kazania. Mowy. Odezwy, wydane przez Kółko homiletyczne Kapłanów diecezji katowickiej pod redakcją ks. dr. Emila Szramka. Katowice, 1933.

Mimowoli czytającemu jednego i drugiego Autora nasuwa się zestawienie obydwóch ze względu na formę. Forma jest oryginalna. Stworzyli ją mówcy, którzy mało przywiązują wagi do układu treści, do wstępu z przejściami, propozycjami i podziałami retorycznemi. A treść gromadzą raczej i segregują w mózgu i w sercu a potem przelewają ją na papier, względnie chcą tchnąć ją w duszę słuchacza płomiennym zapałem, nie oglądając się wcale na to, czy kazanie odbiega od układu tradycyjnego czy jest z nim w zgodzie. Obydwaj kaznodzieje przemawiają bezpośrednio do słuchacza; nie wikłają się w zagadnieniach, które stojących pod amboną niewiele mogą obchodzić, ale wprost dobierają się do ich duszy; budzą drzemiące w nich wątpliwości, aby je objaśnić, zarzuty, aby je odeprzeć, malują życie, w którem słuchacz się obraca, a tem samem zjednywają jego zaufanie, iż kaznodzieja nie jest ani obcym ani abstrakcyjnym człowiekiem.

Obydwaj kaznodzieje przemawiają stylem barwnym, lotnym, nie zamazują rzeczy, ale ją malują. Obydwaj wreszcie lubują się, jak każe homiletyka, w mnóstwie przykładów, wziętych czy z historji czy wprost zaobserwowanych w życiu, przez co praktycznie rzecz biorąc, stanowią obfity rezerwoar dla potrzebujących wsparcia w postaci kaznodziejskich podręczników.

Różnią się jednak, mimo pewnych wspólnych cech, obydwaj wielcy mówcy i jeśliby chodziło o palmę pierwszeństwa przyznalibyśmy ją ks. Kapicy. Kazania ks. Tótha nie w całości wprawdzie, ale w wielu wypadkach są przeróbką i rozszerzeniem i dostosowaniem do dzisiejszych czasów Kazań ks. Fr. Stingedera p. t. „Predigten über die zehn Gebote Gottes". Nie chcemy zaprzeczać oryginalności, ale przytaczamy źródło aby, kto ciekawszy, mógł je zestawić, o ile i jak zostało wyzyskane. Kazania atoli ks. Kapicy są czerpane wprost z duszy apostoła Ziemi Śląskiej, z natchnienia, z porywu kaznodziejskiego, są jego specyficzną własnością; ugrupowanie myśli jest nadzwyczaj przejrzyste, zdania zwięzłe i jasne, czasem huczą nagromadzeniem wyrazów jak burza, czasem kilku słowy uderzają jak piorun; dialogi i monologi, pytania i wykrzykniki zlewają się razem na całość misterną, raz by wywołać grozę to znów by roztkliwić, poruszyć, pocieszyć i ująć słuchacza.

Grobowiec ks. Infułata Kapicy w Tychach nosi na sobie napis: „Żal mi ludu" — ten sam tytuł mogą nosić jego kazania, owiane szczególniejszą serdecznością i miłością ludu śląskiego. Po przeczytaniu każdego kazania mimowoli rodzi się w sercu pragnienie, by kaznodzieję zobaczyć jeszcze na ambonie i usłyszeć jego głos nabrzmiały serdeczną troską, miłością dobrego pasterza, gorliwością o chwałę Ziemi Śląskiej.

Ks. J. Godaczewski T. J.

Bożena Stelmachowska: Rok obrzędowy na Pomorzu. Wydawnictwo Instytutu Bałtyckiego. Toruń 1933, str. 272.

Zasłużona badaczka na polu etnografji polskiej a osobliwa znawczyni Pomorza dała nam w tej pracy studjum wprost wzorowe i niesłychanie cenne. Na podstawie wybornie obmyślanej ankiety, na którą nadeszło około 500 odpowiedzi, osnute około świąt i czasów kościelnego roku obrzędy, zwyczaje, przysłowia, piosnki, bajki, przesądy i zabobony pomorskiego ludu. Zebrany materjał jest tak bogaty i z takim pietyzmem zestawiony — *colligite fragmenta ne pereant* — że może dostarczyć podstawy do różnej analizy i poważnych wniosków. Bezpośrednim wnioskiem etnograficznym jest, że Pomorze, z zaznaczeniem odrębnych grup kaszubskiej i mazurskiej, stanowczo trzyma się wielkiego bloku ziem polskich, a wpływy niemieckie wykazuje bardzo nieznaczne i powierzchowne. Ale inne wnioski bardzo ciekawe i daleko idące mogłyby rzucić niejeden promień światła na zagadnienia należące do psychologji narodów i do psychologji wiary religijnej. Bo co do tej ostatniej kwestji, jest to ogromnie ciekawe, jak częsty jest fakt, że albo chrześcijańskie wierzenia i praktyki zaszczepiają się na dawniejszych, pogańskich podłożach, albo przeciwnie na pniu wiary, jak jemioła na dębie, osiadają bądź to nowe, bądź przerobione ze starych, zabobony. Jeśli z innych dzielnic Polski otrzymamy tak gruntowne studja, jakie dla Pomorza przeprowadza Instytut Bałtycki, wnet zbierze się materjał oświetlający prehistorję Polski z bardzo ważnej strony. Dodać tu musimy, że pracę p. Stelmachowskiej poprzedza wyborny wstęp o literaturze przedmiotu, wyczerpujący, a bardzo objektywny i spokojny. Całe dzieło jest wogóle chlubą polskiej nauki.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Paulus Siwek S. J. Aristotelis de anima libri tres graece et latine (Textus et documenta series philosoph.) Romae apud aedes Pont. Universitatis Gregorianae. Piazza della Pilotta, 4. 1933, Str. 358.

Wszystkim, którzy pragną wniknąć w subtelną myśl Arystotelesa i poznać zdanie jego o duszy ludzkiej, przychodzi Ks. Dr. Siwek z wydatną pomocą w wyżej wymienionem tłuma-

czeniu. Dziełko, wydane przez Papieski Uniwersytet Gregorjański harmonizuje w zupełności z charakterem tej wzorowej uczelni, w której autor zajmuje katedrę psychologji. Doskonale obznajomiony z Arystotelesem przez długoletnie studja, których owocem były dawniejsze jego doktorskie prace; Ks. Dr. Siwek wyzyskuje w ustaleniu tekstu wszystkie zdobycze filologicznej i bibljograficznej wiedzy, porównywa wszelkie znane rękopisy i dotychczasowe wydania dzieł Filozofa. Skrupulatny badacz greckiego tekstu okazuje się sumiennym tłumaczem w łacińskim; zwracając bowiem szczególną uwagę na ćwiczenia i prace seminaryjne, stylowym i jasnym językiem oddaje wiernie myśli Stagiryty, nie przykuwa się niewolniczo do słów i szyku greckich zdań, lecz krytycznie przekłada treść, uzupełniając w nawiasie niedopowiedzenia i niejasności. Z rozkoszą naprawdę czyta się w I. części historję różnych koncepcyj duszy, bez wysiłku i zmęczenia obserwuje się lotną myśl greckiego mędrca — jak zbliża się do pojęć Demokryta, Leucypa, Pitagorasa, Platona, jak je ogarnia, jak umiejętnie oddziela ziarenka prawdy od błędów i pomyłek.

W II. i III. części autor podaje traktaty Arystotelesa o istocie i władzach duszy. Jest to rzecz trudniejsza, ale cenne dopiski i obszerne uwagi, zawierające różne opinje uczonych o tem lub owem wyrażeniu, ogromną oddają usługę studjującym. Tłumacząc z wydania Bekkera, autor zachował numerację stron i wierszy tegoż dzieła, oraz zaznaczył odpowiednie „lectiones" ze św. Tomasza. Całość podzielił na trzy tomiki o jednej paginacji i zaopatrzył w wykazy nazwisk i rzeczy. Gruntowna naukowa praca, przyjęta z należnem uznaniem przez zagraniczne szkoły, z pewnością i u nas szerszym kołom ułatwi zaznajomienie się z genjalną filozofją starożytności.

Ks. Ant. Kuśmierz.

Barycz Henryk: Szkice z dziejów uniwersytetu Jagiellońskiego. Bibljoteka krakowska nr. 80, Kraków 1933, str. 179.

W gronie badaczy dziejów Jagiellońskiej wszechnicy wyróżnia się obecnie młody historyk, Dr Henryk Barycz, od niedawna archiwarjusz uniwersytetu. Poza innemi drobniejszemi przyczynkami wydał w tym roku najstarszą księgę protokołów senatu akademickiego p. t. „Conclusiones Universitatis Cracoviensis", przygotowuje kontynuację pomnikowej monografji uniwersytetu pióra K. Morawskiego, a jako wstęp poniekąd do tych rozległych studjów daje narazie pomniejsze przyczynki do dziejów przesławnej Akademji krakowskiej. W pierwszym szkicu omawia udział mistrzów uniwersytetu w pielęgnowaniu języka polskiego i literatury ojczystej. Udział ten dość znaczny do połowy XVI stulecia, później schodzi na dalszy plan i ogranicza się głównie do literatury naukowej i teologicznej. W drugim szkicu poprawia przekazaną

przez Długosza datę śmierci Pawła Włodkowica. Trzeci szkic przenosi nas w czasy Odrodzenia i opowiada o znakomitym przyrodniku włoskim z XVI w. Uliksesie Aldrovandim i jego stosunkach z Polakami, szczególnie z profesorem wszechnicy krakowskiej Marcinem Foksem, niegdyś uczniem Aldrovandiego. Czwarte studjum przedstawia stosunek Jana Zamoyskiego do uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie był on zawsze negatywny; przeciwnie wielki kanclerz nieraz pospieszał starej Akademji z pomocą materjalną i parokrotnie myślał o jej reformie, dopiero gdy plany te nie powiodły się, przystąpił do założenia własnej wyższej uczelni w Zamościu. Następny obrazek charakteryzuje położenie ludności wieśniaczej w dobrach Akademji na przełomie XVI i XVII w. Było ono mimo wszystko korzystniejsze, niż w majętnościach szlacheckich, ze względu na możliwość kontroli rektora i grona profesorskiego nad gospodarką poszczególnych beneficjatów. Następny szkic przedstawia udział uniwersytetu w wykonywaniu cenzury prewencyjnej książek. Sprawowała ją Akademja obok właściwie uprawnionej kurji biskupiej, wskutek czego powstawała między temi dwoma władzami pewna walka konkurencyjna, przyczem kurja jako silniejsza, brała górę. Ostatni szkic poświęcony jest profesorowi Akademji, Marcinowi Winklerowi, który był nauczycielem królewicza Jakóba Sobieskiego, a później w sprawie jego kandydatury napisał osobną broszurę. Streszczone powyżej szkice stanowią wprawdzie drobny tylko przyczynek do historji najstarszego w Polsce uniwersytetu, ale cenny i ciekawy, bo oparty przeważnie na materjałach archiwalnych, częściowo zagranicznych, a wzorowo opracowanych pod względem metodycznym i stylistycznym.

M. N.

Z literatury rosyjskiej.

Eugenjusz Czirikow: Bestja z otchłani.[1])

Po dziś dzień jeszcze, po latach piętnastu zgórą, jakie mijają od czasów rewolucji i wojny domowej — czasy te ulubiony stanowią temat dla pisarzy rosyjskich, i to zarówno sowieckich, jak i emigracyjnych. I jedni, i drudzy stale są pod wrażeniem tego nie mającego sobie równych w dziejach Rosji, momentu, jakim był przewrót w 1917 roku i wstrząsającą, potworna epoka walk bratobójczych i krwawego teroru. Dla jednych i drugich wszystkie inne tematy, inne problemy i zagadnienia — mało ważnemi się wydają w porównaniu z potężnym a straszliwym obrazem przemian i walk, jakie się toczyły na przestrzeni całej bezkresnej Rosji w latach 1917—22. Gdy jednak pisarz sowiecki,

[1]) Jewgienij Czirikow: *Zwier iz biezdny*. Praga 1926. 2 tomy: I — str. 212; II — str. 238 i 2 nl.

choć i cierpi, i boleje nad ciosami i nieszczęściami, jakie wtedy dotknęły ziemię rosyjską i lud rosyjski — uderza przecież w podniosły a radosny ton triumfu, ton epicki, bohaterski, opisując te straszne czasy, — nic dziwnego, bo jego ideologja z krwawego zamętu tego wyszła zwycięsko i objęła władzę nad Rosją! — autor emigracyjny w obliczu klęski „białych", do których należał lub z którymi — jako inteligent rosyjski — przynajmniej bardziej sympatyzował, niż z bolszewikami — w owej strasznej epoce widzi tylko pogrzebanie swej wiary i swoich nadziei, widzi wstrząsający tragizm bratobójczej walki, potworność rozpętanych najgorszych instynktów i pełen smutku, żałoby i rozpaczy, zdobywa się jedynie na okrzyk bólu, na lament i płacz, rzadko na pełną goryczy bolesnej — ironję. Pisarz emigracyjny ukazuje nam „wielkiego chama" w całym jego „majestacie", ukazuje potworną, apokaliptyczną bestję z otchłani, która się nagle zbudziła w narodzie całym, ocknęła się w każdym pojedyńczym człowieku, zezwierzęconym przez potworne, o pomstę wołające fakty, — człowieku, w czasach normalnych dobrym, uczciwym, porządnym, nawet szlachetnym i cnotliwym.

Nikt z autorów rosyjskich nie potrafił dziejów tej bestji apokaliptycznej, rozszalałej na całej ziemi rosyjskiej i we wszystkich duszach rosyjskich odtworzyć z taką wstrząsającą siłą, z tak potężnym artyzmem, jak zmarły niedawno w Pradze czeskiej Eugenjusz Czirikow. Powieść jego, choć dość dawno już wydana (przed 7 laty) po dziś dzień stanowi nietylko nieprzewyższony, ale nie mający sobie równych w twórczości żadnego innego pisarza rosyjskiego — dokument straszliwych lat, wspaniały pomnik artystyczny swojej okropnej epoki. W przeciwieństwie do innych pisarzy emigracyjnych — Czirikow nietylko artysta, ale Czirikow — człowiek, uchodźca, wygnaniec — potrafił wznieść się ponad wszelkie sympatje partyjne czy nawet szczerze ideowe, dając w swej powieści maximum bezstronności, na jaką tylko naprawdę wielcy artyści zdobyć się mogą w epoce ścierania się, — nie, bezlitosnego wzajemnego wytępiania się dwu zionących względem siebie nienawiścią i żądzą zagłady przeciwnika — krańcowo różnych, już nietylko światopoglądów, ale światów.

Zaiste straszne są dzieje ludzi, którymi owładnęła i w których się ocknęła bestja apokaliptyczna z otchłani!

Szaleje wojna domowa: do „białej" armji ściągnęło wszystko, co nie chce uznać reżimu bolszewickiego: oficerowie, dawni urzędnicy, inteligencja, bardziej konserwatywnie czujący przedstawiciele sfer niższych — walczą dla swojej idei, ale w czasie walk bratobójczych i krwawych budzi się w nich zwierzę. Budzi się ono i w dwu braciach Paromowych, pociąga za sobą inne istoty, dotąd czyste i niewinne, sieje ohydę, nieszczęście, zniszczenie i śmierć. Włodzimierz Paromow, „biały" oficer, ranny na polu bitwy, przebiera się w ubiór bolszewickiego żołnierza — w ten

sposób chce uniknąć niewoli i tortur u „czerwonych". Tymczasem natknęli się nań „biali" — nic nie pomagają tłumaczenia i zapewnienia, że i on jest „biały" — mundur bolszewicki decyduje: zamykają go w szopie z innym, również przez pomyłkę aresztowanym „białym" lotnikiem Sołomiejką, wraz z „czerwonymi" jeńcami — a gdy pod naciskiem bolszewickich wojsk, cofają się „biali" — otwierają się drzwi szopy i do wnętrza zaczynają padać strzały: żebyście się nie cieszyli, swołocz czerwona, iż wolni i żywi wyjdziecie!... Paromow ciężko ranny znajduje się w szpitalu bolszewickim: gdy zwolna przychodzi do zdrowia, po raz pierwszy zakrada się do jego serca wątpliwość, czy jest rzeczą bezwzględnie słuszną zabijać w imię jakiejkolwiek idei: zaczyna go przerażać bezmyślna potworność wojny domowej.

Włodzimierz Paromow ma żonę, którą bezgranicznie kocha i za którą tęskni szalenie; ma córeczkę, której jeszcze nigdy nie widział; tymczasem ta żona — Łada, uciekając w masie innych uchodźców przed bolszewikami na południe, spotyka się z bratem Włodzimierza, Borysem, rannym „białym" oficerem: losy ich złączyły ze sobą, ciężkie anormalne warunki raz po raz stawiają tych dwoje ludzi różnej płci w sytuacjach, gdy wbrew woli zmysły zaciemniają rozsądek i sumienie: w obojgu budzi się bestja, mimo że Łada kocha męża, a Borys gdzieś daleko ma narzeczoną...

Tymczasem ta narzeczona — cudna, szlachetna postać kobieca, Weronika — przekrada się do Borysa na południe: wciska się niepoznana do bolszewickiego szpitala wojskowego, z zaparciem się pielęgnuje rannych — bo przecież wszyscy są ludźmi i wszystkich należy kochać! — dla niej nie istnieją nienawiści partyjne, tylko cierpiący, biedni ludzie... i oto wśród rannych poznaje brata swego narzeczonego, Włodzimierza.

Odtąd w tragiczny, potworny, nie dający się rozplątać węzeł, zawiązują się losy tych czworga ludzi: w czasach normalnych wszystkoby szło normalnie, Włodzimierz byłby szczęśliwy z Ładą, Weronika wyszłaby za Borysa — ale bestja z otchłani wikła wszystko, miesza, stwarza ohydne, wstrząsające, a nie dające się naprawić konflikty i tragedje. Włodzimierz, mimo tęsknoty za żoną, ulega płynącej z uwielbienia, miłości do narzeczonej brata; Łada, w dniu, gdy otrzymała wiadomość (fałszywą) o śmierci męża, zostaje kochanką Borysa!... Dzieją się rzeczy wstrząsające, potworne — ludzie grzeszą w występkach lub bezmyślnych sytuacjach bez wyjścia. Autor wszystko to odmalowuje z pełnym grozy realizmem, lecz ich nie potępia, tylko współczuje z nimi: bo cóż oni winni?.. to winna rozpętana w nich i dookoła nich bestja!...

Gdy w zacisznej wiosce na Krymie, Łada zżyła się z Borysem, zżyli się z nim i jej rodzice i dziecko, które myśli, że to jest ojciec — wraca nagle uważany za nieboszczyka, Włodzimierz. Nowe tragedje, nowe zawikłania. Łada czuje, że dusza jej należy

do męża, nieszczęśliwego, dobrego, subtelnego, lecz bestja wlecze ją ku brutalnemu, duchowo ubezwrażliwionemu Borysowi. Tragedja się wikła, gdy zjeżdża Weronika: Borys czuje, że jej nie kocha, ale nie ma skrupułów; Łada, widząc, że mąż wbrew woli poddaje się miłości do narzeczonej brata, popełnia samobójstwo, Włodzimierz też. Borysa zabija Jermiszka, głupkowaty chłopak, żołnierz raz czerwony, raz biały, ale wróg panów, kreacja godna Dostojewskiego. Z religijnem niemal uwielbieniem kocha Weronikę, która go pielęgnowała — na wiadomość zaś, że jego „święta księżna" ma narzeczonego, wnet pryska uwielbienie, pozostaje tylko zwierzęce pożądanie, zabija więc szczęśliwego rywala, i sięga po Weronikę, ta jednak, mimo całego umiłowania ludzi, zabija go, bo wierzy, że raczej można zabić człowieka, niż ulec bestji... Powieść kończy się świetlanym optymizmem autora, uosobionym przez Weronikę, niosącą w świat, w nieznaną lepszą przyszłość, dziecko Włodzimierza i Łady.

Wstrząsające opisy bojów, teroru, znęcania się nad przeciwnikami dodają książce grozy; najsilniej zaś przeraża wizja bestji apokaliptycznej w potwornie zwyrodniałej, zezwierzęconej, a niby prostej psychice Jermiszki; w postaci esauła czerkiesów, który raz jest „biały", raz „czerwony", byleby „rznąć"; wreszcie w tragedji chłopskiej rodziny Sołomiejków, gdzie jeden brat walczy w szeregach białych, a drugi w czerwonych.

Straszna ta książka przygnębiające czyni wrażenie, ale to naprawdę nieprzesadzony dokument epoki z lat panoszenia się bestji. Mimo całej grozy jednak i potworności i czytelnik bezwiednie urzeczony sugestją autora, wierzy w lepsze ja w człowieku, wierzy w świetlaną przyszłość. Ten idealizm, wysoce uduchowiony, pełen pierwiastka religijnego, jaśniejący na ponurem, krwawem tle rozpętanych potwornych żywiołów, wyróżnia Czirikowa z pośród wszystkich pisarzy rosyjskich naszych dni. Ten „biały" pisarz umiał objektywnie pokazać straszliwe strony walki bratobójczej, nie szczędząc wcale „białych"; potrafił wznieść się ponad osobiste poglądy i sympatje i w osobie Włodzimierza Paromowa i kapitalnego chłopa-filozofa, Spiridonowa (iście tołstojowska kreacja) przeciwstawić się rozpanoszonej bestji, choćby i pod ukochanym sztandarem występującej — przeciwstawić się jej w imię najwyższego dobra na ziemi: chrześcijańskiej miłości bliźniego.

Borys Ławrenjew: Rozłam, opowiadania i sceny. Leningrad 1923.

Rzecz charakterystyczna, że pisarz sowiecki, który jął się tegoż samego tematu, co Czirikow — choć artysta to naprawdę nieprzeciętny i sumienny, a nawet silący się na objektywizm — tak daleki jest od bezlitosnego, a odważnego obnażania prawdy w „Bestji z otchłani", jak odległe są dlań szczyty artyzmu, na które wzniósł się omówiony wyżej autor emigracyjny. W opowia-

daniu p. t. „Opowieść o prostej rzeczy" mamy znowu wojnę domową, te same czasy, a nawet te same strony, które opisywał Czirikow. Krytyka, rzadko mającego sposobność stykać się bezpośrednio z literaturą sowiecką, uderzą zrazu pewne osiągnięcia formalne: doskonałe operowanie stylem kinematograficznym, u nas też lubianym, ale jakże nieudolnie wyzyskiwanym. Ławrenjew tworzy pewnego rodzaju film: słowa zastępują tylko obrazy; „Opowieść o prostej rzeczy" — to raczej doskonały scenarjusz, niż powieść. I pod tym względem zasługuje na uwagę. Treściowo jednak nie przekonywa zupełnie: czytelnik nie-sowiecki nie da się porwać szablonowej postaci szlachetnego komunisty Orłowa. I wogóle wszystkie postacie są bardzo prymitywne i szablonowe: kryterja więc do nich stosować należy nie literackie, ale kinowe. Film to wybitnie propagandowy: apoteoza bohaterstwa i szlachetności działacza bolszewickiego, który, gdy „biali" wchodzą do miasta, przebiera się i charakteryzuje na francuskiego komiwojażera, wchodzi w kontakt z „białymi", śledzi ich; gdy kogoś niewinnego złapano pod zarzutem, że to on jest Orłow, chce biec go ratować, ulega jednak nakazowi partji, by nadal się chronił — schwytany i poznany, próbuje ratować się ucieczką; gdy to się nie udaje, spokojnie idzie na śmierć, bo dla niego to „prosta rzecz". Scenarjusz ten obfituje w emocjonujące momenty sensacyjne: akcja Orłowa w roli komiwojażera, schwytanie go, ucieczka; pozatem — co należy zapisać na rachunek silenia się autora na objektywizm — to próby uczynienia z „białych" oficerów przecież ludzi, nie całkiem potworów, choć nie mógł sobie Ławrenjew odmówić satysfakcji przedstawienia tortur, przy pomocy których „biali" pastwią się nad „czerwonymi"; nie raczył natomiast nic powiedzieć o tem, jak bolszewicy obchodzili się ze swymi jeńcami. Z innych postaci na uwagę zasługują: Bela, agentka komunistyczna, inteligentna idealistka; uczciwy „biały" wojskowy sędzia Tumanowicz i kapitalna figura, coś z Dostojewskiego i z Edgara Poe zarazem: porucznik Sobolewski, artysta, wielbiciel Verlaine'a i Paryża, marzyciel i trochę mistyk, — a zarazem sadysta-kat, fenomenalny wywiadowca: on to z drżenia kolan w pewnym momencie przy szampanie, poznał we francuskim kupcu — czekistę Orłowa!

„Opowieść o prostej rzeczy" zaciekawia, jako dosyć udały — w dziedzinie zastosowania do beletrystyki techniki kinematograficznej — eksperyment artystyczny; inne opowiadania z tegoż zbioru zwracają na siebie uwagę tem przedewszystkiem, że autor, posługując się świetnie techniką i językiem, dostosowanemi do terenu (zapadła wieś, duże miasto) — występuje w tak ulubionej zawsze w Rosji (Gogol, Sałtykow-Szczedryn, Awerczenko, Zoszczenko) roli satyryka. Trochę prymitywne są te obrazki: jeden o wprowadzeniu kultury i ideologji sowieckiej do skostniałej w tradycji cerkiewno-ludowej wsi; drugi — historja o wielkim

uczonym, niezaradnym życiowo, padającym ofiarą szumowin miejskich. Obydwa napisane są żywo, szczególnie drugi intryguje i trzyma w napięciu; uderza też świeżość, bezpośredniość i bogactwo języka — autor świadomie czerpie pełnemi garściami z zasobów mowy wsi i ulicy. Pozatem jednak opowiadania te żadnej nie posiadają wartości literackiej, a pierwsze z nich — o komunizowaniu wsi — wprowadza czytelnika w kłopotliwą sytuację i staje się źródłem nieporozumień: czy to ma być satyra, czy propaganda?... jeżeli satyra — to naprawdę śmiała — zresztą rosyjscy satyrycy nigdy nie grzeszyli brakiem odwagi; jeżeli propaganda — to nie wiemy, czemu się mamy dziwić: czy nieudolności umysłu autora, czy też jego chytrej wierze w indolencję umysłową tych, dla których pisze. Oto na zapadłą wieś zjeżdża z miasta lotnik: bierze ze sobą do samolotu chłopów i lata z nimi czas jakiś. Potem wraca — i chłopi opowiadają reszcie wsi, że byli w niebie, a Boga nie widzieli — a więc? niema Boga. Jeżeli to satyra — to naprawdę śmiała i wspaniała, bo doskonale wyszydza całą bezmyślność i prymitywizm propagandy bezbożniczej; ale jeżeli autor traktuje tego rodzaju trick propagandowy serjo — naprawdę nie wysokiego jesteśmy mniemania o jego wyobraźni twórczej w dziedzinie agitacji, ani o jego poglądach na poziom umysłowy ludu.

W zbiorku jest też sztuka „Rozłam". Autor dobrze opanował technikę dramatyczną i stworzył dosyć emocjonujące widowisko propagandowe: mamy zbuntowany krążownik i szlachetnego inteligenta-kapitana, który idzie razem z marynarzami. Kapitan ma dwie córki: jedna — to okaz zgniłej, burżuazyjnej kultury i zwyrodnienia moralnego; druga — szlachetna, a nieszczęśliwa żona tyrana-oficera sympatyzuje z politycznie uświadomionym prostym, a rozumnym marynarzem. Rozumie się, że oficer porywa się na „podłość" i chce wysadzić krążownik; rozumie się, że to mu się nie udaje, i marynarze wyrzucają go za burtę, przyczem żona, oburzona jego podłością, wcale z nim nie współczuje: domyślamy się, że podzieli los szlachetnego marynarza. Zakończenie efektowne: krążownik idzie bombardować stolicę... idzie po władzę sowiecką!... Rzecz zdecydowanie propagandowa i jako taka, zrobiona bez zarzutu: pozatem o jakichkolwiek głębszych czy ogólniejszych walorach literackich mowy być nie może.

Ilja Brażnin — Skok.[1])

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że po kilkunastu latach eksperymentów w dziedzinie sztuki literackiej zaczynają pisarze sowieccy dochodzić do przekonania, że przecież w zgniłym, burżuazyjnym świecie przedrewolucyjnym i w jego kulturze artystycznej były wartości, któremi pogardzać nie należy; przeciwnie,

[1]) Ilja Brażnin — *Pryżok*, Leningrad 1930, wydanie 5, str. 340.

trzeba je przyjąć, wyzyskując dla celów kultury bolszewickiej, kultury proletarjackiej. Jedną z tych niewątpliwych wartości jest technika i kompozycja powieściowa, które osiągnęły wysokie szczyty artyzmu pod piórem burżuazyjnych pisarzy rosyjskich końca XIX i początku XX w. Do techniki tej więc i kompozycji nawraca — między innymi (jest ich z dniem każdym coraz więcej) — powieściopisarz Brażnin, którego „Skok" pod względem formalnym jest naprawdę bez zarzutu, jest bardzo dobrze skonstruowaną i przeprowadzoną powieścią. Zaletą zaś tej nowej powieści jest to przedewszystkiem, że niema w niej (mamy na myśli formę) nic nowego, że niepotrzebnemi się okazały lata całe mozolnych, a nieraz bolesnych eksperymentów i poszukiwań nowych dróg dla nowej sztuki. Autor widocznie stał się — gdy chodzi o technikę powieściową — klasykiem i zdał egzamin celująco. Powieść, budowana według najlepszych dawnych wzorów — przecież utrzymana jest w tonie, przeznaczonym dla czytelnika proletarjackiego. Brażnin nie kopjuje bezmyślnie dawnych mistrzów powieści, wie, dla kogo pisze, poco pisze: zacięcie i rozmach i akcji i psychologji bohaterów i ich starannie indywidualizowanego języka nowoczesne, marksistowskie, proletarjackie — wszystko przeprowadzone konsekwentnie, żadnych załamań, żadnych kompromisów światopoglądu ze starym światem, ani kompromisów sztuki pisarskiej z nakazami propagandy (wciąż mowa o formie!) — powieść „Skok" — to bardzo dobra pod względem wykonania powieść sowieckiego pisarza, daleka od wszelkich — żałosnych ze względu na indolencję twórczą — ekstrawagancyj dawnej, niby to nowej i światotwórczej beletrystyki sowieckiej.

To forma. A treść? Istotnie Brażnin spełnił swe zadanie: dobrze napisał powieść propagandową. Ale dla nas ten świat, który przedstawia — to już nie egzotyka, nie dżungla czy puszcza brazylijska, obca i dzika — ale jakiś Mars czy nawet Neptun. Życie kolektywu?... — owszem, owszem — to można zrozumieć... Konieczność zrobienia skoku przez rów, oddzielający nasze osobiste szczęście od ogólnego dobra?... I na to, rozumie się, zgoda — ale o tej konieczności wiedziano już za czasów Brutusa, — nie trzeba było na to stwarzać ustroju marx'owskiego... Natomiast jakąś legendą i to z innej planety wyda się każdemu człowiekowi europejskiej (a może i nie europejskiej tylko) kultury — ideologja erotyczna Brażnina — jakoże „Skok" — to przedewszystkiem romans erotyczny. Zdrową duchem i ciałem komsomołkę kocha — po mazgajsku, burżuazyjnie (wiadomo, inteligent — zgniła cywilizacja...) — jej kolega, też komsomolec, ale syn generała — a więc i nawyczki i światopogląd ma zgniły, burżujski... Otóż komsomołka ta należała już do tego młodzieńca, ale jemu tego mało: on ją kocha, chce, by została przy nim na zawsze — u nas, w naszej cywilizacji — nawet Aretino i Pitigrilli uczciliby dżentelmena w tym chłopcu! — ale autor sowiecki bierze

mu to za złe: co za przesądy?... mało ci?... Ale nietylko o to chodzi: siostra tego romantyka — podstępna, uwodzicielska burżujka rozkochuje w sobie wybitnego działacza komunistycznej młodzieży i (o zgrozo!) doprowadza do małżeństwa. Rozumie się, że życie małżeńskie wychodzi tylko na szkodę działaczowi i jego pracy — porzuca więc żonę... jest zadowolony i szczęśliwy...

Dopiero czytając tę dobrze zrobioną powieść — uświadamia się najlepiej tę nie do przebycia przepaść, jaka dzieli dwa światy: nasz i tamten, proletarjacko-marx'owski. „Skok" bowiem Brażnina — to zaprzeczenie tego wszystkiego, co było głównym i podstawowym przedmiotem kultu ze strony sztuki wogóle, a literatury pięknej w szczególności.

M. A. Ałdanow: Klucz. Ucieczka[1]).

Znakomity powieściopisarz historyczny, autor cyklu „Myśliciel" z epoki rewolucji francuskiej i Napoleona, postanowił spróbować swych sił na polu powieści współczesnej; co więcej czuł potrzebę wypowiedzenia swego naprawdę wysoce inteligentnego sądu na temat tego, co działo się w Rosji bezpośrednio przed i zaraz po wybuchu rewolucji, a co widział na własne oczy, będąc w dodatku wtajemniczony we wszelkie arkana ówczesnej polityki rosyjskiej. W ten sposób powstaje cykl, odtwarzający stan psychiczny i kulturalny, sytuację społeczną i życie najwyższej sfery rosyjskiej inteligencji przed przewrotem i po nim, w opanowanym przez rewolucję Petersburgu i na emigracji. Narazie wyszły dwie powieści z cyklu: „Klucz" i „Ucieczka"; trzecia p. t. „Pieczara" („Jaskinia") mająca się ukazać niebawem — odtwarzać będzie życie bohaterów na wychodźtwie: będzie to pierwszy poważniejszy dokument artystyczny o życiu emigracji rosyjskiej.

Fabułę „Klucza" i „Ucieczki" zgrubsza można śmiało określić, jako sensacyjną, nawet detektywistyczną — tak się przynajmniej wydaje napozór. Tak też widocznie chciał autor, by czytelnik tak właśnie do powieści się ustosunkował — pod płaszczykiem bowiem akcji kryminalnej, pociągającej samą tajemniczością — postanowił przemycić poważne, często nawet przeciętnie inteligentnego czytelnika nużące — rozważania polityczne i filozoficzne. Sprawa zabójstwa Fiszera to tylko przynęta: chciwy lektury w stylu Wallace'a czytelnik szybko dozna rozczarowania: poza wspaniałą, emocjonującą sceną śledztwa — nie znajdzie u Ałdanowa ani sensacyjnych perypetyj, ani tanich, a silnych prymitywnych wzruszeń, ani efektownego rozwiązania. Znajdzie natomiast wspaniale odtworzone życie zdegenerowanej i degenerującej się inteligencji, znajdzie świetnie podpatrzone tajniki pu-

[1]) M. A. Ałdanow: *Klucz* — Berlin 1928. Biegstwo — Berlin 1932. Istnieją polskie przekłady L. Belmonta: „Klucz" wydał „Renaissance", „Ucieczkę" J. Przeworski.

blicznego i prywatnego życia ludzi „dostojniejszych" zawodów. W pierwszym rzędzie palestry. Specjalnie udała się autorowi kreacja żydowskiego adwokata, typowego dorobkiewicza, a przecież nie pozbawionego pewnych zalet serca i umysłu — snoba i nuworysza, „mecenasa" Kremienieckiego, który z patosem mówi o służbie dla ideału, a zmienia przekonania za lada podmuchem: raz jest rosyjskim patrjotą-liberałem, potem ukraińskim parlamentarzystą o sympatjach ultra-demokratycznych, wreszcie zwolennikiem dyktatury na Ukrainie. „Klucz" — to w dużej mierze satyra na szczyty rosyjskiego przedrewolucyjnego świata inteligenckiego, ale autor sam wyszedł z tych sfer i nie może się wyzbyć uczucia ciepła i sympatji do nich i odtwarza to życie nietylko ze znawstwem, ale *con amore.* Jednocześnie zaś ukazuje nam pierwsze objawy burzy rewolucyjnej, by w „Ucieczce" opowiedzieć o losach swych bohaterów w pierwszym roku regime'u bolszewickiego.

Obie powieści roją się od wspaniałych typów charakterystycznych: młodzi prawnicy, dziennikarze, dojrzewający fizycznie i duchowo chłopak z rodziny typowo inteligenckiej, panie z tych sfer, artyści (między innymi epizodycznie występuje i wielki Szalapin); jest i ciasna, a zimna w swym intelektualistycznym fanatyźmie działaczka komunistyczna, skrycie kochająca największego kontr-rewolucjonistę; jest i agent ochrany, który potem zostaje komisarzem bolszewickim; i nie stroniąca wcale od wrażeń „wesoła wdówka" po zamordowanym finansiście Fiszerze; bolszewicy, zwycięski proletarjat na zabawie, Ukraińcy i Niemcy na Ukrainie. Na specjalną uwagę zasługują Anglicy z poselstwa: tych otacza autor prawdziwą czcią, choć i nie tai wcale ich śmieszności. Imponują mu ci ludzie, łączący głębię umysłu z dziecięcą czystością duszy; porywa go typ dżentelmena i obywatela najpotężniejszego mocarstwa, przekonanego o swej wyższości nad wszystkiemi innemi narodami: wspaniała jest scena najścia czerwonogwardzistów na angielskie poselstwo i iście „brytyjsko-dżentelmeńska" śmierć walecznego kapitana Cromy'ego. Dużo miejsca poświęca autor dziejom miłości Musi, córki Kremienieckiego, i angielskiego majora Clarwill'a. I choć Ałdanow wcale nie ma romantycznych poglądów na miłość — jakże inną, jak bliską naszemu pojmowaniu życia i miłości, a jakże odmienną od stanowiska, zajętego przez Brażnina i bohaterką jego „Skoku" jest ewolucja etyczno-psychiczna, jaka pod wpływem miłości zachodzi u Musi. Oto dawniej ona — panna typowo „nowoczesna" i zepsuta — cierpła na myśl, że może całe życie należeć do jednego mężczyzny; im jednak silniej kochała Clarwill'a, tem lepszą, czystszą moralnie się stawała, tem goręcej czuła, że chce i może być zawsze z nim, tylko z nim... Ciekawe też są uwagi autora na temat stosunku Anglików do Rosji i kultury rosyjskiej: oto czytają Dostojewskiego i choć go nie rozumieją i choć iry-

tuje ich jego pojmowanie życia i świata — czczą go, jako największego pisarza na świecie; pozatem przeciętny Anglik zna tylko 3 słowa rosyjskie: pogrom, przekąska, inteligencja („pogrom", „zakuska", intelligentsia").

Specjalną uwagą i sympatją darzy autor dwu przedstawicieli niszczonego przez rewolucję świata inteligencji: sędziego śledczego do spraw wyjątkowych Jacenkę, który wierzy w człowieka, w sprawiedliwość, oburza się na najdrobniejsze nadużycia władz w sprawach sądowych, a ginie w czasie teroru naskutek prywatnej zemsty jednego z nowych dzierżycieli władzy. Z nim razem ginie idealistyczna, ale słaba, liberalna inteligencja zawodowa. Drugi — to książę Gorienskij, — arystokrata, który zerwał ze swą sferą, głosi najbardziej radykalne poglądy, majątek oddaje na cele rewolucji, zarazem jednak jest patrjotą — jest zwolennikiem wojny z Niemcami aż do końca — by się nie shańbić w oczach sprzymierzonych mocarstw! — Gdy wybucha rewolucja, Gorienskij, pozbawiony majątku, omal że nie umiera z głodu, a jednocześnie narasta w nim gorycz i rozczarowanie: nie takich skutków spodziewał się od rewolucji. Co oni zrobili z Rosją?... — woła z wściekłością, myśląc o bolszewikach — patrjotyzm przezwycięża w nim rewolucyjne przekonania, wstępuje do organizacji antybolszewickiej, kontrrewolucyjnej — niebawem jednak zostaje aresztowany i ginie.

Wielki znawca rewolucji francuskiej, siłą faktów musiał Ałdanow przeprowadzać nieraz paralele między nią, a rewolucją rosyjską: czynił to już w cyklu „Myśliciel"; w „Ucieczce" zaś szczególnie uwypuklił momenty, wspólne obu kataklizmom dziejowym. Toteż nawet bohaterowie powieści współczesnych stanowią nieraz odpowiedniki postaci z cyklu „Myśliciel": tak np, naczelnik policji Fiedosjew ma wiele wspólnego z tajemniczym starcem, Pierre Lamore'em z powieści z końca XVIII w.; chemik zaś Braun, Niemiec bałtycki, nietylko pod wielu względami przypomina alchemika Baratajewa z czasów Katarzyny II, ale jest wprost powtórzeniem hrabiego von der Pahlena, który stał na czele spisku przeciw carowi Pawłowi I; Braun stoi na czele spisku antybolszewickiego!... I tu i tam chodziło o zbawienie Rosji; i tu i tam słabe nerwy Słowian nie wytrzymywały w walce; do zwycięstwa potrzebny był człowiek o żelaznej woli i nerwach stalowych, Niemiec, który dla dobra Rosji, dla dopięcia celu przed żadnym nie cofnie się środkiem, nawet przed takim, którego wzdrygają się używać rdzenni Rosjanie. To nieporównane opanowanie woli i nerwów przez Brauna szczególnie silnie ujawnia się w emocjonującej scenie ucieczki z pod władzy bolszewików na neutralny statek. Tu bowiem (w Rosji) — mówi Braun — toczy się ostatnia walka między człowiekiem i bestją; bestja zwyciężyła — ja więc uciekam do jaskini, gdzie jeszcze mogą przed bestją schronić się ostatni wolni, kulturalni ludzie. Jaskinia — to

Europa, to emigracja. Tam się chroni Braun, jak schronił się i sam Ałdanow.

M. A. Ałdanow — K r a j e. L u d z i e.[1])

W Europie Zachodniej większą poczytność niż jako powieściopisarz, zyskał Ałdanow, jako publicysta, jako świetny fejletonista polityczny, głównie jako autor znakomitych sylwetek współczesnych wielkich mężów stanu, („Portrety", „Współcześni"). Ostatnia jego książka w połowie też stanowi ten sam typ, zawiera bowiem trafne i świetnie wykonane charakterystyki Gandhiego, de Valery, i Alfonsa XIII. Szczególnie udały się autorowi dwie ostatnie, które rzucił na rozległe tło całokształtu zagadnień życia politycznego Irlandji i Hiszpanji; rzecz ciekawa, że Ałdanow, liberał-demokrata i wielki entuzjasta republiki hiszpańskiej, jakby rehabilitował ostatniego króla z dynastji Bourbon-Parma. Gandhi'ego ujął autor może za płytko, zanadto powierzchownie; nie chciał czy nie umiał zgłębić podstaw duchowych i religijnych indyjskiego ruchu narodowego.

Druga połowa książki p. t. „Podróż niesentymentalna (jakby „pendent" do „Podróży sentymentalnej" Sterne'a z XVIII) to zbiór fejletonów politycznych, przeważnie wrażeń z podróży po Hiszpanji, Anglji, Holandji i Szwajcarji. Razem z autorem jesteśmy i na posiedzeniu kortezów hiszpańskich, i w więzieniu dla przestępców politycznych, i na meetingu konserwatywnym w czasie wyborów do parlamentu w Anglji, i w Holandji w domu Rembrandta i w domu Piotra Wielkiego w Saardamie. Wszystko to publicystyka polityczna wysokiej klasy: uderza nietylko bystrość ale trzeźwość i wielostronność sądu autora; tem jaskrawiej występuje jego bezkompromisowa, bezkrytyczna, tchnąca uprzedzeniem i nienawiścią negacja wszystkiego, co sowieckie, co ma związek z dzisiejszym reżimem w Rosji — tu przemawia przez Ałdanowa typowa emigracyjna psychika!... Niektóre uwagi autora, jak np. o przereklamowaniu planu pięcioletniego na Zachodzie — są słuszne i przekonywujące. Rzecz ciekawa, że ten emigrant-Rosjanin, przebywający stale w Paryżu, sympatyk i „sojusznik" Francji ma dużo kultu do Niemiec, w szczególności do prezydenta Hindenburga (mowa o Niemczech przedhitlerowskich). Najlepszy ustęp książki — to odtworzenie dramatycznego posiedzenia Ligi Narodów w sprawie konfliktu chińsko-japońskiego — bez przesady można powiedzieć, że ustęp ten — to szczyt artyzmu literackiego, na jaki może wznieść się reporterka. Miłośnik pokoju Ałdanow, nie szczędzi cierpkich uwag, a głównie zjadliwej ironji pod adresem oficjalnych reprezentacyj pacyfizmu, jakiemi dziś są Liga Narodów i konferencja rozbrojeniowa; szczególnie ostro, a posługując się bardzo subtelną ironją — zdemaskował bezsilność i bezsensowność tej ostatniej. *Teodor Parnicki.*

[1]) M. A. A ł d a n o w. *Ziemli. Ludi.* — Berlin 1932.

Notatki bibljograficzne.

Tomasz Piskorski: Komitet wychowania narodowego młodzieży polskiej z zagranicy, przy Radzie organizacyjnej Polaków z zagranicy. Warszawa 1933. Str. 84.

Broszura opisuje genezę Rady organizacyjnej Polaków z zagranicy i wyłonionego z niej Komitetu wychowania narodowego, oraz przebieg konferencji w sprawie wychowania młodzieży polskiej z zagranicy, odbytej w Warszawie w grudniu 1932 r. Dużo ciekawych szczegółów na ten ważny temat, zwłaszcza w referacie dyrektora St. Paprockiego. Dla wszystkich interesujących się losem naszych mniejszości poza granicami Ojczyzny rzecz bardzo ważna. Szlachetna akcja Rady Organizacyjnej i Komitetu wych. narod. zasługuje na poznanie i poparcie społeczeństwa.

Ksawery Pruszyński: Palestyna po raz trzeci. Wilno 1933. Dom Książki Polskiej. str. 175 z ilustracjami.

Przy wielkim darze obserwacji i niemałej bystrości autora mogły były te obrazki z dzisiejszej Palestyny wypaść nietylko zajmująco, ale pouczająco, gdyby nie pewien niespokój i pretensjonalność stylu, która myśl zaciemnia. Autor stara się z pewną pozą pisać żywo i „inteligentnie", a skutkiem tego nie ma dosyć przejrzystości i prostoty. Sam zresztą skarży się na trudność doprowadzenia wrażeń do pewnej syntezy. Choć zapewnia nas o swej głębokiej religijności, nie widać u niego śladu uczuć, jakie widok ziemi świętej powinien budzić w duszy chrześcijańskiej. Książkę czyta się zresztą z zainteresowaniem i pożytkiem.

Jerzy Ostrowski. Brazylja. Bibljoteczki geograficzno-podróżniczej, wyd. staran. polsk. naucz. geogr. t. 6. Książnica-Atlas 1933, str, 112 z 20 rycinami.

Bardzo interesująca książeczka, która w barwnej, lekkiej formie daje dość dokładne pojęcie o charakterze kraju i jego dziejach, o mieszkańcach i ich zwyczajach, faunie, florze, klimacie i t. p. Życie wychodźców polskich w Brazylji nieźle naszkicowane. Rzecz dla praktycznej nauki geografji bardzo pomocna, Ilustracje dobrze dobrane i starannie wykonane, a zupełnie przyzwoite.

Dr. Franciszek Podlewski. Układy pokojowe w Brześciu Litewskim 1918. Żelibory 1933. Str. 124.

Zakulisowe dzieje wielkiej wojny, a zwłaszcza jej ostatniej fazy doczekały się tak jasnego oświetlenia w szeregu pamiętników i zapisków, że nie było trudno autorowi nakreślić wierny obraz tego aktu niepojętej głupoty, przewrotności i obłudy, jakim był t. zw. pokój brzeski. Swoją drogą, że wywiązał się autor ze swego zadania doskonale. Przedstawienie jasne, spokojne, dokładne.

Tło wybornie podmalowane, aktorzy tej tragifarsy scharakteryzowani jak żywi. Szkoda, że forma zewnętrzna książki dość niedbała bo chciałoby się zalecić jej czytanie wszystkim, pragnącym zbliska poznać moment, w którym rodziła się wśród wirów i mętów światowej burzy — nowa Polska.

Świat i Życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. Wydawnictwo „Książnicy - Atlas", pod redakcją prof. dra Zygmunta Łempickiego. Lwów (Czarnieckiego 12). Zeszyty 3—8.

Do omówionych już w *Przeglądzie Powszechnym* (zesz. z kwietnia b. r., str. 105) dwóch pierwszych zeszytów encyklopedji dla młodzieży szkolnej „Świat i Życie", przybyło w międzyczasie dalszych sześć zeszytów. Razem otrzymaliśmy już 1024 kolumn (dwie na jednej stronie), zapełnionych tekstem i ilustracjami, oraz 128 pięknie wykonanych tablic. Stosownie do założenia znajdują się artykuły, naogół dłuższe, podające całokształt wiadomości o przedmiotach wszelkiego rodzaju i z wszelkich dziedzin nauki i życia. Poza artykułami, omawiającemi ważniejsze zdarzenia z historji i kwestje z geografji, zostały poruszone obszerniej takie tematy jak: arasy, arjanie, Arjowie, astronomja, atmosfera, atom, autorytet, bagna, bakterje i bakterjologja, banki, barok, barwniki, bawełna, bazylika, bezrobocie, biblja, bibljoteka, biegi, boks, bolszewizm, botanika, ból, braminizm, broń, buddyzm, burżuazja, cechy, charakter, chemja, chłop, choroba, chrześcijaństwo, ciepło.

O. Paweł Manna M. A.: Za mało żniwiarzy. Z włoskiego tłum. X. S. P. M. Z przedmową J. E. Ks. Dra A. J. Nowowiejskiego. Warszawa 1932. Wyd. Ks. Pallotynów. Str. 267.

Autor, który sam pracował jako misjonarz, wśród pogan, nie mogąc spełniać więcej, wskutek złego stanu zdrowia, tego zadania, pragnie zachęcić innych, młodzież zwłaszcza, do podjęcia go. Przedstawia wielkość tego powołania, stan misyj i ich potrzeby. Pewne przestarzałe wiadomości i cyfry zostały uzupełnione w przypiskach.

Franciscus Xav. Kertleitner O. Praem.: Aegyptiorum auctoritas quantum ad Israelitarum instituta sacra pertinuerit. Oeniponte 1933, Fel. Rauch. Str. VIII+84.

W tym VIII tomiku *Studjów Biblijnych* przedkłada autor dalszy ciąg swych prac naukowych nad losem ludu izraelskiego i jego religji w starożytności; bada mianowicie wpływ Egipcjan na tem polu.

Ks. Alojzy Majewski P, S. M.: Róże i lilje. Powiastki dla młodszej i starszej dziatwy. Warszawa 1933, Wyd. Ks. Pallotynów. Str. 69.

Kilkanaście krótkich opowiadań, naogół wyjętych z życia dzieci i młodzieży, daje miłą i budującą lekturę dla młodych dusz.

Aleksander Borawski: Królowa Jadwiga na Wawelu. Szkic historyczny. Warszawa 1933. Wyd. Ks. Pallotynów. Str. 78 i 31 ilustr.

Broszura bardzo aktualna wobec dzisiejszych starań o beatyfikację królowej Jadwigi, napisana rzeczowo przez b. kustosza zbiorów na Wawelu, znawcę i artystę zarazem. Rzecz wydana gustownie i na lepszym papierze, z pięknemi ilustracjami.

Ks. Karol Pękala: Rekolekcje zamknięte szkołą ducha apostolskiego w S. M. P. Poznań 1933. Nacz. Instytut Akcji Katol. Str. 11.

Broszura przeznaczona głównie dla organizacyj S. M. P., wskazuje na łączność rekolekcyj z pracą organizacyjną i daje praktyczne wskazówki odpowiedniego urządzenia i wykorzystania rekolekcyj.

Gwido Trzywdar-Rakowski: Lew Lechistanu czyli zwycięzca z pod Wiednia, Warszawa 1933, Inspekt. Salezjański. Str. 29.

Na 250-letnią rocznicę odsieczy Wiednia przez Jana III Sobieskiego daje powyższa broszurka utwór dramatyczny w 5-u scenach, dla teatrów amatorskich i młodzieży.

Zofja Topińska: Kasztelanic. Obrazek historyczny z życia św. Stanisława Kostki. Warszawa 1933. Wyd. Ks. Pallotynów. Str. 80.

Do istniejących już sztuk teatralnych dla młodzieży na temat życia św. jej Patrona, przybywa nowy utwór, którego także poszczególne niektóre akty mogą być grane osobno.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Sp. Akc. „Ostoja", Poznań 1933:

Ks. Władysław Hozakowski: Dzieje Mszy św. (Z angielskiego przerobione). Nowe wyd. Str. XVI+311.
Ks. Walerjan Adamski: Wychowanie państwowe. Próba ujęcia podstaw socjologicznych zagadnienia. Str. 80.
Eremus: Bóg Panem naszym! Bibljoteka wieczornicowa nr. 34. Str. 136.
Dr. Marjan Wachowski: Skrzynka zapytań. Str. 24.

Nakładem różnych.

Ks. Dr. Franciszek Bączkowicz. C. M.: Prawo Kanoniczne. Podręcznik dla duchowieństwa. Tom II wyd. 2. Przejrzał ks. Józef Baron C. M. Kraków 1933, str. XVI+728.
Marja Danilewiczowa; Tymon Zaborowski. Życie i twórczość. (1799—1828). Warszawa 1933, Kasa im. Mianowskiego; studja z zakresu literatury polskiej. Str. VIII+267.
Marja Rymarkiewiczówna: Filozofja Libelta. II: epistemologja, filozofja przyrody, Poznań 1933. Pozn. T-stwo Przyjaciół Nauk. Str. 96.
Ks. Dr. Kaz. Kowalski; Odrodzenie nasze w miłosierdziu. Poznań 1933. Str. 15 (odbitka).
Dr. Jos. Łapot: De Eleemosyna. Dissertatio theologica. Kielce 1933. Str. 93.

Każdy (Everyman). Średniowieczny moralitet angielski. Przełożył Stanisław Helsztyński, Warszawa 1933. Biblj. Dram. *Drogi*. Str. 46.

André Gide: Edyp. Tragedja w 3 aktach. Przełożył Roman Kołoniecki. Warszawa 1933, Biblj. Dram. *Drogi* Str. 52.

Aniela Gruszecka: Przygoda w nieznanym kraju. Powieść. Warszawa 1933, Wyd. *Kobieta Współczesna*. Str. 344.

Ks. Bolesław Kręcicki: Moja rozmowa z badaczami Pisma świętego. Kalisz 1933; str. 48 in 16⁰. (gr. 20).

Sant' Andrea — Uberto Fournet. Vita e opere. Con profesione di Mons. Carlo Salotti. Milano 1933, Lega Eucaristia. Str. XVI+290 z ilustr.

Sac. Alessandro Tamborini; La Beata Gerosa. Milano 1933, Suore di Caritá. Str. 103 z ilustr.

C. Beccari S. I.: Il beato Giuseppe Pignatelli S. I. Note et aggiunto del P. Carlo Miccinelli S. I. Frosinone, Soc. Typ. A. Macioce et Pisani. Str. VIII+270 z ilustr.

P. Giuseppe Galloni S. I.: P. Ricardo Friedl S. I. Profilo biografico. Roma 1931. Str. 101 in 16⁰ z 1 ilustr.

Joseph Dassonville S. I.: Les Grandes Heures de la Famille. II. Les heures graves. Radio-sermons. Paris 1933. Editiones Spes. Str. 95.

Stanisław Kot: Historja wychowania. Zarys podręcznikowy. Wyd. 2 zmienione i pomnożone. Tom I: od starożytnej Grecji do połowy XVIII w. t. II. do doby współczesnej. Lwów 1934, Państwowe Wydawnictwo książek szkolnych. Str. VIII+407, IV+378.

Bolesław Oskard: Światna szybie okiennej. Zbiór nowel. Poznań 1933, *Dziennik Poznański*. Str. 132.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

W kwestji monopolu szkolnego. — Zagrożony los prywatnego szkolnictwa w Polsce.

Dekret Napoleona z r. 1806 stworzył w zasadzie i przeprowadził w praktyce ścisły monopol państwowy szkolnictwa. Dekret ten spotkał się natychmiast z silną opozycją i gwałtownym protestem katolickiego episkopatu, który w imieniu rodziców, a opierając się na prawie natury, domagał się wolności w nauczaniu szkolnem. Dopiero jednak w r. 1833 obalono zasadę bezwzględnego monopolu państwa i prawem z dn. 28 czerwca pozwolono na szkolnictwo prywatne elementarne. Prawo to zostało następnie w r. 1850 *(La loi Falloux)* rozszerzone także i na szkoły średnie. Wolność ta nie trwała jednak zbyt długo. Kolejnemi prawami z roku 1886 i 1888 ograniczyło państwo wolność otwierania szkół prywatnych, by ostatecznie w r. 1904 (7 lipca) zadać cios olbrzymiej ilości tych szkół przez pozbawienie wszystkich członków kongregacyj zakonnych prawa nauczania w jakiejkolwiek szkole. Na mocy wspomnianego zarządzenia zamknięto natychmiast 14,404 prywatnych szkół katolickich powszechnych, podobny los spotkał także szłoły średnie.

Prawa te nie wprowadziły w zasadzie państwowego monopolu w zakresie szkolnictwa, ale mimo to poderwały w praktyce wolność nauczania, wykluczając całą kategorję szkół i całą klasę nauczycielstwa z organizacji szkolnej. Jest rzeczą historycznie pewną, iż reformy te podyktowała we Francji nie troska o dobro szkoły, ale inspirował je duch bezbożnego radykalizmu. Reformatorom francuskim, z ministrem Jules Ferry'm na czele, chodziło przedewszystkiem o usunięcie religji ze szkolnych wykładów, by tem łatwiej wychować przyszłe pokolenie w ideologji bezbożnego radykalizmu. Walka o ograniczenie wolności nauczania, była

w gruncie rzeczy zmaganiem się o duszę młodzieży, o przyszłość i bliższą i dalszą. Taki a nie inny sens miało prawo z r. 1882, zakazujące nauki religji w państwowych szkołach powszechnych, w tym także ideowym kierunku poszło prawodawstwo Combes'a.

Drakońskie zarządzenia francuskiego prawa, usuwając szkoły zakonne, nie zabiły jednak wolnej szkoły wyznaniowej. Uratował ją i ratuje heroiczny wysiłek katolików francuskich, którzy płacąc podatki na państwowe szkolnictwo, z którego korzystać nie chcą, tworzą równocześnie drugi nieoficjalny budżet na utrzymanie prywatnych szkół wyznaniowych. Doświadczenie kilkudziesięciu lat zdyskredytowało gruntownie szkolny eksperyment francuskiego radykalizmu. Zlaicyzowana szkoła państwowa, bez dogmatu, z „moralnością świecką" nie odpowiada dziś we Francji życzeniom poważnej części ludności, wyludnia się w znacznym stopniu, przy równoczesnym rozkwicie prywatnych szkół wyznaniowych. Walka o szkołę we Francji zaostrza się coraz bardziej. Z jednej strony bezbożny radykalizm mobilizuje swe siły, by nietylko bronić do upadłego laicyzacji szkoły państwowej, ale by ją wzmocnić i rozrzerzyć, by zamiast hasła *l'école neutre* urzeczywistnić hasło drugie *l'école laïque — l'école unique,* czyli by w praktyce zaprowadzić monopol szkoły państwowej, opartej teoretycznie na zasadzie bezwyznaniowości, w praktyce zaś nietylko areligijnej ale antyreligijnej. Z drugiej zaś strony obóz katolicki broni nietylko swej wolnej szkoły wyznaniowej, ale pragnie wywalczyć dla niej „prawa publiczności" oraz finansową subwencję państwa.

Radykalna Francja, lansująca w Europie hasło szkoły „świeckiej" oraz częściowego przynajmniej jej monopolu, została oczywiście dziś zdystansowana. Na czoło wysunęła się Rosja sowiecka, w której już nietylko laicyzacja ale bezwzględny ateizm zmonopolizowanej szkoły, wychowuje pokolenie młodych bezbożników, by bez żadnych skrupułów mogło realizować program bolszewickiego przewrotu. Meksyk i Hiszpanja naśladują bolszewickie wzory. Zamknięcie zakonnych szkół, a zatem częściowy monopol szkolnictwa „świeckiego" przeprowadzono z podeptaniem elementarnych praw katolickiej ludności. I w tych krajach walka o szkołę jest tylko walką o duszę młodzieży, by ją urobić według programu zwycięskiego a bezbożnego reżimu.

Ta walka o duszę młodzieży, a konsekwentnie o szkołę, jest zresztą prawie powszechnem zjawiskiem współczesnem. Nie wszędzie chodzi o laicyzm, prawie wszędzie o ściślejszy lub mniej ścisły monopol, by w ramach szkoły „jedynej" urzeczywistniać tem pełniej program wychowania państwowego. W niektórych krajach w tej zasadniczej walce o szkołę,

którą trzeba nazwać zmaganiem się o jutro, biorą jeszcze udział polityczne partje, rywalizujące z sobą o wpływy w ukształtowaniu państwowości i społecznego ustroju. Nadchodzi jednak i to w szybkiem tempie zmierzch partyj, wyprzedzając nawet ostateczne załamanie się demokratycznego ustroju. Rządy państw przechodzą coraz częściej w ręce tej lub innej, zwycięskiej i dyktatorskiej partji, która wszelkiemi, godziwemi, często i niegodziwemi środkami likwiduje polityczną opozycję, by ująć ster wyłącznie w swe ręce.

Jest rzeczą nawskróś oczywistą, iż ten polityczny reżim zaciążyć musi w pierwszym rzędzie na ustroju szkolnym. Szkoła wcześniej lub później stanie się nietylko przybytkiem oświaty, ale przedewszystkiem kuźnią bojowników panującej ideologji, przednią strażą, mającą umocnić i utrwalić panujący reżim. Zmonopolizowanie szkolnictwa, narzucenie jednego programu, stworzenie jednego typu wychowania w funkcji jednej ideologji zdaje się być nieuchronną konsekwencją nowych politycznych prądów.

Nie trudno zrozumieć, iż Kościół w sprawie szkolnictwa nie może wycofać swych postulatów, gdyż nie wolno mu zrezygnować z Chrystusowej misji nauczania wszystkich. Z drugiej jednak strony stanowisko Kościoła w tej kwestji jest nawskróś pojednawcze. Nie miesza się on w tę lub inną formę politycznego ustroju, nie popiera swym autorytetem tych lub innych partyj, jak również ich nie zwalcza o ile tylko ich program nie zagraża religji oraz wolności sumienia. W zagadnieniu zaś szkolnem domaga się od rządów jedynie tego, by w pojmowaniu i przeprowadzeniu szkolnego przymusu, w technicznem rozbudowaniu szkolnictwa, wreszcie w pedagogicznej pracy szkolnej szło państwo ręka w rękę z Kościołem, by zamiast rywalizacji i szkodliwego zwalczania się była lojalna i pozytywna w wynikach współpraca. Nie o politykę więc chodzi Kościołowi, ale wyłącznie o dobro dziecięcych i młodzieńczych dusz.

Zatem także w kwestji monopolu państwowej szkoły, szkoły „jedynej", Kościół zasadniczo nie zgłosi swego bezwzględnego *veto*, o ile tylko wymagania religijnego i etycznego wychowania będą w takiej szkole w całej pełni uwzględnione, choćby nawet państwo pragnęło realizować w tej właśnie szkole pełny program wychowania państwowego, obliczonego na utwierdzenie zaprowadzonego reżimu. Nieuchronny konflikt między Kościołem a państwem a raczej jego rządem wyłania się wówczas, gdy rząd, zarażony duchem laicyzmu odrzuca wyżej sformułowane a nawskróś słuszne postulaty. Kościół, pod grozą sprzeniewierzenia się swej nadprzyrodzonej misji, nie może biernie tolerować tych radykalnych zapędów, które dążą konsekwentnie do osła-

bienia a wreszcie całkowitego zerwania harmonji, która powinna łączyć szkołę z religją. Niektórym rządom nie wystarcza upaństwowienie szkolnictwa, nie wystarcza szkolny monopol, chodzi jeszcze o wyłączne zagarnięcie wszelkich wpływów na szkołę, zrobienia z niej podatnego instrumentu do wychowania w tym duchu, jakim przejęte są rządy. Religja w tej konstelacji jest zbyt często zawadą a jej moralne zasady drażniącą przeszkodą, stąd mniej lub więcej jawna dążność do całkowitej laicyzacji szkolnictwa. I wtedy musi przyjść do groźnego starcia, wtedy Kościół może wezwać swych wiernych do bojkotu państwowej szkoły, nawet pod grozą kościelnych kar, obowiązujących w sumieniu.

Tak było i jest we Francji, gdzie Kościół całym swym autorytetem i wszelkiemi środkami poparł rozbudowanie szkolnictwa prywatnego, wyznaniowego, by katolicką młodzież uchronić przed atmosferą bezwyznaniowej a w praktyce antyreligijnej szkoły państwowej. Tak było i w Belgji przed laty, kiedy w roku 1879 większość liberalna przegłosowała prawo o zlaicyzowaniu szkoły *(Loi de malheur)*. Pod grozą kar kościelnych nakazał wówczas episkopat belgijski swym wiernym bezwzględny bojkot tej szkoły. Wiemy iż decyzja ta wydała świetne wyniki. Belgja posiada dziś znakomicie zorganizowane szkolnictwo wyznaniowe, a szkoły te korzystają z pomocy państwowych funduszów.

Ponieważ monopol szkolny i związany z nim system państwowej szkoły „jedynej" grozi zawsze mniejszem lub większem niebezpieczeństwem laicyzacji, dlatego Kościół, nie zwalczając bezwzględnie tego systemu, przechyla się jednak zdecydowanie do systemu szkoły wolnej, wyznaniowej i głosi jej prawa. W tego typu szkołach unika się bowiem mieszania dzieci o różnych wyznaniach, o różnych poglądach religijnych, wynikających tak często z atmosfery rodzinnego domu, łatwiej dobrać personel nauczycielski, stojący na odpowiednim poziomie nietylko naukowym ale i religijno-etycznym, łatwiej wreszcie w programie szkolnym uwzględnić w całej pełni odpowiednie wykształcenie i wychowanie religijno-moralne. Z tych właśnie względów Kościół, nie nawracając bynajmniej do średniowiecza i nie obstając przy typie szkoły wyłącznie kościelnej, popiera tem usilniej system szkoły wolnej, wyznaniowej. System to nawskroś nowoczesny, bo przyjmuje wszystkie zdobycze nowoczesnej pedagogji, może przyjąć i zwykle przyjmuje cały program nauczania, zaprowadzony i przepisany w szkołach państwowych, godzi się nawet bez zastrzeżeń na inwigilację państwowych władz szkolnych, by zdobyć sobie pełne „prawa publiczności", ponadto wszystko jednak dołącza je-

szcze odpowiednio zorganizowane i przeprowadzone wykształcenie i wychowanie religijno-moralne.

Opierając się już nie na katolickich ale wyłącznie na demokratycznych pojęciach nie trudno zrozumieć, iż żaden rząd państwowy nie powinienby mieć jakichkolwiek zastrzeżeń przeciw tak pojętej szkole i że taka właśnie szkoła, odpowiadająca życzeniom katolickich sfer danego kraju, powinna się cieszyć nietylko tolerancją ale także poparciem finansowem narówni ze szkołami państwowemi. I tak jest istotnie w niektórych nowoczesnych państwach, jak np. w Holandji, która jest klasycznym krajem wolnego, wyznaniowego szkolnictwa, popieranego i finansowo utrzymywanego przez państwo. Decydującym momentem w ocenie wartości szkoły jest tutaj wyłącznie jej naukowy poziom, inne uboczne względy nie odgrywają żadnej zgoła roli. Przykładem znowu państwa zacofanego w zakresie ideologji szkolnictwa jest skądinąd postępowa i tak sympatyczna Francja, gdyż radykalny sektaryzm zawładnął tam szkołą. Szkoła wolna, choćby jak najlepiej prowadzona i przodująca w nauce, jest pozbawiona wszelkiej pomocy państwowej, wszelkich finansowych dotacyj, i to jedynie dlatego, iż wyłamuje się z ciasnych ram państwowej organizacji szkolnej, w gruncie zaś rzeczy dlatego, iż poza nauką chce uwzględniać religję. Szkołę taką wprawdzie się toleruje, ale odmawia się jej wszelkich „praw publicznych" a cały ciężar jej utrzymania spada na barki rodziców, płacących zresztą podatki na państwowe szkolnictwo. Zacofanie i krzywda są tu nawskróś oczywiste.

Te dwa, sprzeczne z sobą poglądy na organizację szkoły krzyżują się dzisiaj w całym cywilizowanym świecie. Wyrazem zacofania i sektaryzmu, tkwiącego w obronie laicyzacji szkoły państwowej a marzeniu o szkole „jedynej", był niedawno kongres narodowy syndykatu nauczycieli i nauczycielek we Francji, który się odbył w sierpniu b. r. (3—5) w Paryżu. Kongres ten, — przedstawiający mentalność organizacji, liczącej 85.000 członków rządowego nauczycielstwa, — stanął niewzruszenie na platformie przestarzałego i niesprawiedliwego prawodawstwa z czasów Jules Ferry'ego i Combes'a, a broniąc bezwzględnie swych finansowych korzyści' domagał się równocześnie popierania bezbożnej i niesprawiedliwej ideologji. Szczytem bowiem marzeń tego syndykatu byłoby oczywiście wywalczenie bezwzględnego monopolu dla zlaicyzowanej szkoły państwowej.

Równocześnie w Hadze, w Holandji obradował również w sierpniu (1—5) b. r. międzynarodowy kongres średniej szkoły katolickiej, głosząc tezy wolności oraz postępu, referując znakomite wyniki naukowe i pedagogiczne uzyskane w szkole wolnej, wyznaniowej.

Kongresowi paryskiemu patronowała międzynarodowa masonerja, w Hadze patronem był katolicki Kościół.

Polska wystawiona na prądy Wschodu i Zachodu, nie może nie odczuć zmagania się przeciwnych sobie ideowo poglądów także w zakresie szkolnictwa.

Dotychczas, jak cały szereg innych państw, nie posiadamy szkolnego monopolu państwowego. Istnieją zatem liczne szkoły publiczne, państwowe, nie brak jednak i szkół prywatnych, nawet wyznaniowych, które korzystają nietylko z tolerancji ale nawet, przynajmniej częściowo, i z poparcia rządu.

Kościół katolicki z punktu widzenia swej ideologji, abstrahując całkowicie od politycznych poglądów oraz tarć partyjnych, musi się odnieść do polskiego szkolnictwa państwowego z niemałem uznaniem.

Konstytucja bowiem nasza zapewnia religijne wykształcenie i wychowanie młodzieży w państwowych i samorządowych szkołach powszechnych i średnich. Prawo więc przewiduje przymus nauczania religji oraz religijnych praktyk w okresie szkolnym. Najwyższy dozór nad nauczaniem religji katolickiej w tych szkołach należy do biskupów-ordynarjuszów w poszczególnych diecezjach i dozór ten mogą wykonywać skutecznie i bez żadnych przeszkód. Dotychczas zatem sprawa państwowego szkolnictwa w Polsce, z punktu widzenia istniejących prawnych przepisów, nie narusza w niczem religijnego wykształcenia i wychowania młodzieży. Pod tym względem jest u nas bezporównania lepiej niż w wielu innych nowożytnych państwach.

Obok szkolnictwa państwowego istnieje w Polsce dość silnie rozbudowane szkolnictwo prywatne. Pierwsze zwłaszcza lata naszej wskrzeszonej niepodległości zaznaczyły się wydatnym pędem społeczeństwa do zakładania prywatnych szkół średnich ogólnokształcących.[1]) W roku szkol. 1920/21 Departament Szkół Śred. Ministerstwa W. R. i O. P. wykazywał 520 szkół średnich niepaństwowych; 157 męskich, 244 żeńskie i 119 koedukacyjnych. W latach następnych ilość szkół prywatnych zaczęła się jednak zmniejszać tak, iż w roku szkol. 1930/31 mieliśmy już tylko 404 szkoły średnie prywatne, liczba zaś uczniów tych szkół zmalała w tym okresie do 20.000.

Otóż wszystko zdaje się przemawiać za tem, iż proces upadku prywatnego szkolnictwa w Polsce rozwijać się będzie

---

[1]) Opieram się na danych, które zestawiono w *Przeglądzie Pedagogicznym*, w artykule: „Nad brzegiem przepaści". Nr. 27—28. 7 październ. 1933. Str. 261—264.

w coraz to szybszem tempie. Rosnące zubożenie społeczeństwa powoduje stopniowe zamieranie szkoły prywatnej, która wobec stałego pogarszania się frekwencji uczniów i znikomej już siły płatniczej rodziców, staje formalnie „nad brzegiem przepaści".

Jesteśmy więc na drodze do faktycznego zmonopolizowania szkolnictwa przez państwo. Samorzutnie zatem wyłania się pytanie, czy rząd istotnie zdąża celowo do zdobycia wspomnianego monopolu? Przyznać musimy, iż rząd dotychczas nietylko tolerował szkolnictwo prywatne ale je nawet częściowo popierał. Poparcie to objawiało się w podwójnej formie mianowicie przez przyznawanie „praw publiczności" zakładom prywatnym, stojącym na odpowiednim poziomie, oraz przez finansową pomoc, głównie w postaci zwrotu opłat szkolnych za dzieci funkcjonarjuszów państwowych. Ta ostatnia pozycja odgrywała w budżecie szkół prywatnych niepoślednią rolę, gdyż wystarczy zaznaczyć, iż naprz. w r. 1930/31 w prywatnych szkołach średnich kształciło się 18.000 dzieci funkcjonarjuszów rządowych i samorządowych.

Jak wiadomo, rząd, pod naciskiem finansowych trudności, zniósł przed paru miesiącami zwrot wspomnianych opłat szkolnych, pozostawiając cały ciężar ewentualnego utrzymania prywatnych szkół inicjatywie zubożałego społeczeństwa. Posunięcie to, motywowane koniecznością państwową, zadecydowało o losie większości szkół prywatnych. Nie wystarczą bowiem nawet pełne „prawa publiczności", gdy zabraknie uczniów oraz finansowych środków. Otóż już dzisiaj należą w Polsce prawie do wyjątków te zakłady prywatne, które wywiązują się normalnie wobec swego nauczycielstwa z finansowych zobowiązań. Podkreślmy zatem z naciskiem fakt, iż nauczycielstwo prywatne skazane jest już nie na redukcję poziomu swego życia, ale całe jego tysiące są wprost zagrożone nędzą.

Możnaby ostatecznie i nad temi faktami przejść melancholijnie do porządku dziennego, gdyby państwo mogło w swoich szkołach publicznych zapewnić wykształcenie tym tysiącom młodzieży, które uczęszczały dotychczas do szkół prywatnych. Tymczasem niestety tak nie jest. Są bowiem na terenie Polski już nietylko miasta ale nawet całe województwa, w których szkolnictwo prywatne nietylko uzupełniało braki szkolnictwa państwowego, ale je nawet poprostu zastępowało, nieraz prawie w stu procentach.

Wystarczy zacytować cyfry. Tak np. w województwie lwowskiem odsetek uczniów szkół państwowych wynosi 67·6, w krakowskiem 73·2, w pomorskiem 74·2, w tarnopolskiem 76·6, ale zato w łódzkiem tylko 20·4, w warszawskiem 26·1... Niektóre miasta przemysłowe jak Zawiercie, Tomaszów Ma-

zowiecki, Żyrardów, Radomsko, Będzin nie posiadają zupełnie gimnazjów państwowych. Miljonowa Łódź na 37 szkół ma tylko 2 państwowe i 1 samorządową.

Na tle tych cyfr, które podajemy za *Przeglądem Pedagogicznym*, wyłania się doniosły pewnik, iż przecież w tych miastach i w tych województwach, państwo będzie zmuszone zorganizować szkoły publiczne na miejsce zrujnowanych lub zagrożonych ruiną szkół prywatnych. Czy tego rodzaju konieczny zabieg da się pogodzić z programem oszczędnościowym, można śmiało wątpić! Zorganizowanie i utrzymanie nowych szkół państwowych pochłonąć musi znacznie wyższe sumy, niż tego wymaga finansowe wsparcie istniejących zakładów prywatnych.

Jeżeli rząd mimo wszystko zdecyduje się na tę właśnie ewentualność, to chyba trudno będzie wątpić w pewną celowość w monopolizowaniu szkolnictwa. Chodzićby zaś mogło o stopniowe tworzenie „jedynej" szkoły chyba tylko w tym celu, by w ramach szkoły państwowej przeprowadzić tem pełniej program wychowania państwowego. Nauczycielstwo bowiem rządowe jest oczywiście w tym względzie instrumentem daleko bardziej podatnim niż nauczycielstwo prywatne. Ale i w tym kierunku rezultat będzie, jak się nam zdaje, tylko częściowy i dosyć wątpliwy. Zwrócić bowiem musimy uwagę na fakt, iż pewien i to dość znaczny procent szkolnictwa prywatnego stanowią szkoły wyłącznie „mniejszościowe" lub o wyraźnych tendencjach mniejszościowych. Otóż jesteśmy przekonani, iż tak Żydzi jak Niemcy czy Ukraińcy dołożą wszelkich starań, by ich zakłady utrzymały się pomimo wszystko na powierzchni życia. A przecież chyba głównie w tych zakładach trzebaby myśleć o programie wychowania państwowego! Refleksje na ten temat wybiegają jednak poza ramy naszych założeń.

Dlatego raczej sformułujmy pytanie, jak powinno zareagować społeczeństwo polskie, katolickie na stopniową a zdaje się nieuniknioną likwidację polskich zakładów prywatnych. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, iż także szereg przyszłych szkół katolickich stanęło już lub w niedługim czasie stanie „nad brzegiem przepaści".

Otóż, jakkolwiek w chwili obecnej, szkoły państwowe, w myśl konstytucji i prawa, zapewniają katolickiej młodzieży dostateczne wykształcenie oraz wychowanie religijne, to jednak byłoby złudzeniem sądzić, iż podmuchy laicyzacji, dążącej do stworzenia szkoły bezwyznaniowej, podmuchy idące ze Wschodu oraz z Zachodu, — zamrą i rozwieją się na granicach naszej ojczyzny. Wprawdzie katolicyzm zrośnięty jest u nas z tradycją narodową, wprawdzie większość polskiego społeczeństwa jest szczerze przywiązana do religji

i Kościoła, ale niestety i u nas nie brak wolnomyślicieli oraz fanatycznych apostołów laicyzmu, którym „czarna okupacja" spędza sen z powiek, którzy piszą, organizują się, odbywają zjazdy, snują projekty praw, by przygotować i u nas teren pod laicyzację szkoły.

Pamiętamy wszyscy sztucznie przez garstkę wolnomyślicieli wywołany atak na okólnik ministra Bartla. Zjazdy nauczycielstwa były już niejednokrotnie okazją do wygłaszania skrajnie zlaicyzowanych poglądów tych czy innych jednostek. W obozie nauczycielstwa istnieje dość silna frakcja wolnomyślicieli, opowiadających się niedwuznacznie za całkowitem zeświecczeniem zmonopolizowanej przez państwo szkoły. W niektórych okręgach szkolnych znowu jednostki dopuszczały się jaskrawych nadużyć, raniących religijne uczucia młodzieży. Zdarzają się wypadki szykanowania personelu nauczycielskiego, znanego z katolickich przekonań oraz z czynnego udziału w Katolickiej Akcji. Gdzieniegdzie znów wywiera się niedwuznaczny nacisk pod grozą utraty posady, by nauczyciel czy nauczycielka przestali pracować w katolickich organizacjach młodzieży. W pracy pedagogicznej toleruje się a nawet popiera jednostki, które przez swą apostazję od wiary i występny tryp życia mogą jedynie ujemnie oddziałać na młodzież. Jawny wolnomyśliciel, prof. H. Ułaszyn, biada w swej niedawno ogłoszonej a tak hałaśliwie przez pewien odłam prasy reklamowanej książce, nad powiększaniem liczby godzin religji ze szkodą dla innych przedmiotów. Zainicjowano nawet ankietę wśród nauczycielstwa, przeprowadzić ją ma Liga Reformy Obyczajów, by zebrać materjały dla oceny, „jak daleko i szeroko i w jak niewłaściwych kierunkach sięga klerykalizacja szkolnictwa i życia szkolnego". To znowu naczelny organ Legjonu Młodych sygnalizuje niebezpieczeństwo, jakie rzekomo grozi szkole średniej „ze strony akcji katolickiej, wciągającej młodzież jawnie, legalnie i masowo do różnych organizacyj międzynarodówki rzymskiej". — Oto niektóre tylko symptomy, świadczące dowodnie o fakcie, iż i u nas przygotowuje się powoli akcja wolnomyślicielskiej mniejszości za laicyzacją szkoły państwowej.

Nie chcemy bynajmniej twierdzić, iż akcja ta jest planowo organizowana przez centralne czynniki rządowe. Owszem wyrażamy przekonanie, iż tak w ułożeniu nowego programu nauki religji w szkołach, jak i w sformułowaniu odnośnych artykułów przygotowywanej nowej konstytucji rząd współpracować będzie harmonijnie z katolickim episkopatem, iż dołoży wszelkich starań, by poskramiać sporadyczne antyreligijne wybryki i nadużywanie władzy przez niektóre podległe czynniki szkolne — ale mimo wszystko sądzimy, iż

katolickie społeczeństwo, stojąc na straży konstytucji i prawa, nie pozwalając w niczem naruszyć ani odmienić istniejących przepisów w kierunku laicyzacji szkoły państwowej, — powinno nadto zająć się żywo losem prywatnych szkół katolickich.

Choćby bowiem wszystkie przepisy dotyczące religijnego wykształcenia i wychowania katolickiej młodzieży w szkołach państwowych były zachowane, co w praktyce z tych lub innych powodów nie rzadko szwankuje, to jednak szkoła wyznaniowa bezwątpienia stwarza lepsze warunki dla całokształtu religijnego wyrobienia nie ujmując nic z naukowych i pedagogicznych wartości.

Dlatego to w konkordacie, który Stolica św. zawarła niedawno z Rzeszą niemiecką prócz art. 21-ego, w którym uznano naukę religji za obowiązkową we wszystkich szkołach niższych i średnich państwowych, znalazły się także artykuły 23, 24 i 25, które gwarantują zachowanie istniejących i otwieranie nowych katolickich szkół wyznaniowych. Katolickie społeczeństwo w Niemczech, niemniej jak w Belgji czy w Holandji docenia ogromną doniosłość utrzymania prywatnych szkół wyznaniowych.

Obawiamy się, iż u nas w Polsce kwestji tej nie dość poświęca się troski. Dlatego sygnalizujemy groźne niebezpieczeństwo, jakie zawisło nad losem i tak nielicznych prywatnych szkół katolickich.

Utrzymanie tych szkół leży w interesie oszczędnościowej gospodarki naszego państwa, przytem nie tamuje ono lecz raczej ułatwia przeprowadzenie programu prawdziwie państwowego i obywatelskiego, bo na katolicyźmie opartego wychowania. Że zaś utrzymanie i rozbudowanie prywatnego szkolnictwa katolickiego powinno być przedewszystkiem prawdziwą troską naszego katolickiego społeczeństwa, to staraliśmy się właśnie udowodnić.

I dlatego nie wątpimy, iż znajdą się odpowiednie argumenty, by od rządu uzyskać życzliwą finansową pomoc dla zagrożonych w swym bycie a dla całokształtu katolickiego życia tak niezbędnych prywatnych szkół katolickich. Pomoc ta jest, przynajmniej w obecnych warunkach bezwzględnie konieczną. Koszta bowiem utrzymania prywatnych szkół, choćby ze względu na nowy ustrój szkolny, podniosły się znacznie a finansowy stan społeczeństwa, od którego byt prywatnej szkoły w tej chwili wyłącznie zależy, jest naprawdę ciężki, co gorsza nie ma widoków na rychłą pomyślną poprawę.

Czy w tych warunkach nie jest rzeczą sprawiedliwą, by część budżetu szkolnictwa obrócono na wsparcie dla szkół prywatnych? Szkoły te w Polsce nie są bynajmniej jakimś lu-

ksusem, ale zastępują częściowo szkolnictwo państwowe, a jeśli chodzi o katolickie szkoły prywatne, są równocześnie prawdziwie państwowo-twórczym elementem w zakresie wykształcenia oraz wychowania.

Ks. E. Kosibowicz T. J.

„Przyroda, Zdrowie i Opieka społeczna" na wystawie w Poznaniu.

XIV Kongres Lekarzy i Przyrodników Polskich oraz IV Kongres Lekarzy Słowiańskich w Poznaniu. — Wystawa „Przyroda, Zdrowie i Opieka Społeczna". — Opieka nad macierzyństwem, dzieckiem i młodzieżą. — Stan zdrowotny w Polsce.

Poznań umie urządzać wystawy. Posiada już rutynę wieloletnią w tym względzie, posiada wspaniały plac i okazałe budynki, ma ludzi wprawionych do tej pracy. Od czasu zaś, gdy zdał tak świetnie egzamin przez zorganizowanie w r. 1929 Powszechnej Wystawy Krajowej, można mu powierzyć spokojnie każdą tego rodzaju imprezę. Nic więc dziwnego, że i ostatnia wrześniowa wystawa przyrodniczo-lekarska wypadła pod względem technicznym i estetycznym doskonale, budząc zasłużony podziw u zwiedzających.

Okazję do urządzenia wystawy dały, odbywające się w dniach od 12—15 września b. r., dwa wielkie zjazdy naukowe. Jeden z nich to XIV Kongres Lekarzy i Przyrodników Polskich — instytucja mająca za sobą już kilkadziesiąt lat istnienia, gdyż pierwszy kongres odbył się w Krakowie w r. 1868 — który zgromadził delegatów Akademji Umiejętności, wszystkich uczelni wyższych, towarzystw naukowych i t. d. Łącznie z nim odbył się IV Kongres Lekarzy Słowiańskich — poprzedni miał miejsce w Splicie w r. 1930 — na którym zjawiło się paręset gości zagranicznych: ponad 200 z Czechosłowacji, kilkudziesięciu z Jugosławji, mniejsze grupy z Bułgarji i z Rosji; wygłosili oni około 140 referatów. Ogólny plon naukowy, który znalazł swój wyraz w okrągło $1^1/_2$ tysiąca referatów, wygłoszonych w trzydziestu kilku sekcjach, był rzeczywiście wielki; stwierdzało się to z zadowoleniem w rozmowach z uczestnikami Kongresu. Jedynym przykrym wypadkiem w jego przebiegu był niespodziewany zgon prof. dra Adama Karwowskiego, prezesa Komitetu Organizacyjnego Zjazdu.

Jeżeli oba powyższe Zjazdy stanowiły przegląd dorobku naukowego ostatnich lat, oraz przyczyniły się do zacieśnienia naukowych i pod pewnym względem także politycznych węzłów pomiędzy krajami słowiańskiemi — to wystawa „Przyroda, Zdrowie i Opieka Społeczna" dała konkretny obraz postępów, jakie uczyniliśmy na tych polach i rosnącej samowystarczalności naszego krajowego przemysłu. Na tem polegało jej zna-

czenie naukowe, moralne i propagandowe, tem tłumaczy się czynny udział i poparcie, jakiego udzieliły czynniki rządowe i samorządowe. Otwarcia wystawy dokonał dnia 12 września o godz. 12^{45} sam p. Prezydent Mościcki, który parę godzin przedtem wziął udział w uroczystej inauguracji Kongresu.

Rozmiary wystawy były ogromne; zajęła kilkanaście pawilonów i trzeba było niemało czasu i trudu, by zwiedzić ją przynajmniej pobieżnie. Bogatą jej zawartość możnaby podzielić na cztery główne działy: naukowy, opieki społecznej, higjeny i sportu, przemysłowy. W tym ostatnim wzięły także udział firmy zagraniczne, w pawilonie zaś zdrowia i opieki społecznej reprezentowane były Bułgarja i zwłaszcza Czechosłowacja.

Na czoło wysunął się naturalnie dział naukowy, który skupił wielką liczbę pouczających wykresów, fotografij, preparatów, modeli i literatury z zakresu medycyny, higjeny, przyrody, geografji, metodyki nauczania przyrody w szkołach i t. d. Pod względem ilości eksponatów i wszechstronności ujęcia panowała dość duża niejednolitość, nieunikniona zresztą w takich razach, całość jednak przedstawiała się bardzo dodatnio i budziła wielkie zainteresowanie wśród zwiedzających gości i członków Kongresu. Tych ostatnich zajmowała również bogata wystawa przemysłowa. Wszelkiego rodzaju urządzenia i najnowsze przybory lekarskie, przemysł farmaceutyczny i kosmetyczny, oraz sporo innych gałęzi, łączących się z lecznictwem, wychowaniem fizycznem i higjeną życia codziennego roztoczyły się tu przed oczyma widza w ciągnących się bez końca, niezwykle czasem efektownych stoiskach.

Z pośród pozostałych działów zasługuje na wyróżnienie obszerny dział Ministerstwa Spraw Wojskowych, oraz higjeny i opieki społecznej w samorządach miejskich, zwłaszcza Warszawy i Poznania. Sporo miejsca poświęcono również działom wychowania fizycznego, harcerstwa, Czerwonego Krzyża, LOPP, ogródków działkowych.

Do szczególnie dla nas aktualnych należała wystawa Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, w dziale opieki społecznej i służby zdrowia. Niektóre z danych, mogące więcej interesować Czytelników i stanowiące poniekąd dalszy ciąg poruszanych przez nas już dawniej zagadnień, pozwolimy sobie przytoczyć poniżej.

O opiece społecznej nad macierzyństwem, dzieckiem i młodzieżą w Polsce, jej stanie i odnośnem ustawodawstwie pisaliśmy już niejednokrotnie na łamach *Przeglądu Powsz.*, a zwłaszcza o opiece zakładowej nad sierotami wojennemi. Dziś liczba tych sierot zmalała znacznie, ponieważ przeważna część ukończyła już szkoły i opuściła zakłady. W następstwie tego, a także z powodu zmiany polityki opiekuńczej — mianowicie położenia większej wagi na opiekę otwartą w świetlicach, kolonjach, półkolonjach, dożywianiu — liczba zakładów

opiekuńczo-wychowawczych i ich wychowanków spadła znacznie, jak to pokazuje załączona poniżej tablica:

r. 1925	zakładów	1175	wychowanków	83.712
„ 1928	„	968	„	51.546
„ 1932	„	849	„	42.442

Jeśli chodzi o instytucje, które prowadziły te zakłady w r. 1932, te należały do nich:

związki komunalne *)	zakładów	150	wychowanków	10.092
organizacje społeczne	„	481	„	20.145
zgromadz. zakonne i związki wyznan.	„	176	„	8.870
fundacje	„	68	„	4.588

*) Należą tu: wojewódzkie związki opieki społ. — 30 zakładów, państwowe związki komunalne — 59 zakł., gminy — 61 zakładów.

Poza wymienionemi zakładami opiekuńczo-wychowawczemi korzystało jeszcze w roku 1932 (zestawienie z dnia 31 marca) z opieki zamkniętej:

żłobków	47	dzieci	3.033
schronisk i burs	784	wychowanków	37.503
zakładów specjal.*)	56	„	3.641

*) W tem zakładów dla: głuchoniemych i ociemniałych — 11, anemicznych — 9, trudnych do prowadzenia — 27, upośledzonych umysłowo — 7, pogotowie opiekuńcze — 2.

Jak już wiemy, Ministerstwo Pracy i Opieki Społ. żąda, żeby wszystkie instytucje opiekuńczo-wychowawcze miały fachowo wykształcony personel, osobom zaś niekwalifikowanym, które jednak pracowały już nad młodzieżą przed wydaniem powyższego rozporządzenia (z dnia 10 października 1927 r.), pozwoliło pozostać na swych stanowiskach pod warunkiem przejścia odpowiednich kursów dokształcających. Że z możności tej korzystano, świadczy fakt, że do roku 1932 wł. ukończyło takie kursy 856 wychowawców (-czyń).

Kolonje letnie (por. wrześniowy zeszyt *Przeglądu Powsz.* z b. r., str. 360) objęły w r. 1932 — 137.948 dzieci i młodzieży, w przeciwstawieniuu do 133.541 w r. 1931. Jak przedstawiały się w obu tych latach poszczególne rodzaje kolonij, pokazuje zamieszczona niżej tablica porównawcza:

rok	kolonje		półkolonje	kolonje ogółem
	wypoczynk.	lecznicze		
1931	814	96	165	1.075
1932	927	80	234	1.247

Skoro mówimy o kolonjach, wypada podnieść działalność Związku Obrony Kresów Zachodnich, który urządza kolonje letnie

dla dzieci polskich z Niemiec, Gdańska i ziem zachodnich (Śląsk). Akcja ta objęła w r. 1932 — 6.300 dzieci, w r. 1933 — 8.522, ogółem dotychczas w latach 1923—1933 — 77.548 dzieci.

W dziale opieki nad matką i niemowlęciem zaznacza się w ostatnich latach pewien spadek instytucyj opiekuńczych przy zakładach pracy (większych fabrykach), a to w związku z zamykaniem tychże z powodu kryzysu; w r. 1933 mamy tu 34 żłobków i 56 stacyj lotnych. Rozwijają się natomiast coraz lepiej Poradnie i Stacje opieki nad matką i dzieckiem; w r. 1920 było ich 39, w r. 1925 — 105, w r. 1930 — 287, w r. 1932 — 396.

Ciężar utrzymania wszystkich instytucyj opiekuńczych spoczywa głównie na samorządach. Ministerstwo Pracy i Opieki Społ. przyczynia się tu w miarę możności; w r. 1931/32 wyłożyło na cele opieki nad dzieckiem i młodzieżą 6,281.658 zł.

Sprawy zdrowia i higjeny społecznej, które w pierwszych latach po wojnie należały do Ministerstwa Zdrowia Publicznego, a od r. 1924 do Min. Spraw Wewnętrznych, zostały w roku ubiegłym przydzielone do Min. Pracy i Opieki Społ. (Rozp. Prezydenta Rzpltej z dn. 21 czerwca 1932 r.). Ogólny budżet państwowej Służby Zdrowia w r. 1932/33 wynosił przeszło 17 miljonów zł., czyli na jednego mieszkańca przypadało nieco więcej ponad $^1/_2$ złotego. Główny ciężar wydatków ponoszą samorządy; preliminarz ich wydatków na cele zdrowotne w r. 1932/33 wynosił ogółem 52,505.672 zł., z czego 60·48 % przypadła na miasta wydzielone; na jednego mieszkańca miast przypadało 4·19 zł., a w okręgach wiejskich 0·69 zł.

Z pośród wykresów i statystyk tej grupy wystawy, poza dobremi zestawieniami, ilustrującemi ruch ludnościowy w Polsce, cenne były dane co do stanu poszczególnych chorób zakaźnych w kraju. Pokazuje się z nich, że ospa wygasła już u nas, że dur (tyfus) powrotny prawie zanika, a czerwonki i zimnicy jest niewiele wypadków. Dzięki usilnej i planowej akcji maleje również liczba wypadków groźnej zakaźnej choroby oczu, jaglicy (zapalenie egipskie); w roku 1932 zanotowano jej 20.535 wypadków, o 4 przeszło tysiące mniej niż w r. 1930. Gorzej jest natomiast z dwiema innemi chorobami dziecięcemi. Stale pokutuje i wzrasta, podobnie zresztą jak gdzie indziej w Europie, błonica (dyfteryt), jakkolwiek ze zmiejszoną śmiertelnością; zmienny i naogół wysoki stan wykazuje też płonica (szkarlatyna).

Przykrą jest rzeczą, że dotąd nie możemy pozbyć się duru (tyfusu) plamistego, dość częstego w pewnych województwach wschodnich, i że silnie panuje jeszcze dur brzuszny (w r. 1932 wypadków 20.398, z czego około 1.200 śmiertelnych), zwłaszcza w województwach centralnych. Zapalenie opon mózgowych *(meningitis epidemica)* zanotowano w r. 1932 wypadków 635, z czego 151 śmiertelnych, lecz niewiadomo, czy cyfry te są kompletne.

Do chorób, które najbardziej dają się odczuć i największe szerzą spustoszenie, należy gruźlica.[1]) Pod względem śmiertelności z powodu niej stoi Polska (obliczenia z r. 1928) na piątem miejscu po Finlandji, Łotwie, Estonji i Węgrzech. Z miast polskich najwyższą śmiertelność na gruźlicę wykazuje Lublin, gdzie na 1.000 mieszkańców zmarło na tę chorobę 25·9 osób, potem Łódź 23·9, Częstochowa 20·8, Kraków 19·1, Poznań 19·0, Warszawa 18·6, Lwów 16·2, Katowice 12·6 osób. Stan nasz nie jest jednak najgorszy, skoro w Paryżu odsetek ten wynosi 21·9, w Wiedniu 17·0 osób. Przeciw tej klęsce zaczynamy się jednak bronić energiczniej, a środkiem pomocniczym, stosunkowo tanim a skutecznym, stają się dziś Przychodnie przeciwgruźlicze, których w r. 1933 mamy ponad 350.

Duże postępy poczyniliśmy na polu szpitalnictwa. Ogółem posiadamy obecnie 726 zakładów leczniczych, w tem 47 państwowych, na 70.937 łóżek. Zakładów dla umysłowo chorych mamy 26 na 14.107 łóżek. Od r. 1918 powstało w Polsce około 500 nowych szpitali.

Podane powyżej szczegóły stanowią drobną tylko część materjału, mieszczącego się w tym dziale wystawy. Inne obszerne stoiska ilustrowały działalność Kas Chorych, Państwowego Zakładu Higjeny i Szkoły Higjeny, Ośrodków Zdrowia, opieki nad inwalidami wojennymi, Zakładów ubezpieczeń i uzdrowisk krajowych, których frekwencja stale rośnie (w r. 1931 osób 233.135).

Do właściwej rozbudowy wszystkich tych urządzeń, jakich wymaga zdrowie i opieka społeczna w kraju, brakuje nam jeszcze wiele. Lecz już to, czego dokonaliśmy mimo niesłychanie trudnych warunków, może nas napełniać dumą i dodaje otuchy, że zgodnym wysiłkiem władz i społeczeństwa osiągniemy i resztę. Powszechna Wystawa Krajowa w r. 1929 uprzytomniła tę prawdę nam i zagranicy, obecna wystawa przyrodniczo-lekarska była nową dla nas chlubą i bodźcem do wytrwania na rozpoczętej drodze.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Kronika gospodarcza.

Pożyczka Narodowa. — Zagadnienia handlu zagranicznego. — Bilans płatniczy i wypłacalność. — Umowa polsko-gdańska. — Eksperymenty amerykańskie.

Na czoło zagadnień gospodarczych Polski wysunęła się Pożyczka Narodowa. Została ona rozpisana przez rząd na kwotę

[1]) Jeśli chodzi o przyczyny zgonów w 11-u naszych największych miastach to z ogólnej liczby zgonów w r. 1931 głównemi przyczynami były: 1) gruźlica 16·5 %, 2) choroby serca 15·7 %, 3) nowotwory złośliwe 7·7 %, 4) choroby narządu trawienia 6·2 %.

120 miljonów złotych w obligacjach imiennych, po 50, 100, 500 i 1.000 złotych. Pożyczka jest 6% przy cenie emisyjnej 96 za 100, płatnej w 6 ratach, względnie przy bonifikacie 1/2 % miesięcznie za szybszą zapłatę.

Pożyczka Narodowa powiodła się nadspodziewanie dobrze. Pomimo trudnego położenia gospodarczego szerokich mas i spadku dochodowości i mimo małej kapitalizacji wewnętrznej subskrybowano pożyczkę na kwotę prawie trzykrotnie większą. Jest to olbrzymi sukces rządu i dowód wielkiego zaufania społeczeństwa do polityki gospodarczej państwa, do stałości waluty i do danej pożyczki.

Pożyczka Narodowa subskrybowana została przez wszystkie okręgi Rzeczypospolitej, przez wszystkie warstwy i zawody. Dzięki doskonałej organizacji aparatu pożyczkowego, znajdującego się pod kierownictwem min. Stefana Starzyńskiego, jako Komisarza generalnego pożyczki, wiadome są udziały poszczególnych jednostek w subskrybowaniu pożyczki.

Skutkiem bardzo pomyślnego subskrybowania pożyczki przyspieszono termin jej zakończenia już na dzień 5 października br. Do tego dnia wyniki subskrypcji obejmowały kwotę 311 miljonów złotych, nie licząc sum, które zostały subskrybowane w dwóch dniach następnych w urzędach skarbowach za należności od skarbu państwa. Dokładne cyfry będą wiadome dopiero później.

Po zamknięciu subskrypcji pożyczki wygłosił wielką mowę sprawozdawczą Komisarz generalny Starzyński, podnosząc powodzenie pożyczki. Dzięki przesubskrybowaniu pożyczki rząd otrzyma pokrycie deficytu budżetowego do końca bieżącego roku budżetowego czyli do kwietnia 1934 r. Gdyby nawet przyszłoroczny budżet nie uległ poprawie pod wpływem spodziewanego polepszenia sytuacji ekonomicznej na świecie, to sumy pożyczkowe pozwolą nam na przetrwanie i dalszych miesięcy.

Najwyższy udział w pożyczce wzięli ludzie o stałych dochodach, to jest głównie urzędnicy i robotnicy. Miało to związek z techniką prac przygotowawczych przy subskrybowaniu, ale z drugiej strony jest dowodem wielkiego patrjotyzmu i gotowości tych warstw, majątkowo najgorzej sytuowanych. Według stwierdzenia min. Starzyńskiego „świat pracy dał 120 miljonów złotych" czyli całą zamierzoną kwotę pożyczki, a około 40% ogółu podpisanych kwot. Z cyfry tej pracownicy państwowi dali 76 miljonów, a resztę pracownicy prywatni łącznie z samorządowymi.

Z życia gospodarczego pierwszy wyruszył przemysł, który dał ponad 40 miljonów złotych. Kwota udziału handlu nie jest jeszcze wiadoma. Podobnie brak dokładnych danych co do rzemiosła i rolnictwa.

W ostatnim dniu października cały świat obchodzi międzynarodowe święto oszczędności. Polska w miesiącu tym najlepiej czynem dowodzi, że umie oszczędzać, chce i oszczędza.

Wzmocnienie gospodarstwa społecznego własnemi siłami, uniezależnienie go od zagranicy jest tem niezbędniejsze, że cały świat znajduje się obecnie w gwałtownym okresie rozbijania się na szereg samowystarczalnych państw, lub co najwyżej małych bloków państw. Międzynarodowa wymiana towarów, kapitałów i ludzi kurczy się z dnia na dzień. Szczególnie silnie odczuwa się te zmiany na terenie handlu towarowego.

W Polsce zagadnienia handlu zagranicznego są obecnie tem aktualniejsze, iż dnia 11 października br. weszła w życie nowa taryfa celna. Jest to pierwsza polska taryfa celna, opracowana samodzielnie i dostosowana do polskich warunków. Poprzednio posługiwaliśmy się taryfą celną b. zaboru rosyjskiego oczywiście z pewnemi, licznemi zresztą, zmianami. Prace nad nią trwały przez 6 lat. Już to świadczy o sumienności jej przygotowania.

Wprowadzenie w życie nowej taryfy celnej przychodzi w okresie szczególnie ciężkim. Kryzys spowodował nienaturalność i zmienność stosunków. Położenie na rynku światowym ulega ciągłym zmianom. Każdy prawie dzień przynosi jakieś ograniczenia handlu międzynarodowego w postaci podwyżek celnych, utrudnień dewizowych, kontyngentów, umów kompensacyjnych, zakazów przywozu i t. p. Minęły zdaje się bezpowrotnie okresy, kiedy stawki celne trwały latami bez zmiany, umożliwiając tak przemysłowcowi jak kupcowi odpowiednią kalkulację towaru.

Pewne nadzieje pokładano w rozejmie celnym, jaki miał nastąpić po międzynarodowej konferencji gospodarczej w Londynie! Niestety! Rozejm problematyczny i krótkoterminowy został już przez szereg państw wypowiedziany.

Zmiana taryfy celnej powoduje konieczność zawarcia nowych umów handlowych ze wszystkiemi państwami. Prace te są w toku i prowadzone są bardzo intensywnie. Jednak jest to zadanie niezwykle w dzisiejszych warunkach trudne. Skutkiem tego wynik i los rokowań handlowych z poszczególnemi państwami jest narazie niewiadomy.

Tak np. Polska wymówiła traktat handlowy z Czechosłowacją, który wygasł 10 października br. Zawarto traktat z Belgją i z Austrją. W trakcie rozmów — z pewnemi nawet przerwami — jest Polska z Włochami, Czechosłowacją, Francją, Szwajcarją i Szwecją. Wkrótce ma nastąpić rozmowa z Wielką Brytanją. Jak widzimy przeto, repertuar niezmiernie obfity.

Tymczasem życie nie czeka. Podkreślone powyżej zmiany ku rozbiciu rynku światowego na szereg drobnych rynków narodowych (państwowych) postępują bardzo szybko. Jeżeli handel światowy jeszcze z przed czterech lat (rok 1929) przyjmiemy za 100, to w połowie roku bieżącego wynosił on zaledwie 34 czyli $^1/_3$ część. Obecnie jest niewątpliwie jeszcze mniej.

Pod wpływem tego kurczy się i polski handel zagraniczny i to szybciej po stronie wywozu aniżeli przywozu. Oznacza to zmniejszenie się salda dodatniego. I tak w pierwszym półroczu uprzedniego roku saldo dodatnie wynosiło przeszło 100 miljonów złotych, a już w roku obecnym tylko ponad 50 miljonów złotych czyli zaledwie połowę.

Rząd polski nie daje jednak za wygraną i popiera eksport wszelkiemi, dostępnemi mu siłami, starając się zarazem o zmniejszenie przywozu. Szczególnie silnie interesuje się rząd eksportem przemysłu przeróbczego. W towarze bowiem gotowym mieści się więcej robocizny. Wywóz takiego towaru daje większy zarobek polskim robotnikom, jest jakgdyby wywozem polskiej siły roboczej, unieruchomionej skutkiem ograniczeń emigracyjnych w wielu państwach (Stany Zj. A. P., Niemcy i i.).

Rząd dąży również do poparcia eksportu przeróbczego przez staranie się, aby przemysł ten otrzymywał potrzebne mu na eksport surowce, półfabrykaty, opakowania i t. p. po cenach eksportowych a nie wewnętrzno-krajowych czyli znacznie wyższych, niekonkurencyjnych. Odpowiednie umowy przemysłów surowcowych z przetwórczemi zostały zawarte w niektórych gałęziach wytwarzania.

Dalszym krokiem rządu w kierunku popierania wywozu towarów jest przemianowanie dotychczasowego Państwowego Instytutu Eksportowego na Instytut Handlu Zagranicznego. Instytut ten będzie uposażony większemi funduszami, będzie miał szerszy zakres działania, a przedewszystkiem... koszty jego utrzymania pokryją instytucje samorządu gospodarczego a nie rząd, który zatrzymuje oczywiście nadal kontrolę nad nim. Instytut będzie bowiem istniał przy Związku Izb przemysłowo-handlowych w Warszawie.

Bardzo znamiennym krokiem było zawieszenie przez rząd kartelu cementowego. Pociągnięcie to tłumaczył rząd m. i. zarzutem, iż kartel ten zbyt mało eksportował, związany umową kartelową międzypaństwową.

Godnym gospodarczo do zanotowania faktem na tem tle jest uruchomienie polskiej linji okrętowej, która utrzymywać będzie stałą dwutygodniową komunikację pomiędzy Konstancą—Jaffą—Haifą—Pireusem—Konstantynopolem a Konstancą. Na trasie tej pływać będzie okręt „Polonja" o pojemności 15.000 ton, należący do Polskiego Transatlantyckiego Towarzystwa Okrętowego. Dzięki uruchomieniu stałej tej komunikacji przemysł polski uzyskuje dogodny sposób eksportu towarów na bliski wschód, a zwłaszcza do Palestyny. Linja ta ważna będzie również dla ruchu osobowego, który jest dość znaczny (m. i. znowu ożywiająca się emigracja żydowska do Palestyny).

Wzmożenie eksportu łącznie z dalszym rozwojem polskiej floty handlowej przyczynić się winno do uaktywnienia naszego

bilansu płatniczego. Wiadomo bowiem powszechnie, że ważniejszym jest bilans płatniczy i jego saldo dodatnie, aniżeli bilans handlowy, stanowiący jedynie część bilansu płatniczego.

Bilans płatniczy Polski z natury rzeczy przedstawia się dla Polski mniej pomyślnie aniżeli handlowy. Ruchu obcych — np. turystów zagranicznych — niemal nie posiadamy. Flota nasza jest jeszcze nikła. Kapitałów nietylko nie wysyłamy zagranicę, lecz przeciwnie musimy je stamtąd sprowadzać i opłacać za nie odsetki, oraz... zwracać je. Emigracja z Polski jest nikła, a i wychodźcy polscy z zagranicy niewiele dziś posyłają pieniędzy do kraju.

Tak zatem jedynym czynnym składnikiem polskiego bilansu płatniczego może być bilans handlowy. Dlatego to za wszelką cenę musimy eksportować, abyśmy mieli pieniądze na wywiązywanie się z naszych płatności.

Rząd czyni usilne wysiłki celem uaktywnienia naszego bilansu komunikacyjnego, głównie przez skierowanie eksportu z Polski oraz importu do Polski na drogę morską pod polską banderą. Skutkiem tego pieniądze płacone za przewóz pozostają w polskich rękach, czynią nasz bilans płatniczy mniej bierny.

W tym celu w marcu 1932 r. wprowadzono preferencyjne cła morskie na surowce włókiennicze i na towary kolonjalne. Odnośne artykuły sprowadzane drogą morską (Gdynia, ewentualnie Gdańsk) płacą mniejsze stawki celne. Dzięki temu zarządzeniu nastąpiło silne przesunięcie przywozu oraz wywozu z granicy lądowej na granicę morską. Jeżeli porównamy dwa okresy od stycznia do maja roku ubiegłego i roku bieżącego, to w okresie zeszłorocznym przez granicę morską przewieziono towarów eksportowanych 47%, a obecnie już 55%. Podobnie jest przy imporcie do Polski. W 1932 r. wynosił on przez granicę morską 31%, podczas gdy w b. r. już 48%. Wyniki przeto są pomyślne.

Niemniej jednak położenie naszego bilansu płatniczego jest poważne. Bilans handlowy — jak już wiemy — kurczy się i niewątpliwie mimo wszelkich wysiłków musi nadal rozwijać się po tej linji, gdyż takie jest obecnie nastawienie wszystkich państw na świecie. Emigracja jest zamknięta. Imigracji ludzi bogatych nie mamy. Ten silny przypływ obcych lub pół-obcych, który ostatnio miał miejsce w Polsce, gospodarczo i płatniczo nam bynajmniej nie pomoże.

Długi zaś zagraniczne płacić trzeba i płacić chcemy. Ale czem? Pieniędzy zagranicznych mamy coraz to mniej. Wykazuje to niemal każdy dekadowy bilans Banku Polskiego. Nadal płacić będziemy mogli oczywiście tylko wówczas, gdy będziemy mieć konieczne na to pieniądze. Tu nasuwają się poważne zastrzeżenia ogromne trudności, jakie stoją przed rządem polskim.

Polska na każdem polu jest obecnie czynnikiem pokoju. Także i w dziedzinie gospodarczej dajemy przykłady, iż pragniemy

żyć ze wszystkimi w zgodzie. Nawet z najsłabszymi. Dlatego też Polska zawarła w połowie września umowę z Gdańskiem w sprawie przywozu i wywozu przez port gdański, i w sprawie obniżki kosztów przeładunku w Gdańsku.

W umowie tej określone są ilości i rodzaje towarów, jakie mają być przeładowane przez port gdański od 1 października 1933 r. do dnia 30 września 1934 r. W załączniku wymienione są towary do wywozu i przewozu przez Gdańsk. Polska zobowiązała się wywieźć przez Gdańsk zboże i przetwory, spirytus, drzewo i wyroby drzewne, skóry, sól, melasę, naftę i wytwory uboczne, węgiel, cynk, papier, konfekcję i i. Natomiast przywozić mamy pewne ilości towarów kolonjalnych, skóry, nasiona, tłuszcze, kauczuk, wyroby gumowe, rudy i metale, owoce ryż, i i.

Zarazem rząd polski oraz senat gdański zobowiązały się „każdy w granicach swej kompetencji i możliwości finansowych powziąć odpowiednie środki celem dostosowania kosztów przeładunku w porcie gdańskim do poziomu, odpowiadającego potrzebom gospodarczym zaplecza i czyniącego ten port zdolnym do zwalczania konkurencji innych portów".

Na terenie zagranicznym najważniejszym i wzbudzającym największe zaciekawienie jest obecnie eksperyment amerykański. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej skutkiem niespodziewanej a nadspodziewanej konjunktury, spowodowanej Wielką Wojną, rozbudowały się na wyrost pod każdym względem. Nadmiernie powiększyło produkcję górnictwo i rolnictwo, przemysł i komunikacje i t. d. Z ustaniem działań wojennych musiano z konieczności powrócić do dawnego skromniejszego stanu. Ze względów politycznych, zwłaszcza wobec specyficznej struktury polityczno-wyborczej Stanów, nie chciano tego uczynić. Sztucznie podtrzymywano konjunkturę, powiększano ją, jakgdyby wiecznie trwać miała i musiała.

Musiał przyjść moment krytyczny i załamanie. Nie chciano dawniej przedsięwziąć jedynie skutecznej broni w postaci deflacji, musiano obecnie zaryzykować inflację i dewaluację dolara.

Pozornie stworzyło to poprawę. Jak już obecnie donoszą z Ameryki, poprawa ta jest jedynie chwilowa i to wybitnie spekulacyjna. Gra się obecnie na poprawę. Ci sami jednak gracze bez wahania z tą samą zaciętością pójdą na grę zniżkową.

W związku z obniżeniem kursu pieniądza celem ożywienia życia gospodarczero wydał rząd Stanów ustawę przemysłową, słynną Ira (*Industrial Recovery Act*), regulującą wytwórczość oraz przewidującą roboty publiczne. Celem ustawy jest zatrudnienie możliwie wielu bezrobotnych, możliwie na stałe, możliwie po najwyższych płacach.

Oto ważniejsze postanowienia tej ustawy: rząd dążyć będzie do usunięcia przeszkód w handlu tak wewnętrznym, jak zagra-

nicznym. Popieraną będzie taka organizacja przemysłu, która przyniesie współpracę poszczególnych gałęzi przemysłu. Zwiększane będzie spożycie towarów przez podniesienie siły nabywczej oraz stopy życiowej społeczeństwa.

W tym celu ustawa daje niezwykle szerokie pełnomocnictwa prezydentowi, a przez niego administracji rządowej. Prawa te idą tak dalece, że przedsiębiorcy tracą możność swobodnego władania i zarządzania swoją własnością. Oczywiście zasadniczo warsztaty pozostają nadal ich prywatną własnością.

Postanowienia ustawy wywołały gwałtowny sprzeciw ze strony życia gospodarczego. W wielu wypadkach sprzeciw wnoszą i robotnicy, a mianowicie ci, którzy na „wyrównaniu" warunków pracy i płacy tracą na rzecz gorzej dotychczas sytuowanych.

Walka wre na całej linji. Perturbacje ekonomiczne są silne. Dołączają się do nich zaburzenia społeczne. W Stanach Zjednoczonych kotłuje się. Co się w tym olbrzymim kotle ugotuje, tego narazie nikt nie wie. Zanosi się w każdym razie na dalszy krok ku gospodarce planowej, ku ingerencji państwa w życie gospodarcze, ku ochronie warstw gospodarczo słabszych, „żywych ludzi" przed bezimiennemi potęgami.

Tout comme chez nous...

Dr. M. J. Ziomek.

Z następnym zeszytem zamykamy dwóchsetny tom i pięćdziesiąty rok istnienia naszego pisma. Ze względu na ciężkie czasy obchodzimy ten jubileusz pocichu, domową tylko uroczystością, którą obchodzić będziemy 8 grudnia. Będziemy jednak myślą i sercem łączyć się ze wszystkimi przyjaciółmi, którzy raczyli przez ten długi okres czasu bądź współpracować z nami, bądź do abonentów naszego pisma się liczyć. Ufamy, że i Oni zechcą nas polecić Bogu, byśmy dalej mogli wiernie stać na tej placówce Jego służby.

REDAKCJA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 28 października 1933.

U progu nowego półwiecza.

Kiedy lat temu pięćdziesiąt, w pierwszym zeszycie *Przeglądu Powszechnego*, Ojciec Marjan Morawski wytyczał nowemu pismu cel i zadania, po krótkiej charakterystyce ówczesnej chwili, wymienił szereg czy to ogólno-światowych, czy właściwych naszemu życiu, problemów, do których rozwiązania nasz *Przegląd* w swojej skromnej mierze miał dopomagać.

Przy szybkiem tempie dzisiejszego życia, półwiecze jest to widocznie epoka bardzo długa, skoro wystarczyła na zupełną niemal zmianę nakreślonego wówczas obrazu. Nietylko bowiem w zewnętrznych dziejach państw i narodów, poczynając od naszego, dokonały się od tego czasu prawdziwe przewroty, ale podobne a może donioślejsze jeszcze przemiany bądź to już spełniły się, bądź zarysowują się coraz wyraźniej w świecie myśli. Niema chyba przesady w tym poglądzie, jaki wyraziło niedawno kilku wybitnych a niezależnych od siebie pisarzy, że jesteśmy w tej chwili na przełomie całych dwóch wielkich epok historji, które bardziej będą różnić się od siebie niż od średniowiecza różniły się t. zw. nowożytne czasy.

Nic więc dziwnego, że zagadnienia, które przed pięćdziesięciu laty zajmowały lub niepokoiły myślących ludzi, przedstawiają się dzisiaj zgoła inaczej. Są takie, które rozwiały się nieznacznie i z tych lub owych powodów prawie zupełnie zanikły; inne obiegły już swój cykl rozwoju i przeszedłszy punkt największego natężenia, dochodzą wyraźnie do bliskiego już schyłku; inne jeszcze doznały niespodziewanych przesunięć, jakby jakieś nowe siły wpłynęły nagle

na zmianę kierunku ich drogi. Przeważnie jednak i dawne i nowe problemy, a problemy tak ważne, że dotykają najgłębszych podstaw życia ludzkości zmieniły się w tem, że niepomiernie nasiliły się i wzrosły. Wobec tego, co otwiera się dzisiaj przed światem i przed każdym umysłem, który umie patrzeć i rozważać, dawne wielkie zagadnienia wydają się czemś tak nieznacznem, jak drobne fale na morzu, wzniecone w pogodny dzień powiewem wieczornym, wobec bałwanów rozpętanych gwałtowną burzą.

Nie będziemy się silić na całkowity obraz obecnego położenia, ale mając na nowy okres pracy dostosować do nowej sytuacji dawne naszego pisma zadania, spróbujemy naszkicować najważniejsze, jak nam się zdaje, dzisiejszej doby problemy, najpierw ogólnie, potem w odniesieniu do specjalnych potrzeb naszej Ojczyzny.

Otóż przedewszystkiem dokonywa się dziś w świecie proces, którego jeszcze przed kilkudziesięciu laty nie odważyłby się był nikt oczekiwać. Likwiduje się, i to w najbardziej zasadniczych punktach to, co od półtora wieku przyzwyczajono się uważać za najgłębszy kamień węgielny gmachu nowej kultury, za źrenicę oka nowoczesnego światopoglądu i za niezatracalną zdobycz, jeżeli nie za synonim, prawdziwego postępu — likwidują się „nieśmiertelne zasady“ wielkiej rewolucji. A likwidują się, rzecz charakterystyczna, nie drogą teoretycznych roztrząsań i spekulatywnych sporów. Przed wszelką „szarą teorją“ wtargnął w życie przemożny fakt i otwarł nagle oczy na prawdy, koło których stare a uporczywe przesądy nagromadziły były od wieku grubą mgłę.

I tak, nagle w naszych oczach zmartwychwstała władza, nie ta, co miała rzekomo iść zdołu, jako emanacja wszechwładnej woli ludu, nie ta, co trzymała się na powierzchni karkołomną sztuką ekwilibrystyki parlamentarnej, ale władza, która prawdziwie rządzi, o kierunek swych rządów nie pytając się w ostatniej instancji nikogo innego, prócz własnego rozumu i sumienia. I władza ta schodzi zgóry — jeszcze wprawdzie nie, albo przynajmniej nie świadomie „z Bożej łaski“ — ale zgóry w tym sensie, że źródłem jej jest genjusz, charakter, urok osobisty jakiejś

jednostki, która potęgą czy to hasła, czy wywołanego przez siebie nastroju, umie pociągnąć za sobą tłumy i wydźwignąć się ponad nie. Władza ta przybiera w różnych krajach różne formy, zależnie od warunków, w jakich powstała i od typu ludzi, w jakich się wcieliła, ale można ogólnie powiedzieć że już jest w świecie, a gdzie jej jeszcze niema, tam wnet stanie społeczeństwo przed dylematem: albo wyda ze siebie tę władzę, albo upadnie. Tragiczny okrzyk Jerzego Clémenceau w chwili wybuchu wielkiej wojny: *Nous ne sommes ni gouvernés ni défendus* — to krótka mowa pogrzebowa na wszystkie wyuzdania i niezdrowe przerosty parlamentaryzmu liberalnych czasów. Społeczeństwom potrzeba, żeby były rządzone, a rządzić może tylko moc, idąca zgóry.

I dlatego pryska dzisiaj i druga iluzja, którą przez półtora wieku oszałamiała się ludzkość, jak młodem winem, wywołującem halucynacje i najróżniejsze organiczne zaburzenia. Ludzie tylko w pewnych kierunkach są równi sobie, ale nie są i nie mogą być równi we wszystkich kierunkach, a już najmniej, gdzie chodzi o zdolność do rządzenia sobą i drugimi. Jedni są i po wszystkie czasy będą wyżsi talentem, siłą moralną, wykształceniem, przysposobieniem i mnóstwem innych rzeczy — ci powołani są do tego, żeby rządzić, inni znowu z tych i wielu innych względów są niżsi, mniej wyrobieni, mniej zdatni, mniej przygotowani, mniej faworyzowani przez okoliczności — i dlatego ci muszą by rządzeni.

A zasady tej niezdolny jest obalić niezaprzeczony fakt, że u tych, co powołani są do rządzenia może pojawić się niekiedy i ciasnota umysłu i przewrotność i szereg innych niedostatków, od ułomności ludzkiej nieodłącznych. Nieraz zdarza się i zdarzać się musi, że właściwy organ, do pewnych funkcyj przeznaczony uszkodzi się lub popsuje i wtedy musi go narazie inny organ jakkolwiek wyręczać. Otóż w zbiorowem, społecznem ciele do rządzenia powołanym organem może być tylko głowa, t. j. inteligencja, siła, dzielność i inne przymioty, które nigdy nie mogą być w równej mierze udziałem wszystkich. Zresztą w gruncie rzeczy nigdy inaczej nie było, tylko *mundus vult decipi* i dlatego mógł nadymać się iluzją władzy biedny pan na jednym

głosie przy cztero — czy pięcioprzymiotnikowych wyborach. Co w gruncie było zawsze, bo tego żąda zdrowy rozsądek i natura ludzka, to dziś zrzuca już niepotrzebną i nielojalną maskę, by stać się jawną a rozumną zasadą.

A czy ta zasada, jak wszyscy do niedawna bylibyśmy skłonni sądzić, natrafia w społeczeństwie na jakiś gwałtowny sprzeciw, na niezwalczony opór? Aż zdumiewać się przychodzi, jak dalece stało się inaczej. Sprzeciwiają się oczywiście tej zasadzie czy to starzy doktrynerzy liberalizmu, czy niepoprawni zwolennicy partyjnego *liberum veto*, czy ludzie mający z władzą osobiste rozrachunki, ale ci są w mniejszości i to w mniejszości, która z dnia na dzień topnieje. Ogromna większość, i to ta, do której przyszłość należy, chce być rządzoną, i dlatego tej władzy szuka, do niej się garnie, jej zasadę z entuzjazmem wyznaje.

A jest to — przynajmniej wedle dawnych pojęć — tem dziwniejsze, że owa zmartwychwstająca władza musi z konieczności dość silnie ograniczać trzecie bożyszcze porewolucyjnego wieku t. j. wolność, i to ograniczać w inny sposób i w dużo większych rozmiarach, niż na to pozwalałyby teorje, bezpośrednio czy pośrednio o Russa czy Kanta oparte. W społeczeństwach tak zgęszczonych, a żyjących przytem tak bujnem i różnorodnem życiem, jak społeczeństwa dzisiejsze, musi mieć władza coraz większe funkcje i prawa i zdobywa je sobie rzeczywiście. Ale ten objektywny i konieczny fakt znajduje swój odpowiednik w psychice tych ludzi, którym się narzuca. Jest to doprawdy charakterystyczna cecha idących czasów, że nieodzowność tego ograniczania wolności przez silną władzę, płynącą zgóry, coraz więcej umysłów jasno rozumie. To też praktyka tak szybko idzie za teorją, że nieomal ją wyprzedza. Do zastosowania ograniczeń swobody przychodzi już i w coraz szerszej mierze przychodzić będzie, przedewszystkiem na polu ekonomicznem, ale także w dziedzinie społecznego, związkowego życia i w sprawie oddziaływania na masy przez prasę lub wychowanie.

Tak więc dokonywa się w naszych oczach niezmiernej doniosłości przewrót: przełamują się już rozkładowe, atomizujące dążności liberalizmu i odbudowuje się w postaci

rzeczywistej władzy jakby stos pacierzowy społecznego ustroju.

Jeżeli jednak ten fakt, jako taki, powitać trzeba z największą radością, nie można sobie taić, że przed tą odradzającą się władzą powstają a nawet piętrzą się zagadnienia tak ogromne, że wymagają największego napięcia sił duchowych, a zagadnienia tak przytem doniosłe, że od nich zależy „być albo nie być" tworzącego się w świecie nowego ładu.

Przedewszystkiem musi ta władza postawić sobie i rozwiązać ważne pytania, dotyczące samej siebie. Bo sam fakt może wystarczyć tylko jako punkt wyjścia, ale zasady nie zastąpi; opatrznościowo zrządzony fakt może utorować drogę zrozumieniu pewnej prawdy i prawa, ale sam przez się za prawdę i prawo nie starczy.

Musi więc władza najpierw oprzeć się mocno o jakieś objektywne, a więc jedynie trwałe pierwiastki, bo w przeciwnym razie byłaby tylko jedną więcej formą tego subjektywizmu i wygórowanego indywidualizmu, jaki chce zwalczać. Musi jasno zdać sobie sprawę czem jest i do czego zasadniczo ma dążyć; musi się zorjentować, jakiemi środkami posługiwać się jej wolno; musi zrozumieć jak głęboko może i powinna wkraczać w życie swym kształtującym wpływem, a jakie naodwrót prawa i organy tego życia musi uszanować, jako wyższe i starsze od siebie; musi się nauczyć nietylko eliminować ze siebie elementy osobiste, któreby zredukowały ją do rzędu jednej jakiejś „partji", przypadkowo zwycięskiej, ale musi potrafić tak samą siebie ograniczyć i określić, żeby silna władza nie przerodziła się w zmorę tego etatyzmu, który wysysa z narodów całe życie i prowadzi je do nieuchronnej ruiny.

Ogromnych tych problemów, równie głębokich, jak skomplikowanych i delikatnych, nie chcemy tu szczegółowo rozbierać, ale musimy zaznaczyć, że ta praca około zbudowania, utrwalenia, określenia samej siebie jest dla władzy państwowej nieodzownym warunkiem powodzenia w tych innych, niezmiernie ważnych a trudnych zadaniach, jakie naglącо przed nią otwiera obecne w świecie położenie rzeczy.

Na pierwszy plan wysuwa się tutaj obowiązek naprawy tego rozstroju, który jest tragiczną spuścizną liberalizmu na polu gospodarczem a konsekwentnie i społecznem.

Nad tym przedmiotem nie potrzebujemy szeroko się rozwodzić, tylko chcemy, wbrew pewnym optymistom, na nowo stwierdzić, że dzisiejsze choroby ustroju ekonomicznego świata nie są powierzchownem, przejściowem zaburzeniem funkcjonalnem, ale głębokiem, owszem śmiertelnem niedomaganiem, które nieuleczone, musi doprowadzić bądź to do nieopisanej niedoli komunizmu, bądź do jakiegoś powolnego zamarcia wszelkiego dobrobytu i kultury. Rozkład dóbr materjalnych wśród ludzkości jest wysoce niesprawiedliwy. Produkcja i wymiana, regulowana, nie potrzebą i możnością ogółu, ale zachłannością jednostek czy trustów i karteli, jest jednym wielkim nieładem, który do większego jeszcze chaosu prowadzić musi. Praca jeszcze stanowczo za mało zabezpieczona i poszanowana, czego drobnym tylko wykładnikiem są miljonowe rzesze bezrobotnych. Zburzony jest właściwy stosunek między rzeczywistemi dobrami, a dobrem konwencjonalnem, o wartości czysto wymiennej, t. j. pieniądzem, za czem z konieczności idzie straszliwy rozstrój w całej gospodarce poszczególnych narodów i świata.

Tu więc musi władza państwowa kształcąco wkroczyć, aby to wielorakie zło naprawić i zgubne konsekwencje jego zażegnać. Tu musi tak pokierować nawą publicznego życia, żeby trafiła na wąski, niewidzialny dziś jeszcze, przesmyk między złowrogim kapitalizmem z jednej, a nieszczęsnym socjalizmem czy komunizmem, z drugiej strony. Tu musi tak ostrożnie postępować, żeby solidaryzm i nieodłączny od niego interwencjonizm państwowy nie skrępował zupełnie koniecznej do rozwoju życia, swobody i inicjatywy osobistej. Tu musi wreszcie skutecznie dopomóc do takiej przebudowy społecznego ustroju, żeby on z nieodpartemi postulatami gospodarczego życia był w trwałej harmonji.

Bo jakkolwiek życie społeczne samo przez się, jak ma swoje prawa, od ekonomicznych stosunków niezależne, tak domaga się dziś samo w sobie bardzo głębokiej reformy, przedewszystkiem musi się naprawić od tej strony, która styka się z kwestją chleba. Dopóki się nie nasyci

głodnych i nie przyodzieje nagich, nie da się wprowadzić w życie żaden, nawet najpiękniejszy plan społecznej budowy. *Prius vivere* wysuwa się tu na czoło zadań z nieopartą siłą. Bez konsekwentnej pracy w tym kierunku mogłaby rewolucja socjalna, wbrew wszystkim wysiłkom władzy, napowrót wtrącić ludzkość w nieopisany chaos.

Nie potrzeba dodawać, że w tych myślach, które krótko tu narzucamy kryje się cały las zagadnień, wymagających nietylko poważnych studjów i rozważań, ale głębokiego poczucia sprawiedliwości tak bezstronnej, żeby powodowała się względem li tylko na ogólne dobro, a tak przytem delikatnej i umiarkowanej, żeby w sposobie, rozmiarach, kolejności stosowania środków naprawy trzymała się, o ile tylko być może, ewolutywnej a nie gwałtownie przewrotowej metody.

Dalszy splot problemów, domagających się dzisiaj zasadniczego rozwiązania, to stosunki międzynarodowe.

Wystarczy chyba chwila poważnego zastanowienia, by zdać sobie sprawę, w jak niesłychanym stopniu niezdrowe są pod tym względem warunki, w jakich nie żyje, ale dusi się współczesna ludzkość. Jak głaz na zboczu góry, który może lada chwila potoczyć się w dół, szerząc w upadku nieobliczalne spustoszenia, tak wisi nad światem, gotowa co moment wybuchnąć, katastrofa wojny tak straszliwej, że daleko w tyle zostawiłaby za sobą wszystkie pojęcia i fantazyjne opisy. A do tego wybuchu gromadzi się ciągle materjał palny, nietylko w formie tych jawnych czy zamaskowanych zbrojeń, których każde ograniczenie natrafia na tak ogromne trudności, ale przedewszystkiem w formie tych egoizmów i ambicyj i zachłanności narodowych, które gdzieniegdzie podnosi się do godności systemu, a wszędzie niemal podsyca się uczuciowo aż do ostatnich granic emocjonalnego napięcia.

Chociażby nie brać w rachubę niesłychanych ciężarów ekonomicznych, jakiemi obciąża społeczeństwo czy prawdopodobna w przyszłości, czy aktualna, czy przeszła wojna; choćby odliczyć całą tę nieprawdopodobną sumę bólów i nieszczęść, jakie za sobą ciągnie, czy możliwy jest w tym stanie międzynarodowych stosunków prawdziwy kulturalny

rozwój ludzkości, a przedewszystkiem moralny jej postęp? A przecież cały szereg niepowołanych, a niestety i powołanych, rąk zdaje się nie widzieć przed sobą ważniejszego zadania, jak megalomanje narodowe jeszcze rozbudzać, antagonizmy coraz bardziej zaostrzać, przeciwieństwa wyjaskrawiać, niechętne uczucia aż do paroksyzmu rozjątrzać.

Niestety bowiem komplikuje całą sprawę ta okoliczność, że sama nawet ta rzeczywista „władza", której odrodzenie witaliśmy powyżej, jako wielki krok naprzód ku uzdrowieniu społeczeństwa, przeważnie przez to zdobywała sobie posłuch i zyskiwała uznanie, że wywieszała szowinistyczne hasła i nieraz w zupełnie chorobliwy sposób łechtała i podniecała uczucia narodowe.

Otóż tak przed rządami, jak przed całem społeczeństwem staje teraz zadanie niezmiernej wagi, żeby te stosunki międzynarodowe i związane z niemi kwestje mniejszościowe, łagodzić, uspokajać, urządzać, odprężać, do wyższej jedności doprowadzać. Musi się powoli torować drogę rozumieniu, że i w tej dziedzinie, jakkolwiek bardzo skomplikowanej i do najwyższego stopnia drażliwej, przecież nie wszystko jest pozostawione grze, a więc koniecznym konfliktom subjektywizmów narodowych i państwowych, ale są i dadzą się odnaleźć pewne objektywne zasady, które dlatego właśnie że objektywne, mogą stać się podstawą wzajemnego porozumienia. Dopóki zaś te zasady nie wyjaśnią się i nie wywalczą sobie dość powszechnego uznania, jedno tylko zostaje, co powinno być programem i państw i wszystkich zdolnych patrzenia w głąb, a nie na powierzchnię życia, to jest cierpliwość, wyczekiwanie, odwłoka, a zatem unikanie wszystkiego, co może przeciwnie rozdrażniać, rozgoryczać, podburzać, a przez to popychać do gwałtownych, przedwczesnych rozwiązań.

I może wreszcie jeszcze jedno ważne zadanie, bez którego darmo byłoby myśleć o osiągnięciu wyżej wspomnianych celów.

Jednym ze znaków, że mniej lub więcej świadomie, ale bardzo ogólnie, zdaje sobie myśl współczesna sprawę z przełomowego charakteru chwili, w jakiej żyjemy, jest ogromna uwaga, jaką zwraca się powszechnie na zagadnienia wy-

chowawcze i poszukiwanie jakiegoś nowego typu wychowania. W rzeczy samej bowiem ta epoka, jaka nadchodzi, potrzebuje ludzi pod wielu względami inaczej chowanych, niż się ich chowało dotychczas. Potrzebuje indywidualności mocnych, tak w duchownym, jak w fizycznym kierunku, ale indywidualizmów — dużo mniej wybujałych. Czy to chodzi o stosunek do władzy w własnem państwie i różnych tej władzy poczynań, czy chodzi o pracę nad naprawą niedomagań ekonomicznego i społecznego ustroju, czy wreszcie o należyte ustosunkowanie się do obcych narodów i narorodowości — potrzeba będzie ludzi o dużej dyscyplinie moralnej, ludzi zdolnych do takiej duchowej syntezy, żeby z zupełną uległością umieli łączyć wewnętrzną swobodę.

Jeden z tych licznych poetów niemieckich najświeższej doby, z pod których pióra wyszły prawdziwe perły chrześcijańskich myśli i uczuć, tak charakteryzuje ten typ ludzi, do którego przyszłość będzie należeć, a bez którego byłaby ta przyszłość bardzo ciemna:

Unsere Zeit braucht Menschen, ganz wahre,
Ganz wundervoll schlichte und klare,
Die, weil sie sich wissen von Gott gebunden,
Haben die heiligen Masse gefunden
Für Enge und Weite in allen Dingen.
Menschen, die im Verborgensein ringen,
Sind fest geworden und fest nun stehen,
Ganz königlich frei — in Zügeln doch gehen,
Sich selber meistern und dienen den andern
Als Zielgewisse durchs Dunkle wandern.

Tak jest; takich ludzi będzie potrzeba, ale żeby ich mieć, trzeba będzie ich wychować, nietylko przez samą szkołę od elementarnej do najwyższej, ale przez stowarzyszenia, przez pracę i literaturę, przez sztukę i przez wszystko to, co powoli ale skutecznie nadaje społeczeństwu pewne moralne oblicze.

Na tem polu są do spełnienia wielkie dzieła. Trzeba jasno zdać sobie sprawę, co w dawnym typie wychowania wymaga modyfikacji lub zmiany, ale tak, by prawdziwych i wiecznych walorów jego nie naruszyć; trzeba rozważyć w jaki sposób można i trzeba *vetera novis augere*, tak, żeby zbliżyć się do nowego ideału, a dawnego nie zniekształcić.

Pewne próby w tym kierunku zrobiono już może dość szczęśliwie; o inne posunięcia można mieć poważne obawy. Zawsze dobrze jest pamiętać o przestrodze poety: *Die Geister, die ich heraufbeschworen, die werde ich nicht los.*

I z tem dobiegliśmy już do końca najpobieżniejszego szkicu samych tych najważniejszych z a d a ń, jakie zdaje się nam nieść ze sobą chwila obecna, do tych kilku punktów bowiem da się sprowadzić wszystko, co dla otwierającej się epoki dziejów może mieć prawdziwą doniosłość. Nie wystarczy jednak wskazywać zadania. Im głębsze one są i szersze i ważniejsze, tem bardziej trzeba się oglądać za środkami, które mogą dopomóc do ich spełnienia.

Otóż w tej mierze jedna nasuwa się uwaga.

Kiedy się patrzy na olbrzymie doprawdy wysiłki, podejmowane dla uzdrowienia dzisiejszych niedomagań czy to w poszczególnych krajach, czy na terenie przeróżnych międzynarodowych bądź to zjazdów bądź stałych instytucyj, nie można oprzeć się wrażeniu, że te poczynania dlatego pozostają albo zupełnie bezskuteczne, albo nie dość owocne, że brakuje im jednego bardzo ważnego czynnika, którego nic zastąpić nie może.

Każde ludzkie przedsięwzięcie czy indywidualne czy zbiorowe, potrzebuje koniecznie pewnego p u n k t u o p a r c i a, i to odpowiednio silnego do wielkości dzieła, jakie wykonać zamierza.

Tego punktu oparcia brakuje jeszcze do tej chwili współczesnemu światu. On ciągle zakłada sobie cele i wskazuje motywy działania na własnym, l u d z k i m poziomie, a tymczasem takie jest błogosławione *fatum* spraw ludzkich, że one wtedy dopiero dadzą się należycie ułożyć lub uzdrowić, kiedy się je oprze o coś, co jest p o n a d n i e m i, o tę jedyną wielką rzeczywistość, która jest i początkiem i końcem wszechrzeczy, jedynem źródłem duchowego światła i moralnej siły.

Pomimo że daje się spostrzec zwłaszcza w pewnych kołach myślącej ludzkości niezaprzeczony zwrot do religji, pomimo że pod tym względem jest d u ż o l e p i e j, niż było temu lat pięćdziesiąt — jest jeszcze d u ż o m n i e j oparcia się o Boga, niżby go wymagało pomyślne rozwiązanie olbrzymich problemów dnia dzisiejszego.

Bo — żeby powrócić do myśli, których dotknęliśmy poprzednio — czy ta rzeczywista władza, która, Bogu dzięki, zaczyna napowrót wykluwać się w świecie, może umocnić się, rozwinąć i spełnić opatrznościową swoją rolę, jeśli widziana zdołu, nie będzie owiana religijną powagą, a zgóry, w umysłach i sercach samych rządzących, nie będzie funkcją Bożego ładu, organem Bożej mocy, wykonawczynią Bożego prawa? Bez tego oparcia nie może mieć władza trwałej podstawy, bo gdzież jest czyto poszczególna osoba, która wszystkich pociągnie, czyto hasło, które do wszystkich przemówi? A jeśli ich niema — zostaje siła, siła jednak z konieczności wywołuje reakcję i stąd może łatwo wejść w kolizję z inną siłą, a choćby z tej kolizji raz i drugi i dziesiąty wyszła zwycięsko, pod reżimem siły nie da się pomyśleć zdrowy, normalny rozwój narodu i państwa.

A czy dadzą się, nie już rozwiązać, ale napocząć te nieprzejrzane kwestje ekonomicznego i społecznego ustroju, jeśli nie przystąpi się do nich w imię sprawiedliwości wyższej ponad wszystkie interesy czy to klas czy zawodów, czy szkół socjologicznych, czy jakichkolwiek bądź szczegółowych czynników i względów? Czyż zaś dadzą się osiągnąć te zupełnie ogólne, bezstronne punkty widzenia i te siły do sprawiedliwego i pełnego miłości, czynu inaczej, jak pod wpływem Tego, który każe słońcu wschodzić i deszczowi padać na wszystkich zarówno?

W stosunkach międzynarodowych jest jeszcze widoczniejsza nieunikniona bezowocność zabiegów, nie opartych o prawa i zasady, wyższe nad wszelkie interesy czy ambicje narodowe i państwowe. Bo jakże mają dać się zharmonizować dążenia, z konieczności sprzeczne, a takie, że każde z nich uważa swoje zaspokojenie za *supremam legem*, której wszystkie inne względy muszą ustąpić? Pogodzenie antagonizmów, z których każdy wyklucza wyższe prawo i sądzi, że jego pretensje czy umiłowania są *über alles* — to olbrzymia kwadratura koła, na której przeprowadzenie przeleją się daremnie całe potoki krwi i łez.

Wychowanie wreszcie takich ludzi, jakich idąca epoka potrzebuje, nie da się osiągnąć bez pomocy Bożych sił i Bożych świateł. Rzucano ostatniemi czasy przeróżne hasła wy-

chowawcze, poniekąd bardzo szlachetne: honoru, miłości ojczyzny, kultu rasy, przodownictwa w świecie i t. p. Doświadczenie jednak już poczęści pokazało a wnet dobitniej jeszcze pokaże, że te hasła, nie zaczepione o wyższe, Boże ideały i nie poparte pomocą Bożej łaski, albo zawodzą w potrzebie, albo mogą popchnąć na drogi nie dobra moralnego, lecz zbrodni. Wracając do wyżej przytoczonego cytatu tylko tacy ludzie będą schorowanemu społeczeństwu prawdziwie pożyteczni

Die, weil sie sich wissen von Gott gebunden,
Haben die heiligen Masse gefunden
Für Enge und Weite in allen Dingen.

Wychowanie nietylko już takie, z którego Bóg byłby wygnany, ale nawet takie, w którem odgrywały uboczną tylko rolę, nie stworzy nigdy ludzi, zdolnych być dla społeczeństwa zbawieniem.

I tutaj już możemy przejść od problemów ogólnych do najbliższych zagadnień, dotyczących naszej Ojczyzny.

Niepodobna nie stwierdzić z wielką wdzięcznością dla Boga, że pomimo niezmiernych trudności, z jakiemi mieliśmy do walczenia, dokonały się w naszej odrodzonej państwowości wielkie rzeczy. Rozbudowała się, i to przeważnie dobrze, machina administracyjna kraju: dźwignęło się całe mnóstwo budowli publicznych, naprawiło się pod względem dróg i kolei czy to rany wojenne, czy rozmyślne zaniedbania zaborczych rządów; stworzyło się tak wielkie dzieła, jak np. Gdynia i Mościce; zdołało się konsekwentną polityką gospodarczą i ogromnym wysiłkiem obronić od katastrofy pieniądz polski, a zatem ład ekonomiczny kraju; zabezpieczyło się obronę Ojczyzny przez dobrze postawioną armję i energicznie funkcjonujący przemysł wojenny a nadewszystko, co było w przeważnej mierze źródłem tych błogosławieństw, mimo wszystkie zastrzeżenia, jakie możnaby tu zrobić, dostała Polska rzeczywistą, prawdziwie silną władzę. Anarchja została przełamana, partyjnictwo ukrócone, przerosty parlamentaryzmu odcięte, naprawa Konstytucji zdaje się być na dobrej drodze. Na forum międzynarodowem Polska stanowczo zyskała w opinji tak, że powoli roz-

prasza się uporczywa legenda o naszej niezdolności do rządzenia sobą.

I pod względem religijnym nie działo się u nas zupełnie źle przez te pierwsze czasy naszych odrodzonych dziejów. Konkordat nasz ze Stolicą Apostolską ze stanowiska kościelnego był raczej dodatni, a wykonanie jego, lubo nie doskonałe, było jednak dość lojalne; fatalny projekt ustawy małżeńskiej upadł, nie poddany pod dyskusję; nie pojawiły się żadne ogólne ustawy czy zarządzenia, zasadniczo wrogie wierze lub Kościołowi, a można zarejestrować niejeden akt Rządu pozytywnie życzliwy.

Gdyby jednak zapytać, czy Rząd nowej Polski był i jest w pełni katolicki w tym sensie, żeby w myśl najlepszych tradycyj narodu, wiarę jawnie wyznawał nietylko co do formy zewnętrznej ale co do treści, żeby wiarą na serjo kierował się w publicznem życiu, jak np. dzisiejsza Austrja, Irlandja lub szereg państw Ameryki łacińskiej — chyba nie znalazłby się u nas nikt, kto zechciałby odpowiedzieć bezwzględnie twierdząco. Daje się w naszym Rządzie w stosunku do Kościoła odczuwać pewna rezerwa czy nieufność, jakaś obawa, żeby Kościół, gdy mu się poda palec, za rękę nie chwycił, jakieś wrażenie, że pełny katolicyzm w publicznem życiu to jest coś bądź niewykonalnego, bądź tak kompromitującego, jak bigoterja w życiu prywatnem.

Czem wytłumaczyć ten nastrój czy to nastawienie umysłów? Składa się na nie całe mnóstwo czynników.

Grają tu rolę i przestarzałe reminiscencje epoki pozytywizmu i ogromne nieuświadomienie religijne pewnych jednostek i osobista lub korporacyjna niechęć do katolicyzmu innych; mszczą się tu i różne winy religijności polskiej, jak przysłowiowa jej płytkość a zwłaszcza nadużywanie sztandaru katolickiego przez niektóre stronnictwa i rozmaite jeszcze inne rzeczy.

Prócz tego wszystkiego jednak działają tu dwie przyczyny, dwa skombinowane ze sobą uczucia, które dają w rezultacie ową nieufność do Kościoła i ostrożność, by w stosunkach z nim nie posunąć się za daleko.

Jedno uczucie to jest ta szczególna, nigdzie indziej w tym stopniu nieznana, typowo polska „żenada“ przed

prawdziwie i pełno-katolickiem wystąpieniem. Ludzie się u nas „wstydzą“ nie tyle postu, mszy i sakramentów lub prywatnego przestrzegania przykazań Bożych, nie tyle katolickiego gestu przy jakimś narodowym obchodzie, ile przedewszystkiem i jaknajbardziej, jawnego stwierdzenia zasad katolickich w publicznem życiu. To u nas kompromituje, to nie wypada! Mogą np. stawiać się w Watykanie mężowie stanu wszystkich narodów, nawet hitlerowskich Niemiec, ale polskim ministrom to nie przystoi! Może taki np. Dollfuss z całem wylaniem i z głębin duszy oświadczać publicznie bezwzględną wierność narodu dla Kościoła i Stolicy Apostolskiej, ale u nas w podobnych okolicznościach można się odezwać zaledwie półgębkiem, wśród rozmaitych ostrożności i rezerw.

A łączy się z tem inne uczucie. Niema nic dziwnego, że po wieku zgórą niesamodzielności politycznej, po najdotkliwszych upokorzeniach, jakie niosła ze sobą niewola, daje się spostrzec w młodej państwowości polskiej odrobina przeczulenia, nie obcej nam, megalomanji narodowej. Z pewną nerwowością, a może bez dostatecznej powagi i spokoju staramy się o to, żebyśmy się wydali prawdziwie wielkiem państwem, żeby nas nikt nie lekceważył, żeby nam się nikt do rzeczy naszych nie mieszał i t. p. To uczucie skombinowane z wyżej wspomnianą żenadą a zasilone w dodatku pewnym odcieniem faszystowskiej buty, skłania nas do zajęcia pewnego „obronnego“ stanowiska nawet wobec Kościoła. Trzeba uważać — tak zdają się myśleć politycy nasi — żeby Kościół zanadto nie wkraczał w wychowanie i przez to nie wchodził w drogę wychowaniu czysto państwowemu; trzeba ograniczać sferę działania czysto katolickich stowarzyszeń; trzeba zazdrośnie strzec, by Kościół do jakichś swoich religijnych celów nie posłużył się czemkolwiek, co polskie. Na usprawiedliwienie tego obronnego stanowiska kuje się czasem całą teorję, że Kościół dziś, nie gorzej jak za Grzegorza VII czy Bonifacego VIII, usiłuje wedrzeć się przez Akcję Katolicką i inne podobne związki w sferę działania władz świeckich i że dlatego trzeba się pilnować, trzymając się możliwie grzecznej ale stanowczej, defensywy.

Otóż nie!

To prawda i wielka prawda, że Kościół jest dzisiaj w rozmachu wspaniałej ekspansji. Czy to ogromem misyjnego wysiłku nazewnątrz, czy Akcją Katolicką nawewnątrz, czy wzmocnieniem hierarchicznych węzłów, czy niesłychanem spotęgowaniem piśmiennictwa religijnego i organizacyjnego życia, czy wielu jeszcze innemi rzeczami daje on dowody tak ogromnej żywotności, jaka w niewielu tylko epokach historji występowała najaw. Żeby jednak te wszystkie, nietylko już dzieła ale zamysły i aspiracje Kościoła wchodziły w jakąkolwiek kolizję z godziwym rozwojem ziemskiego, także państwowego i narodowego życia ludzkości, to, przynajmniej dla naszych czasów, nie jest prawda, i nikt tego udowodnić nie potrafi. I owszem Kościół gotów jest zawsze dopomagać do prawdziwego, we wszystkich kierunkach i w każdej życia dziedzinie, przyrodzonego postępu, z tym jednym warunkiem, żeby nie przeszkadzano mu spełniać na ziemi ogromnych zadań, jakie mu wola Boża wytknęła.

Wola Boża — bo Kościół nie *pro forma* ale najgłębszą mocą przekonania wierzy, że na ziemię zstąpił nieskończony Stwórca wszech rzeczy, który jako Bóg-Człowiek, Jezus Chrystus kazał mu prowadzić ludzkość do wiecznego żywota poza tym światem. A do żywota tego nie wiedzie inna droga, jak przerobienie całego niniejszego życia na nadprzyrodzoną modłę. Wierząc więc w to, musi Kościół do tego nadprzyrodzonego uświęcenia dążyć, musi nad tem pracować, żeby całe życie jednostek i narodów kierowało się ku wiekuistym celom i poddawało się Bożym prawom, musi budować wśród ludzkości to duchowe królestwo Chrystusowe, które jest najwyższem, najważniejszem, najpiękniejszem, najświętszem, najzbawienniejszem z dzieł, do jakich wogóle ludzkość może przyłożyć rękę.

Bo nad tem dziełem pracując, nietylko wypełnia swój istotny cel, służbę Bożą, nietylko zabezpiecza sobie życie wieczne, ale zakłada najgłębsze podwaliny pod wszechstronny doczesny dobrobyt. W Bogu bowiem, w Chrystusie i w Kościele znajduje ludzkość Ten jedyny punkt oparcia, którego zawsze wprawdzie, ale przedewszystkiem dzisiaj potrzebuje dla spełnienia ogromnych zadań, jakie niesie ze sobą nowa epoka dziejów. Na niczem tak, jak na Kościele

i jego nauce nie oprze się bezpiecznie prawdziwa władza; żadne inne teorje tak, jak zasady chrześcijańskie nie dopomogą do uzdrowienia ekonomicznych i społecznych stosunków; nic tak skutecznie nie doprowadzi do prawdziwego rozbrojenia, jak zstępujący w serca pokój Chrystusowy; nic tak się nie przyczyni do wychowania nowej, na nowe czasy, ludzkości, jak ta nauka, której szczególną cechą jest, że zawsze odświeża i odnawia, aż „się nowem stanie wszystko".

Co się zaś tyczy specjalnie Polski, tak bardzo wystawionej na zewnętrzne i wewnętrzne nietylko trudności, ale groźne niebezpieczeństwa, tej Polski, która tyle jeszcze ma budować, tyle naprawiać, tyle problemów rozwiązać — nie można jej lepiej życzyć, jak żeby szczerze i bez zastrzeżeń związała swe życie z tem, co jedno na świecie jest bezwzględnie trwałe i przepoiła się tą prawdą i tem prawem, których owocem jest nieśmiertelność. Do tych wielu, niemałym już rezultatem uwieńczonych wysiłków, którym, po łasce Bożej, zawdzięczamy nową Polskę, niech przybędzie w szerszej jeszcze mierze to konsekwentne staranie, by owa *semper fidelis* była istotnie do głębi katolicką w przekonaniach i czynach.

* * *

Kilka tych myśli nasunęło się nam z okazji pięćdziesięcioletniego jubileuszu naszego pisma. Czy i w jakiej mierze *Przegląd Powszechny* przez te pół wieku istnienia oddał dobrą służbę Bogu i Jego Kościołowi, polskiemu narodowi a od niedawna i polskiemu państwu, jego wiedzy i jego wszechstronnemu dobru — o tem niech sądzą inni. My sami w tej poważnej rocznicy półwiekowej pracy chcemy spoglądać nie wstecz, lecz naprzód. Jakkolwiek było dotąd, chcemy nadal w kierunku tych myśli, jakie skreśliliśmy powyżej, jaknajgorliwiej służyć budowaniu królestwa Bożego w społeczeństwie polskiem. Będziemy jak dotąd, otwierać nasze łamy pracom naukowym ze wszystkich dziedzin, mogących interesować myśl współczesną, ale ponad wszystko inne do jednego będziemy dążyć, co uważamy za bezwzględnie najważniejsze i pierwsze, żeby wyrabiać w naszym narodzie prawdziwie katolickie przekonania i zasady oraz dopoma-

gać na wszystkich polach rozwojowi prawdziwie katolickiego życia.

W ten sposób za łaską Bożą i z życzliwą współpracą naszych wiernych przyjaciół, którym w tej chwili ślemy słowa gorącej podzięki, chcemy powoli urzeczywistniać hasło, które nasz *Przegląd* od początku na czole swojem wypisał:

Błogosławiony lud, którego Panem Bóg jego!

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Półwiekowa praca „Przeglądu Powszech." na różnych polach wiedzy.

I. Filozofja i Teologja.

Wydając w styczniu 1884 r. pierwszy zeszyt *Przeglądu Powszechnego*, Redakcja zapowiadała w programie ideowym, że nowe czasopismo będzie omawiało ze stanowiska zasadniczego aktualne zagadnienia z dziedziny najważniejszych nauk. „Spodziewamy się, — pisano — że teologja i historja, filozofja i etnografja, estetyka i nauki przyrodnicze wystąpią kolejno w naszem piśmie" (str. 4).

Podkreślane w programie — aktualność i zasadniczość miały polegać na tem, aby „podnosić na wszelkiem polu kwestje najaktualniejsze, a sprowadzać je do zasad, reasumować doniosłe wypadki i wybitne prądy myśli, pojawiające się w kraju i po świecie, a dochodzić do ich gruntu i sądzić je rozumem oświeconym wiarą" (str. 2).

W takiem ujęciu programowem, filozofja i teologja, acz wyliczane w jednym szeregu z wielu innemi naukami, musiały być wysunięte na pierwszy plan i zająć naczelne miejsce.

Bo żeby zrozumieć ducha swego czasu, jaki się przejawia i w zagadnieniach poszczególnych nauk i w celowych poczynaniach, nadających kierunek wypadkom życiowym, należy dotrzeć do najważniejszych przyczyn tego tak skomplikowanego procesu, jakim jest życie duchowe społeczeństwa.

Są niemi przedewszystkiem idee filozoficzne i religijne. Od ustosunkowania się do nich człowieka zależy istotna jego wartość, głębia i wewnętrzność jego ducha, jego ideały i dążenia życiowe. Każdy czyn, który się począł nie na pery-

ferjach naszej osobowości, ale w głębi jaźni, wyrasta z podłoża filozoficzno-religijnego.

Również kultura duchowa narodu mierzy się jego uzdolnieniem i wydajnością filozoficzno-religijną. Jakie ideały przyświecają jego życiu, do jakich poświęceń jest zdolny, w jakim stopniu hołduje idealizmowi, jaka jest siła jego myśli i głębia życia religijnego, od tego zależy odporność życiowa narodu i suma tych wartości idealnych, jakie wniesie do kultury duchowej ludzkości.

Jest rzeczą zrozumiałą, że te dwa pierwszorzędnej doniosłości czynniki, tłumaczące w dużej mierze dynamikę współczesnej kultury, musiał uwzględnić *Przegląd*, jeżeli miał być wiernym obrazem życia.

* * *

Jako czasopismo o charakterze ogólnym, którego zainteresowania zwracają się ku wszystkim objawom życia kulturalnego, *Przegląd* nie mógł dawać wyczerpującego wszechstronnego obrazu ruchu filozoficznego. Napróżno więc szukalibyśmy w nim omówienia wszystkich współczesnych kierunków filozoficznych, recenzyj wszystkich ukazujących się dzieł, obszernych rozpraw poświęconych specjalnym zagadnieniom, polemiki w aktualnych kwestjach filozoficznych, słowem tego, czego oczekujemy od specjalnego pisma filozoficznego.

Jego zadania były skromniejsze. Miał uwzględniać jedynie te prądy filozoficzne, które bezpośrednio wpływały na życie i wprowadzały doń zmiany.

Ostatnie pięćdziesięciolecie jest okresem doniosłych przemian w życiu umysłowem Europy. Powstają coraz to nowe kierunki ideowe i pogłębiają chaos myśli filozoficznej. Nurt życia umysłowego rozszczepia się na kilka prądów, z których każdy wyżłobił sobie własne łożysko. Coraz bardziej zanika wspólnota duchowa Zachodu — wskutek zaostrzających się przeciwieństw ideowych. Winę ponosi „anarchja kierunków filozoficznych" (Kröner).

W pierwszych latach istnienia *Przeglądu* kierunkami dominującemi są materjalizm i pozytywizm. Rozkwit nauk przyrodniczych, postępy fizyki i chemji, doniosłe wynalazki

w dziedzinie techniki hipnotyzują myśl ludzką korzyściami materjalnemi, budzą wiarę w nieograniczone możliwości rozumu i przesłaniają sobą świat transcendentalny. Rozbrzmiewają wówczas hasła pozytywistyczne, głoszony jest nakaz „pracy organicznej", a zwalczana metafizyka, uważana za poezję myśli, a nie za naukę.

Przegląd zajmuje odrazu wyraźną postawę antymaterjalistyczną i antypozytywistyczną.

Ks. M. Morawski T. J., założyciel i pierwszy redaktor *Przeglądu*, umieszcza szereg artykułów, wymierzonych w te właśnie kierunki.

Już w pierwszym tomie *Przeglądu* polemizuje z poglądami Buckla, którego dzieło przełożone na język polski było szkodliwą propagandą materjalistycznego determinizmu (Wolna wola i Opatrzność w historji, a teorja Buckla, 1884). Sekunduje mu obszerna rozprawa dr. Skrochowskiego (Niepozytywny pozytywizm francuski, 1884), wykazująca nienaukowość podstaw pozytywistycznych.

Następne rozprawy ks. Morawskiego (Prawdziwe pojęcie moralności, 1884; Siła i prawo, 1885; Chrystjanizm i narodowość, 1886; Wolna wola, 1891), wydane później w osobnej książce p. t. *Podstawy etyki i prawa* (Kraków 1891), zwracają się przeciw hasłom pozytywistycznym i zwalczają determinizm, socjologizm i laicyzm. Od r. 1886 zaczęły ukazywać się artykuły o celowości w przyrodzie. Wydane później w książce p. t. *Celowość w naturze* (Kraków 1887), były one naukowym rozrachunkiem z ewolucjonizmem i pozytywizmem i wywołały ożywioną polemikę ze strony ówczesnych pozytywistów polskich (Mahrburg). Ks. Morawski bronił przedmiotowości celu i przyczyny, uzasadniał witalistyczne tłumaczenie życia, bogato ilustrował faktami z nauk przyrodniczych teleologiczny dowód istnienia Boga, zwalczał światopogląd mechaniczny, słowem, przywracał naukową wartość tym pojęciom, które odrzucał pozytywizm.

Obok pozytywizmu, modnym i wpływowym podówczas kierunkiem był darwinizm. Już w pierwszych rocznikach *Przeglądu* znajdujemy dłuższe rozprawy, poświęcone temu zagadnieniu: ks. Zaborskiego (Darwinizm w świetle rozumu i nauki, 1884—85; Przeobrażenia w teorji ewo-

lucji, 1887) i ks. Nuckowskiego (Dziedziczność, a ewolucja, 1885). Również w późniejszych latach umieszczono rozprawy poświęcone temu kierunkowi (np. ks. Klimke: Darwin i jego dzieło, 1910).

Oprócz rozpraw polemicznych, zamieszczał *Przegląd* prace, dające pozytywny wykład filozofji chrześcijańskiej. W pierwszem dziesięcioleciu wychodziły one z pod pióra ks. Langera (Pojęcie Boga w chrześcijaństwie i u filozofów, 1844—85; Człowiek w stosunku do religji i moralności, 1886), ks. Badeniego (Filozof chrześcijański z II wieku, 1886), dr. Skrochowskiego (Jednostka wobec państwa, 1886) i innych. Warto przypomnieć, że reforma studjów filozoficznych, dokonana pod znakiem nawrotu do św. Tomasza, a przeprowadzona przez Leona XIII (*Enc. Aeterni Patris*, 1879) została odrazu na łamach *Przeglądu* obszernie i życzliwie omówiona przez ks. Langera (Św. Tomasz z Akwinu i dzisiejsza filozofja, 1884). Było to wyraźne opowiedzenie się za tomizmem.

Odrodzenie filozofji tomistycznej nie było jednostronnym nawrotem do średniowiecza. Hasło Leona XIII *vetera novis augere* głosiło potrzebę uwzględnienia nowszych zdobyczy zarówno z dziedziny filozofji, jak i nauk przyrodniczych. Po tej linji idzie neoscholastyka, która, zachowując podstawowe tezy filozoficzne, stara się je wypełnić treścią zrozumiałą dla człowieka nowoczesnego. Podobnie postępuje *Przegląd*, uwzględniając nowsze zdobycze nauk przyrodniczych i matematycznych. W roku 1893 z okazji zjazdu przyrodników polskich, gdzie padły słowa o sprzeczności nauki z religją, umieszcza artykuł ks. Rawskiego p. t. Zasada zachowania energji i jej zastosowanie w psychologji. Rozprawy z dziedziny biologji, fizyki i innych nauk przyrodniczych stanowią odtąd stałą rubrykę *Przeglądu*. Wiele artykułów z tego zakresu umieścił ks. Hortyński (Z nowszej biologji, 1910; Poglądy i teorje najnowszej fizyki, 1912—13; Początek życia na ziemi, 1914; Koniec Wszechświata wobec nauki i Objawienia, 1919; Filozoficzna jedność organizmu wobec najnowszych badań biologicznych, 1923 i inne). Również rozprawy filozoficzne ks. Kobyłeckiego (Postulaty psy-

chologji doświadczalnej, 1905; Teorja paralelizmu psychofizycznego, 1906; Próba wstępu do teorji poznania, 1909) noszą podobny charakter.

Na początek XX wieku przypada zmierzch prądów pozytywistycznych. Słabnie kult rozumu i nauki, wzrasta zainteresowanie zagadnieniami religijnemi, do głosu dochodzą takie kierunki, jak teozofja, hipnotyzm. Myśl ludzka szuka nowych dróg, nowych rozwiązań. Coraz częściej mówi się o „bankructwie rozumu" (Brunetière, T. Jeske-Choiński) i potrzebie nowej postawy duchowej.

Te przemiany ideowe sygnalizuje *Przegląd*. Omawia ówczesne prądy religijne (M. Straszewski, O religijnych ideałach doby obecnej, 1903; W. Gostomski, Z zagadnień religijnych, 1906), uwzględnia historję religji (ks. Zaborski, Buddyzm; Pojęcia religijne Chińczyków 1893), informuje o nowych prądach okultystycznych (ks. Morawski, Hipnotyzm, 1888; ks. Badeni, Indyjska filozofja w Europie, 1887) i porusza nowe dążenia myśli filozoficznej. Rzecz charakterystyczna, że już w roku 1902 zamieszcza artykuł W. Gostomskiego o Niëtzschem, który nawet w swej ojczyźnie mało był podówczas znany (Nietzsche jako przedstawiciel antychrześcijańskiego humanitaryzmu).

Omawiając nowsze prądy umysłowe, *Przegląd* umiał przeprowadzić linję demarkacyjną pomiędzy prawdziwemi wartościami, jakie one z sobą niosły, a błędami, które były przemycane pod płaszczykiem szumnych haseł. Jego linja ideowa nie wykazuje żadnych odchyleń. Znamienne pod tym względem jest jego negatywne ustosunkowanie się do modernizmu. Był to kierunek niebezpieczny, bo, głosząc błędne poglądy, występował pod maską prawowierności katolickiej, a zarazem jako ostatni wyraz nowoczesnej myśli naukowej.

Od r. 1906, a więc jeszcze przed kościelnem potępieniem modernizmu („Pascendi" 1907), ogłasza *Przegląd* szereg rozpraw, które omawiają filozoficzne podstawy modernizmu i wykazują ich błędy. Autorami tych rozpraw, które później ukazały się w oddzielnej książce, byli ks. J. Rostworowski (Liberalny katolicyzm, 1906), ks. Pawelski (Katolicyzm a modernizm, 1907), ks. Klimke (Czy reforma filozofji katolickiej? 1907; Agnostycyzm, 1908; Nowa

filozofja, 1908; Pragmatyzm, a modernizm, 1908) i ks. Rudnicki (Z problemów modernizmu, 1908).

Wprawdzie u nas modernizm nie zapuścił głębszych korzeni i nie stanowił takiego niebezpieczeństwa, jak na Zachodzie, niemniej jednak wywierał wpływ i poczynił pewne szkody w życiu religijnem. Dużą zasługą *Przeglądu* było przestrzeżenie opinji polskiej przed temi szkodliwemi prądami i zneutralizowanie ich wpływów.

Rzecz oczywista, że *Przegląd* zajmował się prądami, nurtującemi w umysłowości polskiej, nietylko w związku z wydarzeniami europejskiemi, czy ogólno-kościelnemi. Sprawy polskie znajdują w nim bacznego obserwatora, czego dowodem są między innemi artykuły ks. Pawelskiego (Etyka w Warszawskiem Ateneum, 1895), ks. Kobyłeckiego (Warszawska filozofja nowokrytyczna, 1996), ks. Wieckiego (Z polskiego ruchu etycznego, 1907), ks. J. Urbana (Katolicyzm eleuzyński, 1910), J. Gonta (Popularyzacja pragmatyzmu u nas, 1912), ks. Sieniatyckiego (Modernizm w książce polskiej, 1916), ks. Siwka (Filozofja niemiecka w nowoczesnej myśli polskiej, 1925) i in.

Nie jest to wiele, ale, pomijając już charakter ogólny *Przeglądu*, zmuszający go do równomiernego traktowania poszczególnych spraw kulturalnych, a nietylko zagadnień filozoficznych, należy pamiętać, że filozofja polska przedstawia się skromnie i nie zajmuje tego miejsca w życiu umysłowem narodu, jak na Zachodzie. Twórczość filozoficzna polska niewielka, mało oryginalna, nie mówiąc już o tem, że żadne wielkie, wpływowe systemy filozoficzne nie powstały na naszym gruncie. Obce prądy przyjmowały się łatwo, ale dopiero po czasie, gdy na Zachodzie już straciły swą aktualność.

Lata wojenne poddały szereg tematów aktualnych — zagadnienie wojny, zakres uprawnień państwa, nowe ruchy społeczne i prądy narodowościowe, a wreszcie wydarzenia historyczne pierwszorzędnej wagi, które należało oświetlić ze stanowiska filozofji katolickiej.

Przegląd dostosowuje się do wymogów chwili i umieszcza z tej dziedziny rozprawy A. Krzyżanowskiego (Teorja rozwoju wojny, 1916), M. Straszewskiego (Etyka, a poli-

tyka, 1916), ks. Rostworowskiego (Samookreślenie narodów w świetle filozofji, 1918), ks. Podoleńskiego (Prawo międzynarodowe, a prawo natury, 1919), ks. bpa. Szelążka (Charakter stosunku Kościoła do państwa w czasach ostatnich, 1919) i inne.

Lata powojenne przyniosły zmiany w układzie politycznym Europy i doniosłe przeobrażenie ideowe. Prądy wolnościowe, demokracja, samostanowienie narodów, wzmożenie się socjalizmu, szukanie nowych form ustrojowych — oto zagadnienia, będące ośrodkiem zainteresowania. Wrogim dla światopoglądu katolickiego kierunkiem ideowym, na którego usługach stały silne partje polityczne, okazał się socjalizm. *Przegląd* poświęca mu szereg artykułów o treści zasadniczej — ks. Urbana (Socjalizm, a Kościół, 1919); Bolszewizm o zagadnieniu początków chrześcijaństwa, 1919), ks. Około-Kułaka (Bolszewicki kodeks karny, 1923; Bolszewizm, a religja, 1922), R. Bystrzyńskiego (Dzisiejsze oblicze rosyjskiego bolszewizmu, 1929), ks. Szymańskiego (Rewolucja bolszewicka od wewnątrz, 1930). Zwłaszcza rozprawa ks. J. Urbana (O nasz stosunek do socjalizmu, 1927) podawała nowe oryginalne rozwiązanie zagadnienia i wywołała żywą dyskusję.

Równolegle z socjalizmem i prądami międzynarodowemi wzrastają dążenia nacjonalistyczne. Przesadna gloryfikacja narodu, głoszenie ekskluzywizmu narodowego, próby oparcia zasad etycznych na innych niż dotąd podstawach, kształtowanie się stosunków międzynarodowych pod kątem egoizmu i wyzysku — te hasła i dążenia niezgodne ze światopoglądem chrześcijańskim znalazły w *Przeglądzie* należytą ocenę w artykułach ks. J. Rostworowskiego (Nacjonalizm, jego uprawnienia i etyczne granice, 1923; Piękno ideałów rycerskich, a dążenia katolickiego pacyfizmu, 1928), ks. Eltera (Najwyższe prawo, 1921), ks. J. Urbana (Ku uzdrowieniu polskiego nacjonalizmu, 1927), A. Kliszewicza (Nacjonalizm jako doktryna, 1928) i dwie rozprawy o światopoglądzie hitleryzmu (1932).

Jak w latach dawniejszych, tak samo obecnie *Przegląd* nie ogranicza się do aktualnych zagadnień społecznych, choć ujmowanych z zasadniczego stanowiska, ale porusza pro-

blemy ściśle filozoficzne. Zwłaszcza nowsze kierunki, jak bergsonizm, teorja Einsteina, logistyka, „teorja kształtu" dochodzą do głosu w artykułach ks. Hortyńskiego (Filozoficzna jedność organizmu wobec najnowszych badań biologicznych, 1923), H. Romanowskiego (O filozofji Bergsona, 1920—21), F. Konecznego (Prawa przyrody i ducha, 1927), W. Rubczyńskiego (Zróżnicowanie kierunków tomistycznych, 1930) i ks. Kobyłeckiego (Logika, a logika tradycyjna i logika matematyczna, 1932). Z okazji jubileuszu 1500-lecia św. Augustyna zamieszcza *Przegląd* dwie rozprawy filozoficzne ks. K. Michalskiego (Genjuszowi św. Augustyna w hołdzie jubileuszowym, 1930) i ks. Pastuszki (Św. Augustyn jako psycholog-metafizyk, 1930).

Ogólne tematy filozoficzne były w tym czasie poruszane w pracach ks. Fr. Kwiatkowskiego (Stosunek filozofji do teologji, 1920), A. Birkenmajera (Prądy umysłowe 12-go i 13-go stulecia, 1921), ks. Krzesińskiego (Zagadnienie prawdy w dziejach filozofji, 1921), ks. Chechelskiego (Noetyka św. Tomasza wobec zasadniczego problemu „Krytyki czystego rozumu", 1929) i innych.

W okresie powojennym zaznacza się wzrost religijności, zarówno prawdziwej, jak i sztucznej, niezdrowej. Równocześnie występują niespotykane dawniej objawy masowego ateizmu, nieubłagana walka przeciw religji i próby jej zastąpienia przez inne formy życiowe (teozofja, kult narodu, religja ludzkości). Ta paradoksalna, pełna przeciwieństw sytuacja dzisiejszej umysłowości nie mogła ujść uwagi myśli filozoficznej i nie wpłynąć na rozwój psychologji i filozofji religji. Powstała bogata literatura z tego zakresu i pojawiły się nowe problemy aktualne. *Przegląd* poświęcił im szereg artykułów ks. Kosibowicza (Upadek ewolucjonizmu w zagadnieniu pochodzenia religji, 1926), A. Sałtykowa (Do problemu religijności rosyjskiej, 1930), ks. Jełowickiego (U progu współczesnej psychologji religji, 1929—30), ks. Sawickiego (Ateizm religijny, 1930) i ks. Pastuszki (Współczesne kierunki w filozofji religji, 1931—32).

Jak na czasopismo, poświęcone wszystkim przejawom życia kulturalnego, a nietylko filozofji — dział filozoficzny

przedstawia się jakościowo i ilościowo poważnie. Zajmuje on stosunkowo więcej miejsca, niż w innych o podobnym charakterze organach, a zamieszczone w nim rozprawy filozoficzne utrzymane są na należytym poziomie naukowym.

Ale teologji filozoficznej czasopisma i wpływów, jakie ono wywiera, nie mierzy się wyłącznie doborem artykułów o wyraźnym tytule filozoficznym.

Filozofja sięga głębiej. Życie duchowe człowieka nie jest bezładnym chaosem o nieuchwytnej dynamice. U jego podstaw leży twórcze Logos, w postaci praw, któremi się rządzi nasza myśl i nasza wola. To samo dotyczy rzeczywistości przedmiotowej. Jej rozwój ujęty jest w stałe normy, procesowi kosmicznemu przyświecają cele metafizyczne i twórcza myśl da się wykryć we wszystkich jej przejawach. Poznanie naukowe, a tem bardziej filozoficzne dociera głębiej i ujmuje właściwe czynniki przyczynowe istnienia i rozwoju danego odcinka rzeczywistości. Od tego, jak je oceniamy, jaką sobie syntezę ideową o nich tworzymy, jaki wpływ przypisujemy rzeczom na bieg wypadków, a zwłaszcza w odniesieniu do naszego życia, jak wartościujemy ludzi i ich czyny, od tego zależy nasza postawa względem życia i nasz światopogląd. Każdy czyn da się sprowadzić do ostatecznych zasad, każda myśl płynie z głębszych założeń i postępowanie ludzkie, stanowiąc pewną całość, może być uważane za praktyczny wykładnik ideologji człowieka. W tem znaczeniu filozofja, jako suma zasadniczych pojęć o świecie i życiu, leży u podstaw wszystkich naszych świadomych aktów. Całkiem wyraźnie zaznacza się ona w ocenie rzeczywistości bez względu na to, czy dokonywa się w formie krótkich uwag, czy długich wywodów z zastosowaniem metod naukowych.

Stanowi ona również duszę każdego czasopisma. Nawet t. zw. pisma bezpartyjne, ograniczające się do kronikarskiego referowania faktów bez specjalnych komentarzy, są głosicielami pewnej filozofji. Dobór „zdarzeń", ich zestawienie obok siebie, nawiązanie do innych podobnych wypadków, nawet wybór pewnych ilustracyj — niesie z sobą wyraźne sugestje myślowe, wywołuje określone skojarzenia pojęciowe, budzi uczucia, a tem samem podsuwa pewną postawę ideową wobec rzeczywistości.

W większym stopniu zaznacza się ta postawa filozoficzna w poważnych czasopismach, które z większej perspektywy czasu dają obraz życia umysłowego. Z natury rzeczy jest on syntezą, pewnym skrótem myślowym, gdzie analogiczne wypadki zostały ujęte pod kątem tożsamości, gdzie pewne objawy życiowe musiały być pominięte, by nie przerywały łańcucha przyczynowego zdarzeń i nie psuły jednolitości obrazu. Konstruowanie takiego schematu dokonywa się w zależności od uprzednich założeń ideowych. Tego rodzaju czasopismo nie ogranicza się do reportażu, do filmowego, migawkowego zdjęcia wycinków rzeczywistości, ale względem przejawów życia zajmuje określoną postawę, która się przejawia w ocenie danych faktów i w praktycznem ustosunkowaniu się do nich.

Wydając sądy, „przymierzamy" do danej rzeczywistości naszą ideologję i stwierdzamy ich zgodność, czy rozbieżność.

Nic dziwnego, że omawianie spraw, które z filozofją nie mają rzekomo nic wspólnego, dokonywa się na płaszczyźnie filozoficznej.

Postępowanie człowieka można oceniać w świetle tego, jakie się mu przeznacza cele życiowe, o parlamentaryźmie można mówić pod kątem pojęć, jakie mamy o naturze człowieka i jego społecznych uprawnieniach, o podatkach — zależnie od tego, jak wyobrażamy sobie idealny stosunek państwa do jednostki, o poezji, czy malarstwie — w świetle zasad o naturze piękna i t. d.

Niema przejawów życiowych, któreby pod tym względem były autonomiczne. Jak rzeczywistość zjawiskowa jest transparentem świata nadzmysłowego, a każdy, nawet najdrobniejszy jej przejaw posiada wiązania metafizyczne i rację istnienia w sferze duchowej, podobnie każdy nasz sąd wyrasta z głębszych przekonań ideowych. Każde pytanie, doprowadzone do końca, stawia nas wobec nieskończoności, każde wyjaśnienie opiera się na głębszych podstawach i każda synteza myśli ma podłoże absolutne.

W przeciwieństwie do czasopisma bez mocnego kręgosłupa ideowego, gdzie w imię „bezstronności" dochodzą do głosu różne, często wzajemnie wykluczające się światopoglądy, *Przegląd* posiadał wyraźne oblicze ideowe i stosował jedna-

kowe, niezmienne kryterja w ocenie zjawisk życiowych. Wytycznemi ideowemi były dlań zasady *philosophiae perennis,* wspomagane światłem religji objawionej.

Filozofja chrześcijańska posiada swoje pewniki, których przyjęcie pociąga za sobą określone interpretowanie rzeczywistości. Są niemi: w kryterjologji — realizm poznawczy i przyznanie człowiekowi zdolności do poznawania prawdy nietylko w dziedzinie zjawiskowej, ale i nadzmysłowej, w psychologji — niematerjalność duszy i pewnych jej funkcyj jak myślenia i woli, w etyce — transcendentalne, teocentryczne cele życiowe, a w metafizyce — przyjęcie rzeczywistości nadzjawiskowej i uznanie Boga, za źródło i przyczynę wszechrzeczy. Te tezy przyjmuje również *Przegląd.* Czy daje artykuły czysto filozoficzne, czy omawia sprawy społeczne, czy sięga w przeszłość i porusza problemy historyczne, czy poddaje analizie współczesną twórczość literacką, czy wreszcie w dziale sprawozdawczym zamieszcza recenzję dzieł i prowadzi kronikę wydarzeń z każdego miesiąca, — wszędzie stosuje jednakowe kryterja ideowe, oparte na zasadach filozofji chrześcijańskiej. One to właśnie sprawiają, że w sprawach społecznych — znajduje się w opozycji do liberalizmu i socjalizmu, że w filozofji zwalcza pozytywizm, czy materjalizm, a w etyce odrzuca poglądy, których cele życiowe nie wykraczają ponad doczesność. Staje w obronie wolności ludzkiej, a jednocześnie piętnuje jej przerost, głosi obowiązek poświęcenia i pracy dla państwa, ale nie pochwala przesadnego kultu ideałów państwowych, wysuwa patrjotyzm narodowy jako obowiązek obywatelski, ale zwalcza szowinizm, głosi prymat ducha, a zarazem wykazuje zrozumienie dla praw ciała, stawia religję na naczelnem miejscu, ale nie odrzuca autonomicznego charakteru świeckich dziedzin życia, byleby się one nie odgraniczały od oddziaływania na nie momentów religijno-moralnych. Jest przeciwnikiem wszelkiej krańcowości, jednostronności, a opowiada się za zdrowym uniwersalizmem myśli katolickiej. W tem znaczeniu *Przegląd* był naprawdę organem filozofji chrześcijańskiej, wykładnikiem jej zasad, zastosowanych do poszczególnych przejawów życiowych.

Dodajmy, że miał do spełnienia ważną funkcję społeczną. Przez kilkanaście lat był on w Polsce jedynem czasopismem o nastawieniu filozoficznem (*Przegląd Filozoficzny* był założony w Warszawie dopiero w r. 1899; *Ruch Filozoficzny* we Lwowie jeszcze później, nie mówiąc już o *Kwartalniku Filozoficznym,* który powstał w Krakowie już w latach powojennych).

Ale i później, gdy powstały specjalne czasopisma filozoficzne i teologiczne (np. *Ateneum Kapłańskie*), spełniał rolę popularyzatora zdrowej myśli filozoficznej. Gdy się zważy, że filozofja chrześcijańska na świeckich wydziałach uniwersytetów polskich nie była wykładana, że jej kurs w zakładach teologicznych był dawniej ograniczony do minimum, a wykłady odbywały się w języku łacińskim, że literatura filozoficzna była bardzo uboga i naogół kultura filozoficzna nie stała wysoko, wtedy zrozumiemy, że *Przegląd* miał do spełnienia niezmiernie ważną rolę — szerzenia i pogłębiania wiedzy filozoficznej. Na jego artykułach uczono się myśleć metodycznie, przyswajano sobie terminologję filozoficzną, rozumiano problematykę współczesną i naogół pogłębiano swe wiadomości filozoficzne. Dla świata naukowego *Przegląd* był wyrazicielem filozoficznej myśli katolickiej i z jego opinją zawsze się liczono. Zdarzało się, że oceniając kierunki, czy publikacje naukowe, korygował ustalające się zdanie i przyczyniał się do zmiany poglądu katolickiego. Wystarczy przypomnieć wystąpienie ks. Matzla przeciwko ks. Gabrylowi (Z powodu książki „O filozofji średniowiecznej", 1910). Trzeba przyznać, że *Przegląd* zawsze posiadał zdrowy, wolny od przesady, ale wyraźny, nie szukający kompromisów *sensus catholicus,* który mu gwarantował zachowanie czystości linji ideowej i chronił go od załamań, czy odchyleń. Pięćdziesięcioletnia jego działalność jest wymownem tego faktu potwierdzeniem.

* * *

Teologja zajmuje w *Przeglądzie* stosunkowo mniej miejsca, niż filozofja, inny jest dobór jej tematów i inne cele jej przyświecają. Pod pewnym jednak względem spełnia ona to samo zadanie, co filozofja — jest źródłem jego ideologji.

Słowa Pisma św., widniejące jako motto na karcie tytułowej: *„Błogosławiony lud, którego Panem Bóg jego"* (Ps. 143), wskazują na właściwe credo ideowe *Przeglądu*. Najwyższem dobrem jest Bóg, ostatecznemi normami postępowania — prawo Boże, a celem — szerzenie królestwa Bożego we wszystkich przejawach życia.

Z tych założeń wychodząc, należało religję wysunąć na pierwszy plan. Nie jest to jednak jakaś religja abstrakcyjna, adogmatyczna, pod którą dałyby się podciągnąć wszelkie próby nawiązywania stosunku człowieka z Bogiem, ale religja objawiona, której doskonałym wyrazem jest katolicyzm.

Zajęcie takiego stanowiska uprawniało *Przegląd* do szerszego uwzględnienia tematów teologicznych.

Już w pierwszych rocznikach znajdujemy obszerne, ciągnące się przez kilka zeszytów rozprawy ks. A. Langera (Rozwój wiary, 1884; O Objawieniu, 1887; Cuda i ich znaczenie, 1887/88; Proroctwa jako uwierzytelnienie Boskiego Objawienia, 1889) i ks. Badeniego (Walka o Bóstwo Chrystusa w V wieku, 1885). Kilka rozpraw z dziedziny archeologji chrześcijańskiej umieścił ks. prof. Bilczewski, późniejszy arcybiskup lwowski (Dziewice Bogu poświęcone w pierwszych wiekach, 1892; Geneza i historja Symbolu Apostolskiego, 1884; O chlebie i winie w Eucharystji używanem, 1897; Małżeństwo w dawnych chrześcijańskich pomnikach, 1889), oraz ks. Wł. Ledóchowski, obecny generał Ks. Jezuitów (O wątpliwościach przeciw wierze, 1898; Wewnętrzna pewność aktu wiary, 1897).

Pozatem dział teologiczny stale zasilał ks. Morawski. Rozpocząwszy od filozofji, dla rozwoju której poświęcił dużo pracy i położył niemałe zasługi, zwrócił się w ostatnich latach swego życia ku tematom teologicznym. W listopadzie 1893 r. rozpoczął drukować „Pierwszy wieczór nad Lemanem". W ciągu dwóch lat — z pewnemi odstępami czasu — ukazywały się następne „Wieczory" jako pojedyńcze artykuły *Przeglądu*. Zebrane w całość i wydane w książce pod tytułem „Wieczory nad Lemanem" (Kraków 1895) zostały nader życzliwie przyjęte przez krytykę naukową. Dzieło to, przełożone na języki obce, miało kilka wydań

i do dziś uważane jest za perłę naszej literatury apologetycznej. Ścisłość myśli łączy się w niem z polotem poetyckim i szczerym nastrojem religijnym.

W styczniu 1899 r. rozpoczyna się w *Przeglądzie* druk artykułów ks. Morawskiego „O świętych Obcowaniu". Śmierć autora († 1901) uniemożliwiła ukończenie tego dzieła.

W latach następnych rzadziej pojawiają się specjalne rozprawy teologiczne. Jedną z większych prac z tego czasu to szereg artykułów ks. Wł. Piątkiewicza p. t. Mistyczne ciało Chrystusowe, a charaktery sakramentalne (1902/3).

Sytuacja ulega zmianie w okresie modernizmu, który godził w podstawowe dogmaty religijne. *Przegląd* umieszcza szereg artykułów ks. J. Rostworowskiego, które wykazują błędy modernistyczne (Objawienie i dogmat w teologji katolickiej, a w teologji modernizmu, 1909; Ewolucja dogmatu w moderniźmie, 1910 i inne).

Poza temi aktualnemi zagadnieniami, rozprawy teologiczne poruszają zazwyczaj tematy zasadnicze.

Względnie najbogaciej reprezentowana jest apologetyka przez rozprawy ks. Wolnika (O fakcie prawdziwości religji w świetle pewności samorzutnej, 1913), ks. Felisia (Geneza kultu religijnego, 1909), M. Zdziechowskiego (Eucken, a dzisiejsze zadania apolegetyki, 1903), ks. Wieckiego (Lourdes Zoli i Huysmansa, 1907), ks. J. Urbana (Trwałość Kościoła, a prawo rozwoju, 1907; Walka o historyczne podstawy chrześcijaństwa, 1922; Rozciągłość władzy papieskiej, 1925; Królewskie prawa Chrystusa, 1925), W. Rubczyńskiego (O przyrodzonem chrześcijaństwie duszy ludzkiej, 1918), ks. Lipskiego (W czem tkwi siła buddyzmu i jego stosunek do chrześcijaństwa, 1924) i innych.

O kwestjach biblijnych pisali: ks. Condamin (Kwestje egzegetyczne w ostatnich dziesięciu latach, 1906), ks. Lipke (Prorocy w Izraelu, 1908), ks. Szczepański (Zasłanie Izraela do Babilonji, 1921; Eucharystja w świetle listów św. Pawła, 1924), ks. Archutowski (Złorzeczenia w psalmach, 1924), ks. Jelito (Stary Testament w nauczaniu religji, 1933).

Z zakresu teologji dogmatycznej znajdujemy rozprawy ks. St. Adamskiego (Życie nadprzyrodzone duszy ludzkiej, 1913; Bóg w duszy sprawiedliwego, 1918), ks. A. Bukowskiego (Z teologji spekulatywnej i mistyki św. Tomasza z Akwinu, 1925; Reinkarnacja dusz ludzkich według starożytnych pisarzy chrześcijańskich, 1926; Religijno-moralny rozwój człowieka, 1929), ks. E. Kuleszy (Mistyka w świetle najnowszych studjów, 1928), ks. M. Morawskiego, prof. z Lublina (Dogmat piekła, 1927; Modlitwa u św. Augustyna, 1928; „W Chrystusie". Mistyka św. Pawła, 1929; „W Duchu". Przyczynek do mistyki św. Pawła, 1930) i ks. Bojułki (Czy wszyscy śmiertelni umrą? 1931).

Tylko niektóre z powyższych rozpraw zostały wywołane aktualnemi wymogami chwili. Nie znaczy to jednak, by inne, o charakterze zasadniczym, były nieprzydatne dla życia, abstrakcyjne, nadające się do rozważań czysto akademickich. Należy pamiętać, że dogmaty, nawet te, które pozornie wydają się nawskroś spekulatywne, obce życiu, kryją w sobie wartości życiowe i niosą z sobą pewne nakazy praktyczne. Ich niezmienność i „stężałość" nie oznacza martwoty. One żyją i życie rozbudzają. Oddziaływują na ducha ludzkiego, wywołują akty religijne, które mają wpływ na wszystkie dziedziny życiowe i formują oblicze duchowe człowieka.

Dogmaty religijne żyją również własnem życiem. Są one wprawdzie niezmienne, ich nie dotyka postępujące wciąż przewartościowanie pojęć, człowiek niema wpływu na ich zawartość ideową i nikt nie jest w stanie ich usunąć. A przecież i one ulegają rozwojowi. Polega on na pogłębianiu i dokładniejszem sformułowaniu tych treści religijnych, które mieściły się w dogmatach, ale były pomijane, albo nienależycie podkreślone. Jest to więc raczej bogacenie poznania ludzkiego prawdami religijnemi, które były objawione i kryły się w zawartości ideowej dogmatów, a tylko ograniczoność rozumu ludzkiego, względnie niesprzyjające okoliczności życiowe sprawiły, że w nauce Kościoła i w świadomości religijnej wiernych nie zajęły one należnego sobie miejsca. Dopiero później — te ukryte dotychczas prawdy wystąpiły w całej pełni.

Przegląd Powszechny, nie schodząc z gruntu prawowierności dogmatycznej, wykazuje dużo zrozumienia dla życia prawd religijnych. Przerzucając karty jego roczników, odnosi się wrażenie, jakgdyby przed naszemi oczyma przesuwały się obrazy, które wiernie odtwarzają rozwijające się życie Kościoła. I pojedyńcze zdarzenia, które wpływały na układ stosunków kościelnych, i te pozornie drobne wypadki z życia religijnego, które jednak były wskaźnikami jego siły i głębi oraz jego wpływów społecznych, i ścieranie się katolickiej myśli religijnej z wrogiemi jej prądami religijnemi, i każdy przejaw jej rozwoju, zaznaczający się w formie nowych publikacyj teologicznych, — wszystko to znalazło na łamach *Przeglądu* swój wierny wyraz i należytą ocenę. Jego sądy o sprawach kościelnych i ruchu teologicznym nie wyrastają z płytkiego optymizmu, który nie wyczuwa tego dramatu o głębokich, nieraz tragicznych napięciach, w jakie obfituje życie Kościoła i życie religijne każdego człowieka. Jego recenzje prac teologicznych są nieraz surowe, jego sprawozdania z ruchu religijnego nie są panegirykami, nie pomijają smutnych momentów, ani nie starają się ich usprawiedliwiać. Chcąc dać wierny obraz rzeczywistości, wskazuje na liczne braki życia kościelnego i nauki teologicznej. Wytyka błędy, ostrzega, upomina.

Ale przy tem wszystkiem nie uderza w ton elegijny, nie przybiera pozy Kassandry i nie szerzy pesymizmu. Ocenia ze stanowiska prawdziwie katolickiego, jest pełen wiary w przyszłość Kościoła i w niespożyte, nieprzemijające wartości ideologji katolickiej. Umie przeprowadzić linję graniczną pomiędzy pierwiastkami boskiemi, a ludzkiemi w życiu Kościoła i rozumiejąc względność i niedoskonałość pierwszych, jest przekonany, że te drugie są gwarancją naszej wiary.

Taką postawę zajmuje *Przegląd* zarówno w sprawozdaniach z ruchu teologicznego i religijnego, jak i w poszczególnych rozprawach. Omawiając zaś podstawowe dogmaty chrześcijańskie, umiał je łączyć z wymogami życia bieżącego, wskazywał na bliższe ich zastosowanie, bronił przeciw aktualnym zarzutom i czynił je współczesnemi, życiowemi. Nie znaczy to, by to uwspółcześnienie dokonywało się przez

polemikę i tylko w artykułach ściśle apologetycznych. Najlepszą obroną prawdy jest jej dobry, wierny wykład, wolny od drażniących wycieczek i ostrych, a tem bardziej osobistych ataków. Taką właśnie rolę spełniały te spokojne, rzeczowe, naukowe rozprawy teologiczne.

* * *

Dla rozwoju kultury duchowej w Polsce położył *Przegląd* duże zasługi, które dopiero przyszły historyk z większej perspektywy czasu będzie mógł wszechstronnie ocenić.

Stojąc w obronie wartości idealnych, szerząc zdrową myśl filozoficzną i przyczyniając się do pogłębienia życia religijnego narodu, *Przegląd* wzmacniał właściwe podstawy kultury duchowej Polski.

Był łącznikiem pomiędzy religją a nauką, zdążając do syntezy tych dwóch odrębnych wprawdzie, a jednak bardzo od siebie uzależnionych dziedzin życiowych. Reprezentował myśl naukową i nadawał ton polskiej opinji katolickiej. W hierarchji wartości życiowych przyznawał prymat religji, ale nie izolował jej od nauki. Był wyrazicielem dążeń do harmonizowania różnorodnych przejawów życia w duchu postulatów religijnych. Kultura filozoficzna w Polsce, naukowa myśl teologiczna i życie religijne wiele mu zawdzięczają.

Oby tę doniosłą misję spełniał najdłużej, głosząc nadal prawdę, szerząc dobro i służąc najwznioślejszym ideałom duchowym.

Ks. dr. Józef Pastuszka.

II. Historja.

Kiedy powstał *Przegląa Powszechny,* pamiętam rumor, że oto ma wychodzić w Krakowie miesięcznik „jeszcze bardziej konserwatywny", niż *Przegląd Polski.* Kraków był małem miastem, w którego ciasnocie deptano sobie po piętach. Oficjalnie kończył się, gdzie dziś most dębnicki, z drugiej strony na ogrodzie Strzeleckim, od północy niedawno dopiero doczołgał się do Szlaku, a od południa właściwą granicę stanowiła Stara Wisła, (od Skałki przez obie Dietlówki do mostu kolejowego przed Grzegórzkami), bo co było między Wisłą Starą a Nową, t. j. Kazimierz, nie wpływało jeszcze w niczem na tok spraw krakowskich. Ale na tej topograficznej karłowatości żarzył się ruch kulturalny, wart, by mu mierzyć siły na zamiary. Uniwersytet bez seminarjów, dopiero dźwigający się do odbywania dróg naukowych, łatający jednak jakoś seminarjum historyczne (zrazu bez dotacyj); nędzne jakby imitacje pracowni fizycznych i chemicznych wybuchały jednakże raz wraz... odkryciami naukowemi; a wydział medyczny, nie mogący się długo zdobyć na porządne prosektorjum, wytwarzał jakoś pierwszorzędną szkołę lekarską. Teatr w „starej budzie" przy placu Szczepańskim, potem przy świecach w sali drukarni uniwersyteckiej przy ul. Wolskiej, rwał się do Szekspira i dawał mu radę: koncerty amatorskie, biedoty, dawały jednak zapoznać się z muzyką od Bacha i Haydna; a czytelnia bibljoteki Jagiellońskiej z 13 krzesłami, a wystawa obrazów w kilku pokojach ruin pałacu biskupiego i Sukiennice tak już wynędzniałe, iż zdaniem wielu należało je zburzyć.

I na takiem tle powstaje drugi miesięcznik. Ależ — bo Kraków XIX w. rozwijał się wpierw kulturalnie, a potem

dopiero, jakby następczo, materjalnie. Podniesiony poziom życia wewnętrznego prowadził do poprawy warunków bytu. Bywa i tak, a bywa też odwrotnie. Duchowa i cielesna strona bytu rzadko kiedy rozwijają się równocześnie i równomiernie; często jedna wyprzedza drugą, a potem dążą do równowagi. Nie przynosi to chyba ujmy Krakowowi, że oświatą stanął wysoko już dawno, ale dobrobyt jeszcze w nim szwankuje. Czy osiągnąłby go szybciej, gdyby oświata upadła?

A na drodze rozwoju duchowego czyż *Przegląd Powszechny* nie budował w Krakowie całych odcinków tego bitego gościńca? Zgrupował jakby nowe grono inżynierskie i powołał niejednego drogomistrza. Zdwoiła się siła myśli, a świadomość kierunku katolickiego ułatwiała i skracała drogi.

W zakresie wskazywanym przez Klio i jej czeladź spełniał *Przegląd Powszechny* ważną misję. Był fortecą historyzmu w czasach skłonnych do wywracania wszelkich tradycyj. Tradycyjność musi podlegać krytyce historycznej, żeby rozdzielać zalety od wad. Któżby rozumiał inaczej wyrażenie *magistra vitae?* W ten sposób pojmowana nauka historji cieszyła się zawsze opieką Kościoła. Można powiedzieć, jako historyzm jest nieodłączny od katolickiego światopoglądu.

Badacz historyczny ma w sobie coś z pioniera, bo odkrywa nowe krainy dla myśli ludzkiej, wykrywa problemy przedtem niewiadome, nie ustępuje w tem uczonym przyrodnikom. Pionier zaś musi mieć inicjatywę, zastosowaną oczywiście do miejsca i czasu. Nabiera jej, gdyż nabiera pewności siebie w miarę, jak opanowuje przestrzeń i przyrodę swej krainy; podobnież z grona badaczy samodzielnych a metodą dobrze władających wyłania się po pewnym czasie inicjatywa naukowa.

Nie żądano niczego, tylko prawdy. Wierzono zawsze mocno w to, że dla dobra Kościoła prawda zawsze pożądana, że wszelka prawda obróci się na dobro Prawdy. Samo grono krakowskich *scriptores* T. J. dostarczyło klasycznego zaiste przykładu zamiłowania prawdy dziejowej, gdy ks. Jan Urban wydał swą pracę o Makrynie Mieczy-

sławskiej, burząc fałszywą legendę. Niewiele podobnych przykładów znalazłoby się poza obozem katolickim!

Na nic Słowackiego i Mickiewicza cudne koncepje, i bez znaczenia będzie fakt, że dwa pokolenia przylgnęły sercem całem do legendarnej postaci. Skoro to nieprawda, musi być z serc wyrwana.

Z tego piedestału kultu prawdy patrzeć trzeba na poczynania *Przeglądu* takie, jak słynna polemika w sprawie św. Stanisława biskupa i męczennika. Punktem zaczepienia stały się twierdzenia prof. Tadeusza Wojciechowskiego, oparte o częściową interpretację części źródeł. Prawda wymaga, żeby uwzględniać źródła wszystkie w interpretacji wszechstronnej, nie opuszczającej żadnej możliwości, bo dopiero natenczas można dokonywać klasyfikacji wyjaśnień czy hipotez, mając już w ręku wszelkie dane do oceny stopnia ich prawdopodobieństwa. Niczego więcej nie pragnęli uczestnicy ankiety naukowej, zainicjowanej przez *Powszechny*.

Straż przednią stanowił dr. Krotoski, dyrektor gimnazjum w Nowym Targu; żyjący w dobrem zdrowiu obecnie w Poznaniu i czekający na trzecie wydanie książki zbiorowej „W sprawie św. Stanisława". On to już w r. 1901 zamieścił w *Przeglądzie* rozprawę „Rozbiór źródeł, odnoszących się do kwestji św. Stanisława biskupa". Ówczesny redaktor, ks. Jan Pawelski, nie spoczął, aż pozyskał „głosy" innych jeszcze historyków, z któremi wystąpił naraz, w r. 1909. Byli to obok Krotoskiego: Wojciech Kętrzyński, Wiktor Czermak, Antoni Prochaska, Adam Miodoński, Stanisław Smolka. Wydano te „głosy" w odbitce, która w r. 1926 doczekała się drugiego wydania. Niestety, z grona tych współpracowników żyje już sam tylko Krotoski! Pierwsze wydanie liczyło str. 126 w 8-ce, drugie urosło do 148, doprowadzając stan zagadnienia do roku 1926. Zrekapitulował prof. Smolka orzeczeniem, jako *ignorabimus*. Nie wyjaśniono tedy *„factum* św. Stanisława", ale bądź co bądź udowodniono, jako nie można go wyjaśniać tak, jak to (w najlepszej oczywiście wierze) czynił Wojciechowski. Redakcja *Przeglądu* osiągnęła cel bezpośredni.

Nawiasem mówiąc, owo *ignorabimus* Smolki nie przemawia mi do przekonania; sądziłbym też, że *factum* pozo-

staje w związku z Zachodem, mianowicie z przeprowadzaniem w Polsce reform kluniackich, a należy sprawę tłumaczyć na tle historji prawa polskiego. Ale zamykam nawias nie należący do rzeczy.

Kiedy prace wyżej wyliczone o św. Stanisławie były w toku, zaszedł inny wypadek, w którym *Przegląd* powołanym był zabrać głos, by docierać do prawdy dziejowej swojemi szlakami. W rok po ogłoszeniu pierwszej pracy Krotoskiego, odmówił prof. Brueckner „apostołom słowiańskim" charakteru katolickiego, co więcej, przedstawił ich (w krakowskim *Przeglądzie Polskim*) jako typowych bizantyńców, działających na szkodę Kościoła i nie chcących mieć nic wspólnego z cywilizacją łacińską; twierdził, że działali przytem podstępnie, wyprowadzając w pole Stolicę apostolską. Ani to dogmatu żadnego nie tykało, ani nie zmieniało w niczem stosunku Polski do Rzymu — ale trzeba zbadać sprawę dla ciekawości prawdy. Dziwna bądź co bądź rzecz, żeby Kościół aż tak dalece mylił się w kryterjach prawowierności; więc, czy się mylił?

Jeszcze w r. 1885 ogłosił w *Przeglądzie* pracę „Apostołowie Słowian" ks. Olechnowicz. Po ośmiu latach zajął się tem zagadnieniem ks. K. Czajkowski w dłuższej pracy, ogłaszanej w rocznikach 1903 i 1904 „Z powodu nowego poglądu na apostołów słowiańskich", poczem nastąpiła rozprawa najlepszego znawcy tych starych czasów, prof. Karola Potkańskiego „Konstantyn i Metodjusz". Od tego czasu można się spierać o wiele szczegółów, dotyczących osób i prac apostołów słowiańskich, ale o prawowierności ich względem papiestwa nikt już zapewne nie będzie wątpić.

Trzecią sposobnością do spróbowania wioseł na środku wzburzonego jeziora była (i jest jeszcze) sprawa o Piotra Skargę, głównie o stosunek jego do dworu Zygmunta III, a w szczególności pytanie, czy i w jakim stopniu przyczynił się do wywołania wojny domowej.

O Skardze pierwszy pisał w *Przeglądzie Powszechnym* cieszący się dotychczas dobrem zdrowiem prof. Aleksander Czuczyński w r. 1892: „Pochodzenie i rodzina ks. Piotra Skargi Powąskiego", w której wywodzi, że pochodzili od młyna w Grójcu, a przenieśli się do Powązek pod War-

szawą. Szkoda, że autor ten zaprzestał potem pracy twórczej, źródłowej, bo zdolności mu nie brakło; występował przez jakiś czas kiedy niekiedy w rubrykach sprawozdawczych.

Kiedy w r. 1911 obchodzono trzechsetną rocznicę zgonu wielkiego kapłana, kaznodzieji wyjątkowej wielkości i wielkiego prozaika polskiego, któż miał wystąpić z inicjatywą i stać się ośrodkiem akcji, jeśli nie *Przegląd Powszechny?* Czytamy też w roczniku 1912 cenne rozprawy ks. Sygańskiego T. J., „Skarga i Batory", następnie Szczęsnego Fidzińskiego „Piotr Skarga jako polityk" i w roku następnym ks. J. Sasa: „O Skardze, największym wichrzycielu Rzplitej", (polemiczny przeciw prof. Sobieskiemu). Poruszono wówczas sporo szczegółów, dotychczas należycie nie załatwionych naukowo; ale w tem odniósł *Przegląd* zupełny triumf, że Skargi nazywać „wichrzycielem" nie można. Współcześni akatolicy zacietrzewili się przeciw Skardze, a my wiemy, dlaczego i o co; obowiązkiem sług prawdy historycznej jest utemperować choć po trzystu latach, nadmiar protestanckiej wojowniczej swawoli, robiącej przestępcę z każdego przeciwnika.

Nie przestano na tych artykułach. W dniach 25 i 26 września 1912 roku urządzono „Zjazd Skargowski" w Krakowie. W wydanej księdze pamiątkowej czytamy porywającą mowę ks. Józefa Pelczara, wielki referat ks. Chotkowskiego: „Katolicyzm Skargi a katolicyzm Polski dzisiejszej" i drugi prof. Bronisława Dembińskiego: „Polski typ katolicki", a obok tego rozprawy Stanisława Tarnowskiego, ks. Leonarda Lipkego T. J., Wincentego Kosiakiewicza i wiersz Wiktora Gomulickiego, którzy pospieszyli zaznaczyć w *Przeglądzie* swe katolickie stanowisko. Słowo wstępne do „Roku Skargi" napisał redaktor ks. Pawelski, promotor całej imprezy.

Szła też z tego miesięcznika nieraz inicjatywa w sprawach, uznanych dopiero znacznie później za ważne i „aktualne". Np. sięgając do rocznika 1892, znajdujemy tam pracę, podpisaną tylko literami J. H. B., a zapytującą „Czy obraz Matki Boskiej częstochowskiej jest wschodniego pochodzenia?" a udzielającą odpowiedzi negatywnej; autor

zwraca uwagę na włoskie cechy obrazu. Albo drugi przykład, z dziejów kultu królowej Jadwigi za naszych czasów, artykuł Lucjana Rydla w r. 1907 pod wyrazistym tytułem: „Czy nie święta?" Ściśle naukowy artykuł mieliśmy teraz niedawno, prof. Jana Dąbrowskiego „Królowa Jadwiga".

Przedsięwzięciem na większą skalę była rozpisana w r. 1906 ankieta na temat, czego trzeba rozwojowi katolicyzmu w Polsce. Ciekawe to wielce do samej historji miesięcznika, wychodzącego wówczas dopiero od dwudziestu lat. Niesposób tu, choćby ze względów „technicznych" wyliczać zawartych w ankiecie prac, poruszających szereg długi zagadnień; wymagałoby to osobnej chyba rozprawy. Może kiedyś kto z młodego pokolenia, ktoś kto sam nie brał w tem udziału, napisze coś o tem krytycznie; trud się opłaci, albowiem ankieta stanowi istną skarbnicę wiadomości o stanie Kościoła i sprawy katolickiej, a zarazem o stanie społecznym Polski; tem ciekawsza, że zabierali w niej głos przodownicy polskiego Kościoła. O Polsce z początkiem XX wieku niesposób będzie wytworzyć sobie sąd historyczny, jeśli się nie uwzględni tej ankiety. Mnie tu jednak dziś chodzi o coś innego, o stwierdzenie czegoś z historji rozwoju naszego miesięcznika.

Jak *Przegląd* wżył się w społeczeństwo, ilu i jakich miał przyjaciół, to wyczytać można w roczniku 1906, podczas ogłaszania owej ankiety. Nie licząc stowarzyszeń, osobistych uczestników liczyła ankieta 76. A kogóż tam niema? Przedrukować ten spis nazwisk, a otrzymamy kwiat inteligencji polskiej, z tem oczywiście „ograniczeniem", że to wszystko katolicy. Ale czy antykatolicki obóz byłby zdołał przeciwstawić drugich 76 takiej samej powagi? Ktoby się zajął bliżej, szczegółowo, rozpatrywaniem tego zagadnienia o wzajemny stosunek inteligencji obu obozów w Polsce, zyskałby sobie zasługę; temat zaś wdzięczny, bo kogóżby nie zajął? i swoich i obcych, przyjaciół i nieprzyjaciół poruszy, a ileż spraw ciekawych wyjaśniłoby się przy tej sposobności, skoro mogą już być rozpatrywane bez nalotu „aktualności"! A gdyby się powiodło nawiązać kwestję do trzech dat: 1884, 1906 i 1933 — co za wartość takich „statystyk", w których nietylko liczyłaby się ilość, ale też wa-

żyłaby się jakość! A te trzy daty, toć założenie *Przeglądu Powszechnego*; rok 1906, mniej więcej połowa jego drogi, do oceny której posiadamy pierwszorzędny materjał; i doba dzisiejsza. Uwzględnić należy, jako każdy wogóle współpracownik *Przeglądu* przez sam fakt współpracownictwa deklaruje się i przystępuje do katolickiego obozu; należałoby tedy przeciwstawić im listę również zdeklarowanych antykatolickich pisarzy i uczonych. Środek, ludzie „letni", kompromisowi, rejestr nijakowców — to byłoby może najciekawsze.

Zestawienie wyników z lat 1884, 1906 i 1933 dałoby napewno obraz wzmacniania się katolicyzmu pośród pracujących piórem; to widoczne, bo tu wystarcza porównywać rejestry autorów w ogłaszanych co 6 lat „spisach treści". Nie wypisują się z pod znaku *Powszechnego* starzy, a młodych wciąż przybywa. Takie wrażenie narzuca się wprost w dziedzinie nauk historycznych. Można o *Przeglądzie* powiedzieć bez przesady, jako ożywił katolicki ruch naukowy na polu historji.

Czy zaś znać postęp w pojmowaniu historji? Było ono od początku szerokie, tak że co do tego *Przegląd* kroczył przodem, wyprzedzał innych. Łączność historji z prawem i socjologją rozumianą była doskonale w redakcji miesięcznika. Artykuły takiego pokroju nietylko przyjmowano chętnie, ale wywoływano je w pracowniach współpracowników. Poszukiwanie związków historycznych, porównywanie, uprawianie nauk pokrewnych z pomocą zmysłu historycznego, zwiększa się tu niemal z roku na rok. Rubryki prawa i socjologji rosną nieustannie. Zakon Jezuitów powołany jest najbardziej do pielęgnowania historyzmu porównawczego, albowiem członkowie T. J. zajmują się historją od samego niemal początku zakonu, a stanowiąc zespół inteligencji, działającej z zasady zawsze na podłożu naukowem, według badań, obejmującej zaś badaniami swemi coraz więcej krajów, coraz rozmaitsze ludy, siłą okoliczności rozszerzają sobie sami coraz bardziej pole myślenia, dochodzą niemal nieuchronnie do naukowego uniwersalizmu, dociekając losów i przeznaczeń coraz znaczniejszego płatu kuli ziemskiej. Uniwersalność zaciekawień historyzmu u Jezuitów obejmuje wszystkie cywilizacje i rasy, bo wszędzie pracowali.

Mogłoby się zdawać, że polscy Jezuici okresu porozbiorowego nie będą tym uniwersalizmem przejęci dostatecznie, tak, iżby wybite było piętno tej właściwości na ich miesięczniku. O samodzielnej misji w Rodezji nie było wówczas mowy, kiedy *Przegląd* powstawał. A jednak aż ponad spodziewanie i Polak był patrjarchą Indyj (arcybiskup Zaleski), Polak prefektem kongregacji *De propaganda fide* (ks. kardynał Ledóchowski). Wytwarzał się nastrój i zapał, że tak powiem „zamorski". I *Misje Katolickie* liczą już 52 lat zasłużonego żywota! Te okoliczności padały na szalę.

Etnografji, etnologji było zawsze w *Przeglądzie* w bród, bo podróżnictwo misyjne stanowi kopalnię tych historycznych nauk pomocniczych, jakiemi one są właściwie. Sporo tego materjału trzeba szukać w rejestrach pod firmą geografji, rejestrach zazwyczaj długich.

Zaraz w pierwszym okresie *Powszechnego* reprezentuje ów geograficzny uniwersalizm historyzmu godnie ks. Zaborski T. J., rzucając hojnie arcyciekawe artykuły, których lektura jakżeż rozszerzała horyzonty czytelników: O Hindusach i Chińczykach, a potem ważny artykuł: „Ludy turańskie i ich pojęcia religijne" — rozprawy tego rodzaju, oparte na studjach dłuższych, tudzież na własnem doświadczeniu osobistem zakonu, były w polskiem piśmiennictwie naukowem doprawdy pionierstwem. Wszystkie te rozprawy i rozprawki posiadają wartość dotychczas. Nie przestano zajmować się „egzotykiem" ani w rocznikach nowszej daty. Mamy np. w roczniku 1925 sprawozdanie z dzieła ks. Dahlmanna S. J. „Japans älteste Beziehungen zum Westen 1542—1624", w roku 1927 bardzo pouczającą rozprawę Wł. Masalskiego „Ekspansja islamu w świetle nowych poglądów"; w r. 1929 E. Słuszkiewicz „Wpływ chrześcijaństwa na sekty indyjskie".

W ostatnim roczniku (1933) rewelacyjną dla wielu była rozprawa R. Wierzejskiego „Wielcy chanowie a chrześcijaństwo". Niegdyś dał *Przegląd* życiorysy Gordona i Mahdiego, których walka i losy poruszały opinję europejską około roku 1888; a tę „ostatnią kartkę z dziejów Sudanu" podciągnięto skromnie pod rubrykę życiorysów. A kiedy po wojnie rosyjsko-japońskiej silono się, by pojąć, jak mógł japoński karzełek zwyciężyć olbrzyma rosyjskiego, przez

którego miał przecież być „czapkami zasypany", otrzymali czytelnicy *Przeglądu* w sam raz rozprawę prof. Włodzimierza Czerkaskiego „Rozwój Japonji po ostatniej wojnie". Podobnież obdarzono nas teraz pracą Konstantego Symonolewicza: „Powstanie państwa Mandżou-go" (1933).

Traktowano tedy historję szeroko; ale zarazem fundamentalnie. Gdzie poza *Powszechnym* uprawiano kalendarjografję? W owych latach zdobył się tylko ten miesięcznik na taki w Polsce zbytek. Rozsiewał zaś go ks. Konstanty Czajkowski T. J., którego stać było na takie samodzielne prace, jak „Astronomiczne określenie dnia Wielkanocy u Ojców Kościoła" — „Rok urodzenia Chrystusa Pana", lub „Dzień śmierci Chrystusa Pana". A normalne u Jezuitów wykształcenie wielostronne sprawiło, że rozprawa tak odmiennej treści, jak „Od Rogera Bakona do Harnacka", wychodziła z pod tego samego pióra. Nikogo zaś nie zdziwi, że ten sam autor bywał rozmaicie czynny w działach sprawozdawczych — bo do tych działów zaciągano wszystkich.

Dążeniem *Przeglądu Powszechnego* musiało być to, żeby sobie zapewnić jak najwięcej współpracowników we własnym domu, Jezuitów, żeby w młodszem pokoleniu zakonnem wychować jak najwięcej uczonych. Dopływ współpracowników z zewnątrz zawsze pożądany, a głos duchowieństwa w jakiejś sprawie natenczas dopiero nabiera wagi i skuteczności, gdy mu towarzyszą głosy katolików świeckich. Wiedziano o tem, pamiętano doskonale; ale przedewszystkiem trzeba było pamiętać o tem, żeby pismo nie było zależne w samem istnieniu swem od współpracowników z zewnątrz, żeby kierunek nietylko techniczny, ale też duchowy pozostał w ręku Towarzystwa, żeby w danym razie, w razie potrzeby, można było bez trudności oprzeć się na współpracownikach domowych, nie obniżając poziomu pisma.

Pod tym względem zdziałano w dziedzinie historji bardzo wiele. Gdy kiedyś w przyszłości pojawi się księga pisarzy T. J. w Polsce, będzie można podziwiać, ile wysiłku i ciągłej czynności twórczej poświęcali księża „scriptores" swemu miesięcznikowi; ale narzuci się zarazem pytanie, czemu to przypisać, że tak znaczna część tych uczonych wybrała sobie nauki historyczne za swe naukowe powołanie.

W tem okazuje się zrozumienie zakonu, co znaczy straż około tradycyj narodu, żeby zająć miejsce przy krytyce tej tradycji, a zajmować je w taki sposób, iżby nikt nie śmiał zarzucić braku kompetencji.

Nie zdołam wyliczyć tu wszystkich, starszych i młodszych, historyków jezuickich, pisujących w *Przeglądzie*. Ks. H. Cichowski omówił jubileusz pierwszego soboru powszechnego, nicejskiego z r. 325, w roczniku 1925; ks. Włodzimierz Piątkiewicz, późniejszy protojerej w Albertynie obrządku wschodnio-słowiańskiego zabierał głos „W ośmsetną rocznicę wielkiego synodu w Clermont" (1895); ks. Jan Urban zdawał sprawę z dzieła Bernarda Leiba, „Rome, Kiev et Byzance à la fin du XI siecle"; ks. Jan Sas informował o zajmującym ustępie z dziejów intelektu europejskiego, dotykając kwestji, jakie zajął stanowisko „Anatol France w sprawie Joanny d'Arc" (1908).

Z przełomowych czasów XVI wieku uwzględniano i Trydent i Lutra. Wydawnictwo niemieckiego Towarzystwa historycznego im. Goerresa *Concilium Tridentinum* referowane (do r. 1932 tomów 9). Starannie opracowane sprawozdanie z epokowego dzieła Deniflego podał w r. 1909 ks. Aug. Arndt: „Deniflé i jego dzieło o Lutrze"; referaty z prac Grisara znajdujemy w roczniku 1924. Do kwestyj religijnej rozterki i katolickiego odrodzenia odnoszą się jeszcze nader cenne rozprawy, jak ks. J. Rostworowskiego „Św. Piotr Kanizy; istota jego wielkości" (1925) i tegoż autora: „Św. Roberta Bellarmina historyczne znaczenie i naukowe dzieło" (1931), tudzież ks. St. Bednarskiego „Stosunki kardynała Bellarmina z Polską i Polakami" w roczniku 1928. I tak nie brak przyczynków jezuickich do historji powszechnej wszystkich okresów, aż do żywotów papieży Benedykta XV przez ks. Rostworowskiego i Piusa XI przez ks. Urbana.

A z historji polskiej ileż dorobku? Porządkując te prace, t. j. główniejsze z nich, chronologicznie według treści, znajdujemy w drugim roczniku *Przeglądu*, 1885, obszerniejszą rozprawę ks. Korytkowskiego: „Mikołaj Trąba, pierwszy prymas polski"; w roczniku 1893 ks. Romualda Koppensa: „Dwa lata w życiu Stanisława Orzechowskiego"; w trzechsetną rocznicę śmierci Batorego w r. 1886 dał ks. Stanisław

Załęski artykuł ogólniejszy p. t. „Stefan Batory. W trzechwiekową rocznicę jego śmierci"; drugi: „Wojenne plany Batorego 1583—1586" umieścił był jeszcze dwa lata przedtem, w r. 1884. Najwięcej prac poświęcono Zygmuntowi III. Trzy wyszły z pod pracowitego pióra ks. Józefa Sasa: „Stosunki polsko-tureckie w pierwszych latach Zygmunta III". „Układy o ligę przeciw Turkom za Zygmunta III" i „Wyprawa Zamoyskiego na Mołdawię" (1898, 1899). Jan III pociągał ku sobie pracowników, co zrozumieć łatwo doniosłością jego „dzieła wiedeńskiego". W dawnym roczniku, bo jeszcze 1886, znajdujemy pracę ks. Z. Bartkiewicza: „Jan III w Piekarach"; potem ks. Stanisław Załęski rzuca uwagi na temat „Vota i Sobieski"; w bieżącym zaś roku, kiedyśmy obchodzili 250 rocznicę ocalenia Wiednia i chrześcijaństwa, podał ks. J. Rostworowski „Kilka myśli z powodu wielkiej rocznicy", a młody, lecz już zasłużony, ks. J. Poplatek roztrząsa trafnie a źródłowo „Udział Polski w odsieczy wiedeńskiej". Snując dalej wątek chronologiczny, wymienić wypada ciekawą rozprawę czynnego bez końca ks. Stan. Załęskiego: „Nawrócenie się królewicza Fryderyka Augusta, 1700—1720". W początki wieku XIX przenosi nas ks. Marjusz Skibniewski pracą swą „Stosunek Napoleona I do Polski w latach 1812 i 1815 na tle jego korespondencji". W czasy smutne wprowadza nas biografja wielce zasłużonego O. Karola Antoniewicza, apostoła trzeźwości wśród ludu wiejskiego, który szedł między lud po roku 1846; obszerny życiorys z obrazem czasów, pióra ks. Jana Badeniego (w rocznikach 1893—95), a dalej praca ks. Wład. Czencza: „Pierwsza ofiara Murawiewa" (1895). Lepszym czasom naszym poświęcony jest referat ks. Kosibowicza z książki angielskiego publicysty, podpisującego się Augurem, „Walka o morze", umieszczony w roczniku 1929.

Z duchowieństwa świeckiego pomocnemi bywały do osiągnięcia jak najrozmaitszej wielostronności w dziedzinie nauk historycznych prawdziwie najwybitniejsze imiona, znane całej Polsce. Zasięgiem swym w przeszłość sięga *Przegląd* daleko wstecz trzech pokoleń, skoro w spisie autorów pierwszego pięciolecia znajdujemy ks. Ignacego Polkowskiego, starszego już wówczas, kanonika katedralnego, zarządzają-

cego archiwum kapitulnem, zasłużonego wydawcy źródeł do Sobieskiego. Znał go i kochał cały Kraków, uczeni i prostaczkowie, zamożni i ubodzy. Zapisany tam również ks. Ludwik Radziejewski, postać historyczna, bo nietylko pisywał, ale on robił historję, mianowicie odbierał dla Polski Śląsk Górny (założyciel *Katolika* w Bytomiu), za co wygnano go do „diaspory" na piaski brandenburskie. Człowiek jeden z najdzielniejszych, jakich znałem, a kapłan wysokiego powołania, bez skazy, ofiarny, nie pamiętający nigdy o sobie. Od roku 1890 dużo spotykamy prac ks. Józefa Bilczewskiego, profesora archeologji chrześcijańskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim, następnie arcybiskupa lwowskiego. Ks. Józef Pelczar, także profesor Uniw. Jagiell., następnie biskup przemyski, fundator „Służebniczek S. J." (vulgo „Pelczarek", acz im surowo zakazał tak się nazywać) podał był jeszcze w r. 1887 pracę przedstawiającą „Tajne stowarzyszenia włoskie w pierwszej połowie XIX wieku". Wielkiej sławy używający w całej Polsce profesor historji kościelnej tegoż uniwersytetu, ks. prałat Chotkowski tu umieścił swe studjum „Ostatnie lata Benedyktynów w Tyńcu". Z innych wpisał się do *Przeglądu* ś. p. ks. prałat Czesław Wądolny jeszcze za starych czasów, umieszczając w r. 1893 rozprawę p. t. „Opactwo St. Florian w Austrji". Żyje za to w dobrem zdrowiu drugi z najstarszych współpracowników, ks. prof. Fijałek, uczeń i następca ks. Chotkowskiego; figuruje zaraz w pierwszem pięcioleciu pośród recenzentów, w r. zaś 1890 zamieszcza cenną rozprawę „Działalność Grzegorza W. we Włoszech", i potem szereg mniejszych referatów. Gorliwym współpracownikiem jest ks. biskup Michał Godlewski, prof. Jagiellońskiego Uniwersytetu, który oddał *Przeglądowi* całą swą książkę „O mistycyzmie cesarza Aleksandra I", rozmieszczoną w trzech rocznikach 1923—1925; dodając w r. 1928 ustęp z najnowszych swych studjów „Arcybiskup Siestrzeńcewicz i Stanisław August w Petersburgu".

Ale pora już przyjrzeć się bliżej osobom współpracowników, duchownych czy świeckich. Ze starszych wiekiem ode mnie, tudzież z osób mego pokolenia, w całem pierwszem dziesięcioleciu *Przeglądu* trzech tylko było współpracowników w dziedzinie historji, których nie znałem osobi-

ście: Ferdynand Bostel, który ugrzązł następnie w wiedeńskiem ministerstwie oświaty i skutkiem tego umilkł ku największemu żalowi kolegów-historyków. W *Przeglądzie* brał udział w dziale sprawozdawczym. Drugim mi nieznanym osobiście był baron Gustaw Manteuffel, Inflantczyk Polak, dziejami Inflant zajęty. Spotykamy go w wykazie autorów zaraz w spisie treści pierwszego pięciolecia, ale nadsyłał (mieszkał stale w Inflantach) wówczas tylko drobiazgi referatowe. Z samodzielnemi pracami wystąpił w *Powszechnym* dopiero w trzeciem pięcioleciu, dając do druku takie prace, jak np. „Książę Jakób kurlandzki i jego następcy" — „Przewroty w dziejach księstwa kurlandzkiego XVIII wieku" — „Księstwo inflanckie XVII i XVIII stulecia". Trzecim był Kajetan Kraszewski, pisarz nader miłej lektury, doskonale pisać umiejący, autor kilku bardzo ciekawych przyczynków do dziejów kultury polskiej, z których w *Przeglądzie* umieścił dwa: „Urywki ze wspomnień nowogrodzkiego szlachcica" i „Z dziejów możnej rodziny" (1893).

Ograniczywszy się do pierwszych pięciu lat *Przeglądu Powszechnego,* przeglądając rejestry najstarsze współpracowników, widzę ze smutkiem, że żyją już tylko trzy osoby: Pani Romualda Baudouinowa de Courtenay, władająca świetnie piórem, a używająca go „konserwatywnie"; dyrektor Leonard Lepszy i ksiądz profesor Jan Fijałek. Wszyscy inni odeszli już tam, gdzie ciało nie zawadza duszy. Ja sam nie należę do najstarszych, albowiem należę do współpracowników *Przeglądu Powszechnego* dopiero od lat czterdziestu czterech.

Dwie niepospolite postacie łączą się z memi dawnemi wspomnieniami, tyczącemi *Przeglądu.* Pierwszy jego redaktor, ks. Marjan Morawski, prof. Uniw. Jagiellońskiego, nieśmiertelny autor „Wieczorów nad Lemanem", tłumaczonych na tyle języków — sprawiał wrażenie niezatarte, bo w rozmowie jakby duchem swym uderzał, a przytem fizycznie stanowił coś nadzwyczajnego: jakby zjawa, odrzucająca za życia jeszcze ciało; zostały oczy i nerwy. Ruchliwy, wrażliwy, interesował się wszystkiem i lubił rzymskie adagium: *nil humani a me alienum puto.* Intelekt uniwersalny, posiadający jedną połowę wiedzy z głębokich studjów, a chwytający drugą

nadzwyczajną intuicją. Demonstrował w swych wywodach związki logiczne, jak rzadko kto, tak dokładnie i ściśle, a miał zarazem formalnie artystyczną zdolność korzystania z asocjacji, której jakżeż misternie i subtelnie używał!

Drugi fizycznie z natury silny, tak dalece, iż ani życie ascetyczne nie zdołało zetrzeć z niego piętna siły; wysoki, w ruchach jakby je obmyślił, umiarkowany, a wielce dostojny całą postacią; wzrok wpatrzony w krańce horyzontu, gdy przechadzał się pod swym klasztorem na Czerny pod Krakowem, szukający nieskończoności kontemplacją, a czasem (rzadko niestety) udzielający wyników swych doświadczeń i rozważań głosem przytłumionym, wielce rytmicznym, a z rytmem wyrażającym pewność siebie: to O. Rafał Kalinowski, Karmelita „bosy", niegdyś sztabowiec armji rosyjskiej, następnie powstaniec 1863 roku i mimowolny podróżnik dookoła świata, aż zawinął do przystani klasztornej, gdzie „pod Krakowem Krzeszowice, najpiękniejsze okolice". Związek zaś tej czcigodnej postaci, w mych wspomnieniach, z *Przeglądem* taki, że pozwolił mi (na spółkę z dr. Krotoskim) przewertować znajdujące się na Czerny archiwum Karmelitanek wileńskich, z czego potem sprawozdanie *Powszechny* łaskawie umieścił — i to był mój debiut tutaj. Dodajmy, że żywot tego niepospolitego męża i wielce świątobliwego zakonnika umieściła w *Przeglądzie* w r. 1927 pani Eleonora Reicherowa p. t. „O. Rafał Kalinowski, szkic biograficzny".

Za temi dwiema naczelnemi dla mej pamięci postaciami snuje się cały szereg pisarzów z niwy dziejopisarskiej, których się znało osobiście; gdy przeglądam najstarsze roczniki naszego miesięcznika, kroczę po cmentarzu, a nie strwożony, bo zeszyty te wywołują wyłącznie same duchy jasne. Oto widzę, jakby dziś stali przede mną, dwóch starców pochylonych: Marjana Dubieckiego i Giżyckiego: i trzeciego wyprostowanego, nieco tylko od tamtych młodszego Jana Grzegorzewskiego. Wszyscy trzej brali udział w roku 1863, Dubiecki należał przez pewien czas do Rządu Narodowego. Arcypowaga naszego miasta a powaga na całą Polskę, Dubiecki, wiecznie zamyślony o jakiejś książce; wzrok miał osłabiony wprawdzie, ale bibljotekarza poznawał

na drugim końcu ulicy i zaraz do siebie przyzywał. Człowiek dziwnej delikatności i skromny. W *Przeglądzie* pozostawił bodaj czy nie najlepsze swe prace: np. „Kaffa", „Zawiązki Siczy", „Zarysy instytucyj Zaporoża", „Car Aleksy Michajłowicz na Litwie" i inne.

Zacnością nikomu nie ustępujący Giżycki, potomek rodu, który słynął za Zygmunta Augusta z pięknych stadnin, miał naturę, obyczaje, upodobania i cały *habitus* już czysto biurkowe, profesorskie. Będąc rosyjskim poddanym, nie pisywał nigdy pod własnem nazwiskiem. Takich było więcej, ale on używał pseudonimów i kryptonimów przynajmniej dziesiątek. W *Przeglądzie* występował jako Wołyniak i Witort. Specjalnością jego, niezmiernie pożyteczną, były badania w sprawach dawnych klasztorów i szkół w Krajach Zabranych, a miał do tego materjałów mnóstwo; toteż drukował w *Przeglądzie* często. Byłoby to prawdziwie zasługą, gdyby kto zebrał rozprawy i rozprawki Giżyckiego, póki nie zaginie tradycja o jego pseudonimach. Trzebaby dociekania jego zesumować i wycisnąć z nich syntezę, czego on sam nie zdążył zrobić.

W przeciwieństwie do domatora Giżyckiego żył Jan Grzegorzewski niefrasobliwie pomiędzy Paryżem a Sofją, nieobarczony obowiązkami rodzinnemi. Osiadłszy potem w Sofji, był tam istnym konsulem polskim. Potem wydawał w Krakowie „Rocznik orjentalistyczny" i wydobył trochę źródeł tureckich do spraw polsko-tureckich. W *Przeglądzie* ogłosił na początek rzecz o „Ukrainie połabskiej", a potem dopiero pisywał informacje z Bałkanu.

Nie miał związku z powstaniem Wojciech Kętrzyński, ale pokazał swoje Prusakom. Wyrósł jako Adalbert Winkler i dopiero przygodnie, przy swych szperaninach archiwalnych doszedł, jako przodkowie jego, dawno w Prusiech Królewskich osiedli, szlachtą polską byli i zwali się Kętrzyńskimi. Stał się najgorliwszym patrjotą polskim i ten tylko ślad germanizacji pozostał na nim, iż nie zdołał wymawiać brzmienia ł. Przyjęty do Ossolineum, został tam wkońcu dyrektorem. Znakomity medjoewista, stosunki z *Przeglądem Powszechnym* rozpoczął od „Założenia biskupstwa płockiego" i „Biskupstw i klasztorów w Polsce w X i XI wiekach". Jego

to praca „Die Lygier" stała się kolebką sienkiewiczowskiej Lygji, pojętej jako Polki.

O ile Kętrzyński nie miał w sobie nic z móla książkowego, o tyle Władysław Wisłocki nie znał świata innego, jak tylko ten, który leżał po drodze między mieszkaniem rodzinnem a bibljoteką. On wydał katalog rękopisów bibljoteki Jagiellońskiej, której był kustoszem; był wogóle jednym z pierwszych historycznych edytorów u nas. Piastował godność historjografa uniwersytetu, ufundowaną i dotowaną niegdyś przez Sebastjana Petrycego; z biegiem wieków dotacja stopiła się do 25 guldenów rocznie — ale zaszczytny tytuł był w poważaniu. Wyszperał niejedno z dziejów uniwersytetu. W *Przeglądzie* umieścił rozprawę zaciekawiającą już samym tytułem: „Wisnka - Wistka, św. Florjan, ks. dr. Wyszuka i Marcin Bielski". Zajął się potem św. Janem Kantym, lecz nie doprowadził pracy tej do końca. Trochę ogłosił w Akademji Umiejętności, a zakwestjonował wtedy datę urodzin świętego patrona uniwersytetu.

Było to w r. 1889, a ponieważ na następny rok przygotowywano już obchód pięćsetnej rocznicy, kłopotał się tem proboszcz od św. Anny, strażnik grobu św. Kantego. Ale autor pięciotomowej „Historji reformacji w Polsce" zabrał się sam do historycznego warsztatu, ogłosił w *Powszechnym* rozprawę „O dacie narodzenia św. Jana Kantego i jej 500-letniej (*sic*) rocznicy w roku przyszłym" — i powiodło mu się, został sam na placu.

Dużo pracował dla *Przeglądu* ks. prałat Chotkowski, prof. uniwersytetu, chociaż oryginalną pracę źródłową umieścił tylko jednę „Ostatni Benedyktyni w Tyńcu". Był to umysł o wielkim rozsądku, którego używał w służbie najszczytniejszego idealizmu. Ogółowi znany był dla swej wymowy kaznodziejskiej, w której stanął rzeczywiście obok najsłynniejszych mówców kościelnych polskiej przeszłości. Z nim zaczyna się druga serja współpracowników naszego miesięcznika.

Tu należy Ludwik Dębicki, który zaraz na początku ogłosił w *Przeglądzie* wyjątek ze swego dzieła o Puławach ustęp p. t. „Stronnictwo patrjotyczne na Wielkim sejmie i po upadku konstytucji". On jest założycielem krakowskiej

„Wenecji"; było to po raz pierwszy, że ktoś w Krakowie miał odwagę mieszkać „daleko za miastem".

Z tegoż pokolenia był August Sokołowski, poseł do parlamentu wiedeńskiego, a mój profesor historji w trzeciej klasie gimnazjalnej. Przy nauce historji uczył myśleć i tem pozyskał sobie szacunek i przywiązanie „całej klasy". Wykłady jego były złotouste doprawdy, a jasne i wyjaśniające. Przygotowywał podręcznik dla klas wyższych, lecz wydał drukiem tylko tom I., starożytną, bo Rada Szkolna podręcznika nie zatwierdziła. Uczniowie atoli sami kupowali „Starożytną" i z własnej ochoty z niej się uczyli, robili indeksy, wypisy, rejestry i t. p., „żeby historji coś umieć", bo kucie z oficjalnych podręczników Puetza i Gindelego nie dawało nam nic; takie były oschłe, kronikarskie. Ale Sokołowski należał do „opozycji", t. j. nie we wszystkiem podzielał opinie krakowskiego delegata namiestnictwa i kandydował na posła z opozycji; a zatem nie mógł dostać placet na podręcznik szkolny. Uczniowie nietylko bezpośredni jego, których sam nauczał, ale ogół gimnazjalistów, zachwycał się tą książką; a niżej podpisany z winy Sokołowskiego został nawet sam historykiem. Ten pierwszy mój nauczyciel przysługiwał się *Przeglądowi* referatami i recenzjami.

Drugi bibljotekarz „Jagiellonki", Rudolf Ottman, ogłosił w *Przeglądzie* studjum o wojewodzie kijowskim z połowy XVII w., Adamie Kisielu, który poszukiwał ugody z Rusią — i rozprawkę o pierwszej rocznicy Trzeciego Maja, jak ją obchodzono w r. 1792. W bibljotece był pedantem; ale trzeba go było widzieć wieczorem w kole literacko-artystycznem pod prezydencją Juljusza Kossaka (Kossaka najstarszego), jak pięknie deklamował i wykazywał uosobienie przymiotów towarzyskich.

Alojzy Szarłowski, kresowiec ukraiński, profesor gimnazjalny, świetny znawca moskiewszczyzny, pisywał do *Powszechnego* często ciekawe przyczynki do dziejów unji kościelnej, z historji sekciarstwa rosyjskiego, tudzież z przeszłości Białorusi.

Trzecią serję współpracowników, wiekiem mi mniej więcej równych, rozpoczyna w mej pamięci Antoni Karbowiak, profesor wyższej szkoły przemysłowej i docent uniwersytetu,

ten, którego dzieła stanowią fundament nowszych studjów do dziejów szkolnictwa w Polsce. W *Przeglądzie* pozostawił po sobie pracę „Ubiory profesorów i uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Nie zabrakło, niestety, wypadków śmierci ani pośród współpracowników późniejszych roczników; ale poprzestałem na tych, którzy dłużej już czekają w grobach na ludzką niepamięć. Wspomnę jeszcze tylko stratę jednego, który posłuży mi zarazem za pomost do dalszej części niniejszych rozważań o półwieczu miesięcznika.

Mam na myśli postać niepospolitą Kazimierza Morawskiego, profesora języka i literatury łacińskiej w krakowskim uniwersytecie. Wysoki, jak Grzegorzewski, krzepki jak ks. Chotkowski i również wyposażony w głos i wymowę, mogący mówić dość długo nawet *sub Iove*, nie zatracając wdzięku ekspresji ni rytmiki. Mówił doskonale i bez przygotowania, ale co było szczególnego u niego, że nawet wtedy, kiedy się dokładnie przygotował, taki miał sposób swój własny wymowy, iż zawsze sprawiał wrażenie improwizującego, a to oddziaływało na słuchaczy tem silniej. Pełen wiedzy i estetycznego wykształcenia, a pozbawiony pedantyzmu, o temperamencie gorącym, a miarkowanym wielkim rozumem, kochał ludzi i ludzkie sprawy, patrjotą był w każdym kroku i we wszystkiem poczynał sobie po chrześcijańsku. Namiętność posiadał jedną, że był istnym fanatykiem prawdy. Pod jej hasłem nie wahał się choćby rozchodzić się z dotychczasowymi przyjaciółmi, bo *amicus Plato, sed magis amica veritas.* Wiadomo, jak długo zbierał i zbierał, zatopiony w analizie, zanim zdecydował się dać syntezę swych rzymskich studjów. Chociaż młody nietylko duchem, ale też ruchami i całem zachowaniem się, metrykę miał już wcale nie młodą, kiedy zaczął wydawać swe „Dzieje literatury rzymskiej". Jakoś nabierał ruchów coraz bardziej pospiesznych, a ostrzegany, że to może być niezdrowe, mawiał: „Ja muszę się spieszyć, bo już czasu mam niewiele".

Był głową studjów klasycznych w Polsce. Przebywający w Petersburgu, Tadeusz Zieliński nie pisywał jeszcze po polsku. Nie zaliczano go zgoła do nauki polskiej, kiedy Morawski oddawał *Przeglądowi* swego „Katona Starszego"

w r. 1908. Studjum historji starożytnej dziś jest u nas przynajmniej na świeżym dorobku, ale wtedy było ledwie „na przedwiośniu". Wschodem starożytnym zajął się potem ks. Wład. Szczepański, którego „Egeę i Hatteę" referował znakomity biblista, ks. prof. Jan Archutowski, w r. 1924. Ależ tego samego już roku spotykamy w rzędzie współpracowników także prof. Zielińskiego z piękną i poważną pracą: „Proza artystyczna i jej losy". Dwie rzeczy ma Zieliński wspólne z Morawskim, obaj piszą pięknie, styliści nieporównani — i obaj dają świadectwo temu, że w starożytności klasycznej mieści się dla człowieka nowoczesnego niewyczerpana kopalnia tematów. A zatem uczą obaj, czem była owa umysłowość klasycznej starożytności, czy obejmowała dziedzin ducha znacznie mniej, niż nasze głowy? Badania owej starożytności robią nas doprawdy coraz skromniejszymi.

Jeszcze bardziej zbawiennie działa — bo już w chrześcijańskiej dziedzinie — rewizja zapatrywań na średniowiecze. Zaprotestowano już dość dawno przeciw zasadniczemu wyodrębnianiu ich od „nowoczesności", od dwóch warstw oświat: starożytnej i nowoczesnej. Pojawił się wówczas w *Przeglądzie* artykuł prof. Gotfryda Kurtha „Co to są wieki średnie?" Na drugim końcu pięćdziesięciolecia upomina się w *Przeglądzie* o nawiązanie ze średniowieczem na nowo A. Kliszewicz, autor pracy „Średniowiecze a teraźniejszość", w której łączy się wieloletnia widocznie erudycja o przeszłości z wypatrywaniem przyszłości. A jakież to znamienne, że autor jest z zawodu inżynierem! Tak pryskają wreszcie uprzedzenia.

Największą powagą cieszący się prof. lwowski Wład. Abraham, omówił „Edykt medjolański, w 1600-ną rocznicę" w r. 1913; Alina Świderska rozwijała temat wspaniały „Św. Franciszek a Dante" (1926); ks. J. Umiński opisuje „Czwarty sobór lateraneński (r. 1215) i udział w nim Polski" (1925); o Savonaroli wobec nowszych badań informował dyr. Krotoski (1900); prof. Oskar Halecki zajął się „Przełomem w dziejach unji kościelnej w XIV wieku" (1929). Czyż brak momentów z dziejów powszechnych tematom, jak Z. Birkenmajerowej „Z najstarszych dziejów zakonów serafickich

w Polsce" (1925); K. Górskiego „Ustrój korporacyjny w Polsce średniowiecznej" (1933)?

Czasy nowożytne od XVI stulecia, rozpoczyna praca Eugenjusza Barwińskiego „Zygmunt Stary i wojna szmalkadzka"; do ostatnich lat (1929) doprowadza swój referat ks. Czesław Falkowski, prof. uniwersytetu wileńskiego, „Luter w świetle nowych badań"; jest też ciekawa rozprawa A. Kossowskiego „Hozjusz i Orzechowski w ostatnim roku soboru trydenckiego" i druga ks. prof. J. Umińskiego „Kandydatura Hozjusza na stolicę apostolską" (1931).

Nie brak w *Powszechnym* prac do historji powszechnej z czasów nowszych. Jest tu jedyna bodaj w polskiem piśmiennictwie oryginalna źródłowa praca do historji szwedzkiej: „Jan III Waza i misja szwedzka Possewina", (1901); wieloma klinami wrzynają się w historję powszechną cenne prace W. Tomkiewicza „Rzplita polska i W. Księstwo moskiewskie a problem czarnomorski" (1932); Mieczysława Skibińskiego „Francja a Polska w latach 1674—1683", (rocznik 1927) i lat bezpośrednio następnych dotycząca K. Piwarskiego „Polska a Francja po roku 1683" — tudzież taka zajmująca rozprawa Loreta „Życie polskie w Rzymie w XVIII wieku" (1928). Prof. lubelski Paciorkiewicz opisał według nowszych badań „Dwór Ludwika XIV", (1923).

Poważny ten dorobek zwiększają prace wyłącznie z dziejów polskich: M. Niwińskiego „Średniowieczni opaci klasztoru wąchockiego", (1931); Krotoskiego: „Walka o tron krakowski 1228 roku", (1895); J. Feldmana „Dzieje unji jagiellońskiej w świetle badań historjografji polskiej", (1924); Antoniego Prochaski „Św. Kazimierz w dziejach" i „Św. Józafat Kuncewicz", (1922); M. Gumowskiego „Ulryk Hozjusz, ojciec kardynała, horodniczy wileński", (1926); M. Smolarskiego „Podróż legata papieskiego po Polsce w r. 1596", (rocznik 1932); Antoniego Prochaski „Wrogowie hetmana Żółkiewskiego", (1926); St. Smolki „Jeden z planów odbudowy Polski", o planie powołania arcyksięcia Karola Habsburskiego na tron polski podczas powstania listopadowego (1907). W ostatnim roczniku przybywa J. Pajewskiego „Turcja wobec elekcji Walezego"; Władysława Czaplińskiego „Kongres w Nikolsburgu 1638 roku", był to zjazd Włady-

sława IV z cesarzem — i dwie prace Tomkiewicza: „Zasięg kolonizacji polskiej na ziemiach ruskich“ i „Cerkiew dysunicka w dawnej Polsce“; wreszcie J. Czarneckiego „Arcybiskup Ledóchowski podczas kulturkampfu“, (1928).

Czy bardzo zwraca uwagę, że liczne stosunkowo są prace z dziedziny historji kościelnej? A może zwracałoby uwagę bardziej, gdyby były stosunkowo nieliczne? Miesięcznik T. J. nie może nie dbać przedewszystkiem o dzieje Kościoła. Nad tem niema się co zastanawiać; natomiast warto pomyśleć, czy też dzieje Kościoła nie stanowią bramy do całej historji powszechnej, bramy rozwartej szeroko? Mamy zaś w *Przeglądzie* specjalną rozprawę M. Skibniewskiego „Historja kościelna w jej stosunku do powszechnej“ (1925), gdzie poddano roztrząsaniu zagadnienie „co ma historja kościelna wspólnego z powszechną, a czem się od niej różni“.

Zresztą dla „równowagi“ jakby, *Przegląd* poświęcał dosyć miejsca sprawom... wojskowym. W rubrykach sprawozdawczych sporo tego, a w ostatnich latach nabrał miesięcznik wyglądu dość „militarystycznego“. Bo proszę „posłuchać i zważyć u siebie“, że nietylko dali nam Konstantego Górskiego „O wojskowości polskiej za Piastów“, ale Ferdynand Kudelka opisał szczegółowo „Bitwę pod Humaniem 1619 roku“ (1926), a Edward Winkler wystąpił z rozprawą „Projekt biskupa Wereszczyńskiego regularnej armji polskiej na kresach“ (1922).

Dużo też pisywano o Rosji, z którą i kościelne i orężne sprawy... dzielą nas. Prócz wymienionych już prac z tej dziedziny (a powtarzam, że wszystkich nigdzie nie wymieniałem) chciałbym podkreślić jeszcze niektóre o znaczeniu ogólniejszem. Wyjaśniano sprawy rosyjskie wielostronnie. Swego czasu, po roku 1880, podano przekład słynnego artykułu Włodzimierza Sołowiewa z Wiestnika Jewropy: „Sfinks historyczny“, a niedługo potem, w r. 1890 ks. Marjan Morawski spisał życiorys Sołowiewa. Informowano o stosunkach rosyjskich stale, aż do obrazu Aleksandra II przez Jana Kucharzewskiego (1926) i do rozprawy emigranta rosyjskiego Wilińskiego „Eurazja“ (1929).

W ostatnich latach wprowadza się też slavica. Niegdyś pojawiały się rzadko i tylko w związku z historją polską,

np. Ludwika Żychlińskiego „Marchja brandeburska za Askańczyków zarodkiem monarchji pruskiej" w r. 1885, poczem aż dopiero w r. 1907 pojawiła się praca Prochaski o królu Jerzym Podiebradzkim. Za to w r. 1913 umieścił tu prof. Adam Krzyżanowski trzy rozprawy „Wojna bałkańska", „Polityka bałkańska Austro-Węgier" i „Katastrofa Bułgarji". W roczniku 1931 odznacza się praca W. Gumowskiego „Jaksa, ostatni książę braniborski", a zaraz w następnym temat z przeciwległego końca Słowiańszczyzny, a w opracowaniu również źródłowem, Z. Oknińskiego „Stefan Duszan, car Serbów i Greków". Zasila też *Przegląd Powszechny* swemi pracami, zawsze wielce dokładnemi, dyr. Jan Magiera: „Spisz katolicki" (1933).

Do historji włączyć należy liczne życiorysy. Długi ich katalog: mogę zacytować ledwie drobną garstkę dla przykładu. Ale przedtem powiem coś, co może znowu będzie wyglądać na żart. Oto o życiu Mendla, można się w całem piśmiennictwie polskiem (przyrodniczego nie wykluczając) dowiedzieć czegoś naprawdę jedynie w *Przeglądzie Powszechnym* z artykułu ks. L. Wrzoła „Ks. Grzegorz Mendel; kilka dat biograficznych o twórcy teorji dziedziczności" (1924). Autor widocznie nawet nie zdawał sobie sprawy, ile usunął mylnych wiadomości! To tylko nawiasem dla stwierdzenia, że dobrych informatorów miewa miesięcznik.

Życiorysy, zamieszczone w *Przeglądzie*, są z reguły rozprawkami, a nawet rozprawami historycznemi. Lacordaire, Louis Pasteur, Fryderyk Overbeck, Ozanam, Wihdhorst i Bismarck, toć imiona jakby hasła pewnych spraw, kierunków, jakby ciężarki na szalach historycznego Dobra i Zła. Oczywiście daje *Przegląd* pierwszeństwo przedstawicielom Dobra, woląc o nich pisać. A czynne były w tym dziale pióra pierwszorzędne. Ks. arcybiskup Teodorowicz dał biografię Leona XIII swego pióra, tudzież słynnego burmistrza Wiednia, Luegera. Życiorys drugiego papieża, Piusa X., napisany był przez lekarza, sławnego w swoim czasie okulistę prof. Un. Jag., Wicherkiewicza, który przez długie lata był filarem życia zbiorowego katolickiego w Poznaniu, następnie w Krakowie. Wspomnienie życia i czynów Gladstonea pochodzi od prof. Un. Jag. Romana Dybowskiego. Z naszych

wybitnych mężów bardzo zajmujący życiorys „księdza-patrona" Wawrzyniaka dał tu ks. prof. Zimmerman, a prof. Bujak uczcił jubileusz ks. Tyczyńskiego, słynnego proboszcza w Leżajsku, następnie w Albigowej, działacza społecznego na wielką skalę, a przytem indywidualności oryginalnej, jak rzadko. Życie i dzieła pierwszego dziś slawisty, Słowieńca prof. Matiasza Murki, profesora niegdyś w Gracu, a następnie i obecnie w Pradze, napisał Tad. Stan. Grabowski, późniejszy nasz poseł w Sofji, następnie w Brazylji. Tych żywotów, artykułów jubileuszowych i nekrologów, jest taka moc, iż powstałyby grube tomy, gdyby je przedrukować, a stanowiłyby doprawdy bardzo zajmującą historję czasów najnowszych w biografjach; uzupełnień wymagałaby taka książka niewiele.

Nekrologi bywały często zrazu sumaryczne, poczem dopiero następował właściwy życiorys, opracowany należycie, z namysłem, zazwyczaj po umyślnych poszukiwaniach i studjach. Zawierają nieraz istną tragedję, gdy kosiarz naukowego czy społecznego żniwa, w największym właśnie działający rozmachu, nagle musiał ulec kosiarce najprzemożniejszej, śmierci. Tragedja uczuć ludzkich bywa nawet często wprost przeraźliwa; ale istnieje jeszcze gorsza, której czas nie goi, głębsza i poważniejsza: tragedja niewykończonego czynu; tragedja bezskutecznego napięcia woli. Dziwna rzecz, że o tem tak mało się mówi... A ten rodzaj ciężkiego nieszczęścia wymagałby pocieszenia jeszcze bardziej, niż tamten.

Nekrologów pełno. W roku 1901 zazębiały się o siebie w sposób szczególny a wstrząsający. Oto ks. Jan Badeni, autor rozgłośnych „Obrazków z nędzy krakowskiej" (ach! gdyby je kto uzupełnił dodatkiem z ostatniego pokolenia, i wydał je na nowo!) dokończył właśnie druku życiorysu wielkiej postaci ks. Karola Antoniewicza T. J. W tym roku zmarł był ks. Władysław Zaborski, ów orjentalista, a pisał mu nekrolog pierwszy redaktor, ks. Marjan Morawski, swem piórem pełnem wzlotów. Wypadło mu pisać jeszcze jedno wspomnienie pośmiertne, mianowicie ks. Jana Badeniego. Ależ ks. Morawski tegoż jeszcze roku sam odszedł w zaświaty! Żegnał go artykułem biograficznym ks. Stanisław

Kobyłecki. Wyczerpujący życiorys przygotowywał długo ks. Józef Tuszowski T. J., aż dopiero w zeszłym roku wyszło dzieło „O. Marjan Morawski 1845—1901" — a recenzję napisał ks. Jan Urban w roczniku 1932.

Przechodzimy, odchodzimy, czerpiąc zyski z trudów poprzedników; tyleśmy warci, ile przygotujemy zapasów dla naszych następców. Obcowanie pokoleń na tle wiary, nadziei, miłości, stanowi największy życia urok, a zarazem wielki gościniec postępu. A więc znów kwestja tradycji! Pokolenie pokoleniu podaje pomocne dłonie; ale gdy znajdzie się takie pokolenie, które odtrąci wyciągnięte ku sobie ręce ojców, gdy przerwie się ogniwo w tem pasmie, kończy się postęp, a zaczyna ruina. Dzień dzisiejszy jest właśnie dniem bitwy tradycji i historyzmu z eksperymentatorstwem, tak ulubionem, gdzie próżnia mózgów towarzyszy próżni serc.

Każdy z nas bierze udział w tem wielkiem starciu historycznem, choćby nawet nie zdając sobie sprawy z tego; walka coraz ostrzejsza, staje się często zajadłą, a zwłaszcza ze strony przeciwników tradycji, historyzmu, będących z reguły zarazem wrogami Kościoła; ci też nie zwykli przejmować się hasłem Ojczyzny. A kiedy polegniemy, następne pokolenie sądzić będzie, czyśmy walczyli dobrze; jeśli nie dopiszemy, biada nam i potomnym.

Walcząc, nie wolno się roztkliwiać! Na to nie mamy czasu, bo każdy ma dzień w dzień swą robotę, którą winien odrabiać jak najlepiej umie i może, a warunkiem plonu, żeby robota była w porę; dlatego niema bojownik czasu na uboczne uczuciowe wzruszenia. To już jest rzeczą Tyrteuszów towarzyszących hufcom bojowym (w tem rola poezji); żołnierz nie ma czasu oddawać się uczuciom, bo dzień w dzień czeka jego roboty jakaś „aktualność". Kto chce opanować czasy swoje, nie może zlekceważyć ni dnia.

Dobrze też czyni *Przegląd,* że uczy spojrzeć w oczy „aktualnościom", bo historyzm nie kończy się na dniu wczorajszym, gdyż nie kończy się nigdy, kryjąc w sobie ziarna przyszłości. Nasuwa mi się ciekawy przykład. Czyż artykuł ks. Jana Kruszyńskiego z przed lat 21, z rocznika 1912, p. t. „Przyszłość Palestyny" nie dotyka czegoś najaktualniejszego?

Radzi więc jesteśmy i zobowiązani redakcji i współpracownikom, gdy można trzymając się *Powszechnego* poznać za panią M. Kasterską „Trzy życia Pawła von Hindenburg", a za K. L. Konińskim „Logikę swastyki". Dzień dzisiejszy obserwowany *sub specie aeternitatis*, oto „aktualność" pism takich, jak *Przegląd Powszechny*.

Jeśli jednak historja ma się przydać do zwycięstwa historyzmu, musi się zreformować, ażeby nareszcie stała się nauką, żeby mogła podać prawa i począć przewidywać. Według wszelkiego prawdopodobieństwa rozpocznie się wkrótce europejska dyskusja o syntezę w naukach historycznych; lokalne bowiem dyskusje i polemiki dojrzały już dostatecznie (Polska nie brała w nich udziału!). Trzeba będzie celem uzyskania metody do wykrywania syntezy dziejów wciągnąć w krąg nauk historycznych antropologję, etnologję, protohistorję (pozostawianą dotąd archeologom, jako ich wyłączność), socjologję, prawo w najobszerniejszem znaczeniu, tudzież historje specjalne wszelkich nauk, sztuk i zawodów; tych wszystkich nauk wyniki dostarczą osnowy historykom zmierzającym do syntezy i nie tracącym nadziei, że robią z historji naukę w ścisłem znaczeniu tego słowa.

I dla tych także dostarczał *Przegląd Powszechny* niemało materjału, pielęgnując wszystkie te nauki. Weszła też w szranki etnologja i protohistorja. Praca ks. Kosibowicza o Pigmejach daje zadatek wielki; rozprawa zaś jego „Dawność ludzka" (1928) stanowi w sam raz stosowny kamień, żeby nim zatrzasnąć labiryntowe groty niniejszego sumarycznego rejestru.

Feliks Koneczny.

III. Problemy społeczno-gospodarcze.

I.

Nie jest rzeczą zbyt łatwą wydzielić z olbrzymiego zbioru pięćdziesięciolecia *Przeglądu Powszechnego* wszystko to, co odnosi się do dziedziny społeczno-gospodarczej. Trudność płynie z podwójnego źródła. Przedewszystkiem należy uświadomić sobie, iż roztrząsanie spraw dziedziny społeczno-gospodarczej odbywa się w kilku rubrykach miesięcznika. Naturalnie na pierwszym planie postawić należy odrębne artykuły widniejące w pierwszych pozycjach numeru. Są to prace oryginalne po większej części, rzadziej opracowania i omówienia czy to ważnych aktów w rodzaju np. Encykliki, czy też poważniejszych dzieł. Ale poza artykułami, któreby w dzienniku nazwało się wstępnemi, czytelnik znajdzie także inne rubryki, poświęcające dość dużo miejsca społeczno-ekonomicznym zagadnieniom. Będą to sprawozdania z ruchu społecznego, rodzaj kroniki, pożytecznej i cennej. Będą to dalej głosy o sprawach bieżących. Będą wreszcie przeglądy piśmiennictwa, uwzględniające sprawozdania z pism perjodycznych, recenzje książek i ogólne uwagi.

To jest pierwsza forma utrudnień, na jakie napotykać będzie badacz w ogarnięciu i przeróbce materjału. Powiedziałbym, że to jest jeszcze szkopuł mniejszego kalibru. Jeżeli systematycznie i metodycznie prowadząca spisy i wykazy artykułów i głosów Redakcja *Przeglądu* ułoży sobie na dziesiątki lat schemat, według którego sklasyfikuje prace większe i okruchy piśmiennicze, odnalezienie materjału jest wielce ułatwione. I tak *Przegląd* stworzył sobie od początku

taki szablon klasyfikacyjny, umożliwiający według jednego wzoru zszeregowywanie całej masy dorobku. Początkowo (1884—1901) istniały dwie klasy, składające się na dziedzinę społeczno-ekonomiczną. Były niemi: a) prawo i ekonomja i b) socjologja. W roku 1902 zlano obydwie klasy w jedną, odtąd utrzymaną do dziś dnia, mianowicie: socjologja, prawo i ekonomja.

Zaznaczam, iż ten podział obejmuje jedynie artykuły, natomiast sprawy społeczne oświetlane i omawiane w innych działach (przegląd piśmiennictwa, sprawozdania z ruchu społecznego, sprawy bieżące) nie wchodzą w rachubę przy klasyfikacji rodzajowej prac.

Ponieważ jednak rodzajowe wykazy treści *Przeglądu* robi się co sześć lat i właśnie taka bibljografja pojawi się dopiero w początku 1934 roku za lata 1928—1933, przeto za ostatnie sześciolecie klasyfikację rzeczy w omawianej przeze mnie dziedzinie robić musiałem sam.

To była pierwsza uwaga ogólna co do przedmiotu opisywanego i pierwsza trudność z nim związana.

Ważniejszą przeszkodą do odźwierciedlenia dorobku *Przeglądu* z dziedziny społeczno-gospodarczej stanowi wewnętrzne, teoretyczne zakreślenie granic i uchwycenie istoty zjawisk społeczno-gospodarczych. Jeżeli socjologja nie uporała się jeszcze z przedmiotem swojej dyscypliny, jeżeli nie mogła opisać granicznego koła swoich zainteresowań, to więcej ogólne, zatem bardziej mgliste pojęcie „nauk społecznych" nastręcza tem większe i dokuczliwsze sprzeciwności.

Co to jest zjawisko społeczne?

Czy to zjawisko, w którem występuje stosunek człowieka do człowieka? — A wtedy jakie z tych stosunków podjąć — a jakie wyłączyć, odrzucić?

Jeżeli termin „społeczno-gospodarczy" nasuwa nam na myśl sferę stosunków o charakterze materjalnym, o charakterze gospodarczym, to nie wydaje mi się, by przez to dało się osiągnąć stuprocentową jasność określenia. Przypominam, że w nauce ekonomji niema dotąd całkowitej zgodności w zakresie ujęcia istoty „zjawiska gospodarczego".

Czy ta pierwsza czy ta druga, istotniejsza trudność, tutaj zaznaczona niech usprawiedliwi fakt, iż zatrzymałem się przy szablonie stosowanym przez redakcję od lat pięćdziesięciu nie wprowadzając zamieszania, które łacno powstałoby, gdybym na własną rękę rozpoczął nowe dzielenie materjału piśmienniczego, według własnych rzeczowych, kryterjów. Zaznaczam zarazem, iż ten podział redakcyjny *Przeglądu* jest naogół uznany i z naukowego punktu widzenia nie napotyka na większe objekcje. To, co dostało się do grupy społeczno-gospodarczej, z małemi wyjątkami należy do niej zgodnie z prawem zwyczaju i z poglądami powszechnie panującemi.

Spróbuję tylko dla lepszego oświetlenia rzeczy wyliczyć szczegółowsze typy zagadnień, które dostały się do działu społeczno-gospodarczego.

Są tam za te pięćdziesiąt lat prace o ideach ustrojowych społeczeństw i państw. Znajdują się zatem opisy urządzeń konstytucyjnych, zarówno, że użyję terminu prawniczego *de lege ferenda* jak i *de lege lata*. Gdy *Przegląd* dożyje niepodległości Polski — już nawet na świtaniu rozpocznie mówić na te tematy w sposób pogłębiony, spokojny i rozważny.

Są tam dalej studja o charakterze politycznym. Gdy Ojczyzna leżała spętana, każde wystąpienie *Przeglądu* dawało we wnioskach wskazanie i moralną naukę, którą w artykule w r. 1886 „Chrystjanizm a narodowość" wyrzekł nieodżałowanej pamięci i wielkich zasług, wielka dusza i wielki rozum oraz gorące serce śp. Ojciec Marjan Morawski. Było to z okazji pruskich prześladowań w erze Bismarcka. „Wobec Boga — powiada — ukorzyć się głęboko, a wobec świata donośnym głosem wypowiedzieć, że nam się krzywda dzieje".

Artykułów politycznych jest znaczna ilość poprzez całe pięćdziesiąt lat. Cechuje je przywiązanie do Polski, radość z jej zmartwychwstania, spokojne i rzeczowe podejścia do problemów nawet zadrażnionych i palnych. Ludzie prowadzący *Przegląd* nie uciekają od tematów bolesnych. Przeciwnie biorą je na warsztat i opracowują z troską i głęboką perspektywą.

Rzecz prosta, iż *Przegląd* poświęca wiele uwagi stosunkowi państwa i państw do Kościoła. Broni praw Kościoła, tam gdzie one są narażone lub mogą być narażone, ale oddaje „co cesarskiego, cesarzowi" podkreślając moralne prawa państwa i potrzebę koordynacji i współpracy nad tym samym człowiekiem, synem Kościoła i obywatelem świeckiej społeczności.

Z zagadnień społecznych wiele przepracował *Przegląd* w dziedzinie doli upośledzonych warstw, czujnie śledząc zmiany na tem polu, szukając najlepszych rozwiązań i gorąco orędując za opieką nad klasami biedniejszemi. Zamożniejszym wskazywał obowiązki społeczne ich stanu i ich położenia.

Ostatni problem wiąże się ze sprawami czysto gospodarczemi. Jak to będę miał niżej sposobność wspomnieć jeszcze, wiele i pierwszorzędnych ekonomistów Polski wypełniało swemi pracami ramy *Przeglądu.* Problemy nawskroś teoretyczne znalazły oświetlenie i wiele pięknych wyjaśnień i omówień. Bieżący potok życia gospodarczego, finansowego, budżetowego, znajdywał w *Przeglądzie* kompetentny osąd i streszczenie. Spółdzielczość, emigracyjne zagadnienia, bezrobocie, stosunki agrarne, statystyka i szereg innych działów szczegółowych i praktycznych ekonomiki miały swoje pióra i dobre pióra.

Nie brakło też działu prawniczego, czy z dziedziny cywilno-prawnej, czy publiczno-prawnej, częstokroć zasilanego wywodami historycznemi.

Gdy wypłynęły dla Polski szersze perspektywy międzynarodowe, gdy stworzono aparat Ligi Narodów i urządzeń międzynarodowych *Przegląd* czujnie rejestrował zmiany, jakie się w ich strukturze organizacyjnej i prawnej dokonywały i dokonują.

Nie zdziwi to nikogo, iż wiele pracy zużyto na zaznajomienie polskiego czytelnika z myślami i poglądami katolicyzmu społecznego, z jego organizacją zagranicą i u nas.

Tyle w krótkości o bliższym podziale działu społeczno-gospodarczego.

II.

Ten pięćdziesięcioletni dorobek ma swoją potrójną wartość. Spróbuję ją wyłuszczyć według hierarchicznego porządku.

Wiadomo powszechnie, iż zagadnienia społeczne, czy specjalnie gospodarcze, niezależnie od ich wewnętrznych podziałów i różnic mogą być jedynie rozsądnie ujmowane od strony człowieka, od strony jego natury i celów. Innemi słowy, wszelkie zagadnienie społeczne uwarunkowane jest moralną oceną i na moralnej spoczywa podstawie. Kto ten prosty i jasny probierz rzeczy ludzkich traci z oczu, kto go zaniedbywa, kto go lekceważy — traci równocześnie jedyną i możliwą miarę i grunt dla rozeznania się i ocenienia w stosunkach ludzkich. Że zaś moralny probierz, jak on dla spraw społecznych jest skuteczną i trwałą podstawą, sam na twardym i mocnym gruncie stać musi, przeto każde zagadnienie społeczne, właśnie przez swój barwik moralny, staje się zagadnieniem religijnem, czyli zależnem od systemu moralności trwałego, bezwzględnego, niezmiennego.

Przegląd Powszechny był, jest i będzie w tem szczęśliwem położeniu, iż posiada światło rzeczy prawdziwe i najtrwalsze, że w promieniach zwartej, wykończonej i całościowej doktryny moralno-religijnej ocenia sprawy i ludzi. Ocenia według zasad nieomylnych i jedynych dla człowieka, czy on zanurza się w zakamarki tajemnic swojej duszy, czy gdy on kieruje fabryką, czy gdy prowadzi gospodarstwo rolne, czy gdy mozolną i znojną pędzi pracę w głębinach kopalń węgla, czy gdy kieruje ludźmi i zarządza sprawami publicznemi, czy gdy rozważa i układa stosunki między warstwami społeczeństwa, między narodami i krajami. Wszystkie bowiem te stosunki, czy więcej proste czy więcej pomięszane i trudniejsze, stanowią różnobarwny materjał, glinę lub marmur, klawisze lub struny harfy, na których człowiek lepi posąg swojego powołania lub gra pieśń swojego życiowego celu i zadań.

To jest ta głęboka konstrukcyjna wartość wszelkiego tworzenia, wszelkiego wysiłku, że się go wyczarowuje w blaskach wiecznego celu, odległych i świętych obowiązków, najdroższych dla człowieka i jedynych wielkich i niezmie-

rzonych. Równocześnie jest to kierownictwo, bez którego praca marnieje, bo zawraca i kręci po drogach i manowcach. *Caecus autem, si caeco ducatum praestet, ambo in foveam cadunt!* Gdy ludzie prowadzą rzecz bez horyzontu i bez jasnej linji, gdy dzieło buduje się według różnych i sprzecznych praw, różnych i sprzecznych wskazówek, podobne jest do tego ewangelicznego wędrowania ślepych, wpadających wkońcu w dół.

Niemasz niebezpieczniejszego terenu dla omyłek i załamań, jak brak busoli moralno-religijnej w życiu społecznem, w jego drobnych i potężnych przejawach. Dlatego *Przegląd* umieścił na czele swojej pracy dewizę psalmisty *Błogosławiony lud, którego Panem Bóg jego.* Błogosławiony, gdyż zna drogę swojego życia i prawo swojego życia, gdyż posiada fundament, na którym będzie w swojej wędrówce historycznej opierał swoje wysiłki i budował swoje pragnienia.

Przegląd posiada jednolitość wyrazu w zakresie podstaw moralno-religijnych. Nie szuka rzeczy, które dawno są znalezione i dostępne dla wszystkich ludzi dobrej woli. Doktrynalnie mocny i pewny, świadom kierunku swojej drogi, może poświęcić wielki swój trud, jak go pięćdziesiąt lat łoży, na pogłębienie, wysubtelnienie społecznej nauki katolickiej, na ciągłą pracę oceniania czy to zjawisk bieżącego i przemijającego dnia, czy zagadnień ogólniejszych w promieniach tej nauki, w każdorazowem, życiowem jej zastosowaniu. Gdyby używać języka moralisty — możnaby powiedzieć, iż *Przegląd* bezustanku przymierza kryterja wiecznej i nieomylnej prawdy do faktów życia, ocenia je ogólnie jako dobre lub złe, jako pożądane lub zbyteczne czy zgoła niebezpieczne, a w tej ocenie zużywa najprzedniejszy podkład intelektualny, jedne z najlepszych, umysłowo wyposażone i przygotowane do czynienia takich ocen, środki.

To łączy się z dalszą wartością dorobku *Przeglądu.* Jest powszechnie wiadomem, iż Zakon Towarzystwa Jezusowego w błyszczącej koronie Kościoła świeci jako klejnot przedniej organizacji, zadziwiającej przyjaciół i niechętnych, metodyczności i systematyczności pracy oraz wyjątkowego bogactwa talentów i zdolności intelektualnych, zbieranych i wyżłabianych wytrwale, żmudnie i powoli lecz długo.

Nie wystarczy bowiem posiadać ziarna prawdy, czy całą prawdę, nie wystarczy obnosić się z nią, gdy przypadła łatwo człowiekowi, a cóż było łatwiejszem dla człowieka jak posiąść boską prawdę moralną w Objawieniu przez cierpienie samego Boga-Człowieka. Tę prawdę trzeba bezustanku przymierzać do życiowych zadań, wykrywać jej prawidła, gdy one są zaciemnione, bardzo nieraz złożone wypadki sądzić przy ich złożoności czy dobre czy złe. To jest właśnie ta niekończąca się praca przy posiadaniu wieczystej prawdy, rozpatrywania ludzkich spraw, jak one w swej wielości faktów, sytuacyj, elementów, składowych części i wogóle w całem swojem pogmatwaniu mają być uchwycone, zanalizowane moralnie i intelektualnie, ujęte w całość i osądzone.

Przegląd założono i prowadzi się dla warstw tak zwanych oświeconych, to jest dla ludzi, których życie jest więcej skomplikowane, których horyzonty są szersze, których umysł przeszedł orkę i zaprawę, których serce winno być subtelniejsze, a ogólna kultura wyższa, których rola społeczna jest odpowiedzialniejsza — poprostu dla mniejszych lub większych przewodników na różnych polach życia ludzkiego... Ci ludzie, dobrze, gdy znają zasady katolickiego życia i gdy je uznają. Ale ponadto oni potrzebują ciągle głębszego i subtelniejszego dociekania i wnikania w sprawy szersze. Ktoś musi się tego ciężkiego obowiązku podjąć, i zbierać wokół takiego *Przeglądu* przygotowanych do zbiorowej pracy pogłębiania myśli katolickiej i jej zaznaczania we wszelkich dziedzinach społecznego życia. Redakcja *Przeglądu* jako intelektualna placówka pracy Tow. Jezusowego, ma w swojem zakonnem gronie dość swoich własnych ludzi, którzy tę robotę prowadzą dobrze i pięknie. Nie ogranicza się jednak do swojego zespołu, ale gromadzi wokół siebie umysły, przyznające się do wspólnoty katolickiej, a pomagające przez swoją znajomość rzeczy w tym lub innym kierunku procesowi pogłębiania myśli katolickiej od strony jej czyto doktrynalnej, czyto ściśle intelektualnej, powiedzmy technicznej, na kolumnach *Przeglądu*. Pięćdziesięciolecie *Przeglądu* to poważna rewja nazwisk, które w dziesiątkach lat ten nakreślony szlak prowadziły. Nie dysputo-

wało się tam, czy naukę Chrystusową przyjąć i zaszczepiać w poglądach społeczników, w polityce, w prawie, w ekonomji. Natomiast czyniły się bez przerwy i czynią wysiłki, by prawa tej nauki jak najbardziej przyswoić dziedzinie społecznej, by ich zastosowanie i poznanie pogłębić i przeorać, by włożyć najlepszy wysiłek w opanowanie przedmiotu umysłowe na poziomie możliwie najwyższym.

Z tego głębszego opisywania socjalnych problemów miały płynąć i płyną korzyści natury moralnej, natury religijnej, przez wynoszenie spraw na światło doktryny katolickiej i przesycanie tem światłem. Płynęły i płyną dalej korzyści natury codziennego użytku praktycznego, gdyż na wysokim poziomie ujęcie i roztrząsanie społecznych zagadnień dawało i daje drogowskazy ściśle życiowe, uczy co robić, odradza wiele, zachęca, rozgrzewa. Że zaś ten wysoki poziom malowania piórem jest sam w sobie gatunkiem sztuki naukowej, przeto praca *Przeglądu* przysługiwała się walnie i przysługuje nauce t. j. polepsza środki poznawcze oddzielnych zagadnień, rozkrywając ich wnętrze według właściwych jej metod i przeorywując skiby dyscyplin ściśle naukowych jakiemi są czy to ekonomja, czy polityka społeczna, czy prawo i t. d.

W tych trzech kierunkach *Przegląd* wynosi za te lata długie, jak na życie poszczególnego człowieka, zasługi i pożytki, że, jak to powiedziałem, przenika sprawy, których omawiania się podejmuje, światłem doktryny katolickiej, pilnie i rozumnie strzeżonej i podawanej przez pracowników pióra miesięcznika, głównie i w pierwszym rzędzie pisarzy z Towarzystwa Jezusowego, że, dalej, przynosi praktyczne wskazówki i drogowskazy społeczeństwu, że, wreszcie, pełni służbę nauce, której środki wzbogaca, której coraz to nowe i liczne dorzuca opracowania i otwiera nowe horyzonty myślowe.

III.

Prace zawarte w artykułach noszą na sobie piętno historji tych pięćdziesięciu lat. Dotyczą, jak wspomniałem, szeregu specjalnych działów i spraw mniej lub więcej współczesnych dla roczników, w których są pomieszczone. Za-

równo rozpatrywanie całkiem bieżących wydarzeń jak i tematów ogólniejszych, związane było w sposób bardziej lub pośredni z interesami lat czy dziesięcioleci czy wreszcie wieku, w jakim artykuły się pojawiały. Dają one oczywiście do poznania, iż Polska była długi czas organizmem politycznie rozdartym na części, służącym obcym państwom. Obserwujemy i wyczuwamy czas, gdy wyłania się z ciemnych dla Polski dziejów brzask zmartwychwstania ojczyzny. Widać później, jak na warsztat omówień *Przeglądu* popłyną wartkim potokiem rzeczy nowej Polski, wskrzeszonego państwa, jego troski i radości, jego nadzieje i wątpliwości, jego jasne i ciemniejsze chwile, jego szare prace i zadania, jego większe horyzonty i pragnienia.

Przebiegnijmy żwawo te pięćdziesiąt lat, by przekonać się o pieczęci współczesności na pracach *Przeglądu,* o typie rozpraw ze specjalnych dziedzin, o wartościach konstruktywnych i praktycznych dorobku piśmienniczego, o doktrynalnem i naukowem nastawieniu, o ludziach wreszcie, co hojną ręką darzyli *Przegląd* swojemi pracami, ich zasługach i charakterystycznych cechach.

Weźmy sześciolecie 1884—1889, ten pierwszy i odległy już dla nas okres *Przeglądu.*

Dziedzinę społeczną reprezentuje przedewszystkiem świetnem i gorącem piórem Ojciec Marjan Morawski. Są tam prawdziwe perły publicystyki socjalnej. Filozof i moralista, badacz społecznych i narodowych zagadnień, wykwintny stylista i jasny niezmiernie umysł — O. Marjan — daje szereg pierwszorzędnej wartości artykułów. Prace te wraz z innemi późniejszemi pojawią się potem w osobnej i ciekawej książce p. t.: „Podstawy etyki i prawa". Wymienię kilka: „Hartmann i kwestja narodowości" porusza wpływ tego autora na „rücksichtlose Germanisierung"; „Encyklika Immortale Dei i liberalizm" gdzie przeciwstawiona jest katolicka doktryna o społeczeństwie i państwie systemowi liberalizmu; „Chrystjanizm i narodowość", w którym O. Morawski piętnuje wyjątkowe prawa pruskie w stosunku do Polaków; „Wieża Eiffla i rok 1889" rozwijający ciekawą nadzwyczaj myśl o donioślejszem moralnie znaczeniu tej w swoim czasie imprezy Paryża. Podobnież wartościowem

jest studjum „Dawid Urquhart i kwestja wojny", w którem znowu podejmuje rozpatrywanie stosunku doktryny katolickiej do problemu wojny.

Ks. arcybiskup Feliński dał w dłuższem studjum rozbiór problemu „Społeczeństwo wobec rozumu i wiary". Omawia tam początek społeczeństwa, rodzinę, społeczność polityczną, formę rządów i granice władzy, oraz stosunek Kościoła do państwa.

W r. 1887 debiutuje w *Przeglądzie* kanonista śp. prof. Józef Brzeziński z artykułem „Kilka uwag o wpływie (umoralniającym) Kościoła na ustawodawstwo świeckie" (w prawie karnem, spadkowem i t. d.). Od tego czasu rozpocznie on stałą i długą współpracę z *Przeglądem*, którą przerwie dopiero śmierć.

Pozatem znajdziemy tam artykuły na aktualne tematy: A. Donimirskiego „Położenie własności ziemskiej i projekt reformy prawa spadkowego dla zagród włościańskich", V. R. „Spółki włościańskie systemu Raiffeisena", Żychlińskiego „Prawo prywatne w świecie starożytnym i nowożytnym i potrzeba dalszego rozwoju tego prawa", Łebińskiego „Kółka rolnicze włościańskie w Wielkopolsce", W. K. „Słowo o naszych statystykach ekonomicznych (z powodu poruszonej sprawy szpitali)", V. R. „Cechy w Wielkopolsce i wykonywanie procederu", Gnatowskiego „Katolicka szkoła socjalna i stowarzyszenia kółek rzemieślniczych", Brezy „Le Play i jego szkoła", Skrochowskiego „Jednostka wobec państwa" (z powodu książki H. Spencera), Baumgartena „Stowarzyszenia katolickie w Niemczech", ks. Kopycińskiego „Zasady i dążenia radykalnego socjalizmu".

Wymieniłem prawie wszystkie artykuły pierwszego sześciolecia, aby dać wyobrażenie o tematach, jakie w owym czasie podniesiono, o ludziach, którzy rozpoczynali pracę *Przeglądu* w dziedzinie społecznej, o charakterze tych prąc i ich kierunku. Ojciec Morawski, filar *Przeglądu* za pierwszych kilkanaście lat, przoduje zarówno ilością jak i jakością artykułów. Wynajduje problemy ciekawe i wywołujące żywy interes i omawia je w sposób tak oryginalny i piękny, jak to wogóle było jego właściwością w całym dorobku pisarskim.

Drugie sześciolecie (1890—1895) wykazuje przyrost rozpraw w omawianej przez nas dziedzinie i pojawienie się nowych nazwisk. Obok O. Morawskiego (art. „Złe miłosierdzie") występuje ks. Jan Badeni T. J., piszący na tematy społeczno-robotnicze „Robotnicy polscy w Saksonji", „Socjalistyczna prasa w Galicji", „Socjalizm galicyjski na kongresie w Wiedniu", oraz ks. Stanisław Załęski T. J. Poza artykułem „O statystyce masonerji w r. 1889" O. Załęski rozpoczyna swoje znane społeczeństwu studjum „Geneza nihilizmu w Rosji". Praca ta ciągnąca się przez szereg numerów i po uzupełnieniu opracowania wyjdzie w osobnej książce, wzbogacając literaturę społeczno-polityczną cennym nabytkiem. Ponadto daje pracę: „Socjaliści i teroryści polscy pod zaborem rosyjskim" (1892).

Po raz pierwszy też (1893 r.) wystąpi na łamach *Przeglądu* profesor Leopold Caro, wierny i wybitny przyjaciel i współpracownik *Przeglądu* aż po dzień dzisiejszy. Jego artykuł „Lichwa na wsi w Galicji" jest gruntownem opracowaniem opartem na materjale statystycznym i relacjach urzędowych, wraz z kwestjonarjuszem ankiety. W tym samym roku pojawi się w *Przeglądzie* artykuł profesora Antoniego Górskiego „Walka z drożyzną". Radzi on zbliżenie konsumenta z producentem i tworzenie spółek spożywczych.

Interesujący problem p. t. „Stronnictwo ruskie w Galicji a ruskie duchowieństwo" omawią obszernie ks. Eugenjusz Hornicki obrządku greckiego. Dużo miejsca zajmują artykuły ks. Langera T. J. na temat „Dzisiejszy socjalizm wobec światła rozumu". Ciekawy przyczynek naukowy daje w szeregu artykułów Jan Witort „O sądach ludowych na Litwie".

Pierwszy raz w r. 1890 zamieszcza w *Przeglądzie* swoją pracę profesor Stanisław Starzyński, pisząc o pierwszej konstytucji austrjackiej, jej genezie i ocenie. W r. 1895 da drugi artykuł p. t. „Rozszerzenie podstaw konkurencji kościelnej". Prawniczą rozprawę daje na zbliżony temat dr. Edwin Płażek „O obowiązku konkurencyjnym filialistów na rzecz Kościoła i budynków plebańskich parafji matrycznej".

Dalszy rozrost działu społeczno-gospodarczego zauważamy w trzeciem sześcioleciu (1896—1901). O. Morawski po-

dejmuje m. innemi temat bodaj nigdy nieprzebrzmiały, a mianowicie sprawę żydowską. Już sam tytuł wskazuje odrębne i samodzielne ujęcie. „Asemityzm" stanowi jasny i uczciwy program, z którym oby się zapoznali polscy katolicy. „Nie godzi się dopuszczać gwałtów przeciw żydom, nie godzi się też „judzić" przeciw nim ludności", „hecowanie (judzenie) prowadzi bowiem do gwałtów" — „cel nie uświęca środków", niech jednak „żyd nie będzie prawem uprzywilejowany". Ojciec Morawski doradza m. innemi dążenie do wprowadzenia szkoły wyznaniowej.

Dostaje się też na łamy działu społecznego pióro Ojca Włodzimierza Ledóchowskiego, obecnego Generała Tow. Jezusowego. Pisze najpierw (1898) „Kilka uwag o ostatnim kongresie robotników w Krakowie" a następnie (1899) artykuł polemiczny „Co myślą socjaliści o religji", w którym odpiera twierdzenie posła Daszyńskiego „że socjaliści pragną uwolnienia religji i Kościoła od wszelkiego ucisku i przymusu". Z księży Zakonu Jezuitów piszą liczne rozprawy: ks. Jan Badeni („Kurs socjalny w Schwäbisch-Gmünd), ks. Włodzimierz Piątkiewicz („Strejk wobec etyki", „Z dziedziny ekonomiczno-socjalnej", „Organizacja opieki nad pracującymi" i „Parę słów o odczycie p. Daszyńskiej"), ks. Leonard Lipke („Pierwszy katolicki kurs socjalny w Krakowie", „Nowe prądy w socjaliźmie", dłuższa praca „Nowe kierunki społeczne i ideały przyszłości" i inne).

Z pisarzy świeckich spotykamy gorliwego i wybitnego pisarza-ekonomistę prof. Włodzimierza Czerkawskiego, który aż do swej śmierci w okresie wielkiej wojny zasila poważnemi publikacjami *Przegląd*. Pisze on w r. 1900 o „Katolicyźmie socjalnym". Poza prof. Czerkawskim widnieją prace znanych ekonomistów: prof. Józefa Milewskiego (o kwestji socjalnej) i szereg artykułów prof. Adama Krzyżanowskiego („Z dziejów austrjackiej polityki handlowej", „Zagraniczny handel Austro-Węgier", „Z dziedziny ekonomiczno-socjalnej"). Prof. Krzyżanowski prowadzi też żywo i barwnie „Kronikę ekonomiczną", krytycznie ustosunkowując się do socjalizmu i nie szczędząc w tej mierze uogólnień trafnych i dziś aktualnych. W roku 1901 pisał: „rewolucja w programie zwolenników Marksa już oddawna była teorją, w prak-

tyce zdobywano mandaty, ale nie budowano barykad". Zauważa przy okazji krytyki socjalistycznego programu walki z kapitalistycznym imperjalizmem, iż „szczęśliwa polityka kolonjalna podnosi nietylko dywidendę akcjonarjuszy, ale i zarobki robotników". Prof. Dr. Władysław Pilat daje dwa artykuły na temat zbliżony, a mianowicie „Marx wobec ostatnich sądów nauki" i „Podstawy filozoficzne i socjalistyczne marksowskiego socjalizmu". Do tej listy należy jeszcze dołączyć Zygmunta Gargasa, Edwarda Jaroszyńskiego, Józefa Glinkiewicza oraz znanego nam już z poprzedniego okresu Tadeusza Kudelkę.

Lata dalsze (1902—1907) są dalszą i piękną kontynuacją rozmachu poprzednio już przyjętego. Ubył Ojciec Morawski, po wielu latach tak wybitnej pracy w *Przeglądzie*. Pojawi się ciekawy przyczynek O. Jana Urbana, późniejszego redaktora i filaru *Przeglądu* „Mikołaj Nieplujew i jego bractwa pracy". Dalej piszą: O. Lipke, ks. Czajkowski. Współpracują w dalszym ciągu prof. Czerkawski, prof. Krzyżanowski, prof. Caro, prof. Milewski. Pierwszy raz ukażą się artykuły prof. Kumanieckiego, późniejszego ministra w rządzie Polski wskrzeszonej („W sprawie ochrony małoletnich przed zbrodniami", „Oświata i emigracja w naszym kraju"). Podobnież późniejszy minister i uczony wielkiej miary prof. Franciszek Bujak zamieszcza uwagi o „kulturalnych stosunkach wsi zachodnio-galicyjskiej".

Prof. Juljusz Makarewicz daje w r. 1904 artykuł p. t. „Walka z spekulacją parcelacyjną", a w r. 1903 „Niebezpieczeństwo projektu nowej ustawy prawnej". Adam Bielecki omawia „Dzisiejsze teorje w prawie karnem". Zygmunt Gargas wydobył z papierów pośmiertnych po śp. Józefie Supińskim, wybitnym ekonomiście, artykuł p. t. „Demokracja chrześcijańska". Pozwolę sobie przytoczyć z tych dyktowanych w roku 1891 zdań, jedno dość charakterystyczne: „nacisnąłem powyżej na wyrazy: chrześcijańska ewangeliczna demokracja, teraz powtarzam je również z naciskiem, bo demokracja fakcyjna drze jednolite ciało, wznieca zazdrość, nienawiść niezasłużoną, zemstę występną; ona rozpala wojny domowe, wiedzie do zniszczeń, upadku, nędzy, występku".

Zwracam też uwagę na artykuły prof. Czerkawskiego (1903 r.) „Refleksje nad stanem kwestji żydowskiej u nas". Jest tam sporo myśli głębszych i trafnych. Prof. Czerkawski roztrząsa pozatem „Enuncjacje naszego Episkopatu w kwestji socjalnej" (ks. ks. Bilczewski, Pelczar, Stablewski, Teodorowicz), a ks. Czajkowski omawia głos ks. arcybiskupa Bilczewskiego o socjaliźmie.

Niezmiernie pożyteczną rubrykę wprowadza w owym czasie *Przegląd*. Jest nią dział „Z naszych spraw społecznych", w którym tak znani nam już jak i niewymienieni dotąd pisarze dotykają bolączek naszego życia społecznego („nędza dzieci", „prawa sługi", „pomoc prawna", „nowy projekt ubezpieczenia robotniczego", „kradzieże nieletnich w Krakowie" i t. d.)

Gdy przyjdą lata 1908—1913, zasięg artykułów społecznej treści znajdziemy ten sam, jeśli nie większy. Będzie tam tryskający ciętą ironją artykuł Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, polityka i filozofa p. t. „Gruszki na wierzbie". W sposób właściwy jego poczuciu humoru poddaje krytyce wybujałe prądy feministyczne i społeczno-reformatorskie.

Głębszą wartość posiada praca prof. Czerkawskiego o „Kwestji sjonizmu", jeszcze i dziś aktualna pod wieloma względami. Podobnież zasadniczy charakter nosi rozprawa prof. Czerkawskiego o „Neoslawiźmie", do którego ustosunkowuje się negatywnie. Interesujące rozważania znajdą czytelnicy *Przeglądu* w artykule tegoż samego autora o „Kwestji drożyzny". Temat ten opisany w r. 1911, wtedy aktualny, jakąż miał otrzymać aktualność w okresie wielkiej wojny i po wojnie, a zatem już po niewielu latach. „W ostatnich latach — pisze Wł. Czerkawski — drożyzna wysunęła się we wszystkich niemal krajach cywilizowanych na czoło aktualnych zagadnień gospodarczych. I zgóry należy zaznaczyć, że stanowi ona obecnie problemat pierwszorzędnej doniosłości, znacznie więcej skomplikowany, a tem samem i o wiele trudniejszy do rozwiązania, niż w jakiejkolwiek innej epoce." To było w r. 1911. Jakąż miało to wyznanie doniosłość w kilka lat później! Praca ta dość obszerna traktuje szczegółowo o dwóch grupach przyczyn drożyzny, z których każda zawiera znowu kilka szczegółowych przyczyn.

Pisze dużo w dalszym ciągu prof. Caro („Nasi robotnicy sezonowi", „Nasi wychodźcy zamorscy" i t. d.), ks. Lipke, Henryk Wielowiejski. Pojawiają się prace ks. Schoonjansa T. J., Naganowskiego („Między Jaures'em a Marc Sangnièr'em"), ks. Antoniego Szymańskiego, obecnego rektora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego („Ozanam jako teoretyk i działacz społeczny"). Z papierów pośmiertnych Elizy Orzeszkowej wydobyto ciekawe notatki o „kosmopolityźmie i patrjotyźmie".

Wchodzimy w okres wielkiej wojny i po niej następujących wstrząsów, z których najpiękniejszem dla nas było wskrzeszenie ciężkiemi ofiarami Polski i jej pierwsze urządzenie. Wypadki i sprawy, które następują szybko po sobie znajdą odźwierciedlenie w *Przeglądzie.*

W roku 1916 w szeregu artykułów podejmuje prof. Adam Krzyżanowski tematy mówiące wiele: „Teorja rozwoju wojny", „Wojna i pokój", „Zmiany w znaczeniu gospodarczem wojny", „Statystyka Polski przed wojną". „Wojna w czasach nowszych — pisze Krzyżanowski — zapewnia zwycięzcy mniejszy zysk niż dawniej". „Mimo dalszego trwania wojen można uprawdopodobnić, że ludzkość w pewnej mierze stała się bardziej pokojową". Ks. Roth Jan T. J. omawia w dwóch artykułach („nowa kodyfikacja prawa kościelnego", „nowe prawo kościelne") nowy kodeks prawa kanonicznego ogłoszony w czasie wielkiej wojny. Gdy wypłynie kwestja prawa samookreślenia narodów, tak doniosła w erze prac nad traktatem wersalskim, zajmie głos O. Jan Rostworowski, oświetlając samo zagadnienie w świetle filozofji chrześcijańskiej. „Dziejowa ewolucja pojęć — pisze — której owocem są prawa narodów, ma głębokie korzenie w zasadniczych dogmatach filozofji chrześcijańskiej".

Tworzy się Liga Narodów, organizuje się Polska, następują reformy społeczne, wyłania się problem stosunku państwa do Kościoła. Profesor Oskar Halecki, chluba polskiej nauki i polskiej kultury katolickiej, daje artykuł „Liga Narodów a światopogląd chrześcijański". Prof. Kumaniecki omawia „Zarys urządzenia administracji w Polsce", Ludomir Lewandowski pisze o walucie, ks. J. Pawelski roztrząsa „nowe idee pokojowe", ks. biskup Szelążek oświadcza się

za „koordynacją jako podstawą stosunku państwa i Kościoła". O. Jan Rostworowski podnosi doniosły temat „Program reformy rolnej a zasady etyki katolickiej", prof. Brzeziński wysuwa „Zasadniczy postulat konstytucyjny i ustawodawczy w nowem państwie polskiem", ks. Elter zajmuje się „Sejmowym projektem konstytucji", wreszcie ks. Moskała „naszym sąsiadem wschodnim" (1920 r.). Rozpoczyna swoją działalność publicystyczną w dziedzinie społeczno-moralnej ks. St. Podoleński. Pisze w r. 1920 artykuł p. t. „Małżeństwo wobec Kościoła i państwa" oraz „Jak socjalizm wychowuje lud". Spotykamy też coraz liczniejsze głosy O. Urbana („O prawa obywatelskie dla kobiet", „Socjaliści a Kościół", „Co robić z żydami", „Drożyzna a sumienie obywatelskie", „Socjalizm jako religja").

Przegląd wkracza w okres od r. 1922 do 1933 czyli czas intensywnej pracy twórczej we wszystkich polach życia społecznego Polski. Wszystko, co żywe, wydobywa się z odrętwienia i ciężaru wojny, organizuje się, rozbudowuje, praca wre i kipi, po dziś dzień. *Przegląd* rejestruje wydarzenia i fazy tej pracy twórczej. I nie tylko rejestruje, ale pragnie z głębszego i prawidłowego punktu widzenia oświetlić. Pragnie w wywodach gruntownych i spokojnych, wpływać na poglądy społeczeństwa i urabiać je w duchu pogłębionej doktryny katolickiej. Czy to będzie kwestja produkcji, podziału zysków (Caro, Feliks Sobolewski, Lewandowski Ludomir), czy spraw polityki socjalnej i moralnej państwa (O. Urban, ks. Podoleński, ks. Antoni Szymański, ks. Białowąs i inn.), czy ogólne historyczne idee (Kliszewicz) i t. d. *Przegląd* przynosi społeczeństwu polskiemu nowe wartości i daje drogowskazy właściwe i pożyteczne.

Dział społeczny w tym czasie spoczął na barkach O. Urbana i O. Podoleńskiego. O. Urban pisze na tematy bardzo zadrażnione, nie boi się dotknąć tej lub innej rany, czyni jednak to zawsze z wielkim umiarem i niezwykłym nieraz wysiłkiem zrozumienia przeciwnego zdania, które zwalcza, które pragnie osłabić. Trudno wymienić tę wielką ilość rozpraw i drobniejszych artykułów jakie napisze dla *Przeglądu* on i O. Podoleński. Ks. Podoleński jest specjalistą w zakresie moralno-obyczajowo-społecznym. Z niektó-

rych rozpraw wyszły już książki (np. monografja o rozwodach), czyta się te prace z niesłabnącem zainteresowaniem i pożytkiem, tyle tam znajomości rzeczy, opanowania przedmiotu i wnikliwości. O. Podoleński zdobędzie sobie niezmierną zasługę z powodu ciągłego, a zawsze świeżego przypominania społeczeństwu jego obowiązków w zakresie czyto życia rodzinnego, czy społecznej opieki. Prócz tych dwóch wybitnych pisarzy *Przegląd* może się poszczycić współpracownictwem piór reprezentujących wiedzę i znajomość dziedzin przez nich omawianych (b. minister Kwiatkowski, Dr. Krotowski, Dr. Kacprzak, ks. Mytkowicz, ks. Wicher, prof. Halban, J. Matyasik, M. Ziomek, prof. Bruchus, prof. Wład. Wolter i wielu innych).

IV.

Prześlizgnęliśmy się w krótkim rzucie oka po powierzchni spoczywających dziś na półkach pięćdziesięciu roczników *Przeglądu*. Gdy się patrzy na te liczne tomy, zebrane w porządku, w porządku i bez przerwy wydawane w warunkach ciężkich dla Polski, podziwia się najpierw tę wytrwałą rękę, która dzieło zbożne i pożytku pełne prowadzi bez wytchnienia.

Trzeba bowiem pamiętać o tem, że w polskich stosunkach i w polskich warunkach te pięćdziesiąt lat nieprzerwanego wysiłku i pozytywnych wyników znaczą dużo.

W dziedzinie społeczno-gospodarczej nasza rola w owym okresie była skromniejsza z racji całkowicie prostych. Nie mieliśmy własnego organizmu politycznego państwa, pokrajani między trzech zaborców i wprzągnięci w jarzmo ich pracy zorganizowanej. Nasza myśl społeczna rozwijać się musiała na obcych wzorach i dlatego w tej dziedzinie naogół nie mogliśmy dać zbyt wiele. Gdy malarz lub poeta, historyk, powieściopisarz czy rzeźbiarz z naszej niewoli i przeszłości czerpali potężne soki twórcze — nasza polityka uczyła się na obcych instytucjach i obcym celom pomagała lub też schodziła do podziemi, bierna, prześladowana, ścigana, nękana.

W takich warunkach *Przegląd* przez kilkadziesiąt lat oświetlał sprawy publiczne, społeczne, dziedzinę gospodar-

czą. Ratował i umacniał moralny pion problemów socjalnych, podnosił sprawę polską, w rozumny sposób zwalczał socjalistyczny ferment ostatnich dziesiątków lat.

Bronił tego co zdrowe, ostrzegał przed słabością wobec przemijających nowinek socjalnych, wyjaśniając zresztą zmienność form przejściowych i przestrzegając przed zasklepianiem się szablonów społeczno-gospodarczych. Przyjęcie tego szlaku między pochopnością do zmian a lenistwem panującego zwyczaju, szlaku prawidłowej, rozumnej przemiany, zawsze uwarunkowanej całością i pierwszeństwem problemu moralnego było i jest zasługą *Przeglądu.* Jak zaznaczyłem — ułatwione ono jest posiadaniem doktryny jasnej i jedynie prawdziwej, której służy *Przegląd,* ale też głębszem wejrzeniem w rzeczy tych, co z ramienia *Przeglądu* urabiają opinję w zakresie spraw społeczno-gospodarczych.

Ignacy Czuma.

IV. Dział historyczno-literacki.

Rejestrując dorobek z zakresu historji literatury, zgromadzony pod dachem pięćdziesięciu roczników (200 tomów) *Przeglądu Powszechnego,* nie można się spodziewać jakichś ważnych wniosków, dotyczących życia tej gałęzi nauki w Polsce ostatniego półwiecza. Na kartach czasopisma tego historja literatury nie jest sprawą główną, nawet nie równorzędną z innemi, w piśmie tego rodzaju, ważniejszemi oczywiście zadaniami. Dla rozpraw historyczno-literackich otwarto tutaj wrota gościnne, okaże się, że otwarto wcale nawet szeroko, niemniej są one tu gościem, nie gospodarzem, nie zajmują naczelnego miejsca. Stwierdzony stan rzeczy ma konsekwencje i w doborze i w charakterze rozpraw tutaj drukowanych. Nie dobiera się ich tu według jakiegoś przyjętego planu, nie prowadzi się racjonalnej gospodarki naukowej; goszcząc studja z rozmaitych epok, nie przykłada się naogół jakichś miar proporcji chronologicznej, nie przestrzega się doboru naturalnego pod względem metody prac przyjmowanych i t. p. Inaczej oczywiście być nie może. Konsekwencją takiej gospodarki jest fakt, że — jak się rzekło — z bilansu jej nie można wyciągać wniosków, jak żyła, jak się ukształcała w ciągu dziesięcioleci ta gałąź nauki, jakie w tym czy owym okresie stawiała sobie główne cele, jakich dobierała metod. Odpowiedzi na takie pytania szukać należy właściwie tylko w organach fachowych.

Pismo natomiast, dające z założenia powszechny przegląd zagadnień kultury duchowej, pozwoli raczej zorjentować się w innej stronie kwestji. Redakcja takiego czasopisma ma oczywiście własny kierunek oddziaływania na zespół czytelników i stosowny do tego własny sprawdzian doboru ma-

terjału i współpracowników. Równocześnie jednak, w stopniu znacznie wyższym niż jakikolwiek organ wyłącznie fachowy, musi ona być czujna na potrzeby chwili, na to, czego czytelnicy od pisma oczekują, coby mieć chcieli. W ten sposób wypadkowa treści takiego czasopisma układa się według natężenia nietylko podaży ale i popytu. Sprowadzając więc sprawę do naszego węższego tematu, można powiedzieć, że przy półwiekowym bilansie *Przeglądu* więcej niż o intensywności problemów czy metod, wybijających się w naukowem badaniu historji literatury, dowiedzieć się zdołamy o tem, czego w owym czasie publiczność oczekiwała i pożądała od historji literatury czy krytyki literackiej, czem żyła, skąd czerpała wzruszenia. Krótko mówiąc, z takiego jubileuszowego obrachunku większa będzie korzyść dla historji smaku literackiego i zapotrzebowań kulturalnych pokolenia, niż dla rejestracji ostatecznych zdobyczy i stwierdzeń naukowych, składających się na żelazny kapitał historji literatury.

Jak przystało na bilans, wysuńmy na czoło trochę statystyki. Wpierw jednak uczynić trzeba jedno ograniczenie. Bierzemy tu pod uwagę z całego zasobu jedynie rozprawy samodzielne i większe, pomieszczone w pierwszych częściach zeszytów; natomiast na uboczu pozostanie cały dział recenzyj i sprawozdań z poszczególnych książek. Wystarczyć musi stwierdzenie, że dział ten jest w piśmie wybitnie uprzywilejowany, bardzo bogaty, zestawiany bardzo starannie, z żywem poczuciem aktualności; widać, że wszystkim kolejnym redakcjom na bogactwie jego wysoce zależało. Ilość książek z zakresu zarówno literatury pięknej, jak historji literatury, estetyki i metodyki literackiej, omówionych na łamach 200 tomów *Przeglądu,* sięga w wysokie setki, sam ich rejestr według wydanych dotychczas siedmiu tomów Spisu rzeczy *Przeglądu Powszechnego* wypełniłby kilkanaście stronic. Niejedna z tych recenzyj wnosi do omawianych kwestyj nowe materjały czy nowe sposoby ujęć, niejedna świadczyćby mogła wymownie o znamiennych dla epoki kryterjach oceny; ostatecznie jednak cały ten dział ma znaczenie raczej jako dowód staranności redakcji w informowaniu czytelników, zarazem świadectwo sumienności w rejestrowaniu ruchu

umysłowego, niż przyczynia się do uczestnictwa w samym ruchu. To też może to będzie do wybaczenia, jeżeli cały dział recenzyj zostanie poza obrębem poniższych uwag.

Przechodząc tedy do interesujących nas cyfr, zaznaczmy, że w przeciągu pierwszego półwiecza współpracowało w *Przeglądzie Powszechnym* 124 autorów rozpraw historyczno-literackich. W liczbie tej, wbrew może spodziewaniu, autorzy świeccy przeważają zdecydowanie; jest ich 97, podczas gdy księży 27, t. zn. niewiele ponad 21%. Są między współpracownikami autorzy więcej lub mniej przygodni; do najczynniejszych należał A. Mazanowski, ogłosił tutaj (nie licząc recenzyj i prac z zakresu pedagogiki) rozpraw 18, jedna z nich o kilku rozdziałach ukazała się w odbitce jako spora książka. Pilną współpracownicą była dawniejszemi czasy T. Wodzicka (12 rozpraw), nowszemi Z. Falkowski (11 rozpraw). Przeważnie jednak zakres współpracownictwa nie wychodził przeciętnie poza 5 do 6 rozpraw, ogromna większość autorów dostała się na łamy raz jeden. Z księży najwydatniejszymi współpracownikami działu historyczno-literackiego byli księża Pawelski, Badeni, Wiecki, Karyłowski.

Między współpracownikami świeckimi skala wytrawności wcale szeroka: od profesorów uniwersytetu do stawiających pierwsze kroki (nierzadko seminaryjne) w tej nauce. Pomieszczali tu zatem prace swe: St. Tarnowski, A. Kalina, J. Tretiak, St. Windakiewicz, ks. J. Fijałek, K. Morawski, A. Miodoński, T. Sinko, M. Zdziechowski, W. Rubczyński, W. Hahn, T. Grabowski, A. Chybiński. Tutaj debjutował W. Bruchnalski, do bliższych przyjaciół pisma należał dawniej St. Dobrzycki, potem J. Kallenbach; z młodszych znajdujemy St. Kołaczkowskiego i W. Lednickiego. Brückner figuruje tu tylko w dziale recenzyj, Ign. Chrzanowski reprezentowany jest tylko przedrukiem. Brak uczonych warszawskich: Chlebowskiego, Chmielowskiego, brak romanistów: Kawczyńskiego, Porębowicza. Wśród współpracowników świeckich doliczyliśmy się 13 autorek, z czego, wyjąwszy wspomnianą T. Wodzicką i St. Pietraszkiewiczównę, wszystkie inne weszły tutaj dopiero w latach powojennych.

Wszyscy wspomniani autorowie głosili prac 370; w tem przypada na literaturę polską 237, na obcą 113 wyłącza-

jąc narazie z obrachunku 20 rozpraw z estetyki i metodologji). Z literatury polskiej większość rozpraw mówi o piśmiennictwie lat przeszłych (159), ilościowo mniej, ale więcej stosunkowo (68) dotyczy literatury współczesnej. Interesujące jest też, jak się układał stosunek dwu tych grup w różnych okresach czasu. Kiedy w pierwszem 11-leciu (1884—1895) uwaga badaczy (i redakcji) skierowana była prawie wyłącznie na dawność (27 rozpraw, a literaturze współczesnej poświęcono równocześnie tylko 4 studja) przyczem w l. 1890—95 ani jednego) — to w 12-leciu następnem stosunek ten ulega radykalnej zmianie (literatura dawna 29, współczesna 21); poczem w następnych dziesięcioleciach utrzymuje się w mierze jak 2 : 1, by w 6-leciu ostatniem (1928—1933) przechylić się znowu raczej w stronę przeciwną (35 i 9, t. zn. jak 4 : 1). Nietrudno byłoby dojść przyczyny tego obrotu sprawy; stoi on oczywiście w bezpośrednim związku z intensywnością samej twórczości literackiej. Od r. mniejwięcej 1898, t. zn. od zdecydowanego wystąpienia prądu Młodej Polski, literatura współczesna, krzewiąc się bujnie, sama stała się problemem, nierzadko niepokojącym, a więc ściągała ku sobie uwagę, wyzywała do uznania czy polemiki. Na ten głos życia, domagającego się uwagi, nie mogło zostać głuche czasopismo, pragnące być dla swego czasu współczynnikiem formowania świadomości i poprostu typu psychicznego. Nie bez znaczenia oczywiście jest i ten fakt, że w okresie owego wezbrania nowych prądów redakcja czasopisma spoczywała w rękach ks. J. Pawelskiego, który sam był zawołanym krytykiem literackim i pilnym obserwatorem współczesności.

Wspomniało się wyżej, że z okazji podobnego bilansu możnaby się kusić o niektóre wnioski ogólniejszej natury. Obecnie mamy do czynienia z jednym z nich. Jeżeli do elementów składowych historji literatury należy nie samo tylko dzieło twórcze, ale i jego sukces i trwałość uznania, to w podkreślonem dopiero co stwierdzeniu, w tem, że około r. 1898 dokonywa się w literackiem obserwatorjum pisma tak wyraźne i znamienne przesunięcie zainteresowania, znaleźćby można wzgląd nieobojętny dla oszacowania prądu młodopolskiego, jego natężenia i doniosłości. Wzgląd tem bardziej znaczący, im żywiej się pamięta, że *Przegląd Pow-*

szechny nie należał przecież zgoła do porywczych entuzjastów modernizmu, ale był tylko jego czujnym i krytycznym obserwatorem, nieskąpym w przyganach, skorym jednakże do szczerego uznania wielkości rzetelnej.

A teraz jakiżto i jak się rozkłada na epoki ów plon historyczno-literacki? Jak się rzekło, w tym półwiekowym zasobie nie może być mowy o jakiejś planowej proporcjonalności; zresztą dobór materjału w takich razach dokonywa się przecież w drobnej tylko mierze według zamysłu redaktorskiego. Niemniej w rozprawach historyczno-literackich z 50 lat *Przeglądu Powszechnego* nie zostawiono żadnej epoki całkowicie poza obrębem uwagi. Każdy z pięciu wieków naszego piśmiennictwa ściągnął na siebie, acz w stopniu nierównym, uwagę piszących badaczy.

Syntetyczne ujęcie całej (kościelnej i świeckiej) średniowiecznej poezji polskiej dał St. Dobrzycki (1900 IV); średniowiecza częściowo dotyczy, ale wkracza głęboko w w. XVI tegoż autora rozprawa o najdawniejszych kolędach (1903 IV, 1904 I), obie przedrukowane później w książce Z dziejów literatury polskiej (1907). Podobnież zahacza głęboko o średniowiecze, by dojść aż do dzisiejszego lajkonika krakowskiego, studjum L. Lepszego o pierwocinach teatru, Lud wesołków w dawnej Polsce (1899 I, II). Dobrzycki w studjum swem mógł był poświęcić niewiele uwagi Bogarodzicy, ale inni współpracownicy przedtem i potem zadbali, by ta pieśń nad pieśniami zajęła należycie uwagę czytelników. Rozbiór krytyczny całej pieśni (przed rozpoznaniem jej warstwy najstarszej) dał A. Kalina (1887 III), A. Chybiński rozpatrzył problem pieśni od strony muzycznej (1907 II, III); w *Przeglądzie* też znalazł gościnę K. Heck dla obrony swej (nieprzyjętej) hipotezy o miejscu i czasie powstania Bogarodzicy (Spór o B., 1905 II, por. też 1901 IV). Trwałym wkładem w historję najdawniejszej poezji polskiej (XV i XVI w.) jest rozprawa Bruchnalskiego o niektórych jej źródłach łacińskich, czeskich i niemieckich (1884 IV).

Wiek XVI, trzeba przyznać, wystąpił na kartach *Przeglądu* dość ubogo. Kochanowskiemu poświęcono tu zaledwie trzy rozprawy, w tem dwie wywołane rocznicą 1930 r. (jedna Stoińskiej (1930 II), druga (tamże) jest przedrukiem z X wyd.

Historji literatury Ign. Chrzanowskiego). Dawniejsza, K. Bronikowskiego, Słowo o stosunku Kochanowskiego do Ronsarda (1887 II), też fragmentaryczna, daje więcej przeglądu poprzednich cudzych badań, niż przyczynia nowych dowodów do ustalenia stosunku. Pośrednio tylko tyczy Kochanowskiego rozprawa M. Dunajówny (1931 III), charakteryzująca metodę konstrukcyjną monografij prof. St. Windakiewicza, głównie na podstawie ostatniej jego książki o tym poecie. Poza Kochanowskim z pisarzy XVI w. zatrzymał uwagę współpracowników Orzechowski, co się wyraziło trzema rozprawami. Studjum ks. Koppensa (Dwa lata w życiu St. Orzechowskiego, 1548—1549 (1893); spożytkowuje dla celów biograficznych świeżo wówczas wydane Orichowiana; a sumienna praca A. Kossowskiego (1928 I) omawia na szerokiem tle korespondencję wzajemną Orzechowskiego z Hozjuszem wokół problemów traktowanych na soborze trydenckim i system teokratyczny Orzechowskiego omówił krytycznie M. Skibniewski (1933 II). Źródłową pracę ks. J. Terlagi o szkolnych czasach ks. J. Wujka znajdziemy w niniejszym tomie; cztery rozdziały z obszerniejszej pracy o J. Wereszczyńskim ogłosił E. Winkler w l. 1920—1922. Pozatem mamy do zanotowania przy tym wieku pracę ks. Słomińskiego o ks. St. Sokołowskim jako kaznodziei (1892) i przypomnienie utworu J. Bielskiego Genethliacon z r. 1595 przez ks. L. Zalewskiego (1928 I).

Stosunkowo bogato natomiast wystąpiła literatura w. XVII. Coprawda, stało się to z przyczyn specjalnych. Z pisarzy tego wieku szczególnie szczodrze wymierzono tu sprawiedliwość dwom chlubom zakonu Skardze i Sarbiewskiemu. Długi szereg studjów o Skardze otwiera B. Szulc, Słowo o genezie i chronologji Kazań Sejmowych (1898 I); polemizując z Tarnowskim, ustala chronologję Kazań i broni tezy, wówczas mało podzielanej, że nie były one wygłoszone na żadnym sejmie. Na łamach samego *Przeglądu* zbijał tezę powyższą ks. Sas (1898 I). Problem ten rozwiązał ostatecznie Francuz ks. Berga, dzieło jego zostało też zreferowane w *Przeglądzie Powszechnym* przez Paciorkiewicza (1920 III, IV). Pozatem z dawniejszych lat zano-

tować należy biograficzną pracę o Skardze ks. Czuczyńskiego (1892) i bibljograficzną ks. Pawelskiego (1898).

Jednakże dopiero 300 rocznica śmierci Skargi przyniosła nadzwyczaj bogaty plon; trudnoż go tu nawet zarejestrować w całości. Piętnastu autorów ogłosiło w tomach z 1912 r. rozpraw dwadzieścia, nie licząc notatek przygodnych. Wśród rozpraw wyróżniają się; rozmiarem i szczegółowością studjum (nagrodzone na konkursie) St. Mitery, nowością zaś ujęcia i bogactwem treści studja ks. J. Fijałka, trzy rozdziały, wydanego później w całości, portretu historyczno literackiego Skargi przez St. Windakiewicza, studja ks. Okoniewskiego, J. Tretiaka i in. Lata następne niewiele już dorzuciły do literatury o Skardze (poza wspomnianym referatem Paciorkiewicza tylko rozprawę ks. St. Adamskiego z 1917 r.).

Sarbiewskim zajmowano się w *Przeglądzie* w mniejszym już stopniu i raczej sporadycznie; uderza np., że 300 rocznica jego urodzin przeszła tam prawie bez znaku. Zajmowali się nim zaś, godne uwagi, poza ks. Badenim, który dał zarys monograficzny (1884 IV), nietyle historycy literatury ile tłumacze, ks. Piątkiewicz (wiadomość o rękopisach, rozprawa o kaznodziejstwie, 1891 r. i przekłady 1891, 1895) i ks. Karyłowski (Liryki, 1922, 1929, rozprawa Wartości twórcze S., 1925). Reszta w. XVII znalazła się na dalszym nieco planie, chociaż wyszła wcale nieostatnio. L. Dziama dał tu studjum o zapatrywaniach religijnych Kochowskiego (1894 II). K. Heck przedstawił dorobek badań Brücknera nad pismami W. Potockiego (1900 IV, 1901 I), tenże autor stąd właśnie dwukrotnie podejmował wypady polemiczne w sporze o dwóch Zimorowiczów (1904 III, 1905 III). Tutaj też Studziński rozpoczynał swe studja nad działalnością Hipacego Pocieja (1897 III). Pozatem kilku pomniejszych autorów (zwłaszcza kaznodziejów) tego wieku doczekało się tu szczegółowej uwagi w studjach ks. Sasa (1893), T. Sinki (1916), ks. Cichowskiego (1929).

Wiek XVIII, podobnie jak XVI, doszedł do głosu w *Przeglądzie Powsz.* w niedużej tylko mierze. Trudnoż tu doszukiwać się przyczyn tego faktu; pewną rolę odegrał w tem niewątpliwie charakter literatury tego wieku o osłabionem napięciu religijnem. Poza sprawozdawczą rozprawą H. Zatheya,

tyczącą twórczości Krasickiego (na temat studjum K. M. Górskiego o bajkach, 1888 II), do tego wieku odnosi się praca ks. St. Bednarskiego o wierszu Naruszewicza Na ruinę Jezuitów (1929 III) i referat W. Orłowskiego o powstaniu Mazurka Dąbrowskiego (1911 III), obie rozprawki drobne tematem i rozmiarami. One też wyczerpują zajęcie się literaturą w. XVIII w rocznikach pisma. Prace ks. Jougana o Woroniczu (1917), Małachowskiego-Łempickiego o ks. Surowieckim (1931 II), Kallenbacha o Ossolińskim (1928 II), Dwóch stołkach Niemcewicza (1927 III; nb. skąd się czytelnik nic nie dowie, że „bohaterem" tej komedji jest jen. W. Krasiński) wkraczają już dobrze w w. XIX, w literaturę przedromantyczną. Nie romantyzmu jeszcze, ale gruntu, z którego wytrysnął ten prąd w Wilnie, dotyczy monografja St. Pietraszkiewiczówny o Filomatach (1909—1911).

W studjach nad literaturą romantyczną, rzecz jasna, zajął naczelne miejsce Mickiewicz, traktuje o nim rozpraw 17. Dotyczą one całego okresu twórczego poety, od Ody do młodości aż po Pana Tadeusza. Pilną uwagę poświęcono w nich oczywiście zagadnieniu religijności i poezjom religijnym Mickiewicza, mówią o tem rozprawy Gostomskiego (1902 I, II), ks. Koppensa (1906 II, III) C. Stoińskiej (1929 I, II). Piszący te słowa omówił tutaj wizje i przepowiednie polityczne poety (1932 III). Większość rozpraw ma charakter specjalny, traktuje o poszczególnych okresach lub utworach, a mianowicie M. Smolarskiego o poglądach estetyczno-krytycznych w okresie wileńsko-kowieńskim (1932 II, IV), T. Szyjkowskiego o balladach (1917 III, IV; motyw upiora), J. Kallenbacha o Dziadach wileńskich (1899 III; polemika z Konopnicką), T. Sinki o drezdeńskich (o W. Improwizacji, 1923 I, i o Widzeniu X. Piotra, 1916 I, II), J. Tretiaka o bajronizmie (w K. Wallenrodzie i w Dziadów cz. III, 1899 II, III), ks. W. Szczepańskiego o Księgach pielgrzymstwa (zganionych przez pap. Grzegorza XVI, 1902 IV, 1903 I), wreszcie trzy studja o Panu Tadeuszu: St. Windakiewicza, Czas pisania P. T. (1917 III), ks. T. Karyłowskiego, Wpływ Eneidy na P. T. (1925 I) i Fr. Bielaka, Delille w P. T. (1932 II). Tutaj też St. Zdziarski (1899 I) podjął, w złą godzinę, próbę

przypisania Mickiewiczowi dwóch wierszy (w tem jeden A. Goreckiego).

Mniej i stosunkowo późno zajęto się w *Przeglądzie* Słowackim. Najwcześniejsza, wywołana setną rocznicą urodzin poety, rozprawa ks. Koppensa wykazuje wpływ „transfiguracji" na Księdza Marka i Sen srebrny Salomei (910 III). A. Czermiński w obszernem i gruntownem studjum omówił ukrainizm w twórczości Słowackiego (1029 IV, 1930 I). Słowackiego tyczą częściowo, wychodząc zresztą poza niego rozprawy J. Krasickiej Ks. Marek w poezji pol. (1924 II) i Kallenbacha Anhelli i Ostatni (1916 II). Wyłącznie Krasińskiemu poświęcone są studja: T. Sternala o Przedświcie (1891), Kallenbacha o poglądach Krasińskiego na komunizm (1920 III, IV) i J. Teslara o roli Apokalipsy w jego spekulacjach mesjanicznych (1917). W przeważnej mierze o stosunku Krasińskiego do towianizmu traktuje studjum Kallenbacha Towianizm na tle historycznem (1924—1926).

Z innych pisarzy pierwszej połowy w. XIX Fredrze poświęcono dwie rozprawy: St. Kołaczkowskiego (1931 III) i Z. Falkowskiego (1929 II), dwie Goszczyńskiemu: M. Zdziechowskiego (1895, o Królu zamczyska) i W. Hahna na temat zbliżony (1927, o K. i J. Machnickich, a zatem mowa tu i o Dziadów cz. III i o Żeromskiego fragmencie Popiołów cz. II). Do biografji Zaleskiego przynoszą nieco ogłoszone w *Przeglądzie* listy (1898, wyd. St. Zdziarski; nie wszystkie weszły w Korespondencję), oraz fragmenty pamiętnika (1931 IV, wyd. I. Turowska). Najbardziej i najgłębiej katolicki z poetów, C. Norwid ukazany został dość szeroko; przemawia z kart *Przeglądu* bezpośrednio utworami (1911), o nim zaś traktują rozprawy Wł. Arcimowicza Norwid a Sorel (1931 II), Prawdy Norwida (1932 I), Z. Falkowskiego o Kleopatrze (1928 III, IV); Wyżyny poezji Norwida (1933 II); wreszcie duże studjum T. Sinki, Laur klasyczny Norwida (1933). Po jednej rozprawie otrzymali Mochnacki (Z. Falkowskiego 1928 I), Cieszkowski (ks. Koppens, 1896), T. Olizarowski (M. Dubiecki, 1983), Deotyma (ks. W. Czeczot, 1911), Żmichowska (Zahorska, 1931 IV), pośrednio W. Pol (Dubiecki o pierwowzorze

Mohorta, 1889). Tutaj też drukowała się częściami obszerna monografja ks. Badeniego o księdzu St. Chołoniewskim (1887—1889). Prądów ogólnych w. XIX dotyczą rozprawy: Kołodziejczyka o słowianofilstwie na emigracji (1913) i A. Waśkowskiego próba obrony mesjanizmu (1930 III).

Popowstaniowy okres literatury zaznaczony został, jeżeli chodzi o poezję, rozprawą L. Dębickiego o J. Szujskim jako poecie (1886) i Zdziechowskiego o Asnyku (1897). Przedewszystkiem jednak reprezentują go Orzeszkowa i Sienkiewicz. Oboje pomieszczali tu swe utwory (głównie Orzeszkowa, którą pismo liczyło do swych bliskich przyjaciół), obydwojgu poświęcono też szereg rozpraw. Tutaj ukazała się duża rozprawa W. Gostomskiego Praca u podstaw w powieściach Orzeszkowej (1909—1910), i pomniejsze artykuły o niej ks. Czeczotta i L. Rydla (1906). Z utworów Sienkiewicza omówiono w osobnych rozprawach: Quo vadis (A. Miodoński, 1904), Krzyżaków (ks. Pawelski, 1901), Bez dogmatu (M. Załęska, 1925), Wiry (ks. Pawelski, 1910), ponadto drobny przyczynek do Ogniem i mieczem dał ks. N. Cieszyński (1919). W ostatnich latach (1930—1931) szereg rozpraw o Sienkiewiczu (Cechy artyzmu Sienkiewicza, Sienkiewicz w zwierciedle anegdoty, Sienkiewicz a Szekspir i in.) pomieścił Z. Falkowski. Śmierć Sienkiewicza zapisała się dwoma wystąpieniami: A. G. Siedleckiego i ks. T. Karyłowskiego (1916). Z młodszych pisarzy tej epoki oceniono niedawno twórczość Rodziewiczówny (A. Zahorska, 1927).

Jak już zaznaczono, około r. 1897 pogłosy bogacącej się coraz intensywniej literatury Młodej Polski wdzierają się szeroko na łamy *Przeglądu Powsz.* Za pierwszy i najdoskonalszy przykład tej czujnej uwagi, jaką redakcja skierowała na nowe prądy literackie, można poczytać studjum ks. J. Pawelskiego Program nowej poezji polskiej (1898 IV); studjum nie entuzjastyczne, owszem krytyczne, wskazujące wyboczenia i niebezpieczeństwa ruchu, ale pełne bezstronności, szerokiego poglądu na sztukę, przyjęte zostało z respektem i uznaniem nawet przez obóz młodych. Autor wytknął tu zwłaszcza słusznie węziznę koncepcji „nagiej duszy", zatopionej przez protagonistę w odmętach patologji i seksu-

alizmu. Dalszym ciągiem tej rozprawy jest tegoż autora Z estetyki krakowskiego dekadentyzmu, rozpatrzenie krytyczne programu literackiego, zawartego w Confiteor Przybyszewskiego. Po latach wróci nazwisko Przybyszewskiego na karty *Przeglądu* w syntetycznym artykule A. Zahorskiej (1928 I) o tym pisarzu.

Powściągliwe raczej stanowisko redaktora wobec nowych haseł literackich nie przeszkodziło, że omówieniu działalności Młodej Polski poświęcać się będzie na kartach pisma wiele miejsca. *Przegląd* pomieścił o pisarzach Młodej Polski dużą monografję A. Mazanowskiego (1899—1901), zapewne nie najlepszą rzecz, jaką ten krytyk po sobie zostawił; podobnież tu się najpierw ukazał końcowy rozdział dzieła St. Zdziarskiego Pierwiastek ludowy w poezji pol., traktujący o kilku pisarzach Młodej Polski (1901). Z poszczególnych autorów doczekali się tutaj oceny swych dzieł czy całokształtu twórczości: Weyssenhoff (St. Dobrzycki o Podfilipskim i Sprawie Dołęgi, 1903), Żeromski (rozprawy A. Mazanowskiego o Popiołach, 1904, i o Dziejach grzechu, 1908 oraz portret literacki pisarza pióra A. Zahorskiej, 1926), Kasprowicz (Gostomski o jego lirykach, 1903; Ciechanowska o religijności, 1927), Reymont (A. Mazanowski o Chłopach, 1909, ks. Cieszyński o trylogji historycznej, 1918, wreszcie dobry portret literacki pióra Z. Falkowskiego, 1927), Rydel (nekrolog pióra ks. J. Pawelskiego, 1918), Ign. Dąbrowski (E. Jelonek o Matkach), wreszcie St. Brzozowski (Z. Gutek o Pamiętniku, 1914, T. Grabowski o Brzozowskim jako krytyku, 1933).

Przedewszystkiem jednakże wielekroć i wspaniale zapisało się na kartach *Przeglądu Powsz.* nazwisko Wyspiańskiego. Tutaj, od r. 1907, ukazał się po raz pierwszy drukiem szereg fragmentów z jego ostatnich utworów, tu też poświęcono twórczości jego uwagę bardzo pilną. Zaznaczyć zaś trzeba, że w uznaniu dla Wyspiańskiego *Przegląd* nie szedł dopiero za prądem, ale prąd ów, jeden z pierwszych, sam wywoływał i głęboko uzasadniał. Zaraz po wystawieniu Wesela ogłoszono tu dużą i bardzo cenną rozprawę ks. J. Pawelskiego o tym dramacie (1901—1902); rozprawa wnikliwa, trafnie wymierzająca głębie ideowe i wartości historyczno-

literackie dzieła, raz po razu zdumiewająca trafnością interpretacji, nie została dotąd należycie oceniona i zużytkowana, zasłonił ją niesłusznie współczesny artykuł R. Starzewskiego. Po latach pomieści *Przegląd* o temże dziele godne uwagi, obszerne studjum St. Szczutowskiego Nad głębiami Wesela (1932). Nieporozumieniem natomiast wypadnie nazwać rozprawkę A. Caro Idea narodowa w Wyzwoleniu, 1903). Widać, jak niespodziane i trudne było dla współczesnych dzieło poety, skoro można było w rozumieniu go tak gruntownie pobałamucić. Genjusz pojęty tam został jako pozytywny wódz narodu, a Konrad jako neurastenik-przewrotowiec, żyjący nienawiścią i sztuką, dzieło całe jako czcze i tylko zaprzeczne. W latach późniejszych pomieścił *Przegląd* studjum T. Sinki o twórczości teatralnej Wyspiańskiego (1918) i interesujące wspomnienia Z. Stankiewiczowej, opracowane przez Dürra (1932 II). Dwudziestopięciolecie śmierci poety zaznaczono ponadto, pomieszczając piękne kazanie ks. J. Rostworowskiego Polska Wyspiańskiego (1933 I).

Wreszcie w latach ostatnich, chociaż niewątpliwie zainteresowanie się polską literaturą współczesną w głównym dziale pisma nieco osłabło, przecież studja o niej nie są na tych kartach rzadkością. Z liczby ich jest rozprawa A. Zahorskiej Literatura współczesna a katolicyzm (1921), ks. St. Bednarskiego rzecz o Złotej Wolności Szczuckiej (1929 II), Z. Falkowskiego o Goetlu (1930 I) i in. Pilnie pozatem śledzi się życie najmłodszej literatury w dziale recenzyj, gdzie zwłaszcza zbiorowe przeglądy pióra Z. Morstinowej i A. Zahorskiej przynoszą bystre oceny dzieł i spostrzeżenia ogólniejszej natury.

Podobnież żeby mieć pełny obraz działalności redakcji na polu informowania czytelników o ruchu naukowym, zaznaczyć trzeba, że różnemi czasy starano się i tutaj o zbiorowe przeglądy opracowań historyczno-literackich ostatniej doby. Dawali takie przeglądy ogólne: Brückner, Dobrzycki, Hahn, Mazanowski, Heck, Zdziarski i in. Ostatnio wznowiono (na zbyt krótko, niestety) tę pożyteczną tradycję piórem Z. Ciechanowskiej, która omówiła polski dorobek historyczno-literacki z lat 1920—1926 (1926—1927).

Dodajmy nakoniec, że nie zaniedbano w piśmie również dziedziny estetyki i metodyki historyczno-literackiej. I w tym dziale zanotować można pozycje dużej wagi: rozprawy ks. J. Pawelskiego, Pojęcie literackiej krytyki (Taine, Hennequin) (1900—1901), ks. M. Morawskiego, Prawda, twórczość, piękno w sztuce (1892), szereg rozpraw W. Rubczyńskiego o współczesnych systemach estetycznych i o ich twórcach (1913), ks. L. Rudnickiego o estetyce Lippsa (1910—1911), J. Święcickiego Psychoanaliza w literaturze (1932 I), Z. Falkowskiego Pojmowanie realizmu (1929 III), wreszcie rozprawy T. Grabowskiego Nowe drogi badania literatury (1931 III), Próba syntezy nowej nauki o literaturze (1933) i in.

O rozprawach z zakresu literatur obcych powiedzieć już trzeba tylko ogólnie. Że ich było stosunkowo dużo, o tem już się tu wspomniało. Rozdzieliwszy je według narodowości, zobaczymy, że uprzywilejowane miejsce zajmuje literatura francuska; poświęcono jej rozpraw tyle, ile razem wziąwszy literaturom: niemieckiej, angielskiej, włoskiej i hiszpańskiej. Pozatem reprezentowane są w szczuplejszych rozmiarach literatury skandynawskie, rosyjska, rumuńska, czeska, chorwacka i amerykańska. Rozprawy traktują przeważnie o prądach i pisarzach nowszych i współczesnych, w drobnej mierze tylko sięgają wstecz poza w. XIX. Dodajmy i to, że spora ich część dotyczy związków literackich zagranicy z Polską. Pozatem szeroko uwzględniono literatury obce w dziale recenzyj. Tutaj także, równie jak przy literaturze pięknej polskiej, trzymano się w informowaniu systemu referatów zbiorowych, przynoszących wieści z obczyzny literackiej dużemi grupami.

Rzućmy okiem raz jeszcze na całość plonu półwiekowego w omawianej dziedzinie. Oczywiście nietrudno się zgodzić, że zadaniem pisma tego pokroju co *Przegląd Powszechny* nie jest posuwać naprzód naukę w tej czy owej gałęzi, wzbogacać jej, by tak rzec, żelazny kapitał; trudno też mówić o powinności równomiernego traktowania jej zjawisk z całego obszaru dziejów. Natomiast uwaga główna pisma skierowana być winna na należyte zużytkowanie procentów od odkryć naukowych, wogóle na podtrzymanie zna-

czenia nauki jako wartości społecznej, na rozpowszechnienie jej jako strawy powszedniej, naturalnie w ujęciu odpowiedniem dla tego celu.

Otóż jeżeli tym sprawdzianem zmierzymy półwiekowy plon historyczno-literacki *Przeglądu Powszechnego,* to trzeba powiedzieć, że jest on bogaty na ilość i znaczny na wagę. Półczwartej przeszło setki rozpraw, traktujących o piśmiennictwie polskiem i obcem, informujących o prądach i zjawiskach twórczości literackiej, to wkład chlubny w życie umysłowe Polski ostatniego półwiecza. Wkład nie w każdej oczywiście pozycji równy co do ciężaru gatunkowego i jakości podania, naogół jednak czyni on zadość wysokim wymaganiom. To też nierzadko rozprawy tu opublikowane przynosiły także dla nauki trwałe zdobycze. Świadczyć za tem może sam zespół współpracowników, o nazwiskach częstokroć pierwszorzędnych, rzetelnie zasłużonych dla polskiej kultury naukowej. Równocześnie wszelako trzeba i to podkreślić, że redakcja nie zamykała bynajmniej bram dla uczonych młodych, owszem, przygarnia ich z całą gościnnością. Niejeden z młodych pracowników nauki debjutował na tych kartach. To także jest dla pisma dobrym tytułem do chluby.

Stanisław Pigoń.

V. Literatura piękna.

Pierwsze numery *Przeglądu Powszechnego* ukazały się niemal jednocześnie z Sienkiewiczowskiem „Ogniem i mieczem", wytykającem granicę między epoką pozytywizmu, a epoką nadchodzącego nawrotu do romantycznych irracjonalności i nowych śmiałych posunięć w formie i w treści. „Młoda Polska" stała u progu dziejów naszej literatury. Na rok przed powstaniem omawianego tu pisma umarł ostatni przedstawiciel wielkiej poezji epoki mickiewiczowskiej, Norwid. Jego „odkrywca", Miriam stawiał na polu poezji dopiero pierwsze kroki, ucząc się od Maeterlincka symbolizmu. Stare kierunki chyliły się ku upadkowi, lub zamierały zupełnie, na ich miejsce rodziły się nowe. Kaczkowski, matador powieści historycznej dawnego typu, z donkichotowską pasją rzucał się na sienkiewiczowskie wiatraki, które, wcale nie mierząc w niego, każdym rozmachem poetyckiej fantazji odrzucały go mimowoli precz od siebie na miękką murawę przeszłości i zapomnienia. Chwila była bogata w zjawiska literackie. Nadchodzące czasy pod tym względem były jeszcze bogatsze.

Potem szły kierunki za kierunkami, pisma za pismami, walki za walkami. Cała myśl polska twórcza skupiła się na Parnasie lub dokoła Parnasu. Symbolizm, modernizm, naga dusza, estetyzm, nastawienie społeczne i polityczne, poezja legjonów, wreszcie w odrodzonej już Polsce mistycyzm „Zdroju", modernizm „Skamandra", futuryzm „Zwrotnicy" i t. d. aż po sensacyjność „Wiadomości Literackich" i etatyzm literacki „Pionu", wszystko to przepływało przez dzieje w owe ubiegłe 50-lecie istnienia *Przeglądu Powszechnego.* Jednakże ten bogaty nurt życia literackiego tylko zlekka

zahaczał i to nie zawsze, o to pismo, gdy chodziło o twórczość oryginalną. Inaczej rzecz się miała, gdy chodziło o krytykę literacką, w tym drugim wypadku można się pokusić o odtworzenie stosunku pisma do owych licznych prądów, które obok niego przepływały. Przy omawianiu twórczości literackiej oryginalnej należy znaleźć inny punkt widzenia.

Bardzo niewielu tylko kierunkom udzielał *Przegląd* gościny na swoich łamach. Ściśle mówiąc, żaden kierunek tu się nie rozgościł, — pisywali tu tylko nieliczni autorzy, których twórczość związana była z tą lub ową szkołą literacką. Przyczyn tego należy szukać w teoretycznych założeniach pracy i w programie pisma.

Wytknął je ks. M. Morawski w artykule „Cel i zadania Przeglądu Powszechnego" (Rok 1884, tom I, str. 3—4). Czytamy tam, że hasłem pisma jest „aktualność i zasadniczość", a celem jego jest „podnosić na wszelkiem polu kwestje najaktualniejsze, a sprowadzać je do zasad, reasumować doniosłe wypadki i wybitne prądy myśli, pojawiające się w kraju i po świecie, a dochodzić do ich gruntu i sądzić je rozumem oświeconym wiarą, doświadczeniem własnych nieszczęść i widokiem kolei, przez które dzisiaj sąsiednie narody przechodzą".

„Podejmując tedy w naszem piśmie omówione wyżej zadanie, zakreślamy sobie plan następujący: Przedewszystkiem podnosić i opracowywać chcemy zasadnicze kwestje społeczne"...

...„Obok tych kwestyj ogólnych, zasadniczych podejmować także chcemy praktyczne sprawy i interesa na krajowym gruncie z dnia na dzień powstające"... ...„otwieramy też nasze łamy kwestjom naukowym"...

...„umieścimy obszerniejszy dział literacki: w nim chcemy kolejno przeglądać ruch literacki w naszym i obcych krajach, zdawać sprawę z głównych jego kierunków i znamienitszych dzieł. Czasem też jakiś mniejszy literacki utwór może znaleźć miejsce w naszym *Przeglądzie.*"

Z powyższego jasnem się staje, że miejsce zgóry przeznaczone na oryginalną twórczość literacką na łamach *Przeglądu* było nieobszerne. Ponadto twórczość ta zgóry skazana

została na rolę drugorzędną, na sekundowanie zagadnieniom socjalnym, filozoficznym i naukowym. Oczywiście przy takich założeniach nad twórczością literacką musiała w tym wypadku zaciążyć tendencja. Biorąc to pod uwagę musimy na czoło wysunąć literaturę: której ostatnio dano imię „literatury stosowanej". Usiłuje się odróżniać literaturę czystą (o celach czysto-estetycznych) od literatury stosowanej (o celach praktycznych).[1]) Granice tej ostatniej nie są dokładnie określone i naogół godzę się ze zdaniem, że „każdy ze znanych rodzajów, nie wyłączając najbardziej cenionych odmian sztuki czystej, może mieć charakter „stosowany".[2]) W tym wypadku, t. j. na łamach *Przeglądu* charakteru stosowanego nabierają nawet utwory pozatem należące do literatury czystej, np. nowele Orzeszkowej, czy fragmenty dramatyczne Wyspiańskiego. Niewiele utworów zamieszczono ze względu wyłącznie na ich wartość estetyczną, przeważnie kierowano się względami ideowemi, a że między ideą a tendencją w utworze granica jest nieuchwytna,[3]) tedy nastawienie wyraźnie ideowe czy tendencyjne pozwala nam utwór zaliczyć do literatury stosowanej. Muszę się tu zgóry zastrzec, że zaliczając jakiś utwór do literatury stosowanej, bynajmniej tem nie przesądzam i nie kwestjonuję jego wartości artystycznej, a tylko stwierdzam, że oprócz wartości estetycznych czy też mimo braku ich, posiada on jeszcze walory inne: praktyczne, moralizatorskie lub też nabiera praktyczności przez aktualizowanie.

Więc przedewszystkiem w i e r s z e, gdyż ilościowo przerastają one wszelkie inne rodzaje utworów literackich.

Zastosowanie ich jest prawie zawsze oczywiste. Wiersze o treści religijnej najczęściej łączą się z wymaganiami roku kościelnego, kojarząc się ze świętami i uroczystościami. Inne dotyczą rocznic i jubileuszy bądź to kościelnych, bądź narodowych. Niektóre, szczególniej w latach 1914—1918 opie-

---

[1]) S t e f a n j a S k w a r c z y ń s k a: *Szkice z zakresu teorji literatury.* Lwów 1932. Str. 14.

[2]) M. G i e r g i e l e w i c z. Rec. książki St. Skwarczyńskiej. *Szkice...* op. cit. Ruch liter., 1933. N. 7, str. 150.

[3]) S k w a r c z y ń s k a, op. cit. str. 9, przypisy.

wają wypadki aktualne. Inne wreszcie wyrażają tendencje patrjotyczne i społeczne.

Na czoło poetów lirycznych wysuwa się Lucjan Rydel już przez to, że najdłużej współpracuje w *Przeglądzie*. Współpracę rozpoczął od artykułów o „współczesnej" estetyce, a potem zostawił ślad swego pióra w bardzo licznych rodzajach twórczości. Najczęściej poezje jego ukazywały się w *Przeglądzie* we fragmentach, jako zapowiedź książki, która się ma wkrótce ukazać. Tak się ukazały „Chata Madeja" (t. XCII, „Mistrz Twardowski" (tom LXXXIV), wiersze: „W Olimpji", „Cierpliwość", „Po latach" i „Krucyfiks Jadwigi" (tom CIV). Ten ostatni poemat łączy się z akcją podjętą przez poetę i zapoczątkowaną na łamach *Przeglądu Powszechnego*, zmierzającą do wywołania procesu kanonizacyjnego królowej Jadwigi. Sprawa ta dziś jest na czasie i dlatego warto szczególniej podkreślić inicjatywę poety. W związku z jubileuszem Skargi zamieścił *Przegląd* wiersz Rydla p. t. „Piotrowi Skardze" (tom CXV). Tu też w roku 1905 drukowano fragment „Jasełek" Rydla, który w związku z toczącemi się na terenie zaboru rosyjskiego walkami miał specjalny rewolucyjny posmak. Oto próbka:

Herod.

Mój ukaz światem włada
I rządzę berłem krwawem,
Zwyciężonemu biada,
Bo siła jest przed prawem.
Przed blaskiem mej korony,
Miast czołem bić w pokorze,
Zgnębion i uciśniony,
Targa ten lud obrożę.
Bunt w dumnem sercu niesie
I powoływać śmie się
Na jakieś prawa. Boże,
Na ludzkie jakieś prawa...

. . . . . .

Ciała wziąłem w niewolę,
Ręce skułem w łańcuchy,
Spętam serca i duchy
Spokój i ład wprowadzę.

Kanclerz.

Samodzierżawny Panie,
Nakłoń ucho łaskawe

Ku pokornemu słudze,
Przebacz jeśli gniew budzę;
Ale nie z mojej winy
Zwiastuję złe nowiny.
Ten naród buntowniczy
Trwa w milczącym uporze,
Na siły własne liczy,
Na miłosierdzie Boże:
Żyje w ojców swych wierze,
Mówi swoim językiem,
Zwyczajów dawnych strzeże.
Tam każdy buntownikiem.
Małe dziecko w kolebce
Ssie bunt z matczynem mlekiem,
Buntem są te pacierze,
Które matka mu szepce,
Bunt zieje z ich oddechu,
Bunt z oczu im wyziera,
I z każdego uśmiechu:
W buncie żyje lud cały,
Z buntem w sercu umiera...

Tu też w *Przeglądzie* ukazały się wreszcie w r. 1918 z papierów pośmiertnych Rydla „Modlitwa przy codziennej Komunji Świętej" mową niewiązaną napisana i jegoż „Testament". „Na wypadek śmierci mojej", — czytamy tam, — „stwierdzam, że do ostatniego tchnienia wielbiłem Boga, Stworzyciela i Odkupiciela mojego, że Mu dzięki czynię za wszystko: za życie i śmierć i że jemu ofiaruję moje pragnienie życia, mój żal, a jego opiece oddaję, co mam najdroższego na ziemi". ... „Szkoda, że nie dożyję wolnej, zjednoczonej i niepodległej Polski, za nią Bogu ofiaruję moją śmierć. O niej ostatnia myśl moja na ziemi". W tych ostatnich słowach poety zawarte zostało to, co go tak mocno przez lat przeszło dwadzieścia z *Przeglądem Powszechnym* łączyło: głęboka religijność katolicka i patrjotyzm. One wycisnęły piętno idei na całej jego twórczości, a na łamach *Przeglądu* przez ogólny charakter pisma zostały podkreślone i uwydatnione.

Wyraźnie tendencyjne są wiersze ks. Tadeusza Karyłowskiego. Chodzi tu przedewszystkiem o patrjotyzm. Już same tytuły wskazują na okolicznościowy charakter tych utworów: „Na śmierć jenerała Kickiego" (tom CII) „Listo-

pad" (tom CXXXVI), „Posąg Kościuszki" (z powodu jubileuszu) (tom CXXXVI). „Dąbrowski — W stulecie chwały" (tom CXXXIX), „Witaj — Na sprowadzenie zwłok J. Słowackiego" (tom CLXXIV). Ks. Karyłowski umie odczuć związek chwili bieżącej z przeszłością, umie między niemi przerzucić most „sytuacji intelektualnej" (Bergson) i korzystając ze sposobności, umie zbliżyć do współczesnych to, co już dawno minęło. Forma jego wierszy odznacza się szlachetnością, wyrobioną na klasycznych i romantycznych wzorach. Zbliża się ona jednak raczej ku pierwszym niż ku drugim. Wypadki Wielkiej wojny pobudziły poetę do opiewania współczesności. Żywszą nutą drgnęły struny jego lutni. Nadzieję zmartwychwstania ojczyzny wita on w r. 1916 wierszem „Przychodzę".

W rozbrzaskach świtu, na czasów przełomie
Przychodzę, Polsko. — Anioł twej przeszłości,
Na tęczy zdarzeń zjawiony widomie,
Z bólem, co skalne rozrywa wnętrzności,
Z łuną, co w krwawym zwiastuje się gromie,
Idę ku tobie przez spalone włości,
Przez potrzaskane twych świątnic filary,
Król-Duch...
. . . . . .
Choćby po trzykroć świat w łuny pożodze
Miał spocząć — przyjdę — jak teraz przychodzę.
(Tom CXXXIV).

W rok potem mógł on już witać Ojczyznę, która rozbłysła zorzą na bagnetach legjonów.

Przy łunie bitew, rozświeconej krwawo,
Ze drżeniem serca czekana lat tyle,
Przyszłaś nakoniec, cudna, senna zjawo,
Wolności wiosno. — Zastygłe już w pyle
Wichrowe loty budząca z powrotem,
Przyszłaś nakoniec jasna — w słońcu złotem.

Wreszcie, gdy świat cały znękany wojną, bliski był rozpaczy, a ta ogólna groza i przygnębienie znajdowały również oddźwięk i u nas, poeta przeciwstawia im nowe zdobycze: wolność i ojczyznę własną w wierszu „Nowy rok" (1918).

Witany niemej kurczem odrazy
W twarzach zastygłych w przedwczesnym zgonie,
Ołowiem zrytych, strutych przez gazy —
Witany łuną, co krwawo płonie
Nad świątnic pańskich strzaskanym murem,
Wśród wieńca mogił w śnieżnym całunie,
Milczeniem grozy witan ponurem,
Rok nowy rydwan swój krwawy sunie...
. . . . . .
O patrzcie. Poprzez śnieżne zawieje,
W mgle, co nad pustką mogił się snowa,
Czarowną wizją oku się śmieje,
Rzucona w mytów pył — baśń tęczowa.
Nad potrzaskanych tronów kolumny
Swobody ludom zaranie pała,
Z królewskiem berłem z wiekowej trumny
Potężna Polska powstaje — cała.

Pozbawione posmaku aktualności, lecz tymże samym patrjotyzmem przesycone są wiersze „Złoty róg", przedstawiający dialog młodzieńca z duchem narodu (tom CXXXIII) i „Zmartwychwstanie" (tom CXXXIV).

W wierszach Krystyny Sarjusz Zaleskiej brzmi przedewszystkiem nuta religijna. I ta autorka również do pewnego stopnia aktualizuje swoje utwory. „Boże Narodzenie" (tom XCIV i C), „Zmartwychwstanie" (tom CV), „Gromnica Skargi" (tom CXV) — oto tytuły poezyj drukowanych w związku bądźto ze świętem dorocznem, bądźto z jubileuszem. Ponadto parokrotnie (tomy CVI, CVIII, CXIV) drukowano bez widomej tendencji, bodajże ze względów wyłącznie estetycznych wiersze Zaleskiej zatytułowane „Z przyszłego tomiku poezyj".

Na wojnę światową zareagowała Zaleska inaczej, niż ks. Karyłowski. Ucieczką jej był nie patrjotyzm, lecz wiara.

Wiew burzy idzie przez dzieje —
Jęknły głuchym porykiem czasów głuche knieje,
Gdy ludzkie liście, poderwane z leży
Wskróś ćmy oddaleń, wskróś mrocznych rubieży
Niosą się w wichrze za władców rozkazem,
Sądzić się wzajem ogniem i żelazem...
. . . . . .
A Ty wśród wiru tego stoisz w mocy, Panie,
Ty wódz tu sam.

Przez zamęt ten i jazgot i sił rozpętanie
Twój rozkaz milczący się stanie,
Ty wiedziesz te ludzkości ryczące otchłanie
W szturm do przyszłości bram —
Ty wódz tu sam.

W związku z pięćdziesięcioleciem *Przeglądu Powszechnego* warto przypomnieć, że dwudziestopięciolecie uczciła Zaleska wierszem, zatytułowanym „Do jubileuszowego numeru" (tom C), gdzie m. i. tak powiada:

Rycerską dajmy cześć
Stojącym na wyłomie mężom duchowych boi.
Twierdza ich jest z kryształu, w nim ognie się migocą:
Bo w twierdzy mieszka słońce, i twierdza słońcem stoi.
Słońce jest twierdzy duszą i jest tej twierdzy mocą,
I czarem diamentowym rycerskiej im jest zbroi,
Niem oni ostrza broni w ogniach ofiarnych złocą,
I jest im mocy winien, co grzeje, krzepi, poi.

Charakterem opisowym z całej twórczości nastrojowo-refleksyjno-religijnej wyróżnia się kilka wierszy Zaleskiej, objętych ogólnym tytułem „Z nad morza" (tom LXXXIX).

Wyłącznie wielką wojnę rymami opiewała, nie dotykając innych tematów w wierszach na łamach *Przeglądu Powszechnego* Marja Czeska. O jej utworach, pisanych mową niewiązaną, pomówimy jeszcze. „W szpitalu", „Dramat ucieczki" (tom CXXXI) oto tematy, które wiążą poezję z łamów *Przeglądu* z życiem na froncie bojowym. Inne zawierają również echa tego życia. Tytuły ich „Pasterka w 1916" (t. CXXXIII) oraz „W czwartą Wigilję" (t. CXXXVI).

Od rozpaczy i rezygnacji odwodzi autorkę znowuż religijność i wiara:

Jeśli Bóg zechce, odwróci karanie
I łzę nam każdą w uśmiech szczęsny zmieni,
Z popiołów chaty, a z krwi naszych synów
Wskrzesi potęgę czystych wielkich czynów,
Wskrzesi z ognia i płomieni.

Pięknym wierszem uczciła Czeska, secundo voto Mączyńska, jubileusz św. Franciszka (CLXXII):

Szedłem ci ja po drogach żywota,
Ach, i krwawa szła ze mną tęsknota.

Za mojego Boga zjawą jasną,
Szedłem ci ja, biedaczek ubogi,
Prostowałem Panu memu drogi,
Aż ścieżynę odnalazłem własną.
Na ścieżynie mojej kwitły kwiaty
Miłowania, radości, ofiary
I przeczystej, przepotężnej wiary,
Chrystusowi kwitły na objaty.

Motywy wojenne spotykamy również w wierszu Słończyńskiej Anny (styczeń 1916), a religijny punkt wyjścia harmonijnie łączy się tu z patrjotycznym:

Widać sławy złoty brzeg...
Błogosławion ten kto wierzy
W świętość sprawy, w moc szermierzy. —
Nam się szczęście to należy
Za męczeństwa wiek.

Adam Stodor kilkakroć drukuje w *Przeglądzie* wiersze najczęściej o treści religijnej. „Pieśni grzesznika", „W drodze do Boga" i „Poezje" wespół z Zaleską. Przy pierwszym występie autora w mowie wiązanej redakcja z zadowoleniem stwierdza zmianę charakteru twórczości (tomy XCVIII i CXXI).

Niektórzy autorzy zapisali się na łamach *Przeglądu* tylko jednym lub paroma rymowanemi utworami, jednak i te godne są specjalnej uwagi. Ks. Władysław Czencz, którego płytę grobową już niestety można oglądać na cmentarzu Rossa w Wilnie, zamieścił wiersz silny w treści i w formie „Joachim arcykapłan w Bethulji" (tom XXXVII, dodatek). Utwór ten składa się niejako z dwóch części. W pierwszej autor techniką poetycką, przypominającą „Śpiewy Historyczne" Niemcewicza, przedstawia dzieje biblijne Judyty i Holofernesa, a w drugiej zwraca się do swej współczesności, wyszukuje analogje do powyższych wypadków biblijnych i prosi Ojca Świętego:

O, Starcze Święty, co z tem imieniem
Stoisz u steru silnem ramieniem
W potrójnej Piotra koronie,

Dziś w twej Bethulji na Watykanie
Gną się do stóp twych, Arcykapłanie,
Ludów i królów ich skronie.
. . . . . .
Módlże się za nas, Arcykapłanie,
Ty nasz obrońco i nasz hetmanie:
Niech nas nie zduszą okowy.
Niech z silną wiarą trwamy przy Tobie,
Aż Chrystus stanie przy naszym grobie
Odwalać kamień grobowy...

Drugi wiersz ks. Wł. Czencza p. t. „Niepokalana", zamieszczono w roku 1904 w związku z 50-leciem dogmatu Niepokalanego Poczęcia.

Rozrzewniającym jest w swej prymitywnej ale arcyszczerej formie i pełnej chrześcijańskiego, latami wyrabianego hartu treści, wiersz Siostry Stanisławy, która się poświęciła posłudze trędowatych na wyspie Trinidad: Oto jedna ze zwrotek:

Jeśli potrzeba, by to coś zażądał,
W rzeczywistości strasznej się spełniło,
By świat mnie trądem okrytą oglądał,
O, przybądź, przybądź, wykonania chwilo.
(Tom CXIV.)

W wierszu Kazimierza Woyczyńskiego „Na Zmartwychwstanie" (tom CXVI), poświęconym Jackowi Malczewskiemu spotykamy głęboką analizę świata współczesnego, raczej cywilizacji współczesnej, której poeta przeciwstawia doskonałą wymarzoną przyszłość. Treść ta ujęta została w symboliczną formę:

I nakazali udawanie pieśni.
I uczynili ją kramem błyskotek,
I tajemniczo rzekli: Kłamstwo wskrześnij,
Bądź sforą wszystkich tego świata plotek
Zmetafizycznij się i rozbezkreśnij,
I daj dzieciakom mnóstwo swych łakotek,
By do przesytu niemi się obżarli,
I z przejedzenia tak, jako wy, marli.
. . . . . .
Kiedyś zasiędziem złote wyzwoleńce,
Ziemi anioły przy Chrystusów stole,

W weselu bożem, o rannej jutrzence,
Która nagrodzić przyjdzie dobrą wolę,
Swych najkraśniejszych róż przyniesie wieńce,
By je rozdawać w tem ryeerskiem kole
Za troski, trudy, męczarnie i znoje
Tym, którzy dla Cię, Chryste, szli na boje.

Ciekawy jest jeszcze wiersz Jalu Kurka, jako reprezentacja na łamach *Przeglądu* najnowszych prądów poetyckich, najnowszej techniki, wyrastającej na gruzach różnych futuryzmów i formizmów, które nie mogły na nią nie oddziałać. Wiersz ma długi tytuł „Św. Joanna d'Arc śpiewa do Chrystusa, stojąc na stosie w Rouen".

Tak długo czekałam na Twój głos. Czekałam daremnie.
Pozwól, niech Cię, jak drzewo, rękami ogarnę.
Niema już innej Francji — Francja jest we mnie, —
Teraz ją wezmę w ręce i zamienię w armję.
Niech znajdę takt swój w dziejach i prawdę w zwycięstwie.
Jest ból szczęśliwych i ból uśmiechniętych.
Ten ból poniosę Tobie w nadziei i w męczeństwie.
O Tobie tylko myślę — rozkoszy wszystkich świętych.

Oprócz tego spotykamy wiersze M. Bartusówny. „Modlitwa" (tom CXIX), Z. Ułaszynówny i Lwicza (tomy CXVII i CIII), Krzyżanowskiej „W dniach grozy", „W szpitalu" (tom CXXXIII) T. Wodzickiej. „Echa wojny" i „Naprzód" (tom CXXXII), Wiktora Gomulickiego „Niobe", „Laokoon", „Na 300-lecie Skargi" (tomy CXIII i CXXXII) Deotymy „Głos izajaszowy do młodzieży polskiej" (tomy CXIV i CXVIII), Anny Zahorskiej „Z cyklu: W Jego imię" (tom CXC), Antoniego Waśkowskiego „Tercyny o św. poecie z Asyżu" (tom CLXXII).

Należy tu jeszcze wspomnieć o okolicznościowym wierszu (r. 1894, tom XLI) p. t. „Zjawienie z Kroż", pióra ks. W. Piątkiewicza. Wiersz ten poświęcony jest bohaterskim obrońcom kościoła katolickiego w Krożach na Żmudzi. Kościół ten należał dawniej do pp. Benedyktynek. W ogólnej powodzi ówczesnych kasat zlikwidowano i ten klasztor, a kościół miał być zburzony. Tymczasem parafjanie krożańscy wszystkiemi siłami starali się zatrzymać kościół dla

celów parafjalnych. Na tem tle doszło do zbrojnego starcia między nimi, a wykonującą ukaz carski administracją. Wiersz wyżej wspomniany ukazał się w *Przeglądzie*, gdy bohaterscy obrońcy zasiedli już na ławie oskarżonych.

Bardzo poważną pozycję na łamach *Przeglądu* zajmują przekłady. Wśród tych na czoło wysuwają się tłumaczenia z języka łacińskiego. Rozpoczyna ten dział „Sztuka Rymotwórcza" Horacego, tłumaczona przez ks. biskupa Adama Krasińskiego (tom XIII). Jest przedruk wydania książkowego, dokonanego w Wilnie w roku 1835. Dzieje się to w r. 1887 i zamieszczenie tego utworu jest jakby wyrazem tej ostrożności, jaką okazywał *Przegląd* w stosunku do poetów Młodej Polski i symbolistów, jest on jakby poprzedzeniem krytycznych artykułów ks. Pawelskiego. Niektóre zdania Horacego, coprawda zawsze nieśmiertelne, w owych czasach pogoni za coraz inną i nową techniką poetycką, nabierały specjalnego aktualnego znaczenia i brzmiały jak ostrzeżenia.

„Pozorna piękność wielu nas poetów zwodzi,
Usiłuję być zwięzłym, zawiłość się wkradnie.
Kto się sadzi na górność, ten w nadętość wpadnie"

albo

Kogo rozmaitości chęć nazbyt uniesie,
Dzika w morzu, delfina odmaluje w lesie".

albo

„Bierz przedmiot nie nad siły i zważ jak na szali,
Co udźwigniesz na barkach, a co z nóg cię zwali".

Tu w *Przeglądzie* ukazały się liczne, znane już dziś powszechnie obok tłumaczeń Syrokomli, tłumaczenia utworów Sarbiewskiego, dokonane przez ks. Włodzimierza Piątkiewicza. Mianowicie mamy tu „Pieśń do Narwi", „Nad mereckiem jeziorem" (z Silviludjów), „Posąg Chodkiewicza" (tom XXX), „Do Pawła Kozłowskiego", „Do Piewika", „Do Rosy", „Do N. M. P.", „Miłość" (tom XXXIX), „Groby królów szkołą poety", „Chodkiewicz w drodze pod Chocim", „Do pogody wiosennej" (tom XLVIII).

Później ukazały się tu tłumaczenia tegoż samego poety, dokonane przez ks. Tadeusza Karyłowskiego. „Do rycerstwa polskiego", „Tęsknota do niebieskiej ojczyzny", „Do pasi-

konika", „Dzieciątko Jezus", „Do rosy" (rok 1922), „Do św. Stanisława Kostki" (tom CLXXII), „O mądrości Bożej" (tom CLXXXIII).

Lucjan Rydel zamieścił w *Przeglądzie* pięciokrotnie urywki swego tłumaczenia Iljady. „Pieśń II" (tom CI), „Pieśń V", „Bitwa" (tom CVII i CVIII), „Pieśń VI" (tom LXXXVII), „Pieśń XII", „Bitwa na wałach" (tom XCIII i XCIV), „Pieśń XXIV" (tom LXXIV i LXXV). W osobnem wydaniu książkowem tłumaczenia te nie ukazały się.

Z przekładów poezji i literatury religijnej ukazały się tu ks. Wł. Szczepańskiego: próbka nowego tłumaczenia Ewangelji (tom CXXXIII), „Przemówił Jahwe", przekład z hebrajskiego (tom CXI), próbka przekładu I księgi Joba (tom XCIX). Ks. Zygmunt Goljan zamieścił tu parafrazę wierszem białym „Pieśni Debory". Arcybiskup Fr. A. Symon urywki z tłumaczeń „Księgi mądrości" i „Psalmów" (tomy CXXX i CXXXI). Wreszcie ks. Karyłowski przetłumaczył szereg hymnów brewjarzowych: „Nox atra", „Ales diei", „Nox et tenebrae", „Splendor paternae", „Aeterne rerum" (tom CLXXIX).

Przekłady z języków nowożytnych reprezentowane są przez tłumaczenie kilku scen z „Sawantek" Moljera, dokonane przez L. Rydla (tom LXXXVIII), wiersza Em. Verhaerena „Nad wybrzeżem" (tom CXXXIII), powieść ks. Ludwika Colonny p. t. „Juan Mizerja" (tom XXVIII i nast.), dramat w jednym akcie Franciszka Coppée'go p. t. „Ojcze nasz". Pierwsze dwa utwory wyraźnie zamieszczone ze względu na ich wartość literacką, dwa drugie, aczkolwiek pod względem literackim całkiem niezłe, przyszłoby według tego cośmy powiedzieli na początku zaliczyć do literatury stosowanej. Występują w nich problemy tendencyjnie podkreślane a dążenie do rozwiązania tych problemów w drodze logicznego myślenia czyni z nich utwory, jak na literaturę piękną, za dydaktyczne. W mniejszym stopniu dotyczy to dramatu, w większym powieści. Technika tej ostatniej pozostawia wiele do życzenia. Autor zbyt często rezygnuje ze środków artystycznych i zastępuje je sentencją. Oto np. malując tło polityczne wypadków, które się rozgrywają w Hiszpanji podczas rewolucji roku 1868, autor zamiast obrazów i cha-

rakterów, któreby nam to tło umocniły, powiada krótko i abstrakcyjnie: „Rewolucja r. 1868, jak wszystkie wogóle rewolucje podobną była do naczynia pełnego wody, na dnie którego osiadły męty. Jeśli ktoś tem naczyniem poruszy, wówczas męty zaczynają się wznosić, odbierają wodzie jej przeźroczystość, wypływają na jej powierzchnię, i zdaje się zrazu, że zamąciły ją już na zawsze. Wkrótce jednak płyn wraca do równowagi, a męty własnym ciężarem opadają na dno naczynia, skąd nigdy nie powinny były się podnosić".

Nigdy może bardziej nie odczujemy słuszności tego zdania, niż teraz, bo rzeczywistość roztacza przed nami obrazy potwierdzające je. Jednak dla ludzi, którzy nie mieli, nie mają lub nie będą mieli rewolucji bezpośrednio przed oczyma, obrazy musiałaby odmalować powieść. Tymczasem autor o to nie zatroszczył się i skupił swą uwagę na bohaterach, na intrydze i na akcji.

Właściwie bohaterem powieści nie jest ten, którego autor pod względem formalnym na czoło wysuwa: uczciwy i nieszczęśliwy Juan Mizerja, ani nie jest tu główną osobą jego Maryanilla, oboje uczciwi, nieszczęśliwi i pokrzywdzeni przez owe męty moralne, które podczas przewrotu wypływają do góry i mącą prawny i moralny porządek rzeczy. Właściwym bohaterem jest Lopijello, przedstawiciel rewolucjonistów, rewolucjonistów niższego gatunku. „W wysokiej polityce, — powiada autor, — niema ludzi są tylko idee, niema uczuć, są tylko interesa. Przeciwnie mała polityka myśli jedynie o sobie, jest ona matką tych przedmiejskich Herostratów, co dbają przedewszystkiem o własne wyniesienie, tych ludzi pospolitych i godnych pogardy, których jedynem godłem cele osobiste". Lopijello jest przedstawicielem tej właśnie małej, osobistej polityki, która żeruje na hasłach i dewizach polityki wielkiej. Gubi on Juana i Maryanillę a sam ginie, gdy prąd życia społecznego zaczyna wracać na normalne łożysko.

W dramacie Coppée'go p. t. „Ojcze nasz" rzecz dzieje się w Paryżu w roku 1871 na przedmieściu Nelleville. Sciera się tu ideologja komunardów z ideologją chrześcijańską. Środki artystyczne dramatu są tu bez zarzutu, szczególniej zwartość akcji i nieoczekiwane powikłania a potem niespo-

dziewane rozwiązanie intrygi nadają temu obrazkowi dramatycznemu dużo mocy i ekspresji. Treść naogół nieskomplikowana dzięki powyższym środkom artystycznym nabiera dynamiki.

Treść jest taka. Komunardzi zamordowali brata p. Róży księdza Jana, wzorowego kapłana i wyjątkowo miłosiernego człowieka. Siostra rozpacza i wyraza nienawiść do komunardów. Pała ona nawet chęcią zemsty, ciesząc się ze zwycięstwa wersalczyków. Jednak słowa proboszcza skierowują jej myśli i czyny znowu na drogę ideologji zamordowanego brata. Okoliczności do jej mieszkania sprowadzają Jakóba Leraux, jednego z przywódców obozu komunardów, który szuka ratunku przed prześladowaniami wersalczyków. Tu w duszy p. Róży następuje zasadniczy przełom i w imię miłosierdzia chrześcijańskiego ratuje ona tego, względem którego przed chwilą pałała żądzą zemsty, przebierając go w sutannę brata swego nieboszczyka i tem dając możność ucieczki.

W poezji dramatycznej znowuż Rydel wysuwa się na czoło. Oprócz cytowanych już Jasełek, które zdają się stać na pograniczu twórczości liryczno-patrjotycznej i dramatycznej, zamieszcza on w *Przeglądzie Powszechnym* szereg fragmentów swoich utworów dramatycznych. Najczęściej fragmenty te ukazują się jako zapowiedź rychłego ukazania się całości w wydaniu książkowem. Widzimy tedy te fragmenty w tomach LXXVI, XCII, CIX i CX. Tendencja ich jest niemal zawsze patrjotyczna. Spotykamy w nich to żale jeńców uprowadzanych z Polski za czasów dzikich najazdów tatarskich, to dzieje najświetniejszej epoki w dziejach naszych, epoki zygmuntowskiej, to efektowne sceny z dziejów wydziedziczania posiadaczy ziemi — polaków w zaborze pruskim. Występuje tu patrjotyzm szczery ale w porównaniu z patrjotyzmem Wyspiańskiego naiwny i prymitywny.

Ten inny patrjotyzm bardziej filozoficzny i sprzęgający się w jedno z siłami twórczemi całego świata spotykamy w utworach Wyspiańskiego. Uwydatnia się on na łamach *Przeglądu* w specjalnym doborze fragmentów. To co u Wyspiańskiego było ideą, na łamach pisma religijno-filozoficzno-społecznego, jakiem jest *Przegląd*, staje się tendencją. Oczy-

wiście taka tendencyjność w niczem nie obniża wartości artystycznej utworów.

Oto np. z „Powrotu Odysa", gdy czytamy monolog powracającego króla Itaki, czujemy jednocześnie, że nie z innych powodów redakcja ten właśnie fragment zakwalifikowała do druku, jak tylko ze względu na analogje, jakie nasuwa do słów Odysa polska rzeczywistość.

„Świat inny, w którym będziesz, — co już cię otacza,
Zmienion jest w twoich oczach myśli twoich zmianą.
Byt duszy nieśmiertelny, — zaś dola tułacza
Widzi wszędzie daremno ojczyznę kochaną.

We snach ją widzisz jeno, w sennem przypomnieniu,
Gdy niema już jej dla cię w prawdzie i w sumieniu.
Ojczyznę miałeś w sercu, — dziś masz ją w pragnieniu,
Dziś tęsknisz jeno do niej — cień tęsknisz do cieniu".
(Tom XCIV).

Obok patrjotyzmu Rydla, który zachwyca się wszystkiem, co ojczyste, występuje tedy patrjotyzm Wyspiańskiego, który chce przetwarzać wszystko, co ojczyste na coraz to doskonalsze wzory i okiem sumienia tropi w ojczyźnie wszystko, co jest niedoskonałe i co potrzebuje przetworzenia.

To znów z tych samych słów Wyspiańskiego wiał już nie krytycyzm, lecz surowy a mocarny, hetmański nakaz pracy twórczej. Oto np. w dobie, gdy się rodziły i rosły antagonizmy narodowościowe na Litwie, fragmenty z jego „Zygmunta Augusta" przypominały szerokim rzeszom czytelników tradycje i obowiązki, które ona na barki potomnych wkłada. Oto np. przysięga Zygmunta Augusta:

„Przysiążemy na krzyż święty,
Na Chrystusa Pańską mękę,
Że podajem polskiej dłoni
Zaślubioną Litwy rękę:
Na wieczyste wspólne znoje,
Na wieczyste wspólne życie,
Czy w złym czyli w dobrym bycie:
Boże, przyjdź Królestwo Twoje".

Fragmenty pism dramatycznych Wyspiańskiego: Zygmunta Augusta, Nocy Listopadowej, W nowem mieście Kor-

czynie oraz Hedvigis una dies spotykamy w tomach XCV, XCVII i wyżej wymienionych.

Z innych utworów dramatycznych spotykamy 5-cio aktową tragedję pióra ks. M. Morawskiego „Ostatni dzień Flawjuszów". Wydrukowano kilka scen z aktu I-go i cały akt V-ty. W tragedji uderza możliwie ściśle przestrzegany realizm historyczny. Autor prawie nie wprowadza postaci niehistorycznych. Za treść obrał autor wypadki, które doprowadziły do upadku Domicjana i wprowadzenia na jego miejsce na tron, Nerwy, przychylnego chrześcijanom.

Utwór A. Stodora p. t. „Joanna Grudzińska" (tom CIII), który zdaje się mieć również pretensje do ścisłości historycznej i realizmu, pod tym względem możliwe, że niewiele pozostawia do życzenia, lecz jako utwór dramatyczny w zestawieniu z Nocą Listopadową Wyspiańskiego, opartą na tych samych wypadkach i drukowaną fragmentami tuż na łamach tegoż samego *Przeglądu Powszechnego*, wygląda blado i nieporadnie.

Toż samo da się powiedzieć o „Królowej Jadwidze" Deotymy (tom CXIII), która domaga się poprostu zestawienia z utworem Wyspiańskiego „Hedwigis una dies", o którym przed chwilą wzmiankowałem.

W twórczości literackiej, mową niewiązaną pisanej, spotykamy przedewszystkiem znane już nam postacie. Lucjan Rydel dał obrazek odtwarzający życie starożytnych Aten p. t. „Po zwycięskiej wojnie" (tom XCIX). Krystyna Sarjusz Zaleska w noweli „Małego Franka wielka troska" odmalowała zakłopotanie postawionego wobec coraz to bardziej uświadamiającego mu się problemu śmierci (tom CIII). W innej nowelce p. t. „Boże Narodzenie" (tom CIV) ta sama autorka spróbowała stworzyć apokryf literacki.

Henryk Sienkiewicz dwukrotnie zapisał swoje nazwisko na łamach *Przeglądu*. Raz nowelą „We mgle", malującą wizję wyrostków, w których budzi się uświadomienie narodowe i patrjotyzm, — drugi zaś raz artykułem refleksyjnym na temat wychowania rodzinnego p. t. „Dom polski".

Tak samo garścią refleksyj i rozważań upamiętnione zostało nazwisko Walerego Gostomskiego. Jego „Paradoksy i ogólniki. — Z teki pośmiertnej" zamieszczono w tomie CXXXI.

Przygodnie spotykamy tu jeszcze szereg utworów pisarzy o różnej skali talentu i różnej sławy. Obok tedy prozą pisanego „Monologu" Cyprjana Norwida (tom CIX) i noweli Kossak-Szczuckiej „Ucieczka i pogoń" (tom CLXXII), dotyczącej dziejów św. St. Kostki a zamieszczonej w 200-ną rocznicę jego kanonizacji, spotykamy nowelkę „Cud Madonny" Zofji Mrozowickiej, „Wojnę" Maji (pseudonim) (tom LXXXVI) i parę innych.

Osobnego omówienia domaga się twórczość Marji Czeskiej. Od tomu CXVII do CXL ciągną się sporadycznie i nieregularnie zamieszczane jej „Opowieści Chrystusowe". Na tle Ewangelji i w zupełnej z nią zgodzie snuje autorka barwną opowieść o Chrystusie Panu o Najświętszej Pannie o Apostołach. Jest to jakby literackie przeciwstawienie się temu krzywemu zwierciadłu, jakie dał wypadkom z Ewangelji Gustaw Daniłowski w swojej Marji Magdalenie. Dzięki talentowi autorki drga barwami tło, ożywiają się i stają się przystępniejsze masom postacie z Ewangelji. Pracę tę możnaby było nazwać piękną, utalentowaną popularyzacją literacką Ewangelji. Oto np. postać św. Piotra z jednej z tych opowieści, zatytułowanej „Początek dzieła".

„Siedział na murawie, naprawiając sieci; równo, starannie jego muskularne śniade ręce wiązały porwane węzły. Od czasu do czasu niecierpliwym ruchem odrzucał z czoła czarnych włosów gęstwę i spoglądał w dal na wzburzone, spienione fale jeziora, które z głuchym łomotem rozbijały się o skalne wybrzeże u jego stóp, o stoki kwitnącemi pokryte drzewami, na gór łańcuch falisty... I wtedy jego bystre szare oczy przybierały głębię rozmarzenia, a dokoła energicznie zwartych ust rysowała się miękka linja uśmiechu, nadając ostrej, śmiałej w rysunku głowie mężczyzny łagodny wyraz zachwyconego dziecka."

I oto rozlega się głos.

„Szymonie... wieść ci przynoszę, na którą wiekami tęsknie czekał Izrael cały... Głos się zerwał wzruszeniem nadmiernem. — Szymonie... Mesjasz jest między nami...

— Mesjasz — zgłuszonym szeptem wypadło z piersi Szymona.

— Mesjasz — radośnie dźwięczał głos kobiety.

I nastała na mgnienie głucha cisza... jeno w trzech piersiach serca łomotały jak ptaki schwytane o pręty klatek... jeno wicher szumiał w gałęziach drzew i z wściekłą siłą zmagały się, przewalały szmaragdowe fale jeziora."

Znaczną pozycję na łamach *Przeglądu* zajmuje również Eliza Orzeszkowa. W szeregu tomów, począwszy od C-ego, drukowano jej powieść p. t. „Hekuba", osnutą na tle wypadków roku 1863. Na tle tych samych czasów osnuta jest nowela „Dziwna historja" (tom LXXXI). Niemal jednocześnie w szeregu tomów drukowano jej urywki literackie, zawierające refleksje, zatytułowane ogólnie „Z myśli wieczornych". Oprócz tego drukowano inne urywki refleksyjno-literackie „Małżeństwo", „Życzenia" pod wspólnym tytułem „Z teki pośmiertnej". Osobno umieszczono utwory o takimże charakterze „Kosmopolityzm i patrjotyzm" oraz „Trzy uderzenia dzwonu". Na łamach *Przeglądu* występowała i zaakcentowana została religijno-patrjotyczna strona twórczości Orzeszkowej. Cała problematyka kwestyj społecznych, kobiecych, żydowskich i t. p., która tak wielką rolę grała w twórczości tej autorki, tu znalazła tylko sporadyczne echo. To co się wysuwało na czoło, niejako zsyntetyzowane zostało w następującym urywku refleksyjno-symbolicznym:

„Z łez wylanych przez oczy jedne, powstają dla oczu innych cudowne zdroje kastalskie?

Nad popioły róż i słowików umarłych wzlatują ptaki szczęśliwych odrodzeń?

Wyssąż twe wargi skrwawione gorycz z jądra świata?

Czy ty wiesz?"

Tak mówił tuman czarny."

— — — — — — — — — — — — — —

„Z dwu stron węzgłowia mego dwa Anioły stanęły i gdy skrzydła ich szerokie pochylały się nade mną, jak nad dzieckiem spłakanem chylą się macierzyńskie dłonie, jeden rzekł:

— Bóg.

A drugi rzekł:

— Polska.

Piórami skrzydła swego oczu moich dotykając, jeden rzekł:

— Bóg wie.

Pióra skrzydła swego na sercu mem kładąc, drugi rzekł:

— Polska woła.

W tumanie czarnym, w głębokich głębiach jego zapłomieniły się dwa ogromne słońca.

Na płomieniejące słońca skrzydły wskazując, Anioły rzekły:

— Tam idź.

Wskróś mózgu, wskróś piersi płynęły mi głosy Aniołów i tam spłynęły kędy życie sercem tętni.

Powstałem, szedłem, idę" (Z myśli wieczornych. Tak szeptał tuman czarny).

W roku 1904 w związku z 50-leciem dogmatu Niepokalanego Poczęcia Redakcja *Przeglądu* ogłosiła konkurs na utwór literacki, w którym głównym motywem musiał być temat związany z postacią Najświętszej Marji Panny, jej życiem, działalnością, znaczeniem, wpływem na losy narodów i jednostek". Nadesłano 31 utworów. Z tych żaden nie stał na takim poziomie, aby otrzymać całkowitą, wyznaczoną przez redakcję, nagrodę. Wybrano tedy pięć lepszych i nagrodę pomiędzy ich autorów podzielono. Pierwsze miejsce otrzymał Lucjan Rydel za fragmenty ze swych Jasełek. Inne nagrodzone nowele drukowano w *Przeglądzie*. W noweli „Przed obrazem" Ireny Mrozowickiej odmalowany został świat literacki analogiczny do tego, jaki mamy w Próchnie Berenta. Chleboga, jeden z tych literatów za sprawą Najświętszej Panny, w związku z konkursem *Przeglądu*, do którego zamierzył stanąć, zostaje nawrócony. *Ad Te levavi oculos meos* Krystyny Sarjusz Zaleskiej jest to poemat refleksyjny, opiewający różne momenty z życia Najświętszej Panny od Zwiastowania do Wniebowzięcia. „Gwiazda morza" Ludwika Stasiaka, jest to stylizowana na twórczość ludową legenda literacka o górnikach, zbłąkanych w sztolni, którzy zostają cudem uratowami za sprawą Najświętszej Panny. Wreszcie w noweli „Hyjena" Jakóba Hodura, jako bohaterka występuje prostytutka, którą Panna Najświętsza ratuje ze świata mętów i doprowadza do rodzinnej wsi, jako nawróconą marnotrawną córę.

Na pograniczu literatury i filozofji stoją utwory pisane prozą ks. M. Morawskiego. Tu w *Przeglądzie* drukowane były sławne jego „Wieczory nad Lemanem". Oprócz tego spotykamy tu obrazki opisowo-refleksyjne „U stóp sfinksa" i „Niebo nocne i dzienne" (tom LXII i LXVII). „I otóż ten oczekiwany Oriens, — pisze poeta filozof „u stóp Sfinksa", — przyszedł, oświecił planetę naszą, wszystkie zagadnienia najwyższe, przynajmniej najżywotniejsze, o których myślisz sfinksie, są już rozwiązane. Czemuż jednak jeszcze patrzysz w dal tem samem badawczem i tęsknem wejrzeniem?.. Prawda, ty jesteś ze skały, — ty wyrazu, jaki ci nadała starożytność, zmienić nie możesz, ale czemuż tak wielka część dzisiejszej ludzkości patrzy dalej tym samym sfinksowym wzrokiem"?

Taki sam charakter opisowo-symboliczno-refleksyjny mają obrazki ks. Jana Badeniego „Po krzyżu niebo" (tom LXI i LXIV).

Wyjątkowy charakter mają dwa utwory, propagujące kanonizację królowej Jadwigi. Rozpoczął akcję Lucjan Rydel, utworem „Czy nie święta?" (tom LXXXVIII) zawierającem upoetyzowane refleksje. „Może tę myśl, — tak kończy poeta swoje wywody, „świeckiem piórem tutaj rzuconą podejmie polskie duchowieństwo, może ją poprze nauka historyków, osobliwie w tej przesławnej szkole jagiellońskiej, odrodzonej ze szczodrobliwości Jadwigi, a wtedy nad chrześcijańskim światem zabrzmi od grobu księcia Apostołów głos Chrystusowego Namiestnika: „Święta Jadwigo Jagiełłowa, Królowo Polski, Apostołko Litwy ...a naród cały poprzez wszystkie wieki odpowiadać będzie miljonowym chórem: „Módl się za nami".

W rok potem ks. biskup Wł. Bandurski na łamach tegoż samego *Przeglądu Powszechnego* gorącem i natchnionem słowem poparł świecką inicjatywę Rydla. Słowa przez niego rzucone są i dziś tak aktualne, że je przy sposobności przypomnieć warto.

„Napróżno z łoża swej boleści woła Polska:

— Jam jeszcze żywa. Rozczłonkowaliście ciało, wysączyliście krew, ale nie dosięgnęliście serca... Wrogowie szyderczym odpowiadają śmiechem:

— Garstką już tylko jesteście: jak gałęzie od pnia, w którym już życie krążyć przestaje, tak odpadają od was Ruś, Żmudź i Litwa, niegdyś waszemi zasilane sokami. Jadem naszym zatruliśmy wasze dzieci, zabiliśmy w nich miłość wzajemną, rozdmuchaliśmy w nich nieufność — oto teraz oni sami stają się narzędziem naszej nienawiści. „ . . . " czas ostatni, rzucić takie hasło, zbudzić takiego ducha, któryby rozproszonych skupił, zwaśnionych pojednał, ducha, któryby z ogniska swego serca wyrwał iskrę i nią naród cały wstrząsnął i miłością rozpalił.

„Nie będzie w Polsce nowego Grunwaldu, póki Jadwiga nie będzie czczoną na ołtarzach, póki do niej cały naród nie zawoła:

— Ratuj, Jadwigo, Polskę, Ruś i Litwę".

— „Dzieło Twoje, Unja, chwieje się i rozpada. Tobie jednej przystoi podjąć powtórnie dzieło pogodzenia i zjednoczenia bratnich plemion. Tobie, coś niegdyś Jagiełłę z rozgniewanym pogodziła Witołdem. — Ty jedna znajdziesz balsam ukojenia na urazy i nieufności nasze wzajemne przez wrogów podniecane". „Ty, coś Litwę, Żmudź, Polskę i Ruś jedną objęła miłością" (Zbudźmy Jadwigę. Tom LXXXIX).

Z literatury pamiętnikarskiej, która ma znaczenie nietyle historyczne, co literackie, zanotować wypada: „Z niewoli japońskiej. Z pamiętników żołnierza Polaka" (tom XCIII), „Z pamiętnika PP Ksieni w Staniątkach 8—15 grudnia 1914 r." (tom CXXXI), „Z pamiętnika legjonisty (chorążego V pułku legjonów Stanisława Mitery † 22. XI. 1915)" (tom CXXX).

Oddawna na łamach *Przeglądu* występowała tak modna dziś forma reportażu. Najpiękniejszym tego okazem jest bodajże ks. Wł. Czencza reportaż historyczny p. t. „Pierwsza ofiara Murawjewa", odtwarzający kaźń ks. Iszory i nawiasowo rzucający garść wspomnień o Ludwiku Narbucie (tom XLV).

Pod względem realizmu wszystkie inne tego rodzaju utwory prześcigają „Obrazki z krakowskiej nędzy ks. Jana Badeniego (tomy LII i LIII).

Do tegoż rodzaju reportażowej twórczości zaliczam Jana Zatłokiewicza „Wieczornica pod Jassami" (tom LVIII), ks. K. Czaykowskiego „Obyczaj na wsi rumuńskiej" (tom LVIII), K. Sarjusz Zaleskiej „Stannica" i „Wyjazd ze stannicy" (tom CXII i CXIX), ks. K. Czaykowskiego „Po strejku żniwiarzy" (tom LXXV), Fr. Morawskiego „Genueńczyk w Poznaniu" (tom XCVI), bezimiennie „Odyssea z roku 1889" (tom XXV).

Swojego rodzaju fenomenem jest wywiad ks. M. Morawskiego ze stróżem domku OO. Jezuitów na Przegorzałach, niejakim Pawłem Szyszkowskim, który był świadkiem i uczestnikiem męczeństwa ziemi chełmskiej. Jego słowa jak najdokładniej zapisał autor wywiadu („Opowiadanie wyznawcy" tom XXXIX). Dziś znane są pamiętniki mało piśmiennego robotnika Wojciechowskiego. Otóż Szyszkowski, stojący na takim samym mniejwięcej poziomie kulturalnym stał się tu jego prekursorem.

Wreszcie należy się wzmianka listom z podróży. Jest ich tak dużo, że nie sposób je wszystkie wymienić. Zresztą niecelowem byłoby obciążanie artykułu suchem wyliczaniem. Zaznaczę tylko, że listy te według treści dałyby się zgrubsza podzielić na dwie grupy: listy podróżników i listy zesłańców. Te ostatnie płynęły oczywiście z Syberji i Kamczatki. Pierwsza grupa ilościowo góruje nad drugą i dostarcza wiele materjału ciekawego często w bardzo pięknej szacie literackiej. Utwory te i dziś pochłoną tych, których zaciekawienia biegną w kierunku krajoznawstwa, ludoznawstwa, zagadnień ekonomicznego bytu różnych narodów i. t. d. Laik będzie to czytał, jak ciekawą powieść o bogatem tle opisowem, a badacz będzie mógł wyłuskać niejedną ciekawą wiadomość. Gdy chodzi o walory literackie, to na czele należy postawić listy poetów Lucjana Rydla „Pod Akropolem i na Akropolu" (tom XCV) oraz Stanisława Wyspiańskiego „Katedra w Reims" (tom XCVIII).

Reasumując trzeba stwierdzić, że pomimo skromnych ram, jakie oryginalnej twórczości literackiej wyznaczył program pisma, twórczość ta zdobyła sobie w ciągu pięćdziesięciu lat pokaźny dorobek. Przewaga programowa literatury stosowanej, nie zamknęła jednak drogi utworom o wartości

wyłącznie estetycznej. W literaturze stosowanej forma obok treści stała zawsze na należytym poziomie. Mimo, że żaden kierunek literacki nie zagnieździł się na łamach pisma i nie przyswoił go sobie, to jednak z różnych kierunków ludzie utalentowani, a jednocześnie zgodni z ideologją pisma mogli się wypowiadać tak, że obok Rydla i Wyspiańskiego spotykamy Sienkiewicza, Orzeszkową, Deotymę i Gomulickiego a ostatnio obok Anny Zahorskiej, Jalu Kurka.

Władysław Arcimowicz.

Prądy umysłowe wśród dzisiejszej młodzieży.[1])

Od lat wielu pozostaję w nieprzerwanej styczności z młodzieżą, pracującą umysłowo. Znam ją z uniwersytetów we Fryburgu, Lowanjum, w Paryżu, znam ją z Ameryki Północnej i Południowej oraz z Kanady. Wydaje mi się, że pojmuję dążenia, kierujące nią, choć są one różnorodne i nieraz sprzeczne pomiędzy sobą, co się zaznacza i w różnorodności związków oraz stowarzyszeń, jakie od czasu wojny rozmnożyły się wszędzie, dzieląc młodzież na katolicką, komunistyczną, patrjotyczną, pacyfistyczną, robotniczą, patronalną[2]) i t. d.

A jednak ci, których obejmujemy dość ogólnikowem określeniem młodzieży pracującej umysłowo czy też młodzieży intelektualnej, przeszli przez wpływy pewnych wydarzeń dominujących nad całem ich pokoleniem, jak wojna, upadek stopniowy nauk humanistycznych, kultura przeważnie techniczna i praktyczna oraz trudności materjalne powojennej doby. Skutkiem wspólnych wpływów, pomimo tego, co ich dzieli i różnicuje, przedstawiają więc oni pewne cechy wspólne, z drobnemi tylko odchyleniami, i po tych cechach poznać dziś możemy wszędzie młode pokolenie. Prądy, prze-

[1]) Jest to w przekładzie polskim p. Marji Dynowskiej odczyt p. t. „Les tendances intellectuelles de la Jeunesse d'aujourdhui", wypowiedziany w Krakowie dn. 3. X. 1933 przez O. M. S. Gillet, Generała OO. Dominikanów. Dostojny Autor zebrał tu doświadczenia swojej długiej pracy nad młodzieżą na obu półkulach i raczył podzielić się niemi z czytelnikami naszego pisma.

[2]) Tą nazwą zwykło się oznaczać we Francji organizacje tworzone przez pracodawców na rzecz pracowników.

nikające je, dadzą się ująć w dwóch wyrazach, które uwypuklają dosadnie sprzeczności, wśród jakich szamocze się i walczy młodzież intelektualna naszych czasów pod naciskiem owych dominujących wydarzeń, wymienionych powyżej. Jest ona więc jednocześnie indywidualistyczna i uspołeczniona. Indywidualizm jej bywa hałaśliwy, zaczepny i z łatwością mógłby przejść w anarchizm, gdyby go nie zwalczał, nie ograniczał silny instynkt zachowawczy, instynkt obrony społecznej, którego zarodki kryją się często nawet bezświadomie w młodych sercach. Instynkt ów stanowi drugą, dodatnią stronę osobowości psychicznej młodego pokolenia.

Dziś więc chcę przedstawić obraz i poszczególnych jego uroszczeń indywidualistycznych, i instynktu społecznego, opierając się przytem na zdobytem doświadczeniu i własnych spostrzeżeniach.

I. Przejawy indywidualistyczne.

Pierwsze przejawy indywidualistycznych dążeń wśród młodego pokolenia zaznaczyły się wkrótce po wojnie, kiedy to kraje zwycięskie żyły jeszcze pod upajającem wrażeniem odniesionego zwycięstwa. Dla ich bojowości można znaleźć dość łatwo usprawiedliwienie. Wtedy bowiem (szczególnie w krajach zwycięskich) myślano znacznie mniej o budowaniu przyszłości, niż o kończeniu rachunków powojennych z przeszłością. Kult zmarłych pochłaniał uczucia ogółu. Władze państwowe wysilały się w imię ojczyzny, by swym kosztem utrzymywać ich rodziny. Wszędzie, na przestrzeni danego kraju, urządzano stosowne obchody, aby w sercach przyszłych pokoleń utrwalić na zawsze pełną chwały pamięć o poległych.

Ale obok umarłych nie wolno było przecie zapominać tych, którzy walcząc niegdyś z nimi ramię przy ramieniu, ożywieni równie silnym patrjotyzmem, wśród równie straszliwego niebezpieczeństwa, przeżyli jednak towarzyszy i szczęśliwie powrócili z boju.

Należało myśleć o nich, należało zatroszczyć się przedewszystkiem wielką armją rannych. Wszakże okaleczenia, mniej lub więcej okrutne, mniej lub więcej widoczne, jakie w bojach odnieśli, czyniły ich słabszymi w walce z życiem.

Te tak bardzo pochłaniające starania powojenne były w zasadzie słuszne oraz szlachetne. Przedłużając się jednak, wywołały one ujemne echo w niektórych kołach literackich młodzieży. Chwała starszych nie odbierała wprawdzie młodszym snu, lecz poczęli oni uważać, że przeszkadza im jeśli nie do wzejścia to w każdym razie do rozkwitu talentów bezprzecznie nieprzeciętnych, które w innych, spokojniejszych czasach, w okolicznościach korzystniejszych, byłyby wyróżnione przez ogół.

Gdybyż jeszcze ci starsi, co brali udział w wojnie i dziś ze szkodą młodszych pochłaniali uwagę całego społeczeństwa, nie zabierali się po złożeniu broni do pióra, zło byłoby mniej dokuczliwe, łatwiejsze do naprawienia. Stało się jednak przeciwnie. Niektórzy bohaterowie, nie drugorzędni zgoła, poczęli pisać i posunęli swą niedelikatność jeszcze dalej, tworząc arcydzieła. Walka z nimi stawała się niemożliwa, i pewna ilość młodych intelektualistów uczuła gorycz z tego powodu. Zwracając się do pokolenia starszych, poczęto im wyrzucać zbyt duży apetyt i chęć pochłonięcia wszystkiego. Czyż nie dość było dla nich, że brali udział w wojnie, w tem nieprawdopodobnem dziejowem wydarzeniu, które wywołało zapasy tylu narodów, tylu ras nawet. Groziło im wprawdzie poważne niebezpieczeństwo, lecz wyszli z niego szczęśliwie, doznawszy przytem wzruszeń niezwykłych. Ostatecznie wydobyli się z tego piekła, okryci złotemi krzyżami, medalami a przedewszystkiem sławą. Więc gdy się już przeżyło wojnę, czegoż można żądać więcej? — oto, co zdawało się mówić powojenne pokolenie.

Był to poniekąd akt oskarżenia, wytoczony starszym nazajutrz po zwycięstwie przez niektóre odłamy młodzieży żądnej życia, czynu, powodzenia. Jej bowiem to zwycięstwo nie dało spodziewanej radości. Doznawała ona rozterki duchowej, gnębiło ją poczucie ciążącej katastrofy.

Po zarzutach czynionych starszym, iż nie umieli się zadowolić przeżyciami wojennemi, przyszła kolej na samą wojnę. Młodzi poczęli ją uważać za źródło swych cierpień, swych rozczarowań, ubóstwa i tej ciężkiej walki, jaką trzeba było toczyć o chleb powszedni. Niejeden z nich dochodził nawet do cynizmu, ale była to raczej afektacja mająca ukryć

podłoże bólu. Były to odruchy przeciw smutnym warunkom egzystencji i niedostatecznemu przygotowaniu do życia.

* * *

Bo istotnie ci młodzi powojennej doby byli do życia w przeważnej części źle przygotowani. Wychowywali się podczas wojny w rodzinach, którym brakło ojców, w szkołach, którym brakło nauczycieli. Żyli wśród cierpień i żałoby. Nie stało im tego, co los zlewał tak obficie na starszych braci z przedwojennego okresu, a więc ciepła domowych ognisk, zabezpieczonego jutra i wykształcenia humanistycznego, udzielanego przez kierowników, dbających bardziej o obowiązki swe niż o awans. Los pozbawił ich więc tych najistotniejszych czynników, które rozwijają inteligencję, kształcą charakter.

Podkreślamy mocno te braki, jakie zaciążyły nad wykształceniem i rozwojem duchowem powojennego pokolenia, by móc dokładnie wyjaśnić jego dążenia indywidualistyczne.

Przedstawiciele tegoż pokolenia, gnębieni troską materjalną, musieli kształcić się, zarabiać jednocześnie na życie; musieli oni nieraz pracy ręcznej oddawać czas, który pragnęliby przeznaczyć na naukę. Dla tychże samych przyczyn wybierali oni nieraz zawód opłacający się szybko, wyrzekając się studjów klasycznych. To coraz powszechniejsze odsuwanie się od humanizmu stało się, zdaniem mojem, czynnikiem, pociągającym za sobą poważne następstwa.

Ma się rozumieć, że i tu nie należy przesadzać lecz uznać lojalnie, iż pewien nastrój indywidualistyczny stanowi zasadniczą cechę młodzieży wszystkich epok. „Zaufanie do siebie — pisze znany przewodnik młodych intelektualistów francuskich, zajmujący się ich nastrojem w dobie obecnej — pogarda dla przeszłych pokoleń, zupełna obojętność wobec doświadczenia, jakie one zdobyły, pewność, iż świat się narodził dopiero wraz z młodymi i że oni pierwsi pojęli, co to jest życie, nieuznawanie autorytetów, beztroskie lekceważenie pożytku, jaki wynika z karności — oto cechy charakterystyczne dzisiejszej młodzieży. Lecz zapytuję, sięgając uczciwie do wspomnień, czy ja i moi towarzysze byliśmy inni, mając lat dwadzieścia."

Przekonany jestem, że tak. Młodzi ujawniali zawsze nastroje indywidualistyczne, poprostu dlatego, że byli oni młodymi. Miało się jednak pewność zgóry, że wysoka kultura, jaką otrzymują, dzięki naukom humanistycznym wykładanym im po mistrzowsku i z pełnią przekonania o ich doniosłości, powiążą ich nierozerwalnemi węzłami z przeszłością, a błędne poglądy młodości przejdą z wiekiem.

Jesteśmy mniej pewni tego w stosunku do młodzieży indywidualistycznej naszych czasów i to nietylko z powodu wojny. Ona odsunęła od siebie tylko dwa pokolenia. Ważniejszym czynnikiem jest w tym wypadku zupełne oddalenie się nauk humanistycznych: ono to oddziela obecne pokolenie od tych wszystkich, które je poprzedziły. Niegdyś kult dla ideałów humanistycznych był motorem twórczym, kształcił człowieka, rozwijał osobowość ludzką w młodzieży. On budził w jej umyśle pojęcia, w jej sercu uczucia, w jej wrażliwości wzruszenia wspólne poniekąd całej ludzkości. Pomimo różnicy usposobień indywidualnych, rasy płci i temperamentu, pomimo odmiennej nieraz spuścizny dziejowej, nauki humanistyczne stanowiły ogniwo, łączące jedno pokolenie z drugiem oraz wiążące pomiędzy sobą przedstawicieli tego samego pokolenia w poszczególnych krajach. A przytem nakładały one stałe wewnętrzne wędzidło uroszczeniom indywidualistycznym.

Teraz, gdy kultura humanistyczna zwolna lecz prawie wszędzie jest usuwana, mielibyśmy ochotę zapytać nieraz, jak daleko poszłyby te uroszczenia, gdyby natura sama nie kładła im poniekąd tamy. Ona bowiem umie budzić w jednostkach najzuchwalszych i najbardziej wyzwolonych instynkt zachowawczości społecznej silniejszy od nastrojów indywidualistycznych i nie dopuszczający do anarchji. O instynkcie tym pomówimy poniżej. W tej chwili chcemy tylko podkreślić charakterystyczne cechy owego indywidualistycznego nastroju u dzisiejszej młodzieży wywołane wojną, która sprowadziła tak potężny przewrót we wszystkich dziedzinach i upadkiem humanistyki.

Zaznaczyliśmy już iż po wsze czasy, młodzi ludzie w wieku lat dwudziestu żyli w błogiem przekonaniu, że świat narodził się wraz z nimi. W gruncie jednak, dzięki

otrzymanej kulturze umysłowej zbyt temu nie wierzyli. Lekceważyli wieki średnie, w czem zresztą szli za większością swych nauczycieli, wiedzieli oni jednak o istnieniu Greków i Rzymian, wiedzieli i o tem, że jeśli narody te nie były twórcami świata, to jednak i cywilizacja i sztuka zawdzięczają im bardzo wiele.

Nasza dzisiejsza młodzież, wprost przeciwnie, wierzy, choć nie wszyscy się do tego przyznają, że dzieje rozpoczęły się od niej dopiero. Nie podejrzewa ona nawet, by istniał jakiś świat przedwojenny, wieki średnie, starożytność grecka i łacińska, czasy przedhistoryczne. Nie utrzymuję bynajmniej, że nieświadomość ta wynika z jej winy. Stwierdzam ją tylko na podstawie doświadczenia. Tłumaczy ona, mojem zdaniem, zaznaczone poprzednio dążenia indywidualistyczne.

Pokolenie, którem się zajmujemy obecnie, nie umiejąc nawet zmierzyć głębi i ogromu swego nieuctwa, chlubi się niem, widząc w tem wyższość swą i siłę. „Wy — zdaje się ono mówić do starszych — nie byliście nigdy młodzi, gdyż od wczesnych lat ładowano wam w głowy pojęcia, trwające od dwudziestu wieków przeszło. Prawdziwa młodzież — to my, którzy nic nie wiemy i nic nie chcemy wiedzieć o starożytności. Wy jesteście ludzie tradycji, my — postępu. Patrzymy przed siebie, wy zaś poza siebie. Pomiędzy wami a nami jest przeto zupełny rozdział."

Oto podstawowa treść zasad indywidualistycznych, z mniejszą lub większą szczerością wyznawanych przez dzisiejszą młodzież. Przeciwstawia ona śmiało postęp tradycji. „Postęp i tradycja, to dwaj najwięksi wrogowie człowieka" — pisał niegdyś z humorem Paweł Valery. Tak — jeśli się je rozdziela, nie — jeśli się je łączy. Niema postępu w żadnej dziedzinie czynu, któryby nie musiał opierać się na tradycji. Niema żywotnej tradycji, któraby nie potrzebowała się odmładzać przez postęp. Dziś młodzi nie chcą uznać tego. Przekonani są, iż przychodząc na świat, więcej znacznie mu przynoszą, niż od niego odbierają. Nie cenią kapitału duchowego, który zawdzięczamy kulturze grecko-łacińskiej. W tych warunkach proces przekazywania go z pokolenia w pokolenie, czyli t r a d y c j a jest im obojętny.

Oto, dokąd prowadzi ich zupełna choć niewolna nieznajomość przeszłości.

Musimy sobie zdać sprawę, iż ich indywidualizm jest z tą ignoracją ściśle związany. Jednak przy odrobinie przenikliwości i przy dużym zapasie dobrej woli możnaby usunąć jej przyczyny. Wśród nich wojna była tylko przejściowym czynnikiem, natomiast upadek humanistycznej kultury działa trwale.

Do dwóch powyższych przyczyn należy dodać trzecią, a mianowicie najnowszy system nauczania. „Nauczanie to — twierdzi jeden z profesorów Sorbony, który dobrze zna młodzież, kocha ją i jest przez nią kochany — przedstawia tę cechę charakterystyczną, iż młodzi ludzie uczą się wszystkiego a nie umieją prawie nic.“ [1]) Trudno było wyrazić się dobitniej i zwięźlej zarazem.

Czasem zbiera nas ochota wyszukiwania drugorzędnych przyczyn omówionego powyżej nieuctwa, z którego wynika zadzierżysty indywidualizm współczesnej młodzieży. Pragnęlibyśmy złożyć je na karb lenistwa, oskarżyć z tego powodu nauczycieli, obwiniać sporty.

A jednak tak nie jest. Profesorowie, których wykłady są we wszystkich krajach najtłumniej uczęszczane, twierdzą, iż słuchacze, wstępując na uniwersytet w stanie przerażającego nieuctwa, w takimże samym stanie z niego wychodzą; ale bynajmniej nie lenistwo jest tego przyczyną. Przeciwnie, młodzież lubi pracę i nawet umie pracować, gdy się nią należycie pokieruje.

Nie obwiniajmy również nauczycieli szkoły średniej. Ich uzdolnienie, ich poświęcenie ocenić trzeba, lecz są oni przeciążeni obowiązkami. Sportów też nie można potępiać bezwzględnie. Jednak przyznać należy, iż wywierają one pewien wpływ ujemny na przeciętny ogół uczniów, który przedewszystkiem należy mieć na względzie, gdy mowa o programach nauczania.

Dzisiejsze pokolenie nadużywa sportów, utraciwszy szacunek dla wielu wartości umysłowych. To, co widziałem w Ameryce, napełniło mnie przerażeniem. Dla bardzo licz-

[1]) L'enseignement en France dans le „Comité national d'études“. 9 Juin 1928.

nych przedstawicieli młodzieży sport staje się najwyższym walorem życia, a duch zawodnictwa, którego z ideałem dzielności sportowej mięszać nie należy, zaczyna szerzyć spustoszenie nawet w starej Europie. Z wyjątkiem nielicznych krajów, bohaterem dzisiejszego dnia nie jest ani uczony, ani żołnierz, ani misjonarz, lecz zawodnik sportowy. Wszędzie też góruje duch rekordu, przybierając charakter pseudohelenizmu. Jesteśmy świadkami pewnego romantyzmu sportowego, który ma już swą literaturę, że przypomnę tylko dzieła wydane we Francji, jak „Raj w cieniu miecza" i „Dziesięciu przed Tebami". Doszedłszy do wieku lat trzydziestu, sportowiec jest skończony. Wtedy próbuje iść tam, gdzie mógłby jeszcze coś zdziałać, lecz właściwie niewiele już zdziałać może.

Moralista ma słuszne prawo do niepokoju, patrząc na młodzież, u której nastrój sportowy bierze tak dalece górę nad patrjotyzmem, iż obojętnieje ona duchowo dla własnego narodu, dlatego tylko, iż przed światem naród ten nie jest w dobrej formie i nie posiada wybitnych zawodników. We Francji jeden z redaktorów anonimowych Temps'u wypowiedział na ten temat przejmujące swą powagą słowa, które pozwalam sobie przytoczyć w całości.

„Dumą sportu była jego etyka, zaś kult szampjonatu ociera się stale o niemoralność. Duch współzawodnictwa nie zna skrupułów. Ponieważ chodzi jedynie o zwycięstwo, więc uznaje on wszystkie środki, jakie do niego prowadzą. Chytrość, udawanie, zasadzka, oszustwo, bluff i dwulicowość są bronią dozwoloną, której użycie usprawiedliwia wygrana. Już to samo nie stanowi szkoły zbyt dodatniej dla obyczajów danej epoki. Pozatem zasada szampjonatu polega na apoteozie próżności i pychy, co słusznie może trwożyć moralistów. Żądza, ażeby za jakąkolwiek cenę zdobyć gdziekolwiek bądź pierwszeństwo, działa w swej istocie rozkładowo. Wiemy, że w Nowym Jorku najbrzydsza kobieta przedstawia wartość atrakcyjną równie wielką, jak i laureatka konkursu piękności. Najważniejsze zadanie polega na tem, by stanąć na czele. Mniejsza o to, czy pierwszeństwo znajdzie się w zespole dodatnim, czy też ujemnym. Manja współzawodnictwa zabiega tylko o świadectwo wyższości, nie ba-

cząc na to, kogo ono wynosi: najuczciwszego człowieka, czy też najzręczniejszego łotra. U nas — pisze dalej anonimowy redaktor Temps'u — szkodliwa ta ambicja przyjmuje się i szerzy z dnia na dzień z niebywałą siłą i już od szkolnej ławy poczyna wywierać wpływ ujemny. W pojęciu dziecka wysiłek jego jest wtedy tylko wynagrodzony, gdy pobiło oficjalnie swych współtowarzyszy. Nie zna ono zadowolenia, jakie płynie ze sprawiedliwości bezwzględnej. Dla niego bowiem wszystko jest względne i mierzy się przez porównanie. Ten błąd filozoficzny będzie szedł za niem przez całe życie. U przedstawicieli naszego kupiectwa dosięga on wyżyn jakiegoś potężnego absurdu. Dzięki metodom, zaczerpniętym w Ameryce, człowiek, który chce coś sprzedać, porównywa stale swój budżet, sposób postępowania i zyski z budżetem, sposobami i zyskami współzawodnika. Niema tu emulacji, owocnej w dodatnie skutki, którą należy popierać, gdyż jest ona warunkiem postępu. Przeciwnie widzimy codzień, jak przemysłowcy i kupcy wyrzekają się zarobków pewnych, gotowi sztucznie i ze stratami pracować, byleby tylko pognębić miłość własną współzawodników. Zysk staje się dla nich niczem wobec radości, jaką odczuwają, przeszkadzając w zarobkach rywala. W ten sposób duch szampjonatu mąci u kupca zdrowe poczucie własnej korzyści.

Warto pomówić o innych jeszcze równie niebezpiecznych walkach, jakie duch ten wywołuje. Spójrzmy na pole sztuki i literatury i oceńmy niebezpieczeństwo, na jakie są one narażone. Nie pomińmy jego skutków w dziedzinie teatralnej i wydawniczej. I tam manja rekordów działa w sposób despotyczny. Twórcy stają się niewolnikami tego potężnego prądu. On im nakazuje służyć jedynie liczbie zwycięskiej, która dziś o wszystkiem decyduje. Czyż etyka pozwala na tak poniżającą klasyfikację ludzkich wysiłków? Czyż ci, którzy pragną stać na straży moralności ogółu, nie mają słusznych powodów do niepokoju? Wszakże codziennie patrzą oni na liczne zastępy skromnych skądinąd śmiertelników, dla których wieniec z blachy czy z papieru, włożony na skronie, lub też berło, zawieszone na ścianach jadalni, są najwyższym celem ambicji" [1]).

[1]) „L'esprit de championat" „Temps", z 28 marca 1928.

Dodajmy do tego obrazu, może trochę tylko przejaskrawionego, iż wartościami sportowemi kupczy się dziś, a bohaterstwo jego staje się sprzedajne.

Zaznaczywszy w ten sposób sprawę nadużycia sportu i ducha zawodnictwa, który jest jego zwyrodnieniem i karykaturą, powracam jednak do poprzedniego twierdzenia i powtarzam, że przyczyną najgłówniejszą nieuctwa dzisiejszej młodzieży oraz wynikających z niego prądów indywidualistycznych jest nowy system nauczania, który pomału zastępuje wykształcenie humanistyczne.

Nauczanie to grzeszy jednocześnie metodą i programami. W przeciwieństwie do nauk klasycznych daje ono wszędzie pierwszeństwo ilości nad jakością.

Nieporównana wartość literatury grecko-łacińskiej pod względem wychowawczym pochodzi, jak to wszyscy wiemy, z jej ścisłego związku z naturą ludzką. W niej są zawarte najistotniejsze pierwiastki tego, co kształci ducha ludzkości i jest ona jednocześnie dla wychowania tego ducha najsprawniejszem narzędziem. W cudownym języku mówi nam ona o pierwszem zetknięciu się człowieka z otaczającym go światem i uczy nas, w jaki sposób elita ludzkości tłumaczyła sobie pod względem moralnym, umysłowym i estetycznym wszystko, co dotyczyło ludzi i rzeczy, dopóki pomiędzy nią a światem nie stanęły teorje systematyzujące, nieraz zbyt utylitarystyczne, które zdołały wypaczyć to tłumaczenie.

Zmuszając młodych do picia pełną piersią z tego wieczyście żywego źródła, do nurzania się w niem za każdem pokoleniem, uczyło się ich odczuwać w pełni wartość człowieka, godność osobistą, wielkość celów, przyświecających im, jako istotom wolnym i rozumnym, oraz piękność dróg, któremi winni kroczyć ku urzeczywistnieniu tychże celów. Pozatem kultura humanistyczna łączyła ich w tej jedynej może dziedzinie, gdzie korzyść wszystkich polega na zharmonizowaniu wspólnych wysiłków, podczas gdy w przyszłości inne sprawy, mniej duchowe, miały ich niejednokrotnie dzielić i zmuszać do wzajemnej walki. Ona też rozszerzała horyzonty umysłów młodzieńczych i otwierała przed niemi pole działalności ludzkiej, na którem w złych godzinach należy się porozumiewać, by pracować nad ochroną praw

człowieka, zagrożonych niejednokrotnie przez chciwość czy to jednostek czy też całych narodów.

Nie powinniśmy zapominać również, przeszedłszy przez bolesne doświadczenie, od czasu, gdy tak zwany humanizm nowożytny zastąpił prawie wszędzie, choć w różnych stopniach, nauki klasyczne, iż greka i łacina mają wewnętrzną wartość wychowawczą, jakiej żaden inny język, czy to żywy czy martwy, choćby nawet bardzo umiejętnie wykładany, nie posiada. One bowiem wyrabiają znakomicie zdolność sądu, rozwijają wolę, zaostrzają wrażliwość.

Rzecz oczywista, iż kultura humanistyczna nie zawiera wszystkich wartości wychowawczych i nie może zaspokoić w pełni potrzeb każdej epoki. Złożoność życia dzisiejszego, spowodowana nowemi potrzebami, nowemi wynalazkami, oraz wywołana niemi mnogość stosunków międzynarodowych domagały się pewnego dostosowania nauk klasycznych, ale nie zupełnego prawie ich usunięcia.

Cofając się o lat trzydzieści wstecz, musimy stwierdzić, iż we Francji, gdy prawodawcy otwarli ankietę na temat, jak dostosować nauczanie klasyczne do najpilniejszych potrzeb życia współczesnego, stanowisko indywidualistyczne odniosło u nich przewagę nad stanowiskiem ogólnoludzkiem, zatriumfowała troska o kulturę jednostkową, ułamkową nad dbałością o kulturę powszechną. Zatriumfował w nauczaniu realizm i utylitaryzm nad bezinteresownością i idealizmem.

Zapytać jednak warto, czy we Francji zarówno jak i gdzieindziej nie lepiejby rozstrzygnięto sprawę reformy, pozostawiając dawny system wykształcenia klasycznego, z greką i łaciną u jego podstawy, i wprowadzając jedynie do tego systemu nauki potrzebne w dobie dzisiejszej.

Obecnie łatwo już dostrzec można, dokąd nas zaprowadziły omówione powyżej zmiany w metodach nauczania. Skutki dają się wyczuć na całym świecie, szczególniej po wojnie, która ze swej strony, sprowadzając przewrót we wszystkich dziedzinach, przeobraziła również umysłowość ludzką. Oto widzimy, jak poziomy materjalizm popycha do walki tych, którym chodzi przedewszystkiem o dobrobyt doczesny, jak rozgrzesza wszystkie środki w tej walce, jak

prowadzi do zaniku pojęć i uczuć, które stanowią rację bytu ludzkości a duszy człowieka zaszczyt przynoszą.

Musieliśmy przypomnieć te smutne dzieje. Mówią one bowiem o dzisiejszym systemie wychowania umysłowego, który pragnie uczyć wszystkiego, ale czyni to tak, iż młodzież nic albo też prawie nic nie umie.

Wszędzie, zarówno w nowym jak i starym świecie, podnoszą się skargi na to zjawisko.

Programy szkolne są encyklopedyczne i ulegają ciągłym zmianom, godzin nauki jest za wiele, podręczniki są niestrawne, podstawowe wiadomości ustępują przed ogólnikami, wreszcie autorytet nauczyciela uległ poważnemu obniżeniu.

Pozostawmy jednak narazie stronę moralną tego systemu. Powrócimy do niej jeszcze.

Młodzież dzisiejsza, wychowywana w tempie przyśpieszonem, zgodnie z nastrojem chwili, odcięta od wszelkiego związku z przeszłością, okazuje znacznie więcej zainteresowania dla życia zewnętrznego, niż dla wewnętrznego. Woli życie czynne od życia umysłowego czy też kontemplacyjnego. Ci młodzi, którzy tak bardzo się spieszą, aby zacząć żyć, pragną też jak najprędzej dojść do celu. Gorączka ta ogarnęła nawet pisarzy i artystów. Dążą oni do tego, by w ciągu lat paru zdobyć sławę, odznaczenie i pieniądze. Nie odtrącają żadnych środków czy to w dziedzinie literatury czy sztuki. Umieją grać na giełdzie, gdy tego potrzeba. Panuje bowiem nad nimi demon zysku. Chcą pieniędzy niby dlatego, by żyć, częstokroć jednak dlatego, by się bawić.

Nawet rozrywki dzisiejszej młodzieży mówią o tej szalonej potrzebie pośpiechu. Pragnie ona, aby były łatwe i pełne ruchu. Automobil i aeroplan stały się jej zabawkami, radjo i kinematograf jej rozrywkami. „Chcemy tego, co rozprasza, nie zaś tego, co skupia", oto jej hasło. Zastanowienie, skupienie, bezinteresowna kontemplacja, słowem wszystko, co cieszy dusze spokojne i głębokie, przeraża tę młodzież. W istocie zatraciła ona swe własne „ja". Ci, którzy piszą, pozostają pod wpływem talentów chorobliwych, anormalnych i zdradzają zupełny zanik własnej osobowości, rozkład i niezdrową psychikę.

Dla tychże samych przyczyn pokolenie dzisiejsze jest wrogiem myśli. Kultowi idei przeciwstawia ono kult rzeczywistości i czynu. Stać ich jednak na pewien swoisty idealizm, który możnaby nazwać idealizmem praktycznym; w nim bowiem uczucie i czyn panują nad myślą.

To tłumaczy poniekąd mistycyzm, krzewiący się wśród pewnych grup młodzieży intelektualistycznej, aczkolwiek pozornie wydaje się on sprzeczny z ich realizmem a raczej z ich materjalizmem. Stwierdzić bowiem należy, iż mistycyzm ma dziś wielkie powodzenie. Przyznają się do niego zarówno wrogowie myśli, jak i jego zwolennicy, lecz dla różnych przyczyn. Pierwsi widzą w nim odwet uczucia nad wiedzą, drudzy przeciwnie dopatrują się w mistyce sprawdzianu wiedzy przez uczucie. Pewnikiem jest jednak, iż u tych i u tamtych, a więc zarówno u realistów jak i u idealistów, uczucie przeważa nad myślą i kieruje czynem. W tem też tkwi i niebezpieczeństwo tego mistycyzmu, zawiera on bowiem więcej ciepła niż światła, więcej sentymentalizmu niż siły woli, więcej nieopanowanego indywidualizmu niż mocnej osobowości, co zresztą nie wyklucza nieraz szczerego przekonania.

Ten to gatunek mistycyzmu w początkach swego istnienia, a więc nazajutrz po wojnie, fermentował jako zaczyn w umysłach młodzieży komunistycznej. Stowarzyszenia jej były groźne właśnie dzięki tej głębokiej wierze w przyszłość komunistyczną świata i dzięki spoistości wewnętrznej, której im to udzielało. Dziś jesteśmy świadkami upadku tej mistyki, prawdopodobnie dlatego, iż wysiłki jej przyniosły zbyt mało owoców, i że długo kazała ona czekać na spełnienie swych obietnic.

Istnieje też mistyka pokojowa. Jest to sentymentalny pacyfizm, którego zwolennicy wierzą w pokój, jako w absolut, narzucający się siłą rzeczy, a mało troszczą się oto — jak taki pokój przygotować. Za czasów p. Goyon (wprawdzie w związku z innemi kwestjami) nazywano to kwietyzmem i prawowierni katolicy widzieli w prądzie tym, i to nie bez słuszności, herezję.

Wreszcie mamy jeszcze młodzież istotnie wierzącą. Ci katolicy dzisiejszej doby wyszli poczęści z wyższych szkół.

Mistyka nęci ich i zachwyca. Kochają ją dla niej samej, dla radości, jakiej bywa źródłem, ale jeszcze bardziej dla siły, jakiej im udziela. Młodzież tę pociąga w religji nietyle sama doktryna (katechizm im wystarcza), co żywoty świętych. Katolicyzm jest dla nich raczej przeżyciem, niż prawdą. W przeżyciu tem uniesienia miłości górują nad zagadnieniami wiary. Wyczuć można, iż ci młodzi nawet wtedy, kiedy mają sympatję dla niektórych teologów, nie mają jej dla teologji. W dogmacie widzą przymus, a nie wyzwolenie ducha. Poddają mu się lojalnie, bez zastrzeżeń, pod warunkiem jednak, by, przemyślawszy go raz na zawsze, potem już nie zastanawiać się nad nim. Wierzą oni szczerze i ich działalność, która nieraz przynosi obfite owoce, ich pogłębione życie wewnętrzne są, jak to już zaznaczyłem przepojone przedewszystkiem miłością.

A więc religijność tej młodzieży nosi również cechy prądów współczesnych. Jest ona na swój sposób indywidualistyczna, przejęta przytem realizmem, bez zaprzeczenia przesiąknięta mistycyzmem, co nie wyklucza w niej pewnych cech społecznych.

Nakoniec nie zdziwię napewno nikogo, kończąc ten akt oskarżenia twierdzeniem, iż młode pokolenie intelektualistów nie żywi sympatji dla autorytetu zarówno świeckiego, jak też i duchownego.

Będąc wrogami wszelkiego przymusu wewnętrznego, jeszcze mniej oni znoszą przymus zewnętrzny, jaki władza zwykła wywierać. Skarżą się na to profesorowie, rodzice, a bardziej jeszcze politycy. Tu należy jednak najpierw dobrze zrozumieć młodzież współczesną i strzec się przesady. Ma ona wstręt do autorytetu pozbawionego serca, narzucającego się z zewnątrz w formie brutalnego rozkazu, przemawiającego tak, jak się przemawia do bezrozumnych istot, a nie do ludzi. W tej niekarności jest może tyleż niezręczności jeśli nie winy starszych, co i młodych. Na dowód tego stwierdzam, iż niejednokrotnie ci wrogowie władzy domagają się wodzów, ale wodzów istotnych z głową i sercem, którzy służą zarówno słowem jak i przykładem, którzy narzucają się sami raczej przez szlachetność życia niż przez wzniosłe słowa (pokolenie dzisiejsze nie znosi frazesów),

który dla zdobycia posłuchu umieją wzbudzić przywiązanie i są tak bezinteresowni przy wydawaniu rozkazów, tak wyzbyci z wszelkiego egoizmu, tak przejęci służbą dla dobra ogółu, iż idzie się za nimi z radością.

Oto jak się przedstawiają główne prądy umysłowe wśród współczesnego pokolenia. Zszeregowaliśmy je pod nieco staroświecką etykietą indywidualizmu. Mogłyby one wywołać pewien niepokój, gdyby silny instynkt zachowawczości społecznej nie neutralizował błędów tego indywidualizmu i nie zużytkował niektórych i istotnych i poważnych jego zalet.

Nie chcę, by mi wierzono bez dowodów; postaram się przekonać moich czytelników, podając im nietylko słowa, lecz i fakty.

II. Instynkt społeczny.

Psychika dzisiejszego pokolenia ma więc dwa oblicza: jedno egocentryczne drugie altruistyczne. Nie przeczą one sobie, lecz przeciwnie tłumaczą się wzajemnie.

Aby to wykazać, przejdziemy raz jeszcze w krótkości główne przejawy egocentryzmu zaznaczone wyżej. Da to nieco światła tym, którzy zajmują się wychowaniem.

Jeśli mamy wierzyć profesorom najbardziej zasługującym na zaufanie, to ta młodzież tak nic nie umiejąca, gdy wstępuje na Uniwersytet, a nieraz i gdy go opuszcza — w czem zresztą niezawsze jest tylko jej wina — jest jednak bardzo pracowita. „Przejmie to może zadziwieniem — pisze jeden z profesorów prawa — niektóre umysły zacofane, wyobrażające sobie, iż na ulicę Soufflot chodzi się dla zabawy a czasem nawet dla swawoli. Wystarczy jednak zajrzeć do naszych auli, do naszych bibljotek, aby się przekonać, iż Fakultet Prawa jest miejscem, w którem się pracuje. Nasi słuchacze bowiem różnią się zasadniczo od starej cyganerji z czasów Henryka Mürgera a nawet od studentów z końca XIX w., którzy tyle czasu marnowali na próżniactwie".

Oczywista rzecz, iż trudności powojennego życia są w pewnej mierze powodem tej pracowitości. Spokój o jutro skłaniałby bowiem młodzież do poszukiwania rozrywek i nie hartował w pracy jej woli. Widzimy więc, że instynkt zachowawczości społecznej bierze w tym wypadku górę nad

zwykłem lenistwem. Stajemy zatem wobec przejawu godnego uwagi i dobrze wróżącego dla przyszłości. A oto drugie zkolei zjawisko, niemniej zastanawiające. Powszechnie zaręczano nam, iż dzisiejsza młodzież patrzy na życie, jak na coś bardzo poważnego.

Zapewne, że stać ją na rozmach, na wesołość i nie poszukuje ona zbyt wyrafinowanych rozrywek, lecz lubi zabawy proste, ruchliwe. A mimo to w stosunku do życia nie brak jej powagi, a czasem nawet nastroju tragicznego. Odczuwa prawdopodobnie niebezpieczeństwo chwili obecnej, odgaduje olbrzymie powikłania, które zagrażają przyszłości. Odgaduje też, że w świecie cierpiącym skutkiem anarchji pojęć i obyczajów, wśród narodów wytrąconych z równowagi po wojnie, szlachetne nawet traktaty i podniosłe niejednokrotnie przemówienia pokojowe zdołają pogodzić sprzeczne interesy dopiero wtedy, gdy społeczeństwa, które wydała i wychowała cywilizacja łacińsko-chrześcijańska, odnowią, ponad sprawami materjalnemi, stosunki duchowe, oparte na miłości i sprawiedliwości. To bowiem jedynie może zażegnać wojnę i utrwalić na długo panowanie pokoju.

Poczucie tych zagadnień przejmuje nieraz przedstawicieli młodzieży niepokojem, trwogą, których nie są w stanie stłumić najgwarniejsze nawet rozrywki. Ono też tłumaczy częściowo, dlaczego tak liczni wśród młodego pokolenia indywidualiści organizują się w szeregu związków, pragnąc przez to zająć poniekąd stanowisko obronne i spolaryzować swój niepokój przez wspólność uczuć i myśli.

Dodajemy jednak, iż ten instynkt zbiorowości nie jest jedynym impulsem, który prowadzi młodzież do łączenia się w grupy i związki. Czasem tworzą oni stowarzyszenia przyjacielskie lub syndykaty (jak np. młodzi nauczyciele szkół średnich) aby bronić swych interesów materjalnych, niekiedy wiąże ich wspólność przekonań i wierzeń, co spotykamy wśród młodzieży szkół wyższych. W tym procesie skupienia się działa duch koleżeństwa, wyraźny już przed wojną, ale po wojnie bardziej jeszcze wzmocniony. Zaznaczył to Lanson, mówiąc o École Normale, której tak długo był dyrektorem. „Indywidualistyczne prądy wśród licznych zastępów młodzieży są ograniczane, hamowane przez soli-

darność, jaka wiąże daną klasę, a więc przez poczucie koleżeństwa. Zjawisko to można zauważyć nietylko w École Normale, Wolterjanie i Talasi.[1]) Walczono gorąco pomiędzy sobą, ale ani jedna ani druga strona nie były zorganizowane, — wszak nie istniały jeszcze nawet prawa o związkach. Dziś mamy stowarzyszenia katolickie, socjalistyczne, radykalno-socjalistyczne, a nawet pojawiają się od czasu do czasu zawiązki organizacyj komunistycznych. W stowarzyszeniach tych młodzież szuka nietyle sposobności do gadania — ile raczej do czynu. Naogół szanuje ona konieczną neutralność szkoły i działa raczej poza nią w stronnictwach, z któremi się łączą jej związki. Tam to zaznacza się wartość młodych sił. Od czasu do czasu pojawiają się wśród nich karjerowicze, ogół rozwija jednak wiele bezinteresownego poświęcenia, służąc ideałom, wyznawanych przez siebie teoryj czy też wierzeń."

Lanson stwierdza z zupełną słusznością, iż te próby społecznej pracy, ograniczając indywidualistyczne zachcianki i wyrabiając wśród młodzieży ducha zbiorowości, są dobrą wróżbą na przyszłość i stać się mogą szkołą karności społecznej. Ja stwierdzam to samo na podstawie doświadczeń, zdobytych nietylko we Francji, lecz i w przeważnej części krajów, jakie zwiedziłem.

Pozostaje mi nakoniec przejrzeć raz jeszcze pobieżnie owe stowarzyszenia i związki młodych i pozostawiając na boku to, co je dzieli, podkreślić tym razem cechy wspólne, łagodzące bojowość i anarchję niektórych indywidualistycznych uroszczeń.

W pierwszym rzędzie wypadnie mi tu wymienić poczucie honoru, silniejsze od różnić wierzeń i idei. Na podstawie cichej umowy oraz ducha koleżeństwa, każdemu udziela się prawa na wyznawanie przekonań osobistych. Fałszywy wstyd przed wyznawaniem swoich przekonań znikł niemal zupełnie.

A jakże zachowują się ci młodzi wobec społeczeństwa, którego są cząstką, wobec jego potrzeb, tak bardzo poważ-

[1]) To znaczy ci, którzy chodzą na Mszę: *Qui vont à la messe* (przyp. tłum.).

nych, jego celów ogólnoludzkich, jego stosunków z innemi narodami, wobec władz wreszcie?

Tu również, wbrew niezaprzeczalnym prądom indywidualistycznym wśród związków, zarówno prawicowych jak i lewicowych, działa instynkt zachowawczości społecznej. Odnosi się wrażenie, iż młodzież ta, wobec niebezpieczeństwa, na jakie narażają ją samą i naród cały stronnictwa skrajne, pozostające pod naciskiem nieokiełznanego indywidualizmu, broni się i aby móc się obronić, odnajduje istotny zmysł społeczny. Mamy tu poniekąd znowu do czynienia z indywidualizmem, tym razem jednak jest to indywidualizm nawspak. Ci młodzi bowiem, pracując dla dobra całego kraju, ratują sami siebie.

Pomiędzy młodzieżą komunistyczną, która tak kocha ludzkość, iż gotowa jest poświęcić dla niej swój własny naród, a młodzieżą ultra-nacjonalistyczną, która tak kocha swój naród, iż w danym wypadku poświęciłaby mu ludzkość całą, zgrupowania pośrednie, należycie rozumiejąc korzyść osobistą, umieją kochać kraj swój racjonalnie. Pojmują one, iż ani pesymizm, ani pogarda wobec władzy, ani gwałt i dyktatura, czyto pojedyńcza czy też zbiorowa, nie uratują narodu od wewnętrznych i od zewnętrznych wrogów. Potrzeba mu bowiem tego, na czem od wieków opierała się jego wielkość i potęga. Musi w nim kwitnąć cześć dla rodziny, ukochanie ojczyzny, umiłowanie obowiązku czyto zwykłego, szarego czy też bohaterskiego, ale wspartego zawsze na poświęceniu jednostek dla sprawy wspólnej przy głębokiem poczuciu sprawiedliwości i miłości, tam gdzie ona jest rozumiana i ceniona. Potrzeba mu też karności, przedewszystkiem dobrowolnej, której podstawą jest poszanowanie ładu w życiu społecznem i obowiązków jednostki w pracy zbiorowej.

O. Marcin Stanisław Gillet
Mag. Gen. Ord. Praed.

Materjalizm dziejowy według Bucharina.

Mikołaj Bucharin jest jedną z czołowych postaci komunizmu rosyjskiego, jest głównym jego teoretykiem obok Lenina. Niewątpliwie jest to człowiek, który posiadł całą wiedzę, zawartą w dziełach, opartych o marksizm, a jako główny dziś bodaj następca Lenina w kierowaniu teorją komunizmu, odgrywa i odgrywać będzie wybitną rolę w życiu przyszłych nawet pokoleń, które w Rosji z jego książki będą czerpać komunistyczną wiedzę o człowieku i świecie.[1]) Tem więc ciekawszem jest zbadać i przedstawić poglądy tego myśliciela, w którym splotły się dziwnie rosyjski fideizm i materjalizm Marxa, realistyczny pogląd na świat i porywy idealizmu. A dla porównania obierzemy nie zwalczany przez Bucharina idealizm, lecz stale pomijany przez niego Arystotelesowy realizm, prześwietlony ideą chrystjanizmu w dziełach św. Tomasza. Tomizm więc, czy też jeżeli kto chce, neotomizm będzie środkiem porównywania tam, gdzie Bucharin porusza zagadnienia filozofji lub socjologji. A nie będzie to porównanie czysto negatywne: mimo bowiem zasadniczych sprzeczności, są nieoczekiwane punkty styczne między poglądami Bucharina a tomizmem, który czasami bliższy jest komuniście rosyjskiemu, niż idealizm. Może dlatego pominięty jest w szeregu filozofów Arystoteles? Bezwątpienia realizm Bucharina sprowadza go czasami niemal

[1]) N. Bucharin. *Teorja materjalizmu historycznego*, Warszawa 1927. Strony książki podane są w tekście w nawiasach zamiast odsyłaczy. Omówił tezy Bucharina ks. Dr. J. Pastuszka (Prądy materjalistyczne w filozofji współczesnej) w Ateneum Kapłańskiem 1933 t. 32.

do dróg zdrowego rozsądku — przed któremi się jednak konsekwentnie cofa.

Przy porównaniu i ocenie poglądów, dotyczących historji, kryterjum będzie dla nas praktyka, ta wielowiekowa praktyka historyczna, wywodząca się od Herodota i Tucydydesa, a oparta o prosty zdrowy rozsądek i objektywizm. Ten prosty i rozsądny pogląd na filozoficzne ujęcie historji daleki jest od wpływów filozofji Kanta, która obca jest każdemu badaczowi.[1]) Natomiast sądzę, że najlepszym i najjaśniejszym wyrazicielem zdrowej filozofji historji stał się Carlyle w swym małym przyczynku, w Polsce bodaj prawie nieznanym — *On history.*[2]) Przedstawia on rzeczy zasadnicze tak krótko, prosto i jasno, że nie można się oprzeć chęci streszczenia ich, by dać jasny obraz czem jest i czem być może historja, oraz jakie manowce ciągną badaczy,

---

[1]) Kantyści stawiają przed historykiem następujące wątpliwości czy zagadnienia: *a)* Czy można odtworzyć przeszłość? na co Schmolle odpowiada, że przy badaniu dziejów miast niemieckich w XIV wieku 60% pewności zostawia na intuicję i fantazję badacza; *b)* Co to jest rzeczywistość historyczna? (oczywiście jest to *Ding an sich*) *c)* Co to jest doświadczenie historyczne? mają to być źródła i stany psychiczne, które w historyku powstają w chwili badania. Dilthey uważa przeżycie za część nieodzowną doświadczenia, Simmel szuka odrębnych kategoryj historycznych, a inni pragną poznać psychikę obcą w oparciu o wszechświadomość, aby tą drogą zdobyć owo doświadczenie; *d)* Problem czasu historycznego — można pojmować go nie w sensie realistycznym, a wtedy prawa historyczne mogą być przyjęte; *e)* Stosunek wyników do wyznaczonych zadań (odtworzenia przeszłości) — służyć do tego mają konstrukcje, a fakt schodzi do roli symbolu; *f)* Co to jest prawda historyczna? Są tu rzekomo dwa znaczenia: empiryczne i formalno-logiczne. Prawda w znaczeniu formalno-logicznem będzie to wolny od sprzeczności system faktów historycznych, połączonych na zasadzie koniecznych następstw z uwzględnieniem wymogów czasu historycznego. Jest to zupełnie niezależne od zagadnień zgodności z rzeczywistością. Prawdą ma być dowolna konstrukcja myślowa, wolna od wewnętrznych sprzeczności, a ten brak sprzeczności ma być właśnie sprawdzianem prawdy; *g)* Czy celem historji jest odtworzenie przeszłości, czy też jej wyjaśnienie lub zrozumienie? Czy też celem jej jest tworzenie konstrukcyj opartych na materjale źródłowym, lecz niezależnych od zagadnień prawdy materjalnej? (według referatu Lutmana na IV zjazd Hist. pol. w Poznaniu 1925 — Zagadnienia filozoficzne historji.)

[2]) W Critical and miscellaneous Essays, London 1889, t. II.

a także półuczonych, którzy najczęściej historjozoficzne konstrukcje budują.

Historję uważa Carlyle za wynik naturalnej walki człowieka z zapomnieniem, które czyha na każdy byt. Talent do historji jest wrodzony ludziom, a najczęściej używanym w mowie czasem jest czas przeszły. Również o przeszłości toczy się najczęściej rozmowa. Zadanie, jakie bierze na siebie historja, jest to zaspokojenie pragnienia rzeczy niezwykłych, które drzemią w duszy każdego człowieka. Pozatem niektórzy pragną w niej widzieć „filozofję", uczącą przez doświadczenie, jednak Carlyle odrzuca to ujęcie.

Możność poznania historycznego Carlyle ogranicza bardzo jasno. Historja składa się z nieskończonej ilości biografij, które są nam znane tylko w niesłychanie małej cząstce. Ponieważ nigdy całości nie poznamy, bo nawet odtworzenie swojej własnej biografji spotyka się z poważnemi trudnościami, tylko część nieznaczna wydarzeń jest dla nauki uratowana, i przez nią odcyfrowana. Zdaniem Carlyle'a najważniejsza część historji — dzieje życia i jego warunków — jest dla nas przeważnie stracona. Z tego też względu historja nie może odpowiedzieć na podstawowe pytania filozofji. Wszelkie doświadczenie filozoficzne, oparte na historji, jest niemożliwe, skoro nawet człowiek, na którego zeznaniach opierają się historycy, jest nieznany, lub też znany niedokładnie. Aby wydobyć filozofję z historji, aby było możliwe nauczanie filozofji przez doświadczenie, potrzebna jest wszechwiedza. Należy więc ograniczyć się do malowania przeszłości, — lub stwierdzać miejscami zjawiska niewytłumaczalne — tajemnicze ślady dróg bożych. Wszelkie łańcuchy przyczyn i skutków są bez znaczenia, gdyż rzeczywistość — to powiązana ze sobą nieskończoność wydarzeń. Poszukiwacze przyczyn i skutków — *that class of cause-and-effect speculators* — wymyślają symbole algebraiczne, zwane „duch wieku", „przesąd" etc., aby nieznane i nieskończone w życiu człowieka zastąpić.

Fakt historyczny jako taki jest niepoznawalny, historyk może dać tylko szkic jego lub teorję — ale odtworzyć go nie może. Nawet wypadki, powszechnie uważane jako decydujące i przełomowe niezawsze są takiemi. Czasem najważ-

niejsze przyczyny pozostają w zapomnieniu, są nieznane, bo nie było widzów i świadków. Pozatem umysł ludzki tylko w sposób bardzo niedoskonały ujmuje przeszłość. Wydarzenia dziejowe pojmujemy zawsze jako serję, gdy naprawdę jest to grupa, chaos stawania się. Opowieść historyczna jest zawsze linearna, gdy wydarzenie jest plastyczne, by użyć tu porównania z zakresu sztuki. Stąd możność poznania i przedstawienia przeszłości jest ograniczona.

Jednem z trudnych zagadnień praktycznych jest rozróżnienie pracy artysty i rzemieślnika w historji. Rzemiosło historji nie wyczerpuje, gdyż jest to coś niewyczerpalnego. Nie należy też dla dokładnego poznania części gubić całości.

Carlyle podkreśla znaczenie poszczególnych gałęzi dziejów, poza historją polityczną. Historja Kościoła winna być historją całego życia moralnego, ma wykazać, co można osiągnąć przez pracę Kościoła. Historja filozofji, właściwie traktowana, winna być częścią historji Kościoła. Zdaniem Carlyle'a nawet historja sztuki i literatury jest ściśle związana z religją, wskazuje drogi twórców do Absolutu lub też ich zatratę, zejście z tych dróg. Doniosłe też znaczenie przypisuje Carlyle historji nauk, sztuk, rzemiosł, prawa, wynalazków, czyli historji kultury.

Poglądy Carlyle'a należałoby uzupełnić w dziedzinie życia idei, czem się angielski historyk wcale nie zajmuje. Idee raz wypowiedziane, mają swoje własne życie i prawa rozwoju, niezależne od woli ich twórców. W ten sposób naśladowcy dochodzą często do logicznych wniosków, przed któremi cofnęliby się mistrze.

W świetle poglądów Carlyle'a materjalizm dziejowy Marxa, który cały rozwój dziejowy tłumaczy zjawiskami gospodarczemi, należy do kategorji algebraicznych znaków, przy pomocy których tłumaczy się niepoznawalne. Jednak i w poglądach Marxa była ewolucja, a jeszcze dalej poszła ona u jego naśladowców i wyznawców. Najlepiej może w literaturze polskiej przedstawia dzieje materjalizmu dziejowego dr. Stanisław Garski (pseudonim).[1]) Pierwszym, który uwa-

[1]) Materjalistyczne pojmowanie dziejów a etyka, Lwów 1906, Polskie Tow. Nakładowe.

żał za podstawę dziejów stosunki majątkowe był grek Phaleas. Jednak twórcą materjalizmu był Marx, który przeciwstawił się idealizmowi szkoły Hegla, z której sam zresztą wyszedł. Materją w życiu zbiorowem jest gospodarstwo społeczne, wszystko inne jest „nadbudową", od materji zależną. W założeniu, w wyniku teorji Marxa człowiek jest zupełnie bierny i zależny od materji — życia gospodarczego. Jednak Marx popada tu nieraz w sprzeczności, podkreślając rolę innych czynników obok ekonomji, oraz pewne znaczenie etycznych pobudek. Engels uznał rolę woli indywidualnej oraz wpływ nadbudowy na podłoże ekonomiczne. Uważał jedynie, że momenty ekonomiczne decydują w ostatniej instancji. Kautsky uznaje w znacznej mierze pobudki etyczne działania. Natomiast rewizjonista Bernstein podnosi, że Marx i Engels w późniejszych pismach znacznie silniej podkreślali czynniki nieekonomiczne, niż w pismach początkowych. Sam jest zdania, że motor moralny jest decydujący dla trwałej akcji masowej. W rezultacie Bernstein uznaje tylko ekonomiczne czynniki za najważniejsze, a wcale nie jedyne. Nazywa to ujęcie ekonomizmem historycznym, (a trzeba zauważyć, że wielu badaczy wcale nie wyznających zasad Marxa ten ekonomizm przyjmuje i stosuje).

Garski zajmuje się zkolei samą teorją materjalizmu dziejowego i podkreśla w niej zasadniczą sprzeczność tkwiącą w powiązaniu dialektyki z materjalizmem. Dialektyka jest czynnikiem dynamicznym, materjalizm statycznym, dialektyka ewolucyjnym, a materjalizm metafizycznym poglądem. Dialektyka Marxa polega na zastosowaniu Heglowskiej tezy, antytezy i syntezy do zjawisk historji gospodarczej, przyczem syntezą ma być ustrój socjalistyczny. Tymczasem materjalistyczny pogląd na świat i dzieje gospodarcze wcale z tą dialektyką nie mogą się powiązać. Garski szuka rozwiązania trudności w zastosowaniu rachunku różniczkowego, który w połączeniu z dialektyką da podstawę do naukowego ujęcia zjawisk dziejowych. Chodzi o to, że jeżeli proces dziejowy ujmiemy jako szereg nieskończenie małych wydarzeń, to wówczas przejście między tezą, antytezą a syntezą zostanie wytłumaczone. Obok czynnika ekonomicznego według Garskiego równorzędną rolę gra czynnik etyczny. Rewolucja

oczywiście może być wyjątkiem. Szeregów przyczynowych niema: są różne przyczyny wzajemnie na siebie działające. Czynnik ekonomiczny działa na ideologję i odwrotnie, a czysty ideał jest pobudką działań.

Teorja Garskiego w założeniu nic nie tłumaczy, aczkolwiek jest poniekąd bliska ujęciu Carlyle'a tam, gdzie pisze on o chaosie wypadków dziejowych. Jeżeli mamy nieskończenie małe przemiany, to poznanie jest w praktyce niemożliwe. Na ich podstawie wcale materjalizmu budować nie można, jak to czyni Marx, a w gruncie rzeczy teorja infinitezymalna jest tylko jeszcze jednym znakiem algebraicznym na oznaczenie niewiadomego w dziejach. Jednak dla ortodoksyjnych marksistów jest ona nie do przyjęcia. Pomijając doskonałą krytykę Marxa i idealistyczne ujmowanie problematów, opiera się Garski na rachunku różniczkowym, który jest przez komunistów zwalczany. Marx bowiem, który na matematyce się nie znał, napisał rozprawkę przeciw rachunkowi różniczkowemu, miał jednak na tyle samokrytycyzmu, że jej nie opublikował. Uczynili to bolszewicy, przyjmując jako dogmat wspomniane jego poglądy. [1])

Mikołaj Bucharin, któremu poglądy Garskiego pozostały skądinąd nieznane, ujmuje materjalizm dziejowy zgoła inaczej. W nauce zaszły od śmierci Marxa doniosłe zmiany. Upadła teorja atomizmu w fizyce, na której opierał się Marx, pojmując życie psychiczne na wzór mechaniczny. Postęp psychologji wykazał niezbicie istnienie elementów psychicznych w człowieku, niezależnych od materji. Austromarksizm przyjął istnienie psychiki i powiązał z psychologją i jej zdobyczami zmodyfikowany socjalizm. Poczęły się pojawiać w socjaliźmie prądy idealistyczne, a nawet religijne. Rewizjonizm Bernsteina podkopywał wiarę w niezachwiany autorytet twórcy kierunku. Wszystko to skłoniło Bucharina do ujęcia z nowego punktu widzenia całego materjalizmu dziejowego, jak to pisze w końcu swej książki.

Jeśli Bucharin chciał dać kompletne ujęcie marksizmu, dostosowane do czasów obecnych, to mu się tylko częściowo

---

[1]) Przegląd Pedagogiczny, t. LI, nr. 27, 28, (1932). O bolszewizmie wogóle pisał doskonale St. Swianiewicz. Lenin jako ekonomista. Wilno 1930.

udał ten zamiar. Dwie typowe cechy umysłowości rosyjskiej, zastosowane do teorji Marxa, rozsadziły ją. Te dwie cechy to: 1) religijny stosunek do tego, co się za prawdę uznaje, 2) skłonność do naturalizmu w ujmowaniu życia. Religijny stosunek do Marxa i jego teorji każe uznawać każdy niemal przecinek w dziele mistrza. Naturalizm, wzmocniony przez doświadczenie, nabyte u steru władzy, dopomina się o prawa rzeczywistości i podcina teoretyczne założenia. Marx wobec trudności cofał się za ścianę krytycyzmu i kwestjonował dokładność poznania ludzkiego (np. w kwestji „nadbudowy" — kultury). Bucharin nie zna sceptycyzmu: objektywna prawda jest dla niego w rzeczywistości podstawą rozumowania. Nie jest to jednak postawa realistyczna, gdyż ogranicza poznanie prawdy tylko do danych zmysłów. Z tych względów, wyżej przytoczonych, nie dał Bucharin w swem dziele kompendjum marksizmu, ale nowy niejako system, pełen zresztą niekonsekwencyj, płynących z przeciwieństwa dwóch podstawowych jego założeń, wiary w Marxa i naturalizmu w obserwacji życia.

W skrócie przedstawimy tu poglądy filozoficzne Bucharina, a więc pokolei stanowisko wobec 1) woli, 2) poznania, 3) dialektyki, 4) materjalizmu, 5) nauki i sztuki, 6) nauki o społeczeństwie, 7) religji oraz etyki.

1) Wola ludzka jest według teorji materjalizmu pozbawiona wolności. Zwalcza też wolność woli Bucharin. Indeterminizm bowiem prowadzi do religijności, co jest pierwszym argumentem przeciw niemu (23). Człowiekowi wydaje się tylko, że jest wolny: postępowanie jednostki wytknięte jest przez rezultat społeczny, który znów jest wynikiem indywidualnych czynów woli ludzkiej (29—30). Jest to więc rodzaj perpetuum mobile. Zjawisko społeczne panuje nad ludźmi i unosi ich (30). Historja jest wynikiem woli większości, a w społeczeństwie niezorganizowanem (niekomunistycznem) wypadki panują nad człowiekiem (28). Jednak prawa przyrody występują w społeczeństwie w specjalnej formie (53). Społeczeństwo nie jest organizmem psychicznym: jednostka ma swe odrębne istnienie i wpływa na społeczeństwo. Ale wolę jej określają warunki zewnętrzne, gdy stawiają człowieka w okolicznościach, w jakich pragnienie jego może

być urzeczywistnione. Jednostka jest podporządkowana zjawiskom społecznym; jej rozwój wyjaśniony jest przez rozwój społeczny (89—92). Natomiast w społeczeństwie socjalistycznem panować będzie wspólna i powszechna dobra wola, determinowana przez potrzeby społeczeństwa (30—32).

Jeśli w ten sposób Bucharin jest wyznawcą integralnego materjalizmu to równocześnie podkreśla on znaczenie woli jednostki: socjalizm stanowi cel (10), marksizm nie odrzuca woli, lecz ją objaśnia, komunizm nie jest fatalizmem (41). Odrzucając idealizm teoretyczny, wyznaje Bucharin idealizm praktyczny (48). Jednostka może wpływać na społeczeństwo, ludzie przystosowują się do przyrody inaczej niż zwierzęta, mianowicie czynnie (103). Istnieje w komunizmie etyka, aczkolwiek jest ona inna, niż u burżuazji (153—155).

Wynika z tego, jak sądzę, że Bucharin uznaje de facto wolność woli, możność stawiania celów etycznych, przyjmuje idealizm praktyczny, aczkolwiek usiłuje udowodnić, że nie ma to nic wspólnego z indeterminizmem. Woli (wolnej) jak mówi nie odrzuca, lecz ją tłumaczy tak, by nie zostało miejsca na religję. Istota tego tłumaczenia sprowadza się do podkreślenia, że na wolę wpływają wypadki, do których musi się ustosunkować. Jednak wola stosuje się do nich czynnie, nie biernie, co zdaje się sam Bucharin przyjmować (103!). Stąd w gruncie rzeczy jest on dość bezradny wobec faktów, z któremi stale musi się stykać. Chwilami pisze tak, jakby uznawał duszę zbiorową (89—95), choć gdzieindziej zwalcza to pojęcie (84). Najchętniej przyjmuje przewagę społeczeństwa nad jednostką, ale mechanizm życia społecznego (jednostka wpływa na społeczeństwo, a społeczeństwo na jednostkę) sprowadza się do mglistego perpetuum mobile. Niebardzo też zdaje się Bucharin rozumieć idąc za Simmlem, co to jest psychika zbiorowości (to znaczy panowanie uczucia w tłumie) i podaje, że społeczność to coś większego od sumy jednostek (213). W psychice rozróżnia czynniki rasowe, narodowe ale dominuje element klasowy (216). Odnosi się wrażenie, że Bucharin nie przyjmuje wolności woli w teorji tylko z obawy przed religją (22—24). Mówi on też o stanie, w którym wola ludzka sama, bez przymusu dążyłaby do dobra ogólnego (30—32). Wraca tu

więc pamięć z duszy ludzkiej nigdy nie wydarta, o raju utraconym i powrocie do niego.

2) Poznanie ludzkie jest dla Bucharina czemś bardzo mglistem. Twórczość umysłowa zrodzona jest z materjalnej, mówi materjalizm dziejowy, a Bucharin dodaje: gdyż powstaje wtedy, kiedy człowiek nie jest zmuszony poświęcać cały swój czas na zdobywanie utrzymania (51—53. 161). Jak podkreślono, uznaje Bucharin psychikę indywidualną, ale też psychikę klasową, która nie jest tylko wypływem interesu (218). Mowa powstała z okrzyków roboczych (za Noiré) (206—9), ale skąd myśl powstała — autor wyjaśnić nie umie. Cytuje Marxa, który mówi, że wyrosła ona z organizacji społecznej. Zaznacza też Bucharin, że myśl nie powstała z dążenia do poznania świata, gdyż jest zmienna. Idzie on tu za Levy-Brühlem (209—210). Idee są to wytwory, jednak nie pracy materjalnej: tworzenie ich nie jest pracą materjalną, podnosi Bucharin (221—222).

Wynika z tego, że Bucharin uznaje twórczość intelektualną za różną od materjalnej, ale jej nie umie wytłumaczyć. Ogranicza się on właściwie do zwalczania niebezpiecznych poglądów, które mogą dostarczyć materjału dla obrońców religji. Niemożność podania i określenia, na czem polegają władze poznawcze człowieka i czem jest samo poznanie, jest jedną z najsłabszych stron książki. Wobec nowoczesnej psychologji z materjalizmem jako bronią jest Bucharin zupełnie bezsilny. Niewątpliwie austromarksizm, który uznał psychikę, ma stanowisko znacznie bardziej logiczne i dostępne dla umysłu ukształconego.

3) Dialektyka jak zwykle stanowi element „zdradziecki" w teorji marksizmu, co zresztą doskonale przedstawia Garski. Wobec trudności tworzy Bucharin nową teorję dialektyki. Istota dziejów ludzkości zawiera się w stosunku społeczeństwa do przyrody (materjalizm w ujęciu Feuerbacha). Bucharin wykłada to w sposób następujący: albo jest dość środków utrzymania dla ludzi, albo też ich brak. Jeżeli środków jest dość, mamy do czynienia z równowagą stałą, gdy ilość wzrasta — jest to równowaga dodatnia, gdy ilość środków utrzymania maleje — a warunki są trudne — jest równowaga ujemna. Po okresach równowagi dodatniej przy-

chodzą okresy równowagi ujemnej, potem znów dodatniej i t. d. Na tem ma polegać dialektyka materjalizmu. Chodzi więc w ujęciu Bucharina o to, że są lata tłuste i chude, które kolejno następują. Wyrazem ich jest wyższa lub niższa technika (113, 123, 99 i nast. 65—70). W gruncie rzeczy trudno ustalić jakikolwiek logiczny związek między zmiennością lat chudych i tłustych a dialektyką: lata tłuste nie są syntezą lat tłustych (teza) i chudych (antyteza), niema też między niemi skoków czy katastrof: o ile bywają katastrofy powodujące lata chude, to niema ich gdy chodzi o lata tłuste. Zawsze wzbogacanie się postępuje powoli. Ponieważ Bucharin jest przeciwnikiem ewolucji, broni teorji katastrof, uzasadniając je przykładem z przyrody: gdy pod ciężarkiem sznurek się urwie, *natura facit saltus* (70—74). W rzeczywistości autor spostrzega dawno w filozofji znane przejście od potencji do aktu, które jest jednem z praw powszechnych stworzenia, nic nie ma wspólnego z dialektyką czy rewolucją a posłużyło Św. Tomaszowi jako pierwszy argument za istnieniem Boga.

4) Materjalizm pojmuje Bucharin w zupełnie oryginalny sposób. Jest to zdaniem jego decydująca rola techniki i organizacji społecznej w życiu ludzkiem, podczas gdy Marx mówił o czynniku gospodarczym, a technikę umieszczał na planie dalszym. Według Bucharina technika występuje wszędzie, nawet w nauce, i jest czynnikiem jednoczącym całe życie ludzkości. Zaliczając ją do czynników materjalnych, przyznaje Bucharin technice stanowisko decydujące w całej twórczości. Poprzez technikę życie gospodarcze wpływa na kulturę (102, 103, 100, 116, 127). Zaznacza się tu prymat materji: o pracy psychicznej decyduje rozstawienie robotników w fabryce (82), a więc organizacja; znaczenie jednostki wyrasta z organizacji społecznej (90—91). Techniką też nazywa autor siły wytwórcze (113). Wyrasta stąd kult techniki, który Bucharin uzasadnia w sposób następujący: Człowiek jest wytworem przyrody (96); Zwierzęta przystosowują się biernie, człowiek czynnie, a to zapomocą techniki (108—109, technika jest wyrazem stosunku społeczeństwa i przyrody, czyli wielkiej lub małej ilości środków utrzymania. Przy rozpatrywaniu społeczeństwa należy zawsze rozpoczynać od tech-

niki, od niej bowiem zależy rozwój ludzkości, a także jej przyrost naturalny (113—118). Wszelkie nauki wyrosły z techniki (166—7), a nawet sposób myślenia naukowego zależy od ekonomicznej budowy. Podobnie ma się rzecz ze sztuką (197). Ustrój społeczny zależy od techniki pośrednio lub bezpośrednio (150).

Konstrukcja ta jest o tyle logiczna, o ile przyjmuje się gruby materjalizm: wówczas decyduje w życiu ludzkiem zdobywanie środków żywności. Naogół marksizm odrzuca takie ujęcie materjalizmu. Pozatem technika nie jest wykładnikiem ilości środków utrzymania, czego dowodem są ludy zbieraczy, które czasem mają obfite utrzymanie mimo niemal zupełnego braku techniki. Również nie od techniki zależy powiększanie się ludności: czasy nowożytne, a nawet starożytne w epoce upadku Grecji zupełnie temu przeczą. Grecja wyludniała się, bo ludzie nie chcieli mieć dzieci. Raczej rozwój techniki uzależniony jest czasem od szybkiego wzrostu ludności, potrzeby zdobycia dla niej utrzymania oraz łatwości uzyskania rąk roboczych. Najsłabiej przedstawia się związek techniki z nauką, technika bowiem zawsze jest tylko środkiem.

5) Nauka i sztuka powstały według teorji Bucharina, a zresztą marksizmu wogóle, z praktyki i potrzeb (3, 158). Nauka składa się z trzech czynników, a) ludzi, b) aparatów czyli techniki, c) systemu idei. Rozwija się nauka zależnie od techniki i stosunków gospodarczych, w okresach zastoju ekonomicznego jest zastój nauki, przyczem Bucharin uznaje za Marxem tylko nauki przyrodnicze, do których zalicza nauki społeczne (18, 164, 281). Treść nauki powstała z techniki i ekonomji, rozwój jej określają narzędzia (zaliczone są tu bibljoteki) i warunki ekonomiczno-społeczne; sposób myślenia nauki zależy od budowy ekonomicznej oraz klasowego charakteru (158—166). Sztuka jest środkiem uspołecznienia uczuć (za Tołstojem?) (190). Aby wykazać pochodzenie sztuki z przyrody i związek jej z techniką, analizuje Bucharin muzykę, najbliższą technice sztukę, inne zaś pomija. Wywodzi on muzykę — być może od „przed człowieczego okresu" (za Büchnerem 194).

Bucharin jest tu kontynuatorem Marxa o tyle, że przyjmuje w ogólnych zarysach jego poglądy, ale podkreśla pewne rzeczy, które u Marxa były na planie dalszym. W tem też tkwi oryginalność Bucharina, który tworzy nową teorję materjalizmu dziejowego, w której czynnik ekonomiczny wchodzi na plan dalszy, a na czoło wysuwa się technika. Przyczyną tego był zapewne atak nauki na materjalistyczne pojmowanie dziejów w dawnem ujęciu, wobec czego autor zaczął podkreślać nowy czynnik w teorji mistrza.

Teorja Bucharina budzi wiele wątpliwości. Przedewszystkiem zachodzą trudności przy zaliczaniu techniki do nauki. Osły, na których jechali pod Piramidy uczeni francuscy w armji Bonapartego były niewątpliwie środkiem technicznym, ale wątpić należy, by należały do nauki lub też determinowały jej rozwój. Co więc należy do nauki ze środków technicznych? W rzeczywistości technika, która ma być u Bucharina dźwignią postępu, zajmuje stanowisko podrzędne. Nauka jest to suma wiedzy w danej dziedzinie, a technika jest tylko środkiem do jej pomnażania i konserwowania. Źródłem nauki jest dążenie do poznania prawdy, nie zaś praktyka. Bucharin tych duchowych, niematerjalnych postaw nauki uznać nie chce, aczkolwiek zostawia im miejsce, mówiąc o ideach w nauce. Oczywiście, są to skrzepy ideologji, która znów wypływa z potrzeb gospodarczych (219). Niemniej pozostanie prawdą, że tylko człowiek nieznający pracy naukowej może przypisywać technice decydujące znaczenie w nauce. Podobnie ma się rzecz ze sztuką. Bucharin potępia Łunaczarskiego za to, że piękną formę oddziela od treści klasowej i daje miejsce indywidualności artystycznej (immanentne prawa twórczości), gdy według teorji marksizmu wszystko wyrasta z podłoża techniczno-ekonomicznego (104—5). Bucharin naogół na sztuce zna się bardzo mało i nie zdaje sobie sprawy z istoty tworzenia.

Jeżeli jednak technika jest czynnikiem podrzędnym w rozwoju nauk i sztuk, to gra ona znaczną rolę w postępie ekonomicznym, gdzie w pewnych wypadkach należy ją uznać za główną dźwignię postępu. Ten postęp jednak wypływa w ostatnim rzędzie nie z samej techniki, ale z postępu wiedzy, który zostaje wykorzystany do celów praktycznych.

Technika nie może być podstawą monistycznej teorji kultury ludzkiej, jak to głosi Bucharin. Jedyna podstawa do takiego ujęcia całego dorobku ludzkości, by stanowił on logiczną całość tkwi w ludzkiej psychice. Ale czynnika psychicznego nie chce uznać Bucharin, gdyż jest ateistą.

6) W zakresie socjologji Bucharin jest wyznawcą nauki Marxa, wnosi jednak pewne własne obserwacje i sądy, szczególnie w opisie społeczeństwa przyszłości.

Podstawą społeczeństwa jest wytwórczość materjalna oraz środki wytwórczości (51), więzią społeczną jest praca, ponieważ podstawą życia jest przebieg wytwórczości. Społeczeństwo składa się z grup, ze sobą powiązanych, lecz Bucharin zwalcza teorję organiczną jako służalczą (79). Jest to tem dziwniejsze, że Marx był pod silnym jej wpływem, a sam autor ją wyznaje (przeżytki) (241). Jednak ponad grupą stoi klasa, czyli zawód, a tylko społeczeństwo komunistyczne będzie bezklasowe (to znaczy bez zawodów) (141). Silnie podkreślony jest prymat społeczeństwa nad jednostką (92). Rodzina jest organizacją płciową, a więź gospodarcza wyprzedza więź krwi, czego dowodem ma być mir rosyjski (150—2). Bucharin zwalcza teorje o wyższości ras (119—120), nad wszystkiem panuje klasowość, przyczem psychologja klasowa nie da się sprowadzić do interesu, ale zawsze tkwi korzeniami w środowisku, w którem znalazła się klasa. Chodzi tu o climax duchowy (214—218). Społeczeństwo określa Bucharin jako ludzi, rzeczy, idee powiązane w system dla pracy (127). O ustroju społecznym decyduje technika (131, 132, 150), ekonomika określa politykę (149), każda grupa społeczna związana jest z ustrojem ekonomicznym, a więc zależna od ekonomji. Państwo klasowe spaja społeczeństwo klasowe, niema też pozaklasowych czy bezklasowych organizacyj (146). Podstawową cechą życia społecznego jest oczywiście walka klas. Zarówno tu, jak i w teorji rewolucji idzie Bucharin za Marxem, podkreśla jednak, że rewolucja nie musi się udać (280), że w razie, gdy jej niema, ma miejsce zastój lub cofanie się (258—259). Rewolucja przynosi znaczne szkody w gospodarstwie, ale ma wyższość nad ewolucją, gdyż daje g w a r a n c j ę p a n o w a n i a klasie robotniczej (272—3). Klasy są niejednolite, interesy grup

przeciwstawiają się w nich, (301, 322). Niezawsze też psychologja klasy pokrywa się z jej interesem (302). Uznaje autor wypadki istnienia względnej solidarności klas, trwałej lub chwilowej (309). Klasy niezawsze prowadzą walkę we właściwem tego słowa znaczeniu, jednak zawsze istnieje ona w stanie utajonym lub w zalążku (317—8). Z niejednolitości klasy wypływa potrzeba istnienia partji komunistycznej, która jako głowa, klasy musi wychowywać i przekonywać. Miarą wzrostu jej sił lub upadku jest wpływ na bezpartyjnych. Partja nie może być jednolita, stąd muszą być w niej przywódcy (322—323).

Poglądy Bucharina na społeczeństwo są pełne niekonsekwencji. Z jednej strony przyjmuje on teorję Marxa, z drugiej uzupełnia ją doświadczeniem. I to doświadczenie podkopuje teorję. Ani rewolucja nie musi się udać, ani walka klas nie jest regułą, a tylko ogólnem prawem, wynikającem nie z empirycznych badań, a z założeń a priori. Nie jest też klasa czemś jednolitem, skoro trzeba nieustannie usuwać z niej tarcia grupowe, a nawet nie jest wcale jasne, czy owe grupy nie są wyższe od klasy. Sama psychologja klasowa nie opiera się wyłącznie na interesie, więc zapewne na jakiejś ideologji. Teorja o samem społeczeństwie, w skład ktorego wchodzić mają też obok ludzi narzędzia i idee, jest zgoła niejasna: czy wchodzi w skład społeczeństwa ludzkiego bydło i zwierzęta domowe, które są narzędziami produkcji? Ale mimo wszystko nie można się oprzeć chęci przeciwstawienia teorji Bucharina filozofji tomistycznej. Społeczeństwo według niej jest to grupa ludzka, i tylko ludzka, powiązana przez religję, kulturę, obyczaj, przeszłość, interes etc., nie zaś przez interes gospodarczy wyłącznie. Więź społeczna wyrasta z natury ludzkiej, nie zaś z pracy. Społeczeństwo, rządzone przez władzę (jest to istotną jego cechą) składa się nie z jednostek, ale z grup stanowych i zawodowych, wewnętrznie ze sobą powiązanych, opartych w znacznej mierze na podziale funkcyj. Podstawową grupą jest rodzina, starsza od społeczeństwa, posiadająca prymat w dziedzinie wychowania. Własność jest fundamentem rodziny, a przez to społeczeństwa. Społeczeństwo stanowi całość wyrastającą z praw przyrodzonych, a normalnym jego

stanem jest nie walka klas, lecz harmonja. Niema też bezwzględnej przewagi społeczeństwa nad jednostką, której praw bronią grupy, stojące między nią a społecznością: rodzina zawód, stan. Istnieje objektywne dobro ogólne, do którego można bezinteresownie zmierzać. Złe strony życia należy zmieniać ewolucyjnie, rewolucja bowiem jest nietwórcza, a jedynie niszczy życie społeczne, ujawniając tylko rzeczy już istniejące, które doszłyby do znaczenia bez niej.

Poglądy Bucharina w tem się zasadniczo różnią od poglądów tomizmu, że zjawiska objektywnie istniejące „tłumaczy" on w sensie teorji walki klas, nie negując ich istnienia, aczkolwiek przeczą one teorji Marxa. I tu więc występuje wyraźnie religijny charakter jego stosunku do marksyzmu.

Bucharin opisuje również społeczeństwo przyszłości przyczem różni się tu od Marxa, wysnuwając dalsze wnioski z jego teorji. Marx głosił zniknięcie zawodów i wcielenie zasady: każdemu według potrzeb, każdemu według zdolności. Wnioski, wysnute stąd oraz z praktyki odbiegają od hasła egalitaryzmu. Za Marxem, a więcej jeszcze za Leninem odróżnia Bucharin okres przejściowy od społeczeństwa idealnego „Czarnego komunizmu". W tem społeczeństwie idealnem nie będzie państwa ani przymusu, gdyż powszechna dobra wola, determinowana przez interesy społeczeństwa, uczyni zbytecznym wszelki nacisk. Jednak wolność to tylko „zrozumiana konieczność", wolności więc nie będzie (30—32). Będzie to społeczeństwo bezklasowe, bo wszyscy będą mieli ten sam stosunek do środków produkcji czyli będą proletarjuszami (141—142). Wobec postępu techniki nie będzie zawodów, bo nie będzie potrzeba klasy kierowniczej. Właściwie taka grupa kierująca będzie, jak pisze Bucharin, ale bez charakteru stałego, gdyż zaistnieje nadprodukcja organizatorów. Innemi słowy do kierownictwa życia gospodarczego droga będzie dla każdego otwarta (327). Ponieważ jednak są różne funkcje społeczne, jak np. produkcja kultury, trzeba pracę koordynować i kierować nią (233—4), musi być nierówność w nauczaniu (226—9). Dokładnie nie wynika z książki, że taki stan rzeczy ma być tylko w okresie przejściowym. Stąd można przypuszczać, że autor przyznaje mu

cechy stałości, gdyż trudno przypuszczać, by wszyscy stali się równi pod względem zdolności i doświadczenia (por. 323).

W okresie przejściowym, kiedy będzie musiała istnieć partja (322—3), decyduje nie ekonomika, a ideologja (276). Być może burżuazja podda się dobrowolnie i nie trzeba będzie płacić kosztów rewolucji (278—9). Narazie konieczna jest nierówność i dyktatura proletarjatu. Zjawi się też nieuchronnie niebezpieczeństwo zwyrodnienia klasy t. j. powstania warstwy kierowniczej jako zalążka klasowego. Ale autor widzi dwie tendencje, które temu będą przeciwdziałać: rozwój produkcji i zniesienie monopolu wykształcenia, czyli rozszerzona produkcja techników i organizatorów z łona klasy robotniczej. Ale wynik bynajmniej nie jest pewny: niewiadomo, która tendencja zwycięży (327—8).

W poglądach Bucharina uderza przedewszystkiem podkreślanie konieczności nierównego wykształcenia, aczkolwiek nauka zostaje udostępniona dla wszystkich. Dziś już w agitacji wśród inteligencji podkreśla komunizm potrzebę niejednakowych warunków bytu pracowników fizycznych i umysłowych, a co za tem idzie, niejednakowego wyposażenia ich w różne dobra konsumcyjne. Zawsze będą potrzebni kierownicy i organizatorzy, gdyż Bucharin nie wierzy, jak się zdaje, w utopijną równość ludzi, a sam Marx o niej pisze niejasno. Będzie więc społeczeństwo „Czarnego komunizmu" pozbawione własności, przy nierównem wykształceniu i uposażeniu członków a więc oparte na zasadzie hierarchji, nie zaś równości. Będzie to rodzaj etatyzmu, w którym urzeczywistniony będzie postulat demokracji: podnoszenie jednostek zdolnych na stanowiska kierownicze — podobnie, jak w średniowieczu w cechach była otwarta droga dla zdolnego robotnika, który mógł zostać producentem. W komunizmie Bucharina istota programu nie tkwi w ideałach społecznych, które objawione robotnikom-komunistom, wywołałyby może ich oburzenie, ale w dziedzinie innej. Chodzi o religję.

7) Religja stale jest zwalczana w całej książce, przyczem Bucharin jest w tej dziedzinie ignorantem, szczególnie jeśli chodzi o katolicyzm (np. 36, 169, 175). Zamiast celowości w przyrodzie wysuwa Bucharin zasadę przyczynowości. Ponieważ nie uznaje on Arystotelesa, którego pomija w wylicze-

niu filozofów greckich (185), nie zna dowodów jego ani św. Tomasza na istnienie Boga, a w szczególności dowodu z ruchu (8—10) i w ten sposób walczy niejako z próżnią. Etykę uznaje Bucharin za zjawisko zmienne, zależne od klas (153), ale uznaje ją i u komunistów (154—5). Jednak etyka komunistyczna nie będzie miała charakteru „fetyszyzmu"(?) (247).

Naogół rzecz biorąc podstawą teorji materjalizmu dziejowego Bucharina nie jest dążenie do stworzenia nowego ustroju społecznego, gdyż ten po nieudanym eksperymencie rewolucji odsuwa się na plan dalszy, ideał zaś równości zwolna usuwać się zdaje w cień przed ideą hierarchji. Natomiast podstawą filozofji Bucharina oraz ideałem jego zdaje się być zbudowanie społeczeństwa ateistycznego i konsekwentnego ateistycznego państwa — reszta jest sprawą drugorzędną. Uderza przytem ignorancja katolicyzmu — św. Tomasza zna autor z trzeciej ręki i to niedokładnie (186). Natomiast szczególnie wiele korzysta autor z drugorzędnej literatury niemieckiej, np. do okresu powojennego (167—189). To też w dużej mierze książka jego jest zestawieniem wszelkich nonsensów nauki i pseudonauki. Oryginalne jest, jak sądzę, postawienie trzech problematów: 1) roli techniki, 2) rzekomej materjalistycznej dialektyki, 3) koncepcyj hierarchicznych w państwie komunistycznem.

Zkolei omówić trzeba poglądy Bucharina na historję i procesy historyczne, a więc materjalizm dziejowy w ścisłem słowa znaczeniu. Omówione zostaną kolejno 1) cel historji i jej miejsce wśród nauk, 2) zagadnienie praw dziejowych i prawidłowości zjawisk społecznych, 3) problemat postępu, 4) krytyka materjalizmu, dokonana przez samego Bucharina.

1) Cel historji jest zupełnie praktyczny — ma ona dostarczyć materjału dla polityki (160). Zadaniem jej jest m. i. odtwarzać ze stosunków gospodarczych typ społecznej kultury duchowej (241). Miejsce historji wśród nauk jest dość poczesne: historja i socjologja są to dwie nauki syntetyczne. Pod socjologją zresztą rozumie autor raczej filozofję historji. Stosunek wzajemny socjologji i historji jest następujący: socjologja wskazuje historji punkt widzenia, np. że formy państwa zależą od form gospodarczych: historja ma dać na

to dowody. Ten punkt widzenia, dany przez socjologję, nazywa autor metodą — chodzi tu raczej o założenia filozoficzne (4—6). Metoda historji polega na rozpatrywaniu zjawisk jako zmiennych historycznie przejściowych (61—2).

W gruncie rzeczy historja u Bucharina spada do rzędu nauk pomocniczych nawet nie socjologji, a historjozofji; na objektywną prawdę niema tu miejsca. Zresztą według marksistów objektywizm nie istnieje w nauce. Historja staje się więc narzędziem i sługą polityki. Nawet samo metodyczne założenie — badania faktów jako zmiennych i to zawsze — narzuca historji obowiązek odtrącania tego, co ma charakter stały w dziejach (nie wyłączając zresztą walki!). Bucharin podkreśla wyższość nauki proletarjackiej opartej na zasadzie „panta rhei" nad nauką burżuazyjną (4). Samo to założenie z punktu widzenia tomizmu musi być odrzucone: w człowieku są pewne czynniki stałe, niezmienne w ciągu wieków i zasada powszechnej zmienności dotyczy tylko przypadłości. Historja oparta na zasadzie Bucharina nie da prawdziwego obrazu przeszłości. Natomiast zupełnem nonsensem jest próba odtwarzania duchowego typu społeczności ze stosunków gospodarczych lub też typu gospodarczego ze sztuki i kultury. Typ duchowy jest czemś nieuchwytnem, rekonstruowanem hipotetycznie na podstawie skąpych źródeł. Najczęściej wiele stron życia stoi pod znakiem zapytania i luki są uzupełniane znakami algebraicznemi. Tu Bucharin chce wprowadzić nowy znak algebraiczny w postaci pojęcia ekonomicznych źródeł typu kultury. Jest to założenie a priori któremu przeczy wszystko to, co wiemy o powstawaniu climaxu.

2) Prawa dziejowe są zagadnieniem w nauce historycznej przebrzmiałem. Bucharin stwierdza istnienie prawidłowości zarówno w przyrodzie, jak i w życiu społecznem. Poglądów przeciwników wcale nie zwalcza (10—11). Jeżeli związek między zjawiskami jest stały — mamy do czynienia z prawem (20). Oczywiście przyczyna przyczyn jest ekonomiczna (103). Prawa dziejowe nie są wyłącznie empiryczne i są ze sobą powiązane (40). Można na ich podstawie przepowiedzieć wypadki, ale jeszcze nauka nie postąpiła na tyle, by określić ich czas lub wyrazić w liczbach.

Poglądy te, jak to zarzuca Bucharin ogromnej większości uczonych burżuazyjnych, nie opierają się „na wynajdowaniu tej prawidłowości, która istnieje objektywnie, lecz na stwarzaniu prawidłowości ludzkim rozumem" (10). Autor sam popełnia ten błąd. Historja nie wykazuje wszędzie przyczynowości objektywnej, żadnych praw nie zdołano ustalić. Przyczynowość w historji jest truizmem, który niczego nie tłumaczy i niczego nie przesądza. Przepowiednie dziejowe najczęściej są pomyłkami, choćby przepowiednie Marxa. Jeżeli zaś dotychczas nie udało się posunąć materjalizmu dziejowego na tyle, by przepowiadać według jego praw wypadki w czasie i wyrażać je w liczbach, to nadzieje na postęp w przyszłości są złudne.

W związku z teorją praw dziejowych zastanawia się Bucharin nad przypadkiem, który trafnie określa jako wynik nieznanych przyczyn (34).

Katastrofy mają odbywać się co pewien czas w historji, dowody na to czerpie autor z teorji aktu i potencji (70—74).

Bucharin podnosi istnienie zjawisk żywiołowych w społeczeństwie niezorganizowanem czyli kapitalistycznem. Jest to wynik woli większości, żywioł ten panuje nad ludźmi i ponosi ich (28—30). Pojęcie żywiołu jest zdaniem naszem znakiem algebraicznym na nieznane i dla obserwatora nieuchwytne zjawisko, wobec którego jest bezradny. Najczęściej chodzi tu o wystąpienia tłumu, gdzie dominują uczucia. Jednak w historji wystąpienia tłumu, które mają decydujące znaczenie, są wyjątkiem a większość doniosłych wydarzeń jest skutkiem świadomych działań.

W teorji Marxa i jego uczniów występuje często pojęcie konieczności dziejowej. Bucharin wyjaśnia dokładnie to pojęcie: nie chodzi wcale o fatalizm, który jest przez autora zwalczany (41—42), ale poprostu koniecznością dziejową nazywa się to, co wypływa z określonych przyczyn. Konieczne jest to, do czego istnieją dostateczne przyczyny. Niezbędny warunek nazywa się koniecznością dziejową. Marx i Engels stale tę metodę stosowali, na niej zbudowany jest „Kapitał". Wynajdywanie „niezbędnego warunku" czy „konieczności dziejowej" odbywa się w ten sposób, że bierze się fakt i wyszukuje się do niego na podsta-

wie innych faktów lub przypuszczeń dostateczną przyczynę. Np. jaka była konieczność dziejowa zniesienia poddaństwa w Rosji? W gruncie rzeczy nie było żadnej konieczności, przyczyną były prądy liberalne, współczucie dla ludu etc., a szlachta temu się opierała. Bucharin zato wynajduje przyczynę dostateczną z dziedziny ekonomji: bez zniesienia poddaństwa nie mógł rozwijać się kapitalizm. Ta dostateczna przyczyna, w źródłach nie poświadczona, jest koniecznością dziejową. Wynajdywanie konieczności dziejowej dokonuje się metodą racjonalistyczną, do faktu dorabia się „dostateczną" przyczynę, nie badając empirycznie genezy wydarzenia (38). Uwagi Bucharina o znaczeniu tej metody w dziełach Marxa i Engelsa wyjaśniają ciekawy związek między tymi myślicielami a racjonalizmem Woltera i Russa. Rozumiejąc, na czem polega „konieczność dziejowa" odrzuca Bucharin wszelki fatalizm — nie należy więc czekać na nieuchronne wydadarzenia (41).

Rolę idei w dziejach Bucharin pomniejsza. Zdanie, że poglądy rządzą światem, odrzuca (50). Idee powstają z pragnień klas (219), ideologja społeczna jest to system uczuć, myśli i prawideł postępowania, gdy te same zjawiska mało usystematyzowane stanowią psychologję społeczną (211). Ideologja to skrzepy psychologji społecznej, niezawsze zgodnej z interesem (219). Idee to wytwory społeczne, choć wytwarzanie ich nie jest pracą materjalną (221). Jednak ideologja jest obręczą, spajającą społeczeństwo (266), zgęszczeniem jej są dzieła, sztuki i książki (283—4). Ideologja czasem wpływa na ekonomję (276).

Wynika z tego, że Bucharin uznaje rolę idei i wpływ ich na dzieje, aczkolwiek nie przyznaje im wyłącznego tworzenia biegu wydarzeń. Jest to stanowisko zgodne z objektywnym sądem rozumu i powszechną opinją uczonych. Samo jednak wytłumaczenie, czem są idee, wyrasta z materjalizmu i ma na celu walkę z wszelkim idealizmem.

Bucharin wprowadza pojęcie panującej psychologji, climaxu w poszczególnych klasach. Wynika on nie tylko z interesu, ale z ogólnych warunków i położenia klasy (214—8). Ów climax nazwany jest też stylem epoki, przyczem autor zestawia styl w ekonomji ze stylem w ideologji (237—8).

Ponieważ są różne idee u różnych klas, decyduje duch życia gospodarczego (według Sombarta 242). Jest to stanowisko częściowo słuszne, poszczególne grupy ludzkie różnią się poglądami i obyczajami, lecz te poglądy różne w poszczególnych grupach dotyczą zwykle spraw drugorzędnych, względnie zastosowań, a roli decydującej w życiu społeczeństw zwykle nie grają. Natomiast istnieje ogólny climax całego społecznego życia w pewnych epokach, sam przez się niepoznawalny ani w poszczególnych jednostkach, ani też okolicach. Istotę jego zbadać można przez rozpatrzenie podstawowych idei danej epoki, zawartych w pismach i dziełach. Idee te są źródłem climaxu, same zaś są wynikiem pracy władz poznawczych umysłów ludzkich i obok pewnych prawd lub błędów zawierają sądy wartościowujące. Nie idee wyrastają z climaxu, lecz naodwrót, climax powstaje pod wpływem idei.

Rola jednostki jest u Bucharina znikoma w historji (29, 30). Jednak idee są dziełem jednostek, jednostki dokonują wielkich przemian. Nie można pojmować dziejów jako wyniku prac wielkich ludzi, gdyż jest to indywidualizm zgoła bezpodstawny, ale jednostki wywierają ogromny wpływ na grupy społeczne i przy ich pomocy dokonują wielkich nieraz przemian.

3) Zagadnienie postępu w dziejach związane jest u Bucharina z materjalizmem. Postęp uzależniony jest od techniki, jednak autor nie może sobie dać rady ze starożytnością, gdy technika stała nisko, a przyrodzone życie duchowe nie ustępowało nowożytności (110). Istnieje wzajemna współzależność zjawisk kultury, a więc papiestwo i jego władza, scholastyka, pańszczyzna są ze sobą w ścisłej zależności (125). W okresach zastoju ekonomicznego jest zastój nauk (172—3). Wreszcie jednak Bucharin uznaje, że postęp nauki wcale nie musi zależeć od techniki, jak np. w Grecji (191—2). Jest to zaprzeczenie nauki Marxa. Jednak w odniesieniu do życia gospodarczego i politycznego decyduje element materjalny, to znaczy technika i organizacja (141, 143—5).

W świetle filozofji zdrowego rozsądku postęp istnieje, choć nie można uważać go za cel życia. Istnieje pewien postęp w przyrodzie, aczkolwiek nowsza nauka nie przyjmuje

go ani w rozmiarach teorji darwinizmu, ani teorji ewolucyjnej. W dziedzinie nadprzyrodzonego życia teologja mówi o postępie w życiu religijnem. Stopień tego życia jest w wieczności określony miarą szczęścia w oglądaniu Boga. Istnieje postęp wiedzy, polegający na doskonaleniu metod i rozszerzaniu zakresu wiadomości.

W historji można zauważyć trzy dziedziny życia, w których zachodzić może trojaki rodzaj przemian.

a) Stopniowy, niewidoczny rozwój, który można bez zastrzeżeń nazwać postępem, w 1) w naukach, źródłem czego jest rozwój poznania ludzkiego, 2) w sztuce przez wciąż nowe ujmowanie świata, 3) w udogodnieniach życiowych.

b) Przemiany na złe lub dobre naskutek nagłych zmian przyczem czasem przemiany mają charakter katastrof: 1) ekonomiczne zmiany naskutek wynalazków, udoskonaleń techniki, odkryć, wojen etc. 2) związane z niemi zmiany społeczne (poddaństwo, pańszczyzna, bezrobocie), na charakter tych przemian decydujący wpływ wywierają idee, 3) przemiany narodowe (zagłada Słowiańszczyzny zachodniej). Przemian tych postępem nazwać nie można.

c) W dziedzinie etyki, choć zasadniczo natura ludzka jest niezmienna, zachodzą okresy polepszenia obyczajów lub ich upadku. Zachodzi tu wpływ idei, które rozwijają się według praw logiki i decydują w dziedzinie obyczajów. Stałego jednak postępu zauważyć nie można.

O postępie można więc, jak sądzę mówić a) w dziedzinie nauki, sztuki, b) w dziedzinie obyczajów. Technika uzależniona jest w swoim rozwoju od postępów wiedzy, z tego więc względu nie może odgrywać roli decydującej.

4) Na czem tedy polega oryginalność teorji materjalizmu dziejowego Bucharina poza podkreśleniem roli techniki?

Bucharin szeroko omawia znaczenie „nadbudowy" czyli kultury. Nie uważa on, by czynnik ekonomiczny był jedynie ważny, a inne to piąte koło u wozu. Przeciwnie, nauka i ideologja są równie ważne, jak ekonomja. Tak samo, jak ekskluzywny materjalizm, zostaje przez Bucharina odrzucony taki materjalizm, jaki stworzył Bernstein, a wyznawał bodaj w ostatnich latach swego życia Engels; ekonomiczny czynnik nie jest najważniejszy, jest równie ważny, jak wszyst-

kie inne (231—2). Bucharin nie odrzuca czynników niematerjalnych, tylko je tłumaczy, to znaczy daje im takie uzasadnienie, które popiera integralny ateizm. Ideologja może oddziaływać na życie ekonomiczne, zachodzi tu nieustanne oddziaływanie wzajemne (234). Jest to zupełne obalenie teorji materjalizmu dziejowego: czynnik ekonomiczny nie jest podstawowym, ani najważniejszym, jest jednym z wielu czynników w życiu ludzkiem. Na tem stanowisku stoi większość nauki niesocjalistycznej, jak to pisze sam autor. Cóż więc stanie się z teorją Marxa? Czy Bucharin nie zburzył własnemi rękoma tego, co stawiał na stronach poprzednich? Postawiwszy te pytania czytelnikowi, wyjaśnia Bucharin istotę materjalizmu dziejowego: wszystko odbywa się w pewnych ramach, a więc w ramach stosunku między przyrodą a człowiekiem. (235). Jest to materjalizm Feuerbacha; niema nic poza przyrodą i człowiekiem — niema Boga. Zdaniem Bucharina twierdzenie to jest niezachwiane. A tem samem jasne jest, że analiza wychodzić powinna od sił wytwórczych, że nieskończone spółzależności pomiędzy różnemi częściami społeczeństwa nie usuwają zgoła z a s a d n i c z e j (podstawowej) najgłębszej zależności wszystkich zjawisk społecznych od rozwoju sił wytwórczych: że mnogość przyczyn, działających w społeczeństwie, nie przeczy bynajmniej istnieniu j e d n e g o j e d y n e g o z a s a d n i c z e g o p r a w a, k i e r u j ą c e g o r o z w o j e m s p o ł e c z n y m (235—6).

Oto uzasadnienie materjalizmu dziejowego. Po napisaniu 234 stron wywodów obalił sam Bucharin swą teorję, wyznając przytem, że jeśli naukowo wcale udowodnić jej nie można, a przeciwnie, należy ją odrzucić, to on opiera materjalizm dziejowy na ateizmie. Zdaniem jego ten, który odrzuca istnienie świata nadprzyrodzonego czy pozazmysłowego, musi logicznie przyjąć teorję materjalizmu dziejowego.

W tym stosunku do teorji, którą sam Bucharin odrzuca i zarazem wyznaje, dopatrzeć się można oportunistycznego cynizmu, ale tkwi w nim pewna wzniosłość. Bucharin wchodzi tu na wyżyny metafizyki, ujęcie jego jest czysto religijnem, jest to rodzaj materjalistycznego *credo quia absurdum*. Należy tedy przeciwstawić jego ujęciu dziejów słowa Carlyle'a, że historyk może *at most, in reverent Faith,*

far different from that teaching of Philosophy pause over the mysterious vestiges of Him, whose path is in the great deep of Time, whom History indeed reveals, but only all History and in Eternity will clearly reveal.[1]) Lecz to nie należy do nauki, zwanej historją.

[1]) o. c. str. 352.

Karol Górski
(*Poznań*)

Biskupi polskiego Renesansu jako opiekunowie kultury.

Epoka renesansu i humanizmu, nawiązująca tak silnie do starożytności klasycznej, wznowiła między innemi również instytucję t. zw. mecenatu kulturalnego, t. j. opieki, roztaczanej przez możnych nad wielką dziedziną kultury duchowej i jej twórców.[1])

Odżyły wówczas świetne, w blaskach skąpane tradycje mecenasowskie Grecji i Rzymu, szczególnie Rzymu epoki Augustowskiej, a między wpływowymi patronami i światem ich klientów wytworzyła się ta piękna oscylacja, te idealne często (chociaż niezawsze) węzły, którym kultura tych czasów zawdzięcza w znacznej mierze swój rozkwit i swoje niepospolite dzieła.

Renesansowy mecenat rozwinął się naprzód i przedewszystkiem we Włoszech; tutaj wykształciła się teorja i praktyka takiego protektoratu, tu zaistniały najważniejsze jego pierwowzory, naśladowane później przez narody zaalpejskie. Podjęły się zaś we Włoszech tej misji opiekuńczej trzy sfery: władcy i panowie świeccy, papieże i dostojnicy Kościoła, wreszcie republiki włoskie, t. j. potężny i światły patrycjat miejski.

O mecenacie świeckim nie będziemy tutaj mówić. Wiadomo przecież, że począwszy od króla Roberta neapolitańskiego z XIV w., protektora Petrarki, nie było ani jednego niemal księcia włoskiego, któryby nie patronował kulturze,

[1]) Zagadnieniu „mecenatu kulturalnego", jego genezy, rozwoju i techniki poświęciłem rozprawę p. t. „Mecenat kulturalny w Polsce (Problem i postulaty)". Kraków 1928.

nie miał swego dworu literacko-artystycznego, nie zaznaczył się w dziejach umysłowości dziełami wartościowemi, wyrosłemi z jego inicjatywy. Za książętami udzielnymi szli ich doradcy, wysocy urzędnicy, kondotjerzy i można szlachta.

Wśród republik — rzecz to nadto dobrze znana — prawdziwą epokę w tym kierunku stworzyła Florencja z kupiecko-bankierską rodziną Medyceuszów na czele, a do wyścigu z nią stanęły niebawem: Wenecja, Genua i mniejsze, niezawisłe państewka italskie.

Osobną, wielką kartę w dziejach renesansu posiada opiekuństwo kulturalne papieży i dostojników Kościoła rzymskiego.

Na genezę jego złożyło się momentów kilka: z jednej strony działała potężna tradycja Kościoła średniowiecznego, który przez kilkaset lat dzierżył w swych dłoniach opiekę nad rozległemi obszarami wszelkiej pracy duchowej i tej swojej domeny żadną miarą nie myślał się zrzekać; z drugiej strony odzywało się we władcach Kościoła rzymskiego — podobnie jak w cesarzach rzymskich niemieckiego narodu — poczucie dziedzictwa po sławnem imperjum rzymskiem, po tych jego przedstawicielach, którzy opiekę nad kulturą poczytywali za nieodłączny atrybut władzy cesarskiej i za naturalny swój obowiązek.

Pamiętać wreszcie należy i o trzecim momencie. W chwili, gdy wśród narodów Południa i Zachodu zaczyna świtać renesans, gdy zwolna wynurza się ze średniowiecza ta stanowcza odmiana życia i poglądu na świat, którą nazywamy „Odrodzeniem“ — wówczas Kościół i niepospolite jednostki, rządzące Kościołem, chwytają szybko inicjatywę w swe dłonie, przynajmniej w pewnych dziedzinach, i stają w rzędzie pierwszych opiekunów nowego kierunku.

Już dwór i kancelarja ostatnich papieży awinjońskich ma pod tym względem niemałe znaczenie; dopiero jednak wiek XV-ty, doba potężnych ruchów kościelnych i soborów, staje się okresem właściwego powołania i krystalizowania się renesansowego opiekuństwa papieży.

Inicjatorem tej nowej roli papiestwa jest Marcin V, papież konstancki, a najwybitniejszymi przedstawicielami wielkiej akcji mecenasowskiej — Mikołaj V Parentucelli i Enea

Silvio Piccolomini t. j. Pius II. Za nimi pójdzie cały imponujący szereg papieży renesansowych XV i XVI wieku, z takiemi osobistościami, jak Sykstus IV, Juljusz II, Leon X.

Przykład papieży pociągnie za sobą dalsze warstwy wysokiego duchowieństwa, wykształconego w nowym duchu, wychowanego w atmosferze budzących się nowych pragnień i aspiracyj. Niby dalsze odgałęzienie mecenatu papieży wyrobi się więc, już w XV wieku, wielostronny mecenat kardynałów, biskupów i wyższego duchowieństwa, przedewszystkiem świeckiego. Wśród patronów różnych sfer twórczości i kultury wystąpią w purpurę odziane postacie Colonnów i Orsinich, Medicich i Bessarjonów, Zabarellów, Cesarinich i Brandów.

A zaszlibyśmy już stanowczo zadaleko, gdybyśmy chcieli wymieniać, choćby w wyborze, owych biskupów Włoch i Francji, Niemiec i Anglji, Niderlandów i krajów pirenejskich, którzy tworzą w epoce renesansu jakby jedną, ogromną rodzinę wielbicieli i orędowników nowego kierunku.

W dziejach umysłowości i oświaty każdego z tych krajów działalność ówczesnego episkopatu i wyższego duchowieństwa stanowi moment ważny i bogaty.

Jakżeż ta sprawa przedstawiała się w Polsce?

Rola duchowieństwa w historji kultury średniowiecznej Polski była — jak wiadomo — niezwykle doniosła, poprostu przewodnicza, i to w stopniu znacznie wyższym, aniżeli u narodów zachodnich, które posiadały równocześnie ugruntowaną kulturę rycerską czy mieszczańską. W Polsce stan duchowny — to przez długie wieki główny, niemal jedyny reprezentant wszelkich dążności na polu oświaty, główny wychowawca narodu, nietylko pod względem religji i moralności, ale i pod względem intelektualnym.

Za wyjątkiem kilku rodów świeckich wielmożów Małopolski i Wielkopolski, mających zczasem pewne kontakty z zagranicą, cała ogromna masa społeczeństwa prowadzona jest wyłącznie przez duchowieństwo i za jego pośrednictwem otrzymuje wszelkie bodźce kulturalne.

Dziwić się tedy nie można, że i w chwili pierwszej recepcji renesansu i humanizmu w Polsce, nie kto inny, tylko duchowni są tych nowych kierunków apostołami i prze-

nosicielami. Przecież w ich rękach jest uniwersytet i szkoły, oni dominują w polityce, dyplomacji i kancelarji królewskiej, oni wyjeżdżają w poselstwach zagranicznych, do Włoch i na sobory, odwiedzają południowe uniwersytety w poszukiwaniu wiedzy teologicznej, kanonistyczno-prawniczej, nawet medycznej.

Z rzędów duchowieństwa — i tylko stąd — wychodzą też u nas, prawie bez wyjątku, wszyscy ci, których dotychczasowi badacze nazywają pierwszymi zwiastunami idei renesansowo-humanistycznych w Polsce: Paweł Włodkowic z Brudzewa, Piotr Wolfram, Jan Długosz, dalej mistrz-medyk i orator, Jan z Ludziska, Grzegorz z Sanoka, Sędziwój Czechel i inni.

Za inicjatora i twórcę polskiego opiekuństwa kulturalnego w duchu nowym, a zarazem za pierwszego w Polsce biskupa-mecenasa uchodzi dotąd Zbigniew Oleśnicki, sławny biskup krakowski i kardynał. Człowiek to jeszcze w całej pełni średniowieczny, ostatni, pełen potęgi przedstawiciel kościelno-politycznego światopoglądu, ale w sprawach kultury wrażliwy już na niektóre idee, idące z Południa, miłośnik nowego stylu łacińskiego i historji, i — mimo całego kultu dla rzeczy swojskich — protektor ludzi obcych. Takie jego czyny, jak opieka nad Uniwersytetem Jagiellońskim, próby reformy tej uczelni, piecza, roztaczana nad dziejopisarską pracą Długosza i nad mistrzami-literatami Jagiellońskiej Wszechnicy, jak założenie wielkiej bursy Jeruzalem w Krakowie, jak wreszcie ciekawa korespondencja z Eneaszem Sylwjuszem Piccolominim, oraz ożywiona działalność budownicza — pasują Oleśnickiego istotnie na patrjarchę całego ruchu mecenasowskiego wśród późniejszych biskupów polskich.

Ten „mecenat" krakowskiego kardynała, ujęty po raz pierwszy świetnie przez ks. Fijałka i Morawskiego w pracach ogólniejszych, zasługiwałby jeszcze na osobne, szczegółowe traktowanie.

Już jednak współcześnie z wielkim Zbigniewem dostrzegamy między episkopatem polskim także innych, niezawisłych od niego, a mających swój własny wyraz i własne, znamienne aspiracje. Zastanawia badaczy oddawna postać Stanisława Ciołka, długoletniego kancelisty Jagiełły,

a później biskupa poznańskiego, postać, jeśli idzie o stronę moralną, z pewnością raczej ujemna, niż dodatnia, bo karjerowiczowska, dworacka, wojująca nieraz jadowitem piórem. A jednak ten sam człowiek wybija się jako stylista kancelaryjny prawie na europejską miarę, jako dzielny uprawiacz literatury retoryczno-formularzowej, jako jednostka, pełna zainteresowań dla historji, dla gromadzenia i redagowania materjałów historycznych; przytem jest niepoślednim poetą łacińskim, zapewne i muzykiem.[1])

Albo taki Grzegorz z Sanoka, uważany do niedawna za pierwszego polskiego humanistę i człowieka Renesansu. Znamy tego arcybiskupa lwowskiego głównie z olśniewającej biografji Włocha Kallimacha, znamy właściwie tylko odbicie jego życia i osobowości w idealnem zwierciedle, skonstruowanem przez obcego chwalcę; a przecież — mimo, iż ks. prof. Fijałek spędził Grzegorza z piedestału na rzecz Jana z Ludziska — dadzą się z tej biografji Kallimachowej wydobyć dla Grzegorza z Sanoka pewne rysy niemylne. Arcybiskup lwowski — to niewątpliwie w życiu swem człowiek przełomu z pewną rozterką w duszy i jakby naznaczony pewną rysą wyraźną na swem moralnem obliczu. Równocześnie jednak uderzają w nim cechy dodatnie: jest doskonałym rządcą i gospodarzem swojej diecezji, postępowym reformatorem obyczajów kleru i ludu, protektorem szkoły lwowskiej i franciszkańskiej pracy misyjnej; sam człowiek wykształcony ponad zwykłą miarę, piszący, usiłujący (często niezdarnie) naśladować pierwszych humanistów, interesuje się filozofją i literaturą klasyczną, opiekuje się humanistą Kallimachem, zbiera uczone koło w swoim domu i przy swoim stole. Już współcześni pomawiają go o kosmopolityzm, którym nasiąknął w zagranicznych wędrówkach; a jednak jest w tym obrońcy

[1]) Nowe światło, po Zeissbergu i Morawskim, rzucił na tę postać śp. Teodor Tyc w pracy „St. Ciołek a zabytki literackie w formularzach polskich" (zob. tegoż autora „Z dziejów kultury w Polsce średniowiecznej", Poznań 1925. — Tyc przesunął St. Ciołka słusznie bardziej ku średniowieczu, wbrew Morawskiemu, ale też po raz pierwszy pokazał jego „Liber cancellariae..." na tle literatury europejskiej i wyznaczył jej należne w niej miejsce.

Dunajowa biskupiego przed Tatarami, w tym budowniczym zameczków i miasteczek, coś z pierwszego polskiego biskupa-kresowca, typu tak nam dzisiaj bliskiego.

I zasłużył sobie doprawdy Grzegorz z Sanoka na to, aby portret jego wyjąć już raz ze złotych ram Kallimachowych, oczyścić z nalotów i stylizacyj, ale równocześnie i z wrogich sugestyj nowszych badaczy, i ukazać nam tego człowieka takim, jakim był w rzeczywistości. Dla kultury ziem naszych, południowo-wschodnich, — tak mówi tradycja tutejsza — rola jego nie była bez znaczenia. Nowa praca o Grzegorzu z Sanoka, oparta o poszukiwanie nowych źródeł i o krytyczny rozbiór biografji Kallimachowej jest, wedle mego zdania, postulatem dużej wagi.

Piękny przykład pracy kulturalnej kardynała Zbigniewa wydaje owoce już w wieku XV-tym. Ciążenie bogatej indywidualności jego nad potomnymi było tak silne, że starano się naśladować go na innych polach, skoro nie można było czynić tego w polityce. A dało się to tem łatwiej uskutecznić, że w drugiej połowie XV-go stulecia, episkopat polski rekrutuje się już coraz częściej z ludzi wykształconych zagranicą, z Padewczyków i Bolończyków, wracających do kraju z nowemi zamiłowaniami i ożywionych chęcią działania.

W gronie biskupów czasu Kazimierza Jagiellończyka i jego starszych synów spotykamy kilka takich postaci: W ślady wielkiego Zbigniewa usiłuje wstąpić przedewszystkiem bratanek jego, Zbigniew Oleśnicki II, arcybiskup gnieźnieński i podkanclerzy królestwa, żyjący w zażyłości z Kallimachem, który jest jego zaufanym współpracownikiem politycznym. Biskupami o humanistycznym zakroju, a przeważnie dworskim typie będą tacy ludzie, jak bp. Gruszczyński, arcybp. Jakób z Sienna, interesujący się sztuką, Władysław Oporowski, wysyłający swych synowców do Londynu i Włoch, czy biskup-nominat kujawski, Mikołaj Lasocki, co to w Rzymie uchodzi za Rzymianina, a wspomaga głośnego Guarina z Werony i śle mu młodzież polską do jego cyceronjańskiej szkoły w Ferrarze.

W humanistycznem towarzystwie literackiem, w t. zw. *Sodalitas Vistulana*, założonej w Krakowie przy końcu wieku przez Kallimacha i Celtisa, gdzie czytano Platona, poetów

rzymskich i historyków włoskich, odnalazł ks. prof. Fijałek, badacz przenikliwy tych czasów, dwóch późniejszych arcybiskupów lwowskich, Andrzeja Różę Boryszewskiego i Bernarda Wilczka. Tworzy się — jak widzimy — już nowe pokolenie duchownych, o innym, niż do niedawna, typie umysłowości, a ludzie ci pójdą potem po diecezjach i działać będą po myśli nowych haseł epoki [1]). U przełomu XV i XVI w. zaznaczą się szczególnie trzy takie osobistości, co do których wiadomości nasze są obfitsze, niż przy innych wymienionych powyżej. Wszystkie trzy, związane znowu z osobą Kallimacha, tego prawdziwego wychowawcy pierwszych ludzi polskiego Odrodzenia. Na biskupim tronie krakowskim siedzi wówczas syn królewski, Fryderyk Jagiellończyk, nieodrodny wychowanek swego włoskiego mistrza, człowiek targany namiętnościami wieku, ale czynny na polu kultury. Do niego to woła Uniwersytet Jagielloński o pomoc i opiekę w ciężkich swoich chwilach, na jego dworze tworzy się pierwsze wyraźne koło humanistów: teologów, stylistów, medyków, profesorów, zostające w ścisłem porozumieniu z drugiem takiem kołem na braterskim dworze Jana Olbrachta.

Z otoczenia przedwcześnie zmarłego Fryderyka wychodzą ci polscy biskupi, którzy w początkach następnego stulecia mieli ugruntować mecenat wyższego kleru polskiego [2]). Obok Fryderyka-kardynała, dwaj inni reprezentanci episkopatu: jeden to Piotr Bniński [3]), biskup kujawski, bliski św. Kazimierzowi Jagiellończykowi, a protektor i przyjaciel Kallimacha; ten to biskup, którego Kallimach bardzo śmiało porównywał z Lorenzem Medici, interesuje się gorliwie historją, stawiając jej już nowożytne postulaty, a Kallimacha

[1]) Mikołaj Lasocki, do którego życia i działalności istnieje trochę przyczynków (Fijałek, Morawski, Brüstigerowa — wydanie listów) zasługuje na osobny szkic biograficzny. — Podobnie wartoby się zająć obu wymienionymi biskupami lwowskimi, o których dość liczne, nieskoordynowane wzmianki rozrzucone są w różnych pracach o Lwowie.

[2]) Fryderyka Jagiellończyka w ciekawem świetle ukazuje obecnie znakomite wydanie Fr. Pappéego: „Acta Alexandri regis"".

[3]) Postać Bnińskiego — właśnie w zestawieniu z kilku niezwykłemi wzmiankami o nim (zob. Ciampi. „Bibliogr. Crit.", i inne) — godna jest bliższego zbadania.

nakłania do pisania dziejów Polski, wpływa na jego twórczość, za co wdzięczny Włoch stawia mu po zgonie piękny pomnik we Włocławku.

Drugi — to Maciej Drzewicki, który zapowiadał się świetnie, chociaż w dalszym, długim żywocie swoim może tych nadziei nie ziścił; ulubiony wychowanek Kallimacha, jak syn-jedynak idzie za jego trumną, redaguje jego poezje, koresponduje z Wawrzyńcem Wspaniałym i renesansistami włoskimi, bierze udział w tych sympozjonach literackich, które Włosi i Niemcy urządzają w ogrodach krakowskich; wartoby zbadać, jak później, jako rządca kilku diecezyj, a wkońcu prymas, działał na swoich stanowiskach, o ile interesował się sprawami kultury i oświaty, o których śnił w młodości sny takie górne. Bo tak się jakoś dziwnie uciszył, będąc jeszcze w sile wieku swego [1]).

Mówiąc o roli kulturalnej episkopatu w XV w., w okresie pierwszych świtów renesansu polskiego, mieliśmy do czynienia — mimo wszystko tylko z jednostkami, chociaż dosyć licznemi. Jeślibyśmy szukali w tym wieku jakichś linij wytycznych, jakiegoś konsekwentnego działania na pewnym terenie, to znajdziemy jedną taką linję napewno: tradycję mecenasowską episkopatu krakowskiego, która od Oleśnickiego idzie aż ku końcowi stulecia.

Na podtrzymanie jej i rozwój wpływają — prócz czynników wymienionych — także: rola biskupów krakowskich, jako kanclerzy uniwersytetu, wpływ stołecznego Krakowa i atmosfera dworu królewskiego, wreszcie częstsza, niż gdzieindziej, styczność z ludźmi zagranicy i z prądami, przychodzącemi z Zachodu.

Obraz rozległej, upowszechnionej i jakby już zorganizowanej działalności polskich biskupów na polu kultury duchowej przedstawia dopiero wiek XVI-ty, ów prawdziwy wiek Polski renesansowej.

Sama idea przeszła z stulecia poprzedniego, przeniesiona przez kilka jednostek wybitnych, jak Lubrański, To-

[1]) Monografja o Macieju Drzewickim opracowana została w Seminarjum historji kultury polsk. prof. Stanisława Kota, w Krakowie. — „Acta Alexandri" Pappéego przynoszą także do początków Drzewickiego cenny materjał.

micki, Konarski Jan czy Erazm Ciołek, wychowankowie dworów Fryderyka, Olbrachta i Aleksandra. Rozkwit jej jednak i ustalenie się na tak znaczną skalę dokonały się, dzięki wpływom różnorodnym, często zmiennym, zależnie od biegu lat i danego momentu dziejowego [1]). Renesans znajduje się wtedy zagranicą u swoich szczytów, w tej bogatej, świetnej pełni, która zapowiada już bliskość przekwitania. Zainteresowanie dla spraw kulturalnych opanowało elitę wszystkich narodów Europy, wchodząc coraz głębiej w krew całego życia publicznego i umysłowego. Mecenat papieży i kardynałów roztacza największe swoje blaski, stwarza znakomite dzieła.

W Polsce renesansowe dwory obu Zygmuntów i Bony, potem Batorego, stają się ogniskami ważnych poczynań kulturalnych; teraz dopiero powstaje u nas prawdziwy mecenat królewski, popierający czynnie tych, co się do niego garną. Wyjazdy zagranicę, do uniwersytetów czy dla poznania świata, mnożą się z każdym rokiem, osiągając około 1570 r. swój punkt najwyższy. Do rywalizacji z dworem królewskim na polu popierania kultury porywa się teraz i żywioł świecki: magnaterja i bogate, wpływowe mieszczaństwo. Wszystko to musiało oddziaływać pobudzająco na wyższy kler, którego dostojeństwo i potęga materjalna rośnie tymczasem i wznieca ambicję odznaczania się i przewodzenia w każdej dziedzinie społecznego życia.

Potem dołączają się i inne względy. Z chwilą rozszerzenia się w Polsce reformacji religijnej, prowadzącej własną propagandę kulturalno-oświatową: na polu szkolnictwa, ruchu wydawniczego i t. d. — duchowieństwo polskie czuje się zniewolone do walki z niebezpieczeństwem, a więc i do działalności pozytywnej, twórczej w kierunku przeciwnym; akcja ta wzmacnia się zwłaszcza od Soboru Trydenckiego, od rozpoczęcia przez Kościół wielkiej kampanji z protestantyzmem oraz systematycznej pracy nad odrodzeniem życia katolickiego i katolickiej oświaty.

---

[1]) Por. rozprawę naszą: „Renesans i humanizm w Polsce" w „Kulturze Staropolskiej" (Kraków 1932) oraz pomieszczoną tamże rozprawę prof. St. Kota: „Polska złotego wieku wobec kultury zachodniej".

Na tem tle powstaje w Polsce specjalny ruch episkopatu naszego, który w dziejach oświaty i umysłowości XVI w. odgrywa znamienną rolę, zasługującą na sprawiedliwą i bezstronną ocenę.

Działalność kulturalna biskupów polskich XVI wieku, świetnie rozbudowana za ostatnich Jagiellonów, umocniona za Batorego, utrzymuje się, chociaż już w ograniczonem do szczególnych celów zakresie działania, jeszcze przez cały ciąg rządów Zygmunta III. Dopiero około połowy XVII w. — pod wpływem przesilenia oświatowego — następuje jej powolny uwiąd i upadek [1]).

Mówiąc o polskich biskupach-mecenasach złotego wieku odróżnić musimy odrazu dwie wielkie grupy.

Pierwsza, sięgająca od początku stulecia mniej więcej po rok 1580-ty — to grupa biskupów-humanistów typu wcześniejszego, owianych gorącem powietrzem renesansu włoskiego, zajmującym względem nowej kultury stanowisko wyznawcze, entuzjastyczne, niekrępowane często żadnemi względami. Wychowani we Włoszech, w promieniach nowych dążeń epoki, zapatrzeni w niedościgłe — jak sądzili — wzory starożytności, przesiąknięci nowemi formami życia, usiłowali oni realizować potem swe zamysły w ojczyźnie, naśladując pod tym względem przykłady obce.

Tworzą ci biskupi na terenie Polski wspaniały szereg pełnych zapału opiekunów kultury, szereg, którego nie po-

[1]) Prof. Kot w pracy „Polska złotego wieku wobec kultury zachodniej" (w „Kulturze Staropolskiej", Kraków 1932, str. 670 nst.) zdaje się utrzymywać, że w Polsce renesansowej nie było wogóle mecenatu. Autor posuwa się tak daleko, że nawet jednemu z rozdziałów swej rozprawy daje tytuł „Brak mecenatu". Twierdzenie takie byłoby niezgodne z najoczywistszemi faktami historycznemi i żadną miarą nie dałoby się utrzymać. Z wywodów prof. Kota wynika jednak, że autor nie neguje właściwie istnienia mecenatu renesansowego w Polsce; stwierdza tylko, że polski mecenat kulturalny nie może iść w porównanie z mecenatem papieży i znakomitych książąt włoskich lub Walezjuszów francuskich, czego trudnoby zaiste nawet od Polski wymagać. Sam prof. Kot wylicza przecież szereg wybitnych mecenasów w Polsce tej doby. Nie zbadawszy widocznie należycie problemu polskiego mecenatu renesansowego w całym jego szerokim zakresie, nie wyznaczywszy mu odpowiedniego miejsca w ogólnym mecenacie epoki, rzuca Szan. autor mocne zaprzeczenie swoje i lekceważące słowa o polskim protektoracie kulturalnym — dość ryzykownie!

wstydziłyby się nawet Włochy, a tembardziej żaden z krajów zachodnich. Na życiu ich widoczna często niejedna skaza, bo może nadto byli ludźmi wedle przykazania renesansowego, i nic ludzkiego nie było im obce; może zbyt silnie odbiły się na niektórych z nich przywary wieku i ambicja wyniosłowana, prywata, chęć użycia świata i jego dóbr doczesnych, skłonność do intryg politycznych, czasem i chwiejność sumienia; zrównoważyli to jednak swoją pożyteczną, a nieraz wprost świetną, pracą około podniesienia poziomu umysłowego w narodzie, około wielkiego siewu oświaty, który i wartościom moralnym wyszedł później na korzyść.

Centralnym terenem działalności tej pierwszej grupy pozostaje dalej Kraków, chociaż teraz już i inne stolice diecezjalne zaczynają wysuwać się z cienia i nabierać własnego wyrazu. U episkopatu krakowskiego zastanawia atoli zarówno ciągłość i konsekwencja działania, jak i szeroki zakrój tej akcji, trwającej przez półtora stulecia bez przerwy.

Przypatrzmy się postaciom tych krakowskich biskupów-mecenasów!

Pierwszy zaraz biskup XVI w., Jan Konarski, zasługuje na uwagę, chociaż nie odznacza się ani zbytnią energją, ani tą siłą przekonania, która cechuje jego następców. Rozpoczyna — jako kanclerz uniwersytetu — upartą walkę o reformę Wszechnicy Jagiellońskiej, w czem popierają go młode żywioły z pośród profesorów i kapituły; co zaś zaciekawia, że walka ta prowadzona jest w cichem porozumieniu z Lubrańskim, biskupem poznańskim, Tomickim, biskupem przemyskim i Drzewickim, biskupem kujawskim, a to dowodzi niedwuznacznie, że istnieje już pewna solidarność działania u biskupów-humanistów. Konarski, mimo opozycji uniwersytetu, nie ustępuje, rzuca nawet klątwę na starszych magistrów, ostatecznie jednak reformy nie przeprowadza, a ze słabych już jego dłoni przejmuje tę ideę następca jego Piotr Tomicki. Jeśli Konarski[1]) uczynił już pewien wyłom w uniwersytecie, wprowadzając tam poetę Rudolfa Agrikolę i popierając reformatorskie dążenia me-

[1]) Konarski, człowiek dwóch stuleci, człowiek przełomu — i jego reforma — zasługuje na osobną biografję. Szczegóły jego życia, osobistości, działania są dotąd dość tajemnicze.

dyka Macieja Miechowity, to Tomicki, najpełniejszy typ polskiego biskupa renesansu, posunie się znacznie dalej. Wykształcony zagranicą, humanista w życiu i przekonaniach, znakomity dyplomata i polityk, pan w każdym calu — wylatuje niepospolitemi swemi zainteresowaniami daleko poza granice kraju. Z rozległą, renesansową republiką uczonych, z Łazarzem Bonamico, Sikkardem, Kochlaeusem, a szczególnie ze sławnym Erazmem z Rotterdamu łączą go ożywione stosunki. Wszakże to Erazm powiedział o Tomickim, że jest jakby przez Boga stworzony dla dobra ludzi i dla korzyści publicznej.

Zakres działalności kulturalnej Tomickiego, którą najdokładniej scharakteryzował biograf jego, Hozjusz — jest tak wielki, tak wszechstronny, że nikt dotąd nie zdobył się u nas na syntetyczne jej przedstawienie, chociaż istna kopalnia szczegółów spoczywa zarówno w „Acta Tomiciana", jak i w innych źródłach współczesnych. Bo Tomicki, mimo nawału prac kanclerskich i biskupich, mimo nierównego usposobienia i słabego zdrowia, nie ograniczał się nigdy w swych aspiracjach mecenasowskich, ale nadawał im lot coraz szerszy. Jako kanclerz uniwersytetu, dąży stale do jego zreformowania, wprowadzając tutaj nietylko doskonałą łacinę, ale także wykłady greki i hebrajszczyzny, a więc wszystkie humanistyczne *tres linguae*, nadto prawo rzymskie.

Na dworze swoim biskupim utrzymuje szkołę pałacową dla swoich krewniaków i magnackich synów, których nauczają tu sami humaniści; młodzież uboższą kształci masowo w kraju, a potem nie szczędzi stypendjów na wysyłanie jej do Italji, ku podziwowi samych Włochów, którzy pytają nieraz, „coby to był za biskup Piotr, co sam jeden na tyle młodzieży łoży ustawicznie a hojnie".

Dba też wielki biskup krakowski o wychowanie intelektualne kleru, popierając tylko wykształconych; jeśli zaś idzie o naukę i literaturę, to niema w ówczesnej Polsce ani jednego wybitniejszego pisarza, ani jednego uczonego, któryby nie pozostawał w stosunkach z Tomickim, nie cieszył się jego opieką, hojnością, protekcją; z jego to ręki wychodzą: Andrzej Krzycki, Dantyszek, Stanisław Hozjusz, Stanisław Górski, aby wymienić tylko kilku najbar-

dziej znanych; także humanistyczny żywioł obcy, włosko-niemiecki, skupia się przy jego boku.

Otacza też Tomickiego wielki dwór literacko-artystyczny, wzór dla tych dworów biskupich, które pojawiać się będą później; płyną ku biskupowi krakowskiemu setki dedykacyj, setki ofiarowanych mu książek, a poeci łacińsko-polscy opiewają jego życie, czyny i śmierć.

Jako kanclerz zyskuje sobie imię ojca i wzoru wszystkich kanclerzy, a listy nietylko jego własne, ale jego urzędników i sekretarzy, należą do najpiękniej pisanych wtedy w Europie. Tomicki tworzy w kancelarji królewskiej prawdziwą pod tym względem szkołę.

Jak opiekuje się nauką i literaturą, medycyną i astronomją, tak też liczne węzły łączą go z dziedziną sztuki; świadczy o nich wspaniała kaplica i grobowiec Tomickiego na Wawelu, świadczy fakt, że — jak to wykazał Tomkowicz — na jego usługach pozostają: Bartłomiej Berecci, Gian Marja Padovano, Hans Vischer a może i Hans Dürer, nie mówiąc już o artystach polskich.

Przykład Tomickiego działał na dalsze czasy, jak niegdyś przykład Oleśnickiego na wiek XV. Słusznie powiedział o nim Morawski, że „gasił światła, które były gromnicami umierających wieków, a zapalał nowe, które miały być jutrzenką i świtem".[1]) Po Tomickim zabłysł na krótko, jak jasny meteor, na krakowskim tronie, Jan Chojeński, opiekun uczonych i uczącej się młodzieży, wspominany potem długo, jako mąż wyjątkowy i mecenas najszczęśliwszy.[2])

Przychodzi potem Piotr Gamrat, którego postać, okryta cieniami zausznictwa Bony, lekkomyślności i swobod-

[1]) Monografja historyczno-kulturalna o Tomickim jest oddawna postulatem wagi pierwszorzędnej dla historji mecenatu polskiego. Materjałów do niej jest obfitość wielka. Praca taka wyjaśni wiele kwestyj dotąd niezbadanych, uzasadni lub usunie wiele twierdzeń, powtarzanych dotąd — od książki do książki — w charakterze *loci communes*. Nad monografją taką pracuje się w Instytucie historji oświaty i szkolnictwa we Lwowie pod kierunkiem autora niniejszego artykułu, który od lat zbierał do niej materjały. Zupełnie odrębnie przygotowuje podobno taką pracę prof. Kazimierz Hartleb we Lwowie.

[2]) Także praca o biskupie Janie Chojeńskim i jego mecenacie jest przygotowywana obecnie we Lwowie przez jedną z młodszych sił naukowych.

nego życia, doczekała się niedawno pewnej rehabilitacji w pracy Kazim. Hartleba, czytanej w „Lwowskiem Towarzystwie Naukowem". Próbuje się dzisiaj bronić Gamrata, wydobywać z iście renesansowej postaci tego biskupa-dworaka rysy dodatnie, nie zaprzeczając bynajmniej rysom ujemnym; wszakże ten sam, osławiony przez St. Górskiego i innych, Gamrat, zabiega gorliwie o podniesienie uniwersytetu krak., popiera zwłaszcza studjum prawa rzymskiego, ściąga do Polski sławnego Rojzjusza Hiszpana, prawnika i poetę; on to na głośnym synodzie swoim z r. 1542 nawołuje episkopat polski, jako prymas, do stałej, unormowanej pomocy finansowej dla uniwersytetu w celu odświeżenia go nowemi siłami, a uchwała tego synodu, długo niespełniana, zawisa przez kilkadziesiąt lat XVI wieku jako memento i jako wyrzut sumienia nad biskupami polskimi.

Ciekawie kontrastuje z Gamratem następca jego Samuel Maciejowski, ów „Sokrates polski", jak go nazywa Górnicki, po Tomickim najsympatyczniejszy przedstawiciel biskupiego mecenatu w tem stuleciu. Dwór krakowski Maciejowskiego i jego letnia rezydencja w Prądniku stają się, około połowy wieku, w samym zenicie polskiego renesansu, ostoją życia intelektualnego kół humanistycznych. Atmosferę wykwintną, prawie południową, tego dworu przedstawił nam Górnickiego „Dworzanin Polski", którego akcja odgrywa się w Prądniku, niby w jakiemś polskiem Urbino czy Ferrarze. W stosunku do uniwersytetu jest kanclerz Maciejowski, wykształcony kaznodzieja, miłośnik języka narodowego, kontynuatorem zamysłów Tomickiego. Sprowadza do Krakowa obcych uczonych, każąc Illicynowi Włochowi wykładać grekę, a Stankarowi hebrajszczyznę, i przyczynia się walnie do tego, że za jego rządów Szkoła Jagiellońska na krótko ożywionym zapłonęła blaskiem. A jeśli po zgonie Maciejowskiego kapituła krakowska stawia na synodzie piotrkowskim wniosek, aby biskupi i kapituły kształciły wszędzie swoim kosztem młodzież, a potem wysyłały ją do Włoch i Francji, — to wystąpienie to jest napewno owocem posiewu biskupa Samuela.[1])

[1]) W Instytucie historji oświaty i szkol. Uniw. Lwow. opracowała rzecz o mecenacie rodziny Maciejowskich (Samuel, Stanisław,

Nie możemy wdawać się w coraz obfitsze szczegóły. Przypomnijmy więc tylko, że następca Maciejowskiego Andrzej Radwan Zebrzydowski,[1]) uczeń wielkiego Erazma z Rotterdamu i Anglika Coxa, ma także swoją niepoślednią kartę w historji kultury i mecenatu. Uczony i pełen zainteresowań naukowych, wymienia myśli z humanistami zagranicznymi, wychowuje i kształci największego filologa polskiego XVI wieku, Andrzeja Patrycego Nideckiego, późniejszego biskupa wendeńskiego na Żmudzi, opiekuje się Orzechowskim, Górnickim, Mariciusem, Benedyktem z Koźmina, nawet Lismaninem; otacza się w Krakowie ludźmi polskimi i obcymi, reprezentującymi nowe elementy w dziedzinie życia umysłowego. Nie jest postacią tak dodatnią, jak Tomicki lub Maciejowski, ale dziedzictwo po nich podtrzymuje godnie i z powagą.

Dwaj następni władcy stolicy krakowskiej, Filip Padniewski i Piotr Myszkowski, zachowali się w pamięci potomnych choćby dzięki tym pięknym strofom, które poświęcił im Jan z Czarnolasu. Dwór Padniewskiego żyje wszystkiemi swemi drgnieniami we „Fraszkach" i „Foricoeniach" Kochanowskiego, tak samo jak w łacińskiej muzie Piotra Rojzjusza; Myszkowskiemu postawił Kochanowski najgodniejszy pomnik w prześlicznej dedykacji „Psalterza", gdzie w słowach szczerech i nieudanych sławi tego biskupa, jako najlepszego i najbardziej rozumiejącego ze swoich mecenasów.

Padniewski, wychowanek Włoch, sam pisarz i autor biograficznych elogjów na wzór Pawła Jowjusza, świetny i wykwintny stylista, umarł dość młodo, owiany zawsze tą samą harmonją i pogodą renesansowego człowieka; Mysz-

Bernard, niewiasty), p. Dr Amelja Dicianówna. Kilka rozdziałów tej pracy ukaże się niebawem w druku.

[1]) Praca Troskolańskiego o Zebrzydowskim (wydana w r. 1899 nst.) zajmuje się stosunkowo bardzo mało jego działalnością kulturalno-mecenasowską. Pozatem, jest ona już dzisiaj wogóle niewystarczającą. Ciekawie, chociaż krótko, oświetlił tę stronę Kaz. Morawski w monografji o „A. P. Nideckim", (Kraków 1892). Należytego wyzyskania domaga się przedewszystkiem obszerna „Korespondencja Zebrzydowskiego" (Epistolae Andr. Zebrzydowski, wyd. Wisłocki), dalej dedykacje i liczne wzmianki współczesne.

kowski żył długo, zdziwaczał i zasklepił się na starość, oddany obok spraw kościelnych gromadzeniu majątku dla swoich nepotów. W pełni swoich lat i rządów biskupich, obaj ci książęta Kościoła położyli atoli wielkie zasługi dla kultury umysłowej Polski, a dwory ich były ogniskami życia renesansowego i dążności humanistycznych. „Tak się to książę w uczonych ludziach kochało" — pisze jeden ze współczesnych autorów o Padniewskim — „że i jurgielty od niego wielkie miewali, i nietylko u stołu, ale niemal ustawicznie przy nim bywali. Siedział z senatorami i rycerstwem u stołu jego wielki on Sokołowski, Górski, Patrycy, Novicampianus, Benedykt Herbest, Stanisław Zawadzki Picus, mówca we wszystkiej Europie wtedy barzo sławny. Tutaj o tajemnicach niebieskich, to o Rzeczypospolitej dyskursy rozmaite wnoszą, tak że drugi owych mędrców Korony Polskiej raczej słuchać, niźli jeść wolał. Z nim do Bożęcina, by do Tusculum, roku każdego jeździli; tedy swoją bibljotekę dziwnie bogatą mając, pospołu się przez kilka niedziel greckich i łacińskich rzeczy pilnym czytaniem i o nich dysputowaniem zabawiali."

Ze starością Myszkowskiego[1]) załamuje się jednak jednolita dotąd, pełno-renesansowa linja protektoratu kulturalnego biskupów krakowskich. Ci, co po nim przyjdą, będą należeli już do grupy drugiej.

Nie sam Kraków jednak wypełnia w XVI w. kartę zasług episkopatu polskiego w dziedzinie kultury. Przeciwnie, możnaby nakreślić całą mapę tej działalności, obejmującą wszystkie ważniejsze diecezje państwa polsko-litewskiego, i na tej mapie pooznaczać odpowiednio nasilenie i długotrwałość wysiłków episkopatu, idących w tym kierunku. Najsilniejszemi po Krakowie barwami zagrałaby wtedy arcy-

[1]) Osobnej pracy o mecenacie Padniewskiego dotąd nie wydano. Opracował ją w moim Instytucie p. J. Nester z Lublina, lecz rzecz ta zalega dotąd w rękopisie. — O protektoracie kulturalnym Myszkowskiego na tle jego życia napisał obszerniejszą rozprawę uczeń mój i asystent, dr. Łucjan Kurdybacha, wyzyskawszy w tym celu obszerny materjał rękopiśmienny (między innemi i „Dziennik" Myszkowskiego, który ukaże się osobno w najbliższym numerze „Kwartalnika histor."). Praca dra Kurdybachy będzie niebawem wydana drukiem.

biskupia metropolja gnieźnieńska, podtrzymująca i na tem polu poczucie swego prymatu; za nią poszłaby zkolei stolica poznańska, dalej kujawsko-włocławska i płocka, wreszcie arcybiskupia lwowska. Odrębną a charakterystyczną fizjognomję ukazałaby stolica warmińska. Z honorem wyszedłby bliski Lwowowi Przemyśl, a nawet mniejsze diecezje jak Chełmno, Chełm czy Łuck.

Nie trzymając się wspomnianego podziału, który zaprowadziłby nas do szczegółów, zwrócimy się znowu do osobistości.

W Gnieźnie w początkach XVI w. zasiada na stolicy arcybiskupiej Jan Łaski, człowiek o obliczu odmiennem od wspomnianych biskupów renesansowych, potężny rywal Tomickiego, zwolennik kierunku narodowego w polityce, bojownik reformy Kościoła i życia duchownych, mąż stanu o olbrzymim na swój czas autorytecie. W historji kultury polskiej ma on niepoślednie znaczenie nietylko dzięki swej ożywionej akcji synodalnej, ale także przez swoją działalność na polu prawniczo-kodyfikacyjnem, jako twórca t. zw. Statutu Łaskiego i ważnych zbiorów postanowień Kościoła polskiego. Słynie również jako opiekun młodzieży, którą utrzymywał na naukach w Krakowie i we Włoszech. Nie roztaczając szczególnych blasków mecenasowskich, świadczy Łaski wiele uczonym, koresponduje z Erazmem z Rotterdamu, a w otoczeniu swojem i w otoczeniu ukochanego bratanka, Jana Łaskiego młodszego, późniejszego herezjarchy, gromadzi ludzi pióra, literatów, humanistów. Z jego dworem związany jest silnie młody Hozjusz i młody Modrzewski, pod jego protekcją kształci się to młode pokolenie Łaskich, które — mimo całej swojej awanturniczości — miało później odegrać ważną rolę w naszej kulturze, a nawet literaturze [1]).

---

1) O mecenacie J. Łaskiego starszego, niema żadnej pracy specjalnej. Stosunkowo najwięcej wiadomości o opiekuństwie kulturalnem prymasa i jego krewniaków znajduje się w pracy prof. St. Kota o „Andrzeju Fryczu Modrzewskim" (Kraków 1923 II wyd.). Pozatem liczne szczegóły, rozrzucone w pracach o Janie Łaskim młodszym i jego braciach (Daltona, Pascala, Kuypera o Janie Łaskim, Hirschberga o Hieronimie Łaskim, W. Zakrzewskiego o rodzinie Łaskich i t. d.).

Po Łaskim, wkraczają na stolicę gnieźnieńską biskupi-humaniści. Rozwinie więc opiekę nad nauką i literaturą prymas Andrzej Krzycki, siostrzeniec Tomickiego, sam znakomity poeta łacińsko-polski, protektor laurów Janickiego, przyjaciel zagranicznych humanistów, marzący o sprowadzeniu Erazma do Polski i o nawróceniu Melanchtona; podtrzymują tę tradycję i inni prymasi, jak typowy biskup renesansu, Jan Latalski czy Gamrat.

Piękną a mało znaną postacią jest arcyb. gnieźn. Jan Przerębski, twórca szkoły biskupiej w Skierniewicach, w której humaniści, jak Herbest i Grzegorz z Sambora, będą nauczycielami; ten sam Przerębski, którego synody zasłużyły się tak bardzo około oświaty i uniwersytetu krakowskiego. [1])

W Poznaniu na pierwsze miejsce wybija się działalność Jana Lubrańskiego, [2]) ucznia Franciszka Filelfa i Jana Argyropula, korespondenta weneckich Manucjuszów, a twórcy sławnego „Lubranscianum" w Poznaniu, które miało rywalizować z Akademją Krakowską i stać się gorejącem ogniskiem humanizmu w Wielkopolsce. W tej to szkole, która rozkwitła głównie dzięki następcy Lubrańskiego, Latalskiemu, [3]) nauczali wybitni Niemcy i Włosi, z tej szkoły wyszedł Janicjusz i wielki polski lekarz-humanista, Jan Strusiek, [4]) twórca nauki o pulsie.

Na stolicy płockiej siedzi w początkach XVI wieku Erazm Ciołek, świetny polski dyplomata, poseł do trzech

---

[1]) Osobistość Jana Przerębskiego zasługuje na opracowanie. Biskup ten miał szerokie znajomości w kołach literackich, poświęcono mu mnóstwo dedykacyj. Niedużą wiązankę ciekawych wiadomości o nim zebrał ks. K. Mazurkiewicz w monografji swojej o „Benedykcie Herbeście" (Poznań).

[2]) Pracę o działalności kulturalnej Lubrańskiego przygotowuje autor niniejszego artykułu.

[3]) O Latalskim traktują stosunkowo najszerzej dotychczasowe prace o t. zw. Akademji Lubrańskiego, t. j. praca dawniejsza St. Kossowskiego „Krzysztof Hegendorfin w Akademji Lubrańskiego w Poznaniu" (1530—1535) i nowsza Ks. dra K. Mazurkiewicza „Początki Akademji Lubrańskiego w Poznaniu" (Poznań 1919).

[4]) Nazwisko jego brzmiało nie Struś, jak do niedawna sądzono, ale Strusiek, co udowodnił Ks. M. Majkowski w artykule w „Silva Rerum".

papieży, Aleksandra VI, Juljusza II i Leona X, humanista czystej wody; wyjaśniono niedawno jego zasługi kulturalne i skreślono profil duchowy tego biskupa renesansowego, który otaczał się Włochami i Hiszpanami, wprowadził pierwszy studja greckie na uniwersytet krakowski, opiekował się historykiem Wapowskim i poetą Mikołajem z Hussowa, tworzył piękne budowle i wspaniale iluminowane kodeksy, a w Rzymie roztaczał dokoła siebie przepych niezwykły i imponował swojem wykształceniem.[1])

Z pośród biskupów kujawskich XVI w. na pierwsze miejsce wysuwa się — po Andrzeju Zebrzydowskim — przedewszystkiem Stanisław Karnkowski, późniejszy prymas, jedna z najpotężniejszych postaci episkopatu polskiego.[2])

Z Karnkowskim wchodzimy już jednak w krąg drugi, w tę grupę polskich biskupów-mecenasów XVI w., która ma już oblicze inne od Tomickich, Lubrańskich, Ciołków i Padniewskich.

Mam tu na myśli grupę biskupów-humanistów typu kontrreformacyjnego, trydenckiego, ściśle katolickiego. Można ich nazwać biskupami katolickiego odrodzenia na gruncie Polski.

Stworzył ten kierunek i na czele jego stanął wielki kardynał i biskup warmiński, Stanisław Hozjusz.[3]) Nasi historycy kultury traktowali nieraz tę grupę biskupów dość jednostronnie; widziano w nich przedewszystkiem przedstawicieli reakcji katolickiej, występującej przeciw protestantyzmowi, pojmowanemu u nas nieco romantycznie, widziano w nich reprezentantów konserwatyzmu i nietolerancji, a protektorów tych Jezuitów, którzy — jak to się dawniej mówiło —

[1]) Zob. o nim gorąco napisaną pracę prof. Kazimierza Hartleba pt. „Działalność kulturalna biskupa-dyplomaty Erazma Ciołka", Lwów 1929.

[2]) Praca p. Tomasza Ubermanna o mecenacie Karnkowskiego na tle jego życia i działalności biskupiej, opracowana w moim Instytucie, nie została dotąd ogłoszona drukiem.

[3]) O działalności Hozjusza na polu opiekuństwa kulturalnego mówią dotychczasowe prace niewiele. W ostatnich czasach poruszał te sprawy Ks. prof. Umiński w pracach o Hozjuszu i Tom. Treterze, Czubek we wstępie do diarjusza St. Reszki i inni. Rzecz wymaga opracowania zupełnie specjalnego i gruntownego, a olbrzymia korespondencja Hozjusza i jego wychowanków, dedykacje i t. d. dostarczą przeobfitego materjału.

„zgubili Polskę". Nie starano się natomiast wniknąć wyjaśniająco a bezstronnie zarówno w motywy działania całego tego kierunku, a tem bardziej nie próbowano zbadać dokładniej tej roli, którą potrydencka grupa biskupów odegrała w kulturze i oświacie polskiej XVI w.

Nie wdając się w tej chwili w rozprawę na temat pierwszy, podkreślimy tylko ściśle kulturalną rolę tej grupy.

Grupa biskupów potrydenckich, do której prócz Hozjusza, należy: Stanisław Karnkowski, Marcin Kromer, kardynał Jerzy Radziwiłł, bp. wileński, Protasewicz, Hieronim Rozrażewski, bp. kujawski, Dymitr Solikowski, arcybp. lwowski, dalej kardynał Bernard Maciejowski, Goślicki, Jerzy Zamoyski, Szyszkowski i inni — położyła przedewszystkiem niewątpliwe zasługi na polu szkolnictwa. Z jej to inicjatywy biskupi i synody diecezjalne zajęły się gorliwie różnemi rodzajami szkół, normując stosunek i obowiązki duchowieństwa wobec tych zakładów.

W pierwszym rzędzie zwrócono uwagę na zostające w rękach kleru szkolnictwo najniższe, parafjalne, do którego w epoce humanizmu najmniej przykładano wagi; sieć tego szkolnictwa rozszerzono na wielką skalę, podniesiono poziom nauczania i stosunki materjalne w licznych szkółkach miejskich i wiejskich. Prof. Kot w pracy o małopolskiem szkolnictwie parafjalnem [1]) stwierdza wyraźnie, że stało się to właśnie na przełomie XVI i XVII w., i że wizytacje biskupie odegrały w tem rolę decydującą.

Także szkolnictwo średnie doznało poparcia ze strony tego odłamu episkopatu. Nietylko bowiem podniesiono zaniedbane nieraz szkoły katedralne, ale dokonano przedewszystkiem ujednostajnienia typu szkoły średniej, humanistycznego gimnazjum w Polsce. Zaczął tę akcję już dawniej ks. Benedykt Herbest z braćmi swoimi i współpracownikami [2]), przeprowadzili ją ostatecznie Jezuici, stwarzając jednolity typ szkoły-kolegjum; a zapominać nie należy, że szkolnictwo jezuickie w XVI i początkach XVII w. nie jest tem, czem stało się później, że szkoła jezuicka jest

[1]) St. Kot. Szkolnictwo parafjalne w Małopolsce XVI—XVIII w. Lwów 1911. odb. z „Muzeum",

[2]) Zob. monografję Ks. K. Mazurkiewicza „Benedykt Herbest", j. w.

w tym pierwszym okresie swego rozwoju — szkołą w duchu epoki, humanistyczną, postępową, zużytkowującą humanizm dla celów wychowania katolickiego nie gorzej, niż protestanci zużytkowali go dla celów protestanckich [1]). Temu samemu episkopatowi zawdzięcza wreszcie — jak udowodnił ks. Bednarski [2]) — powstanie swoje Akademja Wileńska, o której biskup Walerjan Protasewicz myślał już za czasów Zygmunta Augusta.

Osobny rozdział w pracy oświatowej episkopatu potrydenckiego stanowi poczynający się teraz rozwój szkolnictwa dla duchownych, zakładanie seminarjów diecezjalnych, związanych z konwiktami, bibljotekami i t. d. [3]); miało to swoje znaczenie nietylko dla zadań ściśle kościelnych, ale i dla podniesienia poziomu intelektualnego polskiego kleru.

Podtrzymują również ci biskupi w ciągu dalszym tradycyjną opiekę nad kształcącą się młodzieżą, śląc ją czyto do kolegjów jezuickich, czy do Krakowa, a potem do Włoch, głównie do Rzymu; mnożą się fundacje burs dla młodzieży [4]) i stypendjów. Na dworach wielu członków ówczesnego episkopatu, przy dworskich nauczycielach i w kancelarjach, uczy się młodzież magnacka i szlachecka.

Nie ustaje również kontynuacja działalności mecenasowskiej; utrzymują się dalej dwory czy koła

[1]) Tezy tej broniłem od kilku lat w moich wykładach uniwersyteckich, przy rozpatrywaniu bardzo zagmatwanego problemu wartości, rozwoju i upadku szkół jezuickich. Podkreślałem stale konieczność zupełnej rewizji „zagadnienia jezuickiego", przynajmniej o ile chodzi o oświatę i szkoły. W tym kierunku poszło kilka prac moich uczniów. Obecnie uczeń prof. Kota ks. dr. Stanisław Bednarski T. J. w nowej swej pracy „Upadek i odrodzenie szkół jezuickich w Polsce" (Kraków 1933), którą pragnę ocenić na innem miejscu, dał na tę sprawę pogląd zupełnie nowy, często rewelacyjny, oparty na ogromnym materjale źródłowym.

[2]) Por. pracę ks. Stan. Bednarskiego T. J. „Geneza Akademji Wileńskiej" w „Księdze Pamiątkowej Uniwersytetu Wileńskiego" Tom I. Wilno 1929.

[3]) O seminarjach posiadamy kilka prac; zwracam uwagę na nowe prace o t. zw. Seminarjum Papieskiem w Wilnie, napisane przez ks. Jana Poplatka T. J. i W. Charkiewicza, a ogłoszone w „Ateneum Wileńskiem", t. VI, i VII.

[4]) Np. bursa krakowska, założona przez Noskowskiego, biskupa płockiego, i inne w różnych miastach.

literacko-artystyczne w otoczeniu biskupów; a chociaż charakter ich jest niewątpliwie bardziej ekskluzywny, węższy, ściśle prawowierny, chociaż wśród tych klientów biskupich przeważają teraz pisarze duchowni i literaci, związani z Kościołem — to jednak mecenat ten przyczynia się wydatnie do rozwoju piśmiennictwa (i to nietylko religijnego), tak samo, jak do rozwoju sztuki, głównie kościelnej.

Są to wszystko walory, nad któremi najbardziej liberalny badacz nie mógłby przejść do porządku dziennego, a szczegółowe badania działalności takich biskupów, jak Karnkowski, Rozrażewski Hieronim[1]), Maciejowski Bernard[2]), nie mówiąc już o Hozjuszu, wykazują, jak wiele pożytecznych rzeczy zapisać należy sprawiedliwie na ich konto. Biskupi polskiej kontrreformacji, chociaż psychiką swoją odmienni od tamtych entuzjastycznych renesansistów z pierwszej połowy XVI w., utrzymują swoją rolę kulturalną dalej na wysokim poziomie.

Hozjusz nietylko sprowadził Jezuitów, założył kolegjum i seminarjum w Brunsberdze i humanistyczną szkołę w Elblągu, nietylko opiekował się całem szkolnictwem pruskopomorskiem, a wśród swoich klientów literackich miał ludzi takich, jak Kromer, Stanisław Reszka, Jakób Górski, St. Sokołowski, — ale zdobył sobie, jako pisarz i działacz, pierwszorzędne nazwisko w europejskiej katolicko-humanistycznej republice. Jego nazwisko — powiedzmy szczerze — należy do tych kilkunastu zaledwie nazwisk, które imieniu polskiemu dały obywatelstwo w całym świecie. Dzieła Kromera i Goślickiego czytane były daleko poza granicami kraju. A wielki polityk i znakomity pisarz Karnkowski, korespondujący z całą Europą, arcybp. lwowski, Solikowski, któremu Lipsius, Turner czy Casaubonus oddają wielkie pochwały, światowiec Rozrażewski, dla którego niema gra-

[1]) O Hieronimie Rozrażewskim i mecenacie rodziny Rozrażewskich napisała obszerną, źródłową rozprawę doktorską uczennica moja, p. dr Janina Kohnówna. Praca ta będzie niebawem ogłoszona drukiem.

[2]) Działalność kulturalną Kard. Bernarda Maciejowskiego, opracowała — jak wspomniałem — w Instytucie historji oświaty U. J. K., p. dr Amelja Dicianówna. Fragmenty tej rozprawy będą opublikowane w czasie najbliższym.

nic między krajami i językami europejskiemi, kardynałowie Radziwiłł i Maciejowski Bernard, nietylko wrogowie protestantów, ale i protektorowie uczonych i literatów — to także szereg nazwisk godnie stających obok Hozjuszowego.

Przebiegliśmy okres prawie dwustu lat, charakteryzując pokrótce kierunki, ludzi i ich czyny. Mówiliśmy tylko o jednostkach wybitnych, pomijając te, które stały w dalszych szeregach.

Dobiegając do końca, stwierdzić możemy, że wśród biskupów epoki Odrodzenia w Polsce, trudno doprawdy znaleźć człowieka wybitnego, który nie miałby w dziejach ówczesnej naszej kultury umysłowej swojej ważkiej pozycji.

Wyjątkowo prawie przesuwają się przez te czasy osobistości małoznaczne, nie zajmujące się sprawami kulturalno-oświatowemi, a oddane bądź cichej, skromnej pracy dla Kościoła, bądź swoim osobistym ambicjom czy interesom. Takim wyjątkiem będzie prymas Dzierzgowski, czy niewykształcony biskup chełmiński, Lubodzieski, którego kanclerzem kazano być sławnemu humaniście Mariciusowi z Pilzna[1]), czy pogromca Orzechowskiego, Dziaduski, biskup przemyski, czy jeszcze kilku innych.

Episkopat polski epoki renesansowej w całości swojej jest zespołem ludzi wykształconych, często wysoko wykształconych i uczonych, a co zatem idzie, rozumiejących rolę oświaty w narodzie.

Niema takiej dziedziny w ówczesnem życiu umysłowem Polski, aby przedstawiciele episkopatu polskiego nie mieli w niej swojej części poważnej i zaszczytnej. W polityce szereg kanclerzy i podkanclerzych z Tomickim, Maciejowskim, Padniewskim i Myszkowskim na czele, ponadto tacy mężowie stanu, jak Karnkowski, a naprzeciw niego prymas Uchański Jakób,[2]) człowiek niesłychanej ambicji, zwolennik kompromisu z reformacją i kościoła narodowego,

[1]) Zob. „Szymona Mariciusa z Pilzna korespondencja z lat 1551—1555" wydał St. Kot. Kraków 1929.

[2]) W pracach i materjałach, odnoszących się do Uchańskiego a wydanych przez T. Wierzbowskiego, („Uchansciana", Jakób Uchański, arcyb. gnieźń.) znajduje się sporo materjału także do jego działalności kulturalnej. Materjał ten dałby się jednak znacznie pomnożyć, a sprawę mecenatu Uchańskiego możnaby wyodrębnić i ująć dokładniej.

a także pełen zainteresowań kulturalnych, opiekun i przyjaciel uczonych i literatów.

Wśród pierwszych nowożytnych dyplomatów i ambasadorów polskich — widnieją nazwiska: bpa warmińskiego Jana Dantyszka,[1]) posła polskiego na dworze cesarskim i w Hiszpanji, Piotra Dunin Wolskiego, bpa płockiego,[2]) trawiącego całe lata zagranicą w służbie dyplomatycznej, a dalej Solikowskiego,[3]) Adama Konarskiego i innych. W literaturze odznaczą się poeci: Krzycki i Dantyszek, historycy Kromer i Solikowski, znakomity filolog biskup wendeński, Andrzej Patrycy Nidecki,[4]) pisarze kościelni, jak Hozjusz, Karnkowski, kaznodzieje, jak Samuel Maciejowski czy bp. kamieniecki Słończewski;[5]) wielcy styliści, jak Tomicki i Padniewski.

Są między tymi ludźmi różnice i niepodobieństwa. Jedni będą — jak już zaznaczyłem — pełnymi ludźmi renesansu i stąd wyniknie ich szeroka, entuzjastyczna działalność kulturalna. Inni przyjdą do głosu w okresie ciężkich zmagań religijnych i stąd ich charakter biskupów wojujących, biskupów-zelotów, żarliwych synów odnawiającego się Kościoła.

Na życiu jednych bujna epoka renesansu zostawi swoje rysy, jak u Uchańskiego, Padniewskiego, Ciołka, Drohojow-

---

[1]) Dantyszek czeka dalej na swego monografistę — jako polityk, dyplomata, poeta i opiekun spraw kulturalnych. Bogate materjały rękopiśmienne (lecz niezupełne), zebrane przez śp. dr. Kurpiela, spoczywające, zdaje się, w Polsk. Akademji Umiej., należałoby zaokrąglić całym szeregiem kwerend w współczesnej Dantyszkowi literaturze, drukowanych zbiorach korespondencyj i t. d.

[2]) Piotr Dunin Wolski jest osobistością niezwykle charakterystyczną, o ciekawem swoistem obliczu. Niedawno ogłosili dr. K. Piekarski i dr. H. Barycz interesujący artykuł o jego bibljotece prywatnej, p. t. „Hiszpańskie nabytki Wolskiego z 1582 roku" (Silva Rerum, 1928, z. 10/12).

[3]) O Solikowskim opracowuje się monografję w Seminarjum historji Kościoła ks. prof. Umińskiego we Lwowie; pracę o jego działalności kulturalnej i pisarskiej wykonano w Seminarjum historji oświaty i szkolnictwa we Lwowie.

[4]) O nim znana monografja Kazimierza Morawskiego pt. „Andrzej Patrycy Nidecki. Jego życie i dzieła". Kraków 1892.

[5]) O Słończewskim zob. rozprawkę prof. Abrahama pt. „Leonard Słończewski". Próba charakterystyki. *Reformacja w Polsce*, Rocznik IV, Nr. 13—16.

kiego czy Szymona Ługowskiego; drudzy dziwić będą współczesnych czystością życia i niezłomnością wyznawstwa, jak Hozjusz, Radziwiłł lub Rozrażewski. Będą też często stawać przeciwko sobie i zwalczać się nawzajem, bo byli ludźmi żywymi, którym przyszło działać w epoce ciągłych starć i walk, tak w sferze interesów politycznych, jak i w sferze sumień.

Łączy ich wszystkich atoli jedno: głębokie poczucie potrzeby i obowiązku działania na polu kultury i oświaty, na polu umysłowego i wogóle duchowego podniesienia narodu.

Wzięli zaś to poczucie z tych samych źródeł: z humanizmu, na którym wykarmiły się ich umysły, i z prastarej, odwiecznej tradycji Kościoła katolickiego, która kazała biskupom być opiekunami szkół i ludzi piszących.

Można nawet powiedzieć, że wśród biskupów polskich tej epoki krąży ta tradycja mecenatu kulturalnego, jak jedna krew w rodzinie, przechodząc jakby z ojca na syna. Bo przecież wychowankami Tomickiego są: Krzycki, Samuel Maciejowski, Padniewski, Przerębski; u Przerębskiego wychowuje się Myszkowski; Karnkowski jest opiekunem Bernarda Maciejowskiego, Hozjusz wychodzi z dworów Tomickiego i Łaskiego, aby stać się potem wychowawcą nowego pokolenia biskupów. Jest w tem niezaprzeczona ciągłość wychowawstwa i tych samych idei przewodnich, a to tłumaczy nam ową zadziwiającą jednolitość działalności ich wszystkich, mimo różnic na innych polach.

Idea opiekuństwa kulturalnego i pracy oświatowej była tutaj dziedzictwem, obejmującem coraz szersze i coraz dalsze pokolenia.

Lwów, październik 1933.

Stanisław Łempicki.

Akmeizm.

I.

Kierunek poetycki, zwany akmeizmem, który mimo szeregu cech ogólno-europejskich, jest zjawiskiem artystycznem typowo i wyłącznie rosyjskiem, „inteligencko-rosyjskiem" — powstał na początku drugiego dziesięciolecia XX wieku, jako reakcja przeciw prądom, dotychczas panującym, — w pierwszym rzędzie, jako reakcja na przerost symbolizmu.

Na przełomie wieków XIX i XX-go staje poezja rosyjska na szczytach artyzmu, w szczególności w zakresie formy i muzykalności wiersza osiąga wyniki nadzwyczajne, z któremi równać się nie mogą zdobycze w tej dziedzinie najwybitniejszych nawet poetów czasów dawnych: Lermontowa, Tiutczewa, Feta i „największego z wielkich", Puszkina.

Poezja to typowo i wyłącznie inteligencka, inną zresztą być nie mogła w Rosji w epoce, gdy całą kulturę i sztukę jedna tworzyła warstwa — inteligencja. To też nietylko tematyką i formą, ale całym charakterem, całą swą istotą odcina się ta znakomita poezja epoki przełomu dwu stuleci od dzisiejszej literatury rosyjskiej — literatury proletarjackiej.[1])

Ostatnie lata ubiegłego stulecia były to właśnie czasy, gdy w literaturze pięknej silniej, niż kiedykolwiek, uwydatniło się rozdwojenie wewnętrzne, owo tragiczne rozdwojenie, jakie cechuje całą kulturę i psychikę rosyjską. Gdy powieść staje się wyrazem czynnej, troskliwej o losy narodu połowy duszy inteligenckiej, poezja odwraca się od życia rzeczywistego, wszelkie

[1]) O inteligencji rosyjskiej — patrz artykuł tegoż autora p. t. „Rosyjska literatura emigracyjna" — *Przegląd Powszechny*, wrzesień 1933.

z niem zrywa związki, traktuje je jako temat jedynie, ujmowany pod artystycznym wyłącznie kątem widzenia. Właśnie poezja rosyjska końca XIX-go i początku XX-go wieków — to twór nieodrodny cieplarnianej atmosfery gabinetów i salonów.

Nic więc dziwnego, że w atmosferze tej z entuzjazmem, większym niż gdziekolwiek indziej w Europie — przyjęto modnem stające się hasło „Sztuka dla sztuki". Poeci rosyjscy nie chcieli już być wcale ani społecznikami (jak przedtem Kolcow, Nikitin, Niekrasow), ani wyrazicielami psychiki narodu i piewcami jego dziejów (jak Niekrasow czy Aleksy hr. Tołstoj) — nie, oni się czuli szczęśliwi, że wolno im w myśl nadchodzącej mody oderwać się od wszelkich odcieni rzeczywistości, czy to zewnętrznej, czy wewnętrznej, — i oddać się w całości służeniu pięknu, które pojmowali, jako identyczne z doskonałością formy czy nawet tylko techniki.

Pierwsi poeci „nowej epoki", idąc w dziedzinie zdobyczy formalnych za wzorami zachodniemi, w pierwszym rzędzie — francuskiemi — nie zrywają jednak jeszcze z tradycyjną treścią poezji, a więc przedewszystkiem — z liryką erotyczną, która bucha żywiołowym płomieniem prawdy i szczerości uczucia w utworach Nadsona, w poezji natomiast Mirry Łachwickiej uderza, jako erotyka typowo kobieca, często równie szczera i żywiołowa, przepojona już jednak tu i ówdzie uroczą wprawdzie, tem niemniej jednak sztuczną egzotyką, stylizacją czy dekoracyjnym historyzmem i fantastyką. Zachwyca natomiast u niej melodyjność wiersza, nie mająca równej sobie u żadnego z dawnych poetów, nawet u mistrza melodji — Lermontowa. Tam, gdzie poetka rezygnuje z ambicji przekonania czytelnika o szczerości napięcia erotycznego i olśnić chce tylko kunsztem formy, łącząc fantastyczno-historyczno-egzotyczną obrazowość z przecudną melodyjnością rymu i rytmiki (w szczególności — wewnętrznej) — stwarza prawdziwe arcydzieła (utwory „Rodopis", „Bezgrzeszna", „Bal maskowy", „Czterech gości").

Ostateczne zerwanie z dawną, (romantyczną, klasyczną i realistyczno-społeczną) poezją i przejście zdecydowane do nowych, zwanych modernistycznemi, form — łączy się w dzie-

jach literatury rosyjskiej z wystąpieniem zwartej grupy wysoce utalentowanych poetów, którzy — stanowiąc każdy zosobna wybitną indywidualność twórczą, — udoskonalając wciąż wartości formalne, szukali nowych dróg dla poezji i znaleźli je wreszcie w tak pociągającej zresztą dla każdej inteligenckiej psychiki rosyjskiej, rozmiłowanej we wszelkich roztrząsaniach metafizycznych — sferze mglistego symbolu.

Modny na zachodzie, tworzony przez Mallarmé'go, Verlaine'a i Maeterlincka symbolizm przyciągnął do siebie najznakomitszych mistrzów wiersza rosyjskiego. W latach 1896—1910 symboliści tworzą zarówno w Petersburgu, jak i w Moskwie nietylko najsilniejszy, ale jedynie panujący, w zarodku dławiący wszelkie próby (słabe zresztą wtedy) buntu i reakcji — kierunek poetycki. W szeregach ich znajdują się i Dymitr Mereżkowskij i żona jego Zinaida Gippius, Andrzej Bieły j, Fiodor Sołogub, Maksymiljan Wołoszyn i filozof Włodzimierz Sołowjow, twórca erotyków mistycznych, odcieleśnionych, wobec których wzloty dantejskie mogłyby uchodzić za przyziemną prozę; wreszcie Wiaczesław Iwanow, niezwykle ciekawa indywidualność, najbardziej konsekwentny, gdy chodzi o odrywanie poezji symbolicznej od wszelkiej rzeczywistości życia, — zarazem lubujący się w tematach, czerpanych z poezji antycznej, wskutek czego przylgnęło doń miano neo-klasyka, najniesłuszniej zupełnie, gdyż antyczność jego jest czysto zewnętrzna, w postawie zaś twórczej Iwanowa wszystko jest obce całkowicie jakimkolwiek ideałom klasycznym.

Melodyjność wiersza, śmiałość, nieraz zawrotność idej, zuchwale szybujących po nieskończoności i świecie pozazmysłowym, coraz to nowe kombinacje formalne, a zarazem pewne hieratyczne namaszczenie, poczucie swej „kapłańskiej" godności, pogardliwe odwrócenie się od świata i tłumu — wszystko to wyryło na poezji symbolistów piętno oryginalności i zyskiwało jej czas jakiś nietylko powszechny kult, ale i poczytność. Znaczenie jednak symbolizmu i rola w dziejach literatury rosyjskiej urosły do olbrzymich rozmiarów nie dzięki wymienionym wyżej właściwościom, ale naskutek przynależności do tej szkoły poetyckiej trzech naj-

większych, najpotężniejszych indywidualności twórczych, tak zwanych trzech wielkich „B". Byli to właściwi przywódcy symbolizmu rosyjskiego: Balmont, Briusow, Błok.

Konstanty Balmont (ur. w r. 1866) o tyle początkowo mógł być zaliczanym do symbolistów, o ile sam się poczuwał do łączności z tą szkołą poetycką. Cechuje go żywiołowa uczuciowość, gwałtowna miłość wszechświata, idąca w parze z niezwykle bujnie rozwiniętym indywidualizmem, egotyzmem właściwie. Dwoistość ta: egotyzm i umiłowanie wszechświata, w szczególności pogański, radosny kult słońca zlewają się wkońcu w jedność, w panteizm. Żywiołowa uczuciowość, raz radosna, triumfująca, raz smutna, bolesna — rozsadzają i formę Balmonta. Wiersz jego — to rzeczywiście naprawdę nowa epoka w dziejach poezji rosyjskiej. Autor cyklu „Bądźmy jak słońce" zdawał sobie sprawę z epokowego znaczenia swej poezji i z dumą — a bez wielkiej przesady — mówił:

W słowach moich powolna mowa Rosjan się kwieci,
Zwiastunami moimi byli dawni poeci....[1])

Zimny, surowy intelekt Walerego Briusowa zupełnem był przeciwstawieniem żywiołowego, rozsłonecznionego egotyzmu i panteizmu Balmonta. Symbolista z wyznania wiary poetyckiej, chętnie też rzeczywiście operujący symbolem, jako istotnym elementem twórczości — zwracał się jednak Briusow i do kwestyj społecznych (utwory „Sztylet", „Murarz"), i do głębokich tematów, dotykających już raczej dziedziny myśli, nie sztuki. Jako mistrz wiersza rosyjskiego, nie ma Briusow sobie równych w w. XX, ustępują mu i Łochwickaja i Balmont. Wyzbywając się wszelkiej ognistości temperamentu, zimno, wolno, pedantycznie cyzelował swe przecudne strofy, swe nadzwyczajne rymy, rzeźbił i modulował rytmikę. Pewien krytyk, porównując ówczesną poezję rosyjską do parady gwardji pruskiej w Berlinie (jak rytm idących w marszu kolumn, stalowy jest rytm ich wierszy) — nazywał Briusowa „kaiser'em" tej parady. Na szczególną uwagę zasługuje erotyka Briusowa: wyrafinowana, przesubtelniona, chorobliwa, lubująca się w zboczeniach nieraz, najwstrętniej-

[1]) Przekład Juljusza Tuwima.

szych częstokroć — ubrana w przecudny wiersz poety przeobraża się w cudowne dzieło sztuki. Tchnie z niej prawda tej dziwnej, nigdy niedocieczonej, niepojętej, z niczem nieporównanej wszechpotężnej siły, jaką jest pociąg wzajemny płci: Miłość (utwory „Cienie", „La belle Dame sans Merci", „Wyspa kobiet"). Lubuje się też Briusow i w historyźmie, który jest u niego tylko surowym materjałem tematycznym do spekulacyj symboliczno-metafizycznych („Juljusz Cezar", „Assarhadon").

Najtypowszym i najwybitniejszym symbolistą rosyjskim był Aleksander Błok († 1921). W jego poezjach z największą mocą wypowiedziało się oderwanie od rzeczywistości życia, ucieczka w regjony mistyki, religijne nastawienie wobec wszelkich zjawisk życia, w pierwszym rzędzie wobec miłości. W przeciwieństwie do Briusowa erotyka Błoka uduchowiona, przepojona pierwiastkiem mistycznym, wiarą w jedność „Nieba" i „Jej" — wyzbyta jest z wszelkiej zmysłowości. „Wiersze o Pięknej Pani" to szczyty osiągnięć artystycznych odcieleśnionej, idealistycznej poezji miłosnej. W latach późniejszych symbolizm, przesycony pierwiastkiem religijnym, zaprowadzi Błoka do mistycyzmu rewolucyjnego (głośny poemat „Dwunastu"), tymczasem jednak (około roku 1910) zarówno sam Błok, jak Balmont, Briusow i wszyscy wymienieni wyżej mniejsi symboliści z całą fantazją i całem fanatycznem zaślepieniem oderwanych od życia realnego mistyków i metafizyków robili wszystko, co było w ich mocy, by uczynić poezję jak najbardziej mglistą, jak najmniej zrozumiałą, obcą wszelkim potrzebom i zamiłowaniom życia realnego, choćby i najbardziej wysubtelnionego i kulturalnego. Nic więc dziwnego, że w sferach czytelniczych, rekrutujących się z inteligencji, choćby i najbardziej rozmiłowanej w arealności — coraz to większy rodził się zamęt; zatracał się wszelki kontakt między twórcą, a odbiorcą, choćby ten ostatni i w największy zapas dobrej woli był wyposażony. Co więcej, i wśród młodych poetów, urodzonych po r. 1880 zaczynała powstawać z początku dezorjentacja, a potem niezadowolenie; tu i ówdzie rozglądano się za nowemi drogami. Wśród snobów stołecznych wzbudził wprawdzie sensację i zachwyt tomik (czy arkusz tylko...) jednego z największych

symbolistów, którego całą zawartość stanowiło jedno zdanie „Zakryj swe białe nogi"... (!) — nikt jednak z entuzjastów nie rozumiał, o co autorowi chodziło: jedni twierdzili, że mowa o nogach Chrystusa, inni — że ukochanej, inni znów dawali jeszcze inne interpretacje, — wrzało, ale to „już się miało ku końcowi..."

W roku 1911 dwaj młodzi poeci: Gorodieckij i Gumilow ośmielili się na łamach czasopisma „Apollo" przeciwstawić się autorytetowi symbolistów, wykładając swe „credo" poetyckie w zdaniu:

Wielbimy różę, ponieważ jest piękna, nie zaś dlatego, że jest symbolem mistycznej czystości...

II.

Reakcję przeciw symbolizmowi podjęto w imię nawrotu do rzeczywistości życia (życia zarówno zewnętrznego, jak i wewnętrznego), jako podstawowej treści wszelkiej sztuki. Zbuntowani przeciw autorytetowi wszechwładnego kierunku, młodzi poeci bynajmniej nie negowali zasług wielkich symbolistów w dziedzinie osiągnięć formalnych, przeciwnie — Gumilow pierwszy swój zbiorek p. t. „Perły" zadedykował „Kochanemu Mistrzowi Waleremu Briusowowi"; co więcej, ten sam krytyk, który entuzjastycznie proklamował Briusowa „kaiser'em" na paradzie wierszy rosyjskich, „kronprinzem" mianował Gumilowa.

Zarówno Gumilow i Gorodieckij, jak i rzesza młodych poetek i poetów, którzy już dawno szemrali przeciw symbolistom, ale nie ośmielali się wystąpić, teraz zaś przyklasnęli wystąpieniu miesięcznika „Apollo", zgrupowali się dookoła Gumilowa, tworząc tak zwany „Cech Poetów" — wszyscy oni wychowali się na wzorach tych twórców, przeciw którym występowali, kształcili swą formę na zdobyczach Balmonta i Briusowa — zewnętrznie więc nie było żadnej zasadniczej różnicy, i niema mowy o jakiejś rewolucji form literackich, jak to miało np. miejsce w parę lat później przy pierwszem wystąpieniu futurystów. Tem niemniej symbolistów wraz z trzema wielkiemi „B", a poetów z „Cechu" i ze szpalt „Apollona" — dzieliła przepaść nie do przebycia. Walka rozgorzała natychmiast: symboliści, którzy wogóle

zdumiewali się, że ktoś w Rosji śmie przeciwstawić się autorytetowi ich w dziedzinie poezji, nie doceniali początkowo możliwości twórczych swoich przeciwników, odnosili się do nich z lekceważeniem i niebawem, chcąc podkreślić ten pogardliwy stosunek, ironicznie nazwali ich „akmeistami" od greckiego słowa „akmé" — „szczyt". Tamci przyjęli tę nazwę i nosić ją poczęli z dumą w poczuciu swej wartości i swej siły, którąby im pozwoliła unieść brzemię odpowiedzialności, związanej z nazwą „szczytowców" — w ten sposób powstaje nowy prąd poetycki, akmeizm, do którego przyłączyli się wszyscy poeci z „Cechu", a na którego czoło wybili się Sergjusz Gorodieckij, Mikołaj Gumilow, Anna Achmatowa, żona Gumilowa i Józef Mandelsztamm.

Akmeiści — siłą reakcji — odznaczali się gorącym entuzjazmem dla wszelkiej realnej bujnej siły żywotnej, czy to fizycznej, czy duchowej, lubowali się w skomplikowanych, potężnych psychikach, w żywiołowych namiętnościach, w odcieniach najsubtelniejszych odruchów psychiki i organizmu ludzkiego, w barwnych, bujnych przeżyciach i wypadkach epok minionych, czasów historycznych.

Toteż mistrzami swymi obwołali twórców, rozsadzanych tą bujną siłą żywotną lub sięgających do najskrytszych i najpotężniejszych duszy ludzkiej możliwości i tajników: Villon'a, Rabelais'a, Szekspira i Teofila Gauthier, świetnego cyzelatora formy. Realiści bowiem, kiedyindziej znów romantycy, gdy chodzi o treść — w dziedzinie formy nawracają akmeiści ku ideałom klasycznym, ku wzorom bądźto antycznym, bądź francuskim z wieku XVII. Odżywa kult Racine'a i Boileau, modnym się staje aleksandryn dwunastozgłoskowy, wracają tęsknoty do logicznie skonstruowanej pięcioaktowej tragedji o wielkich namiętnościach, w zwartą, harmonijną formę wiersza zakutych. Nadewszystko przyświeca akmeistom ideał harmonji między treścią a formą; gdy jednak — powtarzamy — treść tę pełnemi garściami, z entuzjazmem, z naiwnym zachwytem i podziwem czerpią z prawdziwego, bujnego, barwnego, pełnego niespodzianek i możliwości wszelakich — kipiącego życia, forma, która chwilami na pierwszy rzut oka, nazewnątrz wydaje się prosta, nawet prymitywna — powstaje w ciszy pracowni,

wolno, w trudzie, w pedantycznej pracy przy użyciu całego skomplikowanego aparatu poetyki, estetyki, fonetyki, analizy i anatomji wiersza. Dopiero teraz stykając się z poezją akmeistów wogóle, a Józefa Mandelsztamma w szczególności, przekonać się mógł i czytelnik wykształcony i krytyk, jak fałszywą z gruntu i z pobudek wyłącznie zewnętrznych, nieistotnych — wypływającą była opinja o Wiaczesławie Iwanowie, jako klasyku. Dopiero teraz przekonano się, że nie temat z mitologji antycznej czy dziejów starożytnych, ale cała postawa twórcza poety wobec świata i sztuki decyduje o przynależności do klasyczności, względnie do neoklasycyzmu. Właśnie w utworach Mandelsztamma, najdobitniej w „Tristiach" (1921) występuje ów akmeistyczny neoklasycyzm: temat często mitologiczny lub historyczny, ale nieraz i zupełnie współczesny — harmonja jednak między wszystkiemi elementami formy i treści, wiersz doskonale rozwinięty, pełny, a przecież umiarkowany, spokojny, pod względem rytmiki i rymu niepokalanie konsekwentny; dołączmy do tego teoretyczne wynurzenia autora o sztuce, którychby się nie zaparł żaden członek Akademji Francuskiej z czasów Ludwików — oto probierze, czyniące z akmeizmu Mandelsztamma prawdziwy neo-klasycyzm, to zn. niezmieniony klasycyzm przedromantyczny, oglądany jednak oczyma człowieka XX stulecia. Niestety, sam Mandelsztamm nie potrafił utrzymać owej idealnej równowagi między elementami dzieła sztuki: w ostatnich jego utworach coraz dobitniej począł występować fakt zatrważający: zubożenia treści, które u innych pomniejszych akmeistów i u zbliżonego do nich, choć i nie zrzeszonego z nimi — poety Kuźmina — przerodziło się w wyjałowienie. Z tej strony właśnie zagroziła — i to wkrótce już po powstaniu — akmeizmowi degeneracja, której zarodki tkwiły już u źródeł kierunku, tkwiły w poezji twórcy tej szkoły poetyckiej, Gorodieckiego.

Jakiś czas (w latach 1911 i następnych) Petersburg literacki i czytający zachwycał się, upajał, zachłystywał poezjami Sergjusza Gorodieckiego, tętniącemi niezrównaną — naprawdę szczerze muzyczną („genre" uartystycznionej piosenki ludowej) — melodyjnością. Słuchacz i czytelnik, chłonąc te dźwięczne kombinacje słów, o treści nie-

zmiernie prostej, nieraz doprowadzanej do prymitywu — rozkoszował się ich bezpośredniością, która tem bardziej zachwycała, im silniej nużyła przedtem i wyczerpywała natężenie myśli mglista poezja symbolistów. W sukcesie jednak tej treściowo uproszczonej do maximum, formalnie umuzykalnionej poezji tkwiło niebezpieczeństwo i dla autora i dla całej jego szkoły. Niebezpieczeństwo to zrealizowało się zarówno w wymienionem wyżej zubożeniu treści u neo-klasyka Mandelsztamma i pomniejszych akmeistów, jak i w kompletnem wyrodzeniu się poezyj Gorodieckiego, który po przejściu mody na beztreściową melodyjność wiersza — bezskutecznie próbował swych sił w ożywieniu swych utworów jakąś bogatszą treścią.

Zato pełne nieodpartego czaru liryki kobiecej, poezje Anny Achmatowej — wprost rozsadzała bujna, głęboka, nieraz zadumana boleśnie, nieraz buntująca się tragicznie, chwilami zaś tętniąca stałą nutą apatji i typowo kobiecej bierności — treść miłosna. Znakomita ta poetka, Anna Gorienko (Achmatowa — to jej pseudonim) ograniczyła się do bardzo ciasnego zakresu treści: wyłącznie do kręgu przeżyć miłosnych, osobistych lub kobiet sobie podobnych. Żadna poetka, ani polska, ani rosyjska nie potrafiła z taką wstrząsającą siłą, a w tak prostej, niewyszukanej formie — odtworzyć tych niezliczonych odcieni, jakie cechują życie erotyczne kobiety bardzo kobiecej. Najbardziej charakterystyczną postawą Achmatowej-poetki i Achmatowej-kobiety wobec zjawisk miłości — to zdumienie, a potem poddanie... Jeżeli zwrócimy jeszcze uwagę na to, że treść swych poezyj czerpała z własnego pożycia z mężem, niepospolitym człowiekiem, indywidualnością nawskroś nieprzeciętną — i to pożycia nieszczęśliwego, w dramatyczne, tragiczne nieraz momenty obfitującego... pożycia, które przerwał rozwód, po którym autorka wyszła zamąż znowu za niepospolitego, arcyciekawego człowieka, znakomitego assyrologa i bardzo oryginalnego poetę, Szylejkę — zrozumiemy, ilu najrozmaitszemi, często najbardziej nieoczekiwanemi, oryginalnemi, a zawsze szczeremi nutami rozbrzmiewa ta erotyka, zawarta w tomikach „Białe stado", „Paciorki" (z piękną balladą „Szarooki król") i „Anno Domini XXI".

Mimo niepospolitego talentu Achmatowej i jej dorobku poetyckiego, mimo neo-klasycyzmu Mandelsztamma i muzykalności Gorodieckiego, a dzięki szybkiej degeneracji, jaką dostrzegliśmy i u tych dwu poetów i u pomniejszych ich zwolenników — akmeizm przeszedłby bez wielkiego echa, jako jedna z niezliczonych prób szukania nowych dróg; szybki rozkład tego kierunku literackiego zakwalifikowałby go do ujemnej raczej oceny ze strony historji literatury. Że tak się nie stało, że akmeizm jest obok symbolizmu Balmonta, Briusowa i Błóka najpoważniejszą rosyjską szkołą poetycką XX wieku — powodem oryginalna, odbijająca jaskrawie od całej poprzedzającej i następującej poezji rosyjskiej stulecia — twórczość Mikołaja Gumilowa, który nietylko był założycielem szkoły akmeistów, ale z którego imieniem właśnie w stopniu najsilniejszym związane są typowe dla akmeizmu cechy zarówno formalne, jak i treściowe, a więc pedantyczne cyzelowanie formy, posługiwanie się skomplikowanym aparatem teoretycznym, bogata, z życia czerpiąca treść i tegoż życia gorące, namiętne umiłowanie, kult siły żywotnej ducha i ciała, rozmiłowanie się w barwnej a bujnej przeszłości — oderwanie się od realnego, codziennego życia — wegetacji w gabinetach i salonach, w imię poszukiwania życia pełniejszego, bujniejszego, piękniejszego... poszukiwania go w czasach minionych (historyzm) i w krajach dalekich (egzotyzm).

Akmeistą w tem znaczeniu, jakie nadajemy temu określeniu, jako czemuś przeciwnemu symbolizmowi — był Gumilow nietylko w swych poezjach, ale w swem życiu; twórca szkoły poetyckiej, która za program wzięła umiłowanie pełni i bujności życia — konsekwentnie ten program realizował nie w wierszach tylko, ale i czynach. I nietyle właśnie nawet poezja, ile to osobiste życie rzeczywiste robi z Gumilowa na tle cieplarnianej atmosfery, w której żyli i pracowali poeci początków XX w., — zjawisko oryginalne, zupełnie wyjątkowe, ze wszechmiar najżywszej godne uwagi.

III.

Mikołaj Stiepanowicz Gumilow urodził się w r. 1886 w Carskiem Siole, letniej rezydencji rosyjskiej

rodziny cesarskiej (pod Petersburgiem). Pochodził ze sfery średnio-inteligenckiej, typowo „burżuazyjnej", szeroko ustosunkowanej. Po ukończeniu carskosielskiego gimnazjum studjował w Petersburgu i Paryżu. Datujące się od lat najwcześniejszego dzieciństwa umiłowanie bujnego, pełnego wrażeń życia, pogarda dla mieszczańskiego sybarytyzmu, płomienna wyobraźnia i rozmiłowanie się w bohaterskich postaciach dawno minionej przeszłości i tęsknota za dalekiemi egzotycznemi lądami i morzami — wszystko to wzbierało w młodej duszy, pęczniało i rozsadzało ją gwałtowną potrzebą wyładowania się, wypowiedzenia się... W bardzo wczesnym też wieku zaczął Gumilow pisać; początkowo była to proza, lubująca się w tematach średniowiecznych, rycerskich, często nawpół fantastycznych (legendarnych). Próby prozaiczne jednak nie odbiegały zbytnio od przeciętnego poziomu, od modnego szablonu; dopiero tomikiem „Perły", pierwszym swym zbiorkiem poezyj, który się ukazał w r. 1910, zwrócił na siebie Gumilow powszechną uwagę i odrazu wybił się do szeregu największych poetów swego czasu. Fantastyka, stylizowany nieco egzotyzm i historyzm stanowią przewodnią nutę wszystkich „Pereł": Czarnej, Szarej i Różowej. W przeciwieństwie jednak do symbolistów, którzy przecież także czerpali tematy z tych właśnie dziedzin — egzotyka i historyzm Gumilowa tkwią silnie w rzeczywistości, wyzbyte są wszelkiej symboliki — czytelnik nie potrzebuje doszukiwać się w nich żadnej ukrytej myśli. Z utworów, w tym tomiku zebranych, na szczególną uwagę zasługuje wiersz wstępny, coś niby preludjum „Czarodziejskie skrzypce", w których los poety wobec tłumów porównany jest do położenia skrzypka, otoczonego przez wilki: musi grać i grać... a gdy ustanie, głodne bestje rzucą się mu na gardło i rozszarpią... Do wybitniejszych utworów należą „Barbarzyńcy", „Beatrycze", tryptyk „Powrót Odyssa", „Pojedynek" i największy rozgłos zdobywający „Kapitanowie", hymn ku czci tężyzny ducha i woli prawdziwych mężczyzn, odkrywców i zdobywców dawnych wieków.

W roku 1911 tęsknota za i n n ą rzeczywistością, niż ta, w której się obracał, i żądza przygód wypędzają Gumilowa w dalekie światy: zwiedza wschodnią Afrykę, robi niebez-

pieczne wyprawy, poluje na lwy i słonie. Po powrocie rozpoczyna omawianą już wyżej akcję przeciw symbolistom, tworzy „Cech Poetów", w samej nazwie którego tkwi zaprzeczenie hieratycznego poglądu symbolistów na rolę twórcy, staje na czele akmeistów, pisze też racine'owsko-klasyczną tragedję wierszem na tematy staroislandzkie p. t. „Gondła". O nieszczęśliwem pożyciu małżeńskiem z Anną Achmatową i rozwodzie była już wyżej mowa; te nieszczęścia osobiste i jakiś nieprzeparty urok ciągną Gumilowa znowu do Afryki: tam, na łonie przepysznej, egzotycznej natury stara się zapomnieć o bolesnych swych przeżyciach. Podróżuje też po Morzu Śródziemnem i Włoszech. Gdy wybuchła w r. 1914 wojna z Niemcami, Gumilow był jedynym z wybitniejszych poetów rosyjskich, który poszedł na front. Trudno dociec, co nim kierowało: czy znowuż żądza przygód, czy też swoisty, ale niewątpliwy patrjotyzm i wiara w posłannictwo dziejowe Rosji. Nie jest wykluczone, że odgrywała też rolę rozpacz po lekkomyślnej, własną winą w dużej mierze powodowanej, utracie szczęścia osobistego. Zaciągnął się jako ochotnik do kawalerji, walczył w Prusiech Wschodnich, był ranny i dwukrotnie odznaczony krzyżem św. Jerzego. Potem był w oddziałach rosyjskich w Macedonji i przy froncie zachodnim. Owocem przeżyć wojennych jest tomik „Kołczan", w którym nietylko składa hołd „najpiękniejszej z wojen, której zazdroszczą Aleksander i Agamemnon", ale dzięki wojnie tej, dzięki obcowaniu z rozpętanemi żywiołami, w obliczu bohaterstwa i śmierci — znalazł i uwielbił Majestat Boga i człowieczeństwo. Ze strof jego w „Kołczanie" bije prawdziwie żołnierska, prosta, naiwna, gorąca wiara i w Boga i w cerkiew rosyjsko-prawosławną, fundament przyszłej Nowej Jerozolimy. Nawrót ten jednak do wiary ojców, tak rzadki u rosyjskiej inteligencji przedwojennej, nie przeszkadza mu w tymże „Kołczanie" w szeregu wierszy (Średniowiecze, Wenecja, Rzym, Genua, Padwa) podziwiać kulturę Zachodu, stworzoną przez katolicyzm i „wielkich i świętych papieży".

Wybuch rewolucji bolszewickiej zastaje Gumilowa poza granicami Rosji, w Paryżu, gdzie właśnie pracował nad nowym zbiorkiem „Stos". Niebawem do całej Europy zachod-

niej, a do Paryża w szczególności napływać poczęły rzesze emigrantów rosyjskich, nie chcących się poddać regime'owi sowieckiemu — wśród nich wielu wybitnych poetów. I znowu jakby na przekór fali, Gumilow postanawia jechać do Rosji, — i znowu niewiadomo jakie kierowały nim pobudki: nostalgja za ziemią ojczystą czy rozmiłowanie się w niebezpieczeństwie, żądza nowych wrażeń i przygód. „Polowałem w Afryce na lwy; nie przypuszczam, żeby bolszewicy byli bardziej niebezpieczni" — mówił i w r. 1918 wyjechał do Petersburga.

W podupadłej stolicy nadnewskiej prowadził wytężone życie twórcze. W tej właśnie epoce do szczytu, nawet do przesady dochodziła jego pracowitość i pedanterja w cyzelowaniu formy wiersza — wielbiciele nawet nazywali go jednocześnie „genjalnym poetą" i „bezdusznym rzemieślnikiem". Gumilow zgromadził dookoła siebie dawnych wyznawców akmeizmu i nowych uczniów i stworzył Drugi Cech Poetów; prowadził jednocześnie szkołę sztuki poetyckiej, wykładając teorję wiersza, naśladowany, podziwiany, uwielbiany, szczególnie przez kobiety. Wziął też udział w pracy nad wielkiem wydawnictwem przekładów z literatur obcych, redagowanem przez Gorkija. W r. 1921 wyszedł tom „Słup ognisty", owoc usilnej i wytężonej pracy twórczej. Talent Gumilowa doszedł w tych poezjach do zupełnej dojrzałości: są w tym zbiorku prawdziwe arcydzieła, utwory najwyższej klasy literackiej, jak np. stylizowany na fantastykę prerafaelicką „Las", „Pamięć", „Dusza i ciało", „Szósty zmysł", „Pijany derwisz". W „Słupie ognistym" Gumilow świadomie i ze skutkiem znakomitym uprawia wysokiej klasy szkołę parnasistów francuskich, jak Lecomte de l'Isle, Jose Maria d'Heredia. W tym samym roku dochodzi do szczytów artyzmu, stwarza pomnikowe arcydzieło egzotyzmu rosyjskiego w zbiorku p. t. „Szatior" (Namiot). Jednocześnie w utworach jego coraz to silniejszym akordem rozbrzmiewa przeczucie nadchodzącej śmierci, poezja wielkiego klasyka i realisty staje się coraz bardziej niespokojna, coraz bardziej nerwowa; zaczyna Gumilow lubować się w tematach dziwacznych, niesamowitych, jak np. w wierszu „Zbłąkany tramwaj"; pociągają go też prapoczątki świata i człowieka: na tem tle tworzy większy utwór p. t. „Gwiaździste przera-

żenie" z życia ludzi pierwotnych i rozpoczyna „poemat Początku" p. t. „Smok".

Pracę tę przerywa rzeczywistość. Bolszewicy okazali się jednak bardziej niebezpieczni, niż lwy. Gumilow został aresztowany pod zarzutem działalności kontrrewolucyjnej. Do dziś dnia nie stwierdzono, czy oskarżenie było słuszne: naogół dotychczas panowało przekonanie, że Gumilow nie brał żadnego czynnego udziału w akcji kontrrewolucyjnej; na podstawie jednak świadectwa ludzi, znających go osobiście, można stwierdzić, że poeta żywił gwałtowną nienawiść do bolszewików i że raczej należał do skierowanych przeciw ich regime'owi spisków.

23 sierpnia 1921 roku z rozkazu piotrogrodzkiej „Czeki" znakomity poeta został rozstrzelany: spełniło się jego marzenie, by nie umrzeć po mieszczańsku „pod okiem notarjusza i lekarza" — bujny, pełen niezwykłych przeżyć i wrażeń żywot niezwykły też miał koniec. Został po Gumilowie testament poetycki: utwór p. t. „Moi czytelnicy", w zbiorku „Słup ognisty". W testamencie tym odcina się poeta zdecydowanie od całej cieplarnianej, oderwanej od życia atmosfery, która przesiąkała twórczość innych artystów rosyjskich, i z dumą podkreśla swoje wyjątkowe znaczenie:

— Stary włóczęga w Addis-Abebie, który liczne podbił plemiona, przysłał do mnie czarnego kopijnika z pozdrowieniem, złożonem z moich wierszy.

— Porucznik marynarki, który prowadził kanonierki pod ogień nieprzyjacielskich bateryj, przez całą noc na południowem morzu deklamował mi moje wiersze.

— Człowiek, który w tłumie ludzi zabił cesarskiego posła, zbliżył się do mnie, by uścisnąć mi dłoń i podziękować za moje wiersze.

— Wielu ich, silnych, surowych i wesołych — którzy zabijali ludzi i słonie, którzy umierali z pragnienia w pustyni lub zamarzali na skrawku wiecznego lodu — nosiło moje wiersze w swej torbie podróżnej, zapominało je na tonącym okręcie.

Ja nie zarażam ich neurastenją, lecz gdy świszczą kule, gdy fale uderzają o burty okrętów — ja ich uczę, jak się nie bać... nie bać się i spełniać swój obowiązek.

A gdy kobieta z przepięknem obliczem, jedynie ukochanem we wszechświecie, powie: — Nie kocham ciebie — j a i c h u c z ę, jak uśmiechnąć się, odejść i więcej nie wracać.

A gdy wybije ich ostatnia godzina i krwawa mgła przysłoni wzrok — j a i c h u c z ę, by wspomnieli cały piękny, wspaniały świat, całe bujne, ukochane życie, i stanąwszy przed obliczem Boga — z prostemi i surowemi słowami spokojnie oczekiwali Jego wyroku.

IV.

I rzeczywiście zgodnie ze słowami testamentu, jakim byli „Moi czytelnicy" całą twórczość Gumilowa w równym stopniu, co i jego życie osobiste, przenika umiłowanie siły, barwności i bujności życia, kult bohaterstwa, rozmiłowanie się w przeżyciach silnych, gwałtownych, niebezpiecznych. Poezja jego jest najbardziej męską z pośród całej poezji rosyjskiej, a może i całej wielkiej poezji światowej XX wieku. Ta typowo męska postawa wobec życia i twórczości zbliża poetę Gumilowa do dramaturga — Rostanda (jako autora „Cyrano de Bergerac"), powieściopisarza historycznego — Sienkiewicza i powieściopisarza psychologicznego — Józefa Conrada, którego Heyst w „Zwycięstwie" powiada, że nie jest prawdziwym mężczyzną, bo „nigdy nie kochał kobiety i nigdy nie zabił mężczyzny..."

Równie, jak Oskar Wilde, mógłby nosić Gumilow przydomek „króla życia", — zachodzi jednak zasadnicza różnica między pisarzem angielskim, a poetą rosyjskim w podejściu do zagadnienia istoty życia. Dla Wilde'a życie — to u ż y c i e, dla Gumilowa — p r z e ż y c i e. Niech to przeżycie będzie dobre czy złe, radosne czy bolesne, — jako mężczyzna prawdziwy, nie stroni Gumilow od ciosów, jakie wymierza mu życie, nie unika ich, — nie, nawet ich pragnie, by z niemi walczyć. Nuta ta rozbrzmiewa poprzez całą jego twórczość, najsilniej jednak, najwspanialej ten kult bohaterstwa i wielkości i tęsknoty za pełniejszem, barwniejszem życiem uderza w utworze p. t. „Kapitanowie". Wiersz ten, tętniący uwielbieniem dla wielkich podróżników, odkrywców i zdobywców — to arcydzieło rytmiki, która w pierwszej części uderza ostro i silnie, niby fala gwałtowna o burtę

okrętu, w drugiej natomiast zwalnia tempo, staje się coraz bardziej uroczysta i majestatyczna, rozbrzmiewa, jak hymn ku czci „Kapitanów":

Wszyscyście rycerzami szmaragdowych chramów,
dłoń dzierżący na sterze w burz wściekłej kąpieli...
Goonaldo i Cook, la Peruse i Da Gama
i Genueńczyk Kolumb, książę marzycieli.

I Kartagińczyk Hanno, książę Senegambji,
Sindbad - żeglarz, Ulisses, wielki król tułaczy...
Waszą sławę toń morza w dźwięcznym dytyrambie
rytmem wiecznych przypływów piach wybrzeży znaczy.[1])

Ale nietylko ci wielcy sławni podróżnicy, — czci są też godni i flibustjerzy, „psy królewskie", ukrywający złoto w portowej kryjówce, i Arabowie, wiary poszukiwacze, i pierwsi ludzie, na pierwszej tratwie, i każdy... każdy,

kto zuchwały, kto szuka, kto tęskni,
komu ziemia praojców stopy rącze parzy...

Rozpamiętując dzieje tych podróżników, mimowoli marzy poeta, że może są jeszcze kraje, nietknięte stopą ludzką... kraje cudowne, niby z baśni... i rozpiera go radość życia, żądza wędrówek po krajach dalekich,

jakby jeszcze nie wszystkie przeliczono gwiazdy
i nie zmierzono ziemi od końca do końca!

To też nic dziwnego, że człowiek, który takim potężnym wybuchem uwielbił wędrowców po morzach, zuchwałych poszukiwaczy przygód, gdy zwrócił się ku przeszłości ojczyzny swojej i w zamierzchłych jej dziejach szukał swego rosyjskiego „praducha" — znalazł go nie wśród dawnych Słowian spokojnych, barciami i sochą się parających, nie w skostniałym konserwatyźmie Rusi carsko-bizantyńsko-prawosławnej, nawet nie w tętencie kopyt niezliczonych najeżdżających tę Ruś hord mongolskich, — nie, za praojców swych uważał Wariagów, Normannów, wikingów północnych, którzy na łodziach lotnych przemierzali morza i trwogę roznosili po Europie całej i najechali ongiś ludy słowiańskie

[1]) Przekład Tadeusza Hollendera — Lwów.

i początek dali państwu rosyjskiemu. Jak i ich, rozpiera Gumilowa duch wojowniczy, jak i oni — z radością szedł w ogień bitew, lecz dzielą ich przecież wieki chrześcijańskiej kultury, to też apoteozując wojnę, daleki jest poeta od gloryfikacji krwiożerczego szału i nienawiści. Choć gorącym jest patrjotą rosyjskim, wierzy niezłomnie, iż tylko temu da Bóg zwycięstwo ostateczne, kto obalonemu wrogowi powie:

Kochany!... Oto przyjm mój braterski pocałunek...

Bardzo męskie też jest nastawienie Gumilowa-poety wobec problemów kobiety i miłości. W zasadzie stanowisko jego mieści się pomiędzy odcieleśnionym mistycyzmem erotycznym Błoka, a wyrafinowaną zmysłowością Briusowa. Gumilow wierzy, że miłość kobiety — to dobro, jedno z największych na świecie, radość dla duszy, rozkosz dla ciała. I on idealizuje miłość i kobietę, idealizacja ta jednak nie polega na wyrzeczeniu się świadomem rozkoszy, której źródłem stać się może kobieta ukochana, ale na szacunku i czci względem tej kobiety, na niezniżaniu jej do poziomu chwilowej zmysłowej uciechy tylko, lecz przeciwnie — na wywyższeniu jej godności do poziomu nadludzkiego nieraz. Oto w przepięknym wierszu „Barbarzyńcy" wyrafinowana w pieszczotach erotycznych królowa barwnego, bogatego, słonecznego południa z dreszczem rozkoszy oczekuje nowych, nieznanych, strasznych, ale napewno upajających i oszałamiających wrażeń, jakie ją czekają w objęciach okrutnych, dzikich barbarzyńców Północy, grożących zagładą jej stolicy. Lecz barbarzyńcy marszczyli dumne brwi... wspominali wędrówki przez śniegi i lody... wspominali niebo zimne i ptaków świegot w borach i władczo-niebieskie spojrzenia kobiece i struny, na których skaldowie grzmieli o majestacie kobiecym... I zawrócili na Północ z dumnym wzgardliwym uśmiechem...

W późniejszych poezjach Gumilowa coraz silniejszy występuje rozdźwięk między idealizmem erotycznym, a zmysłowością; w niektórych jego utworach (np. wiersz „Przy kominku") urasta kobieta do rozmiarów budzącej podziw i lęk, ogromnej, niepojętej, ale wrogiej i złowróżbnej siły. Jedyna ucieczka przed nią to rzucenie się w niezmierzony

ocean ogromu świata, co tem chętniej czyni poeta, ponieważ nigdy w życiu nie opuszcza go umiłowanie nieznanej, tajemniczej dali... wieczna tęsknota za obcemi, dalekiemi krajami... To też nic dziwnego, że w przepięknej parafrazie homerowego powrotu Odyssa, sterany wędrówkami król-tułacz — wbrew temu, co głosi epopea helleńska a zgodnie z dawnemi podaniami — opuszcza na nowo ojczystą Itakę, bo nie może znaleźć szczęścia w domu przy boku żony, bo wołają go światy dalekie i morza przestronne. Nietylko sam odchodzi, ale ciągnie za sobą młodzieńczego syna:

No, więc się zbieraj, mój Telemaku,
W długą wędrówkę wężami dróg: —
Musimy służyć na czarnym szlaku
Bezlitosnemu bożyszczu trwóg.

Znów ukochamy mamiącą dal my,
Księżyc nam złotem szlak będzie słał:
I znowu święte ujrzymy palmy,
Wielkiego Pontu spieniony wał [1])

Poeta, tak wrażliwy na poszepty dali mamiącej, tak bardzo rozmiłowany w wędrówkach po światach dalekich a nieznanych, a nęcących — więcej, niż ktokolwiek bądź, predysponowany był do stworzenia arcydzieła w zakresie poezji egzotycznej. I stworzył je, a raczej nie jedno, tylko cały cykl małych arcydzieł, stanowiących zbiorek „Szatior" („Namiot"). Jest to szereg utworów, poświęconych różnym krajom Afryki; najpiękniejsze z nich to „Zambezi" (próba odtworzenia psychiki murzyńskiego męża-bohatera), białym wierszem pisany „Las równikowy" i nastrojowy, melancholijny „Półwysep Somalijski", zakończony przecież typowym dla Gumilowa akordem kultu bohaterstwa. Oto opowiada nam poeta, że otoczyło go dzikie plemię Somalisów, że nazajutrz odbędzie się bezlitosna, nierówna walka, — a przecież tam na księżycu wróg nie mógłby podejść go...

lecz gdy nad ranem zniżył się księżyc,
już nie ten, co przedtem, ale czerwony, straszliwy... —
zrozumiałem, że on, niby tarcza rycerska

[1]) Przekład Konstantego Symonolewicza jnr. — Warszawa.

płonie ku wiecznej chwale bohaterów...
I wielbłądy kazałem położyć
i karabinowi powierzyłem swobodną swą duszę...[1])

Zawsze z odwagą patrzy nieustraszony w oczy śmierci. Niedługo przed jej nadejściem począł przeczuwać jej bliskość. Lecz nie zatrwożył się tem. Traktował ją, jako rozrachunek za wszystkie szaleństwa, radości, grzechy i majaki życia. W wierszu „Dusza i ciało" — to ostatnie, wyliczając to wszystko, co od życia wzięło, spokojnie i z dumą mówi:

Za wszystko, com miało i czego chcę,
za wszystkie smutki, radości i majaki, —
jak przystało na męża, zapłacę
zgonem nieuchronnym.[2])

Tak pisał niedługo przed śmiercią najbardziej męski z poetów — Gumilow. I zapłacił.

V.

Po śmierci Gumilowa akmeizm wegetował jeszcze czas jakiś. Uczniowie wielkiego poety: Adamowicz, G. Iwanow, Neldichen, Odojewcewa, Ocup — wydawali almanach „Cech poetów" (naprzód w Petersburgu, potem w Berlinie) — była to jednak już zdecydowana dekadencja: uprawiano wyłącznie kult klasycznej formy w myśl wskazań zmarłego mistrza, walory treściowe nie istniały prawie żadne. To też „antyburżuazyjna" kampanja literacka, prowadzona w Rosji bolszewickiej w imię zasad nowopowstającej estetyki kolektywistyczno-proletarjacko-marksowskiej — zmiotła epigonów akmeizmu z areny życia kulturalnego kraju w pierwszym

[1]) A kogdá piéried útrom skłoníłaś łuná,
Už nie tá, a krasná i straszná,
Pónіał já, czto oná tóczno rycarskij szczit
Wiècznoj sławoj gierójam gorít,
I wierblúdow wieléł położyť i ružjú
Wwiérił wólnuju dúszu mojú.

[2]) Za wsió, czto ja imiéło i choczú,
Za wsie pieczáli, rádosti i briédni,
Kak podobájet múżu, zapłaczú
Niepoprawímoj gibielju poslédniej.

niemalże szeregu. Większość akmeistów, między nimi i Achmatowa, pozostała w Rosji; emigrowało bardzo mało. Współtwórca kierunku i „przyjaciel" Gumilowa Gorodieckij, który gdy wybuchła wojna, wystąpił z przesadnie szowinistycznym wierszem — teraz po rozstrzelaniu Gumilowa napisał nowy wiersz, w którym szkalował wielkiego poetę i jego pamięć i płaszczył się przed nowymi władcami Rosji.

Panowanie akmeizmu, choć krótkie, doniosłą spełniło rolę w dziejach literatury rosyjskiej: położyło kres mętnym spekulacjom metafizycznym symbolistów i rzuciło podwaliny poezji o treści nowej, odpowiadającej konstrukcji i potrzebom psychiki nowoczesnego człowieka, formalnie jednak nawracającej do wielkich wzorów klasycznych. Gdyby nie przewrót polityczny, a za nim i kulturalny, gdyby nie przedwczesna śmierć najpotężniejszej indywidualności twórczej kierunku — Gumilowa, akmeizm zaważyłby niewątpliwie bardzo poważnie na dalszych losach poezji. Ale i w tej formie, w jakiej zaistniał i przeszedł do historji literatury — ma zasługę uratowania poezji rosyjskiej przed roztopieniem się w „niebycie", dokąd pchali ją symboliści, a pozatem wydał wielkiego, oryginalnego, bardzo ciekawego poetę, największego mistrza rosyjskiego egzotyzmu, wybitnego twórcę historycystycznego — Gumilowa.

W Polsce — choć nowa poezja rosyjska cieszyła się jakiś czas dosyć dużem uznaniem i popularnością, choć najwybitniejsi poeci nasi przyswajali językowi polskiemu utwory Balmonta, Briusowa i Błoka — akmeizm jest prawie zupełnie nieznany.

Poza cytowanemi wyżej przekładami oddzielnych utworów, poza przekładem „Paciorków" Achmatowej i różnemi dorywczemi tłumaczeniami — czytelnik polski nie ma możności zapoznać się z o wiele bardziej dostępną, niż poezje symbolistów — bujną i barwną twórczością akmeistów, w pierwszym rzędzie Gumilowa. Na tłumaczy swych czekają „Barbarzyńcy", reszta „Powrotu Odysa" i „Kapitanów", „Słup ognisty" i wspaniały „Namiot", najprawdopodobniej szczyt poezji egzotycznej w całej literaturze słowiańskiej. Ci, którzy najbardziej byli powołani do przyswojenia akmeistów językowi polskiemu — tłumacze trzech wielkich „B",

Majakowskiego i Jesienina, poeci ze „Skamandra“ odnieśli się do akmeizmu lekceważąco, określając go — na podstawie powierzchownego, ryczałtowego sumowania tkwiących w nim elementów klasycznych, romantycznych i realistycznych, historyzmu i klasycyzmu — eklektyzmem.

Praca więc powyższa jest pierwszą próbą zapoznania czytelników polskich i miłośników literatury rosyjskiej zarówno z genezą i istotą prądu poetyckiego, akmeizmu, jak i z życiem i twórczością Mikołaja Gumilowa.

Teodor Parnicki.

Po dziewięcioletnim pobycie w Północnej Rodezji.

W modlitwie o nawrócenie Afryki, potwierdzonej przez Leona XIII w roku 1885, mieszczą się słowa: *ut Deus tandem auferat maledictionem Chami a cordibus eorum*"...

Nieraz dyskutowano założenie, czy rzeczywiście „Czarni" noszą na sobie piętno przekleństwa Chama; przypisywano temu trudności w ich nawróceniu, tembardziej niepowodzenia w utrzymaniu czarnych chrześcijan przy życiu łaski. Byłoby rzeczą niezmiernie pożądaną dociec, czy rzeczywiście to przekleństwo na nich ciąży i jak daleko sięgają jego skutki. Zagadnienie to jednak jest osobliwie trudne z tej szczególnej racji, że niema chyba narodu — jeśli tak wolno mówić o całem rojowisku plemion — któryby dla nas „białych" był tak trudny do poznania, jak murzyni.

Po bardzo wielu latach pracy nad nimi i z nimi, powiedział pewien bardzo rozumny Anglik: Im dłużej się z Czarnymi obcuje, tem bardziej przychodzi się do przekonania, jak mało ich się zna.

Nie wiedzą Czarni, ile to Biali o nich książek piszą, ile dzisiaj wychodzi uczonych „Przeglądów", miesięczników, pism, ich zagadnieniu poświęconych, ile tomów zawiera korespondencja z Afryki, o Afryce... wychodząca z pod piór tak katolickich, jak protestanckich. Można śmiało powiedzieć, że toczy się walka i moralna i intelektualna o duszę „Czarnego". A tymczasem ta biedna dusza od wieków omroczona błędem i barbarzyństwem, zaledwie budzi się do pełno-ludzkiego życia.

Żeby zacząć od dwóch wielkich potęg, które o duszę Czarnych w tej chwili walczą — gdy się weźmie do ręki protestancki „Międzynarodowy Przegląd Misyjny", *(The International Review of*

Missions, Edinburg House, Eaton Gate, London) zdawałoby się czytelnikowi, że cały świat jest w rękach protestanckich Misjonarzy. Pracuje przecież choćby w naszej małej Rodezji 17 sekt, do których przyłączyły się od niedawna najniebezpieczniejsze, bo na tle religijno-narodowem: „*Watchtower'y* i Narodowy Czarny Kościół: *The Methodist Episcopalian Native Clergy Church*". Trzeba dopiero wziąć w rękę katolicką *Revue d'Histoire des Missions*, liczącą już dziesiąty rok wydawnictwa pod przewodnictwem Jerzego Goyau z Akademji Francuskiej, by tamże zaczerpnąć ufności, że jest i inna walcząca strona, i to taka, która, mając prawdę za sobą, zwyciężyć musi.

Jeżeli wogóle *cor humanum abyssus*, to tembardziej: *cor Nigritae abyssus multa*. Św. Tomasz z Akwinu twierdzi, że każdy poszczególny Anioł osobny dla siebie stanowi rodzaj. Chociaż tego o Murzynach powiedzieć nie można, prawdą jest, że nietylko szczepy do jednej rasy należące, niezmiernie są odmienne, ale nawet plemiona tej samej rodziny „Bantu" bardzo się od siebie różnią.

O ile było to możliwem przez dziewięcioletnią obserwację zgłębić choć trochę psychę Czarnego, i to zaledwie kilku plemion żyjących w naszej Rodezji, (Babemba, Baswaka, Barenje, Balala, Baluano, etc.) nasuwają się nam następujące spostrzeżenia.

Wyjdźmy z faktu, który na ziemi afrykańskiej raz po raz się powtarza.

Misjonarz pragnie rozpocząć pracę apostolską w całkiem jeszcze pogańskiej okolicy. Po założeniu prymitywnego siedliska, jako centrum, przybywa po raz pierwszy do wioski pogańskiej. Niesie ze sobą kulturę europejską i jest przedstawicielem wiary w Chrystusa. Styka się po raz pierwszy z pogaństwem i jego objawami. Napozór nic uderzającego: Dzieci uciekają z płaczem, bo się boją: kobiety stają opodal, bo tak im nakazuje naturalny wstyd: starsi i chłopcy zbliżają się do Białego (Musungu), który jest zawsze interesującym gościem. Podejrzliwi, chcieliby się dowiedzieć, o co nowoprzybyłemu chodzi.

Tu objawia się pierwszy rys charakterystyczny Czarnego: P o d e j r z l i w o ś ć, nieufność, płynąca z bojaźni, która rodzi się drogą atawizmu, z wiekowego uciemiężenia i natury religijnych wierzeń.

Murzyn wyssał z krwi matki strach. Szczepami rządzili czarni wodzowie, *ius talionis* było na porządku dziennym. Odcinano rękę, wykłuwano oczy, skazywano na śmierć głodową, truto. Z chwilą przejścia władzy w ręce Europejczyków okrucieństwa ustały, strach pozostał w żyłach. Bojaźń o własne życie zrodziła wybujały podziw dla „siły": kto wielki, silny, ten godny czci: co małe, słabe: godne pogardy. Poza naturalnem przywiązaniem matki, dziecko jest wzgardzone, wyzyskiwane; młodsi muszą służyć, a więc się boją starszych.

Religja, czyli stosunek do Stwórcy daje im mało. Czystego pogaństwa, w znaczeniu nieuznania Boga, u nich niema. Wierzą, że jest najwyższy Byt, Stwórca, *(Mulungu Resa)*, wiedzą, że jest tam wysoko w niebie; używają jego imienia na potwierdzenie prawdy słów, choćby nawet w kłamstwie. Słychać wśród rozmów: *Resa*, na *Resa*, coby odpowiadało naszemu: „Bóg mi świadkiem, na Boga". Burzę nazywają wprost *Resa*, gwiazdy: oczami Boga: *menso ya Resa.*

Pozatem żadnego religijnego odnoszenia się do samego Boga nie uprawiają; żadnej modlitwy, śpiewów, ofiar. Ich religją, to kult duchów, *(mipaschi)*, kult pełen strachu. O ile można stwierdzić, duchy te są przeważnie duszami przodków, które szkodzić, zabić mogą, a więc trzeba się ich bać i usiłować przebłagać. Kult bojaźni i przebłagania polega, ogólnie mówiąc, na wystawieniu małej chatki i na składaniu tamże ofiar w postaci mąki, piwa, klaskaniu w dłonie, *(kulishya mapi)*, grze na małych instrumentach, tańcach. Trudno dociec, o ile dusza pogańska cierpi, żyjąc pod wrażeniem możliwości zemsty duchów. W każdym razie panuje ogólne przekonanie, że człowiek rzadko kiedy umiera śmiercią naturalną; śmierć jest wynikiem albo zemsty duchów, albo nieprzyjaciół działających pod ich wpływem.

Bojaźń siłą instynktu samozachowawczego, każe szukać obrony, a jest nią w braku siły: u k r y w a n i e s i ę, f a ł s z, p o c h l e b s t w o. Oto inny charakterystyczny rys pogańskiej duszy. Ślimak się chowa do swej skorupy ze strachu przed napastnikiem, tak samo i Czarny. Nie lubi on, by mu stawiano pytania, odpowiedź bowiem mogłaby dać przeciwnikowi w rękę pewne sposoby szkodzenia. Na zapytanie: jak się nazywasz?, odpowie często murzyn: „Moje nazwisko?... Zapomniałem"... Albo poda inne, fikcyjne, nieraz bowiem ma kilka nazwisk: Urodzenia *(ishya lya mutoto)*

imię przybrane gdy idzie na zarobek, inne znów zapisane u komisarza, inne „na wszelki wypadek". Najczęstszą bo najłatwiejszą odpowiedzią, jest „nie wiem", albo „kto tam wie", *(peno, kaya, nino, cifo)*.

Pod wpływem tej samej skrytości ukrywa cokolwiek mogłoby się innemu nie podobać. Rzadko ujrzysz łzę w oku murzyna.

Od skrytości do fałszu jeden krok: Nikt tak nie umie kłamać, jak Czarny. Choć wie, że można mu łatwo dowieść nieprawdy, kłamie, nawet się przysięga, myśląc, że tak najłatwiej będzie mógł wybrnąć. Weszło coraz więcej w używanie słowo *furu* z angielskiego *true*, przyczem Czarny palcem pod szyję przesuwa, dając znak, że za swą prawdę gotów oddać gardło...

Trzecią wreszcie bronią jest pochlebstwo: Czarny wie, że Biały lubi, aby mu potakiwano, daje więc taką odpowiedź, o jakiej myśli, że będzie Białemu przyjemną. Nic więc łatwiejszego, jak otrzymać odpowiedź twierdzącą, znany ogólnie dźwięk Eeeeee...

Obok wyżej wspomnianych bardzo interesującą właściwością psychiki tubylca jest działanie pod wpływem instynktu. Im niższy bowiem stopień kultury, tem słabsze działanie władz intelektualnych jako takich, a więc rozumujących, tem silniejszą jest natomiast samopomoc instynktywna, która dochodzi do takiej doskonałości, że napozór wygląda na rozumowanie. Trzeba dopiero dłuższego doświadczenia i bliskiej obserwacji by się przekonać, jak murzyn mało sylogistycznie myśli, a jak wiele rzeczy czyni pod wpływem instynktu. Czarni pracują nieraz jak kółeczka w zegarku, musi być jednak „Biały" do kontroli, inaczej, gdy coś się popsuje, poza ciasną sferą ich dzikiego życia, wszystko się kończy. Uwydatnia się to również w nauce, w listach, w zastosowaniu tego, czego się murzyn mozolnie przez lata wyuczył.

Z tem uśpieniem systematycznego myślenia łączy się pewna poniekąd jasna cecha murzyńskiej duszy t. j. zupełna beztroska. Tej niefrasobliwości możnaby im nieraz zazdrościć. Byle miał trochę kukurydzianej mąki *(nshima, bwali)*, byle zapłacił swą roczną taksę, *(musonko)* i trochę obrobił pola, nic innego na sercu mu nie leży. Nikt też nie wprowadził w życie programu czy hasła *dolce far niente* tak zupełnie jak murzyni. Daje im ta beztroska naturalną wesołość i dziecinną nad wyraz prostotę; Czarni zawsze dziećmi zostają. Ale to z drugiej strony wyrabia i właściwości ujemne: bierność, inercję, ociężałość, tak trudną do wykorzenie-

nia, tak utrudniającą systematyczną pracę, tak wrogą przedsiębiorczości a zwłaszcza wytrwałości.

Co dotyczy wreszcie poziomu moralnego murzynów, trzeba rozróżnić tubylców przesiedlonych do miast, fabryk i t. d. od tych, którzy żyją stale po swoich wioskach. Dla pierwszych ogólnie mówiąc, wpływ europejskiej cywilizacji nie pokazał się szczęśliwym, Czarny bowiem małpuje co złe, traci co dobre; zarobku zaoszczędzić nie umie. Natomiast moralność Czarnych żyjących na łonie natury, jest, można powiedzieć, znaczna. U nich nagość nie jest nieskromnością, lecz czemś zupełnie naturalnem. Dzieci, póki nie wyrosną, niejednokrotnie żadnego odzienia nie znają. Kobiety zawsze noszą coś w rodzaju spódnicy. Starsi na skromność pilnie uważają, szczególnie wobec obcych. W życiu publicznem „separacja" płci jest przestrzegana. Nietykalność żony surowo broniona a przekroczenia jej karane. Zadziwiające są przestrogi matki wydającej córkę: „Abyś nie spoglądała na obcego mężczyznę". Naturalne te cnoty nabierają większej siły pod wpływem Chrześcijaństwa. Jedna tylko jest rzecz, która wybitnie psuje dobre obyczaje. Tańce, a przedewszystkiem taniec zwany: *Cira* lub *Kasera*, który sam w sobie nie jest może wyuzdanym, ale kończy się często rozpustą i dlatego też stanowi jedną z największych przeszkód pracy apostolskiej. Taniec ten bowiem, na który tubylec patrzy od dziecka, stał się jakby ukochanym zwyczajem narodowym.

Na tak skonstruowany „organizm" duchowy, zaczyna działać nowy, nieznany dotąd czynnik: Kultura zachodnia i religja Chrystusowa.

Jakiż może i powinien być proces tego „szczepienia" i jaka tej akcji odpowie reakcja?

W oddziaływaniu na murzynów popełnia się nieraz różne błędy. Pierwszym z nich jest pośpiech. Nowoprzybyli misjonarze, mniemając, że swym zapałem zdołają wszystko przeistoczyć, pragną jaknajprędzej z dzikiego uczynić ucywilizowanego chrześcijanina, i mieć satysfakcję oglądania na oczy plonów własnej pracy. Jest rzeczą jasną, że ani wiekowa kultura europejska, ani nowa religja, nie rozwiną się, jeżeli gwałtem przeszczepione będą na dziczkę. I duchowy postęp dokonywa się drogą ewolucji, a ta musi mieć etapy rozwoju. Smutnym owocem braku tych etapów jest napół cywilizowany murzyn z miasta, ubrany

z angielska a wewnątrz zupełny barbarzyńca. Dzikiego murzyna trzeba naprzód przerobić na człowieka, pojmującego godność swoją, potem dopiero może być mowa o zbawiennem przyjęciu Chrześcijaństwa.

Stąd wynika że nie trzeba zaniedbywać „naturalnego" wychowania: *Gratia non mutat naturam, sed elevat.* Pius X miał powiedzieć, że nieraz misjonarze się boją naturalnego wyrobienia swych owieczek, tak jakby i natura nie była stworzoną przez Boga. Protestanccy Misjonarze wykazują nieraz początkowo lepsze rezultaty „wychowania", bo chodzi im przedewszystkiem o zewnętrzny „training", czasem przez nas zaniedbywany, tylko że oczywiście brakuje im dalszego ciągu t. j. łaski Bożej, której duszy dać nie potrafią. Naturalnie przygotowanie polegać będzie na wyrobieniu schludności, porządku, punktualności, grzeczności, zamiłowania pracy, energji, posłuszeństwa, etc. Że takie wyrobienie wymaga nieraz lat, jest jasnem. Mylnym jest pogląd, jakoby sama pobożność, czyli wyuczenie się modlitw lub śpiewów, a nawet sam Chrzest, miał zaraz zmienić Czarnego i jego duszę, jeżeli nie będzie do tej zmiany gruntownie przygotowany. Historja niejednej Misji smutnych tu dostarcza dowodów.

Innym błędem w oddziaływaniu na tubylców jest zbytnia europeizacja. Afrykanin powinien zostać Afrykaninem, dobrym afrykańskim chrześcijaninem, tak pod względem swych obyczajów jak praktyki nowej wiary. Inaczej nie przejdzie „zaszczepienie" do szpiku i kości; kultura i Chrześcijaństwo nie będą mu podane odpowiednio do jego natury.

Wszyscy misjonarze uczą się z własnych błędów. Jeżeli Biali Ojcowie mogą się poszczycić wielkiemi rezultatami pracy nad Czarnymi, to zawdzięczają to nie tylko długoletniemu doświadczeniu, ale i tej okoliczności, że umieli zachować w wychowaniu, ducha szczepowego *(African Background)* uszlachetniając go, a potem uświęcając. I tak np. uszlachetnienie ich własnych śpiewów więcej pożytku przyniesie, aniżeli wyuczanie przetłumaczonych europejskich, tyczy się to pod pewnym względem nawet śpiewów kościelnych. Schludne chatki, ulepszone, będą lepiej odpowiadały celowi, aniżeli sztuczne dormitarze. Wybór ich własnych tańców, nieraz ładnych i malowniczych i ich udoskonalenie, bardziej się przyczyni do kultury, aniżeli uczenie tańców europejskich. w wyrobieniu rygoru trzeba brać pod uwagę ich zamiłowanie

wolności, zbyt bezwzględne bowiem ujarzmianie może zwichnąć ich szczery zapał.

Ogólne więc zasady postępowania z murzynami byłyby takie:

Najpierw poznać: o ile możliwe najgłębiej, te dusze, które, jak ładnie mówi rytuał Chrztu: *Deus ad suam gratiam... et fontem Baptismi vocare dignatus est...* To znów jest niemożliwe bez zżycia się z nimi. Ten czynnik zaś jest tem ważniejszym, że życie z nimi nietylko daje rękojmię objektywnego poznania, ale przedewszystkiem wyrabia w nich uczucie zaufania. Ale ponieważ to poznanie jest tak trudnem, musi być powolne i długotrwałe.

Stąd też wymaga ono wiele cierpliwości. Z punktu widzenia czysto naturalnego, mogą nam tu być przykładem Anglicy. Grandezza brytyjska, spokojna nawet w gniewie, odpowiada usposobieniu Czarnego. Cierpliwość, złączona ze sprawiedliwością, tak w ustawodawstwie jak w sądownictwie, zyskała im tubylców. „Pan" *Bwana* tak powiedział, to najwyższy argument. Cierpliwość chrześcijańska oczywiście mierzy wyżej jeszcze: uwzględnia słabość ludzką, nie zraża się niepowodzeniami, nawet wtedy, gdy po kilku a może i wielu latach pracy zdaje się, jakoby wszystko poszło było na marne i na nowo rozpoczynać trzeba.

Cierpliwość jednak nie jest wszystkiem, ale musi iść w parze z systematycznością i dobrą organizacją pracy: bez tego się nigdy nie doprowadzi do prawdziwego przekształcenia pogan i zrobienia z nich szczerych chrześcijan. Do tej organizacji musi należeć głównie kontrola katechumenów i ogólna opieka nad ochrzczonymi czyli staranie o wieś. Podniesienie wsi jest nieraz zbyt mało doceniane. Niedawno pisał jeden z misjonarzy, który zresztą mógłby się poszczycić pewną liczbą dobrych chrześcijan: „Dotychczas przynajmniej u nas wszystko wisi w powietrzu, nie mamy naprawdę jeszcze chrześcijan oddanych Kościołowi i nam: całą duszą i sercem. Wszystko jest jeszcze bardzo powierzchownem". Różne mogą być przyczyny takiego stanu, ale najczęściej — było to, co się nazywa: nieopanowaniem wsi. Celem naszych trosk powinna być wieś, jako zbiór rodzin, z których się rekrutuje kontyngent przyszłych chrześcijan, a nie tylko stacja misyjna. Jeżeli po długotniej pracy nie widać różnicy między wsią pogańską a chrześcijańską, to znak, że Chrześcijaństwa nie podano tu systematycznie i na dobrze zorganizowanem podłożu.

Dzisiaj szczególnie, gdy tak gwałtownie rozdmuchują afrykański nacjonalizm, wytykając bogactwa Europejczyków, wobec nędzy tubylców, podniesienie kulturalne wsi jest niezwykłej wagi. Stacja misyjna, chociaż dla nich pracuje i ich wychowuje, zawsze jest w ich oczach „obcem bogactwem". To zaś opanowanie wsi obejmuje trzy postulaty: Wzorowa szkoła z tęgim nauczycielem, stworzenie choć kilku rodzin prawdziwie chrześcijańskich, a nareszcie: współpraca misji z wsią, choćby w najskromniejszej mierze, t. j. starania o podniesienie schludności wioski, pomoc w budowie chat, wykopanie studni i wogóle zwiększenie dobrobytu. Wówczas tubylcy zrozumią, że misja daje im nietylko katechizm, ale i lepszy chleb powszedni, a najskromniejsza nawet kooperatywa (co nie jest rzeczą niemożliwą) przekona mieszkańców, że co posiadają to i c h własność, ale własność, którą zawdzięczają misji, a wówczas w razie jakichkolwiek przewrotów, misja nie zginie, bo oni jako swego bronić jej będą.

Rzućmy teraz okiem z tego małego biednego jeszcze gniazdka, jakiem jest misja w Rodezji Północnej, na cały kolos, Afryką zwany... Ile pracy, ile cierpień, ile ofiar, ile krwi pochłonęły ziemie czarnego kontynentu, to tylko Bogu wiadomem... Wielu poświęcając się na misje afrykańskie, szczególnie dawniej, mogło wołać z dumą ku Chrystusowi: *Ave, Christe, morituri Te salutant*... Zambezi, Zachodnie wybrzeża, Sahara, Kongo, Uganda, choćby tylko te kraje, zasłane są grobami Apostołów wiary. Zdawało się nieraz, że ziarno zaginie, ale właśnie dlatego, że było siane niewidomą ręką Boskiego Siewcy, wyrosło, będąc ziarnem gorczycznem, w przepyszne drzewo, prawdy, szczęścia i miłości...

Niech świadczy o tem choć kilka liczb (Por. *Afer - Africanae Fratrernae Ephemerides Romanae,* Kwiecień 1933): Afryka katolicka w cyfrach: Wikarjatów: 78. Prefektur: 69. misyj: 9. Kapłanów: 3569. Braci: 2091. Sióstr: 8323. Kapłanów tubylców: 209. Sióstr: 1092. Na ludność rozdzieloną na te 156 centrów pracy liczącą przeszło 135 miljonów (135.778,066) jest chrześcijan cztery i pół miljona (4,581.320) a szkół otwartych 27, 241... *Eppur si muove.*

T o n a r a z i e. A c o n a p r z y s z ł o ś ć?

W dziennikach tutejszych, (przedewszystkiem: *The Bullawayo Chronicle*) słyszy się od dłuższego czasu dwa tony: jeden brzmi: *Amalgamation*, drugi: *Africanisation.*

Amalgamation mówi: złączenie obu Rodezyj, Północnej i Południowej w jedną Wielką Rodezję — *Great Rhodesia*.

Odbywają się wiece, zwoływane przez popleczników pro i contra. Publika wogóle spokojna, niebardzo zainteresowana polityką, zachowuje się raczej biernie, tem goręcej przemawiają i piszą agitatorzy. Gdy parę lat temu wstecz Rodezja Północna wykazywała wielki rozwój górnictwa, zdawało się miarodajnym czynnikom Południowej Rodezji bardzo korzystnem zlanie się z Północą, celem poprawy własnych finansów. Podatki bowiem dochodowe, które zaczęły wpływać na ręce rządu były znaczne. Kopalnie były przedewszystkiem w rękach przedsiębiorstw amerykańskich. Przyszedł krach na *Wall-Street* a za nim depresja i kryzys. Zamykano jedną kopalnię po drugiej, dwie tylko pracowały i to z ograniczoną produkcją. Sprawa złączenia dwóch krajów przycichła. Rząd w Livingstonie (stolicy Północnej Rodezji) znalazł się wobec deficytu, obarczony ponadto sprawą bezrobocia. Południowa Rodezja przetrzymała kryzys lepiej, wówczas zaczęto z północy spoglądać znów na południe, i wołać, że *Amalgamation* jest koniecznością. Wobec tego dziś znów Południe zachowuje się z rezerwą. Piszą więc i dyskutują, ale de facto sprawa zostaje na papierze.

Niemniej ważna kwestja, dotycząca przedewszystkiem Rodezji Północnej, brzmi tak: „Czy Rodezja Północna ma być krajem dla „Białych"? *(Will Northern Rhodesia be a Whiteman's country?)* Jeżeli nie, nie warto się z nią łączyć, ale raczej z Południową Afryką, czyli z tak zwaną Unją, *The Union of South Africa*, obejmującą kraje: Natal, Transvaal, Oranje, Free State i całą Prowincję Kapstatu: *Cape Province*. Cała ta kraina liczy przeszło dwa miljony Europejczyków, podczas gdy na północ od Zambezy jest kilkadziesiąt tysięcy Białych, wobec półtora miljona Czarnych.

Jak zachowują się wobec tych problematów: Rząd, obywatele, misjonarze?

Rząd tutejszy jest całkowicie zależny od departamentu kolonjalnego w Londynie, *The Colonial Office*. Rząd zaś cesarski, *The Imperial Government*, zdaje się mieć więcej na oku dobro tubylców. Kieruje się on naprzód sprawiedliwością, a potem zmysłem praktyczno-gospodarskim. Parę lat temu rząd brytyjski wydał enuncjację, tak zwany *White Paper*, dotyczącą stosunku białej rasy do czarnej w Północnej Rodezji. Papier ten wywołał nietylko

wiele komentarzy, ale i pewne oburzenie wśród tutejszych kolonistów. Znajdowały się tam bowiem słowa: „W kolizji interesów między białą a czarną ludnością, przeważać mają interesa Czarnych" *(the interests of the Natives shall be paramount)*. Ta przewaga — *paramouncy,* była solą w oku tutejszych obywateli.

Rząd kierował się sprawiedliwą racją stanu, która wychodzi z założenia, że kraj jest przeważnie zamieszkały przez tubylców, a więc jest naszym obowiązkiem podnieść ich i później do władzy dopuścić. Możliwem jest jednak, że przemawiał tu i wzgląd gospodarsko-lukratywny t. j., że rząd pragnie powiększyć liczbę konsumentów dla własnych wyrobów. Jeżeli paromiljonowa ludność zacznie używać: kawy, herbaty, tytoniu, wyrobów jedwabnych, otworzy się świetny rynek dla brytyjskiego handlu. Ponieważ zaś z powodu klimatu i innych przyczyn, liczba Europejczyków wolno tylko wzrastać będzie, trzeba jaknajprędzej ucywilizować Czarnego, drogą zaś do tej cywilizacji jest ich polityczne czy też rasowe uprzywilejowanie.

Brytyjczyk, jako obywatel, najlepszy kolonista na świecie, czuje się wszędzie *at home* bo cały świat do niego należy. Dokądkolwiek przybywa, wita go angielska flaga. Chodzi mu tylko o to, by jego rząd był silnym, i żeby tubylcy mu służyli. Nie będzie on więc bardzo przychylny emancypacji murzyna, którego mimo sprawiedliwych uczuć, uważa za istotę o wiele niższą od siebie.

Całkiem inaczej wreszcie patrzy w przyszłość misjonarz. Nie miesza on się do polityki, dobro dusz leży mu jedynie na sercu. Rząd Rodezji odnosi się do misyj katolickich przychylnie, uznając wyższość kulturalną katolickich szkół. W razie przydzielenia obu Rodezyj do Unji zaszłaby ta zmiana, że na miejsce prawa angielskiego przyszłoby prawo Holenderskie, rzymskie, *the Dutch Roman law.* Z powodu zaś rosnącej tamże coraz więcej przewagi Burów tak w dziedzinie politycznej jak każdej innej, zachodziłaby obawa mniej przychylnego stosunku rządu do misyj katolickich.

Naturalnej ewolucji kulturalnej nikt nie chce wstrzymywać, chodzi tylko o to, by ona duchowo i materjalnie chrześcijanom nie zaszkodziła. A ponieważ wedle wskazówek Ojca św. podstawą zdrowej emancypacji może być tylko szkoła prawdziwie chrześcijańska, wychowanie i wykształcenie tubylców jest i będzie naj-

większą troską misji Katolickiej. Najwymowniej świadczy o tem rosnąca liczba szkółek, szkół, seminarjów nauczycielskich, małych seminarjów i dużych. Szczytem zaś marzeń każdego misjonarza jest chwila, kiedy to przez niego wychowany syn Afryki zwróci się do niego, jako kapłan, wymawiając od ołtarza to krótkie słowo wdzięczności dla białej rasy i Białego Kapłana: *Dominus vobiscum...*

Ponieważ tych słów, Bogu dzięki, z czarnych, grubych warg wychodzi coraz więcej, widzimy w tem zadatek lepszej przyszłości.

Ks. Stanisław Siemieński T. J.

Chiński list króla Jana III.

W ostatnim czasie, a zwłaszcza w roku bieżącym, z okoliczności rocznicy Odsieczy Wiedeńskiej, dużo pisano i mówiono o polityce Sobieskiego, jej rozpięciu i wielkich planach — niestety, nieurzeczywistnionych. Do dziejów międzynarodowej polityki Sobieskiego możemy dorzucić jeden, wprawdzie drobny, ale ciekawy szczegół, który polityczne stosunki królewskie jeszcze bardziej rozszerza! Udało się podpisanemu znaleźć w Centralnem Archiwum Jezuickiem (Dział: Jap. Szk. t. 164 fol. 115) list własnoręczny Sobieskiego z r. 1688, pisany do wice-prowincjała chińskiej misji jezuickiej O. Ferdynanda Verbiest, prezesa matematyków na dworze cesarza K a n g - h i, z dynastji tatarskiej.

Aby treść listu królewskiego, uczynić zrozumiałą, należy najpierw podać nieco szczegółów, wyjaśniających ówczesną sytuację polityczną w Chinach i stanowisko Jezuitów na dworze cesarskim.

Pierwsze lata 5-go dziesięciolecia XVII w. — to koniec rządów 21-ej dynastji *Ming* i okres ustawicznych zaburzeń, bardzo przypominających współczesne stosunki w Chinach. Prowincje olbrzymiego państwa zbuntowały się przeciw cesarzowi H o a i T s o n g (T s o n g - T c h i n g); istniało aż 8 armij buntowniczych, które ostatecznie zredukowały się do dwóch. Dowódca jednej z nich, nazwiskiem L i opanował większość prowincyj. Cesarz z rozpaczy po utracie państwa powiesił się w ogrodzie, harem cesarski, eunuchowie i inni dygnitarze dworu poszli za przykładem władcy. Jeden tylko z książąt, O u s a n g u e y stawił opór uzurpatorowi, zawarł pakt z królem Tartarji wschodniej T s o n g - t e, który z wielką armją wkroczył do Chin i pokonał Li'ego; syna zaś T s o n g - t e'g o nazwiskiem C h u n - T c h i obwołano cesarzem. Tak zaczęły

się rządy nowej tatarskiej dynastji Tsing w Chinach. Olbrzymie królestwo wschodnio-tatarskie zostało złączone z cesarstwem chińskiem a tem samem Chiny zbliżyły się do Europy swojemi zachodniemi granicami.

Po ustaleniu się nowego porządku nastał w Chinach za długich rządów cesarza Kang-hi okres spokoju i świetności, a z nim dla działalności misyjnej Kościoła wcale znośne warunki. Za rządów Regencji młodocianego cesarza Kang-hi jeden z regentów wszczął prześladowanie katolików i misjonarzy. Tych ostatnich wtrącono do więzienia, między uwięzionymi był sławny Jezuita, matematyk i astronom, O. Adam Schall i jego młodszy współpracownik O. Ferdynand Verbiest, pochodzący z prowincji flandro-belgijskiej. Urząd prezesa matematyków cesarskich po O. Schall'u objął jeden z mandarynów pałający nienawiścią do chrystjanizmu. Jego wiedza i jego obliczenia kalendarzowe nie tak silne, jak jego odwaga, wnet zawiodły; rozgniewany cesarz wezwał z więzienia, w którem umarł O. Schall, Ojca Verbiest, by poprawił kalendarz i obliczenia nieudolnego astronoma. Nasz misjonarz wywiązał się z tego zadania świetnie, zdobył zaufanie cesarza i objął stanowisko owego mandaryna, który został skazany na śmierć, potem jednak ułaskawiony i wygnany. W latach następnych O. Verbiest wydał po chińsku cały szereg dzieł z zakresu matematyki i astronomji i został również kierownikiem cesarskiej odlewni dział. Dzięki wielkiemu znaczeniu Ojca Verbiest nastał okres względnie pomyślny dla pracy misjonarzy!

Wieści o tem dochodziły przez ich listy także i do Polski i budziły — jak wiadomo — ogólne zainteresowanie. Dziesiątki polskich Jezuitów wpraszały się na misję chińską, chociaż tylko kilku to szczęście przypadło w udziale! Przez polskich Jezuitów najprawdopodobniej trafił do cesarza Kang-hi i król Sobieski. Za rządów tego cesarza ożywiają się stosunki między Europą a Chinami, czego bardzo charakterystycznym objawem jest kolekcjonerstwo chińszczyzny i wpływ sztuki chińskiej na zachodnią stosowaną (meblarstwo, porcelana i t. d.). Ale nie tylko do tej dziedziny ograniczają się stosunki między Europą a Chinami. Stają się one żywsze także i na terenie polityki. W r. 1689 wyjeżdża do Tartarji poseł chiński aby się spotkać z posłami sułtańskimi w celu ustalenia granic obu cesarstw; poselstwu chińskiemu towarzyszą dwaj Jezuici: Gerbillon i Pereyra. Zaczęła się po raz

pierwszy w dziejach zarysowywać możliwość wpływu polityki Chin na sprawy europejskie, dzięki zbliżeniu się cesarstwa chińskiego do państwa Półksiężyca!

Pragnąc wybadać usposobienie potężnego cesarza i poznać jego stosunek do potęgi tureckiej, król Jan, poprzedzony sławą zwycięzcy z pod Wiednia i innych pobojowisk, posłał przez Jezuitów cesarzowi Kang-hi swój portret. Pośrednikiem był potężny na dworze O. Verbiest; lepszego pośrednika dla nawiązania stosunków nie można było znaleźć! O. Verbiest z zadania sobie poruczonego wywiązał się doskonale. Królowi naszemu zdał sprawę z posłuchania „polskiego" u cesarza. Listu tego nie znamy; może uda się komuś odszukać go w korespondencji Sobieskich; znamy jednak odpowiedź Jana III, pisaną w całości własnoręcznie. Z tego szczegółu widać, że Król przykładał wielką wagę do tej sprawy i że był zadowolony z nawiązania egzotycznych stosunków! Oto królewski list, który po powyższych wyjaśnieniach będzie już zrozumiały. [1])

„Joannes Tertius Dei gratia Rex Poloniae...

Venerabilis Pater, devote nobis dilecte. Tametsi tardius per tanta terrarum spatia litterae Paternitatis Vestrae ad nos delatae sint, a tam grato tamen in aula Potentissimi Sinarum Regis Verbi Divini Administro, non potuerunt nisi esse gratissimae. At longe maioris adhuc aestimationis illae amoris et observantiae nobis fuerunt significationes Patrum Societatis, qui in nobilissima illa vinea Apostolica zelo, insignique fructu animarum et Ecclesiae incremento ibidem desudant, quibus vicissim singularem benevolentiam, quam Societatem nostro in Regno complectimur, Devot. Vestris animitus declaramus. Porro quod tantus Sinico — Tartaricus Monarcha, cui maxima pars orbis obtemperat, lubenti animo et effigiem nostram suspexerit et ottomanicam superbiam potentiamque, Superis propitiis, multiplicibus attritam esse victoriis curiosus intellexerit, aeque nobis honorificum ac iucundum esse non inficiamur, immo satisfactionem, quam inde cepimus et grati animi contestationem a Devot. Vestra Eidem Monarchae vicissim exhiberi impense desideramus. Applaudimus insuper Potentissimo Imperatori, quod tot no-

[1]) Wiadomości o O. Verbiest i stosunkach chińskich czerpię przedewszystkiem z dzieła Du Halde S. J.: Description géographique, historique... de l'Empire de la Chine et de la Tartarie Chinoise. t. I. str. 528—550. Paryż 1735 r.

bilissimis Gentibus terra marique imperet et virtutibus nomen toto orbe celeberrimum impleat, diuturnos Suac M-ti annos, gloriae auctoramenta et omnimodam felicitatem a Supremo Numine auguramur, fidem et fraternam cum eodem amicitiam et sincere ambientes, quam certo nobis pollicemur. In hoc quoque non minimum experimur oblectamentum, quod quemadmodum Divina Providentia Polonicis armis et dexteris ad Christianae Religionis Sanctissimae contra barbaros et infidelissimos hostes defensionem uti dignata est, ita potentissimi et sapientissimi Monarchae protectione veri Dei Opt. Max. et Jesu Christi cultus promoveatur, ac Religiosi Soc. Jesu de Sancta Ecclesia tam bene meriti, Imperiali gratia foveantur. Unde Supremum Numen, novis in dies favoribus illum cumulaturum, tandemque verae lucis radiis eiusdem oculos, mentemque illuminaturum, quo longe amplius Regnum consequi, eoque frui in aeternum possit, speramus. Liber de rebus sinicis nondum in nostram devenit notitiam, gratissimum vero nobis fore confidat, si inposterum distinctissimas relationes, morum praecipue et rerum exoticarum, tum ad Regiones tum ad Personas, sive aulae sive aliorum spectant, quavis ad nos miserit occasione. Caeterum devotis Societatis suffragiis nos, domumque nostram commendatam cupimus. Datum Jaworowiae, die 16 Novembris anno Domini 1688 Regni vero Nostri XV^{0}.

Joannes Rex.

Listu Sobieskiego O. Verbiest już nie czytał, umarł bowiem 27 stycznia 1688 r., a więc na 10 miesięcy przed datą listu królewskiego, który zapewne z innemi listami wrócił do Europy i dostał się do Archiwum Zakonu.

Ks. St. Bednarski T. J.

Przegląd piśmiennictwa.

Beletrystyka.

Jan Wiktor: Wierzby nad Sekwaną (tom drugi) Rój. — Tadeusz Dołęga-Mostowicz: Karjera Nikodema Dyzmy i Bracia Dalcz i Ska, Rój. — Anna i Jerzy Kowalscy: Złota kula, Rój. — Stefan Napierski: Rozmowa z cieniem, Rój. — Aleksander Szczepański: Drapacze i śmietniki (wrażenia amerykańskie), Rój. — Paweł Popiel: 2918 kilometrów na koniu, odbitka z „Czasu". — Aniela Gruszecka: Przygoda w nieznanym kraju, Wyd. Kobiety współczesnej. — Adam Ważyk: Latarnie świecą w Karpowie, Rój. — Maciej Wierzbiński: Honor, Bibljoteka Dziennika Poznańskiego. — Zofja Reutt-Witkowska: Zamek Swarożyca, Instytut Literacki. — Aleksandra Aniela Wolska: Pryzmat, Hoesick.

Drugi tom „Wierzb nad Sekwaną" Jana Wiktora jest bardzo różny od tomu pierwszego i stanowi niejako całość oddzielną. Tło, stosunki polskiej emigracji we Francji, jest to samo, ale, o ile w tomie pierwszym nie było prawie powieści, tylko rodzaj reportażu, o tyle tom drugi jest prawdziwą, dobrze zbudowaną i w sobie zamkniętą powieścią. Na znanem już tle rysują się wyraźnie dzieje Jędrka Połańca i Józi Kowalczykównej. Prawdziwie artystyczny jest pomysł tych dwóch historyj, równolegle prowadzonych, historyj dwojga w sobie zakochanych młodych, zepchniętych na dno nędzy i upadku, szukających się nawzajem po obcym kraju, i tęskniących za sobą poprzez całą gehennę emigranckiego życia. Od czasu do czasu drogi ich zbliżają się, mijają i przecinają, ale każde, zapatrzone w swoją tragedję, nie dostrzega mijającego go cienia, nie poznaje w nim obecności umiłowanej. Dopiero nakońcu spotykają się i rozpoznają w paryskiej knajpie. Spotkanie jest przelotne: Jędrka zabierają żandarmi do więzienia za zabójstwo policjanta, Józia odchodzi z murzynem, który zabrał ją z ulicy. Zdaje się, że spotkanie tych młodych, których przeznaczeniem i pragnieniem było porządne, ciche życie w małżeństwie i na własnej zagrodzie — będzie ostatniem. Drogi ich spaczone, nie zejdą się już nigdy. On będzie już napiętnowanym złodziejem i mordercą, ona sponiewieraną prostytutką.

Nie będę tu powtarzać tego, co mówiłam o tomie pierwszym, że te tragiczne przygody, spotykające naszych emigrantów są wprawdzie możliwe, ale nie konieczne, i wskutek tego, jeśli mają być obrazem stosunków emigracyjnych, są co najmniej jednostronne. Zresztą w tym tomie, gdzie artysta zwyciężył stanowczo reportera, gdzieindziej przesuwa się ciężar zainteresowań: tu zajmuje nas więcej człowiek niż emigrant. — Gdy Połańca zabierają żandarmi przesuwają się przez scenę dwaj jego koledzy emigranci: w porządnych ubraniach, z porządnemi kuferkami i dobrze wypchanemi portfelami zdążają na dworzec. Wracają do kraju, gdzie nabywszy domy i ziemię nowe rozpoczną życie. Gdy Jędrek dziwi się ich powodzeniu, odpowiada jeden z nich: „dobrze mi się udało, bo zawsze pamiętałem o tem, żeby ręka rządziła batem, a nie bat ręką". Jędrka zniszczył nie fakt emigracji, tylko to, że u niego właśnie „bat rządził ręką", że był słaby, że dawał się wciągać w pijaństwa, w afery złodziejskie. To też nie przekonywuje nas jego powiedzenie — które zdaje się być i przekonaniem samego autora — że jedynem wyjściem biednego jest rzucić się na bogatszych i gniotący go świat zburzyć, i że błędem jego, Jędrka, było, iż nie poszedł za radami agitatora. Istotny bowiem powód jego niepowodzeń i dramatu tkwił w nim samym.

Jeszcze bardziej występuje ten czysto ludzki dramat w historji Józi. W tej okropnej historji jej poniewierki, warunki wytworzone przez emigrację były wprawdzie warunkami sprzyjającemi, ale nie koniecznemi. Istotą jej tragedji jest odwieczna tragedja kobiety, wyzyskiwanej i nadużywanej przez mężczyznę, tragiczna w swych skutkach dla kobiety odpowiedzialność za miłość, tragedja nieprawego macierzyństwa. W opisach, trzeba przyznać mocno realistycznych, Józinego „fachu", a zwłaszcza w opisach jej macierzyństwa, śmierci jej dziecka, walki o niego, wznosi się Wiktor do wyżyn prawdziwego artyzmu. Ma sceny wprost wstrząsające, a cicha Józia Kowalczykówna urasta w jakąś, najlepsze klasyczne wzory przypominającą, personifikację kobiecości i macierzyństwa. Ale choć bardzo szczęśliwie schodzimy z zagadnień emigracyjnych do zagadnień ogólnoludzkich, jednak o psychologję bohaterów musimy z autorem przeprowadzić dyskusję. Józia i Jędrek mają być w założeniu chłopami z polskiej wsi. Otóż ci chłopi nie mówią swoim językiem, nie myślą swemi myślami, ani nie czują swemi uczuciami. Nie chcę powiedzieć, że chłop nie może odczuwać wszystkich uczuć tęsknoty za krajem, miłości, nawet romantycznej, miłości do dziecka, że nie może się poświęcać i cierpieć w tym stopniu i natężeniu, jak to chce przedstawić Wiktor. Ale chłop, ten chłop z którym tu mamy do czynienia, odczuwa i pojmuje to inaczej, o wiele prościej, może nawet w tej prostocie tragiczniej, a przedewszystkiem dużo bardziej odruchowo i nieświadomie. Jego aparat myślowy, zasób jego pojęć ogólnych, jest o wiele za prosty i za ubogi, aby mógł swe

uczucia i przeżycia tak jasno formułować, a tem bardziej uogólniać, jak to robią i Józia i Jędrek. Bardzo wierzymy, że tak właśnie mogła Józia cierpieć, ale wiemy napewno, że tak nie rozumowała, i że nie prowadziła ze sobą takich wewnętrznych monologów. Napewno tak właśnie dała się teroryzować Antkowi, dla dobra dziecka, i przez pewną kobiecą potrzebę uległości, ale napewno też nie mówiła sobie, że losem i szczęściem kobiety jest poświęcenie i ofiara. Napewno Jędrek pragnął mieć ziemię, ale też napewno nie nazywał orki „świętem", nie upatrywał w pracy na roli żadnego piastowskiego obrzędu. Dla chłopa praca jest pracą, znój znojem, święto odpoczynkiem, a odpoczynek świętem. Pragnie pracować, żeby posiadać, a nie posiadać, żeby pracować. I w tym właśnie prostym stosunku do wartości życia, w tym nieuświadamianiu sobie nieraz własnych pragnień, własnych komplikacyj wewnętrznych, które przejawiają się nieraz jakby mimo woli i wiedzy chłopa, tkwi wielkie bogactwo artystycznych możliwości dla literatury, wypowiadającej się przez postacie z ludu. Ale te możliwości polegają właśnie na zmuszeniu pisarza do wypowiedzenia, raczej zaznaczenia, uczuć subtelnych i skomplikowanych, znakami najprostszemi, do wyrażania ich prawie bez słów. Ale gdy ci ludzie tak niechętnie i nieudolnie, choć nieraz patetycznie, wyrażający swe uczucia, zaczynają monologować jak Hamlety, i analizować przeżycia jak bohaterki Bourgeta, cała ich artystyczna sugestywność ginie. A właśnie taka przygoda zdarzyła się Józi i Jędrkowi, którzy niemal bez przerwy mówią i czują myślami autora, a nie własnemi. Myślę zresztą, że dla talentu Wiktora, błąd ten był prawie nieunikniony, bo drugi tom „Wierzb nad Sekwaną" utwierdza mnie w przekonaniu, że jest to talent raczej liryczny, jak epiczny. Nie jest to zresztą zarzut, tylko skonstatowanie faktu. Dlaczego koniecznie wszyscy mają być epikami? W doskonałych plastycznych scenach książki, niema śladu epickiego spokoju i bezstronności. Przeciwnie, cała jest przesiąknięta olbrzymią dynamiką uczucia, jest od gwałtowności tych uczuć, aż gorąca, i nie tyle dokładność rysunku, nie tyle trafność obserwacji, ile właśnie ten płomień wewnętrzny, daje życie jej ludziom i scenom. Całą książkę przenika aż namiętne w swej gwałtowności uczucie litości autora dla cierpiącego i krzywdzonego człowieka, a wskutek tej litości, miłość autora przeradza się często w gniew, oskarżenie i prawie nienawiść. Oskarża ustrój społeczny, oskarża Polskę, oskarża i smaga szyderstwem wszystkich ludzi i instytucje, mające na celu biednym pomagać, bo pomagają za mało, oskarża Kościół i religję, zdając się w nich widzieć jedynie oschłą i formalistyczną bigoterję, oskarża z równą, a może większą, gwałtownością Boga, za fakt, że cierpienie i krzywda istnieje, za to, że Bóg nie wyciąga widomie ratującej ręki do wszystkich biednych i skrzywdzonych. Tak więc ta książka poczęta z litości przemienia się w krzyk oskarżenia, buntu i chwilami prawie

bluźnierstwa. A jedynemi jej jasnemi postaciami są morderca Jędrek, prostytutka Józia — no i zacny murzyn.

Powiem, że murzyn był w tej historji zupełnie zbyteczny...

Przeprowadzane przez pana Ziomka studja nad poczytnością książek i autorów wykazują, że w ostatnich czasach jednym z najpopularniejszych autorów stał się — przynajmniej w Krakowie — Tadeusz Dołęga-Mostowicz. Ten fakt nasuwa po przeczytaniu dwóch jego ostatnich powieści „Karjera Nikodema Dyzmy" i „Bracia Dalcz i Ska" ciekawe, choć trzeba przyznać, mało pocieszające refleksje.

Nikodem Dyzma jest zredukowanym, niższym urzędnikiem pocztowym, człowiekiem bez żadnej kultury i wykształcenia, ledwie umiejącym czytać, tępym i pospolitym. Dzięki przypadkowi dostaje się na wielki raut w Warszawie, gdzie idzie poprostu, żeby się najeść. Trąca tam jakiegoś pana, wysokiego urzędnika, niecieszącego się sympatją sfer rządowych. Wskutek tego wypadku i szeregu innych nieporozumień, biorą go różne wysoko postawione osoby za wybitnego polityka i działacza: Jakiś obskurny oszust, wierząc w jego „wysokie stosunki" robi go swym administratorem i wspólnikiem. Jednem słowem, Dyzma robi karjerę, ku swemu zresztą zdumieniu. Staje się bogaty, jest uważany za największego polskiego ekonomistę, staje się prezesem banku zbożowego, a książka, po całym szeregu perypecyj, kończy się sceną, w której tępemu Dyzmie ofiarowuje prezydent misję tworzenia gabinetu, jako jedynemu człowiekowi, mogącemu wydobyć Polskę z trudnego położenia finansowego. — „Bracia Dalcz i Ska", oparci są na tym samym pomyśle pomyłki co do osoby, tylko tu, bohater Paweł Dalcz jest nie kukłą i matołem jak Dyzma, lecz wprost genjalnym oszustem. Wskutek szeregu najordynarniejszych fałszerstw i złodziejstw staje się właścicielem wielkich zakładów przemysłowych, opanowuje handel kauczukiem na całym świecie, staje się potentatem finansowym na całą Europę, jakimś, tylko o wiele potężniejszym od rzeczywistego — Kreugerem. Krach finansowy wykrywa te oszustwa, ale Dalcz umie sfałszować nawet samobójstwo i z grubemi oczywiście miljonami osiada spokojnie pod przybranem nazwiskiem w Belgji. Z tak pobieżnego streszczenia nie ma się oczywiście pojęcia o ilości awantur, intryg, romansów i nieporozumień wypełniających bogato obie te powieści. Tempo ich, pomysłowość i nieprawdopodobieństwo przewyższa chyba najśmielsze filmy. Oczywiście w obu powieściach, a zwłaszcza w „Karjerze Nikodema Dyzmy", bardzo jest jasny zamiar satyryczny autora. Ale choć satyrę można rysować grubym węglem, ta wydaje się już nie rysowana, ale zamazana, bo jej przesada jest do tego stopnia bezsensowna, że prawie przestaje być zabawna. Amatorzy tych rewolwerowych powieści bronią swego ulubionego autora i swoich gustów sakramentalnem powie-

dzeniem, że „Dołęga-Mostowicz ma duży talent". Chodziłoby o porozumienie się, co nazywamy talentem. Jeżeli talentem jest pewna zgrabność w wymyślaniu sytuacyj, w zazębianiu ich i przeprowadzaniu intrygi, łatwość a nawet żywość pisania, utrzymywanie w napięciu uwagi czytelnika, to bezsprzecznie Dołęga-Mostowicz ma talent. Jego książki są to, co się nazywa „dobrze pisane", dobrze, a nawet bardzo dobrze zbudowane. Jeżeli jednak w nasze pojęcia o utalentowanym pisarzu wchodziłaby myśl, że taki pisarz jest choć trochę artystą, że tkwi w nim choćby najmniejsza iskra sztuki, to coś nieuchwytnego, a tak jednak wyraźnego, co odrazu nadaje słowom blask a całej książce ten jakiś specjalny zapach, gdybyśmy myśleli, że pisarz utalentowany jest ten, który ma coś do powiedzenia, który tworzy pewne artystyczne wartości, że jest w nim pewien wdzięk czy urok, czy wzruszenie, czy choćby bunt lub gniew — to o takim talencie, o talencie mającym coś ze sztuką wspólnego niema u Mostowicza mowy. Możnaby powiedzieć, że Mostowicz w obranym przez siebie rodzaju twórczości jest doskonałym rzemieślnikiem (i to już jest coś, trzeba przyznać), ale już sam poziom tego rodzaju jest od poziomu przy którym się o sztuce i literaturze mówić zaczyna, bardzo daleki. Dlaczego te płaskie książki zdobyły sobie taką poczytność, jest niestety dość zrozumiałe. Atmosfera miljardów, łatwość ich zdobycia przypadkiem lub oszustwem, usunięcie z horyzontu wszelkich, choćby najprymitywniejszych skrupułów etycznych, silna nuta erotyczna, umiejętnie urozmaicona w obu powieściach pikantną nutą seksualnej perwersji — to wszystko środki niezawodne do zdobycia popularności. Czytelnik odurza się fatą morganą bogactw, podnieca niezwykłością erotycznych sytuacyj, utwierdza się w przekonaniu, że każdy środek dobry i dozwolony do zdobycia majątku, a przedewszystkiem utwierdza się w przekonaniu, że jedno jest na świecie dobro i wartość i cel: pieniądz. I ta właśnie atmosfera kultu pieniądza jest, dla mnie przynajmniej, w tych żywych, interesujących i dobrze pisanych książkach najbardziej niemiła — a rozkołysywanie ludzi głodem dolarów, windowanie miljonów na piedestał ideału — wydaje mi się w książkach Dołęgi-Mostowicza rysem moralnie najmniej dodatnim.

Autorami nowel „Złota kula" jest para małżeńska Jerzy i Anna Kowalscy. Autorowie ci mają swe własne na świat spojrzenie, widzą go w pewnym oryginalnym kształcie, widzą go często pod kątem udatnej satyry i ironji, widzą przedewszystkiem poza jego kształtem zewnętrznym jakieś siły i prawa, jakby kosmiczne, formujące życie od wewnątrz, widzą typy ludzi w pewnych doskonałych i jakby oderwanych skrótach. To patrzenie w jakąś im tylko znaną głębię ludzi i zdarzeń jest może najbardziej frapującą wartością książki, a sugestja i pewna tajemniczość tych jakichś ogólnych praw epok i wydarzeń, jest tem, co nas

skłania, do uciążliwej z niemi wędrówki poprzez zawikłania dziwnie trudnej konstrukcji, poprzez zupełnie zbyteczne niejasności i sztuczności stylu. Najudatniejszemi może ustępami książki są „Konie pana Walerego" a właściwie postać jego alegoryczna, ale jakżeż żywa, tępej przeciętności życia, pierwsza część noweli „Jak Olgierd został koncypjentem", przedstawiająca wpływ minionej wojny na psychikę małomieszczańskiej rodziny (blisko z panią Dulską spokrewnionej), i opis tajemniczego i fascynującego uroku „Góry" (Mont-Blanc) na całe otaczające ją życie i na liczne rzesze turystów. Autorzy „Złotej kuli", wglądając za kulisy życia, zdają się w nich dostrzegać dwie przedewszystkiem sprężyny: miłość i śmierć; tylko, że obie te siły w ich zawiłych i skomplikowanych mentalnościach załamują się w sposób specyficzny: miłość przeradza się w obsesję erotyczną, śmierć w obsesję makabryczną. To przedstawianie wielkich regulatorów życia od ich strony chorobliwej i rozkładowej sprawia, że w całym tomie oddychamy duszną i dziwnie przykrą atmosferą.

Powiedział jakiś krytyk francuski, że inteligencja nie jest potrzebna powieściopisarzowi i że raczej mu przeszkadza jak pomaga, bo powieściopisarz musi być wzrokowcem, widzącym jasno kontury ludzi i rzeczy, a zbyt rozwinięta praca myśli do tego mu przeszkadza. Gdy się czyta „Rozmowę z cieniem" Stefana Napierskiego, paradoks ten wydaje się trafny, bo choć oczywiście trudno przypuszczać, aby inteligencja komukolwiek, a zwłaszcza pisarzowi, przeszkadzała, to jednak na pewno zbytni intelektualizm przeszkadzał Napierskiemu w tym nowym dla niego rodzaju twórczości, i może on właśnie był przyczyną, że jego zdolności „wizualne" zawiodły. Sylwetki rysowane w „Rozmowie z cieniem" są chwiejne; czytelnik ma wrażenie, że wypadki, miejsca i ludzi ogląda przez gęstą mgłę, przez taką gazową kurtynę, jaką czasami zapuszczają w teatrze. Ale oglądanie całego widowiska przez taką kurtynę jest stanowczo nużące, a obcowanie przez cały spory tom rzeczywiście z samemi „cieniami", nie jest przyjemne. Ma się zupełnie jasne odczucie, że autor swoich postaci nie widział, że nie miał żadnej potrzeby stwarzania ich, i że właściwą potrzebą jego twórczą było, wypowiedzenie całego szeregu refleksyj i rozważań na temat sztuki, literatury i ich stosunku do życia. Nie chcąc czynić tego jak dotąd w maksymach i studjach, chciał swe intelektualne obserwacje skrystalizować w powieści. Lecz to nadużycie powieści do celów czysto intelektualnych nie udało się. Rozmowy młodych literatów i malarzy, stanowiące treść książki, są nużące, często niezrozumiałe, a prawdopodobnie te same myśli wyrażone w artykule lub „essayu" mocno by nas zajęły. Taką samą złą usługę wyrządził wytrawnemu poecie, choć początkującemu powieściopisarzowi, jego drugi talent, talent liryczny, zamazując do reszty rysunek powieściowy, opisami

słabo umiejscowionemi w czasie i przestrzeni. A najgorszem jest może to, że autor, chcąc, zdaje się wbrew naturze swego wybitnego talentu poetycznego i krytycznego, napisać powieść — czuł się w obowiązku „ozdobić" ją tem, co niestety wielu powieściopisarzy za jej nieodzowny atrybut uważa, a mianowicie sporą dawką erotyzmu. To też hojną ręką rozsiał w niej najbardziej odpychające opisy i najbrutalniejsze wyrażenia, do tego stopnia, że książka ta jest naprawdę przykra do czytania.

Gdy się ma do czynienia z wydawnictwami „Roju" niewiadomo nigdy, czy błędy językowe, stylistyczne i gramatyczne ma się składać na karb autora, czy wydawnictwa. Tu jest ich jednak tak wiele, i tak są rażące, że trudno przypuścić, aby autor był bez winy, choć z drugiej strony, nie można ich sobie wytłumaczyć u pisarza, którego znamy oddawna, jako doskonałego stylistę i prozaika.

Mimo iż o Ameryce czytaliśmy w ostatnich czasach niezmiernie wiele — niektórzy twierdzą, że za wiele — książka A. Szczepańskiego „Drapacze i śmietniki" nie jest zgoła zbyteczną i naprawdę bardzo ciekawą. Aleksander Szczepański był przez półtora roku konsulem generalnym w Chicago. Przebywając w Ameryce nie jako turysta, lecz jako urzędnik, miał sposobność wglądnąć znacznie głębiej niż zwykli podróżnicy wa wszystkie sprężyny amerykańskiego życia, miał przedewszystkiem sposobność zapoznać się dokładnie z kwestją polskiego wychodztwa w Ameryce. To też w jego książce są jakby dwa wątki: spostrzeżenie o samej Ameryce i bardzo wyczerpująco przedstawione życie w niej polskich kolonji. Muszę przyznać, że choć o wychodztwie amerykańskiem czyta się i słyszy często, dopiero z książki Szczepańskiego zdałam sobie sprawę z rozmiarów tego wychodztwa, z warunków jego życia (dalekich i od złotych dolarowych legend i od piekła emigracyjnego przedstawianego przez J. Wiktora) i z całego szeregu z nim złączonych, a ważnych i skomplikowanych zagadnień. Autor, któremu te zagadnienia leżą widocznie bardzo na sercu, nie ograniczył się do odmalowania życia polskich dzielnic w Chicago, życia polskich farmerów i plantatorów bawełny, ale zajmował się przedewszystkiem kwestją polskości naszej emigracji, jej szkolnictwa i stosunku do „starej ojczyzny". W zakresie tych zagadnień nie szczędził rad, napomnień i krytyki obecnego stosunku Polski i jej rządu do tego wychodztwa, wykazując, jak wielkiej trzebaby troskliwości i jak żywej inicjatywy z naszej strony, aby ten wielki, przeszło czteromiljonowy, odłam polskiego społeczeństwa nie został naprawdę dla Polski stracony, co zwłaszcza dziś, przy zamknięciu granic Ameryki dla świeżych fal emigracji, przy utrudnieniu podróży do kraju emigrantów już osiadłych, zdaje się być niebezpieczeństwem dość groźnem. Wywody A. Szczepańskiego

wydają się słuszne, krytyka uzasadniona, rady trafne, ale oczywiście trzebaby jeszcze klasycznego *audiatur et altera pars,* aby sobie prawdziwy obraz tych stosunków wytworzyć. W każdym razie wielką zasługą Szczepańskiego jest, że kwestję tę polskiej publiczności przypomniał, że niejako rzucił most zainteresowania i znajomości między właściwie tak mało nam znanem społeczeństwem amerykańsko-polskiem a „starą ziemią". Szczegóły jakie daje nam autor o samej Ameryce są także bardzo ciekawe. Podróżnicy-literaci robią często ten błąd, że pisząc o zwiedzanym kraju, zapominają, że czytelnik go nie zna, i dają komentarze faktów i zwyczajów czytelnikowi za mało znanych. Szczepański nie ma żadnych pretensyj literackich, pisze poprostu co widział, co go zafrapowało, co mu się wydaje inne jak w Europie. Stąd dowiadujemy się mnóstwa drobnych, lecz bardzo charakterystycznych szczegółów o Ameryce, jej zwyczajach, wyglądzie i ludziach. Ostatni jedyny „syntetyczny" rozdział książki p. t. Amerykanizm — przynosi szereg wniosków ogólnych autora o charakterze amerykańskiej cywilizacji, o jej tradycjach i dążnościach. Uwagi te i wnioski wydają się dziwnie trafne i inteligentne i głęboko sięgają w istotę tego, tak ciekawego prądu życia i kultury, który nazywamy amerykanizmem. Już Duhammel ten amerykanizm ze wstrętem piętnował, teraz Szczepański nie waha się też podkreślać obok jego dobrych stron, także i cech, zdaniem jego, wysoce niebezpiecznych, cech płynących ze zbyt materjalistycznego światopoglądu, z wyłącznej wiary Amerykanina w „prosperity" i w „efficiency". Niektóre objawy tego amerykanizmu uważa autor za równie niebezpieczne dla kultury europejskiej, jak objawy ideologji bolszewickiej, zwłaszcza dość przekonywująco przedstawia analogiczne, choć różnemi drogami osiągnięte, w Rosji i Ameryce zachwianie się i rozluźnienie węzłów rodzinnych, zanik rodziny jako podstawowej komórki społecznej i cywilizacyjnej.

Jedynym zarzutem jaki możnaby zrobić tej ciekawej książce jest czasem wracanie przez autora do raz już poruszonych tematów i omówionych kwestyj. Ale wobec innych jej wartości jest to zarzut drobny.

Paweł Popiel, właściciel cudnego historycznego zamku Kurozwęki w Stopnickiem, oddawszy zarząd majątku synowi, postanowił zwiedzić Polskę konno. Książeczka „2918 kilometrów na koniu" jest opisem trzech takich wypraw: do Kozienic, na Wołyń i do Wielkopolski. Podtytuł tej książeczki mówi, że wycieczki te miały charakter „sportowo-krajoznawczy". I rzeczywiście, treść książki odpowiada tym dwom kierunkom zainteresowań szanownego autora. Paweł Popiel, wielki miłośnik i znawca koni i znakomity hodowca, zwraca przedewszystkiem uwagę na konia, jego typy i hodowlę. Zawsze tak kieruje etapami swych wycieczek, aby się zatrzymywać w miejscach, gdzie są piękne stadniny

i wzorowe hodowle. Liczni w Polsce amatorzy koni znajdą tu zapewne skarby ciekawych i cennych wiadomości i informacyj o pochodzeniu i pokrewieństwie między sobą wszystkich koni świata. Dla ludzi, których sport koński nie interesuje specjalnie, wyliczanie wszystkich końskich rodowodów i fachowe opisywanie tych, tak dla laika tajemniczych i niezrozumiałych, wad i zalet koni, nie będzie oczywiście zbytnio zajmujące. Ale tych profanów zajmą napewno opisy różnych zabytków polskiej wsi, opisy dworów, kościołów, miasteczek i zamków, uwagi o charakterze oglądanych miejscowości, o zwyczajach ludu, o poziomie jego kultury i dobrobytu. Wszystkie te wiadomości podane są treściwie, w formie dziennika podróży, jasno i ściśle. Ale bardziej może od treści faktycznej, ujmuje nas w tej bezpretensjonalnej książeczce to, co w niej wyczytujemy między linjami. Prawdziwą sympatję wzbudza w nas ten starszy pan, który na otaczający go świat patrzy młodzieńczem, ciekawem okiem, który swą miłość do kraju chce wzmocnić jego znajomością, który chce jego historję i tradycję odczytywać nie z martwych książek, ale z murów miast i wsi, i który do tej poznawanej tradycji i legendy kraju nawiązuje stale myśl o jego przyszłości i rozwoju. Sport koński nie jest dla niego jedynie sportem: jest troską o rozwój jednej z ważnych gałęzi naszej produkcji hodowlano-rolnej, jest przedewszystkiem chęcią rozbudzenia u młodzieży świetnych rycerskich tradycyj polskiej jazdy. W okresie święta polskiej jazdy dziwnie na czasie jest widok tego siwego pana, przekładającego siodło nad fotel, i wędrującego „komunikiem" od jednej polskiej granicy do drugiej, a potem, zimą, spisującego swe wrażenia w dostojnem milczeniu sklepionych komnat. Ale domyślam się, że tej autorskiej pracy mocno przeszkadza trenowanie konia i układanie programu na wędrówkę wiosenną!

Romain Rolland powiedział gdzieś, że na ludzi nie oddziaływujemy przez słowa, lecz przez promieniowanie naszej wewnętrznej istoty. Gdy czytamy „Przygodę w nieznanym kraju" Anieli Gruszeckiej przychodzi nam na myśl, że mądre te i głębokie słowa dadzą się w całej pełni zastosować do powieści. Postacie powieściowe, które bez końca prowadzą dyskusje o problemach filozoficznych, psychologicznych, czy artystycznych, albo które, co gorsze, roztrząsają te sprawy w wewnętrznych monologach, są wprost nie do zniesienia. Nietylko nie przekonywują nas o niczem, nie mają na nas żadnego wpływu, ale nas poprostu nudzą. Mamy wrażenie, że nie są stworzone, że nie żyją, że ich wogóle niema. Są oczywiście powieści, które poruszają najbardziej zasadnicze problemy, i które umieją nas o nich przekonać i niemi zainteresować. Ale te problemy muszą niejako tkwić w postaciach tych powieści, z ich życia wypływać, muszą właśnie być „wypromieniowane" a nie wygadane. Jak się do tego biorą autorowie, żeby

ich postacie wszystko nam powiedziały a nie mówiły za wiele, to już tajemnica ich talentu. Tajemnicy tej niestety nie posiada Aniela Gruszecka. Postacie jej mało żyją a dużo mówią, mówią strasznie dużo, bez końca i przerwy. Mówią prawie ciągle o kwestjach „zasadniczych". Najwidoczniej o te kwestje autorce głównie chodziło. Wewnętrzne przeżycia Klary, nie mogącej się pogodzić z banalnością życia, jej męki artystyczno-twórcze, smutna niezdolność ludzi do zrozumienia i poznania się wzajemnego — to jest widocznie treścią, o którą autorce głównie chodziło. To miała nam do powiedzenia. Ale powieść ma własne prawa: powieść nie znosi słów, nie znosi gadaniny, powieść ma wymagania równie kompromisowe jak życie i ta przekorna istota powieści ciągle płata pani Gruszeckiej figle, i z uporem „Wańki-stańki" nastawia ciągle zainteresowanie czytelnika w kierunkach, zamierzeniom autorki odwrotnych. Podczas gdy Klara medytuje o istocie kolorów, ma się ochotę jej powiedzieć: dajże spokój tym głupstwom i pilnuj, żeby ci Zygmunt nie buchnął twojej części majątku. Podczas gdy męczy siebie i drugich problemem swego osamotnienia, czytelnik myśli, jak się rozwikłają losy Zygmunta i Stanisława i mówi jej: dajże spokój tej biednej Julji. Ona ma kłopot prawdziwy ze swą ślepą bratową i zwarjowaną teściową. Nie zanudzaj jej twemi urojeniami. Bo właśnie nieporozumienie między książką a czytelnikiem polega na tem, że to, o czem autorka chce go przekonać nie zajmuje go, a interesują go te ułamki życia „realnego", które jakby od niechcenia w przerwach między wewnętrznemi monologami dostrzegamy. Te ułamki, jakby mimochodem pokazane, są bardzo dobre. Śmierć pani Prozorowej, choroba i śmierć Zygmunta, cała jego sylwetka, są skreślone żywo i bardzo nastrojowo. I myślimy, że autorka mogłaby nam życie pięknie i barwnie malować, zamiast na jego marginesie filozofować. Jeżeli zaś chodzi o samo to „filozofowanie", to nie przynosi ono nic bardzo nowego, choć różne kwestje inteligentnie ujmuje. Obraca się głównie koło problemu osamotnienia człowieka wśród ludzi i braku zrozumienia „tłumu" dla twórczej męki artysty. Lekkie, choć kąśliwe przytyki autorki do „katolickiej cnoty" i „katolickiej akcji" nie są zbyt agresywne.

„Wilżyła usychające usta, powleczone szminką, usta do których często dąs przylegał, a nosiła suknię w niedobarwione groszki, osypaną piegami sieroctwa". „...Idąca odwróciła twarz. Zanim ją odwróciła, mignęła Marcinowi wielokrotna możliwość dowolnych twarzy i dlatego właśnie potoczył się na mur..." Powyższe cytaty zwalniają mnie od dalszych uwag o stylu powieści Adama Ważyka „Latarnie świecą w Karpowie". A. Ważyk, w artykule *Tygodnika Ilustrowanego*, oświadczył, że szukał nowych dróg, i nie chodziło mu o to, by być rozumianym i trzymać się znanych zasad logiki. Mówił to innemi słowami, stylem równie niezrozu-

miałym jak styl jego powieści, więc dokładnie słów tych nie spamiętałam. Ale sens był mniej więcej taki. Możliwe, że ta powieść o stosunkach małego miasteczka ma jakieś nowe walory, ale widocznie są tak nowe, że uchwycić ich nie mogę. Kieruję się, możliwe, że przestarzałą zasadą, że na to by książkę ocenić, trzeba ją naprzód zrozumieć. Według tych starych kryterjów książka Ważyka wydała mi się pretensjonalna i słaba. Ale powtarzam, może się mylę. Natomiast, czego już jestem całkiem pewna, to tego, że książka ta jest przesycona wyzywającym erotyzmem, że roi się od ordynarnych i nieprzyzwoitych wyrażeń i obrazów i że, jeszcze krok, a trzebaby ją poprostu do pornografji zaliczyć.

„Honor" Macieja Wierzbińskiego jest powieścią zbudowaną według klasycznych wzorów Magdaleny Samozwaniec. Bohaterowie obrzucają się „sinemi spojrzeniami", wyjmują z pudełka wonne „cygareto", są oczywiście prawie wszyscy hrabiami, podpisują krociowe czeki na każdej niemal stronie, są wykwintni, rasowi, dostojni i lekkomyślni w miarę potrzeby. Ideologja tej „bujnej" powieści wydaje mi się podejrzana: szlachetna jej bohaterka ma co roku dziecko z kim innym, zdradzany przez żonę dzierżawca zabija bałamutnego hrabiego i w ten sposób ratuje „honor" i okazuje się człowiekiem porządnym i szlachetnym, pojedynek jest jedynem wyjściem z zagmatwania zdrad i kłamstw, a szlachetny Janusz, zajmujący się bałamuceniem panien i uwodzeniem mężatek, robi to właściwie dlatego, że pragnie mieć „żonę uspołecznioną"... Mówię, że ta ideologja „wydaje" mi się podejrzana, bo powieść ta, tak mało skłania do myślowego wysiłku, że wyciąganie z niej wniosków ogólnych jest dość trudne. W każdym razie myślę, że czytać ją można spokojnie, bez obawy „spaczenia zdrowych pojęć" i bez jakiegokolwiek uszczerbku moralnego, o ile czasu i oczu nie szkoda na lekturę tego typu.

W pięknej szacie zewnętrznej, starannie i na ładnym papierze wydany, ukazał się nakładem Instytutu Literackiego poemat Zofji Reutt-Witkowskiej: „Zamek Swarożyca". Jest to jako rodzaj to co romantycy nazywali „poema". Składa się z ośmiu pieśni (tu nazwanych opowieściami), z wstępu i zakończenia. Opowieść wstępna i końcowa pisane są strofami czterowierszowemi, ośm opowieści środkowych, strofami ośmiowierszowemi. We wszystkich zaś pieśniach używa autorka poważnego wiersza czternastozgłoskowego. Ta budowa nadaje całości pewien rytm powagi, jakąś powolną a spokojną kadencję. Autorka posługuje się przeważnie asonansami, tym tak modnym dziś sposobem wierszowania i — trzeba przyznać — że posługuje się nim szczęśliwie. Treść poematu, to saga pomorska, a tłem jej historycznem jest spór między Bolesławem Krzywoustym a jego bratem Zbigniewem, oraz przeciwstawienie pogańskiego jeszcze Pomorza chrześcijań-

stwu. Pozatem na treść poematu składają się motywy dla tego rodzaju klasyczne: młoda żona starego męża, daleki umiłowany rycerz, darowany i po latach odebrany pierścień i t. d. Treść ta trochę niejasno rysuje się przed czytelnikiem, a z całego poematu najbardziej frapują obrazy pogańskiego Pomorza, jego bogów, legend i obrządków. Całość dobrze utrzymana w pierwotnym i surowym kolorycie epoki.

„Pryzmat" przez który Aleksandra Aniela Wolska świat ogląda wydaje nam się najczystszym i najbarwniejszym wówczas, gdy przepuszcza przez swój kryształ promienie świata zewnętrznego. Początkowe wiersze tego zbiorku „Bajka o duszkach rzeźbiarzach", „Trubadur", „Wicher i chmura" i t. d. są naprawdę bardzo ładne, pełne poezji i miłej prostoty, a taki wiersz jak „Wyścigi" jest rzeczywiście bardzo dobry swoim rytmem, treściwością i dynamiką. Wiersze części drugiej też są pełne głębokiego uczucia („Pamięci mojej matki"), pełne jakiejś tęsknej zadumy i niespokojnych poszukiwań. („Tęsknota do cudzego domu" bardzo dobra „Schizofrenja".) Mniej natomiast udane wydają się wiersze, które nazwaćby można abstrakcyjnemi, czy filozoficznemi. Mniej w nich czystej wizji poetyckiej, choć i im nie brak wartości i mocnych akcentów. Myśl autorki nie występuje całkiem jasno: czasem zwraca się z korną modlitwą do Boga Wszechmocnego, czasem zaś uważa tego Boga jako siłę kosmiczną, nieosobową, głuchą na nasze prośby i modlitwy. Gdzieniegdzie przebija też w tych wierszach myśl o reinkarnacji. W każdym razie wiersze te — jak zazwyczaj we wszystkich zbiorkach — o nierównym poziomie i wartości, zdają się świadczyć o rzeczywistym talencie poetyckim autorki.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Zdziechowski Marjan, Węgry i dookoła Węgier. Wilno 1933 r.

Znajomość Węgier jest u nas bardzo mała. Wiadomości nasze o Węgrzech czerpiemy głównie ze źródeł obcych, najczęściej niemieckich. Prac polskich bowiem poświęconych Węgrom i współczesnemu życiu węgierskiemu mamy zaledwie kilka. Poza świetną acz w niektórych szczegółach nieco już przestarzałą monografją Węgier pióra znakomitego historyka krakowskiego prof. Dąbrowskiego [1]), poza drobnemi szkicami literackiemi dawniejszemi ś. p. Bolesławy Jaroszewskiej i nowszemi dr. Pazurkiewicza, trudno byłoby wymienić jakieś prace polskie o współczesnych Węgrzech. To też z tem większą radością powitać należy ostatnią książkę prof. Zdziechowskiego. W zamiarach autora nie leżało przedsta-

[1]) Dąbrowski Jan, Węgry. Kraków 1924. Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej.

wienie czytelnikowi wszystkich dziedzin życia węgierskiego, przeciwnie skreślił on szereg szkiców bądź zagadnieniom kulturalno-literackim, bądź też częściej politycznym poświęconych. Pierwsze trzy szkice (Kim są Węgrzy. Sàndor Petöfi i jego ojczyzna. Hr. Stefan Szèchenyi) są wstępem do poznania Węgier współczesnych; uzupełnieniem ich jest szkic IV, dający obraz katolicyzmu węgierskiego w osobie jego najwybitniejszego przedstawiciela ks. biskupa Ottokara Prohàszki. Następne rozdziały są szkicami politycznemi, w których autor przedstawia swój pogląd na stosunek Polski do Węgier na tle sytuacji międzynarodowej w Europie. Myślą przewodnią wiążącą w jedną całość te artykuły prof. Zdziechowskiego jest mocne przekonanie, że w Europie Środkowej tylko dwa narody mogą przeciwstawić się idącej fali barbarzyństwa i w chwili obecnej tak, jak w przeszłości, spełnić misję dziejową obrony chrześcijaństwa i cywilizacji, a narodami temi są Węgrzy i Polacy. Stąd to płynie nie uczuciowy tylko, ale rozumowo ugruntowany madziarofilizm prof. Zdziechowskiego. Powierzchownego obserwatora mógłby uderzyć fakt, że prof. Zdziechowski, przed wojną jeden z chorążych ruchu słowiańskiego u nas, zmienił w ostatnich 20 latach zupełnie swe poglądy. Wyjaśnia to sam autor w rozdziale X, mającym do pewnego stopnia charakter pamiętnikowy, a zatytułowanym „O kwestji słowiańskiej (Ze wspomnień i wrażeń)". Ruch panslawistyczny opanowany był całkowicie przez zajadłych wrogów Polski i imienia polskiego, grupujących się w redakcji gazety *Nowoje Wremia* koło osoby jej właściciela i kierownika Aleksego Suworina. Skutkiem tego idea słowiańska stawała się coraz wyraźniej narzędziem do zwalczania polskości. Zdaniem autora należało wziąć udział w robocie słowiańskiej, aby odebrać jej wrogie nam ostrze. To też prof. Zdziechowski rozwinął działalność w tym właśnie kierunku; wespół z prof. Marjanem Sokołowskim założył w Krakowie *Klub Słowiański* a wkrótce potem rozpoczął wydawnictwo miesięcznika *Świat Słowiański*. Kilkunastoletnia wszakże praca autora na terenie panslawizmu, udział w licznych kongresach słowiańskich, znajomość kierowników ruchu — zażartych wrogów Polski jak dr. Kramarz, późniejszy premjer czeski, oraz osławiony hr. Włodzimierz Bobrinskij, ugruntowały w nim mocne przekonanie, że jedynym żywiołem w Słowiańczyźnie, z którym Polacy mogli współpracować są katolicy i to nie wszyscy, ale wyłącznie „katolicy kierunku krańcowego" — jak się wyraża, — którzy grupowali się dookoła ks. biskupa Machnicza. To też prof. Zdziechowski zerwał z ruchem panslawistycznym i z głównymi jego rzecznikami — Czechami. Zerwana też została jego długoletnia przyjaźń z prezydentem Masarykiem. Dzieje tej przyjaźni opowiedział prof. Zdziechowski przed kilku laty na łamach *Przeglądu Współczesnego* w artykule p. t. „Lui et moi", w omawianej książce daje nam zwięzłą charakterystykę tego wielkiego Czecha. Oddawszy hołd jego niepośledniej miary umysłowi i od-

wadze cywilnej, prof. Zdziechowski tak pisze: „Masaryk ma siebie za spadkobiercę idei Palackiego, o którym napisał piękną rozprawę; przez Palackiego jest spadkobiercą reformacji czeskiej, która, wyprzedzając Marcina Lutra, wypowiedziała w osobie Jana Husa jeszcze w wieku XV wojnę Rzymowi w imię wolności myśli i sumienia, — w osobie zaś Piotra Chelczyckiego, założyciela gmin braci Morawskich, poszła znacznie dalej, głosząc ideały, które za dni naszych odżyły w naukach Lwa Tołstoja.

Dostosowując marzenia i dążenia reformatorów czeskich do czasów naszych, określa je Masaryk wyrazem humanizm, w znaczeniu, jakie nadawali temu słowu Lessing i Herder (*die reine Menschlichkeit*). W ten sposób myśl czeską, myśl Husa, Chelczyckiego, Komenjusza zlał Masaryk z ideałami mistrzów literatury niemieckiej w wieku XVIII, ściślej jeszcze mówiąc z ideologją wolnomularską, jak ją streszczał i podawał Lessing w słynnym dialogu swoim z r. 1777 p. t. *Ernest und Falk* (str 99).

Ciekawe a bardzo głębokie są uwagi autora na temat różnic między psychiką czeską a węgierską. „Najgłębszą treść duszy czeskiej — pisze prof. Zdziechowski (str 80) — stanowi idea słowiańska. Pod hasłem tej idei nastąpiło odrodzenie narodu czeskiego na początku wieku zeszłego. Czesi są jedynym na świecie narodem z wielką przeszłością historyczną, który nie odróżnia w sobie pierwiastka narodowego od pierwiastka plemiennego; każdy Czech jest w świadomości swojej Czecho-Słowianinem (*Cecho-Slovan*). Wielu znałem Czechów, ale mógłbym na palcach zliczyć tych, co byli Czechami tylko, bez dodatku słowiańskiego".

Wręcz odwrotne zjawisko obserwujemy u Węgrów. Tragizmem ich jest poczucie zupełnego osamotnienia rasowego. Położenie narodów liczebnie małych jest wogóle trudne. Ale specjalnie trudnem jest położenie Węgier, do których można zastosować porównanie o wyspie, w którą uderzają zewsząd fale obcych, a wrogich żywiołów.

To też psychika węgierska przeniknięta jest przeświadczeniem „że bohaterem być trzeba, ażeby w obcym i wrogim świecie narodową i państwową odrębność zachować. W dwojaki sposób, zdaniem autora, Węgry reagują na to przeświadczenie: „ . . . albo z fantazją i lekkiem sercem człowieka dla którego wojna — żywiołem, bez myśli o niebezpieczeństwie, Węgier gotów jest iść sam przeciwko wszystkim, albo z poważną, surową zadumą staje wobec zadania, które wykonać powinien, ale wykonać się ono nie daje; niemniej przeto wszystkie siły skupia, aby powinność spełnić" (str. 12).

Najpiękniejsze niezaprzeczenie karty książki to ustępy, poświęcone charakterystyce wybitnych Węgrów. Oto np. jak charakteryzuje prof. Zdziechowski zmarłego niedawno hr. Alberta Apponyi'ego, wybitnego myśliciela i męża stanu, ostatnio przedstawiciela Węgier w Lidze Narodów (str. 168—169). Apponyi, przemawiający

z trybuny genewskiej, na gruzach potęgi Węgier, do narodów i państw Europy, dziwnie przypomina poetów i myślicieli naszych po katastrofie 1831 r. I tu i tam taż sama dostojność, to samo poczucie majestatu idei sprawiedliwości, którą oni uosabiają wobec Europy. Ale wieszczów naszych porwało mesjańskie marzenie o oczyszczonej w cierpieniu i przeobrażonej Polsce, prowadzącej narody ku świtom królestwa Bożego.... Inaczej jest zbudowana psyche węgierska; krzepiący napój mesjanizmu nie był jej potrzebny. Najczcigodniejszy z przedstawicieli idei narodowej, Apponyi, ani razu nie zeszedł z gruntu realnego. Wierzył, ale nie w opatrznościowe posłannictwo narodu swojego, lecz w siłę rozumu, który jest własnością ogólnoludzką i prędzej czy później uzna konieczność pokoju powszechnego i stworzy ten pokój, nie ten lub ów, warunkowy i chwilowy, ale pokój, po którym wojny nie będzie (*non ceffe paix, mais la paix*): „mówię o tem, bo to, co wam mówię, nie jest programem dnia dzisiejszego, albo jutra, ale jest linją nakreśloną przez historję, przez naturę rzeczy. *Credidi propterea locutus sum.*" (Mowa wygłoszona na X sesji Ligi Narodów, 15 września 1929 r.).

Książka prof. Zdziechowskiego przyczyni się niewątpliwie bardzo do pogłębienia znajomości Węgier u nas, prof. Zdziechowski bowiem duszę węgierską i rozumie i odczuwa jak mało kto w Polsce; ale przyczyni się ona również do wyrobienia myśli politycznej wśród naszej inteligencji, za co powinniśmy być czcigodnemu autorowi serdecznie wdzięczni.

Dr. Janusz Pajewski.

Stanisław hr. Małachowski-Łempicki: Wolne mularstwo w Lubelszczyźnie 1811—1822. Lublin. Nakładem „Dziennika Urzędowego Województwa Lubelskiego — 1933.

Praca hr. St. Małachowskiego-Łempickiego, jaka się ukazała niedawno pod powyższym tytułem, jest dalszym ciągiem całego szeregu monografij o polskiem wolnomularstwie tego autora. Praca ta zawiera, tak samo jak i poprzednie, niesłychanie bogaty materjał źródłowy, skrzętnie zebrany przez autora, m. i. ogromną ilość fotograficznych reprodukcji dokumentów masońskich, listów i protokółów oraz obrazów, kobierców, klejnotów, stanowiących ongiś inwentarz gmachów lóż symbolicznych, a szczęśliwie przechowanych przez wiernych „braci" w swoich archiwach prywatnych od chwili rozgromienia masonerji polskiej przez rząd rosyjski, względnie, o ile chodzi o dokumenty, odnalezione w Archiwum Skarbowem w Warszawie.

Wolnomularstwo lubelskie, któremu poświęcona jest omówiona praca, powstało dość późno, bo dopiero w 1811 r., oczywiście w ścisłej zależności od „Wielkiego Wschodu Polski", mającego siedzibę swojej władzy naczelnej (kapituły) w Warszawie.

Najważniejszym ośrodkiem wolnomularstwa lubelskiego była bezwątpienia loża symboliczna „Wolność Odzyskana". Poza tem powstały jeszcze w Lublinie „Świątynia Równości", w Zamościu „Jedność" i w Siedlcach „Biały Orzeł Przywrócony". Posiadał Lublin i „Kapitułę niższą", jednak bardzo nieliczną ze względu na wymagany co najmniej czwarty stopień. Cel ostateczny prac masonerji polskiej: „Zemsta za Hiroma. Wolność, Równość, jak w przyrodzonej religji Patrjarchów" (!?) znanym był tylko braciom powyżej wspomnianego stopnia. Stopień siódmy zaś posiadał tylko generał Wincenty Aksamitowski, „wielki inspektor rytu dawnego i przyjętego".

Działalność lóż lubelskich podobna była do działalności pozostałych lóż polskich. Zajmowały się one jawnie, za pośrednictwem Towarzystw Przyjaciół Nauk, Gospodarczo-Rolniczego, Przyjaciół Muzyki i Dobroczynności, na najszerszą skalę akcją oświatową, naukową, kulturalną, humanitarną i charytatywną. Konspiracyjnie działały one w kierunku krzewienia patrjotyzmu, wzajemnego popierania się i przysposabiania do wyższych stopni. Należeli do wolnomularstwa lubelskiego głównie oficerowie, prawnicy i ziemianie. Do loży siedleckiej należeli i liczni księża, manifestując w ten sposób brak sprzeczności pomiędzy nauką Kościoła a przepisami lóż symbolicznych, nakazujących wiarę w Boga i w nieśmiertelność duszy, oraz czynną miłość bliźniego. Natomiast w diecezji lubelskiej ks. biskup Skarszewski, b. targowiczanin i wróg w. mistrza polskiego, Stanisława Kostki Potockiego, zwalczał wolnomularzy wszelkiemi sposobami i duchowieństwu wstępować zabraniał. Coprawda i w lubelskiem ks. Szymański był ujemnego zdania o masonach. „Z magnatów ledwie znajdziesz którego coby do tego bractwa nie należał — pisze — lecz mają między sobą i podlejszych, jako to muzykantów i żydów. To dziwne, że się tam i duchowni znajdują, a jako wiem od J. W. I. ks. Woronicza, teraz biskupa krakowskiego, nawet *primi ordinis*. Mniemanie publiczne wielu tam niesie Pijarów i innych zakonników, wielu świeckich plebanów. Słowem, wyjąwszy prostotę, znaczna część wyższych jest nowością zarażona, szczególniej urzędników. Jeżeli o religję pytasz, wszyscy jednemi usty mówią, że to rzeczy szanowne i święte, ale ich czyny nie zgadzają się ze słowami." Masonerja polska miała nawet swoich patronów św. Jana i św. Andrzeja.

Autor podkreśla jednak, że mimo niewątpliwej prawomyślności katolickiej i dobrej wiary braci niższych stopni, wyższe stopnie polskie również objęte były tendencją całego „Wielkiego Wschodu" w Europie walki z „tyranją świecką i duchowną", oraz, w rycie najwyższym, „walki z tronem i ołtarzem (papieskim)". Zdaniem jego, loże miejscowe nie mogły być wszakże rozsadnikami idei antyreligijnych. Główną atrakcją masonerji dla młodzieży była, w warunkach rozbioru ojczyzny i ucisku poli-

tycznego, możność znalezienia w niej warsztatu konspiracyjnej pracy politycznej. Ścisła poufność jej zebrań, dokładne zacieranie śladów i trudność przyjmowania nowych braci dawały dużą gwarancję bezpieczeństwa. Pociągało to głównie wojskowych, rwących się do przygotowania powstania narodowego. To też jeden z najznakomitszych braci lubelskich, major Walerjan Łukasiński, niezadowolony z braku „narodowego" kierunku lóż założył specjalne wolnomularstwo wojskowe pod nazwą „węglarstwa narodowego", całkowicie niezależne od wzorów obcych i symboliki hebrajskiej, „wschodniej", łączących Wielki Wschód Polski, wbrew woli większości „braci", z rewolucyjno-jakobińską masonerją zachodu. Niemniej i „niżsi" bracia polscy hołdowali szeregowi doktryn niebezpiecznych i podejrzanych, m. i. wierze „prawa wolnego każdego człowieka do szczęścia" i t. p.

Po skasowaniu lóż w roku 1822 majątek ich, o ile nie został „rozdany ubogim", stał się łupem Nowosilcowa i gen. Różnieckiego. Gmachy lóż lubelskich należą obecnie do tamtejszej kurji biskupiej!

Praca hr. Małachowskiego-Łempickiego, czysto naukowa i pozbawiona wszelkiej tendencji, jest niewątpliwie nader dodatnim przyczynkiem do zbadania dziejów masonerji polskiej.

Adam Romer.

Prace historyczno-literackie. Nr. 42. Ród Zoilów. Rzecz z dziejów staropolskiej krytyki literackiej, napisał Tadeusz Mikulski. Kraków 1933, skł. gł. w Kasie Mianowskiego, Warszawa. Str. 133.

Podtytuł pracy może zadziwić nietylko zwykłego czytelnika, ale nawet zawodowego polonistę Jak to? Czyż w dobie staropolskiej — przez którą rozumiemy zwykle czasy przedrozbiorowe — istniała krytyka literacka? Pytanie to, pocieszmy się, zadawali sobie nawet ci badacze, którzy specjalizowali się w zgłębianiu dziejów krytyki. I pytanie to właściwie po dziś dzień nie doczekało się należytej odpowiedzi. Jakoś tak nawykliśmy uważać Brodzińskiego za ojca krytyki polskiej, że nawet głośne w swoim czasie nazwiska Osińskiego, Dmochowskiego czy Euzebjusza Słowackiego nieodrazu na pamięć nam przyjdą, pomimo że już o tych krytykach powstały monografje (Grabowskiego o Osińskim, a Smolarskiego o E. Słowackim, jeszcze nieopublikowana w całości). Cóż dopiero mówić o starszym od nich Golańskim, o dawniejszych jeszcze poetykach Sarbiewskiego i Ł. Opalińskiego, o których też istnieją prace specjalne? A im dalej sięgamy w przeszłość, tem trudniej nam sobie przypomnieć coś, co możnaby było nazwać krytyką. Trzeba dopiero pilnych i uważnych poszukiwań, by uzbierać jeżeli nie dwanaście to przynajmniej choćby jeden kosz ułomków.

Do takiego pilnego zbierania powołany jest szczególnie dr. T. Mikulski, który już nieraz czyto w pracach większych czy pomniejszych przyczynkach dał dowód, że umie na szerokiej przestrzeni wieków dostrzegać w literaturze drobne nawet i napozór niezbyt ważne szczególiki, prowadzące w sumie do ciekawych i niespodziewanych nieraz wyników. Jak wnosić można ze słów przedmowy, ma on w planie wyczerpującą monografję o dziejach krytyki staropolskiej, w niej zaś znajdzie się miejsce na różne typy tej krytyki (teorja literatury, gawędy o książkach, zapiski marginesowe, przedmowy zalecające, epigramaty pochwalne lub uszczypliwe &c). Praca to trudna i niepodobna jej „skreślić odrazu", przeto autor narazie „cień tylko jeden maluje obrazu" — słusznie zaczynając od tego, co jest najbardziej obrazowe i malownicze, a przytem z powodu swej częstości najbardziej charakterystyczne.

Nazwiska dwóch krytyków starożytnych — i to właśnie krańcowo niemal sobie przeciwnych — stały się synonimami zawodu krytyka: Arystarch i Zoil. Pierwsze z tych nazwisk cieszy się powszechnym szacunkiem, używane bywa jako komplement, natomiast drugie zyskało sobie smutną raczej sławę. Sława ta czy niesława nader kruchą ma podstawę w jedynym fakcie: napaści na Homera. O życiu i działalności Zoila bowiem zachowało się ledwie kilka szczegółów... Tradycja o nim — to przeważnie zbiór różnych zmyślonych, często wprost fantastycznych szczegółów, które z wiekami urastały do niebywałych rozmiarów. Jako na kozła ofiarnego, zwalano na niego wszelkie grzechy i winy. Nie był to tylko zazdrośnik i złośliwiec, ale oszczerca, matacz, szkodnik, ba, infamis, zdrajca, warchoł, wreszcie ojcobójca i szubienicznik! Żeby lepiej uwydatnić szpetność jego charakteru, malowano i ciało jego coraz to okropniej. Dawano mu twarz pomarszczoną, krzywą, wyżółkłą, ostre czarne kły, równie ostry, a przytem wszeteczny, kłamliwy i jadowity język, psią skórę, krzywy nos, nierzadko przystrojony okularami, kryjącemi zazwyczaj kaprawe oczy... Niekiedy wprost czyniono go podobnym do psa... albo do jędzy... I to nie wystarczało! Oto stawał się niekiedy wcieleniem czy synonimem czyto zazdrości czy też innych wspomnianych powyżej występków. Doszło wreszcie do tego, iż poczęto go indentyfikować z Judaszem (Klonowicz) i Hamanem...

Ale bywały i pomysły rozsądniejsze, nie tak daleko odbiegłe od pierwotnego źródła. Zoilem wówczas zwano poprostu ostrego krytyka, w razie czego i cenzora — powołanego lub niepowołanego. O ile poprzedni typ Zoila smagano i dręczono, istotnie jak Żydzi Hamana lub dawni żacy kukłę Judasza, o tyle z tym drugim Zoilem postępowano oględniej, czapkowano mu nawet i starano się pozyskać jego łaskę. Zdarzały się nawet wypadki rehabilitacji i apoteozy Zoila... I w jednem i drugiem postępowaniu dochodzono do przesady i śmieszności, często umyślnej

i żartobliwej. Walka z Zoilem stawała się czasem walką z wiatrakami, a uniżoność względem niego przypominała potulność Mickiewiczowskich żab wobec króla Kija Kijowicza, bo broniono się przed Zoilem i kłaniano mu się nawet wtedy, gdy nie napastował, lub gdy go nie było wcale... Ileż to bowiem razy bywał Zoil takąż fikcją, jak fikcyjnemi były przypisywane mu przez wielu naszych pisarzy — poezje!

O tem to wszystkiem napisał Mikulski barwnie i zajmująco, niekiedy z lekkim humorem, który bynajmniej nie pozostaje w niezgodzie z niepospolitą, ujawnioną w tej książce, erudycją. Z zakończenia widzimy, że nieobcą mu jest myśl o zajęciu się tematem Zoila i w nowszej literaturze polskiej. Do wspomnianych tam mimochodem utworów możnaby niejeden dorzucić — że wspomnę „Strachy" Odyńca, „Krytykę krytyki" Słowackiego, niektóre wiersze Lemańskiego i Ejsmonda... Kwestja Zoilowa istnieje po dziś dzień i będzie istniała póty, póki istnieje literatura, której produktem ubocznym zawsze będzie krytyka.

Józef Birkenmajer.

Ks. Prof. Bernard Bartmann: N a u k a o c z y ś c u. Tłum. Krystyna Sarjusz Zaleska. Kraków 1932. Nakładem Wydawnictwa Księży Jezuitów. Str. 174.

Problemy eschatologiczne w tej czy innej formie znane były i są wszystkim narodom; przedstawiają one dla życia ludzkiego wziętego ze strony psychicznej nieprzeciętną wartość. Toteż nic dziwnego, że literatura eschatologiczna jest dość obszerna i stale się powiększa. Ostatnio ukazała się książka ks. Bartmanna, poświęcona zagadnieniom czyśca.

Książka niniejsza dzieli się na dwie części.

Cz. I jest pewnego rodzaju rzeczową, szczęśliwie pomyślaną, introdukcją do właściwego tematu, który jest przedmiotem cz. II.

Autor doskonale zdał sobie sprawę z ważności przedmiotu, cały bowiem rozdział pierwszy zagadnień wstępnych poświęca omówieniu źródeł. Podaje mianowicie źródła autentyczne, z których w tej materji korzystać należy, a więc przedewszystkiem Pismo św. i nauki Apostołów, dalej negatywnie rzecz prowadząc, wykazuje, że wszelkie zniekształcenia pojęć eschatologicznych tak wyraziście spotykane u Żydów, Egipcjan, Babilończyków, Greków i Rzymian, w mniejszym stopniu u Persów (eschatologja starych Persów, mieszkających na Iranie jest zadziwiająco podobna do eschatol. chrześcijańskiej), wyrastają z podłoża błędnych, nieautentycznych i apokryficznych źródeł.

Roz. 2 omawia śmierć, jako los zgodny z ludzką naturą, — jako pomost, łączący świat ziemski, materjalny z zaświatem, — z nadprzyrodzonością. Kościół katolicki na sztandarze swej ideologji między innemi wypisał: „Wierzę w żywot wieczny" — wolnomy-

śliciele zaś dogmatowi temu przeciwstawiają wyraźną negację życia pośmiertelnego. Inni, wprawdzie wyraźnie nie przeczą nieśmiertelności duszy, nie odrzucają wieczności, ale też nie głoszą nic pozytywnego, — żyją domysłami. Jednych i drugich odprawia ks. B. krótką, ale rzeczową argumentacją i stwierdza, że pewność w stosunku do życia zagrobowego dać nam może jedynie Wiara św. Ten też pogląd znalazł dobitny wyraz na soborze w Vienne w 1911 r.

Gdzie znajduje się „tamten świat", jaka jest jego psychologja — to treść rozdziału 3 i 4.

Roz. 5 przykuwa uwagę czytelnika ze względu na słowa Pisma św.: „Postanowiono ludziom raz umrzeć, a potem sąd" (Żyd; IX, 27), które ks. B. w sposób oryginalno-praktyczny egzegetuje. Również jasno i zrozumiale uwypuklił tu ks. B. naukę Pana Jezusa o sądzie, zawartą u św. Jana V, 24 i nast., jak również u synoptyków (Mt: XVIII, 23-35; Lc. XIX, 11-27). U Jana i u synoptyków jest zawarta ta sama myśl: Człowiek sam siebie sądzi, — Bóg stwierdza tylko faktyczny stan. Po śmierci żadne już czynności dusz, w niebie będących, piekle czy czyścu, sądowi Bożemu nie podlegają. Decydujący tu jest stan duszy, w jakim była w chwili uwolnienia się z więzów ciała.

Rzecz właściwa, to jest nauka o czyścu, zamyka się w cz. II omawianej książki (od str. 60). Udowadnia w niej ks. B. istnienie czyśca, wykłada jego istotę, to jest materję i formę oczyszczania, uwzględnia również rozwój pojęć i praktyk eschatologicznych.

Argumenty, któremi Autor uzasadnia istnienie czyśca, gruntują się wyłącznie na N. Testamencie; jedynie te znaczą się w koncepcji ks. B. fundamentalną i ekskluzywną wartością. Pomija zaś z zupełną świadomością, więcej, wyraźnie przeczy, by miejsce z II. ks. Mach. 12, 43-46. St. Testamentu, dowodziło ówczesnej wiary Żydów w istnienie czyśca. Ks. B. idzie tu luzem. Miejsce bowiem z II. ks. Mach. wielu wybitnych egzegetów i dogmatyków wysuwa jako ważny dokument wiary Żydów w istnienie czyśca. Tego zdania jest znany Tanquerey. Tak samo jak Tanquerey rzecz stawia niemiecki dogmatyk Diekamp, jak również polski, wybitny dogmatyk ks. prof. Sieniatycki. Zdanie ks. B. uważamy za mało prawdopodobne i nieuzasadnione.

Zaciekawia nas, dlaczego Autor pominął dość ważne w tej materji daty. Sądzimy że ograniczenie się odnośnie do orzeczeń Kościoła w sprawie czyśca do cytatu jednego tylko soboru, — jak uczynił Autor, — to jest trydenckiego, który notabene nic zasadniczo nowego nie wniósł, lecz powtórzył opinję poprzedniego soboru, jest niewystarczające. Możnaby pominąć datę II soboru lyońskiego, ale pod żadnym warunkiem soboru florenckiego 1439. Wprawdzie wspomina o nim ks. B., jednakże nie daje rzeczy zasadniczej. Ważnym jest przecież momentem w kształtowaniu

się nauki o czyścu jej zdefinjowanie, jej wyniesienie do dogmatu. A to miało miejsce na sob. flor. 1439, stąd ważność tej daty.

Wiarę w istnienie czyśca potwierdza również tradycja. Ojcowie Kościoła tak zachodniego jak i wschodniego niejednokrotnie w pismach swoich wskazują na istnienie czyśca i nakazują wiernym modlić się za dusze zmarłych. Przejawia się to również w liturgji Kościoła, w napisach nagrobkowych — w katakumbach (roz. 2).

Dusze po opuszczeniu ciał sklasyfikować można na trzy grupy. Jedne zupełnie czyste, bezgrzeszne — idą wprost do nieba. Inne, grzechem śmiertelnym zbrukane, idą wprost do piekła. Te zaś, które wprawdzie bez grzechu śmiertelnego, ale z karą nieodpokutowaną lub grzechami powszedniemi zeszły z tego świata, karę oczyszczającą odbywać muszą w czyścu. Kara oczyszczająca dotyczyć może jedynie grzechów t. zw. peccata minuta, a nie peccata capitalia, jak słusznie podkreśla uczeń św. Augustyna Cezarjusz z Arles (roz. 3).

W jaki sposób odbywa się oczyszczenie i na czem polega przedstawia ks. B. w roz. 4 cz. II. (str. 91 i nast.).

Kara dusz czyścowych jest podwójna: poena damni i poena sensus. Pierwsza polega na czasowem nieoglądaniu Boga mimo silnego nastawienia duszy w tym właśnie kierunku; to stanowi istotę tej kary. Druga, jest karą pozytywną, pochodzącą od zewnątrz.

To, co Autor wyłożył w następnych rozdziałach (str. 118 - 174), nazwałbym częścią praktyczną, mogącą stanowić część III omawianej książki. Treść tej części pierwszorzędnie dotyczy raczej nas żyjących, to jest, o ile i w jakim stopniu możemy przyjść duszom czyścowym z pomocą, jak nam uchronić się od czyśca, dusz zaś czyścowych dotyczy jedynie z punktu ich reakcji na ziemskie nasze suffragia.

Książkę kończy płomiennie napisany rozdział p. t. Radości czyśca.

Ze strony zewnętrznej pozwolimy sobie zwrócić uwagę na kilka drobnych usterek stylu czy pisowni. Styl zasadniczo dobry, razi jedynie dość częsta, niewłaściwa budowa zdań pobocznych np. „to ludzie, co w kwestji... "zamiast: .... „to ludzie, którzy... (str. 34), albo: „Niema nauki na świecie, coby ...." zamiast: .... któraby (60). Nie rozumiemy, dlaczego Pismo św. pisano raz dużą, drugi raz małą literą, gdy przeciwnie dużą literą pisano „Reformacja Lutra". Wyrazy „poczerpnięty", „chędoży" (17, 65) należałoby zmienić.

Książka ks. Bartmanna przedstawia wielką wartość. Czyta się ją, jak zresztą wszystkie jego prace (Zob. P. P. maj 1933 n. recenzję dwóch książek ks. B.: Nasza Wiara w Opatrzność i Stworzenie) z prawdziwem zainteresowaniem. Niech trafi więc do szerokich kół inteligencji polskiej, — niech się stanie bodźcem zain-

teresowań w dziedzinie dla nas tak ważnej zagadnień eschatologicznych, — niech będzie motywem do pracy twórczej na tem polu.

Maksymiljan Rode.

Konstanty Wiskowatyj: Pogłosy historji polskiej w epice Jugosłowiańskiej. Nakładem Instytutu Słowiańskiego w Pradze. W języku polskim wydane pod redakcją dr. Marjana Szyjkowskiego.

250-letnia rocznica zwycięstwa króla Jana III Sobieskiego pod Wiedniem, obchodzona tak uroczyście w Polsce i Austrji, wywołała żywy i nader sympatyczny oddźwięk w państwach słowiańskich Europy, szczególnie zaś w Jugosławji, gdzie uznano to zwycięstwo za zwycięstwo całej Słowiańszczyzny, króla Jana zaś za bohatera ogólnosłowiańskiego. Wszak zwycięstwo pod Wiedniem utorowało drogę do uwolnienia narodów południowo-słowiańskich z pod jarzma tureckiego.

W swojej pracy p. Konstanty Wiskowatyj, profesor emigrant na czeskiej wszechnicy w Pradze, podaje cały szereg utworów epicznych jugosłowiańskich, w których zachowały się wspomnienia walk Władysława Warneńczyka i Jana Sobieskiego z Turkami i Tatarami. Wojny te odbywały się przecież w najbliższem sąsiedztwie Jugosłowian i żywo dlatego wryły się w ich pamięć. Autor przedstawia nam dokładnie podłoże historyczne tych pieśni, potrzebne dla należytego zrozumienia omawianej epiki, zwłaszcza, że poszczególne pieśni, podawane z ust do ust, z pokolenia na pokolenie, podlegały pomieszaniom i przeróbkom, czyniącym z nich napozór często stek fantastycznych anachronizmów. Drogą historycznych badań naukowych można jednak przeważnie ustalić treść pierwotną i rozbić je na odpowiednie części składowe. Autor posługiwał się więc bogatym materjałem źródłowo-historycznym. Ogromne znaczenie ma oczywiście dla epiki jugosłowiańskiej bitwa na Kosowem polu, kiedy to Serbowie utracili niepodległość i kiedy ich poezja przestała być pieśnią walki czynnej, toczącej się walki orężnej, a stała się kultem bohaterów przeszłości i wyrazem, nadzieją na wybawienie w przyszłości. Równocześnie poezja ta sławić zaczęła bohaterów walk z Turkami innych narodów, szczególnie Polaków i Węgrów, zwłaszcza właśnie Władysława Warneńczyka i Jana Sobieskiego oraz Jana Hunyady'ego i Macieja Korwina. Są to pieśni serbskie i chorwackie.

Pieśni o Warneńczyku przedostały się do Polski bardzo wcześnie za pośrednictwem śpiewaków serbskich. Wszak pod jego sztandarami służyły niemal wszystkie ludy bałkańskie. Zbiór pieśni ludowych Bogisicza zawiera trzy utwory, sławiące Warneńczyka, „sławnego w całym świecie". Są to szczegółowe, popularne opowiadania wierszem o bitwie pod Warną, oczywiście

w formie legendarnej. Długą bardzo pieśń o Warnie, coprawda spaczoną mieszaniem jej z bitwą na Kosowem polu, zawiera 47 tom *Rad Jugoslovenske Akademije.*

Osobny cykl tworzą pieśni o potrzebie wiedeńskiej, niestety zachowane tylko w drobnej części. Są one bardzo szczegółowe. Wielu Jugosłowian bawiło wówczas w Polsce, względnie brało udział w wyprawie wiedeńskiej. Nazwiska poszczególnych wodzów, jak np. Starhemberga są grubo zniekształcone. W jednej z pieśni znać wpływ włoski. Poza zbiorem Bogisicza wiele tych pieśni zawierają zbiory Kurelacza, Krasicza, Karadzicza, Kordunasa i Jastrebowa. Wszędzie król Jan figuruje jako jedyny i wyłączny zbawca Wiednia, wysłany przez samego Boga, któremu cesarz, błagając o pomoc, obiecuje rękę córki! Dziwnym trafem jednak figuruje on tam nie jako król Polski, lecz jako król Moskwy! Stało się to wskutek utraty pamięci o Polsce po rozbiorach i utożsamianiu później Rosji z przeciwturecką potęgą słowiańską. Ogromną rolę w tych poezjach odgrywa też syn króla Jana, przedstawiany często jako właściwy wódz. Najciekawszą jest pieśń, mająca co najmniej 200 lat i śpiewana swego czasu przez ślepego śpiewaka. Zawiera ona nadzwyczaj dokładne (za wyjątkiem kilku nazw) dane o bitwie wiedeńskiej, a nawet o początkach całej wyprawy.

Również i w poezji słoweńskiej, jak świadczy zbiór Strekelja, liczne są zwroty na cześć wybawcy Wiednia. Potem szereg znanych poetów zajął się osobą króla Jana i jego wyczynów wojennych. Najbardziej znanym jest wiersz-pieśń Kanawelowicza p. t. *Kraly Ioan Poljaczki,* posłany przez autora żyjącemu jeszcze wówczas Janowi III w hołdzie. Poeta Gundulicz w swoim eposie *Osman* sławi zwycięstwo Sobieskiego pod Chocimem oraz wspomina o „królach polskich" (Jagiellonach) jako bohaterach walk z Turkami.

Największym walorem naukowo-historycznym tych pieśni jest niewątpliwie stwierdzenie ogromu roli króla Jana III, obok którego bledną całkowicie wszyscy inni wodzowie z pod Wiednia, wbrew wiadomym usiłowaniom tendencyjnym nowoczesnej historjografji niemieckiej.

Adam Romer.

Roja Bolesław; Legjoniści w Karpatach 1914—1915, str. 447. Warszawa 1933. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy.

Autor, były podporucznik zawodowy austrjacki, później urzędnik Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie, zgłasza się do organizujących z ramienia Sokoła Krakowskiego legjony i jako były wojskowy zostaje dowódcą IV bataljonu II pułku. Osobiste przeżycia autora i bojowe koleje bataljonu są treścią tej pięknej książki, wydanej przez Instytut Wojskowy Naukowo-Wydawniczy w sza-

cie nader starannej i ozdobionej całem mnóstwem ciekawych zdjęć fotograficznych.

Brać studencka i druhy sokole, którzy tworzyli IV bataljon, to żołnierz jeszcze bardzo surowy, niewyćwiczony, poprostu „cywil" przebrany w szary mundur. Ożywia ich jednak szlachetny zapał, a w młodych piersiach biją serca ofiarne i gotowe do poświęcenia. Wiedzie ich wiara w niepodległość Polski i głębokie przeświadczenie, iż, bijąc Moskala pod polskim sztandarem służą najlepiej sprawie Ojczyzny. Nie politykują tedy, nie dociekają, jaka orjentacja jest lepsza, lecz zbrojni w odwieczne, przedpotopowe karabiny systemu Werndla jadą z humorem w brudnych wagonach. Dziarskiego animuszu nie psuje ani ogromnie liche zaopatrzenie, ani przeróżne szykany ze strony „czułej" Komendy i Intendantury austrjackiej.

Wywagonowani w półn. Węgrzech, maszerują przez dziką przełęcz Pantyrską, po stokach karpackich uganiają się za patrolami kozaków, aż wreszcie pod Mołotkowem dostają pierwszy krwawy chrzest bojowy. Żołnierzyki nasze trzymają się dzielnie, oficerowie frontowi z autorem na czele mężnie nadstawiają piersi i świecą przykładem poświęcenia, lecz c. i k. Komenda Legjonów nie dopisuje i w rezultacie zbocza mołotkowskie zaściela gęsty trup, a legjony zmuszone są cofać się na całej linji. Po krwawej i przegranej potrzebie mołotkowskiej zajmują ufortyfikowaną pozycję pod Rafajłową. Twarda służba stacyjna, żelazna dyscyplina, musztra, wypady za Moskalami po śniegiem już pokrytych szczytach, hartują tych druhów sokolich i brać studencką i przemieniają stopniowo w wyborowego żołnierza. Toteż następny egzamin bojowy zdaje IV bataljon już świetnie. Wyborowy zastęp Moskali, liczebnie naszych znacznie przewyższający, atakuje w cieniach nocy Rafajłowę. Lecz wobec czujności i męstwa żołnierzy i zdecydowanej postawy dowódców wściekły atak załamuje się w ogniu obrońców, a cały, tysiąc głów liczący oddział, dostaje się do niewoli lub pada trupem. Od tej chwili zaczyna wzrastać kredyt legjonów u władz austrjackich.

Wyrazem tego zaufania jest niezwykle odpowiedzialne i trudne zadanie, jakie bataljonowi przypada potem w udziale. Austrjacka Komenda, mając zamiar zaatakować natarciem frontowem silnie w Zielonej ufortyfikowanych Moskali, chce równocześnie rzucić im na tyły znaczny oddział, który musiałby się przedrzeć przez nieprzebyte prawie w onej porze przełęcze karpackie. I zadanie to powierza IV bataljonowi i bataljonowi „strzelców tyrolskich", którzy do tego rodzaju operacyj świetnie byli zaopatrzeni i znakomicie przygotowani. Serce rośnie, gdy widzimy bohaterski wyczyn naszych żołnierzyków. Tężyzna, hart, poświęcenie, energja i celowe dowództwo rzetelny budzą podziw. Kiedy bowiem po niezmiernie trudnej przeprawie przez głębokim śniegiem pokryte lesiste przełęcze, autor zaczyna atakować tyły rosyjskie, pokazuje

się, iż front austrjacki nie ruszył się zupełnie z miejsca, a bataljon strzelców tyrolskich jeszcze nie zdołał się przedrzeć. I oto przemarznięty, wyczerpany bataljon sam się znajduje wobec ogromnej przewagi i gwałtownych ataków Moskali. Lecz bohaterstwo żołnierza i zdecydowana postawa dowódców prawdziwy święcą triumf, bo gdy nazajutrz centrum austrjackie wreszcie zdecydowało się na atak, zastało naszych już panami Zielonej. Teraz już opinja legjonów była tak ustalona, że w następujących operacjach pościgowych c. i k. Komenda oddała pod dowództwo majora Roji znaczne siły. Opisem tych bojów pościgowych i wypoczynku w Kołomyji kończy się z wiosną 1915 opowiadanie.

Piękna ta książka zajmie w literaturze pamiętnikarskiej miejsce niepoślednie. Własne bowiem i swych „dłubinosków" przeżycia kreśli autor nader zajmująco, żywo, plastycznie, z dziarskim, żołnierskim humorem. Przytem jest on szczery i rzetelny: opisuje bowiem bez osłonek własne chybione posunięcia, nie ochrania własnych niedomagań, faktów nie upiększa. Dla innych jest wyrozumiały i pobłażliwy, nie robi wycieczek nawet na osoby sobie niemiłe. Zato bez ogródek piętnuje perfidję, małostkowość i okrutne praktyki władz wojskowych austrjackich, przyczem niezwykle głęboko i wnikliwie ujmuje podłoże polityczne i powody rozstroju c. i k. armji. Sąd ten jest tem cenniejszy, że autor, jako wychowanek szkoły kadeckiej, a później oficer zawodowy jest w tej mierze znakomicie poinformowany.

Źródłową wartość dzieła podnosi wykaz legjonistów i oficerów, tudzież bardzo ciekawe rozkazy i korespondencja.

Ks. Z. Nartowski T. J.

Stan posiadania ziemi na Pomorzu. Zagadnienie historyczne i prawne. Nakładem Instytutu Bałtyckiego w Toruniu.

Dnia 31 października 1932 odbył się w Poznaniu III naukowy zjazd pomorzoznawczy pod przewodnictwem rektora Stanisława Pawłowskiego. Protokół obrad wraz z referatami naukowemi został następnie wydany drukiem i stanowi treść książki p. t. „Stan posiadania ziemi na Pomorzu".

Wspomniane referaty naukowe, zawierają niezmiernie wiele ciekawego materjału, dotyczącego ziemi pomorskiej. Już referat generalny profesora K. Tymienieckiego o „koordynacji badań w dziedzinie osadnictwa i stanu posiadania ziemi pod względem narodowościowym na Pomorzu" i następująca po nim dyskusja zasługują na uwagę. Tak samo drugi referat generalny prof. A. Ohanowicza o „stanie prawnym osadnictwa polskiego na Pomorzu" i dyskusja po nim bardzo dodatnie mają znaczenie naukowe, ułatwiając wiele badaczowi spraw pomorskich. Bardzo zajmujące są też obszerne sprawozdania archiwalne, statystyczne, muzealne, uniwersyteckie, zakończone sprawozdaniem samego Instytutu Bałtyckiego, wydawcy omawianej książki.

Osobne referaty naukowe przedstawili: p. p. Karol Górski p. t. „Zarys dziejów osadnictwa na Pomorzu", obejmujący czas od pierwszego, wiadomego historycznie osiedlenia się ludzi na Pomorzu aż do rozbiorów; ks. Alfons Mańkowski p. t. „O osadnictwie na Pomorzu w dobie wojen szwedzkich"; Kazimiera Jeżowa p. t. „Stan posiadania własności ziemskiej na Pomorzu w latach 1772—1894; Andrzej Wojtkowski p. t. „Działalność pruskiej komisji kolonizacyjnej"; Roman Lutman p. t. „Emigracja Niemców z Pomorza w okresie powojennym"; Kazimierz Kierski p. t. „Podstawy prawne osadnictwa polskiego na Pomorzu" (po odzyskaniu tej dzielnicy); Alfred Okołowicz p. t. „Prawodawstwo osadnicze niemieckie na pograniczu Pomorza przed wojną i obecnie"; wreszcie Antoni Kotiużyński p. t. „Podstawy prawne „Osthilfe", pierwszorzędnej aktualności.

Na szczególną uwagę w tych referatach zasługują: Przypomnienie przez p. Wojtkowskiego słów Bismarcka, świadczących, jak genjalny ten mąż stanu zdawał sobie sprawę z nieuniknionej konieczności wypłynięcia prędzej lub później sprawy polskiej na arenę międzynarodową, nie wykluczając możliwości wygrania tego atutu przeciwko Rosji, co właśnie w konsekwencji skłaniało go do usiłowania zdławienia żywiołu polskiego na obszarze zaboru pruskiego przed terminem „rozstrzygnięcia tak czy owak kwestji zaborów austrjackiego i rosyjskiego" (słowa prof. Hoetzsch'a). Stwierdzenie przegrania walki, wszczętej przez komisję kolonizacyjną z polskim stanem posiadania, dzięki zorganizowanej kontrakcji polskiej. Świetne sprostowanie przez p. Lutmana niemieckich statystyk, dowodzących rzekomego wypędzenia przez Polskę niemal miljona ludności niemieckiej, z tego 260.548 z samego Pomorza do 1921 r. Tymczasem emigracja nietylko była naogół zupełnie dobrowolna, ale, co najważniejsze, odbywała się głównie pomiędzy czasem spisu ludności w 1910 r., na którym opierają się statystycy niemieccy a terminem objęcia Pomorza przez Polskę. Szczególnie niemiecki żywioł urzędniczy i t. d. opuścił Pomorze z dniem 1 kwietnia 1920 r. na polecenie rządu pruskiego, któremu zależało na zdezorganizowaniu administracji. W pierwszych latach panowania polskiego wyemigrowali głównie optanci, nie więcej jednak niż 69.434. Przymusowo wydalono jedynie 1688! Żywioł niemiecki już przed wojną cofał się, nawet, jak dowodzi p. A. Okołowicz, z krajów bałtyckich. Dzięki interwencji Ligi Narodów nie pozwolono Polsce zlikwidować nawet osadników, przewłaszczonych dopiero po wojnie, a więc wbrew postanowieniom rozejmu. P. Górski zaś w swoim referacie dowodzi, na podstawie źródeł niewątpliwych, że w chwili usadowienia się Krzyżaków na Pomorzu w 1309 r. ziemia ta była czysto polska i pozostała takową przeważnie, mimo całego ucisku i tępienia, aż do powrotu na łono macierzy polskiej w 1466 r. Kolonizacja niemiecka zaczęła się tam na szerszą skalę dopiero po wojnach

szwedzkich, no i następnie dzięki komisji kolonizacyjnej pod koniec ubiegłego stulecia.

Instytut Pomorski oddał więc swoją publikacją niewątpliwą przysługę nauce polskiej.

Adam Romer.

Encyklopedja kościelna... wyd. przez Ks. Michała Nowodworskiego. Tom XXXIII, ostatni: Załęski — Żywoty Świętych. Pod red. Ks. Dra Stefana Biskupskiego. Włocławek 1933.

Lat temu sześćdziesiąt, dzięki inicjatywie Ks. M. Nowodworskiego (późniejszego biskupa płockiego) podjęto wielkie wydawnictwo Encyklopedji Kościelnej, zakrojonej na wiele tomów. Było to podówczas dzieło niezwykłe i śmiałe, jeśli zważy się dość niski ówczesny poziom nauk teologicznych na ziemiach polskich. Śmiały i utalentowany inicjator, redaktor *Przeglądu Katolickiego*, zdołał jednak zmobilizować do tej pracy wszystkie pióra, jakie w Polsce katolickiej wszystkich zaborów można było znaleźć, i przez lat dwadzieścia ukazywały się dość regularnie tomy wielkiego dzieła, przeciętnie po jednemu na rok. Powołanie redaktora i wydawcy na stolicę biskupią było powodem znacznego zwolnienia tego tempa, a śmierć jego spowodowała ciągłe rwanie się dalszego wydawania Encyklopedji. Brali je w swe ręce profesorowie płockiego Seminarjum, Księża A. Zaremba, A. Pęski, przy współudziale obecnego biskupa tej diecezji, Ks. A. Nowowiejskiego, tomy wszakże ukazywały się coraz rzadziej, i wydawało się wątpliwem czy Encyklopedja dojedzie do końca. Tembardziej, że w Warszawie ruchliwy Ks. L. Chełmicki postarał się o „Podręczną Encyklopedję", która dość szybko w 44 tomach została urzeczywistniona. Po śmierci Ks. Pęskiego pozostawały jeszcze do opracowania ostatnie dwie litery alfabetu. Redakcja tego końcowego tomu przeszła w ręce Seminarjum włocławskiego, mianowicie jego profesora Ks. Dra St. Biskupskiego, — i oto po 60 latach otrzymujemy ostatni XXXIII tom dzieła. W ten sposób ostatnie 13 tomów rozciągnęły się na przestrzeni 40 lat.

Jak bądź, jednak Encyklopedja Nowodworskiego została skończona. Wydawana tak długo, nie posiada ona równej — w swych różnych tomach — praktycznej wartości. Tomy dawniejsze wymagałyby poważnych uzupełnień. Ale i taka, jaką jest, Encyklopedja stanowić będzie pomnik zaszczytny pracy pisarskiej kapłanów i świeckich katolików Polski w przeciągu całych dwóch pokoleń.

W ostatni tom włożono także wiele staranności i pracy. Oprócz kilkuset krótkich notatek mamy kilka artykułów poważniejszych treści teologicznej, jak np. *Zjednoczenie osobowe*, *Zesłanie Ducha Św.*, *Zmartwychwstanie ciała* i in. Niepodobna w krótkiej recenzji omawiać poszczególnych artykułów. Encyklopedję recenzent może przeglądać tylko pobieżnie i „na wyrywki". Notujemy tylko kilka uwag.

W art. *Zmartwychwstańcy* (anonimowym) nie podano żadnej literatury, nawet 4 tomowej historji tego Zgromadzenia przez Ks. P. Smolikowskiego, o którym mówi się tylko ogólnikowo, że był autorem wielu dzieł ascetycznych i historycznych. Żeńskie Zgromadzenie Zmartwychwstanek nie dostało wcale artykułu; jest o niem tylko sumaryczna wzmianka w art. *Zgromadzenia zakonne.* Artykuł *Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa,* zdaniem naszem obrobiony za krótko, przytacza racjonalistyczne teorje o powstaniu wiary w zmartwychwstanie Jezusa, ale zbyt pobieżnie się z niemi rozprawia. W literaturze przedmiotu pominięto może najkapitalniejszą pracę E. Mangenota *La Résurrection de Jésus* 1910. Artykuł o kościele św. Zofji, nasuwa żal, że nie postarano się o osobny artykuł o koncepcji Zofji, jako mądrości Bożej, która to koncepja zajmowała tak wybitne miejsce w spekulacjach teologicznych i filozoficznych zwłaszcza na Wschodzie, a w rosyjskiej literaturze zajmuje jeszcze dotąd. Szkoda, że obok art. o Wacławie Żylińskim nie podano artykułu o drugim Żylińskim, prałacie smutnej sławy, który odegrał niezaszczytną rolę w historji diecezji wileńskiej. Trzeba przecież omawiać nietylko dodatnie ale i ujemne momenty z historji kościelnej. W art. o Ks. Zwolińskim szkoda, że wyraźniej nie zaznaczono w jaki sposób doszedł on do rządów archidiecezji warszawskiej. Oczywiście te i podobne defekty nie ujmują zasadniczej wartości ostatniego tomu Encyklopedji Nowodworskiego i można uważać takowy za godne uwieńczenie całego dzieła.

Ks. J. Urban.

Jan Sobolew: K a r a n i e w y c h o w a w c z e jako oddziaływanie na duszę w okresie chłopięcym. 8-a, str. IX+102. Wilno 1933. Skład główny Księgarnia św. Wojciecha.

Jakkolwiek przeciwko karze cielesnej w wychowaniu zaczął występować już J. J. Rousseau, to jednak była ona w powszechnem użyciu jeszcze w wieku XIX. Obecnie prawie wszyscy odnoszą się do niej niechętnie, nawet ze wstrętem, głosząc, że miejsce jej powinny zająć miłość i zaufanie. Tylko niektórzy jeszcze wychowawcy godzą się na nią, ale tylko jako na środek ostateczny i to w odniesieniu jedynie do natur wyjątkowo gruboskórnych i krnąbrnych.

Dlatego autor w przytoczonej w nagłówku pracy podjął się zadania nietylko oryginalnego, ale i bardzo niepopularnego, kiedy postanowił przeprowadzić w niej dowód konieczności i stosowności kary cielesnej „jako oddziaływania na duszę" w okresie chłopięcym. I odrazu trzeba przyznać, że do przedmiotu tego przystąpił z całą znajomością zagadnienia. Nie są mu bowiem obce zarzuty, jakie współczesna pedagogika stawia karze cielesnej. Zbija więc każdy pokolei i przeczy, jakoby taka kara była w szczególności poniżeniem godności osobistej i zabijaniem am-

bicji, jakoby ujemnie wpływała na stan nerwowy dziecka lub była powodem powstawania zboczeń seksualnych lub kłamstwa, albo praktycznie okazywała się niecelową i nieskuteczną.

Powtóre silnie podkreśla, że odróżnić należy karę cielesną, jako karę karności, o działaniu represyjnem i negatywnem i karę cielesną, jako karę wychowawczą, której celem jest umoralnienie błądzącej woli. Kara karności ma zastosowanie w okresie dziecięcym, t. j. mniej więcej do 10—11 roku życia, a celem jej jest powściąganie dziecka i zmuszenie go do posłuszeństwa w imię karności w każdym poszczególnym wypadku oporu. Praca autora odnosi się do kary cielesnej stosowanej jako środek wychowawczy, w okresie następnym, t. j. w chłopięcym, więc mniej więcej od 10 do 15 roku życia, kiedy to u chłopca zaczyna się już ujawniać działanie woli rozumnej, ale niestety często w złym kierunku. Kary tej jednak nie można według autora używać zbyt często i za byle co (np. za mimowolne wyrządzenie szkody lub zgubienie czegoś, za niezręczność lub zbyt wielką ruchliwość, za mimowolne obrazy starszych itp.) ale tylko wtedy, gdy zachodzi jej istotna potrzeba t. j. w wypadku poważniejszych wykroczeń natury etycznej.

Mając przeprowadzić przekonywujący dowód postawionej tezy, poszukuje autor wpierw przyczyn, skąd się wzięło w nowszych czasach tak radykalne i powszechne potępienie kary cielesnej w wychowaniu. Przyczyny te widzi, nie bez słuszności, w zliberalizowaniu i zeświecczeniu pedagogiki nowoczesnej, jakoteż we fałszywych jej, z tego głównie powodu, zeznaniach. Pedagogika bowiem liberalna i zlaicyzowana, odrywając wychowanie od podstaw religijnych, odrzucając, jako metafizykę, prawdę o naturze człowieka, przez grzech pierworodny skażonej, nie zna też mimo skrupulatnych i mozolnych poszukiwań psychologicznych, prawdziwej natury dziecka. W okresie bowiem chłopięcym pomija całkowicie wbrew rzeczywistości i niesłusznie momenty natury religijno-moralnej, które w psychice chłopca odgrywają niemałą rolę, o ile oczywiście wychowanie zeświecczone tych uczuć nie wypaczy lub nie przytłumi. Błądzi wreszcie pedagogika nowoczesna i co do pojmowania kary cielesnej, jako środka wychowawczego, gdy nie uznaje w niej momentu pokuty i ekspiacji, przez co właśnie wiedzie ona do odrodzenia moralnego po zgładzeniu winy.

Właściwą bowiem przyczyną wykroczeń chłopca w okresie dorastania jest powszechna „choroba woli" t. j. jej skłonność do zbaczania z właściwej drogi wskutek następstw grzechu pierworodnego. Skuteczna przeto poprawa błądzącej woli może być osiągnięta tylko przez jej naprostowanie, i to drogą wewnętrznego oddziałania na duszę. Natomiast nie zmienią wewnętrznie tej woli i to nigdy, środki czysto zewnętrzne nowoczesnej pedagogiki, jak uprzedzanie wykroczeń, usuwanie zewnętrznych objawów złego itp. Nie wiedzie też do celu oddziaływanie na chłopca czysto duchowe,

gdyż na takie oddziaływanie chłopiec w latach chłopięcych jest jeszcze niepodatny wskutek zbyt młodocianego wieku. Z drugiej strony faktem niezaprzeczonym jest, że zło tkwiące we woli występnej, a objawiające się nazewnątrz w formie wykroczeń, da się naprawić prawdziwie i skutecznie drogą tylko umoralnienia, a więc drogą przeżycia psychicznego zapomocą tak głębokiego poruszenia duszy chłopca, aby spowodowało ono odpowiednie napięcie jego woli. Środkiem zaś do tego celu nieodzownym, pod pewnemi warunkami, jest kara cielesna, gdyż tylko ona, jak to zresztą przyznaje i Foerster, jako pokuta jest rzeczywiście lekarstwem duchownem. Chłopiec w tym okresie życia, o ile tylko psychika jego nie została wypaczona przez wychowanie liberalne, odczuwa potrzebę ekspiacji za popełnioną winę, i to w sposób bardziej prosty, szczery i bezpośredni, aniżeli człowiek dorosły i najczęściej zepsuty już kompromisami życiowemi. Że tak jest w rzeczywistości dowodzą tego rozmaite fakty, jak np. dobrowolne przyznanie się do winy w celu poniesienia zasłużonej kary. A temu uczuciu i tej potrzebie musi być bezwarunkowo zadośćuczynionem i to w sposób stosowny jeszcze do charakteru natury psychofizycznej i moralnej takiego chłopca. Najodpowiedniejszym jednak dla tego wieku sposobem zadośćuczynienia tej potrzebie jest kara, która zgodna jest z bezkompromisowym, konsekwentnym i realnym sposobem przeżywania procesów wewnętrznych, a która zarazem w sposób również prosty, naturalny, bezkompromisowy i plastyczny mieści w sobie zasadnicze elementy pokuty: upokorzenie i osobiste cierpienie (ból). Taką zaś karą jest kara cielesną, która jako wychowawcza łączy oba te elementy pokuty w sposób najbardziej naturalny, prosty i plastyczny. Błędem zaś jest spodziewać się, że inne sposoby karania czy umoralnienia „bardziej humanitarne" odniosą w tem pożądany skutek, czyto w odniesieniu do wszystkich chłopców, czy też specjalnie u natur bardziej subtelnych i wrażliwych.

Żeby jednak kara cielesna, jako wychowawcza odniosła pożądany skutek wymaga autor pewnych warunków: przedewszystkiem delinkwent musi być do tego doprowadzony, aby przyjął ją wewnętrznie, co możliwem jest tylko wtedy, gdy istnieje w duszy chłopca odpowiednie podłoże moralne, jako wynik wychowania religijno-moralnego, inaczej kara taka działa tylko powściągająco i odstraszająco, i tem samem przestaje być karą wychowawczą. Obok tego konieczną jest rzeczą, aby kara taka sprawiła w duszy przełom wewnętrzny, przez poruszenie do głębi całej istoty chłopca, co ma miejsce tylko wtedy, gdy kara swą dotkliwością sprawia na chłopcu wstrząsające wrażenie. Jako innych koniecznych warunków domaga się autor, aby w zasadzie wymierzał ją raczej ojciec (nie matka), nauczyciel tylko wyjątkowo i w zastępstwie ojca, aby ją wymierzać z wielką roztropnością i nigdy w gniewie lub uniesieniu, także nie doraźnie, t. zn. nie w chwili przyłapania

chłopca na gorącym uczynku, ale nieco później, t. j. kiedy chłopiec ochłonie i miał już czas na krótką chociażby refleksję. Kara winna być dalej wymierzana z uczuciem ojcowskiego ukochania chłopca i poczuciem odpowiedzialności przed Bogiem za jego duszę. Dlatego to, celem zaoszczędzenia zbytecznego i szkodliwego upokorzenia, nie należy wymierzać jej przy innych, nawet nie w obecności rodzeństwa, przed karą powinien ojciec do chłopca krótko, ale poważnie i serdecznie przemówić, a po ukaraniu okazać mu swoje współczucie i życzliwość, nawet przez pocałunek ojcowski i nałożyć jaką modlitwę, dla uproszenia u Boga łaski dla gruntownej poprawy. Kto tych warunków nie umie dochować, to lepiej w takim wypadku nie karać, gdyż gorszą jest rzeczą karać źle i niepedagogicznie, aniżeli całkiem nie karać.

Dla przekonania o słuszności swoich wywodów powołuje się autor wreszcie nietylko na powagę starożytnych, nietylko na przykład takich państw, jak Niemcy, Szwajcarja i Anglja, gdzie jeszcze do dziś dnia w najlepszych kolegjach i zakładach ta kara jest praktykowana, ale i na powagę ksiąg dydaktycznych Pisma św. (zwłaszcza St. T.) Dowody jednak autora z Pisma św. zyskałyby o wiele więcej na sile i mocy przekonywującej, gdyby, zwłaszcza z N. Testamentu, wyzyskał ideę zadośćuczynienia i odrodzenia przez mękę i cierpienia Jezusa Chrystusa.

Jakkolwiek można z autorem nie zgadzać się lub mieć pewne zastrzeżenia co do drugorzędnych szczegółów jego pracy, to jednak zasługuje ona rzetelnie na uwagę i należałoby ją szczerze polecić zwłaszcza rodzicom i wychowawcom dla gruntownego i spokojnego przemyślenia. Niestety należy obawiać się, że książka do ogółu nie zdoła trafić, a powodem tego będzie nie tyle teza, której broni, ile jej zewnętrzna szata. Autor bowiem pisze stylem okropnie ciężkim i zawiłym, często posługuje się nietylko nadmiernie długiemi ale i zbyt skomplikowanemi zdaniami, w zdaniach względnych zwyczajnie używa szyku odwróconego, i jest dość rozwlekły, co wszystko niezmiernie utrudnia czytanie książki. Również poważnem niedomaganiem jest brak jakiegokolwiek spisu treści i indeksu rzeczowego.

Życzyćby sobie jednak należało, aby książka ta dotarła do szerokich sfer rodzicielskich, dlatego jako konieczny postulat należy postawić nietylko wydatne jej skrócenie w ponownem wydaniu, ale i takie przerobienie stylistyczne, żeby przy lekturze i średnio inteligentnym czytelnikom nie sprawiała trudności.

Dr. E. Chomrański.

Ks. dr. Józef Umiński: Historja Kościoła. Podręcznik dla szkół akademickich. T. I. Chrześcijańska starożytność i wieki średnie. Lwów 1933. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Str. XVI + 576.

Uboga nasza literatura podręcznikowa dla szkół wyższych wzbogaciła się dzięki książce ks. dr. Umińskiego nową pozycją, której

brak odczuwano dotychczas dotkliwie. Oprócz historji Kościoła ks. M. Balińskiego, którą dzisiaj raczej za zabytek muzealny, niż za podręcznik szkolny uważać należy, posiadaliśmy dwa inne podręczniki, a mianowicie mocno przestarzały i doprowadzony tylko do drugiej połowy XI w., ks. Wł. Szcześniaka oraz Dzieje Kościoła Powszechnego, opracowane przez ks. biskupa Wł. Krynickiego i wydane po raz czwarty przez O. Wł. Szołdrskiego C. SS. R. (Włocławek 1930). Dzieła te nie odpowiadały jednak wymaganiom, jakie stawia się obecnie nauczaniu historji kościelnej w szkołach o poziomie akademickim. Podręczniki zaś obce (Mourret-Carreyre, Ender, Poulet, Hergenröther-Kirch i i.) nietylko grzeszą jednostronnością, ale z natury rzeczy dzieje kościoła w Polsce traktują naogół po macoszemu (zob. recenzję ks. prof. M. Skibniewskiego T. J. w *Kwartalniku Historycznym*, r. 57, t. I, z. 1). Na konieczność opracowania odpowiedniego polskiego podręcznika historji kościelnej zwracano często uwagę, zwłaszcza na dorocznych zjazdach Związku Zakładów Teologicznych w Polsce. Od uznania potrzeby takiego podręcznika do jego opracowania prowadzi jednak droga daleka i trudna. Pomijając brak, tak potrzebnych do opracowania syntetycznego rozpraw i monografij o charakterze analitycznym, oraz trudności natury metodyczno-dydaktycznej, wiele kłopotu w tym względzie sprawia rozkład materjału politycznego, prawnoustrojowego, dogmatyczno-ascetycznego, kulturalnego oraz zachowanie miary w omówieniu dziejów kościoła na terenie poszczególnych organizmów państwowych.

Trudnej tej pracy nie zawahał się podjąć ks. dr. Umiński, którego nazwisko zaszczytnie jest znane, jużto z jego działalności profesorskiej, jużto z prac ogłoszonych drukiem. Podręcznik jego dzieli się na dwa tomy. Pierwszy, omawiający chrześcijańską starożytność i średniowiecze (lata 1—1517) już się ukazał na półkach księgarskich, drugi, obejmujący czasy od wystąpienia Lutra do doby dzisiejszej, zapowiedziany jest na sierpień przyszłego roku. Tom pierwszy poprzedza wyjaśnienie pojęcia, znaczenia i podziału historji kościoła na okresy oraz uwagi, dotyczące źródeł, historjografji i pomocy naukowych, niezbędnych dla badacza historji kościoła. W podziale dziejów kościoła odstępuje autor od utartego szablonu przypisywania dacie upadku państwa zachodniorzymskiego (476) znaczenia epokowego, nietylko w dziejach powszechnych, ale i kościelnych i przesuwa okres chrześcijańskiej starożytności aż po rok 755, w którym powstało państwo kościelne, średniowiecze zaś doprowadza aż do wystąpienia Lutra w 1517 r.

Uwagi wstępne są z punktu widzenia metodyczno-dydaktycznego instruktywne i pożyteczne. Podział na okresy jest celowy i uzasadniony. Bibljografja umieszczona na czele każdego rozdziału odznacza się starannym doborem i metodycznym układem. Między innemi mile uderza fakt, że autor starając się zaznajomić czytelnika z polskim dorobkiem naukowym w dziedzinie historji ko-

ścielnej, skrzętnie podaje rozprawy i dzieła uczonych polskich. W bibljografji powinnaby się znaleźć praca ks. E. Nowaka p. t.: Rys dziejów duszpasterstwa wojskowego w Polsce 968—1831, Warszawa 1932, oraz wszechstronna, dwukrotnie wydana przez redakcję *Przeglądu Powszechnego* „Ankieta w sprawie św. Stanisława biskupa". Dzieje Kościoła traktuje czcigodny autor wszechstronnie, przyczem rozkład materjału jest harmonijny i proporcjonalny. Konstrukcja podręcznika zwarta, wykład jasny, przejrzysty i przystępny. Wobec tych wszystkich zalet pierwszego tomu należy pragnąć, by tom drugi jak najprędzej ujrzał światło dzienne i żeby ten podręcznik szeroko zastosowany w szkołach, przyniósł te owoce, jakich po nim można się spodziewać.

Ks. Jan Popiatek T. J.

Ks. Władysław Lęga: Ziemia Malborska. Kultura ludowa. Toruń 1933. Wydawnictwo Instytutu Bałtyckiego.

Praca ks. Władysława Lęgi o ziemi malborskiej, b. województwie malborskiem przedrozbiorowej Rzeczypospolitej stanowi wynik badań źródłowych z okresu wojny światowej i lat ostatnich. Uwzględnia ona około 40 wsi powiatów sztumskiego, kwidzyńskiego, gniewskiego i malborskiego. Wszystkie rysunki, a jest ich bardzo dużo, wykonał autor osobiście według oryginałów, rozproszonych po wsiach. Praca ta daje doskonałą charakterystykę wszystkich główniejszych zjawisk kultury materjalnej, społecznej i duchownej tamtejszego ludu. Zawiera ona również wyczerpujące dane historyczne i geograficzne.

Dowiadujemy się więc o czysto słowiańsko-litewskiej (pruskiej) narodowości, jej ludności przed dwunastym wiekiem, wytępionej następnie „ogniem i mieczem" przez sprowadzonych przez Konrada Mazowieckiego Krzyżaków. Województwo malborskie zostało, jak wiadomo, zorganizowane po odzyskaniu tej ziemi przez Kazimierza Jagiellończyka. W chwili rozbiorów ludność tej ziemi, tak bardzo umiłowanej przez królów Polski, była zupełnie polska i zachowała tą swoją narodowość bardzo długo. Jeszcze w 1848 r. powstały tam polskie ligi narodowe; w 1863 r. dostarczono z tej ziemi powstaniu styczniowemu ochotników, broni i prowiantu. Nawet plebiscyt w 1920 r. dał w 26 miejscowościach przewagę głosom polskim.

Pamiątek polskich zachowało się niezmiernie wiele, szczególnie w licznych kościołach, pochodzących z polskich czasów. Poza Niemcami i Polakami (mówiącymi oryginalnem archaicznem narzeczem) znajdują się tam i liczni potomkowie kolonistów fryzyjskich. Chłopi jeszcze w początku b. wieku nosili buty, długie surduty i maciejówki, kobiety po dziś dzień ubierają się jaskrawo, z predylekcją dla granatu i czerwieni. Tak styl starszych domostw, jak i urządzenie ich, względnie rodzaj kuchni zdradzają przeważ-

nie pochodzenie słowiańskie, częściowo przynajmniej. Tkactwo niestety prawie zamarło, natomiast kwitnie koszykarstwo, palenie cegły, zdobnictwo metalowe, garbarstwo, tokarstwo, pszczelarstwo i t. d. Wiatraki są w znacznym stopniu systemu holenderskiego. Wysoko też stoi malarstwo ludowe, ceramika i t. d.

Wśród ludu zachowało się wiele przesądów. Szczególnie ślub i śmierć otoczone są całym nimbem legend i tradycji, starannie przechowywanych i pielęgnowanych. Opisy tych obyczajów są nadzwyczaj ciekawe. Również w okresie żniw, adwentu, nocy świętojańskiej i t. d. praktykowane są przeróżne „obrzędy", niezmiernie charakterystyczne i pouczające. Wiara w djabłów, krasnoludki, latańców, wiedźmy i t. d. bardzo jest rozpowszechniona. Zjawiska przyrody, zwłaszcza burze i t. d. tłumaczone są w sposób nadprzyrodzony, przypominający pogańskie podanie. Znachorstwo kwitnie. „Kolki" np. leczy się formułką: „Nie kol kolka, bom ja Polka".

Ciekawa jest też poezja ludowa; wiele jest legend, bajek, podań, guseł, przysłowi, zagadek ludowych i t. d. Pieśni polskie bardzo są rozpowszechnione. Niespotykane gdzieindziej są wielka socha, zwana „karakiem" i kopacz kartofli zwany „dugaczem". Naogół cała kultura ludu malborskiego jest, za wyjątkiem drobnych wpływów niemieckich, wybitnie polską.

Praca ks. Lęgi przysłuży się, zgodnie z życzeniem autora, bardzo wybitnie nauce polskiej i zachęci miejscową inteligencję do zbierania zabytków kultury ludowej, tak materjalnej, jak i duchowej.

Adam Romer.

Ks. H. Pinard de la Boullaye T. J.: Chrystus wobec historji str. 200. Chrystus obiecanym Mesjaszem str. 224. Chrystus cudotwórca i prorok str. 242. Wszystkie trzy dziełka w Wydawn. Ks. Jezuitów. Kraków, Kopernika 26. 1929—1933.

Głośny uczony na polu nauki porównawczej religij i wybitny przytem konferencjonista wziął za przedmiot kilku zkolei cyklów konferencyj wielkopostnych w katedrze Notre Dame w Paryżu odwieczny problem Chrystusa Pana. Żeby przedstawić go w całej rozciągłości i głębi, dzieli go na części. W pierwszej serji zajmuje się tylko historycznością osoby Zbawiciela. Usunąwszy najpierw trzy rodzaje przeszkód do badania dziejów Chrystusa, t. j. złe usposobienie moralne, fałszywe założenia filozoficzne i błędne metody, dowodzi faktu istnienia Pana Jezusa z potężnego ruchu, który wytworzył się koło jego osoby w świecie grecko-rzymskim, ze świadectwa pierwotnych chrześcijańskich Kościołów, ze sposobu, w jaki oświetlają się wzajemnie św. Paweł i pierwsi apostołowie chrześcijańscy, z historycznej wartości ewangelij i z niemożliwości skażenia pierwotnej tradycji.

W drugiej serji — wykazawszy, że Jezus podawał się sam za wysłannika Bożego czyli oczekiwanego Mesjasza, dowodzi, że był nim rzeczywiście, najpierw z analizy intelektualnych i moralnych właściwości Jego nauczania, potem z porównania do „pogańskich chrystusów", z własnego o sobie świadectwa i z realizacji proroctw, wreszcie z cudu zmartwychwstania, którego rzeczywistość niezbicie ustala w konferencji V i VI najpierw pozytywnie przez krytyczny rozbiór źródeł, potem polemicznie przez rozbiór zarzutów i tłumaczeń racjonalizmu.

Trzecia serja uzupełnia jeszcze powyższe dowody, wykazując, że Chrystus był rzeczywiście cudotwórcą i prorokiem. Omówiwszy najpierw w dwóch konferencjach możliwość, potrzebę oraz poznawalność cudu, rozbiera sumarycznie cuda Chrystusowe, wykazując ich nadprzyrodzony charakter, potem dowodzi ze spełnienia proroctw o zagładzie Jerozolimy, o rozwoju Kościoła, o miłości i nienawiści, jakiej przedmiotem sam miał być przez wieki, że miał jasnowidzenie prorocze.

Konkluzja wspaniale udowodniona jest ta, że, abstrahując od bóstwa, Chrystus jest z wszelką pewnością wysłannikiem Bożym, zasługującym na niezachwianą wiarę.

Konferencje ks. la Boullaye są niezmiernie cennym nabytkiem dla apologetyki. Argumentacja świetna, przekonywująca, gruntowna a nigdy nie nużąca, zupełnie nowożytna i nie hołdująca ani w najmniejszej mierze kultowi tradycyjności tam, gdzie postęp wiedzy tradycję zdystansował. Oddadzą te książki wielką przysługę nietylko kaznodziejom i nauczycielom religji w szkołach średnich, ale nawet profesorom apologetyki i teologji na wydziałach teologicznych. Dla tych ostatnich będzie bardzo pożądany wykaz najświeższej literatury przedmiotu oraz przypiski umieszczone po każdej konferencji, a traktujące o szeregu ubocznych, ale interesujących zagadnień. Można też te książki dać wprost do ręki inteligentnemu czytelnikowi, potrzebującemu wzmocnienia i oświecenia wiary, a zwłaszcza zrozumienia jej podstaw, związanych z osobą Chrystusa.

O Autorze jako kaznodziei wystarczy powiedzieć, że jest jasny, przejrzysty w układzie myśli i budowie okresów, o tyle wymowny, o ile to jest możliwe przy wybitnej przewadze intelektualnych zasobów. Uczony góruje w nim nad mowcą. Struny uczucia porusza rzadko i bardzo umiarkowanie, patosu prawie nie ma. Ale musi się go słuchać z przyjemnością i pożytkiem, skoro tak wybredne audytorjum jak to, które zbiera się na konferencje postne w Notre-Dame, przez szereg lat schodzi się tłumnie u stóp jego mownicy.

Przekład, zwłaszcza dwóch drugich seryj, jest zupełnie poprawny.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Henryk Barycz: Conclusiones Universitatis Cracoviensis (1441—1589). Polska Akademja Umiejętności. Kraków 1933. Str. XXVIII + 492.

Najstarsza i przez dwa wieki przeszło jedyna na ziemiach polskich wszechnica Jagiellońska odegrała niezwykle doniosłą rolę w rozwoju naszej kultury; zrozumiałą zatem i słuszną jest dążność do uprzystępnienia najstarszych źródeł, pozwalających poznać dzieje krakowskiej *Almae Matris*. Wydano już ich niemało, a to pięć tomów kodeksu dyplomatycznego, obejmującego dokumenty uniwersytetu z lat 1364—1605 w opracowaniu Żegoty Paulego, trzy tomy metryki studenckiej z lat 1400—1606 wydane przez B. Ulanowskiego i A. Chmiela, dwa tomy wybornych aktów rektorskich z lat 1469—1658, opracowane przez Wł. Wisłockiego i St. Estreichera, statuty, księga promocyj i księga pilności fakultetu artystycznego (filozoficznego) publikowane przez J. Muczkowskiego i Wł. Wisłockiego, wreszcie artykuły poszczególnych wydziałów, kolegjów i ważniejszych burs w opracowaniu Szujskiego, Majera, Burzyńskiego i Karbowiaka. Obecnie ten pokaźny wykaz wydawnictw powiększa się o jedną cenną publikację, która obejmuje protokóły obrad grona profesorskiego uniwersytetu krakowskiego z lat 1441—1588.

Ustrój naszej wszechnicy przyznawał gronu profesorskiemu rozległe uprawnienia, władza administracyjna rektora była silnie ograniczona, decyzja we wszystkich ważniejszych, a nawet wielu drobniejszych sprawach należała bądź to do całego zgromadzenia czynnych profesorów, bądź do jego części w różnych kombinacjach z zachowaniem przewagi wyższych fakultetów, teologicznego i kanonistycznego. Przebieg obrad i decyzje powyższych zgromadzeń notowano w księgach protokołów. Przewijają się tu przed nami różnej wagi sprawy; obok postanowień podstawowych, które weszły potem do statutów uniwersyteckich, mamy przeróżne sprawy głównie administracyjnej natury, jak obsadzanie beneficjów, urlopy dla profesorów, różne kwestje związane z zarządem dóbr Akademji, budynków uniwersyteckich, zaciąganie pożyczek i t. p. Na powyższych zgromadzeniach profesorskich załatwiano również wszelkie spory między fakultetami, kolegjami lub poszczególnymi profesorami; tu obradowano również nad stosunkami zewnętrznemi uniwersytetu z królem, biskupem krakowskim, radą m. Krakowa i t. d. Księgi protokołów pozwalają zatem wglądnąć w wewnętrzne życie Akademji, natomiast mniej przynoszą materjału dla jej naukowej działalności. W każdym razie jest to źródło pierwszorzędnej wagi dla dziejów krakowskiego uniwersytetu i dlatego należy wyrazić wdzięczność Pol. Akademji Um. za wydanie najstarszej księgi tych protokołów. Wydawca, jeden z najlepszych obecnie znawców *Almae Matris*, poprzedził właściwy tekst obszernym wstępem krytycznym, w którym przedstawił organizację wspomnianych wyżej zgromadzeń profesorskich, sam zaś tekst

opatrzył licznemi przypiskami, ułatwiającemi znakomicie zrozumienie treści. *M. N.*

Ks. Aleksander Syski: Ascetyka katolicka w krótkich naukach dla osób świeckich. Łuck 1933, str. 196.

Polecenie tej książki ze strony recenzenta wydaje się zbytecznem wobec tego, że przedmowę do niej dał Ks. Biskup łucki A. Szelążek, rekomendując czytelnikom i autora i jego dziełko. Ks. Syski, długoletni duszpasterz w Ameryce, a przedtem duchowy wychowawca młodzieży, traktuje swój przedmiot, jako kaznodzieja i konferencjonista, nie zaś jako profesor i erudyta. Jego Ascetyka to „zbiór krótkich nauk" (jest ich 42) na przeróżne tematy pobożne, ułożone jednak według pewnego planu, naogół zgodnego z zwyczajnemi podręcznikami życia duchownego. Cechuje te nauki przystępność i piękność języka. Nie podoba mi się używanie przez autora pewnych formuł mocnych w określaniu skutków grzechu pierworodnego, formuł takich jak „najzupełniejsze skażenie człowieka na duszy i na ciele", „grzech pierworodny zepsuł nam zasadniczo naturę naszą" itp. Tego rodzaju formuły, które ostatecznie można obronić przy użyciu wielu omówień i rozróżnień, tak jak brzmią, mogą być zrozumiane w duchu jansenistowskiego pesymizmu i umysły zwłaszcza nowoczesne zniechęcać do nauki katolickiej. Przed używaniem tego rodzaju wyrażeń słusznie mojem zdaniem przestrzega prof. Seminarjum sulpicjańskiego A. Verriele w książce swej *Le Surnaturel en nous et le péché originel.* Szczęście, że ks. Syski w wykładzie swoim rozprasza nieco posępność tych formuł. *Ks. J. U.*

Notatki bibljograficzne.

W Bibljotece dramatycznej „Drogi" ukazały się ostatnio: Everyman (Każdy), średniowieczny moralitet angielski w przekładzie znanego anglisty Stanisława Helsztyńskiego, oraz potężna tragedja antyczna André Gide'a p. t. Edyp, w przekładzie Romana Kołonieckiego.

Każdy jest to klasyczne dzieło, ilustrujące teatr średniowieczny w Europie Zachodniej i bardzo dla tego okresu w dziejach teatru typowe. Jako doskonały „tekst źródłowy", przyda się bezwątpienia w nauczaniu szkolnem — zarówno przy nauce historji literatury, jak i przy nauce historji.

Edyp Gide'a jest nowoczesną interpretacją słynnego mitu, który tak bardzo absorbował wielkich tragików greckich. Znakomity pisarz francuski tylko częściowo trzyma się w tym utworze tradycyjnej wersji legendy o królu Edypie, częściowo zaś samodzielnie ją przetwarza. Poruszane tu problemy etyczno-religijne nie otrzymują wprawdzie rozwiązania zgodnego z chrześcijańskim światopoglądem (jak to zresztą, gdy chodzi o dzieło Gide'a, jest

zgóry do przypuszczenia), ale są poruszane z dużą powagą a cały dramat nacechowany jest surową prostotą artyzmu.

Ks. Józef Londzin: Jaki wpływ wywarła reformacja na ukształtowanie się stosunków polskich na Śląsku Cieszyńskim? Cieszyn. Dziedz. Bł. Sark. Str. 32 in 8°.

Bardzo cenne sprostowanie tendencyjnych fałszów, jakoby cały protestantyzm śląski był czynnikiem narodowo dodatnim. Ks. L. niezbicie stwierdza, że poza t. zw. grupą Michejdowską, duchem polskim przejętą, ogromna większość protestantów śląskich była i jest Polsce nieżyczliwa, grawitująca do Niemiec lub Czech. Bardzo cenna praca, spokojna, trzeźwa. Ufamy, że pójdą za nią inne, pomocne do wyświetlenia całej prawdy.

K. B.: O. Rafał Kalinowski, Karmelita Bosy. Włocławek 1933. Str. 22 in 8°. Odb. z Aten. Kapł.

Śliczna postać świątobliwego zakonnika występuje w tym szkicu biograficznym w bardzo pięknem świetle. Trzeba pragnąć, by ten wielki Sługa Boży, którego może kiedyś uczcimy na ołtarzach, doczekał się obszernego, źródłowego żywotu.

Królowa Jadwiga. Zbiór przemówień ku czci Królowej Jadwigi, wypowiedzianych w Krakowie 9 stycznia 1933. Nakładem Akcji Katol. Str. 46 in 8°.

Po słowie wstępnem J. E. Ks. Metrop. Ad. Sapiehy zawiera ta cenna broszura najpierw kazanie ks. J. Rostworowskiego T. J. wypowiedziane w czasie nabożeństwa na Wawelu, potem 3 przemówienia na uroczystej Akademji w Domu Katolickim przez J. E. Ks. Arcyb. Teodorowicza, oraz Profesorów Haleckiego i Dąbrowskiego. We wszystkich przemowach dużo świeżych, ciepłych myśli. Dla rosnącego kultu świątobliwej Królowej publikacja bardzo pożyteczna.

Gen. Marjusz Zaruski: Zasadnicze komendy i rozkazy przy manewrach na statkach żaglowych. Warszawa 1933. Główna Księg. Wojsk. Str. 54 w 16-e.

Doskonale opracowana rzecz, z wielką znajomością psychologji rozkazu.

Joseph Dassonville S. J.: Les grandes heures de la famille. II. Les heures graves. Éditions Mariage et Famille. 86. Rue de Gergovie. Paris (14) 1935. Str. 95.

Znany z tegorocznego przejazdu przez Polskę kaznodzieja i działacz społeczny zbiera w tem dziełku kazania, nadawane na radjo francuskie, zmierzające do podniesienia i uświęcenia rodziny. Wymownie, z dużą znajomością życia traktowane są tu chwile ciężkich przejść, zgonów, prac, narodzin i t. d., które kolejno przesuwają się nad domami rodzinnemi.

Abbé Ch. Grimaud: Non mariées. A celles qui s'en vont solitaires... 3-e édition. 1933. Paris Tèqui. Str. 320.

Po szeregu prac, omawiających powołanie do duchownego stanu lub do małżeństwa, zwraca się autor do tych osób, które z różnych powodów nie wyszedłszy za mąż, pozostały w świecie. Daje on im wyborne rady, pełne znajomości dusz i zdrowego optymizmu. Bardzo pożyteczna książka, która niejednej duszy naprostuje rzekomo chybioną drogę życia.

C. Beccari S. J.: Il beato Giuseppe Pignatelli S. I. Z wielu ilustr. Isola del Liri. A. Macioca e Pisani. 1933. Str. 270 in 8°.

Jest to piękna, ciepła biografja wielkiego syna św. Ignacego, wyniesionego w tym roku na ołtarze. Żywot tem interesujący i cenny, że bł. Pignatelli przeszedłszy całą burzę kasaty zakonu i jego okrutnego prześladowania w drugiej połowie XVIII wieku, doczekał jego częściowej, a nieomal i pełnej restytucji, stając się przez to żywem ogniwem, łączącem dzieje dawnego i odnowionego Towarzystwa. Żywot ten sam jeden starczy za całą apologję zakonu Jezuitów w krytycznych chwilach walki.

Antoni Heinrich (Tonny): Podręcznik kajakowca. Warszawa 1933. Główna Księgarnia Wojskowa. Str. VIII + 343 z licznemi ilustracjami.

Do podanej w październikowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* literatury o sporcie wodnym przybywa nowa praca znanego teoretyka i praktyka sportu kajakowego, A. Heinricha. Opierając się na własnem doświadczeniu i bogatej literaturze obcej, zapoznaje on czytelnika z techniczną stroną tego sportu, omawia jego wartość, w streszczeniu historję, a przedewszystkiem sprzęt kajakowy, technikę kajakarstwa, wycieczki i zawody, oraz wody w Polsce, odpowiednie do ich urządzania; nakońcu podana jest część urzędowa: regulamin, instrukcje, statuty, listy klubów i t. d. Ukazanie się tej książki w jesieni i ilustracje jej okładki mają zachęcić do uprawiania tego sportu również w zimie.

Kaźmira Berkanówna: Którędy pójdziesz? Trzy drogi życia. Poznań 1933. Str. 60.

Książeczka ta, przeznaczona głównie dla młodzieży, porusza trzy drogi możliwe do obrania w życiu: małżeństwo, stan duchowny i pracę społeczno-apostolską. Pragnieniem autorki jest zachęcić czytelników zwłaszcza do akcji misyjnej. Uznając najlepszą wolę autorki nie możemy się powstrzymać od uwagi krytycznej, że literatura o małżeństwie pomija rzeczy istotniejsze, a literatura o misjach zamieszcza — rzecz trudna do zrozumienia — czasopisma obce, a opuszcza cenne pisma polskie.

Eremus: Bóg Panem naszym! Poznań 1933. Spółka Akc. „Ostoja"; „Bibljoteka Wieczornicowa" nr. 34. Str. 136.

Wieczornica ta przeznaczona jest do urządzania obchodów religijnych młodzieży, zwłaszcza S. M. P., i zawiera spory materjał

(23 punktów) obracający się koło prawd wiary, zawartych w 1-ym artykule Składu Apostolskiego i w 1-em przykazaniu Bożem. Na początku podane są wzory programów dla zespołów męskich i żeńskich.

Dr. Marjan Wachowski: Skrzynka zapytań. Poznań 1933. Spółka Akc. „Ostoja". Str. 24. (0,50 zł).

„Skrzynka zapytań" jest to specjalna forma pracy oświatowej i wychowawczej, ułatwiająca interesowanym stawianie pytań, które zostają następnie opracowane przez kierowników danej instytucji czy kursu i przedłożone we wskazanej formie pytającym. Jest to więc środek pomocniczy, cenny zwłaszcza w pewnych warunkach i przy niektórych kwestjach. Autor omawia w niniejszej broszurze metody pedagogiczne, jakie w tym wypadku należy zastosować, przyczem ma na oku zachęcenie do pracy samodzielnej i pogłębiania tematów.

Ks. Bolesław Kręcicki: Moja rozmowa z badaczami Pisma św. Kalisz 1933. Księg. A. Gałczyńskiej. Str. 48. (0,20 zł).

W formie rozmowy księdza z członkiem sekty badaczy Pisma św. stara się autor przedstawić ich zarzuty, oraz daje odpowiedź na nie. W poszczególnych rozdziałach przechodzi zagadnienia: czytania złych książek, Pisma św., urzędu nauczycielskiego w Kościele, czci obrazów, bóstwa P. Jezusa, duszy ludzkiej, nieba, piekła, czyśca, rzeczy ostatecznych, czci Matki Boskiej i t. d.

G. Hoornaert S. I.: Le Chemin de la Croix. Louvain 1933. Editions Rex. Str. 74.

Autor, znany szeroko ze swych licznych prac ascetyczno-moralnych, tłumaczonych częściowo na różne języki, zajmuje się tu nabożeństwem Drogi Krzyżowej. W 1-ej części podaje jego historję, w 2-ej przytacza szczegółowo odnośne przepisy kanoniczne, w 3-ej rozbiera to nabożeństwo ze stanowiska ascetycznego; ostatnia praktyczna część podaje metody dobrego odprawiania Drogi Krzyżowej, przyczem autor przechodzi szczegółowo każdą stację. Broszura to zwięzła, ale ścisła i bardzo pożyteczna, zwłaszcza dla duchowieństwa.

Edward Montier: L'ideal fiancé. — L'ideale fiancée. Paris 1932. Editions Mariage et Famille. Str. 137 i 146.

Obie powyższe książki znanego pisarza katolickiego francuskiego przeznaczone są dla przygotowujących się do stanu małżeńskiego, pierwsza dla narzeczonej, druga dla narzeczonego. Zawierają one wskazówki przedewszystkiem praktyczne, o wzniosłości małżeństwa i świętości jego obowiązków, o pracy przygotowawczej nad sobą przed zawarciem związku, oraz o tem, czego trzeba szukać i żądać od osoby, z którą chce się złączyć na zawsze. Rzecz pouczająca i praktyczna.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1933:

Władysław Mickiewicz: Pamiętniki. Tom III, r. 1870—1925. Z dodaniem wspomnienia o autorze i skorowidzu nazwisk przez St. P. Koczorowskiego. Str. 488.

Piotr Choynowski: W młodych oczach. Powieść. Str. 310.

Antoni de Saint Exupert: Nocny lot. Przedmowa A. Gide'a. Przekład M. Czapskiej i St. Stempowskiego. Str. 164.

Nakładem różnych:

L'Abbé Félix Klein: La Vie humaine et divine de Jesus-Christ Notre-Seigneur. Paris, Bloud & Gay. In 4°; str. VIII+474, z licznemi ilustracjami.

Ks. Arcb. Józef Teodorowicz: Zjawiska mistyczne i ich tłumaczenia (Konnersreuth). Poznań 1933, księgarnia św. Wojciecha. Str. XII+390.

Mieczysława Łuczyńska: Krzyk nagich ścian. Powieść. Poznań 1933. *Dziennik Poznański.* Str. 158.

Tadeusz Zieliński: Religja Rzeczypospolitej Rzymskiej. Część I. (Religje świata antycznego, t. IV) Warszawa 1933, J. Mortkowicz. Str. IV+383.

Otto Miller: Der Individualismus als Schicksal. Freiburg im Breisgau 1933, Herder & Co. Str. VIII+320 i 8 tablic.

Marja Dunajówna: Tomasz Zan. Lata uniwersyteckie, 1815—1824. Wilno 1933, T-stwo Przyjaciół Nauk w Wilnie. Str. 283.

Ludovicus Lercher S. J.: Institutiones Theologiae Dogmaticae, in usum scholarum. Editio 2, volumen I (De vera religione, Ecclesia Christi, Traditione et Scriptura). Oeniponte 1934, Fel. Rauch. Str. X+658. (8 Mk.)

Krystyna Sinko: Santi Gucci Fiorentino i jego szkoła. Kraków 1933, Wyd. Związku Kół Historyków Sztuki (Bibljoteka Hist. Sztuki nr. 3). In 4°. str. VI+84, i 8 tablic.

Libri S. Anselmi „Cur Deus Homo" prima forma inedita. Detexit et cum commentariis crit. edidit Eugenius Druwé S. J. Romae 1933, Pontificia Universitas Gregoriana. Str. XII+104+(46).

Dr. Stanislaus Adamczyk: De obiecto formali intellectus nostri sec. doctrinam S. Thomae Aquinatis. Tamże. Str. XVI+152.

Ks. Kamil Kantak: Bernardyni Polscy. Tom II; r. 1573—1795—1932 Lwów 1933, nakł. OO. Bernardynów. Str. XXXII+595.

Juljan Podoski: Rycerze z K. O. P. Powieść. Lwów—Warszawa, Książnica-Atlas. Str. 192.

Gen. Marjusz Zaruski: Na skrzydłach jachtów. Tamże. Str. 160.

Charles — F. Jean: La Bible et les récits babyloniens. Paris, Ed. B. Grasset (Collection „La Vie Chrétienne"). Str. XVI+347 (18 fr.).

Gaston Ritter: Das Judentum und die Schatten des Antichrist. Graz 1933, Verlag. „Styria". Str. 96.

O. Dr. Andrzej Gmurowski O. P.: Doskonałość chrześcijańska w myśl zasad św. Tomasza z Akwinu (*Studia Gnesnensia VII*). Gniezno 1934. Str. IV+224.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wzrost wpływów wolnomyślicielstwa w Polsce. — Antyklerykalizm czy raczej antykatolicyzm? — Antykatolicka ideologja „Legjonu Młodych"

J. E. ks. Prymas Hlond, omawiając w swym pasterskim liście niebezpieczeństwa, zagrażające katolicyzmowi w Polsce ze strony wolnomyślicielstwa, zaznaczył, iż wspomniany ruch i ideowy kierunek nie ogarnął jeszcze szerszych sfer społeczeństwa polskiego. Chociaż jednak obóz wolnomyślicieli liczbowo jest dość znikomy, znaczą się mimo to w kraju jego wpływy. „Apostołowie laicyzmu — pisał ks. Prymas w swem orędziu [1]) — jeszcze się w pewnej mierze ukrywają i ukrywają swe istotne zamiary, ale poczynają sobie coraz śmielej i coraz mniej się krępują. Już i w samo południe kąkol w pszenicę sieją. Coraz mniej pseudonimów w ich pismach. Już się przyłączyli do międzynarodowych organizacyj bezbożniczych i weszli w ich zarządy. Na kongresach światowych uchwalają z wolnomyślicielami całego świata bezwzględną walkę z wiarą, wzmożenie propagandy antyreligijnej i organizowanie masowych wystąpień z Kościoła. W kraju przeprowadzają te uchwały. Ustawicznemi zamachami na sumienie stępiają zmysł etyczny narodu. Pogłębiają kryzys moralny i deprawują duszę polską przez oswajanie opinji publicznej z wszelką nieobyczajnością. Laicyzują całe życie. Uderzają w katolicyzm a popierają sekty... chcą także u nas zapoczątkować erę bez Boga."

Tak charakteryzował działalność polskich wolnomyślicieli ks. Kardynał Prymas przed dwoma niespełna laty. Dziś kontury tego obrazu zaostrzyły się znacznie, bo wolnomyślicielska kampanja postępuje naprzód, odsłania coraz odważniej swą przyłbicę.

---

[1]) List pasterski, wydany z początkiem „Wielkiego Postu" w r. 1932.

Systematyczna walka, prowadzona zaciekle a cynicznie przez grupę wolnomyślicieli przeciw chrześcijańskiej etyce, wydaje już swe smutne plony, pogłębiając kryzys rodziny i kryzys małżeńskiego związku. *Wiadomości Literackie* stały się od paru lat amboną, z której bezkarnie, nieraz i z aplauzem rzuca się w społeczeństwo hasła skrajnej laicyzacji oraz moralnego rozpasania. Hasła te przenikają stale, choć powoli, zyskują sobie cichych sympatyków oraz jawnych zwolenników, gdyż są one programem łatwizny życia, idą po linji namiętności oraz najniższych instynktów. Główny apostoł laicyzacji w dziedzinie etyki seksualnej, Boy-Żeleński z wolterowskim cynizmem spopularyzował w szerokich warstwach inteligencji nęcące tezy rozpasania moralnego, zyskał fanatycznych zwolenników, zorganizował pierwsze „poradnie świadomego macierzyństwa", będące poradniami świadomej oraz bezkarnej rozpusty, a chociaż jego publicystyczna działalność spotkała się z bezwzględnem potępieniem katolickich sfer, mimo to za całokształt swej działalności otrzymał niedawno literacką nagrodę stolicy, dziś znalazł się nadto w gronie „nieśmiertelnych". Wolnomyśliciel, apostoł moralnego rozpasania, Boy-Żeleński, jest członkiem Polskiej Akademji Literatury, utworzonej przez rząd.

Uznajemy wielkie literackie zdolności Boy'a, podziwiamy świetność jego tak licznych tłumaczeń, wnikliwość i ciętość literackiej i teatralnej krytyki; przypuszczamy, iż za tę właśnie literacką twórczość otrzymał najwyższe to odznaczenie — ale tłumacz arcydzieł francuskich i świetny literacki krytyk jest równocześnie twórcą „Życia świadomego", autorem „Konsystorskich dziewic", „Piekła kobiet", organizatorem i fanatycznym obrońcą „poradni", a blask akademickiej rozety opromienia niestety i tę część jego literackiej twórczości, którą musimy bezwzględnie potępić. Dlatego też mianowanie Boy'a członkiem P. A. L. jest mimo wszystko policzkiem dla katolickiego społeczeństwa, a poważnym sukcesem wolnomyślicielskiej kampanji.

Równocześnie *Wolnomyśliciel,* organ polskich bezbożników, prowadzi w dalszym ciągu bezwzględną walkę z całokształtem katolickiego poglądu na świat, podważając perfidnie, systematycznie a bezkarnie wiarę, szydząc w niewybredny sposób ze wszystkiego, co dla katolickiego społeczeństwa jest świętem. Podkreślano już niejednokrotnie przykry fakt, iż jeden z redaktorów tego pisma zajmuje wysokie stanowisko w służbie rządowej, pomimo, iż ostatni napad literacki na przedstawiciela Stolicy św. w Polsce musiał znaleźć swój epilog w sądzie. Od szeregu miesięcy zorganizowano masowy kolportaż tego antyreligijnego organu wśród robotników i wiejskiego ludu. Jakie żniwo wstanie

z tego smutnego posiewu nie trudno już dziś przewidzieć.

Trzeci stołeczny organ: *Kurjer Poranny* laicyzuje systematycznie szerokie warstwy swych codziennych czytelników. Antykatolickie i antyreligijne nastawienie tego dziennika jest publiczną tajemnicą a szeroki jego zasięg stanowi groźne niebezpieczeństwo dla wiary szerokich mas. Laicyzujące nastroje red. Stpiczyńskiego znajdują na łamach tego pisma niedwuznaczne echo; drugi redaktor tego organu, zdecydowany liberał, Rzymowski, wszedł świeżo w skład Polskiej Akademji Literatury, jako jedyny reprezentant dziennikarstwa polskiego. Wojujący radykał, o ideach skrajnie laicyzacyjnych, reprezentuje polskich dziennikarzy w najwyższej instytucji literackiej. Nietylko więc bezkarność ale i najwyższy zaszczyt a równocześnie bolesne wyzwanie dla katolickiej opinji kraju.

Tenże *Kurjer Poranny*, któremu nadają ideowy kierunek zdecydowani wolnomyśliciele, wprowadził dodatek, poświęcony specjalnie młodzieży państwowej i jej organizacyjnemu życiu. Codzienny ten dodatek, wychodzący pod nazwą *Kurjer Poranny Młodych*, pragnie się stać wyrazicielem myśli, prac i uczuć młodzieży, zrzeszonej w organizacjach kształcących poczucie poświęcenia, a nadewszystko pracy dla państwa.

Otóż jest rzeczą wysoce charakterystyczną, iż inicjatywę tę powitał na łamach swego centralnego organu *Państwo pracy* (nr. 34—35, 22—29. X) „ze szczególnem zadowoleniem „Legjon Młodych", ze względu na wspólność myśli ideowej kierowników *Kurjera Porannego* z młodym polskim radykalizmem."

I to jest może fakt najsmutniejszy, że wolnomyślicielski laicyzm z całą świadomością konsekwencyj skierował obecnie swą pracę ze specjalnem nasileniem w kierunku szerokich mas młodzieży. Społeczeństwo starsze posiada pewną ideową odporność, większe uświadomienie religijne i głębsze życiowe doświadczenie, natomiast młodzież jest naogół bezbronna, toteż daleko łatwiej poddaje się narzucanej sobie przez wodzów ideologji. A nie ulega żadnej wątpliwości, iż chodzi tu o ideologję laicyzmu, tem niebezpieczniejszą, iż z niesłychanym sprytem maskuje się ideologją prorządowej i państwowej pracy. Na pierwszy plan wysuwa się hasła państwowotwórczego wysiłku, hasła, które przecież mogą i powinny mieć oddźwięk w jak najszerszych sferach społeczeństwa, niestety, przez perfidne nadużycie wolnomyślicielskich menerów, stałym trabantem prorządowych i państwowotwórczych nawoływań są w tym obozie hasła radykalizmu i antyreligijnej laicyzacji.

Stajemy wobec groźnego, może niedość uświadomionego niebezpieczeństwa, iż polskie wolnomyślicielstwo usiłuje podstępnie zagarnąć powoli dla siebie monopol państwowotwórczej pracy, utożsamiając najfałszywiej w świecie tę pracę z radykalizmem i laicyzacją. Systematycznie urabia się opinję, iż każdy wolnomyśliciel jest stuprocentowym państwowcem i że prorządowe nastawienie musi iść w parze z niedwuznacznym liberalizmem w dziedzinie religijnych przekonań. Cel tej kampanji jest nawskróś przejrzysty, chodzi o zdyskredytowanie katolickiego obozu, nastygmatyzowanie go piętnem antypaństwowych nastrojów, by tem łatwiej zrealizować wymarzony, choć zamaskowany, program rozdziału Kościoła od państwa.

Siewcą tych właśnie poglądów wśród szerokich warstw młodzieży staje się coraz wyraźniej w chwili obecnej „Legjon Młodych".

Już przed paru miesiącami (czerwiec) sformułowaliśmy na łamach tego miesięcznika wyraźne zastrzeżenia i obawy co do młodolegjonowej ideologji. Przyznając lojalnie, iż wśród ideowych postulatów tej organizacji nie brak też dobrych, szlachetnych, państwowotwórczych, — podnieśliśmy jednak równocześnie zarzut, iż, obok komunizujących nastrojów, nastawienie antykatolickie „Legjonu Młodych" musi uderzyć nawet najbardziej bezstronnych.

Obecnie, po pięciu miesiącach nie kierującej się żadnemi uprzedzeniami obserwacji, musimy stwierdzić, iż obawy nasze przemieniły się niestety w pewnik. Ideologja „Legjonu Młodych" radykalizuje się coraz gwałtowniej a antykatolickie wystąpienia centralnego organu: *Państwo Pracy* rozpraszają resztki złudzeń.

Czyż jednak mimo wszystko zarzut o antykatolickiem nastawieniu „Legjonu M." nie jest jawną krzywdą? Wszak deklaracja ideowa tej organizacji oświadcza wyraźnie (p. 14): „Wyznając zasadę wolności sumienia w tworzeniu nowego typu obywatela polskiego, uznajemy wielką wartość etyczną czynnika religijnego i dlatego ze czcią odnosimy się do religji, jako źródła idealnych pierwiastków ludzkości". Równocześnie jednak jawi się niestety „drobne" zastrzeżenie: „Czcimy religję, lecz zwalczamy jej najgorszego wroga — klerykalizm..." (*Państwo Pracy* nr. 28, str. 4. 31. VIII). Do antyklerykalizmu więc przyznaje się „Legjon Młodych" zupełnie otwarcie, prawie że z entuzjazmem; walkę z „klerykalizmem", z „czarną okupacją", z „międzynarodówką rzymską" głosi nieustannie na łamach swego organu i w rezolucjach organizacyjnych zjazdów; walka z klerykalizmem jednoczy ideowo „Legjon Młodych" z kierownikami *Kurjera*

Porannego i z całym obozem wolnomyślicieli polskich, mniejsza o to czy nimi będą Ułaszyny czy Stpiczyńscy...

Dziwna to doprawdy ideologja, która chce gwałtem połączyć bojowy antyklerykalizm z „czcią dla religji", a nawet z katolicyzmem. Klerykalizm odróżnia się z emfazą od katolicyzmu i tego właśnie odróżnienia domagał się od nas „Legjon Młodych" w swej gwałtownej polemice, nie mającej zresztą nic wspólnego z akademicką kulturą.[1]) Nasze twierdzenia, iż antyklerykalizm jest stałym poprzednikiem religijnej walki, iż antyklerykalizmem maskuje się nastawienie antyreligijne, — nazwano „uogólnieniami, które mogą przekonać tylko naiwnych i łatwowiernych, bo wartości dowodowej nie posiadają żadnej".

Niestety te „uogólnienia", tak bardzo drażniące „Legjon Młodych", zawierają tylko objektywną prawdę, wysnutą zarówno z historji jak i z analizy współczesnego życia.

Najpierw podkreślmy z naciskiem, iż ani „Legjon M." ani polscy wolnomyśliciele w swej antyklerykalnej kampanji nie są bynajmniej oryginalnymi twórcami jakiegoś ideowego kierunku, są to tylko wcale drugorzędni kopiści, którzy, nie licząc się z rodzimą kulturą i tradycją, usiłują przeszczepić na polski teren hasła obce, dawno wymyślone w zradykalizowanej Francji i mocno tam już zdyskredytowane przez życie.

Już na pomniku Gambetty, wybitnego republikanina a równocześnie wolnomyśliciela, który pchnął ówczesną Francję na tory walki z Kościołem, wyryto słowa, które były myślą przewodnią tego męża stanu: „Klerykalizm — oto nieprzyjaciel!"

Twórcą tego frazesu był dziennikarz Peyrat (r. 1867) ale spopularyzował go właśnie Gambetta i odtąd ów wyraz „klerykalizm" zadomowił się na szpaltach dzienników i agitacyjnych broszur, rozbrzmiewa z mownic parlamentarnych i wiecowych trybun.

Gambetta walczył z „klerykalizmem" rzekomo w imię haseł republikańskich oraz w obronie wolności sumienia, równocześnie jednak był członkiem masonerji, która, zwłaszcza od r. 1873, stała się we Francji potężnym czynnikiem politycznym oraz prawdziwą twierdzą bezbożnego wolnomyślicielstwa, w której organizowano wszystkie ataki przeciw Kościołowi. Walczono niby to z klerem, ale pociski uderzały w katolicki Kościół. Wszyscy zresztą wodzowie partji republikańskiej, którzy w swej polityce kierowali się hasłem Gambetty,

[1]) Zob. *Państwo Pracy*, (25. VI. 1933) — Władysław Mackiewicz: „Krucjata na Legjon pod wodzą jezuity". — *Kurjer Wileński*, (18. VII. 1933), W. Malec: „List otwarty do ks. Kosibowicza".

należeli do masonerji i byli zdecydowanymi wrogami religji katolickiej. W tem gronie wybitnych masonów i antyklerykałów znajdziemy nietylko Gambettę ale i J. Ferry'ego, Constans'a, Tirard'a, P. Bert'a, F. Carnot'a, V. Hugo, Littré, Rouvier'a, J. Simons'a, Clemenceau, Deschanel'a i wielu innych, dla których katolicyzm był nienawistnym frazesem. Właściwym motorem, lansującym w szerokie warstwy hasła walki z klerykalizmem, była masonerja, zaś jej religijny światopogląd chyba niedwuznacznie został sprecyzowany już 8 grudnia 1869 r. w Neapolu, w czasie obrad międzynarodowego kongresu, w którym uczestniczyło około 700 delegatów z najrozmaitszych państw i krajów. W czasie tego kongresu zapadła uchwała, iż „wolnomyśliciele uznają i głoszą wolność sumienia i wolność swobodnego sądu. Naukę uważają za jedyną podstawę wszelkiej wiary i konsekwentnie odrzucają wszelki dogmat, oparty na jakiemkolwiek objawieniu".

W myśl takich uchwał i przekonań francuscy wolnomyśliciele, głosząc walkę z klerykalizmem, domagali się równocześnie szkoły zlaicyzowanej, bez chrześcijańskiej etyki i bez Boga. Samo zresztą pojęcie Boga było, ich zdaniem, źródłem i podporą wszelkiego despotyzmu, a religja katolicka najsilniejszą ostoją przesądów, które godzą w dobrobyt, rozwój a nawet istnienie społeczności ludzkiej. Walka z Kościołem bezwzględna, nie przebierająca w środkach była już tylko logicznem następstwem tak sformułowanej doktryny. Teoretycznie wywieszano sztandar walki z klerykalizmem, głosząc hasło usunięcia Kościoła i kleru od polityki, ograniczenia jego działalności do funkcyj czysto duchownych; w rzeczywistości i w praktyce antyklerykalizm, przesiąknięty do głębi wolnomyślicielstwem, usiłował nietylko odchrześcijanić Francję ale nawet obalić i wytępić wszelką religję.

30 stycznia 1879 r. partja Gambetty ujęła ster rządów i przystąpiła do realizacji swego antyklerykalnego programu. Głosząc „wolność sumienia", zdołano w okresie 30 lat skrępować wolność Kościoła a miljonom katolików narzucić reżim bezbożnej laicyzacji. Warto zestawić najważniejsze daty, by się przekonać naocznie jak to antyklerykalizm, osiągnąwszy władzę, urzeczywistniał swoje programowe dzieło.

W r. 1879 usunięto kler ze szpitali i dobroczynnych zakładów.

W r. 1880 wycofano kapelanów wojskowych z armji lądowej a urzędnikom zakazano uczestniczyć oficjalnie w procesjach na Boże Ciało.

W r. 1881 przeprowadzono sekularyzację cmentarzy.

W r. 1882 zakazano naukę religji w powszechnych szkołach państwowych; usunięto krucyfiksy z sal szkolnych.

W r. 1883 usunięto ze wszystkich szpitali paryskich księży-kapelanów.

W r. 1884 ogłoszono prawo o cywilnych rozwodach.

W r. 1886 zlaicyzowano personel nauczycielski we wszystkich szkołach publicznych.

W r. 1889 rozciągnięto na duchowieństwo obowiązek służby wojskowej.

W r. 1901 przegłosowano prawo Waldeck-Rousseau o stowarzyszeniach zakonnych.

W r. 1904 Combes zerwał konkordat z Rzymem.

W r. 1905 wypędzono z Francji zakony, nieuznane przez państwo, oraz zaprowadzono rozdział Kościoła od państwa.

W r. 1907 usunięto kapelanów wojskowych z marynarki a z państwowej monety skreślono tradycyjny napis: *Dieu protège la France.*

Viviani, minister pracy, szkicując syntezę dokonanego przez antyklerykalizm dzieła mógł już z zupełną szczerością wygłosić w r. 1906 w parlamencie te słowa: „Trzecia Republika zebrała dokoła siebie dzieci wieśniaków oraz dzieci robotników; w te mózgi ciemne, w te zaciemnione sumienia zapuściła powoli rewolucyjne nasienie nauki. To jednak nie wystarczyło. Wszyscy razem, nasi ojcowie, nasi starsi bracia i my sami poświęciliśmy się w przeszłości dziełu antyklerykalizmu, walce z religją. Wydarliśmy z sumień ludzkich wiarę. Kiedy biedak, obarczony ciężarem dnia, zginał swe kolana, podnieśliśmy go i powiedzieliśmy mu, iż za chmurami niema nic innego jak tylko chimery. Wspólnie, wspaniałym gestem zagasiliśmy na niebie światła, których już nikt nie zaświeci!" (8. XI. 1906). Ogłoszenie afiszami tych bluźnierstw zostało przegłosowane przez 240 deputowanych.

Ta pobieżnie naszkicowana stronica dziejów antyklerykalizmu francuskiego jest historycznym dokumentem do naszego twierdzenia, iż antyklerykalizm jest stałym poprzednikiem walki z religją. Nasze „uogólnienie" przekona chyba nietylko „naiwnych oraz łatwowiernych".

Gambetta zaczął walką z klerem a Combes skończył walką z religją! Podłożem całej tej kampanji był pozornie republikanizm w gruncie zaś rzeczy naturalizm, dążący świadomie do tego, by zdetronizować Boga, zatrzeć jego ślady w całej dziedzinie spraw ludzkich. Jeden z najgłębszych myślicieli ubiegłego wieku, Józef de Maistre określił trafnie dążenia tej ideologji. „Tym ludziom, — pisał — jeden tylko przyświeca cel: odrywać sprawy ludzkie od Bóstwa, *séparer de la divinité.* Brutalniej i bez żadnych niedomówień wyraził tę samą myśl w parlamencie francuskim Jaurès (12. II. 1895), kiedy z bluźnierczym zapałem wołał: „...gdyby idea Boga przybrała formę konkretną, gdyby sam Bóg stanął widomy,

by zawładnąć tłumem, to nawet wówczas pierwszym obowiązkiem człowieka byłoby odmówić posłuszeństwa albo rozmawiać z Bogiem jako z równym sobie, z którym się dyskutuje, a nie jako z panem, którego się władzy poddaje".

Jest rzeczą nawskróś oczywistą, iż tam gdzie panuje naturalizm niema mowy o nadprzyrodzonej religji, tem mniej można mówić o kapłaństwie.[1]) Cóż bowiem może dać kapłan ludziom, którzy pragną jedynie raju na ziemi, którzy z sumienia wyrzucili poczucie win, a w sercu zdetronizowali rządzącego światem Boga? Kapłaństwo musi się im wydać tylko niecnym pasożytem, który żeruje na organiźmie społecznym, wyzyskując religijne przesądy i podtrzymując oszustwem interes swej kasty. Dla kapłaństwa można mieć przy takiej ideologji tylko uczucia fanatycznej nienawiści i cynicznej wzgardy, uczucia, które istotnie jawią się na ustach i pod piórem wszystkich wolnomyślicieli.

Przyznać jednak trzeba, iż antyklerykalizm niezawsze i nie wszędzie występuje w tej jaskrawej formie skrajnego naturalizmu, kulminującego w całkowitej negacji nadprzyrodzonego porządku. Tem szerzej zato rozlewa się w spółczesnych umysłach naturalizm rozcieńczony, przejawiający się w świadomej, często i nieuświadomionej dążności, by nadprzyrodzony pierwiastek ile możności ograniczać w życiu indywidualnem, społecznem oraz państwowem. Ta złagodzona forma naturalizmu ma oczywiście dużo odcieni, mnóstwo konkretnych przejawów, wiele różnych nazw, wspólnem jednak, i mniej lub więcej uświadomionem hasłem jest zawsze trafnie dobrana formuła: „nie chcemy burzyć religji, pragniemy tylko laicyzować".

Jest rzeczą jasną, iż i ten prąd musi się przejawić w swoistym antyklerykaliźmie. Kościół bowiem katolicki w swej dziejowej misji uświęcania ludzi, chociaż nigdy nie potępiał ani nie lekceważył spraw i interesów czysto ziemskich, starał się jednak zawsze uświęcić wszystkie, nawet doczesne dążenia człowieka. To wciąganie rzeczy doczesnych w dziedzinę nadprzyrodzoną, to wyciskanie sakralnej cechy na wszystkiem co ludzkie, występowało oczywiście najsilniej w wiekach średnich, kiedy to nie było ani jednej dziedziny spraw ludzkich, nad którą Kościół nie wznosiłby błogosławiącej dłoni. Chrześcijaństwo nie było wówczas wciśnięte w mury kościołów, nie ograniczało się do sfery czysto religijnej, ale schodziło na każdy teren, gdzie ziemską ludzkość potrzeba dźwigać, by w troskach i zabiegach tego życia nie straciła z oczu celu najwyższego, leżącego za ziemią i czasem.

[1]) Streszczamy gruntowną i zawsze aktualną pracę ks. J. Rostworowskiego T. J. p. t.: „Co to jest klerykalizm?" Cfr. *Sodalis Marianus* t. 10 r. 1911, str. 198 sq.

To przeniknięcie sfery przyrodzonej przez nadprzyrodzony pierwiastek zaczęło razić i krępować naturalizmem owiane umysły współczesne. „Nie chcemy walczyć z religją, szanujemy ją nawet, ale niech ona nie wkracza w zakres doczesnych interesów ludzkości. Chcieć wywalczyć religji prawo obywatelstwa na terenie wiedzy, społecznych organizacyj czy państwowej polityki... to nadużycie i zamach na niezależność dążeń oraz myśli — to klerykalizm!"

Wystarczy bronić wyznaniowego charakteru szkoły, sprzeciwiać się gwałceniu praw Kościoła do normowania kwestji małżeńskiej, wystarczy występować przeciw publicznemu gwałceniu katolickiej etyki, czy organizować katolickie związki społeczne i stowarzyszenia, nie mówiąc już o zaprowadzaniu kartotek parafjalnych,... by się narazić na zarzut klerykalizmu.

I często podkreśla się z dużą dozą przekonania, iż w tych przypadkach nie chodzi wcale o laicyzację, tylko o usunięcie tych dziedzin z pod przemożnego wpływu kleru, bo wpływ ten zamienia się rzekomo wnet w panowanie, a za tem panowaniem zawsze jakoby idzie nietolerancja, pogwałcenie niezawisłości i moralny ucisk. Klerykalizmem, któremu wytacza się walkę, nazywają zwolennicy tej ideologji dążność kleru do panowania poza własną ściśle duchowną dziedziną i niesłuszne rozszerzanie kastowych czy osobistych uroszczeń.

Tak się mówi i tak się pisze, ale faktem pozostaje, iż tak słowo jak i pojęcie klerykalizmu zrodziło się pod znakiem laicyzacji, iż pod tym znakiem robi karjerę we współczesnej myśli, iż nawet ten ostatni, co tylko naszkicowany antyklerykalizm prowadzi w swych konsekwencjach do laicyzacji życia.

Historja ludzkiej kultury wykazuje bez cienia wątpliwości, iż zawsze wśród wszystkich ludów religję i kapłaństwo łączył ścisły i nierozerwalny węzeł. Kapłaństwo od religji jest tak nieodłączne, iż kiedy w połowie ubiegłego wieku wyzwolony z chrześcijańskich pojęć filozof Comte marzył o stworzeniu jakiejś nowej, naturalnej religji ludzkości, wyznaczył w niej miejsce dla osobnego kapłaństwa. A już możnaby gruby tom zapełnić zdaniami samych pogańskich pisarzy różnych narodów, którzy głosili potrzebę kapłaństwa i cześć jemu należną.

Związek ten istniejący w całej ludzkości między religją a kapłaństwem zacieśnił i do podstawowych zasad swojego królestwa zaliczył Ten, który przyniósł światu i cudami stwierdził najwyższą i ostatnią fazę religji: Bóg-Człowiek, Jezus Chrystus. Otóż jakkolwiek w Jego nauce i w założonym przez Niego Kościele udoskonalenie wewnętrzne czło-

wieka i bezpośredni związek z Bogiem nie mają żadnych zgoła granic, to jednak cała ta indywidualna i subjektywna religja została silnie oparta o instytucję kapłaństwa. Hierarchicznemu kapłaństwu zapewnił Chrystus dar dogmatycznej nieomylności, w jego ręce oddał wszystkie środki uświęcenia, bez których nie istnieje zbawienie, jemu powierzył władzę kierowania dusz, by we wszystkich dziedzinach życia mogły się uświęcić i dojść do zasadniczego, najwyższego celu.

Jest to zatem nawskróś fałszywe zdanie, że funkcja kapłaństwa powinna się ograniczyć li tylko do murów kościoła, do chrzcielnicy, ołtarza, konfesjonału i ambony. Kapłana, któryby tak pojmował swoje powołanie, nazwał dosadnie angielski kardynał Manning: „kramarzem sakramentów". Nie ulega wprawdzie wątpliwości, iż kapłaństwo w pierwszym rzędzie powołane jest do udzielania św. sakramentów i głoszenia Bożego słowa, ale jak uświęcenie człowieka powinno przeniknąć całe jego życie, tak nadprzyrodzony wpływ kapłana powinień promieniować poza mury kościoła, przenikać wszystkie dziedziny ludzkiego życia, by wszystkie skierować do wytkniętego przez samego Boga celu. Stąd też w społeczeństwie prawdziwie chrześcijańskiem kler nie tworzył nigdy jakiejś zamkniętej w sobie i od społeczeństwa odseparowanej kasty, która nie stykałaby się z ludem inaczej jak tylko w liturgicznej szacie, ale tysiącem węzłów splatał się z całem życiem i całą twórczością narodu. Tak było zawsze w Polsce i to było chlubą naszego katolicyzmu, iż duchowieństwo było zżyte nawskróś ze swem społeczeństwem i dlatego cała nasza kultura i całe nasze narodowe dzieje są głęboko przesiąknięte wiarą, naznaczone krzyżem.

Tak było i tak będzie zawsze w każdem gruntownie katolickiem społeczeństwie, ale i naodwrót bez tego wszechstronnego wpływu duchowieństwa nigdzie nie istniała prawdziwie głęboka katolicka kultura. I nie może być inaczej, gdyż na kapłaństwie oparł sam Bóg cały nadprzyrodzony porządek.

Już z tego jasno wynika, iż pomimo wszelkich zastrzeżeń oraz zapewnień, istotnie laicyzują społeczeństwo ci, którzy rzekomo nie chcą ograniczać religji i jej wpływów, ale żądają zato ograniczenia sfery wpływów kleru, zamknięcia go w zakrystji czy w kościele. Takie postawienie kwestji, jakkolwiek pozornie niewinne prowadzi nieuchronnie do upadku religji w społeczeństwie. Typowym chyba przykładem w tym względzie jest protestantyzm, który obaliwszy u siebie właściwe kapłaństwo, poszedł na drogi najpierw laicyzacji a potem niewiary, a tego wewnętrznego rozkładu protestantyzmu nic już zatrzymać nie zdoła.

Postawmy więc kwestję jasno, iż Kościół katolicki nigdy się dobrowolnie nie zgodzi, bo zgodzić się nie może, na zamknięcie swego duchowieństwa w murach świątyń choćby najświetniejszych. Ustąpić może tylko przed brutalną siłą i wtedy zamyka się nietylko w kościołach, ale nawet w katakumbach i czeka cierpliwie na ruinę swoich prześladowców, by na nowo rozpocząć swą nieśmiertelną misję. Kościół nie może zgłosić swego *désintéressément* w sprawach małżeństwa, szkoły, społecznej etyki, nauki i sztuki, a nawet polityki, — bo jego duszpasterskie posłannictwo obejmuje całokształt życia ludzkiego, życia jednostek, rodzin, narodów i państw. Antyklerykalizm, który usiłuje usunąć wpływ kleru w tych wszystkich dziedzinach, musi wcześniej czy później doprowadzić do konfliktu z Kościołem i stanąć w otwartej sprzeczności z zasadami wiary.

Odnosi się to dosłownie i do polskiego obozu wolnomyślicieli. Nie trzeba udowadniać, iż panów Stpiczyńskich, Ułaszynów, Boy-Żeleńskich, Rzymowskich i t. d. nie łączy z Kościołem nic chyba poza metryką katolickiego chrztu. Uświadomiona część katolickiego społeczeństwa o tem wie i dlatego ideologja tych przodowników polskiego radykalizmu uwieść może tylko religijnie nieuświadomionych albo obojętnych.

Akcja „Legjonu Młodych" większe kryje w sobie niebezpieczeństwo, gdyż z jednej strony w dziedzinie religijnej przemyca nawskróś niebezpieczną ideologję laicyzmu, zamaskowaną frazesami o „czci dla religji" i „potrzebie pogłębiania religijnych uczuć", z drugiej zaś strony operuje wśród młodzieży ideowo jeszcze niedojrzałej i pociąga ją hasłami kultu pracy oraz państwowotwórczej działalności.

Nie chcąc wydawać bynajmniej ujemnego sądu o całości tej organizacji, musimy z obowiązku sumienia, a nie z jakichkolwiek partyjnych uprzedzeń, podkreślić z naciskiem, iż naczelne kierownictwo „Legjonu Młodych", sprzymierzone ideowo z obozem polskich wolnomyślicieli, dąży świadomie do laicyzacji społeczeństwa a jego poglądy w zakresie religji, maskowane nazewnątrz antyklerykalizmem, w istocie są sprzeczne z katolicką wiarą. Nie o antyklerykalizm chodzi, ale o antykatolickie nastawienie! Do tego właśnie wniosku doprowadziły nas ogólne rozważania, oparte na analizie istoty antyklerykalizmu we współczesnem życiu.

Nie brak nam nadto dowodów pozytywnych na stwierdzenie tego właśnie faktu, a dowodów tych dostarcza nie jakaś wrogo dla „Legjonu" usposobiona prasa politycznej opozycji, ale centralne, ideowe pismo tej organizacji: *Pań-*

stwo pracy. Otóż nie jakiś podrzędny działacz, ale sam komendant główny „Legjonu Młodych", syntetyzując „prawdy ideowe" swej organizacji, wyraźnie oświadcza, iż „L. M., dążąc do potęgi Rzeczypospolitej, występuje przeciw wszelkim organom międzynarodowym, które stawiają interes poszczególnych klas i grup ponad interes państwa jako całości. Politykę sprzeczną z interesem Państwa prowadzą w pierwszym rzędzie K. K. K. — Komintern, Kościół, Kapitał. Silne Państwo Polskie musi być niezależne od obcych, poza granicami państwa znajdujących się ośrodków, które prowadzą swą własną politykę. L. M., doceniając znaczenie czynnika religijnego w życiu społecznem, występuje jednak ostro przeciw własnej polityce Kościoła katolickiego, która kieruje się względami konjuktury światowej, nie uwzględniając interesów Państwa Polskiego, jako jednostki samoistnej". (Nr. 37. 12. XI, 1933).

Kościół katolicki jest więc zdaniem „Legjonu" wrogiem państwa polskiego narówni z komunizmem. Powiedzmy otwarcie, iż jest wrogiem większym, gdyż z komunizmem mimo wszystko łączą „Legjon" „niektóre podobne dążenia społeczno gospodarcze" (Nr. 37); „próby zbiorowego, upaństwowionego wychowania", „zastąpienie domu rodzicielskiego państwowym internatem, począwszy od żłóbków dla niemowląt, aż do koszarów akademickich włącznie" (Nr. 27); „to co za wschodnią granicą dokonane zosłało w dziedzinie etyki społecznej, w dziedzinie moralności oraz w dziedzinie życia artystycznego pokrywa się niemal zupełnie z naszemi poglądami na te kwestje" (Nr. 30); „upaństwowienie wszelkich ośrodków przemysłowych i wywłaszczenie do pewnego minimum większej własności ziemskiej..." (Nr. 37); wyzyskanie przemian współczesnej psychiki „należy do tych, którzy nie czują lęku przed widmem rewolucji..." (Nr. 30). ...Zbytecznem byłoby mnożyć podobne cytaty, zato przytoczmy ocenę tych haseł przez prorządowy *Czas,* który niestety trochę zapóźno zorjentował się w sytuacji i alarmuje, iż „L. M., głosząc w swoim organie hasła i ideje wyraźnie komunistyczne sprzeniewierza się w sposób jaskrawy ideologji Obozu (BBWR). Koniecznem jest naszem zdaniem, by władze naczelne BBWR wejrzały w działalność tej organizacji, która moralnie obciąża odpowiedzialnością Blok" (29. X.). Otóż, w odpowiedzi wprawdzie nie *Czasowi,* ale prof. Rybarskiemu, oświadczył min. Miedziński, iż „Legjon Mł." jest „młodzieżą naszego Obozu", a to, co *Czas* nazwał „kompromitowaniem ideologji Marszałka przez lekkomyślność i nieobliczalne wystąpienia", złożono wyrozumiale na karb młodości i nieukończenia jeszcze nauki w Obozie.

Ale pomińmy komunistyczne tendencje i sympatje „Legjonu", gdyż, jak nas zapewnia główny komendant, między komunizmem a L. M. istnieje mimo wszystko „zasadnicza różnica" (Nr. 37); pomińmy obelżywe zestawianie Komiternu z Kościołem, a niebezpieczeństwa działalności Akcji Katolickiej na terenie szkolnym z niebezpieczeństwem akcji komunizmu na tymże terenie (Nr. 30); zwróćmy zato uwagę na treść żądań skierowanych pod adresem Kościoła.

Wodzowie L. M. domagają się od katolicyzmu polskiego, by przestał być „organem międzynarodowym", by się wycofał z „międzynarodówki rzymskiej", by się upaństwowił a więc za swą zasadę przyjął motto L. M. „iż najwyższym celem jego dążeń, jest rozwój i potęga państwa polskiego", iż „jedynem kryterjum wszelkich rozstrzygnięć jest polska racja stanu". Antyklerykalizm L. M. ustałby natychmiast, gdyby katolicyzm polski zerwał z Rzymem i odgrodził się od papieża, któremu się zarzuca, iż „w swej własnej polityce kieruje się względami konjunktury światowej". By żyć w zgodzie z ideologją L. M., trzebaby stworzyć kościół narodowy czy państwowy; zniknęłaby wówczas „międzynarodówka", a L. M. mógłby dalej spokojnie doceniać „znaczenie czynnika religijnego w życiu społecznem".

Czy z takiem postawieniem kwestji można wogóle polemizować? Czy ci panowie mają wogóle jakieś pojęcie o katolickim Kościele, o jego powszechności, misji ogólno-ludzkiej, nie skrępowanej kordonami państw i narodów, o najsilniejszej łączności Kościoła z papieżem, który jest nieomylnym autorytetem w rzeczach wiary i moralności, bo jest widomym zastępcą Chrystusa? Nie polemiki tutaj potrzeba, ale prostej nauki katolickiego katechizmu.

Jakaż to jednak owa własna polityka Kościoła katolickiego, „oparta na konjunkturze światowej, a nie uwzględniająca interesów Państwa Polskiego?" Odpowiedzi na to pytanie komendant Zapasiewicz nie daje. Wyręczył go już w tem żmudnem zadaniu legjonista Duchnowski, rzucając tragiczne pytanie: „Dlaczego Watykan popiera wrogów Polski?" (Nr. 25). Przy całej swej erudycji, potrafił ten autor zestawić następujący szereg posunięć polityki Watykanu, godzącej rzekomo w interesy polskiej racji stanu. „Dla przykładu — pisze — wystarczy wspomnieć rolę Rzymu w sprawie wyprawy Batorego na Moskwę, z woli ojca Jezuity Possevina, zatrzymanej pod Pskowem, sprawę odsieczy wiedeńskiej Sobieskiego, popierania Jezuitów, walki z innowiercami w ostatnim okresie istnienia wolnej Rzeczypospolitej". Z dziejów zaś współczesnych nie może sobie wytłumaczyć „znanej bezwzględności Kościoła przy zawieraniu konkordatu z „zawsze wierną" Polską, uwypuklonej jeszcze przez niesłychane ustęp-

stwa, zawarte w konkordacie z protestanckiemi Niemcami". Na czem polegają te „niesłychane ustępstwa" w konkordacie, zawartym z Rzeszą, woli autor nie wspominać, rzecz zostawia wyobraźni czytelników, którzy zapewne nie zaglądną do tekstu, nie zestawią go z tekstem konkordatu zawartego z Polską, by odkryć objawy „bezwzględności Kościoła", tchnącej rzekomo z artykułów tego konkordatu. Nie powie czytelnikom, iż konkordat z Rzeszą był podpisany w Watykanie a nie w Berlinie, bo p. Duchnowski twierdzi w czambuł, iż tylko państwa uważane przez Rzym za „drugą kategorję", tak jak Polska, muszą podpisywać w Rzymie swoje konkordaty. Najgroźniejszym jednak dowodem wrogiej rzekomo polityki Watykanu jest utworzenie prelatury Pilskiej ze skrawków diecezji poznańskiej oraz chełmińskiej (a nie jak autor mylnie sądzi — włocławskiej). Fakt ten jest, zdaniem p. Duchnowskiego, oczywistem uznaniem rewizjonizmu niemieckiego w kwestji pomorskiego „korytarza". Że przeciw tej klauzuli, która była „ceną" za konkordat zawarty z Prusami, państwem najbardziej protestanckiem i Rzymowi wrogiem, nie zgłosiła protestu oficjalna dyplomacja polska, choć miała do tego prawo, to autora jakoś zupełnie nie dziwi; iż owa klauzula nie wyrządziła Polsce żadnej absolutnie krzywdy, ani w kraju ani na forum międzynarodowem, o tem autor milczy; iż obszar diecezji wileńskiej pokrywa się z granicą polityczną Polski, pomimo rozgłośnych pretensyj Litwy do wileńskiego okręgu, w tem jakoś autor nie widzi żadnego ustępstwa ze strony Watykanu dla polskiej racji stanu... Zato z pomocą fałszywych przesłanek i fałszywego a nie oglądającego się na żadne religijne względy rozumowania, dochodzi do wniosku, iż wobec wrogiej dla naszego państwa polityki Watykanu, Polska powinna przejść „do obozu wrogów Rzymu, gdyż to jest jak się okazuje, jedyna skuteczna droga do pozyskania powolności i przychylności Stolicy Apostolskiej".

Nie chodzi nam w tej chwili o odpieranie poszczególnych twierdzeń, rzucanych na łamach *„Państwa Pracy"*, pragniemy jedynie zobrazować ideologję i odkryć to, co się pod hasłem antyklerykalizmu, głoszonego przez L. M., właściwie ukrywa. Że zaś w twierdzeniach tych niema katolickiego ducha, niema żadnego umiłowania katolickiej religji i zrozumienia jej posłannictwa, że na Kościół patrzy się jak na obcą wręcz potęgę, która się wciska w państwo dla swoich kastowych tylko korzyści — to jest chyba jasne, ale też z prawdziwym katolicyzmem nie ma nic wspólnego. Cały dobroczynny wpływ katolicyzmu na psychikę obywateli, olbrzymia wychowawcza rola Kościoła, który taki nacisk kładzie na pracę i poświęcenie dla narodu i państwa i to z najszlachetniejszych pobudek, wszystko to jest pominięte

a w duchowieństwie, które najszlachetniejsze zasady wpaja w umysły i serca, widzi się tylko powolnych agentów obcej potęgi, którzy poprostu nie mogą się czuć narodowo i państwowo, jak długo nie zerwą z watykańską, papieską centralą. „Nie chcemy okupacji Polski przez agentów Rzymu w sutannach, nawet oblekających polskie ciała kapłanów polskich“ (Nr. 29).

Czy przy takiem nastawieniu może nas dziwić żądanie „Legjonu Mł.“, by konkordat został obalony, by konsekwentnie doszło do rozdziału Kościoła od państwa? (Teza Komendy okręgu Kraków). Czy to wszystko jest tylko antyklerykalizmem, karcącym prawdziwe grzechy duchowieństwa?

Czy tylko antyklerykalizmem trzeba nazwać tego rodzaju triumfalny okrzyk: „...czyż tak wysokie poczucie godności osobistej nie dowodzi, że religja, święcąca triumfy przez niespełna 20 stuleci, odchodzi? Odchodzi ona, jak odchodzi ustrój, biorąc ze sobą do lamusa wspomnień: litość, miłosierdzie, ascetów, dziewice, męczenników...“ (Nr. 30). Do „lamusa wspomnień“ odsyła centralny organ „Legjonu Młodych“ religję wraz z jej bohaterami i sługami.

Do tegoż „lamusa“ odsyła również i katolicką etykę, związaną istotnie z zasadami wiary. W jednym z naczelnych artykułów (Nr. 28) określono „podstawy młodolegjonowej moralności seksualnej“ w tych słowach: „Bardzo dalecy jesteśmy od propagandy ascetyzmu, którąby się zresztą nic nie wskórało wśród ludzi młodych, normalnych, dzielnych, w wieku, w którym najsilniej, poprostu wszechpotężnie, przemawia instynkt seksualny“. — Warto podkreślić, iż zachowanie szóstego przykazania przez młodzież nazwano sprytnie „ascetyzmem“, z którego trzeba zgóry zrezygnować, bo dla „normalnych i dzielnych“ najodpowiedniejszą jest rozpusta, droga łatwizny życiowej, maskującej się wszechpotężnym instynktem płciowym. „Propaganda taka — pisze dalej ideolog Legjonu — uszczuplałaby zresztą nasze możliwości twórcze w najszerszym, wcale nie tylko fizjologicznym sensie tego słowa, gdyż oczywiście dopiero normalne, dostatecznie rozwinięte życie płciowe, zabezpiecza w pełni rozwój umysłowości, woli i charakteru człowieka“. Między linjami tych twierdzeń, kryje się niedwuznacznie insynuacja iż czystość prowadzi do kretynizmu umysłu, do osłabienia woli oraz do wypaczenia charakteru! „Uważamy za normalne, wskazane i słuszne, żeby młodzi ludzie kochali się, żyli ze sobą, a w sprzyjających warunkach gospodarczych, skoro stosunek zapowiada się trwalej, mieli ze sobą dzieci“.

A więc rozpusta, małżeństwa koleżeńskie, małżeństwa na próbę, środki zapobiegawcze, — wszystko to w kodeksie

moralności młodolegjonowej jest „normalne, wskazane i słuszne". „Jest to dla nas rzeczą całkiem jasną — czytamy dalej — iż bynajmniej nie z każdego stosunku i nie ze wszystkich związków pomiędzy mężczyznami i kobietami powinny wynikać dzieci..." Znowu wyjątek z kodeksu Boy'a o regulacji urodzin i świadomem macierzyństwie. To znowu taka zasada, iż „przelotny stosunek może związać legjonistę z kobietą z każdego środowiska; o ile nie pociągnie on za sobą żadnych konsekwencyj dla kobiety, — nie wywoła żadnych zobowiązań dla legjonisty". Czyż tego rodzaju zasady mogą mieć coś wspólnego z katolicką etyką?! Czyż nie są ideową propagandą nieskrępowanej żadnemi przykazaniami Bożemi rozpusty?! Czyż wobec takiego kodeksu indywidualnej etyki zdziwić kogoś może sympatja tegoż autora dla projektu nowej ustawy małżeńskiej, wzorowanej na przykładzie sowietów, boć przecież to „co za wschodnią granicą dokonane zostało... w dziedzinie moralności... pokrywa się niemal zupełnie z naszemi poglądami na te kwestje" — (Nr. 30), pisze inny ideolog Legjonu Młodych.

Nie chcemy nużyć czytelników dalszemi wywodami, bo chyba w świetle zestawionych zasad rysuje się dostatecznie religijno-moralna ideologja „Legjonu Młodych", która nie ma nic wspólnego z katolicyzmem i której nie zamaskują frazesy o „czczeniu religji", czy „docenianiu znaczenia czynnika religijnego w życiu społecznem".

A ponieważ strażnikiem zasad katolicyzmu, jest ze swego powołania przedewszystkiem kler, nawet wówczas choćby jednostki niecnie zdradzały to powołanie i występkami plamiły kapłański honor, — dlatego walcząc w obronie wyżej naszkicowanej ideologji, przepojonej nawskróś laicyzmem, wolnomyśliciele polscy, nie wyłączając kierowników Legjonu Młodych, muszą być antyklerykałami, tylko że trzeba pamiętać o tem, iż ten antyklerykalizm jest antykatolicyzmem.

Najwyższy więc czas skończyć z dwuznacznikiem i ustalić szczerze i rzetelnie, iż nie chodzi tylko o walkę z klerem, ale i z katolickim Kościołem! Zresztą dopomaga nam w tem częstochowski organ „Legjonu Młodych", pisząc już bez żadnych zastrzeżeń: „Sądzę, że raz na zawsze trzeba to wyjaśnić: tak jak Kościół rzymski istnieć nie może bez kleru, tak też i kler bezsilny jest bez swojej potężnej, świetnej organizacji, jaką jest Kościół rzymski. Kler i Kościół — to jedno. Atakując kler, atakuję Kościół i odwrotnie." (Dwutygodnik: *Dziś i Jutro* 15. X, nr. 11).

Dajmy więc tylko władzę polityczną w ręce Stpiczyńskich, Rzymowskich, Ułaszynów, Boy'ów, komendantów Legjonu... a i w Polsce zjawi się natychmiast Gambetta, który za kil-

kanaście, może już za kilka lat stanie się Ferry'm, Combes'em oraz Viviani'm.

A do ujęcia tej właśnie władzy, przez zdobycie jak najszerszych wpływów wśród młodzieży akademickiej, gimnazjalnej, robotniczej oraz wiejskiej, dąży wytrwale i konsekwentnie już teraz „Legjon Młodych". Myśli o stworzeniu nowego politycznego stronnictwa, w guście zapewne francuskiego obozu radykalnego, popiera wprawdzie obecny reżim i obecny rząd, bo ciągnie z tego wyraźne dla swej organizacji korzyści, ale równocześnie zaznacza otwarcie: „że L. M. nie jest czynnikiem „podwładnym" w stosunku do nikogo, nawet w stosunku do ludzi, którzy wywalczyli Polsce niepodległość i dziś rządzą państwem. Legjon M. jest samodzielną organizacją młodego pokolenia Polski... Mocne węzły naszej czci i przywiązania dla Józefa Piłsudskiego i jego żołnierzy, nigdy nie miały i mieć nie będą charakteru „podwładności" Legjonu Młodych wobec Pierwszej Brygady..." (Nr. 28). A więc narazie istnieją jeszcze „mocne węzły czci i przywiązania", bo jeśli chodzi o ideologję marszałka Piłsudskiego, to niewiele już z niej pozostało w obozie L. M., a swoiste i mocno ironiczne podziękowanie dla ministra Miedzińskiego za „klepanie po ramieniu" ma także swą cichą i symptomatyczną wymowę.

Charakterystycznem też jest wrogie ustosunkowanie się „Legjonu" do prorządowej „Myśli Mocarstwowej", której rodziców i opiekunów nazwano niedawno „bagnem moralnem prawego skrzydła obozu (BBWR)" (nr. 34—35). Czy ta jawna niechęć do „Myśli Mocarstwowej" nie tłumaczy się częściowo wyraźnie katolickim programem tej właśnie prorządowej organizacji akademickiej młodzieży?

I oto z takim religijnym, moralnym, społecznym i politycznym programem idzie „Legjon Młodych" w szerokie warstwy polskiej, w olbrzymiej większości katolickiej młodzieży, przemycając swoją antykatolicką ideologję pod pokrywką państwowotwórczej, prorządowej pracy. Organizuje swe kadry na uniwersytetach, nadużywając autorytetu premjera Jędrzejewicza. Młodzież robotniczą oraz wiejską uwodzi hasłami społecznego i gospodarczego przewrotu. Wciska się i do szkół średnich, i zwalczając organizacje katolickie, jak Sodalicje Marjańskie (Nr. 30), usiłuje zagarnąć pod swój ideowy wpływ szkolną organizację „Straży Przedniej".

Z głębokim zaś niepokojem musimy podkreślić, że wysiłki te nie są bezowocne. Prezes „Straży Przedniej" A. Skwarczyński wyznaje otwarcie, iż z poszczególnych organizacyj akademickich „najżyczliwiej i najpozytywniej ustosunkował się do Straży Przedniej Legjon Młodych", iż „wśród instruktorów Straży Przedniej znaczny odsetek na-

leży do Legjonu Młodych", iż „Straż Przednia jest bardzo zadowolona z tego, że ta znaczna część należy do Legjonu Młodych, ponieważ ma nadzieję, że jej kadra instruktorska zyskuje w ten sposób ludzi ideowo — uświadomionych" (nr. 37). Jak zaś to „ideowe uświadomienie" musi się przedstawiać, naszkicowaliśmy wyżej, jakie zaś żniwo wstanie z takiego posiewu nie trudno przewidzieć.

Sygnalizując te wszystkie niebezpieczeństwa i demaskując ideowy program „Legjonu Młodych", spodziewamy się, iż katolickie społeczeństwo nie zadowoli się tylko stwierdzeniem smutnego faktu, ale przejdzie do czynu, by ochronić polską, katolicką młodzież przed wolnomyślicielską, a dla wiary i obyczajów nawskróś zgubną propagandą!

Jak nas zapewnia *Państwo Pracy*, w szeregach „Legjonu Młodych" jest „wielu wierzących i praktykujących katolików" (nr. 28). Otóż w pierwszym rzędzie należy zaapelować do tych „wierzących i praktykujących katolików", by na mocy swej przynależności wpłynęli skutecznie na zmianę antykatolickiej ideologji swej organizacji, a jeśli to jest niemożliwem, mają bezwzględny obowiązek sumienia szeregi te opuścić, choćby usiłowano kupić te sumienia widokami intratnych posad oraz czołowych stanowisk.

Mamy również wszelkie prawo spodziewać się, iż katolicy tak posłowie jak i członkowie obozu BBWR nie pozwolą dłużej na utożsamianie programu i ideologji Legjonu Młodych z ideologją prorządowego obozu. Trzeba raz skończyć z lansowaną przez polskie wolnomyślicielstwo a nawskróś fałszywą dewizą, iż państwowotwórcza praca i państwowe wychowanie musi iść w parze z antykatolickim laicyzmem. Wpędzanie katolicyzmu w obóz politycznej opozycji, utożsamianie obrony katolicyzmu z antypaństwową czy antyrządową „robotą" — jest macchiawelskim i nawskróś perfidnym pomysłem polskich wolnomyślicieli oraz liberałów. Uwiedziono już wielu, ale czy naprawdę z pożytkiem dla Kościoła, narodu i państwa?

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

„Liga obrony praw człowieka".

W r. 1921 grono osób, rekrutujących się ze sfer lewicowych, założyło w Warszawie „Ligę obrony praw człowieka". Na posiedzeniu wstępnem zastajemy Bolesława Limanowskiego, potem spotykamy nazwiska St. Posnera, Struga, Thugutta, Wasilewskiego, Śmiarowskiego i t. d. Zainteresowanie nową organizacją było żywe, ale krótkotrwałe; już od r. 1922 znajdujemy tylko rzadkie wzmianki w prasie, a kiedy w marcu 1931 r. zapowiedziano

znowu ogólne zebranie członków, komunikat prasowy donosił, że Liga „po dłuższej bezczynności wznawia obecnie działalność". Że to wznowienie nie bardzo było owocne, świadczy głuche w dalszym ciągu milczenie o Lidze; zaledwie wtajemniczeni wiedzą o jej istnieniu.

Oczywiście faktyczny ten stan nie szedł wcale po myśli warszawskich inicjatorów „Ligi obrony praw człowieka", którzy zapowiadali ogromne korzyści, jakie miały spłynąć na nas z tego tytułu. Założenie w Polsce filji „jednej z najpotężniejszych instytucyj ideowych, egzystujących we Francji", miało podług tych obietnic przyczynić się do poszanowania u nas sprawiedliwości, godności i praw człowieka, bronić wychowania obywatela, zapewnić obronę pokrzywdzonych „na wszystkich polach", dopomóc do utrzymania w Polsce „tej jedynej polityki, która będzie mogła dać państwu jedność wewnętrzną, pokój społeczny, sympatję narodów i poparcie wielkich mocarstw demokratycznych". Te różowe zapowiedzi mąciły tylko nieco uwagi drugiej strony (nietylko Nar. Demokracji!), że „Liga obrony praw człowieka" to ekspozytura kół radykalno-masońskich i socjalistycznych, która szkodziła niejednokrotnie Polsce na terenie międzynarodowym, przez mieszanie się do jej spraw wewnętrznych, przez protesty przeciw „białemu terorowi" u nas, przez zbyteczną obronę „upośledzonych" mniejszości narodowych. Owszem polskiej Lidze wytknięto już z końcem pierwszego jej roku istnienia, że pod wpływem kierujących nią żywiołów lewicowych oskarżała niesłusznie naszą policję.

Największym chyba entuzjastą Ligi i wiernym jej członkiem był zmarły niedawno sen. P. P. S., St. Posner. Obok sprawozdań w *Robotniku* poświęcił jej w r. 1927 kilka ciepłych stron w *Przeglądzie Współczesnym* (październik 1927 r., str. 163 n.) z okazji „Złotej księgi", wydanej na cześć prezydenta Ligi franc., Ferdynanda Buisson. Liga francuska, podług Posnera, to potężna i ciesząca się wysokim autorytetem organizacja, licząca ponad 130 tys. członków, która stoi na straży praw i wolności człowieka, a działa wiele, zwłaszcza w obronie pokrzywdzonych.

Że instytucja o tego rodzaju działalności byłaby bardzo pożądaną i mogła wiele dobrego zdziałać, w to nikt nie wątpi. Chodzi tylko o to, czy „Liga obrony praw człowieka" jest rzeczywiście taką instytucją?

Odpowiedź na to pytanie daje 35-letnia jej działalność we Francji; jest to bowiem rdzennie francuska organizacja, jakkolwiek filje jej założono także w innych krajach. Powstała w r. 1898 w okresie procesu Dreyfusa i dla obrony jego sprawy. Założyciele postanowili jednak stworzyć z niej instytucję trwałą, która występowałaby wszędzie w obronie „praw człowieka" i tem samem wszystkich niesłusznie uciśnionych. A ponieważ niesprawiedliwości zawsze były i będą, przeto *La Ligue des Droits de l'Homme* miała byt zapewniony tak długi, jak ludzkość i, podług wyrażenia jed-

nego z wybitnych publicystów francuskich, „dopiero trąba Sądu ostatecznego miała położyć kres jej istnieniu".

Podjąwszy tak wielkie zadanie, Liga zwróciła się „do tych wszystkich, którzy bez różnicy wyznania i przekonań politycznych, pragną szczerego zjednoczenia wszystkich Francuzów i są przekonani, że wszelkie formy arbitralności lub nietolerancji są groźbą rozdarć społecznych, groźbą dla cywilizacji i postępu". Celem Ligi miało być przeciwdziałanie temu niebezpieczeństwu i obrona praw człowieka; każde pogwałcenie wolności jego przekonań miało się spotkać z jej protestem.

Jak pojęto i wykonano ten plan, pokazały już najbliższe lata. Jeśli ktokolwiek żywił w początkach jakie złudzenia, mógł się z nich wyleczyć w krótkim przeciągu czasu. Pięknie brzmiące hasła okazały się dwuznaczną formułą, w której i „człowiek" i „prawo" miały swe ściśle określone, ale odmienne od przyjętego powszechnie znaczenia. Przypatrzmy się zresztą kolejnym etapom działalności Ligi, dają one najlepsze wyjaśnienie jej charakteru.

Już pierwsze posiedzenie członków nowozałożonej Ligi mogło otworzyć oczy obecnym. „Prawa człowieka" — mówił Trarieux — należy rozumieć w świetle „Deklaracji praw człowieka i obywatela", sformułowanej przez rewolucję w r. 1789 i wcielającej w sobie zasady, wypracowane przez filozofów XVIII wieku." Udzielając tego wyjaśnienia referent pouczył więc zebranych, kogo należy rozumieć przez owych „wszystkich Francuzów, bez różnicy wyznania i przekonań politycznych", do których apelowała Liga. Zczasem określono to jeszcze wyraźniej: od samego początku — oświadczył w r. 190[illegible] Pressensé, ówczesny prezes Ligi — stanęliśmy ponad i poza wszystkiemi partjami, lecz wyrażenie to trzeba dobrze rozumieć, jako obejmujące tylko ludzi o przekonaniach „demokratycznych", opartych o zasady rewolucji.

Takich też jedynie członków skupiła Liga i w tym duchu rozwijała od zarania do ostatnich lat swą działalność. Katolicy byli stale wyłączani z zakresu ludzi, których praw należałoby bronić, bo — jak już w r. 1903 na zebraniu ogólnem Ligi rozwijał Ferdynand Buisson — stanowiska Rewolucji i Kościoła katolickiego sprzeciwiają się sobie najzupełniej. Toteż w praktyce „prawa człowieka" kończyły się zawsze tam, gdzie zaczynała się religja katolicka i jej wyznawcy; ci nie mieli praw, Liga nie potrzebowała ich bronić, owszem jeśli tylko mogła, dopomagała do ich zgnębienia. Nawet jeżeli jakiemu katolikowi działa się rażąca krzywda, Liga bała się protestować, żeby przypadkiem nie ściągnąć na siebie zarzutu, że broni Kościoła katolickiego.[1])

---

[1]) Dwa tylko znane są we Francji wystąpienia Ligi w obronie katolików. Znamiennem jest wszakże, że jakkolwiek chodziło o wypadki lokalne i mniejszej wagi, wywołały jednak „zgorszenie" wśród członków Ligi, jako interwencja w sprawach „klerykalnych".

Po tej linji szła też cała dalsza akcja Ligi. Na swych kongresach i w publicznych wystąpieniach głosiła stale rozdział Kościoła i państwa, dała inicjatywę do urządzenia „Dnia świeckiego" w całej Francji, popierała „świecką szkołę" i brała żywy udział w walce z Kościołem i zakonami we Francji. Dopomagając do prześladowania, wywłaszczania i pozbawiania praw obywatelskich ludzi, którzy tem zawinili, że mieli gorące przekonania katolickie i życie swe i prace ofiarnie nieśli dla kraju, Liga realizowała swój program „obrony praw człowieka". Lata 1900—1905, epoka nie przebierającej, zwłaszcza za Combes'a, w środkach walki z zakonami, były zarazem najświetniejszym okresem Ligi. Bo też Combes, podług wyrażenia Henryka See [2]), był ożywiony uczuciami rzeczywiście demokratycznemi i wcielał w życie zasady, dla których walczyła Liga.

Z upadkiem ministerstwa Combes'a poczęły także maleć wpływy Ligi, ale wytyczne jej nie uległy zmianie i w r. 1907 Pressensé powtarza znowu: „jesteśmy ludźmi, którzy życie swe oddali na usługi Rewolucji i nic nam nie przeszkodzi wyciągnąć ostatnie konsekwencje". Wierna temu hasłu i przybierając dostojną powagę „sumienia publicznego", interwenjowała też Liga wszędzie, w kraju i zagranicą, gdziekolwiek zasady rewolucji zdawały się zagrożone. Jako dowód przytoczymy parę głośniejszych przykładów.

Kiedy bolszewizm krwawą rękę rozciągnął nad mieszkańcami nieszczęśliwej Rosji, Liga zaczęła po zakończeniu wojny światowej zastanawiać się, czy to jest zgodne z „prawami człowieka"? Zdania jej członków były podzielone i ostatecznie komitet centralny „oświadczył swą sympatję" dla rewolucji rosyjskiej, zarzucił wprawdzie rządowi bolszewickiemu użycie przemocy i gwałtu, ale sprzeciwił się wszelkiej zbrojnej interwencji innych państw. Tyle wszystkiego wobec morza krwi i krzywdy ludzkiej! Dopiero w kwietniu 1930 r. zdobyła się Liga na uchwalenie „najenergiczniejszego protestu przeciw terorowi bolszewickiemu" i na żądanie „poszanowania elementarnych praw osoby ludzkiej".

Zupełnie inaczej potraktowano natomiast sprawę obrony praw katolickiej Alzacji i jej szkoły wyznaniowej. Obrońcy „wolności przekonań", którzy zresztą już w r. 1922 radzili na swym kongresie „nad niebezpieczeństwem, zagrażającem szkole świeckiej", oświadczyli się na zjeździe w r. 1925 za przymusowem wprowadzeniem jej w Alzacji i uchwałę tę powtarzali wytrwale i motywowali obszernie w latach następnych.

Znamiennym był także wypadek ze związkiem zakonników byłych kombatantów. Nie zważając na to, że ustawy z r. 1901 i 1904 pozbawiły zakony we Francji praw zrzeszania się i nau-

[2]) Henri See, wielki zwolennik Ligi i autor jej historji: *Histoire de la Ligue des Droits de l'Homme.*

czania, pośpieszyli oni z wybuchem wojny światowej na ratunek zagrożonej ojczyźnie i przypieczętowali to poświęcenie licznemi ofiarami. Cała Francja wiedziała o tem dobrze, nawet wrogowie Kościoła nie mogli odmówić im uznania. Wówczas związek zakonników b. kombatantów zwrócił się do „Ligi obrony praw człowieka" z wezwaniem, by stanęła w obronie ich, jako przez ustawodawstwo pokrzywdzonych. Zarząd Ligi znalazł się w kłopotliwem położeniu i rozesłał ankietę do członków. Z odpowiedzi nadesłanych okazało się, że tylko drobna mniejszość oświadczyła się za zakonami, i to z zastrzeżeniem „surowego nadzoru nad niemi" [1]); ogromna zaś większość uznała takie stanowisko za zbyt łagodne, i domagała się utrzymania w mocy, owszem raczej obostrzenia istniejących praw wyjątkowych przeciw zakonom.

Nieludzkie prześladowanie katolików w Meksyku dawało Lidze nową sposobność upomnienia się o „prawa człowieka". Jak skorzystała z tej możności? Na posiedzeniu komitetu centralnego, dnia 24 października 1927 r., referent Corcos przedstawił całą sprawę w tym duchu, że Meksyk przechodzi metamorfozę „z państwa średniowiecznego w państwo nowoczesne", że prezydent Calles stara się zabezpieczyć swobodę myśli, a naród meksykański wkracza w epokę wolności i laicyzacji. Przedstawiwszy w ten sposób całą sytuację w Meksyku, zaproponował referent jedynie, by dla ofiar rozgrywającej się tam walki Liga wyraziła „silne współczucie".

Propozycja powyższa wydała się widocznie zebranym wystarczająca. Wprawdzie prezydent Ligi, Basch i sekretarz generalny Guernut byli zdania, że jednak wypada zaprotestować przeciw dzikim represjom rządu meksykańskiego względem ludzi, którzy bronili wolności swego kultu, lecz zebrani nie zgodzili się na to. Ostatecznie wyznaczono osobną komisję do bliższego zbadania sprawy. Sprawozdanie, wygotowane przez nią po miesiącu brzmiało w tym sensie, że przyznawało całkowitą słuszność „państwu świeckiemu", które musi się bronić przed wdzieraniem się „hierarchji kościelnej, względnie ducha religijnego do życia publicznego, zwłaszcza w dziedzinie wychowania", ale z drugiej strony żądało „pełnej swobody kultu dla wszystkich wyznań". Większość członków komitetu centralnego uznała wszakże takie stanowisko za mało zgodne z duchem Ligi i po dłuższych naradach skończyło się na tem, że całą sprawę usunięto z porządku dziennego.

Tak więc przeciw barbarzyństwom, które raziły cały świat cywilizowany, „Liga obrony praw człowieka" nie znalazła słów potępienia ani protestu. Niektórzy z członków czuli wprawdzie, jak kompromitującem było takie stanowisko i wyciągnęli znowu tę

[1]) Sytuacja więc przedstawiała się tak, że podług owych umiarkowanych członków Ligi dwie kategorje ludzi powinny pozostawać pod „nadzorem": komuniści i zakony.

sprawę na posiedzeniu z dnia 26 marca 1928 r., jednakże do porozumienia i oficjalnego wystąpienia nie doszło.

Okrucieństwa meksykańskie i bolszewickie nie naruszały więc w oczach Ligi „praw człowieka". Prawom tym zagrażał tylko zawsze Kościół katolicki. Toteż kongres Ligi w Biarritz, w czerwcu 1930 r., podkreślił w pierwszej ze swych rezolucyj ważność laicyzmu, oraz „obowiązek każdego rządu republikańskiego" bronienia jego zasad i praktyki „wobec niesprawiedliwych ataków Kościoła i stronnictw reakcji"; obrona ta konieczna jest zwłaszcza na polu szkoły świeckiej i dlatego należy przeciwstawić się szkołom prywatnym, a szczególnie wyznaniowym w Alzacji.

Fakta powyższe są wystarczające do scharakteryzowania tej instytucji. W świetle ich „Liga obrony praw człowieka" przedstawia się jako jedno wielkie kłamstwo, zarówno w swej nazwie, jak w oświadczeniu, że „po wszystkie czasy podjęła misję bronienia praw człowieka wszędzie, gdziekolwiek one byłyby zapoznane lub gwałcone" (wyjęte z uchwał z dnia 3 kwietnia 1931 r.) Organizacja, ziejąca sekciarską nienawiścią do religji i Kościoła katolickiego, pokrewna lub raczej podporządkowana masonerji, jak to wykazano niezbicie ze strony katolików francuskich, nie jest w stanie bronić — ani wolności myśli, ani praw człowieka. Oba te hasła mają u niej zastosowanie tylko do pewnej kategorji ludzi. Kto nie podziela przekonań Rewolucji i wolnomyślicielskich, ten jest wyjęty z pod prawa, nie obrona mu się należy, lecz pognębienie. „Ci rycerze prawa — pisze H. du Passage — którzy wyruszyli, by skruszyć wszelkie kajdany, ukuliby jeszcze nowe dla wyznawców religji katolickiej".

Jałowa i bezpłodna byłaby zaś wszelka dyskusja z członkami Ligi, podobnie jak organizacyj pokrewnych. Nie zrozumieją oni, że jeśli razi ich dogmat katolicki, to zwalczają go tylko innym „dogmatem", dogmatem laicyzmu. Nie wytłumaczy im nikt, bo nie zechcą tego przyznać, że to oni właśnie nie uznają wolności i tolerancji względem ludzi innych przekonań, podczas gdy Kościół katolicki nie toleruje wprawdzie błędów, ale dla błądzących ma zawsze miłość i współczucie, broni swych wyznawców, ale ujmować się też potrafi za prześladowanymi prawosławnymi i żydami!

Te sprzeczności i zakłamania się wewnętrzne tłumaczą nam dostatecznie, dlaczego tak bezsilne są wszelkie protesty Ligi. Triumfy święciła tylko w pierwszych kilku latach swego istnienia, lecz potem, pomimo ilościowego wzrostu i nawet pewnych sukcesów rozpoczął się powolny upadek jej wpływów. Dziś żyje ona jeszcze autorytetem niektórych swych członków i o tyle może jeszcze coś zdziałać, ale na szerszej arenie nikt się z nią nie liczy; „jest to — jak pisał niedawno *Czas* (r. 1932 nr. 297) — instytucja mało poważna i głos jej nie ma żadnego znaczenia".

Ks. St. Podoleński T. J.

Katolicka współpraca w dziele rozbrojenia.

Czytelnicy wiedzą zapewne o istnieniu t. zw. *Union catholique d'études internationales* założonej po zakończeniu wojny we Fryburgu szwajcarskim przy czynnej współpracy tamtejszego biskupa, Mgra Besson, w celu kontrolowania, że się tak wyrazimy, prac Ligi Narodów, o ile wkraczają one w dziedzinę mającą styczność z religją lub etyką. „Kontrolowania" powiadamy, bo Unja poddaje analizie z punktu widzenia katolickiego wszystkie kwestje nadające się do kontrowersji i ze swej strony stawia je na porządku dziennym swoich obrad. A trzeba przyznać, że rozporządza ona całym sztabem doskonałych specjalistów, tak iż referaty przez nich opracowane mają zawsze wysoki poziom naukowy i nieraz już zaważyły na decyzjach powziętych w Genewie. Otóż ta *Union catholique* wprowadziła od paru lat bardzo doniosłą innowację: w czasie plenarnych zgromadzeń Ligi Narodów urządza ona t. zw. *Semaine catholique internationale* w czasie której zaproszeni *ad hoc* prelegenci wygłaszają szereg referatów na aktualne tematy mające związek z międzynarodowem życiem, centrum którego stała się po wojnie Genewa. Zbyt dalekoby nas zaprowadziło, gdybyśmy chcieli dawać tutaj sprawozdanie z odbytych dotąd „Tygodni" i omawiać poruszone na nich kwestje, ograniczymy się więc tylko do ostatniego, z roku 1932-ego, na którym poddana była wszechstronnej analizie kwestja moralnego rozbrojenia. A może to zapóźno pisać o przeszłorocznych konferencjach, których echo już zupełnie przebrzmiało? Chyba nie. *Union catholique* tej jesieni wyjątkowo „Tygodnia" nie urządziła, ale wydała zato przed paru tygodniami książkę p. t. *Désarmement moral et la pensée chrétienne* zawierającą i zeszłoroczne referaty, i przemówienia wygłoszone w Victoria Hall na korzyść rozbrojenia moralnego w czasie wielkiej manifestacji odbytej pod protektoratem Mgra Besson, i nakoniec szereg dokumentów dotyczących tego palącego problemu. Ukazanie się tego zbiorowego dzieła powinno zainteresować koła, które śledziły żywo rozpoczęcie prac Konferencji Rozbrojeniowej, a śledzą obecnie jej tragiczny koniec. Dogorywającą od dłuższego czasu, zbudzono znów z letargu w nadziei, że uda się uratować pozory i do podpisania jakiejś mało znaczącej Konwencji doprowadzić. Otóż nigdy nie dość powtarzać, że bez moralnego rozbrojenia o materjalnem mowy być nie może, a z lektury *Désarmement et la pensée chrétienne* czytelnik się dowie, jakie jest wobec tego tak ważnego problemu stanowisko Kościoła, który w stolicy Ligi Narodów swą odwieczną doktrynę o pokoju i wojnie od jej założenia przypomina publicznie, i żywem słowem i w danym wypadku, drukowanem.

Ale jest jeszcze inna przyczyna dla której ta książka, a tem samem zeszłoroczny „Tydzień" powinien w polskim czytelniku specjalne zainteresowanie wzbudzić. Nie zapominajmy przecie o tem, że to Polska postawiła na porządku dziennym Konferencji genewskiej problem rozbrojenia moralnego obejmując w ten sposób niejako nad nim moralny protektorat. I rzeczywiście nasza delegacja robiła poniekąd „honory domu" gdy o rozbrojeniu moralnem była mowa, niechże więc teraz prasa polska spopularyzuje wśród społeczeństwa książkę zawierającą jego ściśle katolickie ujęcie, a niniejszy artykulik niech upamiętni ten ideowo tak wielkiej doniosłości „Tydzień", który, niestety, wpływu na tok wypadków nie wywarł. Polityka współczesna, rzekłbyś, w zaczarowanem kole się obraca i na apel nawołujący do moralnego rozbrojenia jest głucha.

„Międzynarodowy Tydzień Katolicki" z 1932-ego roku zagaił prof. *Gonzague de Reynold*, prezes Unji, znany poeta i uczony w jednej osobie, delegat Szwajcarji do Komisji Współpracy Intelektualnej Ligi Narodów. Jest on jedną z najwybitniejszych katolickich postaci w współczesnej Szwajcarji a objąwszy prezesurę Unji po śp. baronie de Montenach,

[1]) *Désarmement moral et la pensée chretienne.* Paris. Spes. 1933.

szeroko znanym z czasów przedwojennych działaczu szwajcarskim, kieruje nią z nadzwyczajnym taktem i kompetencją. Nie omieszkajmy tu dodać, że de Reynold jest doskonałym mówcą, a wszystkie jego wystąpienia nietylko co do treści są głębokie, ale i co do formy — świetne. Takiem też było zagajenie „Tygodnia" którego referenci nie ustępowali zresztą w niczem prezesowi.

Na pierwszy ogień poszedł *O. de Munnynck O. Pr.* Belgijczyk, b. profesor filozofji na fryburskim uniwersytecie, a właściwie mówiąc miał pójść, bo z powodu choroby nie przyjechał i nadesłany rękopis odczytał *Mgr. Beaupin*, znany i energiczny członek sekcji francuskiej Unji i prezes komisji współpracy intelektualnej, którą też i we Fryburgu, na wzór genewski stworzono. Otóż temat referatu O. de Munnyncka brzmi: *Le devoir du désarmement moral.* Jak na filozofa przystało, autor ujął go bardzo głęboko, dowodząc, że praca nad rozbrojeniem moralnem, zarówno indywidualnem, jako też zbiorowem, nie jest pozostawiona dowolnemu wyborowi, ale stanowi wyraźny obowiązek, od spełnienia którego nikomu nie wolno się uchylać. Tak uczy chrześcijańska filozofja przez usta jednego z wybitniejszych swych przedstawicieli doby obecnej, który znany jest w kołach naukowych ze skrupulatności swych filozoficznych dedukcyj i sumienności, z jaką dzieli się niemi z katedry.

Po oświetleniu kwestji moralnego rozbrojenia z punktu widzenia filozofji tomistycznej, należało omówić stosunek do niego Kościoła i katolickiej teologji. Tego zadania podjął się *Mgr. Besson*, biskup tutejszy, ceniony bardzo historyk Średniowiecza, też b. profesor fryburskiej wszechnicy, i mówił na temat: *Le désarmement moral, les actes pontificaux et la théologie catholique.* Z łatwością przyszło takiemu znawcy przedmiotu dowieść, że Kościół ze swej strony robił wszystko, co było w jego mocy, żeby powierzoną jego pieczy ludzkość zaprawić do prawdziwego pacyfizmu, „prawdziwego", t. j. takiego, który liczy się ze skażoną ludzką naturą i nie zamyka oczu na smutną a tragiczną często rzeczywistość, jak to czynią sentymentalni marzycielscy politycy żyjący w świecie iluzji. To też pojęcie wojny defensywnej, tego nigdy nie dość powtarzać, było i pozostanie nadal doktryną Kościoła w tej dziedzinie aż do czasu, gdy ludzkość zorganizuje swe życie międzynarodowe w sposób odpowiadający wymogom etyki. Wtedy słowo wojna zniknie ze słownika, a raczej zmieni swe dotychczasowe znaczenie i zamiast krwawych rozpraw między poszczególnemi państwami, względnie koalicjami państw, będzie oznaczało kolektywne represje międzynarodowej organizacji, mającej za swój cel obronę powszechnego pokoju. Do powołania takiej organizacji do życia Kościół nawoływał bez przerwy. Szczególnie znamienne są wystąpienia Leona XIII - ego i Benedykta XV - ego, tak iż twierdzenia jakoby Kościół był przeciwny powstaniu Ligi Narodów, nie wytrzymują krytyki. Idea pokojowej współpracy międzynarodowej jest ideą katolicką i taką mimo wszystko pozostanie.

Wygłoszenie trzeciej konferencji powierzono prawnikowi. I słusznie. Nie dosyć dać głos filozofowi i teologowi. W Genewie od dwóch bezmała lat zasiada nie jakiś kongres filozoficzno-teologiczny, na którym teoretycy rozważają spekulatywnie samo pojęcie rozbrojenia moralnego, ale konferencja, złożona z prawników, polityków i wojskowych, traktujących polską propozycję w rzeczywistości raczej z pobłażaniem, jakgdyby chodziło o... poezję, a nie o podstawowy warunek materjalnego rozbrojenia. Zresztą zróbmy wyjątek dla prawników. Nasz memorjał złożony 12 - ego lutego 1932 - ego roku nie ma wcale charakteru romantyczno-sentymentalnych wynurzeń i można być pewnym, że gdyby żył Mickiewicz a opracowanie tego dokumentu jemu zostało powierzone, inaczejby to nasze wystąpienie na forum genewskiem wyglądało. Choć ten projekt nasz odnosi się do rozbrojenia „moralnego" które z samej swej definicji powinno apelować tylko do rozumu i wolnej woli a wykluczać przymus, wkracza on najwidoczniej w dziedzinę prawa. Dlatego też pra-

wnicy biorący udział w Konferencji Rozbrojeniowej nim się zupełnie poważnie zajęli, dlatego też było wskazanem żeby *Union catholique d'études internationales* wyjaśniła jak się ona z punktu prawnego na polską, propozycję zapatruje. Prawników - specjalistów od spraw ligowych posiada ona dwóch: *O. de la Brière, S. J.* profesora prawa naturalnego na Instytucie Katolickim w Paryżu i *O. Delosa, O. Pr.* profesora prawa międzynarodowego na uniwersytecie w Lille. Obaj ci zakonnicy, ze spekulatywnych badaczy, przedzierzgają się nad Lemanem w publicystów, rozumiejąc jak ważną jest rzeczą, żeby prasa katolicka posiadała fachowców piszących o problemach życia międzynarodowego i międzynarodowej współpracy po zetknięciu się bezpośredniem z genewską instytucją, gdzie co roku w jesieni stają one na porządku dziennym obrad plenarnego Zgromadzenia. Toteż przyjeżdżają oni do Genewy, wszystkiem się interesują, a potem zdają sprawozdanie w swych pismach. O. de la Brière w *Études*'ach, a O. Delos w *La vie intellectuelle*. Tu wypada jednak zaznaczyć, że pierwszy z nich jest znacznie dawniejszym gościem Genewy niż drugi, i zasługuje w zupełności na nazwę kapelana Ligi. Za każdej swej obecności tutaj wygłasza on konferencje w *Cercle catholique internationa* na różne aktualne tematy, bierze oczywiście udział w „Tygodniach" a jego sprawozdania z posiedzeń Ligi tworzą już pokaźne tomy i będą zczasem stanowiły niezmiernie cenny materjał do historji tej instytucji. [1]) Może to nie uprawniałoby jednak do tytułu „kapelana", gdy się jednak przypomni wzruszający gest O. de la Brière w chwili bardzo solennego rozpoczęcia robót nad nowym gmachem Sekretarjatu i bibljoteki, to wyda się on zupełnie odpowiedni. Jak wiadomo, o Bogu w Lidze się nie... mówi, a jedynym bodaj delegatem, który sobie pozwala na ten anachronizm, jest znany i ceniony polityk szwajcarski, p. Prezydent Związku p. Motta rzeczą więc było do przewidzenia, że nikt nawet o poświęceniu kamienia węgielnego nie pomyślał. Otóż O. de la Brière będąc na tej arcy - świeckiej ceremonji obecny, gdy się wszyscy rozjechali, wyjął z kieszeni buteleczkę ze święconą wodą i ów kamień węgielny... pokropił. Tym skromnym, wzruszającym gestem O. de la Brière sam się na kapelana Ligi Narodów, pasował... Powróćmy jednak po tej dygresji do konferencji, którą wygłosił on jako prawnik Unji w czasie owego Tygodnia rozbrojeniowego na temat: *Les aspects juridiques du désarmement moral*. Warto ją uważnie przeczytać, daje ona bowiem jasny pogląd na ten niezmiernie ciekawy i ważny problem oświetlając go z punktu widzenia katolickiej prawnej doktryny. Trudno było zaprawdę, znaleźć kogoś bardziej odpowiedniego do omówienia tego tematu jak tego profesora Instytutu katolickiego w Paryżu, który od szeregu lat tam prawo naturalne wykłada, a w dowód zasług położonych w tej dziedzinie został przed paru laty członkiem Instytutu Prawa Międzynarodowego w Brukseli. Zaszczyt to nielada, na który O. de la Brière w zupełności zasłużył.

Ale i drugi prawnik - specjalista od Ligi O. Delos, miał w tej kwestji też coś do powiedzenia, bo choć później on zaczął do Genewy przyjeżdżać, bardzo się wilsonowską instytucją zainteresował, i poświęcił swoją tezę doktorską zbadaniu jej spekulatywnych podstaw. Jest to bardzo poważne dzieło, które powinien uważnie przeczytać każdy, kto chce się choć trochę zorjentować w prawie międzynarodowem i w jego najnowszej ewolucji, odbywającej się na naszych oczach, powstanie bowiem Ligi Narodów jest jednym z jej etapów. Tytuł tego dzieła brzmi: *La Société internationale et les principes du droit public* [2]) a temat omawiany przezeń na „Tygodniu": *La politique chrétienne et les devoirs des Etats*, tylko że zamiast w sali Carry, gdzie się odbywały konferencje, O. Delos przemówił z ... ambony. Nawiasem dodajmy tutaj, że jeśli sama Liga

[1]) Yves de la Brière. L'organisation internationale du monde contemporain. I - ère sèries 1924, II - ième série, 1926. III - ième série. 1930.

[2]) J. Delos. La Société internationale et les principes du droit public „Paris 1928.

Narodów jest a-religijna, co zresztą da się pod pewnym względem wytłumaczyć, tem że liczy ona w swem gronie nawet pogan, nie może więc kwestji religijnych oficjalnie poruszać, to zarówno katolicy genewscy jak też i protestanci urządzają co roku na rozpoczęcie Zgromadzenia uroczyste nabożeństwa, by uprosić błogosławieństwo Boskie na jego prace. Otóż utarł się zwyczaj, że różne narodowości przysyłają do Genewy swych kaznodziejów, by we własnym języku wygłosili w ten dzień Słowo Boże. Były kazania francuskie, angielskie, niemieckie, włoskie, hiszpańskie, ba, nawet przed czterema laty... polskie (ks. Prał. Rolewski z Poznania). Tym razem zaproszono O. Delosa, żeby jako prawnik-tomista, oświetlił pojęcie polityki chrześcijańskiej. W ten sposób Unja przez usta jednego ze swych najwybitniejszych członków wypowiedziała się i w kwestji politycznego rozbrojenia, choć polityką się ona nie zajmuje. Czy nie jest to jednak pomieszanie pojęć? Co ma Ewangelja do polityki? Co ma polityka do moralnego rozbrojenia? Właśnie że ma, bo w sposobie ujmowania polityki przez Kościół, wszystko jest w gruncie rzeczy podporządkowane moralnemu rozbrojeniu, bez którego ani materjalnego rozbrojenia być nie może, ani chrześcijańskiej polityki, dlatego też temat wybrany przez O. Delosa do kazania był zupełnie na miejscu.

Te trzy pierwsze konferencje, o których właśnie była mowa, i to kazanie, miały, każdy to musi spostrzec, charakter raczej teoretyczny. Prelegenci oświetlili istotę rozbrojenia moralnego z punktu widzenia filozoficznego, teologicznego i prawnego, a kaznodzieja w swem świetnem kazaniu dał chrześcijański pogląd na politykę. Cóż pozostawało więc jeszcze do zrobienia? Oto należało na przykładach pokazać jak to rozbrojenie moralne daje się pod wpływem ideologji chrześcijańskiej w czyn wprowadzić. I tego podjęli się dwaj następni prelegenci, Niemiec i Polak, *prof. Platz* z Frankfurtu i *prof. Halecki* z Warszawy. Pierwszy za temat sobie obrał wyjaśnienie trudności na jakie napotyka rozbrojenie moralne na odcinku francusko-niemieckim, a tezę swoją potrafił rozwinąć z tak wielkim taktem, że publiczność, złożona przeważnie z genewczyków, a więc ze zdecydowanych frankofilów, zgotowała mu gorącą a zasłużoną owację. Tak, prof Platz — specjalnością jego francuska literatura — postawił swoją konferencję na bardzo wysokim moralnym poziomie, przypominając bez ogródek o nakazie miłowania nietylko przyjaciół, ale i... wrogów! Gdy się rozważa zmiany, jakie zaszły w ciągu tego roku w Niemczech, to trudno oprzeć się wrażeniu, że ten czcigodny staruszek zbyt licznej szkoły po sobie nie zostawi i że władze niemieckie możeby mu teraz nie udzieliły swego *placet* na wyjazd do Genewy, choć z drugiej strony należy stwierdzić z naciskiem, że Konkordat zawarty z Rzymem przez Hitlera gwarantuje katolikom wyznawanie publiczne ich wiary, a to co mówił prof. Platz w Genewie było poprostu powtórzeniem nauki w Ewangelji zawartej i w katechiźmie. W tym samym, moralnie bardzo podniosłym tonie przemówił i ostatni konferencjonista, nasz rodak, prof. Halecki, szeroko znany działacz katolicki na międzynarodowym terenie. Szczególniej w Genewie jest on popularny, pracował tu bowiem parę lat w Sekretarjacie Ligi Narodów będąc sekretarzem sekcji współpracy intelektualnej, a zarazem dał się poznać jako gorliwy katolik, który się swoich przekonań religijnych nie wstydzi. Tego nieraz złożył on dowody wygłaszając odczyty, które pozostawiły po sobie trwałe wspomnienie w Kołach katolickich Genewy. Zresztą choć prof. Halecki pożegnał Sekretarjat i objąwszy katedrę na uniwersytecie warszawskim oddał się znów nauce, z życiem międzynarodowym on nie zerwał i odzywał się często w czasie „Tygodni katolickich" jest bowiem bardzo gorliwym członkiem Unji fryburskiej. Nic też więc dziwnego, że w sprawie tak ważnej jaką jest rozbrojenie moralne i nasz rodak dał się słyszeć w Genewie, żeby omówić temat tak mu bliski i drogi; *L'enseignement universitaire et le désarmement moral.* Ten referat prof. Haleckiego wygłoszony świetną francuszczyzną — nad wielkim talentem krasomówczym prelegenta nie potrzebujemy się rozwo-

dzić, znany on jest bowiem wszędzie — i z prawdziwie apostolskiem namaszczeniem zrobił na słuchaczy ogromne wrażenie.

Konferencja ta była zrzędu ostatnia, a wszystkie cieszyły się wielkiem powodzeniem, gdyż katolicy genewscy, przyzwyczajeni do tych corocznych „Tygodni", szczelnie wypełnili salę, o rozmiarach bardzo znacznych — *salle Carry* — a cudzoziemcy też chętnie na nie podążyli. Toteż *Union catholique d'études internationales* śmiało mogła uważać, że celu swego dopięła, spopularyzowawszy w ten sposób katolicką doktrynę o moralnem rozbrojeniu. Zapewne, ale tego sukcesu było jej nie dosyć. Należało — tak mniemali inicjatorowie — dać tej interwencji katolickiej jak najszerszy rozgłos, a do tego służą zwykle wielkie manifestacje urządzane zazwyczaj w Victoria Hall lub salle de Réformation. Zamiar ten przeobraził się w czyn i na zakończenie „Tygodnia" wezwano ludność Genewy do Victoria Hall na wielką manifestację pacyfistyczną, którą zagaił sam *Mgr. Besson*, podnosząc z naciskiem w swem świetnem przemówieniu, że obowiązkiem chrześcijan wogóle, a katolików w szczególności, jest wszelkiemi siłami zdążać do moralnego rozbrojenia, żeby w ten sposób spełnić wyraźną wolę ich Boskiego Mistrza. Po nim zabrali głos: pani *Steenberghe Engherin*, Holenderka, prezesowa Międzynarodowego związku kobiet katolickich, *p. Pochon*, prezes *Pax Romana*, *Mgr. Beaupin* — wygłosił on bardzo ciekawy referat o pacyfistycznem wychowaniu — a na zakończenie *p. Perrier*, prezydent Rady Państwa kantonu fryburskiego, delegat szwajcarski na Konferencję rozbrojeniową i przewodniczący Komisji rozbrojenia moralnego. Ceniony bardzo polityk i świetny mówca, nie omieszkał p. Perrier nawoływać wyznawców obu wyznań do współpracy nad dziełem moralnego rozbrojenia, bez którego o materjalnem nie można poważnie mówić. Przemówienie tego polityka, znanego ze swych głębokich religijnych przekonań, wywarło wielkie wrażenie, które spotęgowałoby się napewno jeszcze więcej, gdyby obecni w Victoria Hall słuchacze wiedzieli, że to był łabędzi śpiew szwajcarskiego męża stanu. A tak rzeczywiście było... W jaki miesiąc po owem wystąpieniu, p. Perrier podał się do dymisji i... wstąpił do klasztoru. Odbywa on obecnie we Francji u OO. Benedyktynów swój nowicjat, (La Pierre qui vire), a do postępu w pracach nad moralnem rozbrojeniem nie będzie się już przyczyniał swem doświadczeniem, ale ...modlitwą.

Sprawa rozbrojenia moralnego stała się jeszcze aktualniejsza przez niespodziewane ...wycofanie się Niemiec z Konferencji rozbrojeniowej i z patronującej ją Ligi Narodów. Bomba niemiecka pękła natychmiast przed rozpoczęciem obrad Komisji generalnej, mającej za zadanie ożywienie dogorywającej Konferencji, która wobec żądań Berlina znalazła się *dans une impasse*. Czytelnicy, śledząc za prasą polityczną, wiedzą doskonale o co w danym wypadku chodziło i przypominają sobie, że raz już delegacja niemiecka opuściła Konferencję. Gest ten okazał się politycznie udatny, gdyż otrzymała ona teoretyczne *Gleichberechtigung*, którego się domagała od tak dawna. Obecnie, w obawie że zwycięży teza francuska — żądanie efektywnej kontroli, której funkcjonowanie powinno być przez dłuższy czas wypróbowane — wymagał Hitler albo rozbrojenia swych partnerów, albo licencji na dozbrojenie się Niemiec. W jakim celu? Łatwo się domyśleć. Dozbrajanie się Niemiec pod egidą Konferencji rozbrojeniowej byłoby takim absurdem, że jej członkowie nie mogą się w żaden sposób nań zgodzić, żądanie zaś rozbrojenia sąsiadów — do nich należy i Polska — bez uprzedniej sprawnie działającej kontroli, jest też nie do pomyślenia wobec szału nacjonalizmu, jaki opętał Niemcy. Sytuacja wytworzona wystąpieniem Niemiec jest tak zagmatwana, że niema na świecie tak przenikliwego polityka, któryby potrafił przewidzieć jak się ukształtują w przyszłości stosunki. Otóż teraz właśnie, gdy kryzys *bat son plein*, chwila jest odpowiednia, by przypomnieć katolicką doktrynę zdrowego pacyfizmu, wyłożoną z taką *maestrią* rok temu w czasie „Ty-

godnia" w Genewie, tej stolicy Ligi Narodów, na którą walą się teraz gromy hitlerowskiego gniewu. Sentymentalni pacyfiści, nie liczący się ze skażoną ludzką naturą, myśleli, że samo ukazanie się Wilsona na widowni politycznej świata wystarczy, żeby sprowadzić trwały pokój na ziemię, gdy tymczasem Kościół, bogaty doświadczeniem wieków, wiedział, że brakło odpowiednich warunków do trwałej pacyfikacji i dlatego nie chciał się zbytnio angażować w tę wilsonowską imprezę, nie mogąc brać odpowiedzialności za powojenne stosunki, ani też będąc w możności efektywnie zaradzić złemu. Watykan z sympatją śledził genewskie poczynania i gdy uważał za stosowne, upoważniał swego nuncjusza w Bernie, względnie delegował mężów zaufania do okolicznościowej współpracy. *C'est tout.* Dlatego też miał słuszność Mgr. Besson, gdy z naciskiem zawsze podnosił, że nie występuje jako rzecznik Kościoła w Genewie, ale jako biskup diecezji, w której Liga Narodów obrała swoją siedzibę. Z drugiej jednak strony wszystkie jego przemówienia czerpały przecie swoją żywotną treść z nauki Kościoła, a jego ostatnia konferencja, której tytuł w całości przytoczyliśmy, najwyraźniej o tem świadczy. Otóż właśnie ta katolicka doktryna, występująca z jednej strony przeciw wojującemu nacjonalizmowi, a przeciw sentymentalnym pacyfizmom różnych międzynarodówek z drugiej, stanowi jedyną zdrową podstawę do unormalizowania międzynarodowych powojennych stosunków, które bez moralnego rozbrojenia nie może być nawet pomyślane. Ze ono w ostatnich czasach ze wszystkich stron dotkliwe bardzo razy otrzymuje, to pewne. Na Dalekim Wschodzie i w Południowej Ameryce członkowie Ligi i *...les signataires* Paktu Kelloga biją się w najlepsze, zamiast swe spory polubownie załatwić. Obecnie zaś Niemcy dają rozbrojeniu moralnemu *un coup de grâce*, po którem nieprędko się ono podniesie. Ale — i na tem kończymy niniejszy artykuł — podnieść się ono m u s i. Przypuśćmy najgorsze. Wyobraźmy sobie, że nowa wojna wybucha od poprzedniej straszniejsza. Wielki to będzie cios dla humanitarnych dążeń ludzkości skrystalizowanych w danym wypadku w Genewie, ale po jej zakończeniu nowe próby pacyfikacji świata m u s z ą być podjęte, o ile nie zechce on naprawdę kolektywnem samobójstwem zakończyć. A te próby, po każdej nowej wojnie — obyż ich było jak najmniej — ponawiane, m u s z ą do międzynarodowego porozumienia zdążać, które ze swej strony za jedyną solidną podstawę swych prac m u s i wziąć moralne rozbrojenie. I tu właśnie leży istotna, trwała wartość wystąpienia Unji fryburskiej w czasie rozbrojeniowej konferencji, które, raz jeszcze przypomnijmy, z polską inicjatywą się pokrywa. *Sub specie aeternitatis* rozważane, i referaty wygłoszone w czasie zeszłorocznego „Tygodnia", i polskie memorandum przedstawione Konferencji, na najwyższe uznanie zasługują! Miejmy odwagę je tutaj wyrazić w chwili, gdy rozbrojenie moralne jest niestety moralnym ...bankrutem i gdy pesymistyczne nastroje wszechwładnie opinją publiczną zawładnęły. Nie prędzej to później, nie za sto lat, to za dwieście, za tysiąc, ale idea rozbrojenia moralnego m u s i zwyciężyć i ...zwycięży.

Post tenebras lux.

Genewa, październik 1933. *Ks. Wacław Tworkowski.*

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN ROSTWOROWSKI T. J.*

Druk ukończono dnia 28 listopada 1933.

Spis rzeczy tomu 200.

Artykuły.

Str.

Ks. J. Terlaga: Szkolne czasy ks. Jakóba Wujka T. J. . 3, 221
J. Hurtado: Religja katolicka w Hiszpanji wczoraj, dziś i jutro 26
Ks. S. Podoleński T. J.: Polskie Towarzystwo Eugeniczne. 48
T. Grabowski: Stanisław Brzozowski jako krytyk literacki. 57
K. Piwarski: Polska a Francja po roku 1683 . . . . 71, 236
O. L. Derville T. J.: Ze wspomnień o Ojcu Janie Beyzymie apostole trędowatych 93
W. Tomkiewicz: Cerkiew dyzunicka w dawnej Rzeczypospolitej Polskiej 149
K. B. Stefaniszyn T. J.: Ku irlandzkiej republice . . . 179
J. Dąbrowski: Królowa Jadwiga 201
A. Romer: Walka o szkołę we Francji 252
Ks. S. Bednarski T. J.: List z Brukseli 259
Ks. J. Rostworowski T. J.: U progu nowego półwiecza . 317
Ks. dr. J. Pastuszka: Półwiekowa praca „Przeglądu Powszechnego" na różnych polach wiedzy. I. Filozofja i Teologja. . . 334
F. Koneczny: II. Historja 351
I. Czuma: III. Problemy społeczno-gospodarcze 376
S. Pigoń: IV. Dział historyczno-literacki 394
W. Arcimowicz: V. Literatura piękna 408
O. M. S. Gillet: Prądy umysłowe wśród dzisiejszej młodzieży 432
K. Górski: Materjalizm dziejowy według Bucharina . . . 450
S. Łempicki: Biskupi polskiego Renesansu jako opiekunowie kultury 474
T. Parnicki: Akmeizm 499
Ks. S. Siemieński T. J.: Po dziewięcioletnim pobycie w Północnej Rodezji 520
Ks. S. Bednarski T. J.: Chiński list król Jana III 531

Przegląd piśmiennictwa.

Nowe powieści. Marja Kuncewiczowa: Dwa księżyce. — Adolf Rudnicki: Żołnierze. — Stan. Szpotański: Bez miejsca na świecie. — Jan Wiktor: Wierzby nad Sekwaną. — Pola Gojowiczyńska: Dzień powszedni. — Witold Gombrowicz: Pamiętnik z okresu dojrzewania. — Paweł Gart: Zachorowałem... — W. M. Dęboróg: Czeki bez pokrycia (Z. Starowieyska-Morstinowa) 101
Jan Wład. Dawid: Psychologja religji (Ks. K. Werbel) . . 112
Wł. Tomkiewicz: Jeremi Wiśniowiecki (Dr. Wł. Czapliński). 116
M. Grabmann: Geschichte der katholischen Theologie (Ks. M. Morawski T. J.) 119
Warszawskie Studja Teologiczne, zesz. 1—6 (Ks. B. Waczyński T. J.) 120
Studja Augustjańskie, praca zbiorowa (Ks. B. Waczyński T. J.) 121

Str.

Ks. Dr. Eug. Dąbrowski: Przemienienie Chrystusa według ewangelij synoptycznych (Ks. J. Warszawski T. J.) 121

Ks. Dr. Jan Salamucha: Pojęcie Dedukcji u Arystotelesa i św. Tomasza z Akwinu (Ks. S. Felczak T. J.) 122

Z Wydawnictw Wojskowego Instytutu Naukowego i Głównej Księgarni Wojskowej (M.) 123

Ks. Dr. Franc. Śmidoda: Sprawy dziesięcin w Trybunale Koronnym w latach 1578—1589. (Ks. J. Poplatek T. J.) 125

Ks. Dr. Wład. Kłapkowski: Działalność kościelna biskupa Wojciecha Jastrzębca (Ks. J. Poplatek T. J.) 125

Notatki bibljograficzne. Encyklika Leona XIII „Rerum Novarum". Tłum. i wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Ks. Jan Piwowarczyk. Wyd. 2. — A. Rosat: Le Credo des Humbles. — Lexikon für Theologie und Kirche. Zweite Auflage, V Band. — Dr. Friedrich Stegmüller: Zur Gnadenlehre des jungen Suarez. — Arcybp. Józef Pizzardo; Dyrektywy dla Akcji Katolickiej. — Rose Oldenbourg: „Ich" ein Gottesbeweis. — Ks. Ludwik Niedbał: Duszom zbolałym. — S. Elżbieta od Trójcy Św.: Wspomnienia. Tłum. z franc. O. Dr. Gmurowski Z. D. — S. Marja Augustyna Z. N.: Lilja Premonstratu. Życiorys bł. Bronisławy. — Czesław Lechicki.: Prawda o Boyu-Żeleńskim. — Włodz. Bielski: Oto Prusy! — Stan. Tworkowski: Podniebny lot. Życiorys, listy i pamiętnik polskiego lotnika Antoniego Scheur'a 126

Jan Kucharzewski: Od białego caratu do czerwonego. Tom szósty. Rządy Aleksandra III. (Ks. J. Rostworowski T. J.) . . 266

Zygmunt Falkowski: Cyprjan Norwid — portret ogólny. — Słowo wstępne Stan. Pigonia. (W. Arcimowicz) 268

O. Czesław Bogdalski, kazn. gen. OO. Bernard.: Bernardyni w Polsce 1453—1530. (A. Romer) 272

Prof. Bogumił Jasinowski: Wschodnie chrześcijaństwo a Rosja. (Ks. J. Urban T. J.) 274

Ralf Waldo Emerson: Szkice. Przeł. i skomentował Andrzej Tretiak; przedmowę napisał Artur Górski. (Ks. J. Rostworowski T. J.) 276

Ks. dr. Tihamér Tóth: Dekalog (Kazania) t. I i II, z oryginału madziarskiego tłumaczył Robert Oleár. — Ks. Jan Kapica: Kazania. Mowy. Odezwy, wyd. pod red. ks. dr. Emila Szramka. (Ks. J. Godaczewski T. J.) 278

Bożena Stelmachowska: Rok obrzędowy na Pomorzu. (Ks. J. Rostworowski T. J.) 279

Paulus Siwek S. J.: Aristotelis de anima libri tres graece et latine. (Ks. A. Kuśmierz) 279

Henryk Barycz: Szkice z dziejów Uniwersytetu Jagiellońskiego. (M. N.) 280

Z literatury rosyjskiej. Eugenjusz Czirikow: Bestja z otchłani. — Borys Ławrenjew: Rozłam, opowiadania i sceny. — Ilja Brażnin: Skok. — M. A. Ałdanow: Klucz. Ucieczka. — M. A. Ałdanow: Kraje. Ludzie. (T. Parnicki) 281

Notatki bibljograficzne. Tomasz Piskorski: Komitet wychowania narodowego młodzieży polskiej z zagranicy, przy Radzie organi-

Str.

zacyjnej Polaków z zagranicy. — Ksawery Pruszyński: Palestyna po raz trzeci. — Jerzy Ostrowski: Brazylja. — Dr. Franc. Podlewski: Układy pokojowe w Brześciu Litewskim. — Świat i życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. — O. Paweł Manna M. A.: Za mało żniwiarzy. Z włoskiego tłum. E. S. P. M. Z przedmową J. E. ks. dr. A. J. Nowowiejskiego. — Franciscus Xav. Kertleitner O. Praem.: Aegyptiorum auctoritas quantum ad Israelitarum instituta sacra pertinuerit. — Ks. Alojzy Majewski P. S. M.: Róże i lilje. — Aleks. Borawski: Królowa Jadwiga na Wawelu. — Ks. Karol Pękala: Rekolekcje zamknięte szkołą ducha apostolskiego w S. M. P. — Gwido Trzywdar-Rakowski: Lew Lechistanu, czyli zwycięzca z pod Wiednia. — Zofja Topińska: Kasztelanic. Obrazek historyczny z życia św. Stanisława Kostki 292

Beletrystyka. Jan Wiktor: Wierzby nad Sekwaną (t. II). — Tadeusz Dołęga-Mostowicz: Karjera Nikodema Dyzmy i Bracia Dalcz i Ska. — Anna i Jerzy Kowalscy: Złota kula. — Stefan Napierski: Rozmowa z cieniem. Aleksander Szczepański: Drapacze i śmietniki (wrażenia amerykańskie). — Paweł Popiel: 2918 kilometrów na koniu. — Aniela Gruszecka: Przygoda w nieznanym kraju. — Adam Ważyk: Latarnie świecą w Karpowie. — Maciej Wierzbiński: Honor. — Zofja Reutt-Witkowska: Zamek Swarożyca. — Aleksandra Aniela Wolska: Pryzmat. (Z. Starowieyska-Morstinowa) 535

Marjan Zdziechowski: Węgry i dookoła Węgier (Dr. Janusz Pajewski) 546

St. hr. Małachowski-Łempicki: Wolne mularstwo w Lubelszczyźnie 1811—1822 (A. Romer) 549

Tadeusz Mikulski: Prace hist.-lit. Ród Zoilów. Rzecz z dziejów staropolskiej krytyki literackiej (J. Birkenmajer) 551

Ks. prof. Bernard Bartmann: Nauka o czyścu (M. Rode) . . 553

Konstanty Wiskowatyj: Pogłosy historji polskiej w epice Jugosłowiańskiej (A. Romer) 556

Bolesław Roja: Legjoniści w Karpatach 1914—1915 (Ks. Z. Nartowski T. J.) 557

Stan posiadania ziemi na Pomorzu. Praca zbiorowa (A. Romer) 559

Encyklopedja kościelna... tom XXXIII ostatni, wyd. przez ks. Michała Nowodworskiego (Ks. J. Urban) 561

Jan Sobolew: Karanie wychowawcze jako oddziaływanie na duszę w wieku chłopięcym (Dr. E. Chomrański) 562

Ks. dr. Umiński: Historja Kościoła. Podręcznik dla szkół akademickich, tom I. Chrześcijańska starożytność i wieki średnie. (Ks. J. Poplatek T. J.) 565

Ks. Władysław Lęga: Ziemia Malborska. Kultura ludowa. (A. Romer) 567

Ks. H. Pinard de la Boullaye T. J.: Chrystus wobec historji. Chrystus obiecanym Mesjaszem. Chrystus cudotwórca i prorok. (Ks. J. Rostworowski T. J.) 568

Henryk Barycz: Conclusiones Universitatis Cracoviensis (1441 1589). (M. N.) 570

Str.

Ks. Aleksander Syski: Ascetyka katolicka w krótkich naukach dla osób świeckich. (Ks. J. U.) 571

Notatki bibljograficzne. Everyman (Każdy), średniowieczny moralitet angielski w przekładzie Stanisława Helsztyńskiego, oraz tragedja antyczna André Gide'a p. t. Edyp w przekładzie Romana Kołonieckiego. — Ks. Józef Londzin: Jaki wpływ wywarła reformacja na ukształtowanie się stosunków polskich na Śląsku Cieszyńskim? — K. B.: O. Rafał Kalinowski, Karmelita Bosy. — Królowa Jadwiga, zbiór przemówień ku czci królowej Jadwigi, wypowiedzianych w Krakowie 9 stycznia 1933 r. — Gen. Marjusz Zaruski: Zasadnicze komendy i rozkazy przy manewrach na statkach żaglowych. — Joseph Dassonville S. J.: Les grandes heures de la famille. II. Les heures graves. — Abbé Ch. Grimaud: Non mariées. A celles qui s'en vont solitaires... — C. Beccari S. J.: Il beato Giuseppe Pignatelli S. J. — Antoni Heinrich (Tonny): Podręcznik kajakowca. — Kaźmira Berkanówna: Którędy pójdziesz? Trzy drogi życia. — Eremus: Bóg Panem naszym! — Dr. Marjan Wachowski: Skrzynka zapytań. — Ks. Bolesław Kręcicki: Moja rozmowa z badaczami Pisma św. — G. Hoornaert S. J. Le Chemin de la Croix. — Edward Montier: L'ideal fiancé. — L'ideale fiancée 571

Nadesłane 129, 294, 575

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Październik: Austrja: Wiedeński Katholikentag. — Echa z Kahlenbergu. — Program kanclerza Dollfussa. (Ks. E. Kosibowicz) 131

Listopad: W kwestji monopolu szkolnego. — Zagrożony los prywatnego szkolnictwa w Polsce. (Ks. E. Kosibowicz) . . . 296

Grudzień: Wzrost wpływów wolnomyślicielstwa w Polsce. — Antyklerykalizm czy raczej antykatolicyzm? — Antykatolicka ideologja „Legjonu Młodych" 576

VII Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych, Warszawa —Kraków 21—29 sierpnia 1933 (Ks. S. Bednarski T. J.) . . . 140

„Przyroda, Zdrowie i Opieka społeczna" na wystawie w Poznaniu. XIV Kongres Lekarzy i Przyrodników Polskich oraz IV Kongres Lekarzy Słowiańskich w Poznaniu. — Wystawa „Przyroda, Zdrowie i Opieka Społeczna". — Opieka nad macierzyństwem, dzieckiem i młodzieżą. — Stan zdrowotny w Polsce (Ks. S. Podoleński T. J.) 306

Kronika gospodarcza. Pożyczka narodowa. — Zagadnienie handlu zagranicznego. — Bilans płatniczy i wypłacalność. — Umowa polsko-gdańska. — Eksperymenty amerykańskie. (Dr. M. J. Ziomek) 310

„Liga obrony praw człowieka". (Ks. S. Podoleński T. J.) 593

Katolicka współpraca w dziele rozbrojenia. (Ks. W. Tworkowski) 599